



GWIEZDNE WOJNY

PUNKT RÓWNOWAGI

KATHY TYRES

Przekład
ANDRZEJ SYRZYCKI



Tytuł oryginału
BALANCE POINT

Redaktor serii

Redakcja stylistyczna

Redakcja techniczna

Korekta

Ilustracja na okładce
CLIEFF NIELSEN

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 2000 by Lucasfilm, Ltd. & TM.
All rights reserved.

For the Polish translation
Copyright © 2001 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-

PROLOG

Pilotując swój X-skrzydłowiec, porucznik Jaina Solo skrzyła ostro na bakburtę. Obróciła maszynę w locie i pchnęła rękojeść dźwigni przepustnicy. Pilot koralowego skoczka, owalnego jak ziarno, ostrzeliwał jej skrzydłowego. Ujrzawszy jej manewr, wykonał unik, a mikroskopijna czarna dziura, która pojawiła się za rufą jego maszyny, pochłonęła całą energię wypuszczonych przez Jainę laserowych błyskawic.

Młoda kobieta dostosowała prędkość lotu do szybkości koralowego skoczka i ruszyła w pościg. Odkąd pułkownik Gavin Darklighter przyjął ją w poczet pilotów Eskadry Łobuzów, stoczyła dziesiątki takich pojedynków. Nie przestała być dumna z tego, co robi, ale z pewnością nie uważała już tego za coś podniecającego. Zbyt wiele razy musiała startować w samym środku nocy. Zbyt często stykała się ze śmiercią. Miała zbyt duże zaległości w spaniu.

Jestem jednak pilotem Eskadry Łobuzów, pomyślała, delikatnie muskając rękojeść dźwigni przepustnicy. Nie dlatego, że mam wpływowych rodziców ani z pewnością nie dlatego, że w mojej rodzinie Moc jest tak silna. Dlatego, że opanowałam trudną sztukę pilotażu. A poza tym, jednym z członków Eskadry Łobuzów powinien być rycerz Jedi.

Pilot ściganego skoczka zmienił kurs i skierował się w stronę bothańskiego szturmowego krążownika „Orędownik”. Okręt miał osłaniać jeszcze jeden konwój z uciekinierami. Już w tej chwili gęsto zaludniony księżyc planety Kalarba, Hosk, krążył po niestabilnej orbicie. Wszystko wskazywało, że czeka go taki sam los, jaki dziesięć miesięcy wcześniej spotkał Dobida. Istniało prawdopodobieństwo, że życie mogło stracić więcej Kalarban niż wówczas mieszkańców Sernpidala. Dla JAINY jednak, podobnie jak dla jej ojca, zniszczenie Sernpidala stanowiło tragedię, z którą chyba nic nie mogło się równać.

Unicestwienie koralowych skoczków nie mogło przywrócić życia Chewbacce, ale pomagało Jainie uporać się z gorzkimi wspomnieniami. Trzymając palec na spuście przerywanego ognia, nie przestawała zasypywać koralowego skoczka krótkimi kreskami szkarłatnych błyskawic. Takie mnóstwo niosących niewielką energię laserowych strzałów męczyło i dezorientowało pochłaniające energię dowin basale. Jak powiedział kiedyś pułkownik: „Najpierw łaskoczcie je w zęby, a potem wpychajcie pięść do gardła”.

Pokładowe czujniki X-skrzydłowca wskazywały, że grawitacyjna anomalia się zmniejszyła. Cofnęła się ku kadłubowi nieprzyjacielskiego myśliwca, który ją wytworzył. Na ekranie głównego monitora Jaina ujrzała, że za rufą jej X-skrzydłowca pojawił się chissiański szponostatek.

- Osłaniam cię, Łobuzie Jedenaście - rozległ się czyjś głos w słuchawkach jej komunikatora.

Teraz! Jaina przycisnęła czubkiem wskazującego palca główny spust i uruchomiła wszystkie cztery lasery równocześnie. Mikroskopijna czarna dziura za rufą koralowego skoczka zakrzywiła tory lotu jej błyskawic, ale spodziewając się takiej reakcji, Jaina

wymierzyła wyżej. Jak oczekiwała, dwie błyskawice pomknęły w ciemności przestworzy; dwie inne jednak dotarły dokładnie tam, gdzie chciała. Na kryształowo przejrzystej owiewce kabiny koralowego skoczka wykwitły jaskrawe błyski bezpośrednich trafień.

Dysponujemy taktyką, która umożliwi nam toczenie z nimi równorzędnej walki, pomyślała Jaina. Tyle że walka z nimi nigdy nie jest wyrównana. Bez względu na to, ilu zabijamy, oni zabijają nas i nadlatują w coraz większej sile. Nawet ich myśliwce potrafią leczyć swoje rany!

Istoty rasy Yuuzhan Vong przekształciły wiele światów w szpitale i żłobki dla koralowych skoczków. Atakując Fondor, zniszczyły największe wojskowe stocznie Nowej Republiki. W pozostałych dużych stoczniach - na planetach Kuat, Kalamara i Bilbringi - ogłoszono alarm. Wysłano floty gwiazdnych lotniskowców, które miały ich bronić.

Okrucy kryształu i rozżarzonych do czerwoności brył koralu poszybowały w przestworza i wolno wirując, zniknęły w mroku. Yuuzhański pilot jednak nie zdecydował się katapultować. Wszyscy wybierają śmierć, pomyślała Jaina. Wyglądało na to, że świadomie i dobrowolnie.

A na ich miejsce pojawiali się następni i następni. Tymczasem pilotów maszyn Nowej Republiki odwoływano, aby bronili własnych światów.

- Masz wolną drogę, Dziesiątko! - wykrzyknęła Jaina.

- Dzięki, Kije!

- Zawsze do usług! - Jaina skrzyła na sterburtę i zauważyła, że zanosi się na katastrofę. - Łobuzy, z kierunku trzysta czterdzieści dziewięć koma osiemnaście nadlatują gromady innych skoczków! - wykrzyknęła. - Kierują się ku modułowi jednostek napędowych „Orędownika”!

- Zrozumiałam - odparła cierpko bezpośrednia przełożona JAINY, major Alinn Varth. - Najwyższy czas zaśmiec przestworza koralowym pyłem. Jedenastka, Dziesiątka, lećcie za mną.

Na znak, że rozumiała i przystępuje do wykonywania rozkazu, Jaina pstryknęła dwukrotnie przełącznikiem komunikatora. Pchnęła dźwignię przepustnicy. Obróciła w locie swój X-skrzydłowiec i podążając za Dziewiątką, przeleciała nad kadłubem „Orędownika” - tak blisko, że niemal mogła policzyć anteny i łąby nitów.

Szturmowym krążownikiem dowodził Twi'lek, dyplomowany admirał Glie'oleg Kru. Jaina doszła do wniosku, że od czasu zmagania o Fondor nie było bitwy ani starcia, żeby nie słyszała o jakimś nowo mianowanym kapitanie albo admirał. Odkąd nieprzyjacielem zniszczyli gwiazdne stocznie, Nowa Republika straciła kilka innych planet - Gyndinę, Bimmieł oraz Tynnę. Kiedy Jaina uczestniczyła w odprawie, przygotowując się do walki o Kalarbę, oficer Wywiadu wysunął przypuszczenie, że nieprzyjacielem zamierzają przerwać Trasę na Korelię - ważny nadprzestrzenny szlak, umożliwiający dotarcie do Rubieży. W stan pełnej gotowości zostały postawione systemy obronne planet Druckenwell i Rodia.

Nieco wcześniej skoku do nadprzestrzeni dokonał kolejny konwój kalarbańskich transportowców. W jego składzie znalazły się dziesiątki statków z uchodźcami ze zniszczonej stacji Hosk. I chociaż nie oszczędzono starań, by odnaleźć i zniszczyć zrzu-

conego przez Yuuzhan na powierzchnię Kalarby ogromnego dovin basala, księżyc Hosk tracił wysokość dosłownie z każdym okrążeniem planety. Broniący go piloci myśliwców typu Hyrotii Zebra dawno zginęli, a cała dziesiątka potężnych turbolaserów została zniszczona albo uszkodzona. Widoczne na ekranie monitora nieprzyjacielskie okręty wyglądały jak wielonogie kraby. Ich piloci, podążając za pokrytym metalową powłoką księżycem, niszczyli jeden po drugim mniejsze transportowce i wahadłowce, które pozostawały w tyle za odlatującymi konwojami. Już w tej chwili wzniesione na biegunach Hoska wysokie wieże odchyłały się od pionu o ponad trzydzieści stopni. Wkrótce sama Kalarba miała stać się wymarłym światem - nieprzydatnym nawet dla istot rasy Yuuzhan Vong.

Jaina skręciła w pobliżu sterburtowych wrót hangarów myśliwców „Orędownika” i rzuciła się w wir walki. Zaatakowali ją piloci trzech koralowych skoczków naraz. Ku X-skrzydłowcowi pomknęły jaskrawe strugi płonącej plazmy. Czując, że jej serce bije przyspieszonym rytmem, Jaina zaczęła wykonywać uniki. Niemal bezwiednie kierowała myśliwiec raz w tę, a po chwili w inną stronę. Nie odrywała środkowego palca prawej dłoni od spustu przerywanych strzałów.

- Sparky - poleciała w pewnej chwili astromechanicznemu robotowi - muszę mieć sto procent mocy osłon na trzystaście metrów od kadłuba.

Na ekranie usytuowanego nad jej głową monitora rozbłysły litery. Jednostka typu R5 - towarzysząca Jainie od czasu, gdy została pilotką Eskadry Łobuzów - w samą porę wykonała polecenie. W słuchawkach hełmu rozległy się trzaski zakłóceń. Młoda kobieta zrozumiała, że jakiś dovin basal usiłuje pozbawić jej myśliwiec osłony pól siłowych.

W dole po stronie bakburty przeleciał jeszcze jeden koralowy skoczek. Jaina trąciła drążek sterowy i puściła się w pościg. Za owiewką jej kabiny zawirowały iskierki gwiazd. Jeszcze trochę bliżej, Vongu, pomyślała. Jeszcze trochę; jeszcze odrobinę...

Nagle system celowniczy jej wyrzutni protonowych torped rozjarzył się jaskrawą czerwienią. Jaina, czując uniesienie, wystrzeliła śmiercionośny pocisk. Przyglądała się, jak znacząc drogę błękitnym blaskiem, mknie ku nieprzyjacielskiej maszynie. Nie zbaczając z kursu. Pragnąc odwrócić uwagę dovin basala, nie przestawała zasypywać koralowego skoczka setkami niskoenergetycznych laserowych strzałów...

- Jedenastka! - usłyszała nagle czyjś okrzyk. - Skręć na sterburtę!

Na śluz wszystkich Huttów! Jaina pchnęła jeszcze dalej dźwignię przepustnicy i skręciła raptownie w prawo. Poczowała, że w ciało wpijają się pasy ochronnej sieci. W następnej sekundzie X-skrzydłowiec szarpnął się i zadrżał.

- Trafili mnie! - wykrzyknęła.

Czując nowy przypływ adrenaliny, zacisnęła palce na rękojeściach dźwigni. Omiotła spojrzeniem płytę głównego pulpitu.

Na szczęście mam osłony, pomyślała. Musnęła drążek sterowy i zawróciła. I moge manewrować, dodała w myśli, wyraźnie uspokojona.

Mimo to czuła, że ogarniają irytacja. Piloci koralowych skoczków, widocznych w postaci szkarłatnych punkcików na ekranie pomocniczego monitora nad jej głową, atakowali „Orędownika” i broniące go myśliwce niczym rój rozwścieczonych owadów.

Jeden z nich, dopiero zawracający w stronę szturmowego krążownika, musiał być kierowany przez pilota, który pozostawił ciemne smugi na płatach jej myśliwca.

Jaina zacisnęła zęby i pchnęła do oporu dźwignię przepustnicy. Dopiero teraz mogła przyjrzeć się ogromnemu nieprzyjacielskiemu okrętowi, unoszącemu się w przestrzeniach za rufą „Orędownika”. Niewiele mniejszy od gwiazdowego niszczyciela, przypominał szkaradnego morskiego potwora. Najgrubsza, wysunięta do przodu wypustka czy płetwa musiała mieścić mostek albo stanowiska dowodzenia. Dwie cieńsze wyrastały z brzucha, a dwie podobne z grzbietu. Z tych pierwszych leciały ku „Orędownikowi” oślepiające strugi płonącej plazmy.

Na spotkanie z nowo przybyłym okrętem pospieszyli piloci dwóch eskadr myśliwców typu E floty Nowej Republiki. Tymczasem Jaina zbliżyła się do ściganego myśliwca i zaczęła go zasypywać krótkimi seriami nieszkodliwych strzałów.

- Łobuzy! - Ostrzegawczy okrzyk dowódcy zupełnie ją zaskoczył. - Przed chwilą coś wessało ochronne pola „Orędownika”. Trzymajcie się od niego jak najdalej!

Co oni zrobili? - pomyślała Jaina. Czyżby wezwali na pomoc jeszcze jeden wielki okręt, którego nie zauważyłam?

Szarpnęła drążek sterowy i nie tracąc prędkości, zawróciła. Kiedy przelatywała obok bakburtowej dyszy silników „Orędownika”, ujrzała coś, co wprawiło ją w osłupienie. W burcie okrętu pojawiła się szczelina i z wnętrza trysnął snop światła. Powoli, jak na zwolnionym filmie, szczelina zaczęła się poszerzać i wydłużać. Wyglądało to zarazem strasznie i pięknie.

- Kije! - usłyszała czyjś przerażony okrzyk. - Jedenastka, wynoś się stamtąd!

- Pełna moc, Sparky! - krzyknęła Jaina. - Chcę...

Siła potwornej eksplozji pchnęła ją na pulpit kontrolnej konsoli. Boczne ściany kabiny wgięły się do środka. Chwilę potem po prostu zniknęły. W uszach zabrzmiał jęk alarmowej syreny. Elektronicznie syntetyzowany monotony głos zaczął powtarzać ostrzeżenie:

- Uruchamiam procedurę katapultowania. Uruchamiam procedurę katapultowania...

Rozpaczliwie przywołując Moc, Jaina usiłowała zaczerpnąć powietrza. Prawie jej się to udało.

Ujrzała oślepiający błysk, a w następnej sekundzie przestała cokolwiek widzieć i odczuwać.

ROZDZIAŁ

1

Jacen Solo stał obok zbudowanej z gliny i darni lepianki dla uchodźców, w której razem z ojcem mieszkali na planecie Duro. Był ubrany w brązowy płaszcz, poplamiony błotem i kurzem. Długie, kręcone ciemnobrązowe włosy zasłaniały mu uszy, ale nie były jeszcze na tyle długie, aby mógł je związywać z tyłu głowy. Odnosił wrażenie, że przykrywająca całą kolonię półprzezroczysta szara kopuła przepuszcza tak mało światła, iż półmrok spowija go niczym zharański szkłoważ. Nie widział go, ale dzięki Mocy uświadamiał sobie jego istnienie - tak silnie, że niemal czuł, jak oplata się wokół jego ciała.

Już wkrótce miało się coś wydarzyć. Czuł to, kiedy wsłuchiwał się w mowę Mocy. Coś ważnego, a zarazem...

Tylko co?

Z drugiej strony Hana Solo stała samica rasy Ryn - porośnięta jedwabistą sierścią istota, której głowę zdobiła spiczasta grzywa. Siwiejąca szczecina ogona i przedramion dowodziła, że lata młodości ma już za sobą. Rozmawiając z Hanem, coś mu tłumaczyła.

- To są statki naszej karawany! - zawołała w pewnej chwili, energicznie wymachując rękami. - Naszej!

Parsknęła, a wydmuchnięte powietrze z melodyjnym świstem wydostało się przez cztery otwory w jej chitynowym dziobie.

Han obrócił się tak raptownie, że byłby potracił syna lewym barkiem.

- Na razie nic na to nie poradzę - powiedział. - Nie pozwolę na ich start tylko dlatego, żebyście mogli przeprowadzić testy wszystkich poddespółów. A poza tym, twój ziomkowie, Mezzo, wdarli się na teren, na który wstęp był zabroniony.

Delikatną brązowoszarą sierść istoty zdobiły jaśniejsze pomarańczowoczerwone plamy. Niebiesko zakończony szpic ogona lekko drżał. Jacen z doświadczenia wiedział, że oznacza to zniecierpliwienie.

- Oczywiście, że odwiedziliśmy parking dla gwiazdnych statków - burknęła samica. - Jeszcze nie wynaleziono płotu, który zdołałby powstrzymać Ryna, a tam spoczywają statki naszej karawany. Naszej. - Kilka razy poklepała opinającą pękatą pierś podniszczoną kamizelkę. - I nie proponuj, żebyśmy ci zaufali, kapitanie. Ufamy ci. Tyle że nie mamy zaufania do SENKI. SENKI i do ludzi nad nami, w górze.

Uniosła rękę i pokazała pokryte grubą warstwą chmur szare niebo.

Jacen zauważył, że wargi jego ojca lekko drgnęły, jakby miał ochotę się uśmiechnąć. Siedemnastolatek niemal czuł, jak Han powstrzymuje oznaki wesołości. Jego ojciec rozumiał, że uciekinierzy mogą wyruszać na niedozwolone wyprawy - zwłaszcza jeżeli ich celem były własne statki. Han pełnił jednak obowiązki nadzorca i za wszystko odpowiadał. Nie mógł sobie pozwolić na okazywanie wesołości. Musiał przestrzegać ustanowionych przez SENKĘ przepisów i regulaminów - przynajmniej w miejscach publicznych, aby nie zachęcać do ich łamania młodocianych nadgorliwców. Bez wątpienia później, na osobności, Mezza wyjaśni mu, o co naprawdę chodzi.

Wiedząc o tym, Han próbował przekonać ją o słuszności swoich racji.

Jacen przyglądał mu się kątem oka i przysłuchiwał wymienianym argumentom. Starał się dopasować elementy układanki, którą odczuwał każdą komórką młodego ciała. Wyszkolony na rycerza Jedi i obdarzony niezwykłą wrażliwością, mógłby przyjąć, że już wkrótce coś w Mocy się poruszy, coś ulegnie przesunięciu, coś się zmieni...

Wiedział, że nie może sobie pozwolić na przeoczenie choćby najsłabszej zapowiedzi.

Poczuł, że drgnęła mu prawa kość policzkowa. Podświadomie wyciągnął rękę i odgarnął z twarzy kosmyk niesfornych włosów. Powinien je dawno obciąć, ale tu, na planecie Duro, nikogo nie obchodziło, jak wygląda. Nadal rósł, męźniał i rozrastał się w barkach. Czuł się z tym wszystkim jak dziwaczna hybryda w pełni wyszkolonego rycerza Jedi i niedojrzałego wyrostka.

Oparł się o zewnętrzną ścianę chaty i zapatrzył w dal. Swoją nową dom zawdzięczał SENCE - Senackiej Komisji do spraw Uchodźców. W kolonii miało się pomieścić tysiąc uciekinierów. Rzecz jasna, stłoczyło się tysiąc dwieście. Jeżeli nie liczyć pogardzanych przez wszystkich Rynów, w obozie znalazło schronienie kilkuset zrozpaczonych ludzi, wiotkich Yorsów i wielkogłowych Vuvrian... a nawet jeden młody Hutt.

Tymczasem bezwzględni Yuuzhanie podbijali coraz to nowe rejony galaktyki. Puścili całe planety, a ich mieszkańców mordowali albo brali do niewoli - najczęściej po to, by później złożyć w ofierze swoim bogom. W ręce bezlitosnych najeźdźców wpadł żyzny Ithor, niepokorna Ord Mantell i Obroaskai z jej słynnymi bibliotekami. Chodziły słuchy, że napastnicy zaatakowali światy Przesłworzy Huttów i planety Środkowych Rubieży usytuowane wzdłuż Trasy na Korelię. Możliwe, że istniał jakiś sposób powstrzymania wojowników rasy Yuuzhan Vong, ale Nowa Republika jeszcze go nie знаła.

Han Solo stał przed chatą i oparłszy dłoń na biodrze, nadal toczył spór z Rynką Mezzą- przywódczynią liczniejszych resztek jednego z dwóch klanów. Cały czas nie spuszczał oka z młodocianych winowajców - grupy Rynów mniej więcej w wieku Jacena, którzy wciąż jeszcze mieli na policzkach świadczące o ich młodym wieku jaśniejsze paski. Oba klany Rynów zajmowały jedną z trzech sekcji lepianek o niebieskich dachach, ustawionych w kształcie klina. Całość osady Trzydziestej Drugiej była przykryta synplastową półkulistą kopułą -równie szarą jak zatrute powietrze, które cały czas kłębiło się na zewnątrz.

Na szczęście - a może na nieszczęście - Jacen wykazywał wrażliwość, jeszcze do niedawna ukrywaną za wykpiwaniem wszystkiego. Dzięki temu mógł łatwo oceniać

wagę i prawdziwość argumentów, którymi szermowały obie zwaśnione strony. Część jego zadania polegała na pomaganiu ojcu w rozstrzyganiu sporów i prowadzeniu często trudnych negocjacji. Han wykazywał skłonność do szukania łatwych rozwiązań i niechętnie wysłuchiwał racji każdej ze stron. Starając się odnaleźć ziomków nowego przyjaciela, Dromy, szukał rozproszonych Rynów po połowie terytorium Nowej Republiki. Tymczasem coraz więcej światów odmawiało przyjmowania nowych transportów ze zrozpaczonymi uchodźcami. Nieszczęśni Rynowie - ograbiani z dobytku, oszukiwani, zdradzani i pogardzani - ponosili coraz dotkliwsze straty. Musieli mieć kogoś, kto stałby w ich obronie.

Wobec tego Han Solo, choć niechętnie, zgłosił się do biura Senackiej Komisji do spraw Uchodźców. Zgodził się zostać nadzorcą kolonii, w której schronili się Rynowie.

- Tylko na okres potrzebny do przesiedlenia ich w inne miejsce - zastrzegł, wyjaśniając Jacenowi motywy swojej decyzji.

Młodzieniec, który bardzo pragnął uciec z Coruscant, postanowił mu towarzyszyć. Dwa miesiące wcześniej, wezwany wraz z Anakinem przez władze Nowej Republiki, poleciał na stację Centerpoint w koreliańskim systemie. To właśnie tam znajdował się gigantyczny nadprzestrzenny repulsor i grawitacyjny obiekt, zdolny wywoływać eksplozje supernowych. Liczono na to, że Anakin, który już raz posłużył się podobnym repulsorem, zdoła uruchomić także kolosa ze stacji Centerpoint. Doradcy wojskowi spodziewali się, że nakłonią Yuuzhan do zaatakowania Korelii. Zamierzali posłużyć się generatorem interdykcyjnego pola, aby uwięzić najeźdźców w obrębie koreliańskiego systemu - a następnie ich unicestwić. Nawet wujek Luke żywił nadzieję, że stacja Centerpoint spełni swoje zadanie jedynie jako pułapka, a nie broń zaczepna.

Nowa Republika mogła już nigdy nie otrząsnąć się po katastrofie, jaka później się wydarzyła.

W pooranej bruzdami twarzy ojca i wysiłku, z jakim się poruszał - nie mówiąc o siwiejących włosach - Jacen widział ślady przeżytego wstrząsu. Mimo tych wszystkich lat, kiedy Han musiał stykać się z najróżniejszymi urzędnikami i znosić paplaninę protokolarnego androida żony, nie mógłby powiedzieć, że nauczył się cierpliwości.

Stojąc na twardej, pokrytej grubą warstwą pyłu powierzchni gruntu przed lepianką zajmowaną przez obu Solo, przeciwnik Mezzy i przywódca resztek drugiego klanu owijał koniec ogona wokół silnych palców. Sierść na przedramionach i końcu ogona Romany'ego wyglądała jak ufarbowana na jasny kolor szczecina.

- A zatem twój klan - mówił Han, pokazując pierś samca - uważa, że twój klan - wymierzył wskazujący palec w Mezzę - zamierza porwać nasze transportowce i pozostawić wszystkich innych na pastwę losu na planecie Duro. Czy dobrze was rozumiałem?

Któryś ze stojących na samym końcu grupy Romany'ego Rynów krzyknął:

- Na twoim miejscu nie puściłbym im tego płazem, Solo!

Jeden z Rynów wystąpił przed szereg swoich pobratymców.

- Naprawdę, lepiej wiodło się nam w Sektorze Wspólnym - westchnął ponuro. - Tam przynajmniej zarabialiśmy kredyty, tańcząc albo przepowiadając przyszłość. Mie-

liśmy własne gwiazdne statki. Mogliśmy chronić dzieci przed zatrutym powietrzem, a nawet przed jeszcze bardziej trującymi... słowami.

Han wepchnął dłonie do kieszeni zakurzonego płaszcza i zerknął na Jacena. Młodzieniec dorównywał mu wzrostem i mógł spojrzeć ojcu prosto w oczy.

- Masz jakieś propozycje? - zapytał półgłosem.

- Na razie zależy im tylko na okazaniu niezadowolenia - stwierdził równie cicho Jacen.

Uniół głowę i spojrzał w górę. Szara plastalowa kopuła, którą przetransportowano na Duro w stanie złożonym, spoczywała na trzech łukowato wygiętych wspornikach. Uchodźcy wzmacniali je podobną do pajęczej sieci płataniną wytrzymałych, rosnących na miejscu pnączy. Wzmacnianiem konstrukcji kopuły i prefabrykowanych chat zajmowała się zresztą, pracując na dwie zmiany, mniej więcej połowa mieszkańców kolonii. Druga połowa mozoliła się na zewnątrz - w przypominającym kopalniany szyb „zbiorniku” i przydzielonej przez SENKĘ stacji uzdatniania pitnej wody.

Nagle Han uniół rękę i głośno krzyknął:

- Hej!

Jacen odwrócił się w samą porę, żeby ujrzeć, jak jeden młody Ryn wyskakuje jak wyrzucony z katapulty poza grupę Romany'ego. Kiedy opadł na twardy grunt, przykucał, gotów do walki na pięści. Chwilę później ze zdumiewającą zręcznością zablokowało go dwóch innych, również młodych Rynów z klanu Mezzy. Po kilku następnych sekundach Han przedzierał się przez skłębiony tłum walczących istot, walczących zbyt zręcznie, aby komukolwiek mogło się stać coś złego. Rynowie cieszyli się zasłużoną sławą urodzonych gimnastyków. Okładając przeciwników szczeciniastymi ogonami, gwizdali przez otwory chitynowych dziobów niczym stado astromechanicznych robotów. Wyglądało na to, że pragnąc rozładować napięcie, po prostu bawią się albo tańczą. Jacen już otwierał usta, żeby powiedzieć ojcu: „Nie powstrzymuj ich. Muszą się wyszumieć”...

W tej samej chwili runął na ubitą ziemię. Poczul pieczenie w piersi, jakby coś je rozplątało. Potem nogi ogarnął taki ogień, że pomyślał, iż ugrzęzły w nich płonące odłamki. Ból spłynął po nogach ku powierzchni gruntu, ale w następnej chwili zapłonął w uszach.

Jaina?

Połączone dzięki Mocy jeszcze przed narodzinami bliźnięta zawsze się orientowały, ilekroć któreś odczuwało ból albo było przerażone. Teraz jednak dzieliła je ogromna odległość. Skoro Jacen wyczuł coś złego, jego siostra musiała być naprawdę poważnie...

Nagle ból zniknął - równie niespodziewanie, jak się pojawił.

- Jaino! - szepnął przerażony młodzieniec. - Nie!

Uwolnił myśli i wysłał ku siostrze, usiłując nawiązać z nią kontakt za pośrednictwem Mocy. Prawie nie zauważał otaczających go rozmytych kształtów. Właściwie nie słyszał, kiedy jakiś Ryn zagwizdał jak medyczny android. Odnosił wrażenie jakby kurczył się w sobie... zapadał tyłem w pustkę, nicość, próżnię. Próbował skupić się wewnątrz i na zewnątrz... pochwycić Moc i pchnąć tam, gdzie była potrzebna - albo wśli-

znać się w leczniczy trans Jedi. Gdyby mu się to udało, czy zdołałby uratować siostrę? W czasach, kiedy studiował w akademii, a także później, wujek Luke nauczył go wielu technik leczenia.

„Jacenie”...

W jego mózgu zabrzmiał ledwie słyszalny głos, cichy jak echo. Nie był to jednak głos Jainy. Miał niższe brzmienie i trochę przypominał głos jego wuja.

Jaceni skupił się jeszcze bardziej i wyobraził sobie twarz Luke'a. Starał się skoncentrować na tym echu. Odnosił wrażenie, że wokół niego tworzy się wirujący biały cyklon. Szarpał nim, jakby usiłował wciągnąć do osłepiająco jasnego wnętrza.

Co to miało oznaczać?

Po chwili młodzieniec ujrzał swego wuja. Ubrany w nieskazitelnie biały lśniący płaszcz mistrz Jedi stał na białej kolistej tarczy, zwrócony do niego bokiem i gotów do podjęcia walki. W opuszczonych do wysokości bioder rękach trzymał zapalony miecz świetlny. Cicho bucząca klinga była skierowana ku górze pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Jaino! - krzyknął w myślach Jaceni. Wujku Luke! Jainy jest ranna!

Dopiero teraz zauważył, co przyciąga uwagę wuja. W oddali, pośród mgieł, ale wyraźnie widoczna, stała jakaś postać. W pewnej chwili wyprostowała się i pociemniała. Jaceni ujrzał obcą istotę - wysoką, człekokształtną i potężnie zbudowaną. Na jej twarzy i obnażonym torsie widniały faliste blizny i wymyślne tatuaże. Biodra i nogi istoty chronił brązowo-rudy pancerz. Z pięć i kostek dłoni sterczały ostre szpony, a z ramion zwisała się czarna oponcza. Obca istota trzymała czarnego jak ebonit amphistaffa, którego końcówka przypominała łeb węża. Naśladując pochylenie ostrza świetlnego miecza mistrza Jedi, wojownik także trzymał broń wzniesioną pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Zapewne zastanawiał się, czy może przeciwstawić jadowitą czerń amphistaffa świetlistej zieleni miecza swojego przeciwnika.

Zupełnie zdezorientowany Jaceni zaczął badać zakamarki Mocy. Na początku wyczuł obecność jakiejś osoby w bieli - nie mniej szacownej niż jego wuj - a później potężną głębię, płonąca w Mocy niczym gwiazda supernowa. Wreszcie spostrzegł, że biały dysk, na którym stali obaj wojownicy, zaczyna się powoli obracać. Tam jednak, gdzie wyczuwał obecność wojownika rasy Yuuzhan Vong, nie wykrył absolutnie niczego. Gdyby miał korzystać tylko z Mocy, nie dowiedziałby się o istnieniu obcej istoty. Wszyscy Yuuzhanie sprawiali wrażenie pozbawionych życia - podobnie jak wytwory organicznej techniki, którymi się posługiwali.

Nagle yuuzhański wojownik zamachnął się amphistaffem. Ognista klinga miecza mistrza Jedi opadła i zablokowała cios żywej włóczni. Zaczęła płonąć coraz jaśniej, aż w końcu przesłoniła w wizji Jacena prawie wszystko, co dotychczas widział. Jedyne amphistaff Yuuzhanina wydawał się ciemniejszy niż czerń... uosabiał ciemność żyjącą, ale zwiastującą śmierć i zagładę.

W pewnej chwili ogromna wirująca tarcza, na której stali Yuuzhanin i mistrz Jedi, zwolniła i znieruchomiała. Podzieliła się na miliardy części, świecących błękitnym blaskiem niczym gwiazdy. Jaceni rozpoznał dobrze znaną mapę pobliskich przestworzy.

Luke uskoczył w bok, w pobliże Głębokiego Jądra galaktyki, i ponownie przygotował się do walki. Uniósł świetliste ostrze nad głowę i trzymając w okolicach prawego barku, skierował ukośnie w górę. Spoza Rubieży, z trzech mrocznych punktów, nadchodzili wytatuowani napastnicy.

Czyżby było ich jeszcze więcej? Jaceni uświadomił sobie, że ma przed sobą wizję, a nie obraz toczącej się przed nim rzeczywistej walki. Wizja nie miała chyba nic wspólnego z tym, co przydarzyło się jego siostrze bliźniacze.

A może miała, i to dużo? Czyżby nowi napastnicy oznaczali inne inwazyjne floty... następne światostatki? Czyżby leciały na pomoc tym, które już teraz tak łatwo rozprawiały się ze wszystkimi siłami, które rzucała przeciwko nim Nowa Republika? Może wybiegając myślami ku Jainie, jej brat bliźniak odkrył tajemnicę Mocy - a może to sama Moc przedarła się do niego, by mu ją objawić?

Wyglądało na to, że galaktyka, poddana działaniu sił jasności i ciemności, zachowuje się jak huśtawka. Luke znajdował się blisko środka i stanowił coś w rodzaju przeciwwagi dla sił zła i ciemności.

Teraz jednak, kiedy najeźdźców pojawiło się jeszcze więcej, huśtawka zaczęła przechylać się w ich stronę.

Wujku Luke! - zawołał w myśli Jaceni. Co powinienem zrobić?

Mistrz Jedi odwrócił się plecami do nadchodzących Yuuzhan. Wbił poważne spojrzenie w twarz siostrzeńca, a potem rzucił mu swój miecz świetlny. Siejąc jasnozielone iskry, wyraźnie widoczne na tle panoramy gwiazd znanej części galaktyki, broń Jedi zatoczyła łuk i poszybowała ku młodzieńcowi.

Nie odrywając spojrzenia od hordy zbliżających się nieprzyjaciół, Jaceni poczuł, że próbuje pochwycić go inny wróg - gniew, jaki zrodził się w głębi jego serca. Strach i wściekłość ukierunkowały i potęgowały jego siłę. Gdyby mógł, unicestwiłby istoty rasy Yuuzhan Vong... a z nimi wszystko, co uosabiały. Wyprostował palce, wyciągnął rękę...

Ale nie zdołał pochwycić lecącego miecza.

Sypiąc iskrami, broń Jedi przeleciała obok niego. Jaceni poczuł, że opuszcza go gniew, ale ogarnia jeszcze większe przerażenie. Wymachując rękami, podskoczył i spróbował przywołać miecz za pośrednictwem Mocy. Nadaremnie. Broń wujka Luke'a poszybowała w ciemności, skurczyła się, zmaląła i zbladła.

Galaktyka przechylała się teraz szybciej na stronę Yuuzhan. Bezlitosnych wojowników otoczyła czarna, śmiercionośna chmura. Bezbronny Luke wyciągnął przed siebie obie ręce. Najpierw on, a potem jego wrogowie urosli do nadludzkich rozmiarów. Wkrótce Jaceni przestał widzieć istotę ludzką i postacie yuuzhańskich wojowników. Zobaczył światło i ciemność - dwie odrębne siły. Przerażenie budziło w nim nawet światło - potężne, majestatyczne i piękne. Wyglądało na to, że galaktyka pogrążyła się w odmętach zła, ale chłopiec nie mógł na to nic poradzić. Wpatrywał się jak urzeczony w jaskrawy blask - tak jasny, że palił w oczy.

Rycerze Jedi nie wiedzą, co to strach... Jaceni słyszał to tysiące razy. W tej chwili nie odczuwał chęci rzucenia się do panicznej ucieczki. Czuł podziw, uwielbienie...

przemocną chęć znalezienia się jak najbliżej, pragnienie służenia światłości i głoszenia prawdy o jej potędze.

Kim jednak był w porównaniu z siłami, toczącymi wokół niego zaciętą walkę? Bezradnym i bezbronny punkcikiem - a wszystko z powodu jednej chwili, kiedy dał się ponieść gniewowi. Czyżby jedno potknięcie miało się okazać zgubne w skutkach? I to nie tylko dla niego, ale dla całej galaktyki?

Nagle nieboskłonem wstrząsnął głos podobny do głosu wujka Luke'a, ale o wiele głębszy i donośniejszy. „Jacenie - zahuczał. - Podejmij wyzwanie!”

Horyzont usianych gwiazdami przestworzy przechylił się jeszcze bardziej na stronę najeźdźców. Jacen skoczył na pomoc ześlizgującej się galaktyce. Zamierzał dodać niewielką masę własnego ciała do ciężaru wuja i w taki sposób opowiedzieć się po stronie światłości.

Nie doskoczył. Potknął się i upadł. Rozpaczliwie wymachując rękami, usiłował pochwycić dłoń wuja, ale znów nie zdołał. Zamiast mu pomóc, sam zaczął się ześlizgiwać - centymetr po centymetrze - w kierunku reprezentowanych przez nieprzyjaciół sił ciemności.

Niespodziewanie Luke chwycił jego dłoń i pociągnął ku sobie. „Podejmij wyzwanie, Jacenie!” Płaszczyzna pod ich stopami przechyliła się jeszcze bardziej. Nagle gwiazdy zniknęły, a wojownicy rasy Yuuzhan Vong rzucili się do ataku. Pod ich szponiastymi stopami gasły gromady gwiazd i całe sektory galaktyki.

Stało się oczywiste, że nawet połączone siły prawie setki rycerzy Jedi nie zdołają powstrzymać galaktyki przed wпадnięciem w ręce Yuuzhan. Jedno potknięcie, jeden fałszywy ruch jednej jedynej osoby w krytycznej chwili - mogły skazać na zagładę wszystkich, których Jedi przysięgali chronić. Tej inwazji nie mogła powstrzymać żadna wojskowa machina, ponieważ walka toczyła się na płaszczyźnie duchowej. A gdyby tylko jedna ważna osoba uległa pokusie i przeszła na ciemną stronę - albo chociaż użyła w niewłaściwy sposób zachwycającej i przerażającej potęgi jasnej strony - wówczas wszystko, co Jedi znali, mogło ześlizgnąć się w objęcia dławiącej ciemności.

Czy właśnie o to chodzi?! - wykrzyknął Jacen w myśli, zwracając się do bezkresnych przestworzy.

Ponownie wydało mu się, że słyszy głos - dobrze znany, ale zbyt głęboki, żeby mógł być głosem jego wuja: „Jacenie, podejmij wyzwanie-me .

Nagle skoczył ku niemu jeden z yuuzhańskich wojowników. Chłopiec nabrał powietrza i wyciągnął ku niemu rękę...

Pochwycił jednak tylko cienkie prześcieradło. Otworzył oczy. Leżał na plecach na pryczy i wpatrywał się w karbowany niebieski synplastowy dach chaty. Pomieszczenie sprawiało wrażenie większego i bardziej przestronnego niż zwyczajna chata dla uchodźców. Musiało należeć do oddziału szpitalnego, który zajmował część chronionego przez kopułę i solidnie zbudowanego baraku administracyjnego.

- Witaj, juniorze - usłyszał kpiący, dobrze znany głos ojca. - Cieszymy się, że znów jesteś z nami.

Jacen odwrócił głowę i zobaczył twarz taty uśmiechniętą, choć w kąciach jego oczu czaił się niepokój. Obok Hana, trzymając czerwono-niebieski beret z miękkiego materiału, stał Ryn o imieniu Droma. Długie jasne wasy istoty opadały aż na brodę. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Droma stał się dla jego ojca... kim? Pomocnikiem, przyjacielem? Z pewnością jeszcze nie partnerem ani drugim pilotem. Mimo to zaczynał odgrywać w życiu Hana coraz większą rolę.

Z drugiej strony pryczy Jacena stał najcenniejszy automat osady, medyczny android typu 2-IB, zdobyty przez Hana nie wiadomo gdzie i kiedy. Zwijał elastyczne przewody tlenowej maski, którą chwilę wcześniej oderwał od twarzy Jacena.

- Co ci się stało? - Han sprawiał wrażenie oszołomionego i zdezorientowanego. - Uderzyłeś się w głowę, kiedy upadłeś? Chudzielec...

Droma wskazał androida i dokończył zdanie.

- .. już chciał cię wkładać do zbiornika z bactą.

Rynowie byli nadzwyczaj bystrzymi obserwatorami. Może właśnie dlatego błyskawicznie orientowali się, jakimi torami biegną czyjeś myśli, i potrafili szybko kończyć zaczynane zdania.

Han odwrócił się do przyjaciela i spiorunował go spojrzeniem.

- Posłuchaj, szczeniasta gębo - zaczął groźnie. - Kiedy zacznym coś mówić, sam chcę wszystko powiedzieć...

- Jaina... - bąknął Jacen.

W tylnej części głowy czuł pulsowanie w rytm uderzeń serca. Widocznie, kiedy upadł, uderzył głową w twardą powierzchnię gruntu. Otworzył usta, żeby wyjawić, co ujrzał w swojej wizji, ale w ostatniej chwili zawahał się i zrezygnował. Han i bez tego niepokoił się jego emocjonalnym paraliżem - a zwłaszcza sposobem, w jaki wymówił się od ratowania innych Jedi i udziału w zwiadowczych wyprawach. Zapewne domyślał się, że Moc nie pozostawi syna w spokoju - bez względu na to, jak u-silnie Jacen starałby się stracić zainteresowanie problemami zakonu Jedi. To było jego dziedzictwo, jego przeznaczenie.

A jeżeli los miliardów istot naprawdę wspierał się na punkcie tak chwiejnej równowagi, że jeden fałszywy krok mógł skazać wszystkich na zagładę, czy mógł napomknąć komukolwiek o swej wizji, zanim upewni się, co oznacza? Już raz omal dał się zniewolić, kiedy szukając znaczenia wizji, naraził się na niebezpieczeństwo. Yuuzhanie posunęli się tak daleko, że tuż przy kości policzkowej implantowali mu jedno ze śmiertelnych nasion koralu. Może tym razem jego wizja miała stanowić coś w rodzaju osobistego ostrzeżenia, żeby nie wpaść w pułapkę albo nie naraził się na inne niebezpieczeństwo? Czy wiedziałyby o czymś takim, zanim byłoby za późno?

Oglądana wizja wcale nie rozproszyła jego wątpliwości.

- Tak? - zapytał Han. - Co z Jainą?

Jacen zamknął oczy. Nie zamierzał posługiwać się Mocą w tak błahym celu, za jaki uważał pozbycie się bólu głowy. Co chcesz, żebym zrobił? - zapytał w myśli, zwracając się do niewidzialnej Mocy.

Czy możliwe, że spowodowałyby następną galaktyczną katastrofę, gdyby starał się jej zapobiec?

- Musimy skontaktować się z Eskadrą Łobuzów - wyrzucił z siebie, otwierając oczy. - Wydaje mi się, że Jaina jest poważnie ranna.

ROZDZIAŁ

2

W przeciwległym końcu baraku administracyjnego pełniła służbę młoda, zgrabna Rynka. Tuląc do piersi małe dziecko, siedziała prawie pośrodku zastawionej monitorami ściany. Większość ekranów była jednak wygaszona. Pod drugą ścianą drzemał, cicho pochrapując, jedyny przebywający w kolonii Hutt - Randa Besadii Diori. Jego długi, jasno-brązowy ogon nieznacznie drgał.

- Witaj, Piani. - Han Solo wszedł do głównego pomieszczenia ośrodka łączności, ale przedtem przepuścił Jacena. - Chcielibyśmy połączyć się z kimś spoza planety.

Piani skierowała ku niemu chitynowy dziób. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Rynowie tak dobrze rozumieli mowę gestów i ruchów ciała, że istota z pewnością domyśliła się, z czym przychodzą.

- Spoza systemu? - zapytała.

- Tak - odparł Jacen. - Czy możesz połączyć się z obsługą stacji przekaźnikowej? Muszę skontaktować się z siostrą, która jest pilotką Eskadry Łobuzów.

Piani przestała tulić niemowlę i ułożyła dziecko na miękkim pościeliu w stojącym obok niej okratowanym pojemniku.

- Spróbuję - oznajmiła. - Ale to beznadziejna sprawa. Znacie admirała Dizzlewita. Usiądźcie i poczęstujcie się bedjie.

Wskazała bufet przy ścianie. Stał na nim pękaty dzbanek z kafeiną i garnek pełen parujących ciemnych grzybów. Hodowla bedjie nie była specjalnie trudna. Należało tylko wsypać garść zarodników do płaskiego naczynia i odczekać tydzień, a potem wrócić z dużą siatką. Ostatnio bedjie stanowiły nieodłączną część jadłospisu prawie wszystkich kolonistów.

Jacen nie odczuwał głodu, ale Han chwycił grzyb palcem wskazującym i kciukiem i zaczął odgryzać po kawałku. Gotowane na parze i nie przyprawione bedjie były niewiarygodnie mdłe, ale matriarchinie Rynów niechętnie rozstawały się ze swoimi ziołami.

- Solo! - wykrzyknął Randa, który właśnie w tej chwili obudził się z drzemki. Obrócił się i dumnie uniósł górną część tułowia. - Co cię tu sprowadza?

Jacen starał się nie krzywić na widok Hutta. Wychowywany na handlarza przyprawy i wysłany przez własnych ziomków, żeby przekazywać w ręce Yuuzhan trans-

porty niewolników, Randa zbuntował się i podczas bitwy o Fondor zdecydował się przejść na stronę Nowej Republiki - a przynajmniej wszystko na to wskazywało.

- Staramy się wysłać wiadomość - odparł ogólnikowo chłopiec. Uczono go, że Jedi nie zna strachu. Strach był częścią ciemnej strony.

Gdyby w grę wchodziła tylko obawa o własne życie, mógłby ją przezwyciężyć. Ale obawa o życie Jaiiny? Nie mógł na to nic poradzić. Nie potrafił przestać się bać o jej życie. Oboje połączyła więź, której nikt nie umiał zgłębić do końca.

Randa był jeszcze bardzo młody, stosunkowo lekki i na tyle zwinny, żeby poruszać się o własnych siłach. Wyginając ciało, podpełznął bliżej mężczyzn.

- A co ty tutaj robisz? - zainteresował się Han.

Randa nadał się i głośno sapnął.

- Już ci mówiłem - odrzekł ponuro. - Mój rodzic, Borga, broni planety Nał Hutta przed napaścią Yuuzhan, ale może liczyć na wsparcie najwyżej połowy członków klanu. Co więcej, już niedługo ma urodzić moją siostrę albo brata. Co to dla mnie oznacza? Nie mogę liczyć na niczyją pomoc. Nie mam nawet własnego statku, zupełnie jak ci idioci, Vorsowie. Chętnie czuwałbym w ośrodku łączności dniami i nocami. Może dowiedziałbym się, co słychać w domu. Twoi pracownicy mogliby wtedy...

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej - przerwał mu Solo. - Piani, jak tam...

Rynka odwróciła się i odepchnęła krzesło od kontrolnej konsoly. Posłała mu ponure spojrzenie.

- Nie mogę się skontaktować nawet z Dizzlewitem - odrzekła. - Wydał surowe rozkazy. „Żaden cywil nie może bez zezwolenia połączyć się ze stacją przekąźnikową” - dodała z przekąsem, naśladując głos admirała. - Oświadczyłam więc, że chcę uzyskać takie zezwolenie. - Pokręciła głową, aż zafalowała jej długa lśniąca grzywa. - Dam ci znać, gdy tylko je otrzymam.

Han spojrzał na nią spode łba. Zanim upłynął pierwszy tydzień jego pobytu na planecie Duro, zdążył dwukrotnie pokłócić się z durosjańskim admirałem Wuhtem. Oficer nie usiłował nawet udawać, że darzy uciekinierów choćby tylko cieniem sympatii.

Władze Nowej Republiki spodziewały się, że Yuuzhanie nie okażą zainteresowania na poły wymarłym świecie. SENKA przeszukiwała Jądro galaktyki, pragnąc znaleźć miejsca do przesiedlenia milionów uciekinierów z rejonów ogarniętych wojną. Zawarła umowę z przedstawicielami rządzącej na Duro królewskiej rodziny - jednego z niewielu planetarnych rządów, które jeszcze się zgadzały przyjmować transporty uchodźców. Przesiedlane istoty mogłyby pomagać przy uprawie nieużytków i meliorowaniu gleby. Mogłyby uruchamiać opuszczone fabryki i obsługiwać przetwórnice syntetycznej żywności, z której nadal korzystali zamieszkujący orbitalne miasta Durosianie. Dzięki pracy uchodźców rdzenna ludność planety miałaby szansę zająć się czymś innym albo wziąć urlopy. SENKA twierdziła nawet, że gdyby pośród uchodźców znalazły się osoby z wojskowym doświadczeniem, mogłyby wziąć udział w obronie ważnych ośrodków przemysłowych - nie wyłączając najważniejszych z dziesięciu pozostałych stocznii Nowej Republiki.

Kłopot w tym, że uchodźcy z wojskowym doświadczeniem wcale nie zgłaszali się na ochotnika do służby tak chętnie jak admirał Wuht się spodziewał.

Oficer sprawował nadzór nad generatorami zachodzących na siebie siłowych pól, chroniących planetę Duro przed atakami z przestworzy. Miał do dyspozycji cztery eskadry myśliwców i kalamariański gwiazdny krążownik „Poezja”. Mógł zapewnić uchodźcom schronienie nawet wtedy, gdyby mieszkańcy orbitalnych miast zajęli się produkcją na potrzeby wojska. Ponieważ gwiazdne stocznie Fondora uległy zniszczeniu, a wszystkie pozostałe stały się oczywistymi celami przyszłych ataków nieprzyjaciół, Nowa Republika usiłowała pospieszyć przekazanie ich produkcję wielu innym, znacznie mniejszym stoczniom, rozproszonym po różnych rejonach galaktyki.

Na nieszczęście, większość pozostałych stacjonujących w tym rejonie okrętów Nowej Republiki przerzucono w okolice Bothawui albo gdzie indziej, ale daleko od Trasy na Korelię. Jacen słyszał, że dzielni Adumiarianie usiłovali zaatakować z flanki pozycje Yuuzhan w okolicach Bilbringi. Miał nadzieję, że to prawda.

Przeniósł spojrzenie na pulpit kontrolnej konsoly.

- A co z łącznością kablową do Gateway? - zapytał. - Czy możemy się z nimi połączyć? Może im udałoby się szybciej nawiązać kontakt z personelem stacji przekąźnikowej?

Dzięki temu, że SENKA miała przedstawicieli w sąsiedniej kolonii, dysponowała podobno niezawodnym systemem łączności, umożliwiającym porozumienie się nawet z kimś spoza systemu. Obie kopuły połączono izolowanymi wielożyłowymi kablami. Niestety, jedyne żyjące na powierzchni Duro stworzenia - zmutowane żuki fefze - uważały włókna kabli za wyjątkowo smaczne pożywienie. Agresywna atmosfera planety była zaś zbyt mało przejrzysta, aby dało się przesyłać sygnały czy to bezpośrednio między koloniami, czy też za pośrednictwem telekomunikacyjnych satelitów.

Jak można było się spodziewać, Piani pokręciła głową.

- Dopiero za dwa dni Gateway zamierza wysłać kogoś do naprawy kabla - oznajmiła ponuro.

Gateway była większą, starszą i o wiele lepiej wyposażoną osadą niż Trzydziestka Dwójka. Jacen domyślał się, że także lepiej zarządzaną. Nie oznaczało to jednak, że zamierzał krytykować ojca. Zarządzając Trzydziestką Dwójką, Han dawał z siebie do słownie wszystko. Uchodźcy z jego kolonii obsługiwali rucoiąg, którym zaopatrywano osadę Gateway w zdatną do picia wodę. Wydobywano ją z prastarego kopalnianego szybu i uzdatniano. W zamian za to mieszkańcy Gateway starali się utrzymywać z sąsiednią osadą łączność za pomocą telekomunikacyjnego kabla i zaopatrywali Trzydziestkę Dwójkę w syntetyczną żywność.

Han wepchnął ręce do kieszeni płaszcza, uniósł brew i spojrzał na Jacena.

- Jesteś pewien, że Jaiine stało się coś złego? - zapytał.

- Chciałbym nie być. - Chłopiec rozcapierzył palce i przejechał nimi po włosach, żeby wsunąć kosmyki za uszy. - Nie chciałem cię martwić, ale...

- Prowadzimy wojnę - przypomniał mu ojciec. - Każdy się czymś martwi.

Rozmowa zaczynała zbaczać na niebezpieczne tory. Minęła jednak długa chwila i żaden nie napomknął o Chewbacce. Jacen odetchnął z ulgą - tak, by ojciec nie zauwa-

żył. Ostatnio rzadko się słyszało, żeby ktokolwiek nie stracił przynajmniej jednej bliskiej osoby. Towarzysz życia Piani nie zdołał dotrzeć do stolicy Gyndiny w porę, żeby wejść na pokład transportowca z uchodźcami. Prawdopodobnie nie żył, a może nawet spotkało go coś gorszego niż śmierć. W tych czasach wszystkim żyło się bardzo ciężko.

- W czym mogę pomóc? - Randa podpełznął jeszcze bliżej.

- W niczym - burknął Han. Odwrócił się do Jacena. - Powiedz mi, czy to coś ważnego. Jeżeli chcesz, żebym to sprawdził, spróbuję nawiązać łączność za pomocą pokładowej aparatury „Sokoła”.

Wskazał główne wejście kolonii.

Całą karawanę najróżniejszych gwiazdnych statków ściągnięto z leżącego w płytkim kraterze lądowiska przy użyciu gigantycznych terenowych pojazdów zwanych pelzakami - sprzętu dostarczonego przez SENKĘ i przeznaczonego do rekultywacji gleby. Później zaparkowano w strzeżonym miejscu i przykryto brezentowymi płachtami, żeby uchronić przed korodującym działaniem deszczu. To właśnie z tego parkingu przegoniono młodych Rynów należących do klanu Mezzy.

Jacen zastanawiał się, czy bardziej martwi się losem siostry, czy administracyjnymi obowiązkami, które pełnił jako asystent ojca. Jego rozterka trwała nie więcej niż trzy sekundy.

- Tak - powiedział w końcu, spoglądając przeproszająco na Piani. Rynka także należała do klanu Mezzy i była niewiele starsza niż młodzieńcy, którzy wdarli się na teren parkingu. - To ważne.

- Dobrze. - Han wymierzył wskazujący palec w Hutta. - Zostaniesz tutaj. Daj mi znać, jeżeli dostaniesz jakieś wieści z domu.

- Może pan na mnie polegać, kapitanie - odparł Randa.

Wyłuskał jedno bedjcie z garnka i w całości wsunął do ogromnych ust.

Dwanaście minut później Jacen siedział w sterowni „Sokoła Millenium” na ogromnym fotelu drugiego pilota. Han uderzył nagle pięścią w pulpity konsoli - wcale nie żartobliwie, jak często widywał jego syn, ale ze złością.

- Obudź się, skamielino - warknął. - Włącz generator i nie każ mi czekać do jutra.

I rzeczywiście, jakby wymówił zaklęcie, w sterowni rozjarzyły się setki różnobarwnych światełek.

Han opadł na swój fotel i wcisnął trzy guziki.

- Dajmy mu minutę czy dwie, żeby się rozgrzał.

- Oczywiście - zapewnił go Jacen.

Chciał powiedzieć, że wie, ale ojciec i tak go zrozumiał. Han przyszedł do siebie po śmierci Chewiego na tyle, że dokonał w mechanizmach frachtowca kilku modyfikacji. Jedną z nich było zainstalowanie wydajniejszych filtrów powietrza, niezbędnych podczas transportu dużych grup uchodźców; inną polakierowanie zewnętrznej powierzchni kadłuba na matowy czarny kolor - na co Chewie chyba nigdy by się nie zgodził. Han nie zdecydował się jednak na umieszczenie w sterowni standardowego fotela drugiego pilota. Jacen odnosił wrażenie, że samo przebywanie na pokładzie ukochanej kupy złomu budzi w nim dreszczyk emocji, ale także lekki niepokój.

Zerknął na płataninę przewodów, wystającą spod pokrywy częściowo przysłoniętego otworu w bocznej ścianie. Wiedział, że jego ojciec i Droma wpadają od czasu do czasu na pokład, żeby to i owo sprawdzić, ulepszyć albo naprawić. „Majsterkowanie” - twierdził Han. „Terapia” - poprawiał go szeptem Droma.

Czekali w milczeniu. Jacen przypomniał sobie czasy, kiedy jego ojciec odczuwał po stracie Chewiego taki ból, że cierpieli wszyscy inni członkowie rodziny. Pewnego razu trafił do kantyny, gdzie Han szukał ukojenia. Pamiętał inną, jeszcze gorszą noc, gdy obudził się i usłyszał, jak ojciec beszta matkę. Używał słów, których nigdy nie powinien był wypowiedzieć, ponieważ chyba nikt nie potrafiłby ich zapomnieć. Jacen nie wyznał matce, że nie spał tamtej nocy. Ona zaś chyba sądziła, że jej syn nic nie zauważył.

Ból nie zawsze stanowił jednak coś złego. Jacen niemal pragnął, aby w jego świadomości na nowo wybuchnął ból, jaki odczuwała Jaina. Przynajmniej oznaczałoby to, że żyje.

Możliwe, że dowiedzą się tego w ciągu kilku następnych minut.

W sterowni rozległa się seria melodyjnych pisków. Zgłosił się automatyczny odbiornik stacji przekątnikowej. Han trzasnął otwartą dłońią w jakiś guzik na pulpicie modułu komunikatora.

- Mówi Solo z pokładu „Sokoła Millenium” - powiedział. - Wzywam Coruscant, sztab dowodzenia floty Nowej Republiki. Chciałbym rozmawiać z biurem pułkownika Darklightera.

Umilkł i czekał na połączenie. W sterowni znów zapadła cisza.

- Jacenie - odezwał się cicho w pewnej chwili. - Co wystraszyło cię do tego stopnia, że wyrzekłeś się władania Mocą? Dwa lata temu byłeś równie buńczucznie nastawiony jak Anakin. Od tamtej pory nie widziałem ani razu, żebyś cokolwiek uniósł w powietrze samą siłą woli.

Jacen chwycił podłokietniki fotela Chewbacki.

- To długa i skomplikowana historia - powiedział wymijająco.

Ojciec go nie krytykował. Po prostu nie rozumiał. Oznajmił, że się cieszy, iż Jacen mu pomaga, ale teraz pewnie się martwił. Syn odmówił czynnego udziału w walce i przestał doskonalić umiejętności Jedi. Z każdym dniem przepaść, jaka dzieliła go od młodszego brata i siostry, zamiast się zmniejszać, stawała się coraz głębsza.

- Mógłbym jej wysłuchać - odparł Han, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

Młodzieniec opowiedział, co wydarzyło się w stacji Centerpoint. Jak wszyscy oczekiwali, potężny nadprzestrzenny repulsor i ogniskujące soczewki zareagowały na dotyk dłoni Anakina. Zbudziły się do życia, jak poprzednio inne systemy kontrolne.

Dokładnie w tym momencie flota Yuuzhan - ta sama, którą Nowa Republika miała nadzieję sprowokować do ataku na Korelię - wyskoczyła z nadprzestrzeni w sąsiedztwie Fondora.

Kuzyn Hana, Thrackan Sal-Solo, uważał, że można posłużyć się potężnym generatorem ochronnego pola jako bronią zaczepną. Starał się przekonać Anakina i nakłonić go do oddania strzału - do zaatakowania wojowników rasy Yuuzhan Vong pomimo dzielącej oba gwiazdne systemy ogromnej odległości.

Jacen błagał młodszego brata, by nie strzelał. Twierdził, że posłuszenie się tak potężną bronią równałoby się brutalnej agresji.

Anakin przyznał mu rację. Przez krótki czas obaj bracia czuli się moralnymi zwycięzcami.

Później Thrackan dopadł urządzeń kontrolnych. Mierząc do szturmowej floty Yuuzhan, wystrzelił... i zdziesiątkował okręty dzielnych Ha-pan, którzy - dzięki dyplomatycznym zabiegom Leii Organy Solo - przylecieli, żeby czynnie wesprzeć Nową Republikę. Yuuzhanie się wycofali, ocalali z pogromu Hapanie powrócili do domów, a Thrackana Sal--Solo okrzyknięto bohaterem.

„Mogłem strzelić z urządzeń stacji Centerpoint, nie wyrządzając Hapanom żadnej krzywdy” - zapewniał Anakin. Jacen długo mu nie wierzył. Później jednak ogarnęły go wątpliwości. Możliwe, że młodszy brat mógł rozstrzygnąć losy całej wojny. Mógł unicestwić najeźdźców, oszczędzić Hapan i ocalić Fondor od zniszczenia.

Tylko w jakim momencie agresywna obrona przeradzała się w agresję, do jakiej nie mieli prawa uciekać się rycerze Jedi?

Uzbrojony jedynie w świetlny miecz Jacen znalazł gwiazdny statek, którym przeleciał z Coruscant na Duro. Jeżeli nie mógł walczyć u boku wujka Luke'a i pozostałych rycerzy Jedi, chciał przynajmniej pomóc ojcu w zarządzaniu obozem dla uchodźców.

Teraz był pewien, że dokonał słusznego wyboru. Obrał właściwą drogę życia.

- Wiem tylko, że nie można ciemności zwalczać ciemnością - odezwał się po chwili. Takie stwierdzenie jednak niczego nie wyjaśniało. Postanowił spróbować jeszcze raz. - A zatem także rycerze Jedi nie powinni uciekać się do zła, żeby zwalczyć inne zło. Czasami wydaje mi się nawet, że im energiczniej przeciwstawiamy się złu, tym bardziej pozwalamy mu porastać w siły.

Han Solo otworzył usta, by zaprotestować; Jacen jednak nie dał mu dojść do słowa.

- Z nami to co innego - ciągnął. - Wykorzystywanie Mocy do agresywnych celów może zawieść nas na ciemną stronę. Kto wie jednak, kiedy zdecydowane działanie przeradza się w agresję? Granice zaczynają się zamazywać...

Uratował go pisk, jaki wydobył się z modułu komunikatora.

- Eskadra Łobuzów. - W sterowni rozległ się dźwięczny tenor. - Tu oficer łącznikowy pułkownika Darklightera. Czy to kapitan Solo? Właśnie usiłowaliśmy się z panem skontaktować.

Jacen poczuł, że wokół jego serca zaciska się lodowata obręcz.

- Tak, to ja - burknął jego ojciec. - Chciałbym dowiedzieć się, co słychać u Jainy.

- Ma pan świetne wyczucie - odparł oficer. - A przy okazji, mówi major Harthis. Jaina brała udział w kolejnej walce, ale jej X-skrzydłowiec został zniszczony. Musiała katapultować się w przestworza. Przechwycił ją inny pilot.

- Jest ranna?

- W nogi i w piersi. Nic takiego, z czym nie poradziłby sobie płyn bacta.

Han coś mruknął. Jacen odetchnął z ulgą.

- Jej próżniowy skafander nie uległ rozhermetyzowaniu - ciągnął Harthis. - Dziewczyna przebywała jednak w pobliżu jednego z naszych szturmowych krążowni-

ków, kiedy eksplodowały jednostki napędowe. Została poddana działaniu bardzo silnego pola magnetycznego.

Jacen poczuł, że jego krew zamienia się w lód.

- Odzyska zdrowie? - zapytał szeptem.

Jego ojciec powtórzył pytanie do mikrofonu komunikatora. Oficer chwilę się wahał, zanim odpowiedział.

- Chyba tak - odezwał się po chwili. - Powiadomimy pana, kiedy będziemy wiedzieli coś pewnego. Usiłujemy również skontaktować się z jej matką. Czy Leia panu towarzyszy?

- A nie ma jej na Coruscant?

- Nie, panie kapitanie - stwierdził Harthis. - Personel administracyjny SENKI chyba nie ma pojęcia, co się z nią stało.

- Nie ma pojęcia? - powtórzył sarkastycznym tonem Solo. - Przykro mi. Nie mogę im w tym pomóc.

Przycisnął guzik komunikatora i przerwał połączenie. Jacen musnął palcami krawędź konsoli.

- Mógłbym tu zostać - zaproponował nieśmiało. - Spróbuję ją odnaleźć.

Han skupił spojrzenie na jakimś punkcie w przestrzeni.

- Jasne - odparł po chwili. Ból w jego głosie przypominał synowi, że nie wszystko między rodzicami układało się, jak powinno. - Jasne. Zrób, co będziesz mógł.

Leia Organa Solo zerknęła w mroczny kąt, w którym jej młody osobisty strażnik Basbakhhan stał nieruchomo, ciemniejszy niż cień. Pomyślała, że nie brała udziału w przedsięwzięciu dotyczącym całej planety, odkąd... chyba to była wizyta na rodzinnej planecie Basbakhana, Honoghrze.

Otoczona sprzeczącymi się naukowcami, siedziała u szczytu długiego syndrewnianego stołu. Miała wielką ochotę ukryć twarz w dłoniach, zatkać uszy i zażądać, żeby wreszcie przestali zachowywać się jak dzieci.

Właśnie tak na niektóre istoty oddziaływała planeta Duro.

Warunki życia na powierzchni wołały o pomstę do nieba. Skoro jednak na Coruscant nadal kurczowo trzymał się władzy Borsk Fey'lya, Leia uznała pobyt na Duro za świetną okazję wzmocnienia Nowej Republiki i poprawy reputacji rycerzy Jedi. Kosztowało ją jednak tyle siły, że każdego wieczora kładła się spać zbyt wyczerpana, aby martwić się losami pozostałych członków rodziny. W ciągu ostatniego roku, zajęta problemami administracyjnymi albo dyplomatycznymi, latała od systemu do systemu. Była wszędzie, nawet tam, gdzie Komitet Doradców Nowej Republiki udawał, że jej nie wysyłał.

Zaczynała się czuć niepotrzebna, ale przedsięwzięcie na planecie Duro mogło okazać się najważniejszym zadaniem jej życia. Przeobrażenie planety w tak ciężkich czasach oznaczałoby prawdziwe zwycięstwo.

Siedzący obok niej specjalista od zmian klimatycznych zacisnął dłoń w pięść na blacie stołu.

- Proszę posłuchać - burknął, piorunując spojrzeniem siedzącego naprzeciwko Leii rosnącego i porośniętego długą sierścią Talza. - Istniało wiele powodów, dla których

wznieśliśmy te kopuły właśnie na terenie stepowym, o niskiej średniej opadów. Nie możemy zapominać, że najgorsze toksyny przedostają się do gleby dzięki padającym deszczom. Jakakolwiek osada założona na terenie podmokłym -jak nasza sąsiadka, Trzydziestka Dwójka - będzie nieodpowiednim miejscem do zasiania spirotrawy, ale świetnie nada się do pozyskiwania wody. Jeżeli zaś podejmiemy próbę zmiany kierunku wiatrów, środowisku może grozić katastrofa.

- Kogo obchodziłaby taka katastrofa? - zapytał Talz. Miał zamknięte wielkie dolne oczy i tylko od czasu do czasu mrugał mniejszymi górnyimi. - Pastwiska wymagają większych ilości wody niż komukolwiek mogłoby się wydawać. Z całym szacunkiem...

- Pochylił głowę w stronę Leii. - Nie tylko tu, ale także na innych terenach nie możemy polegać wyłącznie na zasobach wody wydobywanej ze starych kopalnianych szybów. Taka woda zawiera różne trucizny, a jej pompowanie jest niezwykle kosztowne.

- Skoro już o tym mowa... - odezwała się Ho'Dinka, specjalistka od hodowli roślin. Położyła na blacie stołu zielonkawę przedramiona, a jej długie nogi tylko z trudem mieściły się pod stołem. - Proszę o przydzielenie mi Sektora Czwartego osuszonych bagien. Pracuję nad kilkoma bardzo obiecującymi rodzajami sadzonek...

- Przepraszam, że przeszkadzam szanownej koleżance - wtrącił się specjalista od produktów mącznych. - Przypominam, że przeznaczaliśmy Sektor Czwarty pod uprawę zbóż.

- A dlaczego w naszych zebraniach nie bierze udziału doktor Cree'Ar?

Meteorolog Sidris Kolb chyba umiał czytać w myślach Leii. Rzeczywiście, Dassid Cree'Ar nie wziął udziału w żadnym cotygodniowym zebraniu grupy naukowców.

Nie mogą go za to winić, pomyślała Leia, ponuro się uśmiechając. Przyglądała się, jak Ho'Dinka przekazuje jej osobisty komputerowy notatnik doradczynie, Abbeli Oldsong. Podczas każdego zebrania wszyscy naukowcy przepisywali wyniki swoich ostatnich badań do administracyjnej bazy danych Leii. Doktor Cree'Ar, specjalista od genetyki roślin, przysyłał jej swoje wyniki, także posługując się komputerowym notatnikiem.

Leia знаła wiele ekscentrycznych osób, których zdolności znajdowały odbicie nie tylko w wynikach badań, ale również w dziwacznych nawykach. Jedną z takich indywidualności był Zakarisz Ghent, komputerowy geniusz, mianowany później ekspertem służb wywiadowczych Nowej Republiki. Leia bardzo pragnęła stworzyć raj dla uchodźców, którzy stracili wszystko oprócz życia... a i je mogli stracić w najbliższej przyszłości. Może właśnie dlatego zgodziła się odgrywać rolę pośrednika między wiecznie skłóconymi miejscowymi naukowcami a urzędnikami SENKI z Coruscant. Naukowcy czuli się najlepiej, kiedy mogli spędzać czas w swoich laboratoriach, sami albo w otoczeniu grupki posłusznych techników.

Leia postanowiła i tym razem nie umieszczać swojego nazwiska na cotygodniowym raporcie. Miała powyżej uszu użerania się z biurokratami z Coruscant. Miała dość ich obłudnej wyrozumiałości i zwracania się do niej protekcyjnym tonem. Doszła do wniosku, że jeżeli będzie im bardzo zależało, to mogą łatwo ją odnaleźć.

Nie mogła winić techników doktora Cree'Ara za ich poświęcenie i oddanie. Specjalista od genetyki roślin, współpracując z wybitnym mikrobiologiem, doktorem Wil-

liwaltem, dokonał niedawno ważnego odkrycia. Był nim zawierający bakterie szlam, który fermentował na powierzchni gromadzonej w zbiornikach bagiennej wody i usuwał z niej trujące zanieczyszczenia i osady. Bakterie żywiły się toksycznymi odpadami z dawno zamkniętych imperialnych fabryk i przetwórn. Pozostawiały żyzny organiczny muł, a w dodatku wydzyślały gazy, które można było gromadzić i wykorzystywać jako paliwo.

Pracując pod nadzorem Cree'Ara, uchodźcy wlewali produkowany na miejscu durbeton do specjalnych form, także dostarczonych przez SENKĘ. Dzielili sektory trujących bagien pod przykrywającą kolonię Gateway kopułą. Dzięki temu stworzyli sześć miniaturowych ekosystemów, oczyścili sześć sektorów bagien o powierzchni ćwierci kilometra kwadratowego każdy, wyprodukowali wiele ton bloków z oczyszczonej gleby, które nadawały się do wznoszenia lepianek, a także otrzymali nadające się do uprawy zbóż tereny - pierwsze, odkąd Durosjanie opuścili powierzchnię swojego świata.

Nic dziwnego zatem, że Cree'Ar nie mógł poświęcać czasu na narady i zebrania. Zapewne miał dość urzędników - podobnie jak Leia. To właśnie jej staraniom wszyscy zawdzięczali, że SENKA nie żałowała pieniędzy z budżetu Komitetu Doradców Nowej Republiki. Przydzielone środki miały stanowić nagrodę za wyprawę Leii do gromady Hapes i wywołanie pomocy o charakterze wojskowym - a także za jej wkład w straszną katastrofę spowodowaną przez stację Centerpoint.

Nie. Nie mogła sobie pozwolić na takie myśli. To nie była jej wina. I nawet, prawdę mówiąc, nie Thrackana Sal-Solo. Nikt przecież nie zamierzał zdziesiątkować okrętów hapańskiej floty.

Wszystko sprowadzało się do łączności. Leię irytowało, że kolonie nie potrafią utrzymać kabla w przyzwoitym stanie. Jak mogła sprawować nadzór nad projektem rekultywacji i melioracji całej planety - symbolem odrodzenia ze zniszczeń i śmierci - skoro żadna osada nie przedstawiała jej naukowcom okresowych raportów z wynikami badań?

Specjalista od uprawy zbóż zwrócił się do starszawego mikrobiologa.

- Naprawdę potrzebujemy tylko jednego - powiedział. - Kultury bakterii, które żywiłyby się obecnymi w atmosferze wielocząsteczkowymi substancjami. Moglibyśmy wtedy wyjść spod kopuł i prowadzić prace bezpośrednio na powierzchni.

- To prawda - przyznała sucho Leia. - Jeżeli nie rozproszymy się po całej planecie, Yuuzhanie wystrzelają nas jak flinki na powierzchni stawu.

Specjalista od zbóż uniósł krzaczaste brwi.

Jakie to charakterystyczne dla naukowców, pomyślała Leia. Tak są zaabsorbowani własnymi badaniami, że zapominają, iż patrzy na nich cała galaktyka.

Abbela Oldsong wreszcie skończyła puszczać w obieg komputerowy notatnik Organy Solo. Poprawiła jasnyniebieski szal na ramionach i zwróciła notes właścicielce. Leia zapoznała się z zarejestrowanymi informacjami, a potem umieściła je w swojej bazie danych. Jak zwykle, zapisany przez Cree'Ara zbiór okazał się najdłuższy. Jak co tydzień, wszystkie informacje miały zostać przesłane specjalistom z SENKI. Leia prze-

kazała urządzenie swojej doradczynie i skinieniem głowy pozwoliła jej na opuszczenie sali obrad.

- Dziękuję wam, że mimo tylu obowiązków znaleźliście czas, żeby uczestniczyć w tym zebraniu - powiedziała, omiatając spojrzeniem twarze naukowców. - Pamiętajcie jednak - dodała uroczystym tonem - że wszystkie nieporozumienia i kłótnie, jakie mogą zaistnieć między wami, nie tylko utrudniają waszą pracę, ale prowadzą do marnotrawstwa środków, jakie jest skłonna przyznać SENKA. - Już w tej chwili Gateway i Trzydziesiątka Dwójka rywalizowały o przysyłane zaopatrzenie. Nierzadko jedna kolonia przywłaszczała to, co SENKA adresowała do drugiej. - Zobaczę, czy będę mogła pomóc w sprowadzeniu nieorganicznych nawozów - obiecała, zwracając się do specjalisty od pastwisk.

- Dziękuję pani. - Talz Aj Koenes otworzył jedno wielkie oko i spiorunował spojrzeniem meteorologa Kolba.

Leia wyszła z ośrodka badań naukowych, eleganckiego prefabrykowanego budynku, przetransportowanego na Duro w częściach przez załogi frachtowców SENKI. Dotarcie do jej biura w południowym sektorze kolonii wymagało pokonania całkiem sporej odległości. Leia nie miała nic przeciwko spacerowi, który pozwoliłby jej rozprostować kości. Co więcej, uznała, że powinna poświęcić trochę czasu na rozmyślanie. W pewnej odległości za nią kroczył Basbakhan -najszcześliwszy, ilekroć nie zwracała na niego uwagi. Twierdził, że tylko w taki sposób może skutecznie wywiązywać się ze złożonej przysięgi i zapewnić jej ochronę. Leia ruszyła szybko ulicą Główną, jak powszechnie ją nazywano.

Kolonie Gateway założono na ruinach Tayany - prastarej durosjańskiej osady górniczej. Pod powierzchnią gruntu, na którym wzniesiono chaty dla uchodźców, znajdowały się dwie warstwy skał: jedna stosunkowo miękka, a druga wyjątkowo gęsta i twarda. Leia miała nadzieję, że przekształcenie wykutych w twardej skale kopalń w schrony dla uchodźców okaże się możliwe - na wypadek przedziurawienia kopuły albo innych niebezpieczeństw. SENKA przysłała dwie przeżuwające skały gigantyczne maszyny. Obiecała także dostać górniczy laser - podobno krzyk najnowszej techniki.

Gdyby powstała chwilę nieruchomo i absolutnie cicho, usłyszałyby odgłosy pracy wielkich przeżuwaczy, które drążyły skały głęboko pod jej stopami.

Przeżuwacze.

Przeżuwa.

Żuje.

Chewie...

Leia czuła ból w sercu, kiedy myślała o wiernym Wookiem. Zmarszczyła brwi i ruszyła dalej. Nie mogła sobie pozwalać na wzruszenie, ilekroć coś przypominało jego imię. Oczywiście tylko spadający księżyc mógł zabić kogoś takiego jak rosty Wookie. Planeta Duro nie miała księżyca. Miała za to dwadzieścia orbitalnych miast.

Po lewej stronie ujrzała pozbawioną jednej ściany szopę. Mieściły się w niej maszyny budowlane, wykorzystywane do prac na zewnątrz kopuły i budowy nowych domów.

Nowe domy! Uprzedzono ją, żeby spodziewała się napływu nowych uciekinierów, przeważnie Rodian i Falleenów.

Miała nadzieję, że nowi uchodźcy nie zamieszkają w jej kolonii. Taka mieszanina istot różnych ras mogłaby w każdej chwili eksplodować. Osady dla uchodźców wyrosły jak bedjnie wzdłuż całego równika. Bezpieczne pod ochroną orbitalnych miast i strzeżone przez planetarne siłowe pola, gnieździły się tam jak niemowleta Vorsów.

Teren za szopą ze sprzętem budowlanym został w ciągu poprzedniego miesiąca zagospodarowany. Wyrosło tam kilka budowli wzniesionych z durbetonu - materiału, który po długich eksperymentach wynaleźli jej inżynierowie. Jego głównym składnikiem był miejscowy cement. Zmieszano go z wysuszoną bagienną trawą, nasyconą uprzednio antytoksycznymi specyfikami. Jeszcze dalej mieścił się kompleks hydroponicznych upraw. Napływała stamtąd niezbyt subtelna woń organicznego nawozu.

Leia weszła do budynku administracyjnego przez drzwi w północnej ścianie i zaczęła wspinać się na pierwsze piętro po kręconych schodach. Biegły po ścianie cylindrycznego szybu, zaprojektowanego tak, aby z góry wpadało trochę światła. Na półpiętrze krzątał się, cicho bucząc, android sprząający typu U2C1. Kierując raz w jedną, raz w drugą stronę podobne do elastycznych węży grube ręce, wciągał śmiecie - przeważnie oderwane od ścian i sufitu kamyki czy okruchy miejscowego durbetonu. Piętrowy, podpiwniczony budynek wzniesli na miejscu robotnicy SENKI, którzy później odlecieli z Duro na pokładach wielkich transportowców.

Czyżby od tamtych chwil upłynęło zaledwie dziewięć tygodni? Leia otworzyła drzwi swojego bardzo skromnie umeblowanego pokoju, spełniającego rolę zarazem gabinetu i mieszkania. Okno w północnej ścianie wychodziło na ośrodek badań naukowych i należące do rodzin uchodźców pstrokate działki i ogródki. Obok okna stało dostarczone przez SENKĘ masywne biurko. Na bocznej ścianie wisiała para ozdobnych kinkietów. Jedna z uciekinierek odziedziczyła je po jakimś przodku, ale zdecydowała się podarować Leii. „Nie chcę spalić namiotu” - argumentowała. Leia zgodziła się przyjmując świeczniki, dopóki rodzina kobiety nie zamieszka na stałe w jednym z nowych apartamentów, które właśnie budowano. Projektowane budynki miały nosić nazwę kompleksu Baila Organy.

Z lewej strony, pod ścianą, stała leżanka, a obok niej automat do przyrządzania posiłków. Do łazienki i ubikacji wchodziło się z korytarza.

W pokoju unosił się dziwny zapach. Obok automatu do przygotowywania potraw stał C-3PO.

Na skrzyp drzwi odwrócił głowę.

- Dobry wieczór, pani Leio - powiedział, lekko zakłopotany. - Przykro mi, ale godzinę temu ten posiłek był o wiele smaczniejszy...

- To nie twoja wina, Threepio - uspokoiła go Leia. Z widocznym wysiłkiem usiadła na krześle przy stole. - Podaj go teraz, póki jeszcze nadaje się do jedzenia.

Nie bardzo wiedziała, co je - zapewne soyprowe kotlety z dodatkiem miejscowych jarzyn, gotowanych tak długo, że wyglądały jak gąbczasta papka - ale posiłek musiał być kiedyś naprawdę smaczny. Aby pocieszyć zrozpaczonego androida, pozwoliła so-

bie na kilka aprobujących pomruków. Nie winiła jego kulinarnego oprogramowania. Zebranie z naukowcami przeciągnęło się ponad wszelką miarę.

Uspokojony C-3PO stanął na zwykłym miejscu, obok tablicy z wyznaczonymi zadaniami. Zazwyczaj to on rozdzielał przysyłany sprzęt i sprawdzał, jak pracownicy wypełniają swoje obowiązki. Nierzadko spędzał przed tablicą całe noce.

- Proszę pani, ciekaw jestem... - odezwał się w pewnej chwili.

Leia przełknęła kawałek przypominającego porowatą gumę kotleta i spojrzała na androida.

- Słucham, Threepio - odparła zachęcającym tonem.

- Nie wiem, czy pozwoli mi pani zadać osobiste pytanie... - zaczął i znów urwał protokolarny android.

Leia pomyślała, że chyba wie, o co Threepio chce ją zapytać.

- Czy możliwe - podjął po chwili ciszy C-3PO - że kapitan Solo... w ogóle nie weźmie udziału w naszym przedsięwzięciu? Prawdę mówiąc, sądziłem... przypuszczałem, że do tego czasu przyleci do nas albo przynajmniej spróbuje się z nami skontaktować.

Następny kęs kotleta uwiązał Leii w przetyku.

- Kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, nawet nie wiedział dokładnie, dokąd się wybiera - rzekła po chwili.

Uniosła głowę i spojrzała na lśniący złocisty korpus androida. Wydawało jej się, że na lewym ramieniu widnieje plamka rdzy. Kilkakrotnie wysyłała go poza kopułę - wdzięczna, że ma pomocnika, który nie musi oddychać. Cuchnące powietrze planety Duro nie szkodziło większości tubylców, ale przez ostatnich kilkadziesiąt lat skład atmosfery uległ wyraźnemu pogorszeniu. Teraz praca na zewnątrz kopuły bez tlenowej maski była prawie niemożliwa. Wychodząc, większość istot niemal automatycznie sięgała po aparaty umożliwiające oddychanie.

- Dlaczego o to pytasz? - zdziwiła się Leia. - Przecież od kilku lat Han nie odnosił się do ciebie ze zbyt wielkim szacunkiem.

C-3PO zwiesił złociste ręce wzdłuż ciała.

- Niedawno wydarzyło się coś, co spowodowało, że jestem z niego naprawdę dumny - oznajmił poważnie. - Ze zdumieniem dowiedziałem się, że moi koledzy na planecie Ruan powitali go jak bohatera.

- Co ty mówisz, Threepio? - zdumiała się Leia, pochylając się w stronę androida. - Han bohaterem automatów? Kiedy o tym się dowiedziałeś?

- Gdy powróciliśmy na Coruscant. - C-3PO wykonał zamaszty gest prawą ręką. - Może pani nie słyszała albo była czymś zajęta, ale podawali tę informację w HoloNecie. Wydarzyło się to na Ruanie. Kilka tysięcy tamtejszych androidów chciało zaprotestować przeciwko zamiarom przedstawicieli Salliche Ag, którzy zamierzali je wyłączyć. Zorganizowały więc pokojową demonstrację...

- Pamiętam to - przerwała Leia. - Jak przez mgłę.

Chodziło chyba o zamknięcie wyłączonych androidów w jakimś magazynie i przekazanie ich w ręce dobrej woli Yuuzhanom, aby ci mogli złożyć je w ofierze swoim bogom. Wynikało stąd, że Ruanie nie zamierzali walczyć z najeźdźcami.

- Kiedy zacząłem badać sprawę - ciągnął przejęty Threepio - dowiedziałem się czegoś więcej. Moi koledzy z Ruana mówili o kimś, kogo nazywali „dawno oczekiwanym zbawcą” albo Jedyną istotą z krwi i kości”, która może ich uratować. Okazało się, że to właśnie rzeczywiście kapitan Solo ocalał tamte androidy od nieuchronnej zagłady. Ostatnio byliśmy tak zajęci, że zapomniałem o tym powiedzieć...

- Wielkie nieba! - mruknęła Leia. - Co on sobie wtedy myślał?

Z przyjemnością wysłuchałaby wszystkich szczegółów niezwyklej historii.

A jeżeli już o tym mowa, z przyjemnością porozmawiałaby z Hanem w cztery oczy. Przytuliłaby się do niego, otarła policzkiem o jego policzek... Nie widziała go przecież od tak dawna.

A może przedłużający się brak wiadomości oznaczał, że w końcu pochycili go Yuuzhanie? Miał jednak do pomocy Dromę, poza tym dość wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie życzy sobie, by mu pomagała.

Leia pamiętała, że ich ostatnia rozmowa była pełna raniącego szyderstwa. Pomyślała, że jeżeli zginął, będzie tego żałowała do końca życia. Oparła się jednak pokusie. Postanowiła, że nie uwolni myśli. Nie posłuży się Mocą, aby się przekonać, czy nie przydarzyło mu się nic złego.

W tej chwili zresztą Han mógł przebywać po drugiej stronie Środkowych Rubieży. Gdyby uwolniła myśli i nic nie wyczuła, martwiłaby się o niego chyba jeszcze bardziej. Mogłaby obawiać się najgorszego. Nie mówiąc ani słowa więcej, skończyła jeść, a potem wręczyła talerze Threepiowi do pozmywania.

- Bez względu na to, co się stanie, zajmę się tobą - obiecała. - Jesteś mi potrzebny.

Spojrzała na leżący obok jej łokcia komputerowy notatnik i zmarszczyła brwi. Przed udaniem się na spoczynek powinna sprawdzić, jak radzi sobie obsługa drugiego przezuwacza skał. Poza tym, musiała się upewnić, czy Abbela wysłała cotygodniowy raport personelowi stacji przekaźnikowej w największym orbitalnym mieście planety Duro, Bburru, skąd miano przekazać go na Coruscant. Trzeba także ponowić prośbę o dostarczanie dokładniejszych i bardziej wiarygodnych danych z satelitów. Należało również się zastanowić, co zrobić w sprawie nieczynnej piekarni kolonii Gateway. Spodziewając się pierwszych zbiorów zbóż, jej pracownicy poprosili o dostarczenie transportu soli i cukrozy. Aby okazać dobrą wolę, przedstawiciele planety Ruan przysłali w tym roku transport zbywających nasion burmillety, ale później kategorycznie odmówili wyrażenia zgody na przyjęcie chociaż jednego transportu z uchodźcami.

Jakby tego nie dosyć, urzędnicy z SENKI wciąż jeszcze nie dostarczyli obiecane go górniczego lasera.

Nic dziwnego, że Leia nie miała czasu wyprawić się na poszukiwania Hana. Oddałaby wszystko, byle tylko znów go zobaczyć - takiego, jakiego pamiętała, zanim tragedia rozdarła duszę. Kochała dawnego zawadiakę, który potem spoważniał, jakby dorósł. Nie stracił jednak dołków w policzkach ani figlarnych błysków w oczach - dopóki nie zginął Chewie. Nagle znów stał się dawnym Hanem, który nie mógł znaleźć sobie miejsca w życiu i obracał się w towarzystwie podejrzanych typów. Zawadiakę mogła tolerować, a nawet lubić. No dobrze, musiała to przyznać: zawadiakę uwielbiała. W trakcie ich małżeństwa Han stopniowo przestawał udawać, że jest cynicznym łajdakiem

i bezdusznym łotrem, i odkrywał przed nią prawdziwe oblicze. Kilka razy pozwolił jej nawet odgadnąć, że w głębi duszy pozostał idealistą i marzycielem. W zamian za to oczekiwał od niej odrobiny ciepła.

W ciągu okresu, który spędzili razem, Leia nauczyła się mu je dawać. Pokochała oba oblicza męża - błędnego rycerza i łajdaka. Tym razem jednak musiała zaczekać, aż zdecyduje się sam do niej powrócić. Nie mogła niańczyć dorosłego mężczyzny.

Cieszyła się, że przynajmniej poświęca czas na poszukiwania ziomków Ryna Dromy. Pozwalało to żywić nadzieję, że zaczyna przychodzić do siebie po przeżytym wstrząsie.

Cztery godziny później rozplotła długie włosy i niemal bez czucia runęła na prycę. Co właściwie tutaj robię? - pomyślała. Bez przerwy zapracowana, mieszkała tylko z protokolarnym androidem, ponieważ Basbakhan i Olmahk sypiali na korytarzu, w pobliżu schodów. Codziennie odnosiła wrażenie, jakby zapominała o czymś bardzo ważnym. Jakie to szczęście, że była zbyt zmęczona, aby się martwić... bardzo zmęczona... aby się zbyt martwić... o niego... albo o dzieci...

Zanim zapadła w głęboki sen, zdążyła jeszcze pomyśleć: „Naprawdę powinnam poszukać ich obecności w Mocy. Ile to dni nie miałam od nich żadnej wiadomości?”

ROZDZIAŁ

3

Okręt wojenny „Sunulok”, od dziesięcioleci przemierzający międzygwiazdne przestworza, okazywał mnóstwo drobnych oznak starzenia.

Na wysokości głów pasażerów wyrastały tu i tam kolonie opalizujących mchów i bakterii. Wiele ledwo świeciło, inne słabo migotały albo w ogóle zgasły. Jaskrawe pomarańczowoczerwone występy wyhodowanych z koralu phong komunikacyjnych węzłów, w których kiedyś spoczywały nie poświęcone małe villipy, przybrały teraz ponurą, szaropopielatą barwę.

Spiesząc jednym z wyłożonych koralowymi płytkami głównych korytarzy, Tsavong Lah starał się nie zwracać uwagi na te oznaki. Z jego ramion zwieszała się organiczna peleryna - wczepiona w ciało za pomocą setek ostrych jak igły cienkich szponów. Piersi i plecy Yuuzhanina chronił pancerz rudobrazowych łusek. Larwę każdej takiej łuski wszczepiono mu w trakcie ceremonii, podczas której chór kapłanów, wyśpiewując atonalne pieśni, powtarzał w jego imieniu przysięgę na wierność bogowi wojny Yun-Yammce. Przez następnych sześć miesięcy łuski powoli rosły. Napinały jego ścięgna, wykręcały stawy pod dziwacznymi kątami i sprawiały nieprawdopodobny ból. Dopiero po upływie tego czasu kapłani oznajmili, że pełna cierpień i wyrzeczeń przemiana Tsavonga Laha w wojennego mistrza dobiegła końca.

Yuuzhanin nie bał się bólu. Ilekroć go odczuwał, witał z radością. Cierpieniem oddawał cześć bogom, którzy stworzyli wszechświat, składając części własnych ciał w ofierze.

W pewnej chwili ujrzał organiczne drzwi, a przed nimi dwóch strażników. Ich niedojrzałe jeszcze szpony były bardzo ostre, a wymyślne tatuaże dalekie od ukończenia. Obaj strzegli wejścia do ośrodka komunikacyjnego. Na widok zbliżającego się przełożonego wyprężyli się jak struny, skrzyżowali ręce na piersiach i uderzyli się pięściami w przeciwległe barki. Oddając wojskowe honory, Tsavong Lah uniósł prawą rękę, po czym dał znak drzwiom, że mogą się otworzyć. Organiczna przepona zgrubiała na krawędziach, a po chwili pękła pośrodku.

Przy komunikacyjnym stanowisku siedziała Seef, wyjątkowo powabna młoda Yuuzhanka. Na białych policzkach miała wypalone zaszczytne czarne linie. Na widok wchodzącego Yuuzhanina zerwała się na równe nogi i zasalutowała. W tym czasie

organiczne krzesło, uwolnione od ciężaru jej ciała, wypuściło nibynóżki i podreptało w najciemniejszy kąt pomieszczenia.

- Witaj, mistrzu wojenny - odezwała się z szacunkiem młoda Yuuzhanka. - Obudziłam największego villipa w twojej osobistej komnacie i rozkazałam egzekutorowi, żeby się zameldował.

Jeszcze raz zasalutowała i odeszła pod przeciwległą przegrodę. Korallowe ściany tego pomieszczenia „Sunuloka” zawierały matryce z wieloma wgłębieniami, w których spoczywały nieruchomości dziesiątki niewielkich villipów.

Tsavong Lah przeszedł obok nich i skierował się do największego. Zaczekał, aż zamknie się zwieracz zagłębienia, zmarszczył brwi i spojrział na coś, co wyglądało jak skórzana piłka. Małe villipy pączkowały niczym kolonie drożdży; później karmiono je w pokładowych wylęgarniach. Można było je także hodować w podobnych do jagód woreczkach, które pasożytowały na liściach bagiennych roślin. Podobne do mięczaków stworzenia zapewniały natychmiastową łączność na bardzo duże odległości.

Villip ukazał twarz okrytego niesławą Noma Anora. Zakrzywiony nos był złamany w kilku miejscach, co mogło świadczyć o wielkim oddaniu - albo zbyt wybujałej próżności. Na miejscu lewego oka egzekutor umieścił plaeryin boi, plujący śmiercionośnym jadem.

Niewiele kontaktujących się z Nomem Anorem osób podejrzewało, kim jest w rzeczywistości. Nie miały o tym pojęcia nawet służące mu kolejno i oszukiwane istoty ludzkie. Do głównych zadań egzekutora należało wyszukiwanie i eliminowanie najmniejbezpiecznych wrogów jego pobratymców. Za ironię losu należy zatem uznać to, co wydarzyło się na planecie Rhommamool. Kiedy Nom Anor skończył tam wykonywać kolejne zadanie, kilku obywateli Nowej Republiki zaczęło widzieć w nim upadłego bohatera. Sądziło, że oddał życie podczas wojny, którą w rzeczywistości sam rozpętał.

Cieszył się szczególną przychylnością boginki zwodzicielki, Yun-Harli.

- Witam cię, mistrzu wojenny.

Villip całkiem dobrze naśladował głos Noma Anora. Charakterystyczne niskie dźwięki sugerowały szacunek i uległość.

- Ilu jeszcze dodali do twojego stada? - zapytał Tsavong.

- Odkąd ostatnio rozmawialiśmy, sześć tysięcy czterystu - oznajmił egzekutor. - Wielu przyleciało z Fondora. Niewierni wnoszą dla nich jeszcze jedną kopułę.

- Odrażające, ale tymczasowe - stwierdził Tsavong. - Uważaj, żebyś nie zdradził się ze swoimi planami.

Nadcięte w wielu miejscach - na znak poświęcenia Yun-Yammce -wargi wojennego mistrza rozciągnęły się w ponurym uśmiechu. Przed niespełna klektem - dwoma miesiącami według stosowanego przez niewiernych kalendarza - Fondor stawiał opór Nas Choce, jednemu z jego najwyższych stopniem dowódców. Niszcząc obrzydliwie zmechanizowane gwiazdne stocznie, Nas Choka zdołał pochwytać zaledwie kilkuset jeńców.

Później w przestworzach pojawił się potok gwiazdnego ognia, który pochłonął połowę jego floty - a także trzy czwarte stanu liczebnego floty nieprzyjaciół. Taktycy Tsavonga wciąż jeszcze starali się dociec, czy niewierni świadomie poświęcili swoje

jednostki. Czyżby zaczęli się uczyć? Czyżby odkryli, że kluczem do odnoszenia zwycięstw jest poświęcenie?

Jeżeli wierzyć doniesieniom szpiegów, potok ognia zrodził się w systemie, który niewierni nazywali Korelią. Jego źródłem była monstrualna konstrukcja mechaniczna zwana przez nich stacją Centerpoint. Stratedzy Tsavonga Laha oznajmili, że dopóki nie wyjaśnią natury potwornej potęgi tej broni, mistrz wojenny musi wybrać inny świat jako odskocznię do ataku na Jądro galaktyki. Powinna nim być planeta, którą oddzielałoby od stacji Centerpoint co najmniej kilka potężnych grawitacyjnych anomalii.

Szczególnym zbiegiem okoliczności cieszący się złą sławą egzekutor został zesłany właśnie na taką planetę.

- Miej oko na tych, którzy mogą okazać się godni - przypomniał Tsavong. - Gdybyśmy wcześniej złożyli ich w ofierze, może już w tej chwili poddawalibyśmy oczyszczaniu światy środka galaktyki.

Nom Anor pochylił głowę.

- Będę też uważał na rycerzy Jedi - obiecał, tym razem prawidłowo wymawiając trudne słowo. Dowodziło to, że nie na próżno spędził wiele lat pośród mieszkańców tej galaktyki. - Są trudni do pochwylenia, ale niektórzy także mogą okazać się godni.

Tsavong Lah kiwnął głową i dotknął skraju villipa, przedstawiającego oblicze Noma Anora. Stworzenie drgnęło i zatraciło rysy twarzy egzekutora. Wsysając się do środka przez otwór gębowy, zaczęło wywracać się na drugą stronę.

Mistrz wojenny był pewien, że przebywający na odległej planecie Nom Anor okrywa się w tej chwili nowym maskującym stworzeniem -nie ooglittem, ale niedawno wyhodowanym gnullithem. Miał pod nim wyglądać jak osobnik nie będący człowiekiem. Słyszał też, że egzekutor pertraktuje z istotą ludzką, przebywającą w samej stolicy nieprzyjacielskiej galaktyki. Istota obiecała, że będzie mu przysyłała transporty nowych jeńców.

Mistrz wojenny uśmiechnął się do swoich myśli. Wiedział, że kiedy na tamtej planecie pojawią się wojownicy rasy Yuuzhan Vong, czeka go miłe zadanie oddzielania godnych od niegodnych. Jeżeli zaś złoży w masowej ofierze tylu godnych równocześnie, może zdoła przekonać potężnego Yun-Yammkę, aby pozwolił mu zdobyć galaktyczne Jądro. Podobno właśnie tam mieściły się obiecane przez najwyższego lorda urodzajne ogrody, uprawiane przez rasy płodnych niewolników.

Sześć tysięcy dodatkowych niewiernych powinno nadać jego ofierze jeszcze większą wagę. Powinno pomóc mu w zdobyciu świata, który naprawdę pragnął złożyć w ofierze swoim bogom.

Coruscant.

ROZDZIAŁ

4

Kiedy Imperator sprowadził ją na Coruscant, Mara Jade - jeszcze wtedy nie nazywała się Skywalker - była niewinną, łatwowierną dziewczynką. Przeżyła, chociaż Palpatine niejednokrotnie szkolił ją bez przerwy nawet do bólu. Teraz zaś znów uwaga wszystkich kierowała się na stolicę Nowej Republiki - tym razem jako cel ostatecznego ataku istot rasy Yuuzhan Vong.

Tymczasem jej mąż kształcił następną osobę. Na pewno zakładał, że w przyszłości zapanuje pokój i ład, które trzeba będzie bronić. Ubrany w jasnobrązową tunikę i płaszcz Jedi uczeń siedział teraz obok Luke'a. Ciemnowłosej Anakin Solo był wyjątkowo małowymny, miał koreliańskie nazwisko i - podobnie jak ojciec - lekko uniesioną jedną brew. Wyglądał przez to, jakby się wszystkiemu dziwił. Za to w jego błyszczących oczach płonęła chęć zbawienia galaktyki - jeżeli będzie konieczne, własnoręcznie. Ta cecha stanowiła wyłączną zasługę Skywalkera.

Mistrz Jedi, który nieco wcześniej powrócił z Yavina Cztery, wprowadził nowy zwyczaj. Co kilka dni zbierał małe grupy Jedi w jakimś odosobnionym, ale publicznym miejscu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy na rycerzy Jedi zwracały się zaniepokojone, badawcze spojrzenia chyba wszystkich mieszkańców galaktyki. Pomimo poświęcenia Corrana Horna planeta Ithor podzieliła los pozostałych podbitych światów. Dowodzone przez młodych Jedi eskadry odszczepieńczych pilotów, arogancko lekceważąc zasady wojskowej strategii, wyskakiwały z nadprzestrzeni w okolicach każdego z trzech głównych frontów inwazji. Niemal tak samo bezużyteczna, a nawet szkodliwa, okazała się wiadomość, jaką rycerzom Jedi pomógł zdobyć niedawny pracodawca Mary, Talon Karrde. Wynikało z niej, że Yuuzhanie szykują się do ataku na Korelię. Informacja okazała się fałszywa.

Chyba wszyscy uświadamiali sobie, że jeżeli rycerze Jedi nie nauczą się współpracować, zostaną unicestwieni jeden po drugim - albo ulegną podszeptom ciemnej strony.

Tego ranka siedmioro Jedi ustawiło krąg z krzesel i uczestniczyło w zebraniu, zorganizowanym w samym sercu dzielnic administracyjnej Coruscant, zaledwie kilka metrów od balkonu, wychodzącego na ruchliwe półpiętro. Z bliskiej odległości napływał cichy szmer pieniącej się w fontannie wody. Wyglądało to i brzmiało jak w czasach największej świetności Imperium...

Mara była wtedy Ręką Imperatora. Bardzo żałowała tego, co wtedy robiła. Nie chciałaby, aby tamte czasy się powtórzyły. Pogodziła się w końcu ze sobą, osiągnęła wewnętrzny spokój. Poświęciła nawet jedyną rzecz, która miała dla niej znaczenie - gwiazdny statek, zwany „Ognistą Jade”. W zamian za to otrzymała... no cóż...

Dosyć tego.

Przeniosła spojrzenie na Luke'a i Anakina. Ilekroć widziała obu razem, dostrzegała zewnętrzny kształt tej samej wewnętrznej siły. Obaj byli niewysocy, ale ciało Anakina nie zdążyło jeszcze nabrać dojrzałości. Mieli podobne dołki w brodach i - co najważniejsze - z oczu obydwóch wyzierała taka sama bezkompromisowa uczciwość.

Rycerz Jedi, pułkownik Kenth Hamner - uderzająco wysoki mężczyzna o arystokratycznych rysach pociągłej twarzy - służył w siłach zbrojnych Nowej Republiki jako strateg. W pewnej chwili pokręcił głową i powiedział:

- Stocznie Fondora są zniszczone, a nadprzestrzenne szlaki zaminowane. Wycofujemy się ze Środkowych Rubieży, a nawet z Kolonii. Poważne niebezpieczeństwo zagraża Rodii. Dzięki niech będą Mocy za to, że Anakinowi udało się uruchomić urządzenie stacji Centerpoint...

Anakin pochylił się i splótł palce dłoni.

- Nie wiemy jeszcze, czy nie stracimy Korelii - wpadł w słowo oficerowi Nowej Republiki. - Wiele wskazuje na to, że Thrackan przepędzi z niej wszystkich Selonian i Dralów, a później ogłosi Korelię wyłączną domeną ludzi. Jeżeli mu na to pozwolimy, uniemożliwi powrót wszystkim innym istotom.

Mara знаła Anakina na tyle dobrze, aby wiedzieć, co powtarzał w myśli, a czego nie dodał: „To dlatego, że nie posłużyłem się urządzeniami stacji Centerpoint, kiedy mogłem. A teraz Thrackan jest bohaterem - bez względu na to, ile niewinnych istot zabił przy okazji...” Usunął ze stanowiska generalnego gubernatora Dralkę Marchę i założył Partię Stacji Centerpoint. Teraz on i jego zwolennicy z tej partii byli najpoważniejszymi kandydatami do przejęcia władzy.

Kenth Hamner pokręcił głową.

- Nie wiń siebie, Anakinie - powiedział. - Rycerz Jedi powinien panować nad swoimi umiejętnościami. Musimy się wahać i zastanawiać nad konsekwencjami własnych poczynań. Nie mogłeś działać w pośpiechu i wystrzelić z gwiazdogromu stacji Centerpoint. Postąpiłeś słusznie. Jeżeli zdołamy go naprawić, może Centerpoint okaże się ostateczną linią obrony naszej galaktyki. Możliwe, że dysponując nią, zdołamy obronić gwiazdne stocznie planety Kuat i ocalimy Coruscant od zagłady.

- To prawda - przyznał Luke, zwracając się do Hamnera.

Wszyscy wiedzieli, że nowa wataha koralowych skoczków zaatakowała Trasę na Korelię w okolicach Rodii. Siostra Anakina i uczennica Mary, Jaina Solo, walczyła tam teraz w towarzystwie innych pilotów Eskadry Łobuzów. Znajdowała się jednak tak daleko i była otoczona tyłoma wojownikami rasy Yuuzhan Vong, że wycucie jej obecności w polu Mocy okazało się niemożliwe. Wyglądało na to, że Yuuzhanie są niewrażliwi na działanie Mocy.

Nikt jednak nie wątpił, że zagrożona była planeta Bothawui, leżąca między przestworzami oblężonych Hurtów a zagrożoną Rodią. Z ostatnich wieści, jakie Mara sły-

szala o Kypie Durronie, wynikało, że poryw-czy Jedi przyczał się ze swoim Tuzinem w okolicach rodzinnego świata Bothan. Rwał się do walki i uważał, że właśnie tam ją stoczy.

Mara miała właściwie powyżej uszu Kypa Durrona. Zauważyła jednak, jakim szcunkiem darzył Kenth Hamner Anakina. To właśnie Anakin ocalił jej życie na Dantooine. To tam uciekała wiele dni przed ścigającymi ją Yuuzhanami, podczas gdy tajemnicza choroba stopniowo pozbawiała ją sił i wyniszczała jej organizm. Od czasu upadku Dubrilliona i odwrotu z Dantooine - a zwłaszcza od czasu ostatniej historii ze stacją Centerpoint -Mara zaobserwowała niezwykle zjawisko. Ilekroć nieznanymi spotykali zaledwie szesnastoletniego Anakina w głównym korytarzu pałacu na Coruscant, salutowali mu i schodzili z drogi. Sprzedawcy egzotycznych towarów wręczali mu darmowe próbki, a powabne Twi'lekianki, przechodząc obok niego, wdzięcznie przeżyły długie lekku.

Luke był ubrany tego dnia w płaszcz Jedi barwy piasku z Tatooine. Podobny płaszcz miała także kalamariańska uzdrowicielka Cilghal. Siedziała, opierając wielką głowę na przypominających płetwy rękach koloru łososiowego. Przyleciała w towarzystwie nowej uczennicy, cichej i zawstydzonej Chadra-Fanki o imieniu Tekli. Istota sprawiała wrażenie wiecznie zdziwionej i nie wykazywała dużego talentu do władania Mocą. Ilekroć obok balkonu przelatywał atmosferyczny statek, zwracała w tamtą stronę wachlarzowate uszy.

W ostatnim okresie uzdrowiciele mieli ręce pełne roboty. Cilghal przyznała, że jeszcze nigdy nie musiała leczyć tylu osób, cierpiących na choroby związane ze stresem i przemęczeniem. Czasami sama musiała walczyć z ogarniającym ją przygnębieniem. Przyglądając się, jak wojna zabija albo skazuje na wygnanie miliony istot, odnosiła wrażenie, że to śmiertelna choroba trawi organizm bezradnego przyjaciela...

W pewnej chwili Mara dostrzegła błysk niebieskich oczu męża. Spojrzała na niego i wyczuła zaniepokojenie. Ucięła posępną myśl w zarodku. Jej dolegliwość podlegała nieprzewidywalnym ciągłym mutacjom i niczym Proteusz wyniszczała jej organizm. Nie dało się z nią walczyć. Mara powinna była już dawno umrzeć.

Od trzech miesięcy jednak stopniowo powracała do zdrowia. Zawdzięczała to łzom obcej istoty, Vergere, która jakiś czas przebywała w więzieniu razem z yuuzhańską agentką-zwodzicielką. To właśnie te łzy przywróciły jej siły i zdrowie. Mara wahałaby się jednak stwierdzić z całą pewnością, że jest zdrowa. Pomyślała, że także jej mąż wahałby się nazwać to zebranie radą Jedi - ponieważ nią nie było. Na razie czuję się dobrze, pomyślała. I to jest najważniejsze.

Wytrzymała siłę jego spojrzenia. Podziwiała widoczne w twarzy męża oznaki dojrzałej męskości. Luke dawno już stracił wygląd nieśmiałego wieśniaka z hydroponicznej farmy. Wokół niebieskich oczu utworzyła się sieć zmarszczek, które pogłębiały się przy uśmiechu. Na czole, tuż nad nosem, też było kilka bruzd. Ukazywały się wyraźniej, kiedy Luke niepokoił się albo intensywnie myślał. Tu i ówdzie, zwłaszcza na skroniach, pojawiło się kilka siwych włosów. Mara doszła do wniosku, że przydają mu powagi.

Doskonale pamiętała przygodę w jaskiniach Nirauana, gdy śmiertelne zagrożenie zmusiło ich do walki ramię w ramię. Czerpali wówczas z zasobów Mocy, a każde spoglądało na świat oczyma duszy drugiej osoby. Mara i Luke przeżyli chwile, kiedy obojgu wydawało się, że walczą i myślą, a nawet oddychają jak jedna istota. Chociaż na pozór tak bardzo się różnili, ich umiejętności idealnie się uzupełniały. Mara Jade, dawna Ręka Imperatora, musiała przyznać, że los obszedł się z nią łaskawie. Nie musiała posługiwać się Mocą, by dostrzegać, że ich małżeństwo uszczęśliwiło Luke'a Skywalkerera.

Nic więc dziwnego, że mistrz Jedi tak bardzo martwił się perspektywą nawrotu jej choroby. Oboje mieli przecież jeszcze tyle niespełnionych marzeń.

Luke zarumienił się pod jej spojrzeniem.

Prowadź dalej to zebranie, Skywalkerze, pomyślała, rozbawiona jego zakłopotaniem. Przestań troszczyć się o mnie.

Łącząca ich więź Mocy nie wymagała porozumiewania się za pomocą słów. Tym razem Luke także zrozumiał, co chciała mu powiedzieć. Odwrócił się do Kentha Hamnera.

- Uplłynął prawie tydzień, odkąd nie mieliśmy wieści od Daye Azur-Jamina z planety Nal Hutta - zaczął. - Prosiłem jego syna, Tama, żeby odwiedził tamte strony, w miarę możliwości nie zwracając niczyjej uwagi, i przekonał się, czy Moc pozwoli mu dojrzeć coś poprzez cień obłąkniczej floty.

Podobnie jak pod Kalarbą, wydawało się, że zmasowana obecność nieprzyjaciół w okolicy planety Nal Hutta tłumiła oddziaływanie Mocy.

- Daye jest porządnym gościem - odezwała się cicho Cilghal. - Lowbacca i Tinian zdolali opuścić Przestworza Huttów, prawda?

Luke kiwnął głową.

- Niedawno zameldowali, że przebywają na Kashyyyku. Nie widzieli tam ani śladu nieprzyjaciół.

- Dobrze chociaż, że Yuuzhanie nie interesują się rodzinną planetą Wookiech - rzekła beztrzesko Ulah Korę.

Wrażliwa młoda Bithanka była obdarzona talentem muzycznym, dzięki czemu nie musiała martwić się o wstęp na różne imprezy i zabawy. Istota sprawiała jednak teraz wrażenie przepracowanej i znużonej. Siedziała tak przygarbiona, że Mara prawie nie widziała jej wielkich oczu pod nawisem sterczącego do przodu bezwłosego czoła.

Gdy pozostali Jedi usłyszeli jej uwagę, zareagowali nerwowymi chichotami. Chyba to najlepiej uświadomiło Marze, jak bardzo tęsknili za chociażby odrobiną wesołości.

- Żadnych wieści z Bilbringi? - zainteresował się Hamner. - Z Kalamara?

Luke pozwolił, żeby pułkownik skierował rozmowę na problemy pozostałych wojskowych twierdz Nowej Republiki.

- Na Bilbringi nie dzieje się nic niezwykłego - odparł po chwili. - Przebywają tam Tenel Ka i Jovan Drark. Oboje starają się spędzać jak najwięcej czasu w miejscach publicznych. Wypatrują martwych punktów w Mocy, które mogą oznaczać zamaskowanych Yuuzhan. Tak samo postępuje Markre Medjev na Bothawui. Kończy tam swoje

badania - dodał, posyłając żonie ponure spojrzenie. Borsk Fey'lya nadal pełnił obowiązki przywódcy Nowej Republiki, przez co resztki Piątej Floty powróciły do przestworzy Bothan i nie mogły być użyte do obrony Jądra galaktyki. - A na Kalamar nadal nie możemy przesłać ani zaopatrzenia, ani żadnej wiadomości.

Wszelka łączność z Kalamarem ustała kilka tygodni wcześniej. Pozostali rycerze Jedi umilkli i siedzieli bez słowa prawie całą minutę. Z pewnością zastanawiali się nad tym, co usłyszeli, i usiłowali ocenić sytuację. Luke przymknął oczy.

Mara spłotła długie palce. Miała nadzieję, że mąż nie stara się zobaczyć wizji przyszłości. Co innego, gdyby przyszłość sama z siebie uderzyła go po głowie i kazała się poznać. To byłoby w porządku. Ale domagać się, żeby się objawiła... Mara pokręciła głową.

Od strony korytarza znów napłynął cichy szmer spadającej wody. Kalamariańska fontanna miała nieregularne kształty. Umieszczona na szczycie niewielka kopuła wolno wirowała, rozbrzdgując we wszystkie strony płachty wody. Mara zachwycała się tym pluskiem. Luke jednak chyba wciąż jeszcze nie przestał się dziwić, że spadającej wody nie musi zmuszać do tego skraplacz wilgoci. Zwolywał zebrania rycerzy Jedi w nieregularnych odstępach czasu i w różnych miejscach, ale zazwyczaj w pobliżu fontann albo strumieni. Może zaczynał dostrzegać kształt własnego życia, a może po prostu przestawał być młodym mężczyzną i stawał się kimś silniejszym duchowo, dojrzalszym i mądrzejszym?

Mara zacisnęła usta, sfrustrowana, że przyłapała się na takich myślach. Była znów zdrowa. Nie miała nic przeciwko dojrzałości. Szanowała siłę.

Młodość miała jednak swoje przywileje i przyjemności. Miała także marzenia, które mogły się nie spełnić. Mara wzięła pojemnik z łzami Vergere, ponieważ instynkt przekonywał ją, że przyniosą ulgę. Instynkt jednak nic nie mówił na temat tego, czy kiedykolwiek będzie mogła począć zdrowe dziecko.

Siedząca po przeciwległej stronie kręgu mała Tekli nagle uniosła głowę i chrząknęła. Na jej wielkich, okrągłych uszach lekko drżały krótkie włoski delikatnej sierści.

Luke otworzył szerzej oczy. Mara uświadomiła sobie, że i ona uczyniła to samo. Młodziutka Chadra-Fanka nigdy dotąd w trakcie zebrania nie zdecydowała się zabrać głosu.

- Zastanawiałam się, czy o tym zameldować - szepnęła nieśmiało. Jej głos przypominał cichą muzykę.

Wargi Anakina wykrzywiły się w sardonycznym uśmiechu. Mara postanowiła zapamiętać, że musi porozmawiać z nim o traktowaniu istot obdarzonych niewielkimi umiejętnościami - o ile wcześniej nie zrobi tego mistrz Jedi.

- Mów dalej - zachęciła ją Cilghal, popierając słowa gestem pletwiastej ręki.

Tekli spojrzała na swoją nauczycielkę i widocznie nabrała większej odwagi.

- Dwa dni temu przebywałam w pobliżu Kopułowa - ciągnęła nieco pewniejszym tonem. - Szłam nową uliczką, zwaną aleją JoKo. Szukałam przyjaciółki - dodała pośpiesznie, jakby zawstydzona, że przemierzała tak obskurne rejony podziemi Coruscant.

- Tak? - Luke obrzucił młodą istotę poważnym spojrzeniem. Sprawowanie nadzoru nad akademią Jedi nauczyło go cierpliwości. „Nie przestają się uczyć i rozwijać tylko wtedy, kiedy ktoś nieustannie ich zachęca” - zwierzył się kiedyś żonie.

- Słyszałam w pewnej kafejce, jak jakiś...

- W jakiej? - przerwał jej Anakin.

Luke wyciągnął ku niemu rękę z rozcapierzonymi palcami.

- Zaczekaj z tym, Anakinie - powiedział. - Mów dalej, Tekli.

Istota uniosła wyżej głowę i pogładziła długie bokobrody.

- Prawdę mówiąc, to była Zieleń Liści - podjęła po chwili. - Dwaj Rodianie wymieniali uwagi na temat jednego z pracowników. Pierwszy stwierdził, że jeżeli kelner jest naprawdę istotą ludzką, to on gotów zjeść swój... Nie dowiedziałam się, co chciał zjeść, ale wszyscy słyszeliśmy o maskujących ooglithach, dzięki którym Yuuzhanie mogą wyglądać jak ludzie. Może jestem przewrażliwiona, mistrzu Skywalkerze, ale jeden z twoich... bardziej uzdolnionych Jedi mógłby to bez trudu sprawdzić.

- Czy chciałabyś mu towarzyszyć? - zapytał łagodnie Luke. Tekli pokręciła głową.

- Nie jestem wojowniczką, mistrzu - powiedziała.

Mara zauważyła kątem oka spojrzenie Anakina. Młodzieniec uniół brew, jakby chciał o coś zapytać. Kobieta zacisnęła usta.

Luke popatrzył najpierw na nią, a potem przeniósł spojrzenie na siostrzeńca.

- Dziękuję ci, Tekli - zaczął. - Mam dwoje uzdolnionych ochotników. Rycerze Jedi zawsze będą najsilniejsi - dodał uroczystym tonem - jeśli tylko wykorzystają wszystkie umiejętności. Bez względu na to, czym się zajmujecie, zawsze starajcie się robić to jak najlepiej.

Szeroki nos zachwyconej Tekli lekko zadrżał.

- Jesteś pewna, że podolasz? - zapytał Luke.

Mara szła chodnikiem obok niego. Przy jednym z wysokich budynków krzątał się android-ogrodnik. Stał obok pnia śpiewającego drzewa figowego i obcinał niesforne gałązki, które wyrosły od poprzedniego roku.

Podmuchy wiatru łopotały fałdami płaszcza Luke'a, przyciągającego uwagę chyba wszystkich przechodniów. Mara czuła się nieswojo. Tyle lat spędziła jako tajna agentka, że nie miała zwyczaju noszenia płaszcza Jedi. Obawiała się, że przełamie wewnętrzne opory i włoży ten płaszcz tylko wtedy, kiedy będzie naprawdę musiała.

- Oczywiście - odrzekła. - Nie czułam się tak wspaniale od... - zaczęła, ale urwała. - No cóż, od jakiegoś czasu - dodała po chwili.

- Mogę wyznaczyć do pomocy kogoś innego - zaproponował mistrz Jedi.

Mara się roześmiała.

- Nie mam nic przeciwko Anakinowi - powiedziała.

Oznajmiła, że pragnie spędzić kilka chwil sam na sam z mężem, więc siostrzeniec podązał za nimi w przyzwyczajonej odległości. Nie musiała posługiwać się Mocą, aby wyczuwać, że Anakin wyteżę wszystkie zmysły. Traktował obowiązki jej strażnika bardzo poważnie - jak zresztą wszystko, czego się podejmował.

- Po wydarzeniach na stacji Centerpoint czuje się okropnie - rzekła Mara. - Ma wyrzuty sumienia, a w dodatku obwinia siebie za śmierć Chewiego. Radzi sobie naprawdę dobrze, ale przeszłość ciąży mu niczym wielki kamień.

Rzecz jasna, Luke o tym wiedział. Dowiadywał się, co czują ludzie, równie łatwo, jak Mara rozpoznawała, co podpowiada jej instynkt.

- Czuje się jeszcze gorzej dlatego, że posłuchał Jacena – stwierdził Luke. - Niepokoi mnie przepaść, jaka powstała między nimi.

- A mnie bardziej martwi sam Jacen - sprzeciwiła się Mara.

Kiedy starszy brat Anakina odlatywał z Coruscant, także nie mógł pogodzić się z tym, co go dręczy. Upłynęły dwa miesiące, odkąd nikt nie miał od niego żadnych wieści.

Minęli skrzyżowanie. Z otworu wentylacyjnego -pozostawionego zapewne z myślą o wygodzie Talzów - napłynął podmuch lodowatego powietrza. Mara się wzdygnęła. Jej mąż już otwierał usta, żeby o coś zapytać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Zacisnął wargi i tylko uniósł brew, a potem spojrzał na żonę. Błagał ją spojrzeniem, żeby zrozumiała. Omal się nie poślizgnął, ale ponownie zadał w myśli to samo pytanie: „Jak się czujesz”? Naprawdę przekraczał dzienny limit, jaki była skłonna tolerować.

Nie przeciągaj struny, mężu, pomyślała Mara. Aby jednak złagodzić swoją uwagę, figlarnie zmrużyła oko.

Dostrzegła, że wargi Luke'a lekko drgnęły, jakby z trudem wstrzymywał uśmiech. Codziennie wymieniali w ten sposób uwagi... ileż to razy, setki? Tak często, że wzajemna wymiana myśli stała się jednym z rytuałów trwającego prawie siedem lat małżeństwa. Pomagała przeciwstawić rozgoryczeniu Mary niezachwiane oddanie Luke'a.

Obejrzała się za siebie. Anakin podążał za nimi w milczeniu, tylko od czasu do czasu szurając nogami. Miał wysokie do kolan brązowe buty i starał się jak mógł sprawić wrażenie odprężonego i beztroskiego. W pewnej chwili niemal równocześnie znieruchomiały na jego widok trzy młode kobiety i gibka Falleenka, zapewne pracująca w jakimś budynku rządowym. Dopóki ich nie minął, wszystkie przyglądały mu się jak urzeczone.

Ciemnowłosa i przystojny Anakin zwracał na siebie uwagę. Mieszkańcy Coruscant tęsknili za młodym, energicznym rycerzem Jedi, który zostałby ich bohaterem. Wyglądało na to, że na Anakina kierują się spojrzenia wszystkich - zarówno tych, co chcieli widzieć w rycerzach Jedi mścicieli pokroju Kypa Durrona, jak i pozostałych, którzy wyznawali bardziej tradycyjny pogląd, iż wszelkim poczynaniom rycerzy Jedi powinna towarzyszyć wyjątkowa wewnętrzna dyscyplina. Kyp próbował namówić Anakina, żeby przyłączył się do pilotów jego eskadry.

Mara zacisnęła wargi. Martwiła się o Anakina prawie tak samo jak o jego zniechęconego i przygnębionego brata. Wiedziała, że nad wiek uzdolniony młodszy Solo z pewnością będzie musiał stawić czoło pokusom ciemnej strony. W przeciwieństwie do Luke'a, nie był wychowywany na mężczyznę pracowitego. Mara знаła wspomnienia męża, popełnione przez niego błędy i najbardziej skrywane smutki. Wiedziała, jak blisko podąża za nim ciemna strona; jak kusi go, nęci, prześladuje...

Z pewnością tak samo będzie prześladowała Anakina - tym bardziej że na jego wychowanie wywarło wpływ tak wiele osób i czynników. Pierwszą osobą był ojciec - były przemysłowiec, nierzadko naginający reguły do własnych celów. Dużą rolę odegrała także kochająca, ale wiecznie zapracowana matka. Była jeszcze jej utalentowana doradczyni, no i czwarta -właściwie także osoba - protokolarz android. Do czynników należało zaliczyć akademię Jedi, gdzie Anakin kształcił się w cieniu starszego rodzeństwa. Jeżeli ten chłopiec zdoła oprzeć się pokusie przejścia na ciemną stronę, stanie się potężniejszy niż kiedykolwiek. Kto wie, może nawet zostanie najpotężniejszym rycerzem Jedi swojego pokolenia.

- A jeżeli chodzi o tego agenta Yuuzhan, o którym mogła dowiedzieć się Tekli - zaczęła, zwracając się do męża - chcę go mieć żywego. Wyciągniemy więcej z jednego żywego jeńca niż z dziesięciu trupów. - Kseno-biologowie Nowej Republiki dysponowali tylko zwłokami, z trudem zdobywanymi i przechowywanymi na różnych światach. - Dowiemy się, na przykład, jaki wpływ na ich przemianę materii mogą mieć strzałki trunk.

- Eskperymentowanie na więźniach jest nieetyczne - odparł Luke, nieznacznie mrużąc oko.

- A jak inaczej...

- Dobrze byłoby także wiedzieć, w jaki sposób można ich ogłuszyć - przerwał jej Luke w pół zdania.

- Racja.

Wszystko wskazywało na to, że żywy pancierz Yuuzhan odbija blasterowe błyskawice. Może jednak mógłby trafić do celu ogłuszający strzał, niosący tylko ułamek energii? Nawet gdyby obezwładnił tylko żywego kraba vonduuna, unieruchomiłby na jakiś czas ukrytego pod jego skorupą yuuzhańskiego wojownika.

Przeprowadzenie takiego doświadczenia to jeszcze nie eksperymenty na żywym więźniu. Może wreszcie można byłoby zbliżyć się do Yuuzhan na odległość mniejszą niż odważyłby się ktokolwiek oprócz Jedi?

A poza tym Luke nie domagał się uczestniczenia w tej wyprawie. Mara uświadomiła sobie też, że nie sprzeciwiając się jej ani nie próbując się kłócić, przekonał ją o słuszności swojego punktu widzenia.

Dotknęła jego ręki. Luke chwycił jej dłoń i mocno ścisnął. Łącząca ich więź bardzo ucierpiała w mrocznym okresie ich związku, kiedy Mara myślała, że umiera. Zamknęła się wówczas w sobie i nie chciała otworzyć umysłu nawet przed mężem.

Co za ulga, że miała tamten okres za sobą i znów mogła otworzyć się na myśli Luke'a. Ich małżeństwo powinno stać się tak silne i trwałe, że przetrwa do końca jego lub jej życia - bez względu na to, czy będą mu towarzyszyły osobiste marzenia, czy też nie.

Kiedy Mara i Anakin wysiedli z wagonika repulsorowej kolejki i zapuścili się w aleję JoKo, popołudniowy tłum zaczynał z wolna rzednąć. Kobieta skręciła na widokowy taras, skąd można było zerknąć w głąb jednego spośród wielu szybów. Oparła dłoń na poręczu ochronnej bariery i zajrzała w czeluść.

Głęboko w dole, dokąd nie docierało światło, rozciągały się niebezpieczne podziemia Coruscant. Mara ujrzała szybującego jastrzębio-nietoperza. Prawdopodobnie rozglądał się za granitowym ślimakiem albo innym zdatnym do jedzenia stworzeniem, jakich wiele widywało się na oślizłych durbetonowych ścianach. Szyb przylegał do budynku tak wysokiego, że wierzchołek chyba ginał w chmurach. W zagłębieniu ściany widniał półprzezroczysty jaskrawożółty szyb turbowindy. W pewnej chwili przemknęła nim w górę pomarańczowa kabina. Podróżowali nią ku gęściej zaludnionym wyższym poziomom miasta spragnieni wrażeń turyści albo poszukiwacze skarbów.

Poziom, dokąd oboje się zapuścili, znajdował się tak głęboko, że nawet gdyby Mara uniosła głowę, nie dostrzegłaby szybujących na wysokości najwyższych pięter atmosferycznych taksówek ani statków. Prawdę mówiąc, znaleźli się nawet poza granicami kontrolowanego przez wojsko Kopułowia. Na tej głębokości spotykało się tylko środki transportu lokalnego. W pewnej chwili nad ich głowami pojawił się policyjny patrolowiec. Błyszcząc błękitnymi światłami, unosił się jakiś czas nieruchomo, a potem odleciał i zniknął.

- Na razie wszędzie cisza i spokój. - Anakin oparł się o barierkę bokiem do Mary.

Zadowolona z tego, co widziała, Mara odwróciła się plecami do bezdennej szybu i spojrzała na tłum istot. Wahała się, ale w końcu otworzyła umysł - tylko odrobinę - na przepływ Mocy. Tu i ówdzie wyczuła wypływające na powierzchnię bąble emocji, uwalnianych poważnie przez młodych ludzi w wieku Anakina. W pewnej chwili obok nich przeszła szybko para starszawych Quarrenów. Mieli opuszczone głowy i kroczyli blisko siebie. Wyrastające z ich twarzy macki lekko drżały, jakby wyczuwało się w nich napięcie. Wyższa istota niespokojnie rozglądała się na wszystkie strony. Zachowywali się tak, jakby obojgu groziło niebezpieczeństwo.

Widocznie niosą coś zbyt wartościowego jak na te strony, pomyślała Mara.

W przeciwnym kierunku, lekko się chwiejąc, podążało dwóch młodych mężczyzn. Jeden wyjątkowo niepewnie stawał nogi. Zarumieniona twarz zdradzała wpływ co najmniej kilku sporych kufla lummy. Kiedy przechodzili obok niej, Mara usłyszała strzęp rozmowy:

- ...na stronę Brygady Pokoju. Dzięki temu, gdyby zapuścili się tu Yuuzhanie...

Głos stopniowo ściął, aż Mara przestała rozróżniać słowa. Zmarszczyła brwi. Coruscant, które zawsze cieszyło się wątpliwą sławą gniazda intryg, przeistoczyło się teraz w kocioł z wrzącym strachem. Zwolennicy i członkowie Brygady Pokoju pomagali Yuuzhanom w podbijaniu kolejnych planet. Na razie nie nosili naszytego na ubraniu wizerunku dwóch złączonych dłoni, ale Mara obawiała się, że to tylko kwestia czasu.

Wsunęła dłoń pod materiał długiej czarnej bluzy, gdzie ukryła karty kredytowe i komunikator. Pod bluzą miała pomarańczoworudy lotniczy kombinezon, a w jego kieszeni mały blaster i świetlny miecz - ten sam, który otrzymała od Luke'a. Już dawno przywykła chodzić lekko przygarbiona - po to, by pod materiałem nie można było dostrzec broni. Podobną funkcję spełniały tunika i luźne spodnie Anakina. Tylko w okolicy pasa chłopca widniało zgrubienie. Prawdopodobnie kryła się tam pałka strachu Sabashi. Mara wzruszyła ramionami. Pomyślała, że przypadkowi przechodnie z pewno-

ścią wzięliby ją za kobietę towarzyszącą podczas wieczornego spaceru swojemu synowi...

Synowi. Mara znowu zmarszczyła brwi. Upływały kolejne miesiące, przepojone troską o los mieszkańców podbijanych planet albo o przyszłość zakonu Jedi, a ona coraz bardziej martwiła się tym, że nie poczęła dziecka. Z każdym upływającym miesiącem miała coraz mniejszą nadzieję, ale każdego miesiąca ona i Luke udawali, że nie dzieje się nic złego.

Jeżeli wierzyć opiniom Cilghal, Oolosa i innych uzdrowicieli, dręcząca jej organizm dziwaczna choroba nierzadko uśmiercała ofiary, niszcząc białka, otaczające jądra komórek. Czasami Mara odnosiła wrażenie, że jej choroba zaczyna się na nowo. Ogryza kości, dobiera się do najważniejszych organów ciała... Choroba, która atakowała jądra komórek, z pewnością mogłaby uśmiercić nienarodzone dziecko. Mogłaby także zmienić strukturę komórek, w wyniku czego urodziłaby... urodziłaby... kogo? Nawet nie chciała o tym myśleć. Czyje dziecko byłoby ludzką istotą?

Nie, pomyślała stanowczo. Muszę się zadowolić uzdolnioną siostrzenicą i dwoma równie uzdolnionymi siostrzeńcami. Mara i Luke odwiedzali także - ilekroć mieli trochę czasu - osieroconą trzynastoletnią bakurańską dziewczynkę, Malinę Thanas. Jej ojciec zmarł na jakąś przewlekłą chorobę, a matka zginęła przed ośmioma laty podczas innego kryzysu, również związanego ze stacją Centerpoint. Luke czuł się odpowiedzialny za dziewczynkę, którą adoptowała zamożna bakurańska rodzina. Wszystko wskazywało na to, że przebywając na odległej Bakurze, Malinza przynajmniej nie musi obawiać się napaści Yuuzhan.

Na wspomnienie Bakury Mara zaczęła wyobrażać sobie, jak pokonani Ssiiruukowie poradziliby sobie z istotami rasy Yuuzhan Vong. Czy nowi najeźdźcy, niewrażliwi na oddziaływanie Mocy, mieliby energię życia, którą dałoby się wykorzystać do zasilania technicznych urządzeń istot rasy Ssi-ruuki?

To dopiero byłoby poniżenie, pomyślała.

Anakin spojrzał na przezroczystą budkę informacyjną. Umieszczona na wysokości ludzkich oczu, ukazywała trójwymiarowy wizerunek -animowaną holograficzną mapę pięciu niższych pięter tej dzielnicy.

- Wygląda na to, że Zieleń Liści znajduje się dwa korytarze na północ od nas - powiedział. - Skorzystamy z innego pociągu?

- Przejdziemy się - zaproponowała Mara. - Zachowaj czujność.

Ruszyła i wkrótce wtopiła się w tłum przechodniów. Wyczuła, że Anakin został trochę z tyłu, z lewej strony. Szli w dobrym szyku; w ten sposób łatwo mogli się bronić przed niespodziewanymi atakami. A przy tym ona, jako przywódczyni, szła pierwsza. W pewnej chwili odwróciła głowę.

- Dzisiejsza lekcja - zaczęła - będzie utrwaleniem poprzednio przerobionego materiału.

Pomyślała, że Anakin nigdy nie nauczy się udawać ani oszukiwać -a już na pewno nie od jej męża, który zachowywałby się jak sunezjański kaznodzieja nawet pośród tłumy złoczyńców i grzeszników.

- Hmm...

Anakin skierował spojrzenie na ruchome światła rozmieszczone w taki sposób, aby zwabić przechodniów do pobliskiej restauracji.

- Nieustannie oceniaj wszystko, co widzisz - rzekła Mara. – Im więcej zbierzesz informacji, tym więcej będziesz miał możliwości wyboru i tym mniej szans pozostawisz nieprzyjaciółom, którzy chcieliby cię zaskoczyć.

Młody człowiek splótł ręce na piersi i podązał tuż za nią. Nie zapomniał nawet o złączeniu czubków kciuków.

- Wiem - odrzekł cicho.

Przeszli obok półprzymkniętych drzwi, zza których sączyły się dziwne wonie i jakiś czerwony gęsty opar.

- A co z wnioskami z ubiegłego tygodnia, kiedy ćwiczyliśmy na symulatorach? - zainteresowała się Mara. - A przy okazji... przestań okazywać, że jesteś Jedi.

Chłopiec posłusznie opuścił ręce wzdłuż ciała.

- Wtedy, kiedy pilotowałem myśliwiec i walczyłem z tobą? - upewnił się. - Nie miałem najmniejszej szansy.

- Atakujesz zbyt wcześnie. Taki masz nawyk - stwierdziła kobieta. - A poznanie własnych słabości jest pierwszym krokiem na drodze do ich pokonania.

I wiem, co myślisz, Anakinie Solo, dodała w myśli. Uważasz, że zaczynam mięknąć.

Skręciła w bok, by ominąć trzech lekko wstawionych młodych Twi'leków. Zataczali się i roztrzęsali innych przechodniów. Anakin szedł trochę z boku i nie zachodziła obawa, że go potrąca.

Mara musiała przyznać, że chłopiec szybko się uczy. Całe jego pokolenie rycerzy Jedi musiało szybko dorastać i przyswajając wiedzę.

Cóż, kiedy ona dorastała, w galaktyce także nie było spokojnie.

Zapuszczali się coraz dalej w głąb korytarza. Umieszczone nad głowami ruchome światła rzucały na stroje, włosy, sierść i obnażoną skórę mijających je przechodniów dziwaczne różnobarwne błyski. Wyglądało na to, że albo tłum gęstnieje, albo korytarz się zwęża. Tu i ówdzie na kamiennych ścianach rosły kolonie żółtawych wiotkich grzybów. Wynałazł je pewien naukowiec - Ho'Din, który chciał zwiększyć zawartość tlenu w powietrzu, jakim oddychały przebywające w podziemiach istoty.

Mniej więcej pół kilometra dalej umieszczone w sklepieniu korytarza światła zastąpiła płatanina spiczastych zielonkawych liści. Mara zajrzała przez szerokie drzwi do środka lokalu. Światła wewnątrz płonęły trochę jaśniejszym blaskiem niż we wszystkich innych lokalach, mijanych do tej pory. Po przeciwnej stronie korytarza widniało wejście do urządzonego bez gustu salonu pielęgnacji skóry.

- No cóż - mruknęła Mara. - Wygląda na to, że przyjaciółka Tekli była osobą obdarzoną niezłym gustem.

Wcisnęła się do środka Zieleni Liści. Anakin starał się nie odrywać prawego łokcia od jej lewej ręki.

Sklepienie kafejki wspierało się na grubej kolumnie pośrodku sali. Kiedy Mara przyzwyczaiła się do panującego półmroku, zauważyła, że kolumna jest wyrzeźbiona i oświetlona w taki sposób, aby wyglądała jak pień prawdziwego drzewa. Tuż pod skle-

pieniem rozwidlała się na dziesiątki sztucznych gałęzi. Poruszane podmuchami sztucznego wiatru, szeleściły na nich sztuczne liście.

W sam raz kryjówka dla skrytobójców, pomyślała Mara, obrzucając gałęzie fachowym spojrzeniem. Zwłaszcza pośrodku, gdzie gałęzie są najgrubsze i najmocniejsze.

- Dobry wieczór, dżentelpryjaciele. Szukacie wolnego stolika?

Mara spojrzała z góry na młodego Drała, który prawdopodobnie jako jeden z pierwszych wyemigrował z Korelii.

- Owszem - oznajmiła. - Najchętniej blisko wejścia. - Powiodła spojrzeniem po sali, szczególną uwagę zwracając na kryjówkę pośród co grubszych konarów sztucznego drzewa. - I blisko przeciwległej ściany - rzekła po chwili. Żeby mogła mieć oko na wszystko, co dzieje się w lokalu, dodała w myśli.

- Proszę za mną.

Drał powiódł ich po miękkiej, sprężystej wykładzinie. Znieruchomiał obok łoża, w której mogło pomieścić się kilkoro ludzi. Mara zajęła miejsce naprzeciwko wejścia. Pozostawiła Anakinowi krzesło, skąd mógł obserwować całe pomieszczenie. Oparła łokieć o blat stołu i ze zdumieniem zauważyła, że blat ugiął się pod ciężarem. Pokrywała go substancja podobna do postrzępionego mchu. Dywan zaś wyglądał jak kobierzec opadłych liści. Mara miała nadzieję, że jedzenie okaże się strawne i pożywne.

- Co podać na początek, dżentelistoty?

Kelner odnosił się do nich uprzejmie i z tradycyjną gościnnością. Zaczął przyciskać jakieś guziki, aby nad blatem ich stolika ukazał się spis potraw i trunków.

- Wodę elba - odparła Mara. Anakin kiwnął głową.

- Dla mnie też - dodał zwięźle.

Krzepki młody Drał odwrócił się i odszedł. Jego porośnięte brunatną sierścią plecy zniknęły na tle kobierca brązowych liści.

U stóp drzewa tryskało sztuczne źródło z najprawdziwszą wodą. Może właśnie dlatego w powietrzu wyczuwało się przyjemną wilgoć. Mara postanowiła wspomnieć o lokalu mężowi. Ukradkiem przyglądała się pozostałym gościom. Nie zauważyła jednak nikogo bardziej niebezpiecznego niż dwoje młodych Dugów, sprzeczących się o walory smakowe jakiegoś deseru. Uspokojona, kiwnęła głową w stronę Anakina. Zaczęli wybierać dania. Jak zwykle, wskazywali podświetlone punkty spisu potraw, unoszące się w powietrzu na wysokości oczu. Potem Mara odwróciła się bokiem i oparła o wewnętrzną ściankę łoża.

- Wyczuwasz coś? - zapytała.

- Nic, co byłoby warte wzmianki - odparł chłopiec. - Gdybym z całego serca nienawidził wytworów techniki, chyba tylko tu na całym Coruscant mógłbym czuć się względnie spokojny.

Nie przestawał jednak rozglądać się czujnie po sali. Świetnie, Anakinie, pomyślała Mara.

- To prawda - powiedziała.

Nigdzie nie było widać żadnego androida. Już sam ten fakt wystarczał, żeby nabrać podejrzeń co do tożsamości właściciela. Na dłuższą metę androidy i roboty były o wiele tańsze i bardziej niezawodne niż większość inteligentnych pracowników.

Kiedy powrócił kelner, niosąc szklanki z wodą elba i dwa przykryte ciepłotalerze, od sąsiedniego stolika wstała rodzina Whiphidów. Kierując ku drzwiom groźne kły, ojciec cicho sapał i pochrząkiwał.

Nagle Mara zauważyła innego kelnera. Dziwacznie zgarbiony, chwilę wcześniej wyszedł przez drzwi, wiodące zapewne do kuchni. Niepewnie stawał nogi i niósł pustą tacę. Postawił ją na blacie pokrytego sztucznym mchem stolika i zaczął sprzątać zabrudzone sztućce i talerze.

To musi być ten, o którym wspominała Tekli, domyśliła się Mara. Rzeczywiście, mężczyzna zachowywał się, jakby miał źle zrosnięte kości. Możliwe, że kiedyś odniósł poważne obrażenia, ale...

- To ten - mruknął Anakin.

- Sprawdź go za pośrednictwem Mocy.

Mara wcisnęła się jeszcze głębiej w kąta łóża. Pragnęła zmniejszyć kąt widzenia, tak by mogła spoglądać bez odwracania głowy równocześnie na Anakina i rzekomego kelnera. Mężczyzna wglądał jak istota ludzka, ale było w nim coś dziwnego. Chłopiec zmrużył błękitne oczy; pochylił się tak bardzo, że na czoło opadł mu kosmyk ciemnych włosów. Zmarszczył brwi. Nie odrywał spojrzenia od podejrzanego kelnera.

- Wyglądasz teraz jak strażnik galaktyki - ostrzegła go szeptem Mara.

Zirytowany Anakin zacisnął wargi, ale trochę się wyprostował. Mara wsunęła dłoń pod bluzę i zacisnęła palce na rękojeści świetlnego miecza.

- Nic? - zapytała.

- Nic.

Uwolniła myśli i wysłała ku kelnerowi, aby potwierdzić diagnozę młodzieńca. Rzekomy człowiek rzeczywiście wyglądał jak cień... jak martwy punkt, jak zupełna pustka.

Kątem oka dostrzegła, że Anakin chce się zerwać od stolika.

- Nie! - powstrzymała go szeptem. - Nie w lokalu, gdzie przebywa kilkadziesiąt niewinnych osób!

- To co robimy? - zapytał gniewnym tonem. - Mamy czekać, aż ucieknie?

- Nie ucieknie. Musi pracować do końca swojej zmiany. My tymczasem skończymy jeść kolację. - Mara pochyliła się ku niemu nad pokrytym mchem blatem stołu. - A zanim cokolwiek zrobimy, powinniśmy upewnić się, czy w kuchni nie pracuje nikt, kto mógłby mu pomóc.

ROZDZIAŁ

5

Randa wczłogał się do chaty, w której sypiali obaj Solo. Zarządca Trzydziestki Dwójki przebywał w tym czasie na brzegu zbiornika, gdzie usiłował usunąć usterkę w przepompowni wody. Jacen wrócił po zapasowy komunikator.

Randa z trudem tylko mógł wcisnąć cielsko w wolną przestrzeń między dwiema pryczami. Mimo to spróbował.

- Paskudna historia - burknął, starając się nie dotknąć drgającym czubkiem ogona sterty osobistych rzeczy, które Jacen rzucił obok pryczy. - Jaka szkoda, że nie mogę bronić rodzinnego świata. Najgorsze jednak, że dowiedziałem się, iż muszę zadowalać się taką samą porcją żywności, jaką dostaje każdy z tych Rynów... - Wyprostował się na całą wysokość, nabrał powietrza i dumnie wypiął środkową część tułowia. - Czy moje ciało chociaż w przybliżeniu wygląda jak ciało któregoś z tych małych, kosmatych pokurczów? Mój metabolizm wymaga...

- Nie dostajesz takich samych porcji. - Jacen wsunął komunikator do kieszeni, usiadł na pryczy i ostrożnie oparł się plecami o ścianę chaty. Słyszał, że kilka chat runęło, kiedy baraszkuje dzieci Rynów nie zachowały należytej ostrożności. - Otrzymujesz ten sam procent standardowej racji odżywczej. Gdyby twój metabolizm był trzykrotnie szybszy w porównaniu z przemianą materii Rynów, wydawano by ci...

- Za mało - wpadł mu w słowo Randa. - Czy nie widzisz, że usycham, wędnę, głoduję? Już teraz jestem zbyt mały w stosunku do wieku.

Przez otwarte drzwi chaty wpadało trochę światła. W pewnej chwili Jacen ujrzał, że pomarańczowe tęczęwki Randy się powiększają, a źrenice zmieniają w wąskie szczeliny.

- Miałeś jakieś wieści z planety Nal Hutta, Rando? - spytał. - Nadal obawiasz się, że twojemu ojcu grozi niebezpieczeństwo?

- Zgadłeś, młody Solo - burknął sfrustrowany Hurt. Nerwowo otwierał i zamykał czteropalczone dłonie. - Nie miałem absolutnie żadnych wieści i nie mam pojęcia, co się dzieje z moim szanownym ojcem.

- Przykro mi - zaryzykował Jacen. - My...

- Nowa Republika nie będzie broniła planety Nal Hutta! - zahuczał Randa. - Skażuje nasz świat na zagładę, podobnie jak przedtem Tynnę i Gyndinę. Zostaliśmy zali-

czeni do istot najpośledniejszej kategorii. Wojskowi Nowej Republiki wycofują się w kierunku Coruscant. -Potężny ogon złowieszco zadrżał. - I drogocennych stocznii w przestworzach Bilbringi.

- Wkrótce będzie zagrożona także Bothawui - odparł rzeczowym tonem Jacen. Domyślał się, że niepokój Hutta jest oznaką strachu, a jedno i drugie może doprowadzić do wybuchu gniewu. - W tych czasach wszystkim grozi jakieś niebezpieczeństwo. Dowódcy okrętów flot starają się, jak mogą, ale...

- Więc dlaczego im nie pomożesz, młody Jedi? - Randa zacisnął pulchną dłoń w pięść. - Dlaczego nie staniesz do walki? Widziałem, jak inny dobrze wyszkolony Jedi zabił yammoska. Marnujesz się tu, drogi chłopcze. Dysponujesz umiejętnościami, które wcale nie są ci tu potrzebne. Członkowie twojej rodziny dokonywali w przeszłości wspaniałych czynów.

- Mam swoje powody, Rando - odparł cierpko Jacen.

Pochlebstwa Hutta spowodowały, że stał się podejrzliwy. Co prawda nie miał pojęcia, czy w ogóle istnieją prawdomówni Huttowie, ale z pewnością do ich grona nie zaliczał się Randa. A przynajmniej nie wtedy, kiedy wspominał o wspaniałych wyczynach członków jego rodziny. Z pewnością wiedział, kto udusił Jabbe.

Tymczasem młody Hutt, widać się po podłodze, podczołgał się do jedynego okna chaty, umieszczonego w przeciwniejszej ścianie.

- Posłuchaj mnie, chłopcze - ciągnął słodkim tonem. - Gdybyśmy się dostali na Coruscant, moglibyśmy zadać Yuuzhanom cios, po którym pożałowaliby, że w ogóle wyprawili się do tej galaktyki. Członkowie mojego klanu posiadają wielkie dobra na dziesiątkach planet. Wystarczyłoby, żeby wyposażyć własną eskadrę gwiazdnych myśliwców. Niestety, istoty mojej rasy nie mieszczą się w ich kabinach.

Jacen usiłował wyobrazić sobie dorosłego Hutta w kabinie X-skrzydłowca. Owiewka by się nie domknęła, to pewne.

Z drugiej strony... uwielbiał latać X-skrzydłowcem. Siedząc w kabinie, czuł się lekki, zwinny, szybki i silny... niemal niezwykczony.

- Słyszałem, że jesteś wyjątkowo uzdolnionym pilotem. - Randa zmrużył wielkie oczy i chrząknął.

- Moja siostra jest lepsza - odparł Jacen. Jaina! - pomyślał. Minęły trzy dni, odkąd otrzymał ostatnią wiadomość o losach pilotów Eskadry Łobuzów. - Młodszy brat również - dodał szczerze, w uznaniu zasłużonej sławy, jaką okrył się Anakin, przelatując między asteroidami Kaprysu Landa, a także podczas bitwy o Dubrillion.

- Ale twojego sławnego rodzeństwa nie ma na planecie Duro - nie dawał za wygraną Randa. - To przeznaczenie zetknęło nas ze sobą, Jedi Solo. Mogę spowodować, że odkryjesz się jeszcze większą sławą niż oni.

Jacen przeciągnął się, aż coś chrupnęło mu w kościach. Sławniejszy? Jeżeli chodziło o rycerzy Jedi i wojskowych Nowej Republiki, znaczył dla nich tyle, ile karma dla banthów.

- Wymyślę jakiś sposób, żeby opuścić Duro i polecieć na pomoc planecie Nal Hutta - ciągnął Randa. - Nawet gdybym miał pojawić się za późno i roztrzaskać gwiazdny statek pośrodku bankietu świętujących zwycięstwo najeźdźców. Mógłbym także odna-

leżć Kypa Durrona i wspomóc pilotów jego eskadry. Działając razem, moglibyśmy zaatakować nieprzyjaciół...

Hutt zaczął się czołgać ku drzwiom chaty.

- Rando - zaczął spokojnym tonem Jacen. - Jesteś nam potrzebny tu, na Duro.

- Czyżby? - Młody Hutt znieruchomiał. - Powiedz mi, młody Solo, w czym mogę tutaj pomóc oprócz mieszania płynów w kadziach z hydroponicznymi uprawami? Oprócz obsługi pomp wody? Oprócz...

Z komunikatora Jacena wydobył się melodyjny kurant.

- Chwileczkę - odezwał się chłopiec, unosząc dłoń błagalnym gestem. - Rando, nie odchodź. - Wyciągnął z kieszeni niewielkie urządzenie. - Tu Jacen Solo.

- Piani z ośrodka komunikacyjnego - rozległ się piskliwy głos dyżurującej tam Rynki. - W końcu nadeszła ta wiadomość. Lepiej się pośpiesz.

Zdumiony Jacen pstryknął przełącznikiem i wybrał inny kanał.

- Tato, słyszałeś? - zapytał.

Głos ojca był trochę zniekształcony. Atmosfera planety Duro była tak zanieczyszczona, że łączność za pomocą urządzeń małej mocy nawet na krótkie odległości bywała utrudniona, a często wręcz niemożliwa.

- Już tam idę - odparł Han.

Z Jacenem chciał mówić ten sam mężczyzna, który rozmawiał z nimi poprzednio. I tak jak wtedy, przesyłane były tylko słowa.

- Z czasem jej wzrok sam się poprawi i interwencja medyczna nie będzie potrzebna - powiedział. - Jednak co najmniej kilka tygodni, a zapewne dłużej, nie może brać udziału w żadnej akcji.

W tej samej chwili przez otwarte drzwi ośrodka komunikacyjnego wpadł Han.

- Wzrok?! - wykrzyknął. - Co się stało?

- Oddziaływanie pola uszkodziło jej rogówki, panie kapitanie - wyjaśnił major Harthis. - Proces jest odwracalny, ale zazwyczaj powrót do zdrowia trwa bardzo długo. - Oficer urwał, jakby się zawahał. - Komuś starszemu moglibyśmy implantować sztuczne oczy albo wszczepić ultradźwiękowy wzmacniacz Traksesa. Jaina jest jednak bardzo młoda, a rycerze Jedi umieją szybko wracać do zdrowia. - Tym razem pauza trwała trochę dłużej. - A poza tym, hmm... z powodu wojny niektórych części po prostu brakuje.

Han pokręcił głową.

- Nic nie szkodzi - powiedział. - Jeżeli wygląda na to, że odzyska wzrok, proszę zostawić jej własne oczy.

- I my tak uważamy, kapitanie Solo - odparł z ulgą mężczyzna. - Jednak nie możemy sobie pozwolić, żeby opiekował się nią jakiś wojskowy, więc odsyłamy ją na łono rodziny. - Oficjalnie brzmiący dotąd głos oficera trochę złagodniał. - To znaczy, hmm... chcielibyśmy odesłać ją na Duro, panie kapitanie. Zaoszczędziłoby nam to kłopotów związanych z poszukiwaniami matki.

Mara wstała od stolika.

- Zostań tu - rozkazała.

Podejrzany człowiek zniknął chwilę wcześniej w kuchni Zieleni Liści. Anakin spojrzął z ukosa na napoczęty zraz gorntowy.

- Uważaj na siebie - mruknął.

Prawdziwy cud, że nie upierał się, by mi towarzyszyć, pomyślała Mara. Wiedziała, że czeka ją łatwiejsze zadanie, jeśli wyruszy na przespziegi sama.

- Jeżeli skończysz jeść, a ja nie wrócę, możesz zacząć mnie szukać - powiedziała.

Anakin kiwnął głową. Odkroił długi wąski kawałek mięsa.

Wejście do kuchni znajdowało się blisko wejścia do toalety. Mara zauważyła w pobliżu wolny stolik. Już wcześniej policzyła wszystkich pracowników Zieleni Liści i każdego sprawdziła za pośrednictwem Mocy. Tylko ten jeden mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nie istniał.

Musiała teraz sprawdzić także personel kuchni. Podejrzana osoba mogła tam mieć współnika... albo szefa.

Zdecydowanie podeszła do wolnego stolika. Usiadła i ukryła twarz w głębi kaptura. Kiedy wszyscy kelnerzy - włącznie z podejrzanym - wyszli z kuchni i zajęli się obsługiwaniem gości, wstała i ruszyła ku drzwiom wiodącym do kuchni. Tak jak kelnerzy, wystukała na kontrolnym panelu odpowiednią kombinację cyfr. Drzwi syknęły i schowały się w ścianie.

Nikt nie próbował jej powstrzymać. Trzymając dłoń na rękojeści blastera, który już wcześniej nastawiła na ogłuszanie, Mara przycisnęła plecy do ściany i unikając najbardziej hałaśliwych miejsc, ruszyła w lewo od wejścia. W pewnej chwili natknęła się na miejsce, gdzie kilka niewielkich czterorękich robotów - pierwszych, jakie widziała w Zieleni Liści - garniowało ułożone na talerzach potrawy. Oprogramowanie automatów przewidywało wyłącznie układanie dodatków, więc roboty nawet nie zwróciły na nią uwagi.

Wyteżając słuch, Mara zorientowała się, że w kuchni krzątają się i rozmawiają cztery istoty. Pomyślała, że właściciel robi wszystko, aby czuły się swojsko i swobodnie. Kafajka była miejscem, gdzie zamaskowany Yuuzhanin mógłby czuć się niemal jak u siebie w domu.

Uwolniła myśli i posługując się Mocą, zaczęła nasłuchiwać napływającego echa.

Pierwsza Inteligentna Istota, pracująca przy automatycznej kuchence, okazała się prawdziwym człowiekiem - hałaśliwym i bardzo spoconym. Rozmawiająca z nią Druga Istota także dawała wyraźne echo. Trójka właśnie kierowała się na zaplecze kuchni. Poruszając się cicho jak duch przy samej ścianie, Mara podążyła za nią. Starła się kryć za automatami do przygotowywania potraw. Posługując się Mocą, stwierdziła, że także Trójka nie jest istotą rasy Yuuzhan Vong. Kiedy istota wychodziła na zaplecze, Mara zauważyła tylne wyjście z kuchni. Czwarta zatrudniona w kuchni osoba również odciskała wyraźne piętno na Mocy - może niezbyt przyjemne, ale z pewnością nie była Yuuzhaninem.

Nagle Mara usłyszała za plecami cichy syk. Domyśliła się, że do kuchni wrócił jeden z kelnerów. Wyprostowała się, poprawiła bluzę, opuściła głowę i zaczęła przekradać się w kierunku drzwi wiodących do jadalnej sali.

- Bardzo przepraszam, ale tu nie można... - usłyszała. - Proszę pani! Proszę pani!

Uniosła dumnie głowę.

- Plevay isobabble! - wykrzyknęła ze złością. - Dekarra do-jui!

Przed nią stała kelnerka, prawdziwa kobieta. Na jej twarzy malowało się zakłopotanie.

Mara rzuciła jej jeszcze kilka improwizowanych i niezrozumiałych tekstów. Ruchami rąk starała się dać do zrozumienia, że odczuwa potrzebę, której nie odczuwała.

Kelnerka zrozumiała. Rozłożyła szeroko ręce, uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Powiodła Marę przez drzwi do jadalnej sali i pokazała wejście do toalety.

Mara uściśnięła jej nadgarstki i energicznie pokiwała głową.

- Jeeaph wentz - rzekła radośnie, starając się nie wypaść z roli, i dała nura w drzwi ubikacji. Zerknęła w lustro i wsunęła za ucho kosmyk złocisto-rudych włosów. Kilkakrotnie uruchomiła i powstrzymała strumień wody. Policzyła powoli do dziesięciu, a potem wyszła i pospieszyła do stolika, przy którym pozostawiła Anakina. Młody człowiek właśnie kończył jeść deser.

- W samą porę - mruknął cicho.

Mara wśliznęła się do łóża i opadła na krzesło.

- O ile mogłam się zorientować, jest sam - rzekła. - Jedna z kucharek nie żywi względem niego przyjaznych uczuć. Złapiemy go, kiedy będzie wracał do domu.

Anakin wzruszył ramionami.

- Ty tu dowodzisz - powiedział.

Mara skrzywiła się, jakby połknęła coś kwaśnego. Na razie, Solo, pomyślała. Zanim upłynie pięć lat, prawdopodobnie ty będziesz wydawał rozkazy.

- Nastawiłeś broń na ogłuszanie, prawda? - zapytała.

Młodzieniec poważnie kiwnął głową.

Wiedzieli, że śledzenie kogoś, kto nie pojawia się w polu Mocy, wymaga zdwojonej uwagi. Mara kazała Anakinowi pilnować tylnego wyjścia z Zieleni Liści, a sama udawała, że zamierza skorzystać z usług salonu pielęgnacji skóry, który mieścił się naprzeciwko głównego wejścia kafajki. Kiedy wieczorna zmiana dobiegła końca i przez drzwi lokalu weszli nocni pracownicy, Mara zwróciła na wejście jeszcze większą uwagę. W pewnej chwili zauważyła kątem oka pokracznego bladoliciego mężczyznę. Podejrzana postać opuściła lokal i wtopiła się w tłum przechodniów.

- Serdeczne dzięki - zwróciła się do obsługującej ją kosmetyczki i przestała wpastrywać się w lustro. Przykładając do obnażonego ramienia fantazyjne kawałki synciała, przyglądała się już tylko własnemu odbiciu. -Może wpadnę kiedy indziej. Ruszyła do wyjścia.

- Żadnego kontaktu z ciałem! - zawołała w ślad za nią pracownica salonu. - Wszystkim zajmują się automaty i lasery!

Mara zdążyła wyjść. Poprawiła bluzę, zawiązała ją pod szyją i nasunęła kaptur na głowę. Przywołując Moc, szturchnęła Anakina, by opuścił swój posterunek. Równocześnie upewniła się, że nie zgubiła rzekomego kelnera. Gdyby go nie widziała, nie wyчуwałyby go za pośrednictwem Mocy.

Była wyższa niż większość tłoczących się wokół niej przechodniów, więc mogła śledzić kelnera bez trudu. Od czasu do czasu widziała go całkiem wyraźnie. Patrzył cały czas prosto przed siebie i tylko tam, gdzie musiał, zwracał głowę w prawo lub w lewo.

- Widzisz go? - zapytał Anakin, który wyrósł jak spod ziemi obok jej lewego łokcia.

- Prosto przed nami, trochę z lewej.

Anakin wyteżył wzrok.

- Gdzie?... Tam! - wykrzyknął cicho. - Nie nosi pancerza. Tylko maskę.

- Na to wygląda - przyznała Mara. - Mimo to może nie dać się ogłuszyć.

- Wkrótce się przekonamy - stwierdził Anakin. - Spróbuję zająć go z boku.

Zwolnił trochę i został z tyłu. Mara szła nadal z taką samą prędkością jak inni przechodnie. Zorientowała się, że Anakin zboczył w lewo. Kelner dotarł do stacji, skąd repulsorowe pociągi odjeżdżały w kierunku Kopułowia. Mara postarała się zmniejszyć odległość dzielącą ją od rzekomego mężczyzny. Aby móc obserwować go jeszcze uważniej, jakiś czas szła tak blisko, że oddzielało ich zaledwie kilkoro przechodniów. Wkrótce kelner skręcił na peron. Mara przecisnęła się przez sąsiednią bramkę tuż za rodziną opancerzonych Psadan. Pochyliła głowę i wsunęła do szczeliny czytnika jedną z wielu fałszywych kart identyfikacyjnych. Kątem oka dostrzegła, że przez sąsiednią bramkę przechodzi Anakin. Kilka miesięcy wcześniej zapewne tylko machnąłby dłonią nad czytnikiem. Mara z zadowoleniem stwierdziła, że dziś także posłużył się fałszywym identyfikatorem. Im częściej spróbuje robić coś bez przywoływania Mocy, tym lepiej będzie mógł się z nią zespalać i tym skuteczniej reagować na jej zmiany. Nauczy się czegoś nowego i pozna granice własnych możliwości. Może zatem inaczej należało spojrzeć na decyzję Jacena? Jego... ucieczka, z braku lepszego określenia... wcale nie wydawała się taka nieprzemysłana. Może właśnie przeciwnie, może była czymś dobrym i szlachetnym?

Czasami Mara zastanawiała się, czym będzie zajmował się Jacen w przyszłości, kiedy upłynie, powiedzmy, czterdzieści lat. Usiłowała wyobrazić sobie, czy będzie wtedy nauczał w akademii, czy może zamknie się we własnym małym świecie jak Yoda. O ile jeszcze będzie żył.

Z tunelu wyskoczył następny skład repulsorowych wagoników. Podpłynął do peronu i niemal bezgłośnie znieruchomiał. Mara wcisnęła się do środka razem z tłumem. Do tej pory zdążyła policzyć otaczające ją istoty - a także podzielić je pod względem rasy, płci... i potencjalnego zagrożenia. Bardziej jednak niż współpasażerowie intrygowało ją, że kolejka wraca tam, skąd wyruszyli na poszukiwania - do dzielnicy rządowej.

Wagonik sunął bez żadnych szarpnięć ani wstrząsów. Cichy szmer jego napędu ginął w gwarze prowadzonych rozmów. Rzekomy kelner przeciskał się między stojącymi podróżnymi, ale Mara nie traciła go z oczu. Wkrótce potem skład wagoników znieruchomiał na stacji, skąd można było łatwo dotrzeć do większości ambasad i głównego budynku SENKI. Drzwi syknęły i zaczęły się otwierać. Mara pochwyliła spojrzenie Anakina. Wzrokiem wskazała mu drzwi. Chłopiec kiwnął głową i wyszedł na peron za kelnerem.

Mara przejechała jeszcze jeden odcinek trasy. Wysiadła dopiero na następnym przystanku i zawróciła. Wyczuwała obecność Anakina w Mocy niczym głośny krzyk.

Śledzony przez nich kelner szedł teraz szybciej niż przedtem. Kierował się ku ulicze, gdzie - jak Mara wiedziała - mieściły się domy, w których mieszkali niezbyt zamożni pracownicy ambasad. W pewnej chwili Mara zobaczyła przed sobą pokracznego mężczyznę i jeszcze bardziej przyspieszyła. Zdwoiła czujność. Uwolniła myśli i starała się wyczuć, z której strony może grozić jej największe niebezpieczeństwo.

W końcu kelner się odwrócił. Mara szła dalej prosto, ale zauważyła, że Anakin przystanął i spojrział w bok. Wyglądało to trochę sztucznie.

Cel zanurkował nagle w wąską przecznicę. Anakin puścił się biegiem za nim.

Mara poczuła, że ogarnia ją frustracja. Pokręciła głową i pobiegła w ślad za Anakinem. Pomyślała, że chłopiec - chociaż tak uzdolniony - zachowuje się równie subtelnie jak dorosły Hurt w basenie, w którym mieli zwyczaj medytować Kalamarianie.

Ma zaledwie szesnaście lat, przypomniała sobie. Wciąż dość młody, żeby rwać się do walki. Dobrze chociaż, że przestał próbować się mścić za śmierć Chewiego na każdej osobie w galaktyce, którą podejrzewał, że może być Yuuzhaninem.

Okazało się, że wąska przecznica to ślepy zaułek. Przypominała ponury szary wąwóz, ograniczony z obu stron ścianami wysokich domów. Widniały w nich rzędy okien, ale żadne nie miało parapetu. Na wysokości trzeciego piętra wisiały żółtawe proporce. Fałszywy kelner podszedł do wejścia któregoś gmachu i pochylił się nad panelem do otwierania drzwi.

Anakin skoczył ku niemu, wyciągnął blaster i strzelił. Pochyloną postać oplatała sieć błękitnych wyładowań.

Kelner wyprostował się, odwrócił i uniośł rękę.

Widocznie jeszcze nie dość blisko! - pomyślała Mara. Wyglądało na to, że ogłuszający strzał nie wyrządził nieznanemu żadnej krzywdy. O ile mogła się zorientować, nic nie stało się także oogolithowi. Wyciągnęła świetlny miecz i skoczyła ku mężczyźnie.

Z rękawa służbowej bluzy kelnera wysunęło się coś ciemnego. Nieznajomy pochwycił to drugą ręką, a potem zamachnął się i rzucił tym w Anakina. Bez względu na to, czym było, skrzeczało w locie.

Młodzieniec zapalił swój miecz świetlny jedną ręką. Ciemności zaułka rozjaśniła niesamowita różowofioletowa poświata.

Mara nie mogła poświęcić siostrzeńcowi ani odrobiny uwagi. Czula dziwne pulsowanie w głębi mózgu. Wyczuwała nadciągające niebezpieczeństwo. Tymczasem kelner schylił się i pochwylił za oba końce leżącą nieruchomo czarną pałkę. Kiedy jej dotknął, wyprężyła się i ożyła. Ukazał się paskudny łeb i tkwiące w nim wilgotne, błyszczące czarne oczy. Odbijały się w nich błękitne błyski ostrza broni kobiety. Mara machnęła klingą. Mierząc w nogi, usiłowała okuliwić nieprzyjacielskiego agenta.

Kelner opuścił amphistaffa i zasłonił się przed ciosem. Sparował go, a potem spróbował odbić w bok buczącą klingę. Mara cofnęła się o krok, chwyciła mocniej rękojeść broni i zamachnęła się do następnego ciosu. Kątem oka dostrzegła, że Anakin broni się świetlnym mieczem przed lecącym ku niemu czarnym przedmiotem. W pew-

nej chwili latający obiekt zanurkował i usiłował zaatakować jego głowę. Wyglądało na to, że szczególnie upodobał sobie oczy.

Po kolejnym odbitym ciosie Mara znów się cofnęła, zrobiła krok w bok i wymierzyła cios w łeb amphistaffa. Rozpraw się z nim wreszcie, Solo! -pomyślała. Oglusz go! Wiedziała, że dopóki nie odetnie łba amphistaffowi, musi trzymać miecz w obu dłoniach i nie może sięgnąć po blaster - tym bardziej że Anakin znajdował się z lewej strony.

Zobaczyła nagle, że amphistaff zwioteczał w dłoniach przeciwnika i prawie wysunął się spomiędzy jego palców. W tej samej chwili mężczyzna przestał się bronić. Jego twarz i tułów rozciągnęły się jak u zjawy z nocnego koszmaru.

Mara nie dała się zaskoczyć. Ponownie wycelowała mieczem w nogi przeciwnika. Tym razem rozcięła nogawkę spodni na wysokości kolana. Na kamienny bruk pociekły krople mlecznobiałego płynu. Mara domyśliła się, że raniła ooglitha. W tej samej sekundzie amphistaff znów się wyprężył. Zaskoczona Jedi stwierdziła, że plunął na nią strugą jadu. Krople żrącej cieczy rozprysnęły się na obnażonym grzbiecie jej lewej dłoni. Przeciwnik Mary wybuchnął chrapliwym śmiechem. Zamachnął się amphistaffem, mierząc w gardło. Mara w porę kucnęła.

Czuła, że jej lewa dłoń drętwieje. Na szczęście Cilghal nauczyła ją, jak chronić organizm przed działaniem biotoksyn. Przywołała na pomoc żarłoczne białe ciałka. Pomagały im teraz tajemnicze składniki łez Vergere. Mara kazała im skierować się do lewej dłoni.

Zapewne przekonany, że ją uśmiercił, wojownik sięgnął do zwisającego u pasa niewielkiego woreczka. Mara wyprostowała się i ścisnęła rękojeść świetlnego miecza prawą dłonią. Mierząc w woreczek, zamachnęła się buczącą klingą. Jeszcze raz, w samą porę, poczuła w mózgu ostrzegawcze drżenie. Uskoczyła w bok w chwili, gdy obca istota rzuciła woreczek pod jej nogi. Na kamieniach rozbryznęło się jakieś galaretowate ciało. Wypuściwszy nibynóżki, usiłowało pochwycić jej stopy.

To coś nowego! - pomyślała, przeskakując nad kałużą lepkiego żelu bloorash.

Przerzuciła rękojeść świetlnego miecza do zdrtwiałych palców lewej dłoni. Prawą wsunęła pod bluzę, aby wyciągnąć blaster.

Wyczuła, że z tyłu zbliża się do niej Anakin. Chłopiec starał się, by nieprzyjaciel go nie zauważył. Zdołał rozprawić się z atakującym go stworzeniem, a teraz sięgnął za pas i wydobył nową broń. Nie była nią jednak, jak sądziła Mara, zwykła pałka strachu. Wyglądała jak pałka z pianką Stokhli, ale była krótsza i mniejsza.

Mara pozostawiła blaster w ukrytej kaburze i chwyciła miecz świetlny oburącz. Zamachnęła się do kolejnego ciosu. Wojownik znowu zasłonił się amphistaffem.

Stworzenie miało zdumiewającą zdolność leczenia własnych ran. Może było zupełnie niewrażliwe? Tym razem Mara cięła ostrzem z całej siły, mierząc w grzebień na łbie amphistaffa. Odcięła mniej więcej połowę, która z miłym dla ucha chrzęstem roztrzaskała się o ścianę gmachu. Amphistaff na dobre zwioteczał w dłoniach wojownika.

Nareszcie!

W tej samej chwili Anakin dał ognia ze swojej broni. Rozległ się przenikliwy gwizd i z lufy wystrzeliła jasnobłękitna mgielka.

Oblany szybko krzepnącą mazią yuuzhański wojownik zdołał jeszcze rzucić dwa ostre jak brzytwy, żywe krążki. Jeden okrążył głowę Mary i wirując w locie, zanurkował ku oczom. Drugi poszybował ku Anakinowi. Mara szybko rozprawiła się ze swoim. Tymczasem oplataną krepującą siecią wojownik runął na kamienie. Skręcał się i wywijał, ale ogłuszający ładunek siatki chyba zaczął działać. Mara wyciągnęła blaster, podeszła do leżącego Yuuzhanina i z najbliższej odległości wystrzeliła najsilniejszą dawkę ogłuszającej energii, na jaką mogła sobie pozwolić.

Nawet to nie pomogło. Wyglądało na to, że Yuuzhanie są odporni na działanie takich ładunków. Mara zgasiła świetlny miecz i podeszła jeszcze bliżej. Chwyciła mocniej rękojeść, uniosła nad głowę... i z całej siły opuściła na czaszkę Yuuzhanina.

Legł bez przytomności.

Podbiegł do niej Anakin.

- Pozwól mi zdjąć mu maskę! - krzyknął, podniecony.

Mara cofnęła się, ale nie wypuściła z zaciśniętych palców rękojeści. Pozwoliła, żeby zatriumfował młodzieńczy zapał. Ostrożnie odgięła palce lewej dłoni. Wciąż ją świerzbila, ale nie straciła w niej czucia.

Tam, gdzie uderzyła wojownika rękojeścią miecza, pojawiły się krople białej cieczy. Anakin podszedł do nieprzytomnego Yuuzhanina. Na jego twarzy, po obu stronach nosa, dostrzegł ledwo widoczną cienką linię. To właśnie była krawędź maski. Dotknął jej palcem. Natychmiast skóra zaczęła się marszczyć, jakby coś poruszało się pod powierzchnią i spłynęła z nieruchomej twarzy - a wraz z nią zniknął ślad po uderzeniu w głowę. Żywa maska wsunęła się pod kołnierz służbowej bluzy kelnera Zieleni Liści. Cicho cmokając, wyciągała korzenie z porów skóry.

Istota miała bladą, prawie białą twarz - tak chudą, jakby skóra przylepiła się do kości. Tylko pod oczami zwiślały niebieskawe worki. W górnej części jednego policzka widniał ślad po wypalanej ranie. Spomiędzy krawędzi blizny wystawał kawałek kości policzkowej. Było na niej widać mozaikę karbów czy nacięć. Czoło istoty pokrywały wytatuowane koncentryczne wzory.

Splywając po torsie obezwładnionego Yuuzhanina, maska cicho mlaskała. Pod materiałem ubrania przesuwiała się ku nogom coraz grubsza fałda. W końcu na wysokości kolan istoty ooglitha powstrzymała zaciśnięta mocno siatka Stokhli.

- Miałeś dobry pomysł z tą pałką - mruknęła Mara.

Anakin wepchnął broń za pasek spodni.

- Nowy model, mniejszy zasięg - odparł zwięźle. - Prawie niewidoczna pod ubraniem.

- Zaskoczyłeś mnie - przyznała. Trochę się niepokoiła, że chłopiec zdobył jeden egzemplarz broni, zanim w ogóle o niej usłyszała. Tymczasem Anakin promieniał. Mara wyciągnęła komunikator.

- Wsparcie? Tu Mara - powiedziała. - Mamy szpicla.

ROZDZIAŁ

6

Schwytany Yuuzhanin wciąż nieprzytomny leżał na blacie laboratoryjnego stołu. Zraniony ooglith powędrował do transpatalowego pojemnika. Mara splotła ręce na piersi i oparła się plecami o ścianę. Wykonała swoje zadanie; wiedziała, że o resztę zatroszczą się funkcjonariusze Wywiadu Nowej Republiki. Mimo to nie wychodziła. Anakin postanowił jej towarzyszyć.

Pani egzobiolog, doktor Joi Eicroth, związała jasne włosy w ogon z tyłu głowy. Na stojącym obok stołu taborecie rozłożyła narzędzia i ampułki z narkotykami. Wyprostowała się i pokręciła głową.

- O ich fizjologii wiemy tylko, że nic nie wiemy - stwierdziła ponuro.

Mara odkleiła plecy od ściany.

- Przynajmniej dowiedzieliśmy się, że ogłuszające strzały nie wyrządzają im żadnej krzywdy - powiedziała. - Nawet z najmniejszej odległości.

- Bardzo wątpię - zaczęła Eicroth - by ktokolwiek zechciał znaleźć się tak blisko.

Lekarze przekonali się, że uwięziona istota jest samicą. Jej ciało leżało na stole, przykryte wzorzystym kocem. Z głowy Yuuzhanki wyrastały tu i ówdzie kępki czarnych włosów, a połowę ciała pokrywały wytatuowane koncentryczne zawijasy - podobne do tych na czole. Eicroth wskazała środkowy punkt, który wyglądał jak żywe stworzenie. Z kostek palców wyrastały ostre szpony. Egzobiolodzy postanowili unieruchomić Yuuzhankę krępującymi taśmami. Wrzynały się w jej ciało na wysokości przedramion, torsu i nóg.

Do Mary podeszła Cilghal. Obejrzała jej dłoń, pobrała próbki skóry i krwi, po czym przekazała wszystko analitykom. Próbowała obudzić nieprzytomną Yuuzhankę, ale nic nie pomagało - ani sztuczne oddychanie, ani łagodne elektrowstrząsy. Zaproszona przez doktor Eicroth, postanowiła także przyglądać się badaniom.

Nagle do laboratorium weszła, a właściwie wpadła, funkcjonariuszka Wywiadu, Belindi Kalenda - niska, śniadolica kobieta o włosach splecionych w warkocz i przewiązanych z tyłu głowy. Nieco wcześniej zdegradowano ją do stopnia podpułkownika. Podobno została obwiniona o niepomyślne zakończenie jednej z poprzednich akcji, której celem było także przesłuchanie i zbadanie pochwyczonej żywej istoty rasy Yuuzhan Vong. Widząc kobietę, Eicroth się wyprostowała.

Kalenda rozejrzała się po laboratorium i zmarszczyła brwi.

- Jestem zaskoczona - oznajmiła. Wywiedziona w pole najpierw przez rzekomą Yuuzhańską uciekinierkę, a potem przez dowódców nieprzyjacielskich wojsk, którzy zasugerowali, że zaatakują Korelię, cieszyła się, że w ogóle może jeszcze pracować. - Nie sądziłam, że złapanie żywego Yuuzhanina okaże się możliwe. - Zerknęła na doktor Eicroth. - Rejestrujecie wszystko? - zapytała. - Nie możemy niczego przeoczyć.

- Jeżeli cokolwiek będzie do zarejestrowania - wtrąciła Mara. Tyle razy miała do czynienia z obcymi istotami, że za każdym razem obawiała się z ich strony jakiejś niespodzianki.

Nad laboratoryjnym stołem wisiał wielki skaner, który umożliwiał jednoczesne badanie całego ciała. Tym razem chodziło o analizę płynów ustrojowych i poznanie funkcji poszczególnych organów, a może nawet opracowanie mapy rozkładu mikroelektromagnetycznych pól organizmu istoty. Analiza chemiczna mogłaby dostarczyć odpowiedzi na pytanie o lekarstwa i narkotyki, jakie oddziaływały na jej organizm. Gdyby to od niej zależało, Mara chętnie dowiedziałaby się czegoś na temat systemu nerwowego istot rasy Yuuzhan Vong. Chciała wiedzieć, co może je obezwładnić - rzecz jasna, oprócz uderzenia czymś twardym w głowę.

Wpatrywała się w leżącą nieruchomo obcą wojowniczkę. Żałowała, że nie może porozmawiać z nią jak kobieta z kobietą. Musiała traktować ją jak drapieżnik ofiarę albo nadzorca pilnujący więźnia. Dobrze wiedziała, jak czuje się ktoś, kto stopniowo sobie uświadamia, że ten, kto go wychowywał, opowiedział się po niewłaściwej stronie.

Nagle Yuuzhańską wojowniczkę drgnęła i poruszyła się na blacie stołu. Mara podeszła jeszcze bliżej. Kalenda spojrzała na ekrany diagnostycznych monitorów nad głowami lekarzy.

Wojowniczkę otworzyła oczy. Kiedy dostrzegła nad sobą urządzenia, wzdrgnęła się z obrzydzeniem. Oczy w jej wykrzywionej złością twarzy zapłonęły żądzą mordy.

Mara wyciągnęła do niej rękę.

- Nie chcemy cię skrzywdzić - rzekła. - Wiem, że znasz basie. Widziałam, jak roznosiłaś potrawy w Zieleni Liści. Chcemy ci pomóc. Odeślemy cię do twoich ziomek, jeżeli...

Więziarka nie pozwoliła jej skończyć. Wydała głośny skrzek, ale nikt rozumiał ani słowa. Możliwe, że modliła się do swoich bogów. Nie przerywając, wygięła ciało w łuk i usiłowała uwolnić się z więzów. Doktor Eicroth się cofnęła. Anakin podszedł bliżej. Położył dłoń na rękojeści świetlnego miecza.

Z prawej dłoni Yuuzhanki wysunął się pazur, co najmniej czterokrotnie dłuższy niż w stanie spoczynku. Przeciał krępującą taśmę tak łatwo, jakby sporządzono ją z flimsiplastu. Uwolniwszy jedną rękę, wojowniczkę zacisnęła palce w pięść.

Rozległ się basowy pomruk i skwierczenie. To Anakin wysunął klingę świetlnego miecza

- Nie! - krzyknęła Mara.

Nie wahając się ani sekundy, Yuuzhańska wojowniczkę przejechała sobie pazurem po gardle. Trysnęła struga czarnej krwi. Cilghal podbiegła do laboratoryjnego stołu.

Trzymając w palcach pletwiastej dłoni tampon z synciałem, starała się dosięgnąć drugą ręką ampułki z płynami. Jeden z laborantów chwycił więźniarkę za uwolnioną rękę i po chwili udało mu się ją unieruchomić. Chirurgiczny android, któremu Cilghal kazała stać w kącie, aby Yuuzhanka go nie zauważyła, podtoczył się do stołu i przystąpił do pracy.

Mara wypuściła z płuc długo wstrzymywany oddech. Miała nadzieję, że skanery zarejestrowały jakieś przydatne informacje. Ona sama zresztą też coś skorzystała... nabrała większego szacunku dla bojowych szponów. Zamierzała się upewnić, że doktor Eicroth nie zapomni wspomnieć o tym w swoim raporcie.

Godzinę później, już po północy, siedziała przy stole i zapoznawała się z treścią tego raportu oraz z zarejestrowanymi przez medyczne skanery wynikami badań. Więźniarka zdołała jednak wykrwawić się na śmierć, a Mara kazała Anakinowi wsiąść do śmigacza i polecieć do domu. Teraz obok żony stał Luke. Wodził palcem po liniach pozostałych po wielokrotnych pęknięciach czaszki. Ciekawa jego reakcji, Mara od czasu do czasu na niego zerknęła. Przed wielu laty twarz męża zmasakrowało lodowe stworzenie, wampa. Mara zastanawiała się, czy obce istoty zgodziłyby się poddać kuracji w zbiorniku bacta. Zbiornik nie był przecież skomplikowanym urządzeniem. To tylko pojemnik z płynem zawierającym różne mikroorganizmy.

Zapewne nie. Yuuzhanie chlubili się bliznami.

- Te szpony to odrębne stworzenia - oznajmiła Mara. Było późno i nie przejmowała się, że przeskakuje z tematu na temat. - Pasożyty, wszczępione w tkankę kostną. To musiało strasznie boleć.

- Yuuzhanie uwielbiają ból - mruknął Luke.

Mara pokręciła głową. Jej złocistorude włosy, uwolnione z objęć kaptura, spływały na ramiona niczym kaskada płynnej miedzi.

- Nie opłacało się ryzykować życia - westchnęła.

- Wykryłaś i unieszkodliwiłaś jednego yuuzhańskiego szpiega - zauważył mistrz Jedi. - I odkryłaś sposób zabijania amphistaffów.

- To wszystko za mało.

- Maro! - krzyknął na nią Luke. Wyczuła w jego głosie irytację. - To cud, że jeszcze trzymasz się na nogach! Czy nie cieszą cię niewielkie zwycięstwa?

Szczupły i zwinny dzięki intensywnej gimnastyce i łaćm ćwiczeń z mieczem świetlnym, Luke odniósł w życiu co najmniej kilka obrażeń. Prawdę mówiąc, jego prawa dłoń była protezą. Mimo to mistrz Jedi miał w sobie tyle ciepła i wrażliwości, że Mara zazwyczaj o tym zapomniała.

- Chyba znasz mnie na tyle dobrze, że nie musisz pytać - mruknęła Mara, odwracając się znów w stronę skanerów. - Spójrz na jej system nerwowy. Absolutnie wszystkie mikroelektromagnetyczne pola są zdublowane. Jeżeli Yuuzhanie uwielbiają ból, ich organizmy są jakby do tego stworzone.

- Może właśnie dlatego ładunki ogluszające nie wyrządzają im żadnej krzywdy - zasugerował Skywalker.

- Punkt dla ciebie - mruknęła żona, nie odrywając wzroku od zarejestrowanych wyników badań.

Luke uśmiechnął się i też podszedł bliżej skanerów.

- Nie miała tyłu połamanych kości ani blizn, ile tamta, którą badali na Bimmiel - zauważył.

- Nietrudno to wytłumaczyć - powiedziała Mara. - Na przeszpiegi wysyłają młodych wojowników, żeby mogli się wyróżnić i okryć sławą.

Zacisnęła usta, żeby stłumić ziewanie.

Luke dyskretnie przeniósł wzrok na samicę rasy Yuuzhan Vong.

- Wielkie dzięki - mruknęła oschle jego żona. - Nie musisz udawać przede mną, że niczego nie widziałeś. To prawda, miałam ciężki dzień i jestem zmęczona. Chyba najwyższy czas wracać do domu i kłaść się spać.

Luke zaparkował ścigacz na dachu. Pierwszy wśliznął się do kabiny i zajął miejsce pilota. Jego żona nie miała nic przeciwko temu. Pałac Imperialny, gdzie mieszkali, dzieliła od centrali Wywiadu niewielka odległość, pokonanie jej wymagało jednak włączenia się do ruchu powietrznego. Mara spojrzała na nieprzerwaną linię światel pozytywnych umieszczonych na końcach skrzydeł i ogonach pojazdów.

- Oddajesz się wspomnieniom? - zapytał Luke, kiedy wystartował.

Mara poprawiła kołnierz bluzy. Wzdrygnęła się, ale miała nadzieję, że winowajcą jest chłodne nocne powietrze. Pamiętała jednak, że zawsze, ilekroć poprzednio znalazła się w pobliżu Yuuzhanina, stan jej zdrowia ulegał niewytłumaczalnemu pogorszeniu.

- Ani mi to w głowie - powiedziała.

Skywalker nauczył się szanować jej milczenie. Rozumiał, że zdarzały się chwile, kiedy żona po prostu nie ma ochoty niczego wyjaśniać. Zapewne teraz także o czymś rozmyślała. Wylądował i zaparkował ścigacz tak zrećnie, jak przystało na kogoś, kto ma licencję wojskowego pilota. Jakiś miesiąc czy dwa wcześniej dopilnował zresztą, by mu ją przedłużono. Zgodnie z przepisami, nadal miał prawo pilotować każdą jednostkę, jaką przeciwko Yuuzhanom zdołała zmobilizować Nowa Republika - może z wyjątkiem kalamariańskiego okrętu liniowego.

Można było mieć pewność, że Skywalker zawsze postępuje zgodnie z regulaminami i przepisami.

Korytarz skrzydła pałacu, gdzie mieszkali, wyłożono deseczkami z egzotycznego drewna, rzeźbionymi w fantazyjne zawijasy, żeby tłumić echo kroków na waylandzkich marmurowych płytkach posadzki. Mara, z obiema rękami w kieszeniach bluzy, trzymała się o krok czy dwa za mężem. Zaczekała, aż Luke otworzy drzwi ich mieszkania, niepozorne, ale tak wysokie, że mogłaby przez nie przejść wyprostowana osoba o ponad metr wyższa niż ktokolwiek ze Skywalkerów.

Mara zamknęła drzwi i rzuciła długą bluzę na nieruchomego domowego androida. Z lewej strony, gdzie było stanowisko ładowania zasobników energii, napłynęła seria powitalnych pisków i świergotów. Luke pozdrowił mechanicznego przyjaciela kilkoma równie radosnymi piknięciami. - Jak się masz, Artoo - powiedział.

Apartament Skywalkerów był niewielki i skromny, ale elegancko urządzone. Mara lubiła mieszkać w centralnej dzielnicy miasta. Zeszła po trzech stopniach i stanęła

przed wielkim transpasteralnym oknem, aby popatrzeć na panoramę wysokościorców Coruscant. Właśnie zachodził księżyc, ale między nim a horyzontem wyrastały iglice nowo budowanych domów.

Mara ziewnęła. Oparła się ramieniem o ścianę i zapatrzyła na wielką tarczę księżycy. Stopniowo opadał ku iglicom; pogrążając się w wiszącej nad miastem mgiełce, wydawał się coraz większy, bledszy i bardziej rozmyty. Mara pomyślała, że w tych trudnych czasach nawet zwykłe zachody księżycy wyglądają złowieszczo i ponuro. Zastanawiała się, czy gdyby wrogowie przekształcili Coruscant na ten sam sposób co Belkadan, niebo wokół zachodzącego księżycy miałoby nadal te same barwy.

Poczuła, że chwytają ją w tali silne ręce.

- Idziemy spać? - mruknął jej Luke do ucha. Mara przycisnęła jego dłonie do ciała.

- Jeszcze minutkę.

- Stało się coś złego?

- Nie.

Uświadomiła sobie, że odpowiedziała bez zastanowienia. Luke musiał to także zauważyć. Mimo to, nie wiadomo z jakiego powodu, powtórzył pytanie.

- Czuję się nadal nieprzyzwoicie dobrze - odrzekła.

- A jednak... coś cię dręczy-oznajmił Skywalker. - A jeżeli chcesz wiedzieć, to nie, nie posłużyłem się Mocą, by to wyczuć. Po prostu wiem.

- Doskonała robota - mruknęła, chociaż zamierzała go urazić. - Niepokoję się, ale nie o siebie. Spójrz przez okno. Ile tysięcy mieszkań widzisz? Jak bezpieczni... naprawdę bezpieczni... mogą się czuć ich mieszkańcy?

Luke oparł brodę na ramieniu żony. Nie odpowiedział, ale jeszcze mocniej ją objął.

- Mieszkańcy wielu planet Rubieży stracili swoje domy – ciągnęła Mara. - Stracili całe światy. Nie myślą o niczym innym oprócz tego, jak przeżyć. Co to za życie?

Nie oczekiwała odpowiedzi, a Luke nie powiedział ani słowa. Nauczyłeś się czegoś, Skywalker! - pomyślała. Widocznie jej mąż domyślał się, że jeszcze nie skończyła.

- Jesteśmy Jedi. Chronimy życie - rzekła po chwili. - To bardzo szlachetny cel, ale chyba nie o to nam chodziło. Nie o taki rodzaj życia, jakie wiodą ci nieszczęśnicy.

- Nie możemy wyręczać ich w dokonywaniu wyborów - odezwał się Luke. - Od jak dawna mi to powtarzasz?

- Od wielu lat - przyznała żona. - I nadal uważam, że mam rację. Myślę o istotach, których całe życie wypełniają strach, ból i cierpienia. Czy ich sytuacja jest o wiele lepsza niż los niewolników, zmuszanych do hodowania we własnych ciałach koralowych pasożytów?

Luke znów nie odpowiedział, tylko objął ją mocniej. Mara musiała sama udzielić sobie odpowiedzi.

- Rzecz jasna, jest lepsza - przyznała. - Nie cierpią i nie umierają. Tylko czy nigdy się nie zastanawiałeś... a może po prostu wiesz, jaki wpływ na Moc wywierają te wszystkie okropności i gwałty? Groźba inwazji budzi frustrację i przerażenie. Ciemna strona urasta w siłę. Co może się jej przeciwstawić?

- Skromne marzenia - odparł Skywalker. - Drobne sukcesy. Radości życia.

Mara wpatrzyła się w zachodzący księżyc.

- To zupełnie jak z nami - rzekła. - Tyle że przeżywamy to wszyscy.

Luke jedną ręką pogładził jej ramię.

Mara przekrzywiła głowę.

- Odnoszę wrażenie, że samo chronienie tych, którzy jeszcze żyją, wiedzie nas w ślepej uliczce - powiedziała. - Tylko jaki mamy wybór?

- Możemy dalej służyć ludziom... każdego dnia, póki sami żyjemy - szepnął Luke, nie chcąc psuć nastroju, jaki w nich budził gasnący blask księżycy. - Możemy nadal bronić istot, które nie mogą się obronić same. I oddać za nie życie, jeżeli nie znajdziemy innego wyjścia. Jak Chewie.

Mara cofnęła się i przytuliła do męża.

- Przeżyłam upadek Imperium - zaczęła cicho. - Straciłam źródło utrzymania. Musiałam żyć dalej, kiedy zginął człowiek, któremu służyłam i którego kochałam. Mogę przeżyć także upadek Nowej Republiki. Kocham stabilność i spokój... a przy okazji, kocham ciebie.

Luke objął ją mocniej, ale nie odpowiedział.

- Tyle że po prostu... samo życie to nie wszystko - ciągnęła. - Czy ty tego nie rozumiesz? Staramy się tylko... zapobiegać zabieraniu życia.

- Jeżeli chodzi o moje życie, bardzo je wzbogaciłaś - odrzekł łagodnie. - Pora odpocząć. Co o tym sądzisz?

ROZDZIAŁ

7

Wokół ekranu namiernika we wzmocnionej chacie ośrodka łączności stłoczyli się Jacen, Han i Rynka Piani. Obserwowali jasny punkt, który z każdą chwilą się powiększał. W kącie niewielkiego pomieszczenia pochrapywał Hutt Randa, a Droma wyglądał przez wypukły jak bąbel iluminator. W końcu Jacen doznał uczucia, które trudno byłoby określić inaczej niż swędzenie w mózgu.

- To z pewnością Jaina - zawyrokował. Han splótł ręce na piersi i zmarszczył brwi.
- Jak się czuje? - zapytał. Jacen przeanalizował to, co czuł.
- Jest wściekła - oznajmił ponuro.

Na lądowisku osiadł szpitalny transportowiec. Wyciągnął się ku niemu gruby, giętki rękaw cumowniczy -jeden z niewielu, jakimi dysponowała Trzydziestka Dwójka. Jacen i Han podeszli do dolnej krawędzi opuszczonej rampy i cierpliwie czekali na otwarcie wjazdu. Pierwsza w ciemnym otworze ukazała się kalamariańska pilotka. Nosiła mundur z trzema kołami - oznaką służby medycznej Nowej Republiki. Miała długie, szczupłe, podobne do pletw ręce.

- Kapitan Solo? - zapytała.

Han ruszył ku niej.

- Mam nadzieję, że moja dziewczynka jest cała i zdrowa - powiedział. Jego głos odbił się we wnętrzu rękawa dziwnym echem.

- Pomaga jej pielęgniarka. - Kalamarianka wyciągnęła ku niemu elektroniczny notes. - Proszę tu podpisać.

- Mowy nie ma - mruknął Solo. - Najpierw chcę ją zobaczyć.

Obserwując otwarty wjazd zza pleców ojca, Jacen zobaczył w nim jeszcze jedną osobę. Była ubrana w ciemnoszary lotniczy kombinezon i miała dziwnie krótko obcięte włosy. Połowę twarzy Jainya przysłaniała maska.

Dziewczyna odtrąciła na bok wyciągniętą do niej rękę androidea-pielęgniarki.

- Sama zejść po rampie - burknęła. - Cześć, tato. Witaj, Jacenie. Dzięki, że przyszliście pozbierać kawałki tego, co ze mnie zostało.

Lekko utykając, zeszła na lądowisko. Han porwał ją w objęcia, uniósł do góry i zakolysał z boku na bok. Jacen także objął siostrę i delikatnie ją uściskał. Pomyślał, że powinien uważać, dopóki nie dowie się czegoś więcej o jej obrażeniach.

Jaina jednak się tym nie przejmowała. Odwzajemniła uścisk, a przy okazji wbiła czubki palców w jego bicepsy.

- Nie jestem kruchą roślinką - burknęła.

- Tu znajdzie pan instrukcje, jak z nią postępować - odezwała się automatyczna pielęgniarka, wręczając Hanowi inny notes.

Jaina odwróciła głowę. Spomiędzy zwojów bandaża na jej czole wystawały dwa obiektywy z przyciemnionymi soczewkami, przewody łączyły je z jakimś urządzeniem. Jacen miał nadzieję, że lekarze nie musieli wszczepiać w kości czaszki siostry niczego, co pomagałoby albo przyspieszało odzyskiwanie wzroku.

- Widzisz na tyle dobrze, że mnie rozpoznajesz - skostatował. - Nie jest z tobą tak źle, jak się obawiałem.

- Rozróżniam was za pośrednictwem Mocy - wyjaśniła dziewczyna. - Na razie rozróżniam tylko ciemność i światło. Mimo to mój wzrok się poprawia. - Zacisnęła usta na chwilę. - Rozróżniam kształty na taktycznej tablicy. Odsyłanie mnie tu to tylko strata paliwa... chyba że wiecie coś, o czym mi nie powiedziano. - Splotła ręce na piersiach i spiorunowała spojrzeniem brata bliźniaka. - Może mam na przykład zaraz umrzeć, a lekarze uznali, iż nie powinnam o tym wiedzieć?

- Nic podobnego! - wykrzyknął chłopiec. Nie potrafił się opanować; uwolnił myśli i zapuścił je w głąb Mocy. Wyczuł obecność siostry... pulsowała jaskrawoczerwonym blaskiem, bardziej przypominającym żarzące się węgle niż płomienie. - Nie, powoli wracasz do zdrowia. Lekarze po prostu nie chcieli ryzykować. Obawiali się, że jeżeli weźmiesz udział w akcji, twój stan może się pogorszyć. A może nie chcieli, żebyś stanowiła zagrożenie dla kogoś innego - dodał, starając się odepchnąć jej gniew na bok. Stojąc obok siostry, odnosił wrażenie, że jest zdenerwowana. Odczuwał to jak drżenie gruntu pod stopami.

- No nie, ty też? - zapytała rozczerowana Jaina.

Ściągnęła maskę z głowy i zbliżyła twarz do twarzy brata. Jej gałki oczne były lekko zamglone, a w żrenicach pojawił się nowy odcień szarości.

Kiedy Han złożył wszystkie niezbędne podpisy i skończył załatwiać formalności, podszedł do córki i wziął ją za rękę.

- Chodźmy do środka, kotku - powiedział beztrąsko. - Pokażę ci, gdzie będziesz mieszkała. Później jednak muszę wracać do przepompowni.

Znalazł dla niej wolną pryczę w chacie zamieszkiwanej przez samotną starszą Rynkę. Jej mąż zginął podczas ataku Yuuzhan na krążącą wokół planety Ord Mantell stację Koło Fortuny. Istota była zachwycona, że wreszcie będzie miała towarzystwo. Kiedy Han wrócił do pracy, Jaina niechętnie pozwoliła bratu upchnąć pod drugą pryczę niewielki worek z jej osobistymi rzeczami. Odwróciła głowę w stronę małego okna.

- Widzę całkiem nieźle, jeżeli jest wystarczająco jasno - powiedziała.

- W Trzydziestce Dwójce będzie z tym pewien kłopot - wyznał Jacen. - Chmury są tak grube, że przez kopułę nie przedostaje się wiele światła. A wskutek oszczędności SENKI każda chata ma tylko jedno drzwi i jedno okno. Dobrze chociaż, że trochę światła wpada przez panele w suficie - dodał, pokazując mały świetlik.

Chaty nie mogłyby się ostać, gdyby nie kopuła. Wystarczyłaby jedna porządna burza, żeby silny wiatr zdmuchnął dachy, a strugi deszczu wypłykały zaprawę ze szpar między glinianymi ceglami, które wzmacniały synplastowe ściany.

- Ile czasu potrzeba, żeby przyzwycząić się do smrodu? - zainteresowała się Jaina.

Jej brat uśmiechnął się w duchu. Zerknął na siedzącą na drugiej pryczy starszą Rynkę. Domyślił się, że siostrze chodzi nie tylko o niezbyt świeże powietrze. Ciało Rynów także wydzielają specyficzną woń...

- Częściowo to moja zasługa - odezwała się prosto z mostu Clarani.

- Niecały dzień - szybko odpowiedział siostrze Jacen. - Wiesz, Clarani, to nie twoja wina. Po prostu istoty twojej rasy mają specyficzną przemianę materii.

Jaina powoli pokręciła głową.

- Przepraszam - powiedziała. - Powinam być ci wdzięczna. To bardzo szlachetnie i uprzejmie, że zgodziłaś się mnie przygarnąć. Z pewnością nie chciałyś dzielić swojej chaty z jakąś niewdzięcznicą.

- Nie przejmuj się. - Clarani zamaszystym gestem zaprezentowała wnętrze chaty od półprzymkniętych drzwi, przez które wpadało trochę światła, do niewielkiego okna, gdzie stał prymitywny regał z pięcioma czy sześcioma półkami. - Zaczynałam mieć dość samotności.

Kiedy Jaina uniosła rękę, by poprawić maskę, Jacen zauważył, że lekko drżą jej palce. Pomyślał, że przeżyła naprawdę trudne chwile.

- Opowiedz mi, co się stało - zaczął tonem swobodnej konwersacji. - Na kogo polowały Łobuzy i kto przysmażył twój X-skrzydłowiec.

- Ja sama - przyznała dziewczyna. - To w tym wszystkim najsmutniejsze.

- Ty?

Jaina westchnęła.

- Ścigałam koralowego skoczka - oznajmiła. - W przestworzach Kalarby.

- Tak nam powiedziano - odparł chłopiec. - Wnioskuje sąd, że straciliśmy także planetę Druckenwell, prawda? Jeśli dobrze pamiętam, właśnie tam Imperium miało ważne ośrodki przemysłowe.

- Straciliśmy także Falleena - uzupełniła siostra bliźniaczka. - Nieprzyjaciele zapuścili się w okolice Rodii. Zupełnie jakby walili nas po głowach obuchem młota. Coraz mocniej i mocniej.

- Nie do wiary - mruknął Jacen. - Zastanawiam się, czy Falleenowie walczyli w obronie swojej planety do ostatniej kropli zielonej krwi. A może wykorzystali niesławne feromony, żeby nakłonić Yuuzhan do pozostawienia im chociażby namiastki wolności?

Jaina nie wdawała się w szczegóły, a Jacen uznał, że nie powinien jej wypytywać.

- Znalazłam się zbyt blisko atakowanego krążownika - oznajmiła. - Kiedy eksplozował... no cóż, trochę mnie napromieniowało. Jeszcze kilka tygodni i nie powinno

pozostać po tym ani śladu. Miałam szczęście w nieszczęściu. Nie przydarzyło mi się nic nieodwracalnego.

- To dobrze.

W rewanżu za opowiedzenie tej historii Jacen wyjaśnił siostrze w kilku zdaniach, na czym polega uzdatnianie wody. Czerpano ją z głębin prastarego kopalnianego szybu, dokąd napływała pełna toksycznych zanieczyszczeń. Opowiedział o nominalnej współpracy Trzydziestki Dwójki z kolonią Gateway, położoną u stóp niewysokich i wyprazonych do cna pagórków, a także o problemach z dostawami zaopatrzenia. Spółka Transportowa CorDuro podpisała z SENKĄ porozumienie na dostarczanie potrzebnych towarów do przykrytych kopułami osad. Chyba jednak nie wywiązywała się najlepiej z obowiązków. W poprzednim miesiącu dwa transporty w ogóle nie dotarły do miejsca przeznaczenia, a siedem wcześniejszych miało duże opóźnienia.

- Mamy tu mnóstwo pracy i problemów - podsumował. - Zwłaszcza natury technicznej. Ale na tym znasz się najlepiej.

Jaina parsknęła.

- Niech zajmuje się nimi ktoś, kto nie wie, jak przechwytywać i niszczyć koralowe skoczki - burknęła. - Zabierają nam galaktykę. Wojsko potrzebuje wszystkich pilotów zdolnych do dalszej walki. Ty także powinieneś nam pomagać. Ty i tata.

Jacen pomyślał z niepokojem, że ton jej głosu - gniewny i napastliwy - za bardzo przypomina mu narzekania Randy. Przypomnił sobie swoją wizję i możliwe konsekwencje poślizgnięcia się albo zrobienia kroku w niewłaściwą stronę.

- Zamiast siedzieć w tej zapadłej dziurze i pomagać bezbronnym uchodźcom? - wtrąciła się Clarani. - Zastanów się jeszcze raz, młoda damo. Kogo chciałaś ratować, walcząc w przestworzach? Kiedy starałaś się zniszczyć jak najwięcej koralowych skoczków, z pewnością nie szukałaś tylko sławy albo mocnych wrażeń.

- To prawda. - Jaina kiwnęła głową. Zdumiony Jacen stwierdził, że siostra odczuwa coś w rodzaju wyrzutów sumienia. - Obawiam się także trochę... że kiedy znów siądę w kabinie X-skrzydłowca, mogę zawieść.

- Każdy, ale nie ty - oświadczył stanowczo jej brat bliźniak.

- Coś we mnie się zmieniło - wyznała dziewczyna, gładząc czubkami palców ciemnoszary materiał lotniczego kombinezonu. - Czy powiedzieli wam, że straciłam Sparky'ego?

- Nie. - Jacen odwrócił się do Rynki i wyjaśnił: - Sparky był jej osobistym astro-mechanicznym robotem. Latała z nim...

- Od bardzo dawna - dokończyła Jaina. - Na tyle długo, że zaczynałam ufać mu bez zastrzeżeń. Dobrze wiem, że to tylko automat, ale... znaczył dla mnie naprawdę wiele.

Przygarbiła się i posmutniała. Jacen pokręcił głową.

- Nigdy nie miałam na własność żadnego automatu - odezwała się Clarani. - Może dlatego nie potrafię okazać ci współczucia. Uważam jednak, że zanim ta wojna dobiegnie końca, wszyscy stracimy część z tego, co jeszcze nam zostało.

- Wyrzuciło cię w przestworza? - zapytał Jacen, odwracając się znów w stronę siostry.

Jaina kiwnęła głową.

Jej brat zacisnął wargi. Jaina straciła myśliwiec i znalazła się w próżni. I jedno, i drugie musiało pozostawić w jej psychice paskudne ślady. Pozbawiło ją złudnego przeświadczenia o własnym bezpieczeństwie, dzięki któremu piloci tak chętnie wskakiwali do kabin gwiazdnych maszyn. Podświadomość kazała im wierzyć, że nie przydarzy im się nic złego - że nieszczęścia spotykają tylko innych pilotów. Nieszczęśliwe wypadki przytrafiały się tym, którzy nie byli dość szybcy, mądrzy, celni albo przebiegli. Jacen spojrział na maskę siostry.

- Chcesz coś zjeść? - zapytał. - Część smrodu w powietrzu pochodzi od tego, co dostaniemy na kolację.

Jaina pokręciła głową.

- Znalazłam się w innej strefie czasowej i mój biologiczny zegar jeszcze nie zdążył się przestawić - rzekła ponuro. - Tam, skąd przyleciałam, jest teraz prawie północ. Najbardziej chciałabym się przespać.

Jacen ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Chcę cię prosić o przysługę - dodała po chwili milczenia siostra. Uniosła głowę i spojrzała w oczy brata. Jacen wyczuł subtelną zmianę jej emocji. - Chciałabym spędzić tę noc, pogrążona w leczniczym transie. Pomóż mi go osiągnąć. Wepchnij mnie. W przeciwnym razie nie pograżę się tak głęboko, jak bym chciała.

Młodzieniec się zawahał.

- Wiem - odezwała się Jaina. Jacen odnosił wrażenie, że siostra, bez względu na to, ile widziała, nie przestaje wpatrywać się w jego oczy. -Cała galaktyka wie, że usiłujesz wyrzec się władania Mocą. Ale tu chodzi o mnie, o twoją siostrę. Muszę wrócić do zdrowia.

- Masz rację. - Zakłopotany brat postanowił odrzucić wszelkie zastrzeżenia. - Pomogę ci. Musisz jednak wiedzieć, że umocniłem się w swoim postanowieniu.

- Dlaczego? - zdziwiła się Jaina. Gdy tak przekrzywiwała głowę i marszczyła brwi, wyglądała zupełnie jak ich mama.

- Miałem... pewną wizję.

Opowiedział jej wszystko, co zobaczył.

Jaina słuchała go w milczeniu i tylko od czasu do czasu kiwała głową. Kiedy skończył, mimo wszystko powtórzyła prośbę o pomoc. Jacen nie mógł jej odmówić. Wkrótce potem jego siostra zapadła w głęboki kojący półsen. Jej piersi wznosiły się i opadały z tak dużymi przerwami, że postronny obserwator mógłby się przerazić i pomyśleć, że dziewczyna w ogóle nie oddycha.

Gdy Jacen wniknął w siostrę myślami, przekonał się, że jej nogi, prawy bok i lewą dłoń poddawano długotrwałym zabiegom. Szczególnie intensywny strumień energii przepływał przez jej oczy. Płyn bacta i jego kojące mikroorganizmy tak świetnie poradziły sobie z jej obrażeniami, że po ranach nie powinny pozostać żadne blizny. Wkrótce Jaina powinna również przestać utykać.

Byłbym niezłym uzdrowicielem, pomyślał Jacen; czyżby miał z tego powodu odczuwać wyrzuty sumienia? Znał jednak odpowiedź na ten zarzut. Sam fakt, że umie coś dobrze robić, jeszcze nie oznaczał, że musi to się stać celem jego życia. Wiele osób

mówiło mu, że ma wielkie szczęście, ponieważ został obdarzony tyłoma „darami”. Tylko że to on musiał podejmować decyzje.

Następnego ranka zobaczył siostrę, jak przesuwając dłonią po szorstkiej ścianie pobliskiej chaty, kuśtyka obozową alejką w kierunku stołówki. Wziął ją za drugą rękę i pomógł trafić do celu wędrówki. Wokół pięciu istot płci żeńskiej, obsługujących nieruchome gary z parującymi potrawami, zgromadzili się chyba wszyscy pozostali Rynowie. Jaina wciągnęła powietrze.

Jacen dotknął jej łokcia i zaprowadził siostrę na sam koniec kolejki.

- Wygląda jak... - zerknął do najbliższego gara - mniem, mniem, śniadaniowa papka z phraigów! - Ściszył głos prawie do szeptu i zbliżył usta do ucha dziewczyny. - SENKA musiała podpisać umowę na dostawy wszystkich zapasów phraigów, jakie znajdowały się w magazynach całej planety...

Urwał, kiedy zobaczył, że zerka na nich najbliższa kucharka.

- Pilotka Eskadry Łobuzów! - zawołała.

Głowy stojących w kolejce Rynów odwróciły się w ich stronę. Także dwoje uskrzydłonych Vorsów zwróciło na nich osadzone w spiczastych twarzach oczy. Rodzina istot ludzkich odstawiła na bok talerze z jedzeniem i powitała Jainę oklaskami i radosnymi okrzykami.

Dziewczyna zacisnęła wargi.

- Prosimy na czoło kolejki, młoda damo! - odezwała się kucharka. - Zapewne nie możemy pomóc twoim kolegom z eskadry, ale gdy do nich wrócisz, powiedz, że Camarata im dziękuje.

Jaina chciała zaprotestować, ale brat szturchnął ją łokciem w plecy.

- Ci uchodźcy nie mogą okazać ci wdzięczności w inny sposób - powiedział. - Większość straciła wszystko, co miała. Jeżeli uważasz, że nie zasługujesz na ten zaszczyt, pozwól im chociaż złożyć hołd Eskadrze Łobuzów.

Trzymając siostrę za łokieć, powiódł ją na czoło kolejki. Przytrzymał jej talerz, by kucharka mogła nałożyć pełną warzuchew gotowanych na parze ziaren zmieszanych z kawałkami suszonych owoców.

Zaczekał, aż Rynka nałoży taką samą porcję dla niego, a potem drugą ręką chwycił dwa kubki z gorącą imitacją kafeiny.

Usiedli na długiej i grubej durbetonowej belce. Jaina chwyciła łyżkę w połowie długości i włożyła do ust niewielką porcję papki.

- Mdłe, ale znośne - oceniła. - Przepraszam, że poprzedniego wieczoru byłam taka przygnębiona.

- Przeżycia ostatnich dni musiały cię sporo kosztować - przyznał współczująco Jacen.

Jaina pokiwała głową.

- Cały braciszek - powiedziała. - Zawsze starasz się zrozumieć czyjś punkt widzenia.

Młody człowiek uśmiechnął się z przymusem. Mniej więcej od dwóch lat siostra była wyższa od niego.

Jaina pokręciła głową i zaraz zwróciła ją w inną stronę. Jacen ujrzał w soczewkach obiektywów odbicie rodziny Rynów, siedzących na sąsiednim bloku durbetonu.

- Nie znoszę tego - rzekła po chwili. - Wszyscy traktują mnie jak starszą siostrę. Jak mistrzynię sztuki pilotażu. Czy wiesz, że przez ostatnie trzy tygodnie zniszczyłam prawie tyle koralowych skoczków, ile najlepsi piloci mojej eskadry? Masz pojęcie, co to dla mnie znaczy?

- Tak - przyznał poważnie Jacen. - Jesteś jednym z najlepszych pilotów, jacy siedzieli za sterami X-skrzydłowca.

- Boję się, że to stracę, Jacenie.

- Pewnie, że się boisz - przyznał beztrąsko brat. - Ale zapoznałem się wczoraj z twoimi prognozami. Wszystko wskazuje, że odzyskasz wzrok. I to szybko.

- Jeżeli to prawda, dlaczego mnie tu odesłali? - zapytała dziewczyna, ścisząc głos do szeptu.

- Już ci to wczoraj powiedziałem - przypomniał Jacen. - Ośrodki medyczne pękają w szwach, tak są przepelnione.

- Taa - mruknęła niezupełnie przekonana Jaina. - A czy wiesz, że nie mogli się skontaktować z mamą?

- Właśnie tego nie rozumiem - przyznał.

- No cóż, to prawda, że na poszukiwania nie poświęcili wiele czasu - rzekła Jaina.

- Mam nadzieję, że nie przydarzyło się jej nic złego.

- Wiedzielibyśmy, gdyby... - Jacen nie dokończył zdania.

- Ciekawa jestem, gdzie przebywa.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Zapewne zajmuje się uchodźcami. Może nawet tu, na Duro, a my o tym nic nie wiemy. Łączność kablowa jest niepewna, a powietrze zbyt zanieczyszczone, żeby dało się utrzymać kontakt wzrokowy. A jeżeli chodzi o łączność satelitarną, wciąż jeszcze nie otrzymaliśmy porządnej anteny, którą obiecała przysłać SENKA.

Jaina skończyła jeść papkę i zaczęła wodzić czubkami palców po powierzchni durbetonu, usiłując natrafić na kubek ze sztuczną kafeiną.

Jacen pchnął kubek w jej stronę. Zauważył kątem oka, że w pobliżu wejścia coś się poruszyło. Podążyła stamtąd ku nim wielka jasnobrażowa istota.

- Oho - mruknął cicho.

- Co się stało? - Jaina odwróciła głowę.

- To Randa - odparł pospiesznie jej brat bliźniak. - Jedyne uchodźca Hurt w naszej kolonii. Pragnie zemścić się na Yuuzhanach. Będzie usiłował nakłonić cię do uczestnictwa w realizacji swoich planów. Próbował już tego ze mną. Odmówiłem.

- Powiedz mu, że i ja się nie zgadzam.

- Sama mu to powiedz - mruknął Jacen. - Za chwilę tu będzie.

ROZDZIAŁ

8

Dwa dni później Jacen poprawił tlenową maskę i oparł się o durbetonową ścianę obok głównej bramy Trzydziestki Dwójki. Cierpliwie czekał na przylot transportowego wahadłowca spółki CorDuro. Wierzchołek szarej kopuły niknął w gęstej mgłę i w ciemnych chmurach. SEN-KA nie miała dość kredytów, aby wyposażyć w kosmiczne skafandry wszystkich uchodźców, więc zapewniła im tylko odporne na działanie agresywnych składników atmosfery lekkie kombinezony, a także nieporęczne aparaty do oddychania, podobne do tego, z którego korzystał Jacen. Zdarzały się chwile, kiedy młodzieniec z przyjemnością rzuciłby wszystko i odleciał.

Przypomniał sobie propozycję Randy, ale doszedł do wniosku, że postąpił słusznie. Dobrze, że ją odrzucił. Gdyby uciekł się do przemocy, zdradziłby wszystko, co przysięgał chronić - nie wspominając o możliwym urzeczywistnieniu własnej wizji.

Tylko czy mógł brać udział w tej wojnie, nie posługując się Mocą?

Na prawo od niego - obok krawędzi mrocznego krateru, wypalonego przez gazy wylotowe lądujących i startujących transportowców - spoczywał szczelnie zamknięty i złożony rękaw cumowniczy. Jacen wiedział, że rozciągnięcie rękawa umożliwi wyładowanie towarów z wnętrza transportowca. Trzydziestka Dwójka miała otrzymać transport chemicznych nawozów, niezbędnych do hydroponicznej uprawy różnych roślin. Jeżeli go nie dostanie, zaopatrzenie kolonii w żywność stanie pod znakiem zapytania. Hodowane rośliny po prostu nie wydadzą plonu.

Jacen nie musiał uciekać się do korzystania z Mocy, żeby zrozumieć, iż transportowiec nie przyleci. Zmarszczył brwi, odwrócił się i wśliznął do zmodyfikowanej śluzy głównej bramy. Zaczekał, aż strugi sprężonego powietrza usuną z jego kombinezonu drobiny kurzu i pyłu. Zdjął buty i obmył podeszwy pod strumieniem odkażającej cieczy, a potem udał się do ośrodka łączności.

- Nie przylecą - usłyszał na powitanie basowy głośny pomruk.

Randa usadowił się dokładnie naprzeciwko stanowiska kontrolnego. Na podłodze siedzieli ze skrzyżowanymi nogami dwaj niemłodzi mężczyźni. Aby zabić czas, oddawali się grze w płytki. Przez bąbel obserwacyjny za ich plecami było widać lądowisko z wypalonym pośrodku ciemnym kraterem.

- Masz jakieś wieści z planety Nal Hutta? - zapytał łagodnie Jacen, chcąc zmienić temat rozmowy.

- Wspaniały Klejnot jest od czasu do czasu bombardowany z orbity - odparł gniewnie Randa. - Pociski eksplodują w atmosferze. Wprawdzie moi ziomkowie, posługując się zdalnie sterowanymi czujnikami, nie rejestrują żadnych szkód, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Wszyscy dobrze wiemy, jaki los spotkał planetę Ithor.

Jacen zmarszczył brwi.

- Czy twoi ziomkowie opuścili rodzinną planetę? - spytał.

- Wielu członków mojego kajidica ewakuowało się na Gamorrę i Tatooine. Także na Rodię. - Randa rozciągnął szerokie usta w sarkastycznym uśmiechu. - A teraz Rodia jest atakowana.

Chłopiec tylko pokręcił głową.

- Jednak szlachetne czyny miały miejsce na Kubindi - ciągnął młody Hutt. - Tragiczne, ale szlachetne.

- Tak?

Jacen oparł się ramieniem o stojak z aparaturą telekomunikacyjną. Wieści spoza systemu docierały tak rzadko, że był gotów ich wysłuchać, nawet jeśli miał mu je opowiedzieć Randa.

- Chodzą słuchy, że Kyp Durrone i jego Tuzin...

Słyszając to imię, młodzieniec zacisnął dłoń w pięści, ale nie powiedział ani słowa.

- .. powstrzymywali atakującą flotę inwazyjną Yuuzhan tak długo, aż Kubazowie zdążyli ewakuować z powierzchni planety wszystkie zdolne do lotu gwiazdne statki. Nie można nazwać tego wyczynu inaczej niż bohaterским.

„Ostentacyjny” albo „pozerski” byłoby słuszniejszym określeniem, pomyślał Jacen, ale nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Sądziłem, że przebywają gdzieś w okolicach Bothawui - powiedział.

- Przebywali - przyznał Hutt. - Spodziewając się napaści, przeskoczyli przez olbrzymi kawał nadprzestrzeni...

- Posłuchaj, Rando - przerwał mu Jacen. Nie mógł dłużej się powstrzymać. - Nie pochwalam tego, co wyprawia Kyp. W przeciwieństwie do ciebie, nie podziwiam go ani nie sławię jego „czynów”. Jest winien śmierci milionów istot.

Co więcej, może nie wiesz, ale Kyp nie cierpi Huttów, dodał w myśli. Wolał jednak nie mówić o tym rozmówcy. Randa lekceważąco machnął pulchną ręką.

- To dawne dzieje - prychnął. - Był wtedy bardzo młody...

- No cóż, podobnie jak ja teraz - przerwał mu Jacen. - To jeszcze wcale nie oznacza, że podoba mi się to, co robi.

- Co za ponura historia - odezwał się cicho Randa. - Coś strasznego, ten rozłam w zakonie Jedi. A podobno przyrzekaliście bronić innych istot. Nie wywiązujesz się ze zobowiązań, młody Jedi Solo. Dlaczego nie bierzesz przykładu z Wurtha Skiddera? To dopiero wojownik!

Jeszcze raz opowiedział dobrze znaną historię o wyczynach Skiddera na pokładzie Yuuzhańskiego gronostatku. Wspominał o próbach porozumienia z odrażającym

Yuuzhańskim koordynatorem wojennym zwanym Yammoskiem. Podkreślił bohaterską śmierć, poprzedzoną odesłaniem uczestników wyprawy ratunkowej. Powtórzył, że pragnąc pomścić jego śmierć, poprzysiągł wyrzucić na istotach rasy Yuuzhan Vong straszliwą zemstę.

Jacen zaczął się zastanawiać, czego właściwie chce od niego Randa.

Jeśli dobrze się orientuję - ciągnął Hutt - Durrone jest jedynym Jedi, który z bronią w rękach przeciwstawia się Yuuzhanom.

- To tylko część prawdy - zaczął ostrożnie Jacen. - Rycerze Jedi stacjonujący na Coruscant pracują równie ciężko, ale starają się nie zwracać na siebie uwagi. Żadnych fanfar, żadnych sztuczek, żadnego przeciwstawiania się z bronią w rękach...

Randa splunął w kierunku wiadra, stojącego w najciemniejszym kącie pomieszczenia. Wystraszeni gracze w płytki unieśli głowy. Chwilę później, uspokojeni, znów oddawali się ulubionej rozrywce.

- Jak sądzisz, młody Jedi Solo? - zahuczał Hutt. - Jak długo utrzyma się Coruscant, jeżeli w końcu Yuuzhanie zdecydują się przystąpić do ataku?

- To ostatnia planeta, jaką pozwolą im zaatakować kapitanowie okrętów naszych flot - odparł Jacen.

Czasami jednak i on zastanawiał się nad odpowiedzią na to pytanie. To naprawdę oznaczałoby smutny koniec. Przypomniawszy sobie, że w jego wizji wujek Luke stał w pobliżu Coruscant.

- Posłuchaj, Rando - podjął po chwili. - Mistrz Skywalker ma rację. Nie możemy pochopnie posługiwać się Mocą. Musimy wyrzec się gniewu, nienawiści i przemocy. Uleganie żądzy zemsty to pokusa, która sprowadzi nas na drogę zła. Może właśnie dlatego jest równie groźna jak inwazja Yuuzhan.

Randa burknął coś w rodzinnej mowie.

- Naszym celem jest zbieranie informacji - mówił dalej Jacen. - Informacji, które pomogą chronić innych i zaleczą ich rany. Właśnie na tym polega siła dobra, Rando. Tymczasem piloci eskadry Kypa... może jeszcze nie ześliznęli się w objęcia ciemnej strony, ale wszystko wskazuje na to, że znaleźli się na najlepszej drodze.

Randa zacisnął w pięści małe dłonie, nabrał powietrza i wyprostował się na całą wysokość. Dumnie wypiął tors.

- Oszczędź mi bajeczek o ciemnej i jasnej stronie - warknął ze złością. - Jeżeli jesteś Jedi, postępuj jak Jedi albo wynoś się i pozwól innym Jedi robić, czego wymaga od nich ta wojna... chronić innych z bronią w rękach!

- Staram się, jak mogę - oznajmił spokojnie Jacen.

Młody Hutt doszedł chyba do wniosku, że powinien go udobruchać.

- Oczywiście, że się starasz - powiedział pojednawczym tonem.

Jacen postanowił jednak zapamiętać jedną cechę Hutta: w każdej chwili pochlebstwa mogły się przerodzić w wybuch wściekłości. Przypomniawszy sobie, że Randa Besdii Diori jest handlarzem przyprawy, oszustem i kombinatorem.

- Ja także ujrzałem pewną wizję, Jedi Solo - wyznał Hutt. - Mój pomysł dojrzał, a fantazje przerodziły się w konkretne plany. Jeżeli pomożesz mi je urzeczywistnić, okryjesz się wielką sławą.

Jacen przewrócił oczami.

- Mów dalej - zachęcił rozgorączkowanego rozmówcę.

Randa przesunął po wargach wielkim, paskudnym, spiczasto zakończonym jęzorem.

- Widziałem siebie jako wodza piratów. Stałem na czele floty, która napadała na okręty Yuuzhan... wzorem Kypa Durrona.

Jacen zastanowił się, jak zaregowałby Kyp, gdyby się dowiedział, że Hutt uważa go za swojego idola.

- A kto godniejszy mógłby prowadzić moją eskadrę do walki niż Jedi? - Randa coraz bardziej się zapalał. - Na szczęście los postawił u mojego boku takiego rycerza... młodzieńca, który wyrzekł się podążania szlakiem innych Jedi. Widzisz zatem, Jacenie, że muszę tylko wpłynąć na zmianę twojego postanowienia, a potem przekonać cię o słuszności swojego planu.

Zdumiewająco szczerze, jak na Hutta, pomyślał młody Solo.

- W całej Trzydziestce Dwójce nie znajdziesz ani jednego gwiazdznego statku, który nadawałby się do realizacji twojego planu - powiedział.

- To prawda - przyznał Randa. - Ale w Gateway mają kilka szybkich jednostek. Możemy skorzystać z nich, jeżeli chcemy.

- O nie, Randa - obruszył się młodzieniec. - Nie ma mowy. Nie będę kradł i nie zostanę piratem. W dodatku nie wierzę, że ujrzałeś jakąś wizję. Przykro mi. A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym połączyć się z tymi gośćmi na orbicie.

Randa ciężko westchnął, ale zrobił mu miejsce przed pulpitem głównego komunikatora. Jacen wybrał kanał łączności, czekając na połączenie, bębnił palcami po płycie pulpitu. Podejrzywał, że teraz, kiedy Randzie zaświta, że pochlebstwa nie odniosły skutku, młody Hutt zechce uciec się do groźby.

Jak zwykle, najpierw uzyskał połączenie z dowództwem Wojsk Obrony Przestwozry planety Duro. Sztabowcy sprawiali wrażenie bardzo zdenerwowanych. Na szczęście zastał na służbie oficera łącznościowego admirała Wuhta. Mimo to stracił prawie godzinę, zanim przekonał go, że ma ważną sprawę. W tym czasie Randa trzykrotnie wcisnął przez drzwi wielką głowę, by zapytać, czy Jacen coś załatwił.

- Wciąż jeszcze czekam na połączenie z admirałem Dizzlewitem - mrucał młody Jedi za każdym razem.

W końcu, odsyłany od jednego urzędnika do drugiego, uzyskał połączenie z kimś, kto zechciał zająć się jego sprawą. Co więcej, nawet zgodził się sprawdzić raporty. Kilka chwil później oznajmił, że zaginiony transportowy wahadłowiec rzeczywiście wylądował w orbitalnym mieście Bburru. Okazało się, że zaopiekowała się nim Spółka CorDuro. Przesłała nawet własnego pilota, który wystartował z zamiarem udania się do Urr-dorf - najmniejszego miasta, krążącego po orbicie wokół planety Duro.

Oznaczało to, że cały transport został skradziony!

- Wiem, że ciągle sprawdzanie raportów przyczynia panu mnóstwo kłopotów - oświadczył przez zaciśnięte zęby Jacen. - Bardzo dziękuję.

Przerwał połączenie i pstryknął przełącznikiem osobistego komunikatora.

- Tato?

Po kilku sekundach doczekał się odpowiedzi.

- Znalazłeś ten transport, juniorze?

- Przejeli go ci z CorDuro. - W drzwiach ośrodka łączności ukazała się znowu głowa Hutta. Jacen odsunął krzesło od stojaka z aparaturą i gestem zachęcił Randę, aby wszedł do środka. Nie przerwał jednak rozmowy. - Myślę, tato, że to poważna sprawa. Powinieneś przestać oszczędzać paliwo i polecieć na orbitę, żeby jeszcze raz porozmawiać z Wuhtem.

- Nie - sprzeciwił się stanowczo Han. - Oni nie chcą z nami rozmawiać. Wymyślmy coś innego. Może pożyczymy potrzebne rzeczy od tych z Gateway.

Jacen doskonale wiedział, co jego ojciec miał na myśli, kiedy mówił „pożyczmy”.

Nieoczekiwana wiadomość, że ktoś usiłuje się z nim skontaktować, odwróciła uwagę Tsavonga Laha od chóru villipów „Sunuloka”. Spoczywające w komnacie sygnalizacyjne villipy ukazywały transmitowane przez inne stworzenia całe obszary przestworzy. Przekazywane z planety Nal Hutta obrazy przedstawiały rozsiewanie mikroorganizmów. Tsavong Lah wiedział, że bakterie miały przeobrazić ten zapaskudzony i cuchnący świat - a także jego koszmarny księżyc, którego powierzchnię pokrywały odrażające mechanizmy - w coś przyjemnego dla oka, żyzną planetę. Niektóre z tych organizmów, wyhodowane przez prawdziwych mistrzów kształtowników, miały przetwarzając transpatal i metale. Powstały kurz powinien przeniknąć do najniższych warstw gruntu. Zadaniem innych bakterii była przemiana wszechobecnego durbetonu na miążki piasek, zdatny do użyczenia gleby. Jeszcze inne powinny zaatakować materię organiczną planety - nie wyłączając rozpuchniętych cielsk jej mieszkańców, którzy zwali się Huttami. Mistrz wojenny nie wątpił, że już wkrótce planeta i jej księżyc zamienią się w oazy życia.

Tsavong Lah musiał jeszcze się zastanowić, jaką karę wymierzyć porucznikowi Mujmaiowi Iinanowi. Młody Yuuzhanin obiecał zdobyć planetę Kubindi, dysponując o połowę mniejszą niż zazwyczaj liczbą koralowych skoczków. Okrył się jednak niesławą, ponieważ pozwolił, by niewierni ewakuowali z powierzchni planety niemal wszystkie zdatne do lotu gwiazdne statki. W tej chwili Iinan czekał na ogłoszenie wyroku w medytacyjnej komnacie. Jeszcze godzina i stanie przed obliczem bogów.

Tsavong Lah nie znosił, kiedy ktoś odrywał go od pracy, ale raport egzekutora zaśługiwał, żeby zapoznać się ze wszystkimi szczegółami. Mistrz wojenny udał się do osobistej komnaty o ścianach ozdobionych koralowymi rzeźbami. Usiadł i spiorunował spojrzeniem odwzorowaną przez villipa oszołomioną twarz Noma Anora.

- Więc powiadasz, że nie jeden Jeedai, ale troje? - zapytał.

Słyszając te słowa, egzekutor otworzył oczy jeszcze szerzej. Naprawdę bardzo rzadko zdarzało się, żeby Tsavong Lah coś powtarzał.

- Tak, mistrzu wojenny - przyznał z pokorą. - Zauważono ich aż troje.

Yuuzhański dowódca wyprostował się na całą wysokość, uniósł spiczaste ramiona i pochylił głowę.

- Ale nie ty ich zauważyłeś, prawda? - zapytał.

- Moi agenci - przyznał egzekutor. - Jeżeli o mnie chodzi, staram się unikać Jedi.
 - Ich nazwiska - zażądał Tsavong. Zaczynał się odprężać.
 - Nadzorczynią tej kopuły pozostaje nadal Leia Organa Solo. Moi asystenci ostrzegają mnie, ilekroć zbliża się do laboratorium.
 - Twoi asystenci zaczynają stawać się godni.
 - Żałuję, mistrzu, że nie mogę przekazać im twojej pochwały.
 - Kiedy wyzwolimy Duro, możesz mi ich przedstawić.
 Ukazywana przez villipa głowa Noma Anora pochylała się na znak wdzięczności.
 - To dla nas wielki zaszczyt - ciągnął egzekutor. - Na dwójkę pozostałych Jedi zwrócono moją uwagę dopiero tego ranka. Moi agenci w Bburru zapoznali się z treścią kilku pozasystemowych rozmów, jakie przeprowadzono z osady Trzydzieści Dwa na powierzchni Duro. Dzięki temu zdołali ostatecznie ustalić tożsamość pasażerki, która przyleciała nieco wcześniej na pokładzie szpitalnego transportowca. Jest nią córka Organy Solo, imieniem Jaina. Przedstawiciele Spółki Transportowej CorDuro już przedtem donieśli mi, że utrzymują łączność z innym Jedi, także przebywającym w Trzydziestce Dwójce. Jest nim brat Jainy, tchórzem podszyty młody Jedi, który całkiem niedawno uciekł z Coruscant...

Zdezorientowany Tsavong Lah postanowił wpaść mu w słowo.

- Co jest z tą rodziną? - zapytał. - Czy jej członkowie kłócą się jedni z drugimi? Nienawidzą się nawzajem? Chcą uniknąć wstydu?

- Nie dysponuję dowodami na potwierdzenie żadnej z tych hipotez - odparł z szacunkiem Nom Anor. - Wygląda jednak, choć może to się wydać nieprawdopodobne nawet w przypadku istot tej bezbożnej rasy, że potomkowie nie wiedzą, gdzie przebywa matka, a matka nie ma pojęcia, gdzie podziewają się dzieci. A imię tego tchórzeza...

- Nie wymawiaj imienia żadnego tchórzeza - przerwał ostro Tsavong. - Nie zasługuje na to, bym je poznał.

- Czy mogę więc coś zaproponować? Tsavong Lah kiwnął głową.

- Wynałazłem nowe mikroorganizmy - oznajmił egzekutor. Mistrz wojenny zmarszczył brwi. Nie był zachwycony. Nom Anor uważał się za wynalazcę i zajmował tym, do czego poświęcone prawo mieli wyłącznie inni specjaliści.

- Będą bardzo przydatne, kiedy zechcemy zniszczyć te ohydne kopuły, żeby wpuścić do środka trochę naturalnego powietrza - ciągnął egzekutor. - Na razie chciałbym je wypróbować w kopule, gdzie mieszka dwoje młodszych Jedi. Bruk tukken nom canbin-tu.

Nom Anor zacytował dobrze znane powiedzenie: „Żeby osłabić zawiasy u wrót wrogiej twierdzy”.

- Dlaczego nie w swojej? - zainteresował się Tsavong Lah. - To byłaby doskonała ofiara.

- Belek tiu, mistrzu wojenny - przeprosił egzekutor. Tym razem Tsavong Lah mu nie przerywał. - Ten ośrodek naukowy służy ważniejszym celom, a Jedi Organa Solo pomaga innym pracownikom najlepiej wykorzystywać nasze zasoby. Uważam to za wystarczający powód, aby zniszczenie tej kopuły odłożyć na później.

Tsavong Lah musiał przyznać mu rację. W rozumowaniu egzekutora nie mógł znaleźć żadnej luki.

- Tylko dopóki się nie dowie o twojej obecności - powiedział. - Dziwnym trafem ci Jeedai rozpoznają nas pomimo maskujących ooglithów. Nie bardzo wierzę, że zdoła wywieść ją w pole nawet twój nowy maskujący gnulith.

Rycerze Jedi posługiwali się czarami, choć przecież nie składali ofiar yuuzhańskim bogom. Było to chyba jeszcze bardziej odrażające niż wytwory ich techniki.

- Kapłani nie mogą się zdecydować - ciągnął po chwili. - Niemal codziennie zmieniają zdanie. Nie wiedzą, czy uznać tych Jeedai za bluźnierstwa zbyt skażone, aby ich składać w ofierze, czy przeciwnie, na tyle godne, aby złożyć w trakcie indywidualnej ceremonii. Postaraj się jednak na nią nie natknąć.

- Moje życie i śmierć należą do ciebie - oznajmił egzekutor.

Tsavong Lah dotknął krawędzi villipa. Twarz Noma Anora rozmyła się i zniknęła. Stworzenie zaczęło się wywracać na drugą stronę.

Mistrz wojenny siedział jeszcze chwilę, od czasu do czasu muskając ostrym pazurem rozszczerzone wargi. Pomyślał, że zniszczenie stoczni planety Duro pozbawi nieprzyjaciół nowych okrętów i sprzętu, niezbędnego do prowadzenia dalszej walki. Opanowanie zaś handlowych szlaków powinno zadać cios gospodarce i rzucić Nową Republikę na kolana.

A jeżeli chodziło o samą planetę Duro, Tsavong Lah łączył z jej zdobyciem własne nadzieje. Zamierzał dać pozostałym przy życiu obywatelom galaktyki nauczkę, której nie ośmielił się zlekceważyć.

ROZDZIAŁ

9

Mara siedziała obok Luke'a przy długim konferencyjnym stole. W dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, izolowanym przez ochronne pola, trwała narada. Przewodniczył szef Wywiadu Floty Nowej Republiki, Ayddar Nylykerka. Stał obok trójwymiarowej mapy galaktyki, wyświetlanej przez zainstalowane w stole modulasery. Większa część przestworzy płonęła jasnoniebieskim blaskiem, ale programiści dołożyli starań, żeby całkiem spory fragment w sąsiedztwie Belkadana zmienił barwę na czerwoną. Obejmował systemy opanowane przez wojowników rasy Yuuzhan Vong.

Nylykerka przeciął czerwoną część mapy promieniem laserowego wskaźnika.

- Jak wiadomo, wysyłamy w tamte rejony nadprzestrzenne próbniki, ale otrzymujemy niewiele informacji. Straciliśmy Kalarbę, Druckenwell i Falleena. Nawet gdybyśmy mogli nie dopuścić do zdobycia Rodii - popatrzył na rodiańskiego radnego Narika - Trasa na Korelię i tak jest przerwana. Zwiadowcy meldują, że ostatnio natknęli się na kilkanaście nowych punktów, w których nieprzyjaciele pozostawili dovin basale w charakterze interdykcyjnych min.

Radny Narik spojrzął na przywódcę Fey'lyę.

- Jeszcze jeden świat Środkowych Rubieży pozostawiamy na pastwę wrogów - zauważył gniewnie. - W imię obrony Jądra galaktyki... albo planety Bothawui.

Mara zmarszczyła brwi. Bothański przywódca Nowej Republiki bardzo nalegał, aby skierować resztki Piątej Floty do obrony rodzinnego świata. Teraz jednak zaczynał zdradzać oznaki zaniepokojenia. Zupełnie jakby zamierzał się usprawiedliwiać albo tłumaczyć, pomyślała. Sierść na jego twarzy cały czas marszczyła się i falowała.

- Fondor został niemal doszczętnie zniszczony, więc teraz równie wielką wagę przykładamy do obrony stoczni Kuat Drive - odezwał się radny Triebakk z Kashyyyka, posługując się miniaturowym androidem tłumaczącym. Wskazał najmłodszą stażem członkinię Komitetu Doradców, kuatską senatorkę Viqi Shesh, która kiwnęła głową na znak, że to prawda.

- Do obrony planety Kuat doskonale nadaje się stacja Centerpoint - zauważył Fyor Rodan z Commenora. - Jest usytuowana w idealnym punkcie przestworzy. Nie wiem tylko, w jakim znajduje się stanie. Czy możemy liczyć na współpracę Korelian?

Chelch Drawad poruszył się niespokojnie na krześle. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Mara mu nie zazdrościła. Zapewne wszyscy pamiętali, że Nowa Republika wykorzystwała Korelię w charakterze przynęty, spodziewając się, że sprowokuje Yuuzhan do zaatakowania planety, a potem zniszczy ich flotę strzałem z gwiazdogromu stacji Centerpoint. Nic dziwnego, że Korelianie nie palili się do współpracy.

- Niestety, nie mam pomyslnych wieści - odparł radny Drawad. - Kiedy stacja Centerpoint wystrzeliła w kierunku Fondora, coś w jej wnętrzu uległo uszkodzeniu, prawdopodobnie na skutek nieuwagi albo niezręczności Thrackana Sal-Solo. Ta informacja jest jednak objęta najściślejszą tajemnicą. Nie mogą dowiedzieć się o tym Yuuzhanie. Dopóki uważają, że stacja Centerpoint jest wciąż sprawna, mogą obawiać się przypuszczenia szturm na ten rejon przestworzy.

Mara wyczuła, że większość siedzących wokół stołu osób poczuła się niepewnie. Kilkoro radnych pokiwało głowami. Fey'lya splótł ręce na okrytej jasną tuniką piersi.

- A teraz Korelianie grożą, że przejmą inicjatywę w swoje ręce - powiedział, zerkając z ukosa na radnego Drawada. - Chcą rozprawić się z Yuuzhanami, wykorzystując śmiertcionośne urządzenia stacji Centerpoint.

- Nie dysponując stoczniami Fondora, siły zbrojne Nowej Republiki i tak nie mogły wykorzystać stacji Centerpoint, jak chciały - odparł Korelianin. - To właśnie w stoczniach Fondora powstawały urządzenia zwane hiperfalowymi inercyjnymi stabilizatorami momentu. Pozwalały naszym wojskowym przelatywać przez obszary objęte działaniem interdykcyjne-go pola.

Strzał z gwiazdogromu stacji Centerpoint doprowadził do katastrofy, po której sulustański admirał Sien Sow - dotychczasowa podpora sił zbrojnych Nowej Republiki - został wezwany na Coruscant, żeby wyjaśnił jej przyczyny. Niewiele brakowało, żeby senatorowie pozbawili go dowództwa. Na szczęście Sullustanin zdołał się obronić.

- Czy mamy jakieś nowe wieści z Kubindi? - zapytał, zwracając się do Nylykerki.

Krępy Tammarianin pokręcił głową.

- Wiemy tylko to, co zawdzięczamy uprzejmości Kypa Durrona - odparł. - Chyba wszyscy znają serwis informacyjny HoloNetu.

Zdegustowany Sow pokręcił głową, aż zakolysały się obwisłe fałdy policzkowe.

- A kto by nie znał? - zapytał z goryczą. - Jestem przekonany, że także drugi Jedi, Corran Horn, rozmyśla o dokonaniu kilku innych, równie bohaterkich wyczynów.

Odwrócił głowę i spojrzął na Skywalkera. Siedzący obok Mary mistrz Jedi pokręcił głową.

- Corran nadal przebywa w samotni na Korelii - oznajmił cicho.

Przygnębiony i upokorzony po upadku Ithora, zapewne oddaje się medytacjom, pomyślała Mara. Sow głośno prychnął. O głos poprosił Cal Omas, były radny Alderana.

- Ciekawe, że nieprzyjaciele zdobyli planetę Kubindi, ale nie pokusili się o zajęcie Fwillsvinga ani Kessel - zauważył.

- Specjaliści od biologii uważają - wyjaśnił Nylykerka - że istoty rasy Yuuzhan Vong szczególnie interesowały się tym światem. Kubazowie od dawna słynęli z doświadczeń genetycznych na owadach.

- A jak przebiega kampania dezinformacyjna? - zainteresował się Fey'lya i spojrzął na stojącą obok Nylykerki wysoką, szczupłą kobietę.

Mara знаła z widzenia panią major Hallis Saper. Kobieta pracowała kiedyś w archiwum, a potem przeszła do Wywiadu Nowej Republiki. Rozłożyła ręce.

- Wiemy, że istoty rasy Yuuzhan Vong są przesądne - rzekła. - Niestety, nadal nie mamy pojęcia, jakie znaki uważają za dobre, a jakie za złe wróżby. Dopóki się tego nie dowiemy, nie możemy zrobić właściwie nic, aby przekonać ich, że bogowie im nie sprzyjają.

Admirał Sow powoli pokręcił głową.

- Dziękujemy, pani major - powiedział. - Powiadomimy panią, kiedy dowiemy się czegoś więcej.

Borsk Fey'lya wyciągnął rękę w stronę kontrolnego panelu i włączył kilka dodatkowych źródeł światła. Widząc, że pani major Saper opuszcza salę obrad, Nylykerka wyłączył trójwymiarową mapę galaktyki.

Przywódca Nowej Republiki głośno chrząknął. Zabrzmiało to jak beczenie.

- Panie radny Pwoe - wskazał siedzącego naprzeciwko niego Quarrena. Z twarzy istoty wyrastały pęki macek. - Prosił pan o udzielenie głosu.

Radny Pwoe spuścił głowę, tak nisko, że końce macek spoczęły na blacie stołu.

- Mistrzu Skywalkerze - zaczął cicho. - Cieszę się, że w trakcie tego zebrania padły nazwiska Durrona i Horna. Jeżeli nie potrafi pan sprawować nad swoimi Jedi większej władzy, musi pan być gotów na nowe prześladowania.

Luke podniósł głowę, ale nie powiedział ani słowa.

- Podobno pańscy siostrzeńcy - ciągnął Pwoe - pozwolili, żeby gwiazdogromem stacji Centerpoint posłużył się Sal-Solo. Czy to prawda?

- Tak - przyznał mistrz Jedi. Mara spiorunowała wzrokiem starzejącego się Quarrena. Przypomniała sobie, że niektórzy określali istoty jego rasy mianem Kalmarogłowych. -Na życzenie władz Nowej Republiki -przypomniał jej mąż wszystkim zbranym.

- Jesteśmy zaniepokojeni - oznajmił Pwoe. - Niemal z każdym dniem rycerze Jedi i inni samozwańcy mściciele poczynają sobie coraz śmielej. Tymczasem sprawiedliwość, chociaż niewątpliwie musi zatriumfować, powinna być wymierzana w majestacie prawa przez niezawisłe trybunały, a nie samozwańczych katów w kabinach X-skrzydłowców.

Mara zerknęła na Fyora Rodana, który nigdy nie taił swojej opinii. Sprzeciwiał się utworzeniu jakiegokolwiek nowej rady Jedi. Mężczyzna poruszył się na krześle.

- Pamiętam, że kiedyś obecność dwudziestu rycerzy Jedi na Coruscant wydawała się najlepszą gwarancją naszego bezpieczeństwa -zaczął gniewnym głosem. - Teraz wygląda na to, mistrzu Skywalkerze, że stoisz na czele zakonu złożonego z dwudziestu samozwańczych mścicieli i osiemdziesięciu nierobów.

- Mistrzu Skywalkerze, zechciej przyjąć nasze przeprosiny - odezwał się pospiesznie Cal Omas. - Sam jednak widzisz, jakie podzielone są opinie na temat twoich Jedi.

Rodan zmruczył ciemne oczy.

- Mistrzu Skywalkerze - odezwał się, z pogardliwym naciskiem wymawiając pierwsze słowo. - Chyba wszyscy uświadomiamy sobie, że rycerze Jedi postanowili pomagać jednym istotom, a inne pozostawić własnemu losowi. Czy możesz nam powiedzieć, dlaczego?

Luke pokręcił głową. Mara wyczuła, że jej męża zaczyna ogarniać rozgorzyczenie.

- Jedi są odpowiedzialni przed Mocą, a nie przede mną- odparł mistrz. - Usiłowałem koordynować ich poczynania. Próbowałem - dodał, spoglądając z ukosa na radnego Rodana - przywrócić coś w rodzaju porządku i organizacji. Znaleźli się jednak tacy, którzy uważają, że lepiej zorganizowany zakon Jedi mógłby stać się zagrożeniem dla Nowej Republiki.

- Czy można ich za to winić? - odciął się Rodan. - Powinniśmy się postarać, żeby wyznający dziwaczną filozofię rycerze Jedi nie mogli wpływać na decyzje podejmowane przez władze Nowej Republiki.

- Uważa pan, że jesteśmy niepotrzebni, panie radny? - zapytał Luke. - Że nie służymy Nowej Republice? Że zasługujemy na naganą?

Kremowa sierść na twarzy przywódcy Borska Fey'lyi ponownie zafalowała.

- Pańscy agenci wprowadzili nas w błąd co do niebezpieczeństwa, jakie groziło Fondorowi i Korelii - powiedział. - Ich dezinformacje przyczyniły się w znacznym stopniu do katastrofy, jaką spowodowało posłuszenie się urzędzeniami stacji Centerpoint.

- Yuuzhanie bardzo sprytnie wywiedli nas w pole - przyznał mistrz Jedi. - Nakłanili Huttów do zmiany harmonogramu wysyłania transportów z przyprawą. Następnym razem nie damy się tak oszukać. Chociażby dlatego, że Huttowie nieprędko zajmą się znów przemycaniem przyprawy.

To prawda, przyznała w duchu Mara. Huttowie mieli na głowie inne sprawy. Walczyli o przeżycie.

Fey'lya rozparł się na fotelu i pogładził brodę.

- Ilekroć pojawia się zagrożenie dla pokoju i sprawiedliwości - ciągnął Luke - obowiązek obrony życia przeradza się w prawo do ochrony całych planet. To prawda, że niektórzy Jedi doszli do przekonania, że to prawo usprawiedliwia ich nierozsądne postępowanie. Może wielu spośród was w to nie uwierzy, ale starałem się, jak mogłem, zawrócić ich ze złej drogi. Każdy odpowiada jednak za własne czyny. Wszyscy mają prawo dokonywania wyborów, a to oznacza, że mają także możliwość popełniania błędów.

O głos poprosił komodor Brand, który dotąd nie powiedział ani słowa.

- Racja, racja! - mruknął tylko.

- Korzystanie z władzy nigdy nie było łatwe - ciągnął Luke, wpatrując się z uporem w Rodana. - Wszyscy musieliśmy uporać się z tym problemem. Wszyscy, podobnie jak dowódcy w ogniu walki, musieliśmy zdecydować, czyje życie poświęcić, a czyje ocalić.

- To właśnie w tym celu organa władz mają do pomocy doradców -burknął Rodan. - Żeby utrzymywać w ryzach zbyt ambitnych osobników.

Kiedy Luke odpowiadał, Mara wyczuła w jego głosie pierwsze oznaki rozdrażnienia.

- Przecież i ten organ władzy, zwany Komitetem Doradców, panie radny Rodan, również wybrał, które światy obronić, a które skazać na zagładę.

Przedstawiciel Commenora spiorunował go spojrzeniem. Luke oparł łokcie na blacie stołu.

- Niektórzy Jedi uznali, że w takich okolicznościach w ogóle nie powinni włączyć Mocą - podjął po chwili. - Obawiali się, że wykorzystają swoją władzę w niewłaściwy sposób. Jednym z nich jest mój siostrzeniec Jacen.

Kiedy jej mąż wypowiadał te słowa, Mara przypadkiem spojrzała na Viji Shesh. Zdziwiona kobieta uniosła wypielęgowaną brew.

- Rycerze Jedi są rozproszeni - ciągnął Luke. - Mimo to czuję się za nich odpowiedzialny. A my wszyscy jesteśmy odpowiedzialni przed wami.

- Doprawdy? - mruknął sceptycznie radny Narik.

Mistrz Jedi odwrócił się w stronę Rodianina.

- Tak - odparł. - To prawda. Dopóki ten organ będzie dbał o pokój i sprawiedliwość.

Mara powstrzymała się siłą woli, żeby nie obdarzyć radnego Narika przesadnie słodkim uśmiechem.

Narik złączył dłonie na blacie stołu.

- Już niedługo mój ojczysty świat może spotkać najstraszliwszy los, jaki można sobie wyobrazić - oznajmił z goryczą.

- Prawdopodobnie mój także - przypomniał Skywalker. - W następnej kolejności.

Mówił prawdę. Planeta Tatooine była usytuowana w rejonie Odległych Rubieży, całkiem blisko Rodii.

Narik zmrużył oczy. Na jego zielonkawej skórze pojawiły się ciemniejsze plamy.

- To mnie nie obchodzi - burknął oschle.

- Ale mnie obchodzi los wszystkich planet - oznajmił mistrz Jedi.

Mara skierowała się do świetlicy jednego z napowietrznych lądowisk Coruscant. Opadła na miękki repulsorowy fotel i odetchnęła z prawdziwą ulgą. Pomyślała, że klótnie w łonie organów władzy doprowadzą Nową Republikę do upadku, jeszcze zanim Yuuzhanie wyślą na Coruscant choćby jeden okręt inwazyjnej floty. Patrzyła jak ze skraju platformy lądowniczej startuje lokalny wahadłowiec, kiedy nagle kątem oka dostrzegła, że w przeciwległym kącie świetlicy coś się poruszyło. Wyszła stamtąd wysoka kobieta o krótko przystrzyżonych słomkowych włosach. Mara otworzyła umysł na przepływ Mocą. Zanim jednak uwolniła myśli i wysłała je ku jasnowłosej kobiecie, wyczuła, że do jej ciała w okolicach opinającego biodra pasa przyłgnęło coś prymitywnego, ale zdecydowanie żywego. Wyciągnęła rękę i energicznie przesunęła po materiale spodni.

- To Tresina Lobi - mruknął jej Luke prosto w ucho.

Mara знаła tę kobietę - pierwszą Chevanę, która wykazywała talent do władania Mocą. Tresina miała bezcenny talent wtapienia się w tłum istot różnych ras, płci i w różnym wieku.

- Spodziewałaś się jej? - zapytała półgłosem.

Ponownie otrzępała spodnie w okolicy brzucha. Granitowe ślimaki często odrywały się od ścian gmachów i wieżowców, więc pomyślała, że może jakiś niewielki okaz przedostał się pod jej długą bluzę. Nie chcąc odwracać uwagi męża, powstrzymała obrzydzenie. Granitowe ślimaki były nie mniej odrażające niż Huttowie, ale nikomu nie robiły krzywdy.

Luke uniósł brew i spojrzał na żonę.

- Przynajmniej od kilku minut - powiedział.

Chevanka znieruchomiała mniej więcej dwa metry przed jego fotelem.

- Witaj, mistrzu Skywalkerze. Witaj, Maro. - Jej miękki głos miał miłe, melodyjne brzmienie. - Wybaczcie, że wam przeszkadzam, ale to pilne i ważne.

- Nic nie szkodzi - odparł łagodnie mistrz Jedi. - Usiądź, proszę, i odpocznij trochę.

Luke jeszcze raz spojrzał na żonę.

Mara pokręciła głową.

To nic poważnego, powiedziała sobie w myśli. Uniosła głowę i spojrzała na Chevanę.

- Nie jestem zmęczona - zapewniła Tresina. Kobieta przeszła szkolenie Jedi i wiedziała, co to dyscyplina; mimo to najczęściej była uśmiechnięta. Teraz jednak sprawiała wrażenie zaniepokojonej. - Właśnie wracam z systemu Duro - oznajmiła. - Wyprawiłam się tam z uczennicą, Thrynni Vae.

Mara kiwnęła głową. Od roku jej mąż wysyłał grupy rycerzy Jedi na zwiady do niemal wszystkich ważniejszych systemów - a także kilku mniej ważnych, które mogły odegrać istotną rolę. Skrzyżowała ręce na bluzie, tuż poniżej pasa. Delikatnie nacisnęła, nie wyczuła jednak przez materiał niczego - żadnego zgrubienia, żadnego obronnego skurczu.

Dziwne, pomyślała.

- Thrynni i ja zaobserwowałyśmy w przestworzach planety Duro ruch gwiazdnych wahadłowców - ciągnęła Tresina. - Doszliśmy do przekonania, że sytuacja w tamtym systemie zaczyna stopniowo... coraz bardziej się komplikować.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Mara.

Mam nadzieję, że to nie nawrót mojej choroby, pomyślała. Chyba nie zaczyna się na nowo. To niemożliwe...

- Cóż, nie wiem, od czego zacząć. - Tresina pokręciła głową. - Członkowie władającej planetą Duro królewskiej rodziny nie byli zachwyceni, kiedy przedstawiciele SENKI zgłosili się do nich z propozycją przywrócenia powierzchni ich planety do poprzedniego stanu. Wygląda na to, że dało się przekonać tylko kilkoro. Pozostali poczuli się postawieni przed faktem dokonanym.

- Dlaczego mieliby się sprzeciwiać? - zdziwił się Skywalker.

Przez ten czas Mara dokonała pospiesznej analizy stanu swojego zdrowia. Czują się dziwnie zmęczona... po prostu odrobinę bardziej znużona, niż mogłoby spowodować wielogodzinne wysłuchiwanie wygłaszanych przez samolubnych radnych pompacyjnych przemówień. Nigdy przedtem, posługując się Mocą, nie potrafiła wykryć postępów swojej dziwacznej dolegliwości. Teraz jednak wyczuła poniżej brzucha niezwykle skupienie komórek... dziwne zgrubienie.

Już raz tajemnicza choroba zaatakowała jej system odpornościowy. Czyżby historia się powtarzała? Mowy nie ma! - zdecydowała w duchu Mara. Przypominała sobie, że w apartamencie zachowała jeszcze kilka drogocennych lez Vergere.

Luke zmarszczył brwi i obrzucił ją zaniepokojonym spojrzeniem. Ponownie pokręciła głową. Oczami dała znak, żeby popatrzył na Tresinę.

Na słomkowożółtych włosach Chevanki błysnął promień zachodzącego słońca.

- Thrynni i ja chyba wpadliśmy na ślad jakiejś afery - ciągnęła młoda Jedi. - Organizacja dostarczająca uchodźcom przesyłane przez SENKĘ towary, Spółka Transportowa CorDuro, kradnie coraz więcej z tego, co transportuje. Równocześnie jej przedstawiciele rozpowszechniają po kafejkach pogłoski, że przekazują towary następnym grupom uchodźców. W rzeczywistości podobno składają je na terenie innego orbitalnego miasta.

- Ciekawa historia - zauważyła Mara, zdecydowana skupić się na własnym problemie. Ty także zajmij się własnymi problemami, Luke! - pomyślała.

- Później Thrynni podsłuchiwała jakiegoś mechanika, który oznajmił, że zajmuje się przeróbkami jednostki napędowej i systemów sterowania pewnego miasta. Okazało się, że jego władze zwiększyły moc wyjściową silników aż kilkaset razy!

- Chcą bez trudu opuścić orbitę - uznała Mara - na wypadek, gdyby istoty rasy Yuuzhan Vong zaatakowały kolonie uchodźców na powierzchni planety.

Gdzie przebywają w tej chwili Han, Jacen i Leia? - zastanowiła się. A od niedawna - jeżeli wierzyć przesłanym na Coruscant medycznym raportom, z którymi zapoznano mojego męża - przepadła także Jaina.

- Czym dysponują obrońcy Duro? - zapytała.

- Kalamariańskim lekkim krążownikiem „Poezja” - zaczęła wyliczać Chevanka. - Zespołem myśliwców typu E i B oraz policyjnymi patrolowcami, które nazywają Sztyletami D. Część stacjonuje w hangarach „Poezji”, a reszta w orbitalnych miastach. - Tresina Lobi w końcu skorzystała z zaproszenia i usiadła. - Thrynni i ja zbierałyśmy informacje na terenie największego z nich, zwanego Bburru. Stwierdziłyśmy, że niektóre skradzione towary przetransportowano najpierw z jednego końca stoczni na drugi, a stamtąd do innego orbitalnego miasta o nazwie Urr-dorf. Podobno to właśnie ono jest najbardziej modyfikowane.

- Co z tego wynika? - delikatnie przynagliła ją Mara.

Tresina zacisnęła palce na podłokietniku repulsorowego fotela.

- Jedenaście dni przed moim odlotem z Bburru - oznajmiła - Thrynni zniknęła.

Mara pozostawiła męża w towarzystwie Chevanki w jednym z pomieszczeń centrali Wywiadu Nowej Republiki. Luke nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Zaniepo-

koił się, gdy oznajmiła, że musi wrócić do apartamentu, by załatwić tam coś ważnego. Rzucił jej pytające spojrzenie, ale nie powiedział ani słowa. Nie musiał. Mara i tak wiedziała, że jej mąż wróci do domu tak szybko, jak okaże się możliwe.

Kiedy przekroczyła próg drzwi, powitał ją R2-D2. Astromechaniczny robot odtoczył się od stanowiska w kuchni, gdzie zapoznawał się z najnowszymi informacjami, i pytająco zaczął.

- Nie, Artoo, bardzo dziękuję - odparła kobieta. - W tej chwili nie jesteś mi potrzebny.

Mały robot odwrócił się i odjechał.

Mara ustawiła krzesło oparciem w stronę wielkiego okna, usiadła i posługując się Mocą uwolniła myśli i wysłała je w głąb ciała. Pomyślała, że zanim wykorzysta ostatnie krople cudownie uzdrawiających lez Vergere, powinna wiedzieć, z czym ma do czynienia. Postanowiła zrobić najpierw wszystko, co w jej mocy. Kiedyś, słuchając rad Cilghal, ćwiczyła doskonalenie technik badania własnego organizmu. Obie wiedziały, że w przypadku ulegającej tak częstym i niezwykłym mutacjom choroby to jedyny sposób ocalenia życia.

Skupiając Moc, Mara w końcu się upewniła, że niezwykle skupisko komórek umiejscowiło się głęboko w jej macicy... trochę z boku. Zgrubienie przypominało narosł albo guz... najwyraźniej te komórki mnożyły się szybciej niż pozostałe. Mara zapuściła jeszcze głębiej macki myśli. Starła się poznać naturę komórek, przenikając do ich jąder. Pomyślała, że zastępuje Moc w inny sposób; zaczęła się przygotowywać do zniszczenia odważnych komórek, albo pozbawienia ich dopływu krwi...

Nagle wyczuła coś nietypowego, ale znajomego. Oprócz echa własnych komórek - dobrze znanego dzięki długiemu zmaganiu się z tajemniczą chorobą - rozpoznała esencję życia innej osoby.

Luke'a.

Na wszystkie gwiazdne smoki całej galaktyki! - pomyślała. To mogło oznaczać tylko jedno.

Szeroko otworzyła oczy. Poczuła, że drętwieją jej ręce i nogi. Cięża? - pomyślała. To niemożliwe! Przecież przedsięwzięłam wszystkie środki ostrożności! Jej dziwaczna choroba, zmieniając budowę molekuł i komórek, atakowała konkretne organy ciała. Mogła oznaczać śmierć albo zniekształcenie jej nie narodzonego jeszcze dziecka... a może inny niewyobrażalny horror. Zacisnęła pięści. Zastanawiała się, co mogła zrobić. Istniały środki i sposoby...

Natychmiast jednak zaatakowała tę myśl z zajądłością chroniącej swoje młode niedźwiedzicy garu. Postanowiła, że nie dopuści, by jej dziecku wyrządził krzywdę jakiś środek albo sposób...

Ponownie przyłapała się na tym, że ogarnia ją przerażenie. Jej dziecku?

Czy w jej łonie rozwijał się potomek, czy potwór?

Skrzydła drzwi wejściowych rozsunęły się na boki i do apartamentu wpadł Luke. Jeszcze zanim podbiegł do żony, wysłał ku niej myśli, jakby chciał objąć ją i obronić.

- Co ci jest? - zapytał. - Maro, co się stało?

- Uważasz, że zawsze musisz wpadać jak burza, żeby kogoś ocalić? - zapytała, na próżno starając się, by zabrzmiało to cierpko i wyniośle. Luke bez trudu wyczuł, że jej głos drży.

Podbiegł do żony, uklęknął obok krzesła i ujął jej dłoń.

- Maro, co się stało? - powtórzył, coraz bardziej zaniepokojony. - Twoja choroba?

Uwolniła jedną rękę i chwyciła dłoń męża. Położyła ją na swoim brzuchu.

- Wycuj sam - zaproponowała łagodnie. - Posłuż się Mocą i powiedz, co się stało.

Skywalker uniósł brwi i spojrzał w jej oczy.

- Nie sprzeczasz się - ostrzegła. - Zrób, o co prosiłam. Chciałabym poznać czyjąś niezależną opinię.

Nie odrywała spojrzenia od jego zmrużonych oczu. Chwilę później zmarszczył brwi. Zapewne przygotowywał się, żeby uspokoić ją i pocieszyć. Zamierzał uczynić wszystko, co w jego mocy...

Nagle otworzył szeroko oczy. Błysnęły błękitem niczym dwa silne źródła światła.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała Mara, z wysiłkiem przełykając ślinę. - Już w tej chwili zagraża mu straszliwe niebezpieczeństwo. Moja choroba... może je zaatakować... może spowodować straszliwe mutacje...

- Maro - przerwał Luke, ściskając jej dłoń. - Maro, każde z nas może umrzeć... w tej chwili, dziś albo jutro. Yuuzhanie mogą ściągnąć nam na głowy jeden z księżyców Coruscant. Możemy wypaść przez okno.

Mara kiwnęła głową. Jak zawsze, zdumiewało ją, jaką niezachwianą wiarą darzy jej mąż siłę dobra i jaką nadzieję pokłada w potęgze jasnej strony. Dotknął delikatnie jej brzucha i jakby wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, pokręcił głową.

- Całe życie to jedno wielkie ryzyko - mruknął. - A jeżeli chodzi ci o to... nie wyczuwam żadnego zagrożenia.

- Jeszcze nie - szepnęła Mara. - Ale to nie powinno było się wydarzyć.

- Wiem - przyznał Luke. Przesunął dłoń odrobinę w bok. Zamknął oczy. Mara wyczuła jego niepokój, wątpliwości... i nadzieję.

Wzruszona, przykryła dłonią spoczywającą na jej podbrzuszu rękę męża. W końcu ośmieliła się wyobrazić sobie, że trzyma w objęciach własne dziecko, że patrzy na małą istotkę, przypominającą trochę ją i trochę Luke'a - podobnie jak jej siostrzenica i siostrzeńcy przypominali zarówno Leię, jak i Hana. Widziała to w myślach wiele razy, ale zawsze bardzo mgliście.

Później wyobraziła sobie, że trzyma w objęciach potwora, w jakiego mogła przemienić jej bezbronne komórki dziwna choroba.

Bezbronne? - pomyślała. Mowy nie ma, przynajmniej dopóki ja się nimi opiekuję. W głębi jej mózgu coś krzychało z przerażenia, ale mała jego cząstka szalała ze szczęścia. Oddawała się marzeniom o radości, przyszłości, szczęściu i bezgranicznym poświęceniu.

Luke podniósł głowę i spojrzał w jej oczy.

- Możliwe, że to Łzy Vergere uwrażliwiły cię na działanie Mocy - powiedział. - Okazały się dawcą życia.

Mara wyprostowała się na krześle.

- Pragnąłeś tego dziecka - zaczęła żartobliwie oskarżycielskim tonem. - Jesteś teraz zachwycony.

- Aż do tej chwili nie uświadamiałem sobie, jak bardzo go pragnąłem - przyznał Luke. - Postanowiłem udawać stoika i porzuciłem wszelką nadzieję...

- Z mojego powodu?

Uniósł głowę. Mara poczuła kojącą pieśczętę jego myśli. Wykrzywiła usta.

- Jak na parę ludzi, którzy rozumieją się bez słów, chyba nie wyznaliśmy sobie czegoś ważnego - rzekła.

- To nie tak - sprzeciwił się Luke. - Myślę, że po prostu coś się zmieniło. Może we mnie, a może w tobie. Może w samej Mocy. Wiem tylko, że nie powinniśmy wzdragać się przed podejmowaniem tego ryzyka. I właśnie ta świadomość sprawia mi największą radość - dodał, kręcąc głową. Spojrzał na żonę i wyszczerzył zęby beztrudnie jak sztabak. Mara uświadomiła sobie, że od wielu miesięcy nie widziała na jego twarzy tak radosnego uśmiechu. - Prawdę mówiąc, może jeszcze większą radość sprawisz mi, kiedy...

Mara zacisnęła dłoń.

- Posłuchaj mnie, Skywalker - rzekła stanowczo. - Nikomu nie możesz o tym powiedzieć. Absolutnie nikomu.

Nie wstając z kłęczek, Luke objął ją w pasie.

- Zgadzam się, Maro. Z jednym wyjątkiem - powiedział. - Uważam, że powinien zajmować się tobą przynajmniej jeden dobry lekarz. Taki, który...

- Nie - sprzeciwiła się jego żona. - Nawet Cilghal nie umiała mi pomóc zwalczyć tej choroby. A skoro nie mogła mi pomóc, nie zdoła obronić przed nią naszego dziecka. Muszę radzić sobie sama.

- Może zdarzyć się coś innego...

Uciszyła go groźnym spojrzeniem.

Luke zmarszczył brwi, ale chwilę później kiwnął głową.

- To także możesz usunąć ze swoich myśli - burknęła. - Nie zamierzam leżeć i poświęcać całego czasu na obserwowanie objawów. Nie będę się zastanawiała, czy nie dzieje się nic złego.

Podziwiała jednak męża za to, że tak szybko i bez zastanowienia chciał chronić to maleństwo, które jeszcze nawet w ogóle nie przypominało dziecka. Jej sumienie podpowiadało szeptem, że może właśnie taki jest jej mąż... może pragnie chronić ją bez zastrzeżeń i za wszelką cenę. Może darzy ją tak bezgraniczną miłością, że czasami zagraża to jej ukochanej niezależności.

A może nie istnieje nic takiego jak prawdziwa niezależność? Może nie da się jej pogodzić z harmonią życia we dwoje?

Z drugiej strony jednak... to dziecko już teraz mogło ulegać wpływom biotechniki Yuuzhan. Mogło umrzeć w jej łonie, zanim się narodzi. Mogło się przemienić na tysiące straszliwych sposobów. Mogło...

- Dobrze się czujesz? - Poczwała dłoń męża na ramionach. - Maro, przynajmniej powinniśmy pozwolić Cilghal przeprowadzić kilka podstawowych badań.

- Nie - mruknęła Mara. - Nie powiemy o tym absolutnie nikomu, Luke. Ani jej, ani Leii, ani dzieciom Solo.

- Jak niby mam to zataić przed Anakinem? - zachnął się Skywalker.

Mara parsknęła śmiechem.

- Możliwość zajścia w ciążę jest ostatnią rzeczą, o jaką chłopak w jego wieku podejrzuje starszą kobietę - odparła. - Panuj nad swoimi uczuciami i myślami, a niczego się nie dowie.

- Spodziewa się, że będę się troszczył o ciebie.

- A zatem jestem pewna, że nie sprawisz mu zawodu.

Luke wypuścił powietrze i uświadomił sobie, że trochę się uspokoił.

- Masz rację - przyznał. - Niektórzy mogliby wiązać z tym dzieckiem duże nadzieje, chociaż nie powinni. Wiesz już, czy to on, czy ona?

Mara jeszcze raz posłużyła się Mocą. Starła się wchłonąć wszystko, czego mogła się dowiedzieć. Miała niezwykły dar komunikowania się z niektórymi osobami. Wyczuwała obecność Palpatine'a nawet z przeciwległego krańca galaktyki. Na razie jednak nie potrafiła rozpoznać płci dziecka. Pieszcząc je dotykiem myśli, ponownie usłyszała bardzo słabe echa... jej i Luke'a.

Nagle przyszło jej coś do głowy. Cofnęła się pamięcią do czasów... zaczęła liczyć dni i zastanawiać, kiedy to się wydarzyło.

Uśmiechnęła się i spojrzała w oczy męża.

- Nie. Jeszcze nie potrafię - odparła. - Ale nie chcę mówić o nim „ono”.

- No więc jak? - zapytał Luke. - Może, dopóki się nie upewnisz... „ona”?

- On - oznajmiła stanowczo Mara, chociaż wcale nie była tego pewna. Później dokończyła przerwane przez nagłą myśl zdanie. - Jeżeli go urodzę, będzie albo kimś wielkim, albo potworem. A może - dodała ponuro - straszliwym mutantem, zniekształconym przez moją chorobę. Nie pozwolę na to, Luke. Przysięgam.

- To także moje dziecko, Maro - odparł Skywalker, sięgając po drugą dłoń żony. - Maro, musisz być wyrozumiała. Jeżeli stanę się przesadnie opiekuńczy, nie myśl, że mam ci coś za złe.

- Lepiej tego nie rób - burknęła, ale łagodnie.

Uwolniła ręce i objęła męża, aby przytulić się do niego. Luke podniósł się z krzesła i pomógł jej wstać z krzesła. Objął żonę i przytulił się do niej całym ciałem. Musnął ustami jej wargi, a potem złożył na nich płomienny pocałunek. Mara nie musiała pomagać sobie Mocą. Wyczuwała, że jest szczęśliwy.

Kilka godzin później siedziała przy oknie i patrzyła przez transpastalową szybę na długie linie światel pozycyjnych promów i statków. Ich sylwetki wyglądały na tle ciemnego nieba jak egzotyczne owady. Każde światło otaczała niesamowita poświata.

Mara skupiła się i powróciła myślami do tego, co działo się na planecie Duro - i na pokładach stacji Centerpoint, która znów nie nadawała się do użytku. Odnosiła wrażenie, że wyczuwa jakąś prawidłowość. Pomyślała, że jeszcze godzina czy dwie i z pewnością wszystkiego się domyśli.

Jeżeli zdoła się trochę bardziej skupić.

- Uważasz, że Leia rozwiąże ten problem z dostawami towarów? - zapytała, zwracając się do męża.

Z podłogi obok jej fotela odezwał się Luke.

- Sądzę, że do tej pory albo rozwiązała go sama, albo wysłała Hana, by się z nim uporał. Z pewnością utrzymują ciągły kontakt.

- Wyczuwam, że chciałbyś polecieć na planetę Duro i osobiście przekonać się, o co chodzi.

- Trzymaj się z daleka od moich myśli, Jade - burknął Skywalker.

Nie musiała go sondować, żeby wyczuć radość w jego głosie. Jej mąż był zachwycony, że wreszcie może odpowiedzieć jej tak samo, jak często ona jemu.

- Wolałbym polecieć sam niż narażać na niebezpieczeństwo kogoś innego - dodał po chwili. - A poza tym powinienem porozmawiać z Jacenem. Poproszę Anakina, żeby ci towarzyszył - oczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Mara rzuciła w ciemność gniewne spojrzenie.

- Hmm. A jednak masz. - Luke uniósł rękę i prawie niewidoczny w ciemnościach, pogładził ją po włosach. - Maro, na razie wolałbym nie narażać cię na żadne ryzyko. Uważam...

- Kto z nas dwojga lepiej umie wyczuwać niebezpieczeństwa? - Mara wyciągnęła rękę i rozjaśniła szybę okna. Chociaż panowała noc, wpuściła do pomieszczenia tyle światła, żeby zobaczyć zaniepokojoną twarz męża.

Luke wyprostował się na fotelu i pochylił w stronę żony.

- Nie możesz świadomie narażać życia tego dziecka - powiedział. Płonący w jego oczach niepokój przypomniał Marze najgorszy okres jej choroby i jego przygnębienie.

- Czy naprawdę uważasz, że kiedykolwiek celowo narażałabym własne życie? - zapytała. - Ocknij się, Skywalker. Jeżeli do Coruscant zbliżą się Yuuzhanie, znajdziesz mnie na pokładzie pierwszego statku z uchodźcami. I możesz być pewien, że będę go pilotowała. W porównaniu z tym, wyprawa na Duro nie stanowi zagrożenia dla mojego życia.

Luke zacisnął wargi. Mara wyczuła, z której strony chce ją zaatakować. Zamierzał przewyciężyć jej opór miłością i oddaniem albo powołać się na swój autorytet, aby nakłonić do zmiany zdania. Uwielbiała jego prostoduszność i szczerłość, ale protestowała, ilekroć chciał ją chronić wbrew jej woli.

Czasami zastanawiała się, czy podczas małżeńskich sprzeczek łatwiejszego zadania nie miały kobiety, które nie znały z góry odpowiedzi swoich mężów.

- To prawda, mój świat ulega ciągłym zmianom - oznajmiła. Chciała osłabić siłę jego argumentów. - Dokonałam oceny stanu swojego zdrowia. Czuję, że już teraz budzą się we mnie do życia nowe hormony. Zaczynam bardziej troszczyć się o siebie, Luke. Już zaczęłam.

Skywalker odsunął się od żony i spojrzał na nią z ogromną nadzieją. Mara za nic nie chciałaby go jej pozbawić.

- Ale pamiętaj, że dla mnie - ciągnęła - troska oznacza aktywność. Lecę z tobą. Prawdę mówiąc, może powinnam polecieć tylko z Anakinem. Nie musiałbyś wtedy

zrywać kontaktów z Komitetem Doradców. Kiedy usłyszymy cokolwiek o prześladowaniu, powinniśmy zdwoić czujność.

Zauważyła, że jej mąż zmarszczył brwi. A zatem, także nie chciał zostawać na Coruscant!

- Zagineła Thrynni Vae, a w podejrzanym rejonie galaktyki przebywa aż czworo członków mojej rodziny - zauważył.

- A co z Komitetem Doradców? - zapytała Mara.

- Kenth Hamner jest świetnym strategiem - odparł Luke. - Poradzi sobie jako mój zastępca.

- Admirałowie nie będą tym zachwyceni - rzekła poważnie Mara. Oboje wiedzieli jednak, że tylko się z nim drażni. - Lubią załatwiać sprawy bezpośrednio z tobą.

Luke wyczuł jej rozbawienie, może też miał dość tej rozmowy Rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Nie rób tego - powiedział.

Mara się roześmiała.

- Dobrze byłoby wyrwać się na jakiś czas z Coruscant - przyznała. - Myślę, że i tak weźmiemy Anakina.

- Jak sądzisz, na ślad jakiej afery wpadły Thrynni i Tresina?

- Sądzę, że właśnie tego powinniśmy się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ

10

Randa Besadii Diori nie przestawał wpatrywać się w Rynkę, której powierzono opiekę nad aparaturą telekomunikacyjną - i nad nim. Wyglądało na to, że istota zasnęła.

Młody Hutt podpełznął cicho do pulpitu, włączył komunikator i wybrał prywatną częstotliwość. Nie mógł oczywiście uzyskać połączenia bezpośrednio ze swoim kajidcem. Na przeszkodzie stał - a raczej unosił się w przestworzach - personel stacji przekaznikowej, usytuowanej na terenie jakiegoś orbitalnego miasta.

Postanowił uzbroić się w cierpliwość.

Skoro świętoszkowaty Jacen odmówił choćby kiwnięcia palcem, Randa postanowił zwrócić się do jego siostry. Zresztą, jeżeli chodziło o opanowanie sztuki pilotażu, Jaina była lepsza niż jej brat. Lepsza i bardziej doświadczona. Randa doszedł do wniosku, że w rozmowie z nią okazał się wystarczająco uprzejmy i troskliwy. Pochwalił ją za to, że ćwiczyła, aby odzyskać wzrok i powrócić do szczytowej formy. Zasugerował, że mógłby pomóc jej wziąć udział w walkach, jeszcze zanim dowództwo Eskadry Łobuzów przyśle po nią następny szpitalny wahadłowiec.

Ostatnie wiadomości z planety Nał Hutta poraziły go niczym cios obuchem. Na powierzchni mnożyły się nieznanne pasożyty i bakterie, a w pałacach gniły zwłoki zamordowanych kuzynów. Randa pomyślał, że musi znaleźć inny sposób, żeby przekonać świętoszkowatego Jace-na - syna morderczyni innego Hutta - do zmiany zdania. Poprzysiągł sobie, że coś wymyśli. Nie na próżno Yuuzhanie wyszkolili go na nadzorcę transportów więźniów i niewolników.

Jeszcze raz pstryknął włącznikiem komunikatora. Tym razem usłyszał serię melodyjnych dźwięków.

Doskonale! Pochylił się nad mikrofonem.

- Tu Randa - zaczął półgłosem, nie spuszczać oka ze śpiącej Rynki. - Kto pełni dyżur?

Dłuższy czas słyszał tylko szumy i trzaski zakłóceń. Potem do życia obudził się głośnik odbiornika.

- Randa? Gdzie jesteś? Jak się czujesz?

Głos jego ojca! To znaczy, od niedawna, matki.

- Czuję się dobrze i przebywam na planecie Duro - odparł pośpiesznie. - Mam tylko kilka chwil. Może zdołam przekonać Yuuzhan do ustępstw na rzecz Hurtów i naszego świata. - Pamiętał, że kiedy przebywał na pokładzie yuuzhańskiego gronostatku, najeźdźcy bardzo chcieli schwytać jakiegoś Jedi, aby poddać go badaniom. - Na planecie przebywa dwoje młodych Jedi. Może uda mi się przekazać jedno z nich w ręce Yuuzhan. Jeżeli interesuje ich moja propozycja, niech się ze mną skontaktują. Przebywam w kolonii zwanej Trzydziestką Dwójką, w pobliżu wielkiego kopalnianego szybu, w którym mieści się teraz zbiornik wody.

- Dobra robota, Randa - odezwała się Borga. - Nareszcie jakaś karta przetargowa. Ostatnio nie mieliśmy ich zbyt wiele. Najeźdźcy chyba nie okazują zainteresowania żadnym z dotychczas przemycanych przez nas towarów. Staramy się uzyskać od nich zapewnienie, że pozostawią w spokoju planetę Tatooine. Zrobię, co będę mogła.

Już w chwili, gdy Randa przerywał połączenie, opadły go wyrzuty sumienia. Zastanawiał się, czy postąpił słusznie. Zdradzenie Jacena mogło okazać się pomyłką. Gdyby udało mu się namówić Jainę, może jej brat bliźniak zechciałby się przyłączyć?

No cóż, zawsze mógł oświadczyć, że młoda ludzka istota po prostu uciekła. Miał do wyboru dwie możliwości: urzeczywistnić swoje marzenie i powołać do życia eskadrę piratów albo ulżyć doli istot własnej rasy. Tak czy owak, nie mógł przegrać. Pomyślał, że z pewnością jeden z tych planów zakończy się powodzeniem. Może nawet oba.

Odwrócił głowę.

Niezdarna Rynka nadal spała.

Utrzymywanie w ryzach grupy naukowców, którzy nieustannie kłócili się o to, który ma otrzymać najwięcej środków, zaczynało przypominać Leii sytuację, kiedy swego czasu usiłowała namówić dwoje dwuletnich, wrażliwych na Moc dzieci do jedzenia z tego samego talerza. Na duchu podtrzymywała ją tylko perspektywa przywrócenia powierzchni Duro do pierwotnego stanu i zamienienia planety w raj dla uchodźców.

Chwilę wcześniej jedna z kobiet uznała, że powinna podkreślić wagę swoich argumentów, uderzając pięścią w blat prowizorycznego konferencyjnego stołu.

- Najważniejsze w tej chwili jest - oznajmiła, piorunując spojrzeniem wszystkich pozostałych - utworzenie ochronnej sieci. Jeżeli nie będziemy mieli automatycznie odtwarzającego się łańcucha wzajemnie zależnych organizmów, nasze wysiłki pójdą na marne. W ciągu niespełna pokolenia wszystko, co wymyślimy, albo wymrze naturalną śmiercią, albo zacznie rozmnażać się jak szalone. Możemy wprowadzić...

- Rozmnażać jak szalone? - przerwał doktor Plee. Ho'Din splótł długie zielonkawe ręce na odkrytej laboratoryjnym kitlem piersi. - Jak, na Kessel, mamy robić postępy, jeżeli wynalezione przez nas mikroorganizmy nie będą mnożyły się jak szalone? Dostaliśmy planetę, którą musimy ujarzmić na nowo, a jeden spośród nas w niczym nam nie pomaga.

Rozmnażać jak szalone? - zastanowiła się Leia. Yuuzhanie musieli rozmnażać się jak szaleni. W przeciwnym razie jakim cudem mogli pozwolić sobie na marnowanie życia tylu wojowników?

Zmarszczyła brwi i spojrzała na jedyne wolne krzesło przy stole. To Dassid Cree'Ar znowu połączył się z nią przez komunikator i błagał, by mu wybaczyła, ale nawał pracy uniemożliwia mu uczestnictwo w zebraniu. Gdy zrobił to pierwszy raz, nie miała nic przeciwko temu. Przy trzecim razie ogarnęło ją rozdrażnienie. To było jednak piąte z rzędu zebranie grupy, w którym naukowiec nie brał udziału. Nic dziwnego, że urażeni poczuli się nawet jego współpracownicy.

- Nigdy nic sam nie zaproponuje - zauważył meteorolog. - Najwyżej reaguje na nasze problemy, a i to tylko wtedy, gdy mu je przedstawimy.

W obronie Cree'Ara stanął mikrobiolog. Podniósł palec, prosząc o głos.

- Jednak rozwiązał każdy problem, z jakim zwróciliśmy się do niego - przypomniał. - Tyle czasu nam poświęca, że ostatnio nie ma ani chwili na prowadzenie własnych badań.

- No to o co chodzi? - burknął doktor Plee. - Przekonajcie go, żeby zajął się waszą „ochronną siecią”. Obsiejemy ten świat, czym trzeba, i posprzątam tak, żebyśmy mogli wreszcie zdemontować te kopuły. Nie cierpię na klaustrofobię, ale...

- Akurat. Ktoś pomyślałby, że to prawda. - Al Koenes, rosy Talz, szturchnął naukowca mocarną, włochatą ręką. - Widziałem kiedyś, jak...

Leia wstała. Zaczynała mieć tego powyżej uszu.

- Czy ktoś jeszcze chciałby przedstawić raport z wynikami najnowszych badań? - zapytała.

Zgłosił się Sidris Kolb.

- Obsiewanie chmur nie zaczęło się najpomyślniej...

- Obsiewanie chmur? - przerwał Quarren Cawa, który nie brał udziału w poprzednim zebraniu. - Przecież prosiłem, żeby zaczekał pan z tym jeszcze sześć tygodni. Dopiero zaczynam robić postępy z odkażaniem istniejących zbiorników wody. W ostatnio pobranych próbkach deszczu wykryliśmy sześćset cząstek na każdy milion...

I kłótnia rozgorzała na nowo.

Tym razem Leia postanowiła jej nie przerywać. Niestety, wyglądało na to, że badania prowadzone przez jednych naukowców zagrażają wynikom pracy pozostałych. Wszystkie miary prowadzić do wspólnego celu, a więc naukowcy powinni wspierać się nawzajem. Leia pomyślała, że musi coś wymyślić, aby zmusić ich do współpracy. Postanowiła, że w przeciwnym razie wyśle wszystkich do domów i zacznie od nowa. Planeta Duro miała wielkie znaczenie. Nie mogła ryzykować, że ją straci - tylko dlatego, iż nie potrafiła utrzymać w ryzach swoich naukowców.

Zaledwie kilka godzin później pojawił się kolejny problem. Leia musiała udać się do budynku zarządu lądowiska. Kiedy dowiedziała się, o co chodzi, wyładowała całą frustrację na niewinnym urzędniku.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała z wściekłym błyskiem w oku. - Co to znaczy, że reszta zaopatrzenia dotrze dopiero w przyszłym tygodniu? Potrzebujemy wszystkiego, co nam obiecano. Nie mając rozpuszczalnego potasu czy czegoś podobnego, mogę pożegnać się ze zbiorami hydroponicznych upraw! Niech licho porwie tych Durosjan!

Trzeba przyznać, że urzędnik cierpliwie czekał, aż Leia przerwie, by zaczerpnąć powietrza.

- Przepraszam - mruknęła. - To nie pańska wina. Ostatnio wszystkim zaczynają puszczać nerwy. Dobrze chociaż, że dostaliśmy ten górniczy laser. Czy może pan połączyć mnie z Bburru?

Jakieś dziesięć minut później wysłuchiwała kolejnej porcji kłamstw i wykrętów, jakimi uraczył ją urzędnik obsługujący aparaturę łączności orbitalnej.

- Proszę posłuchać - powiedziała przez zaciśnięte zęby. Bardzo starała się nie krzyczeć. - Chcę mieć ten transport u siebie, tam, gdzie powinien był wylądować. I to nie w przyszłym tygodniu, ale teraz. W żadnej innej kolonii na powierzchni tej planety nie mieszka tyłu uchodźców, co w mojej.

- Przykro mi, proszę pani - stwierdził mężczyzna. - CorDuro postanowiła wysłać pozostałą część tego transportu do kolonii Trzydziestej Drugiej w tym, a nie w przyszłym miesiącu, jak początkowo zamierzała. Dopiero wtedy otrzyma pani resztę. Podobno zarządca Trzydziestki Dwójki oświadczył, że potrzebuje tego dla swojej oczyszczalni wody. On zaopatruje również pani kolonię, a zatem...

- W przyszłym miesiącu? - powtórzyła Leia. Wpatrywała się w ekran komunikatora, jakby nie wierzyła własnym uszom. - Czy uważa pan, że zrobiłam zapasy? Co właściwie myśli sobie ten gość?

Urzędnik pokręcił głową.

- Chyba doszedł do wniosku, że skoro oczyszczalnia wody przynosi większą korzyść waszym uchodźcom niż jego, nie będzie pani miała nic przeciwko temu. Mam mu coś przekazać?

Leia pokręciła głową.

- Jestem zbyt zajęta, żeby tracić czas - odrzekła. - Proszę tylko skontaktować się z SENKĄ i zapytać, czy nie mogliby przysłać jeszcze raz tego samego.

I nowego zarządcy dla Trzydziestki Dwójki - omal nie dodała. Pomyślała jednak, że to i tak w niczym nie pomoże. Chyba żeby SENKA zdołała namówić Landa i Tendrę.

Nom Anor urządził kryjówkę pod powierzchnią planety Duro - w odnodze wykutego w skałach tunelu, biegnącego między laboratoriami kolonii Gateway a toksycznymi bagnami. Długi chodnik wykopali robotnicy Leii Organy Solo; egzekutor wydrążył tylko boczny korytarz. Posłużył się niewielkimi stworzeniami, które żywiły się miękkimi skałami. Kiedy pęczniały i ginęły, ukradkiem wyrzucał je całymi tysiącami na mokradła. Gniły tam i rozkładały się, a zawarte w ich trawiennych sokach bakterie czyniły „cuda”, którymi tak zachwycali się naukowcy Organy Solo.

Przechodząc przez zewnętrzną komnatę, dotknął palcem miejsca, gdzie zaczynał się maskujący gnullith. Stworzenie zaczęło wyciągać nibynóżki z porów jego ciała. Nom Anor zgrzytnął zębami. W przeciwieństwie do mistrza wojennego Tsavonga Laha i pozostałych Yuuzhan, nie wierzył, że ból i cierpienia są karmą dla bogów. Twierdził, że jest wyznawcą Yun-Harli, bogini zwodzicielek. Jeżeli naprawdę istniała, musiała być z niego zadowolona, a może nawet dumna. W rzeczywistości Nom Anor służył tylko

sobie. Robił wszystko, co mógł, by zasłużyć na awans i pochwały. Uważał, że nie skłamał wojennemu mistrzowi, chociaż nie wyjawiał mu całej prawdy. Podobno Leia Organa Solo nie była Jedi w ścisłym znaczeniu tego słowa, a jej córka nie udowodniła, że dysponuje umiejętnościami Jedi. Liczyło się jednak tylko to, że Tsavong Lah uważał obie za Jedi. Tak więc, kiedy egzekutor w końcu je zabije, wyrwie na nim tym większe wrażenie.

Kiedy Trzydziestka Dwójka legnie w gruzach, Organa Solo na pewno wyśle go, aby ustalił przyczyny kataklizmu. Nom Anor żałował, że musi jej unikać. Z przyjemnością ujrzałby wyraz jej twarzy, kiedy ktoś ją powiadomi, że jej dzieci zginęły pod gruzami.

Strząsnął gąbczastą masę z kostek nóg i z lubością się przeciągnął. Jak miło poczuć świeże powietrze na własnej skórze! Miał wolną godzinę. Zamierzał się odprężyć.

Wyluskał z zagłębienia w ścianie jedno ze swoich stworzeń i zważył je na dłoni jak na szalce wagi. Doszedł do wniosku, że jeszcze nie osiągnęło wieku dojrzałego, dzięki czemu doskonale nada się do innego celu. Prostując się na całą wysokość, podniósł rękę i wcisnął przebierające odnóżami stworzenie głęboko w szczelinę sklepienia. Oslabił w ten sposób kilka sekcji sufitu. Potem umieścił inne stworzenia w miejscach pęknięć. Jeżeli wyda rozkaz, napełnią niczym używane przez drwali kliny do rozszczepiania drewna, wskutek czego zawali się spory fragment korytarza.

Nie powinien zapominać o żadnym środku ostrożności, który mógł mu zapewnić jeszcze większe bezpieczeństwo.

Jacen stanął na palcach obok ściany chaty i zaczął zdrapywać z wewnętrznej powierzchni synplastowego okapu stworzenia wyglądające jak spore glisty.

- Mogą nadawać się do jedzenia - zauważyła Mezza. Zebrała materiał luźnych spodni na biodrach, aż utworzyły się fałdy z obu boków. Stworzenia zauważył niespełna godzinę wcześniej jeden z członków jej klanu. - Może dałoby się je hodować? Mieliśmy trochę więcej białka do gulaszu z phraigów.

Jacen przełknął ślinę. Robił wszystko, by nie dostać torsji. Zawiązał wylot woreczka służącego do przenoszenia próbek gruntu.

- Można się nad tym zastanowić - przyznał, chociaż nie okazywał przesadnego entuzjazmu. - Ale dotknij miejsca, skąd je wyciągnąłem. Wyczujesz dołki. - Przesunął palcami po wewnętrznej powierzchni okapu. - Te stworzenia żywią się synplastem!

- Jeżeli to prawda, powinieneś przynosić je w czymś bardziej wytrzymałym niż ten woreczek - ostrzegła go Mezza.

Jacen nie zamierzał nieść ich zbyt daleko.

- Powiedz swoim ziomkom, żeby szukali następnych - oznajmił, zwracając się do Mezzy. Spojrzał w wąskie przejście między rzędami chat uchodźców. - To miejsce znajduje się blisko lądowiska. Prawdopodobnie przyleciały w ładowni jakiegoś transportowca.

Kiedy Jacen dotarł do Stacji Hydroponicznej Dwa, natknął się na Romany'ego. Przywódca drugiego klanu Rynów, który był biologiem, pracował u boku Hana i Jainy.

- Nie moja specjalność - oświadczył, kiedy Jacen wręczył mu poruszający się woreczek z robakami. Jeden z nich odgryzł i zaczął przeżuwać kawałek synplastu.

Han spojrział na Ryna z oburzeniem. Jaina odłożyła hydrauliczny klucz i poprawiła opaskę z obiektywami.

Han oderwał stworzenie od kawałka synplastu.

- Może i nie twoja, Romany, ale jesteś jedyną osobą, która ma o tym jakieś pojęcie. Nie wolno nam wysyłać tego potworka do Gateway. Nie mogę tego zrobić. Wiesz, co by się stało?

- Taa - mruknął Ryn. Przeczesał długimi palcami zmierzwioną grzywę. - Zarządziłoby kwarantannę i u nas, i u siebie. A gdyby dowiedzieli się ci z góry, mogliby przestać wysyłać statki z zaopatrzeniem. Mieliliśmy wielkie szczęście, że skierowali do nas ten dodatkowy transportowiec.

Jacen zaczął się zastanawiać, jakimi pobudkami mogli kierować się Durosjanie.

- Ciekawe, czy to nie na pokładzie tego statku przyleciały torebki z jajami, z których wylęgły się te robale - powiedział, unosząc woreczek i lekko nim potrząsając. Każdy szary robak miał dziewięć segmentów i dwa razy tyle odnóży. W dużej głowie najwięcej miejsca zajmowały ogromne czarne oczy i nieproporcjonalnie wielkie żuchwy.

Jaina pokręciła głową.

- Nie widzisz ich jeszcze, prawda? - zapytał łagodnie jej brat bliźniak.

Jego siostra zamrugła.

- Z każdym dniem jest coraz lepiej - zapewniła. - Rozmyte plamy mają wyraźne granice.

- A my jesteśmy chronieni... - zaczął Ryn, spoglądając na stworzenie - ...przez synplastową kopułę.

- Wspaniale - mruknął Han. - Po prostu wspaniale.

Jacen okrył się szczelniej płaszczem.

- Romany, poproś Mezzę, żeby pomogła ci zająć się szukaniem tych robaków - powiedział. - Namówcie dzieci do utworzenia zespołów zbieraczy. Mamy trochę cukrozy i możemy przeznaczyć ją na nagrody. Zapłacimy każdemu zespołowi w zależności od tego, ile stworzeń przyniesie.

- Hej, Dramo! - krzyknął Han, stając na palcach i patrząc ponad kopułą najbliższej hydroponicznej kadzi. - Chyba twoi ziomkowie nie jadają małych skręcających się robaków?

Zza półprzezroczystej kopuły ukazała się głowa zwieńczona grzywą białych włosów.

- Jeżeli zastosować odpowiednią przyprawę - odezwał się z godnością Drama - można zjeść prawie wszystko. A poza tym...

- Znam kogoś, kto byłby nimi zachwycony. - Tym razem Jacen dokończył zdanie zaczęte przez Dramę. - Randę.

Zerknął w bok. Ojciec przyglądał się Jainie szeroko otwartymi oczami. Malowały się w nich smutek i współczucie.

Jacen przeniósł spojrzenie na siostrę i zaczął porównywać profile. Większość ludzi twierdziła, że Jaina jest podobna do młodej Leii. W rzeczywistości widoczne pod krótko przyszyzonymi włosami czoło i policzki przypominały ojca. Chłopcu zrobiło się nagle żal każdego, kto skrzywdziłby jego siostrę, a znajdowałby się bliżej Hana niż średnica galaktyki.

Kiedy Jaina odeszła w towarzystwie Romany'ego, by poszukać Mezzy, Jacen obrócił się do ojca.

- Jak myślisz, czy ta historia z oczami ostudzi jej zapał do walki? - zapytał. - Wpłynie niekorzystnie na jej umiejętności?

- Jeżeli sama Jaina na to nie pozwoli, nie ma mowy. - Han zmarszczył brwi i przestąpił z nogi na nogę. - Pod tym względem jest bardzo podobna do matki.

Jacen podniósł głowę i spojrział ojcu w oczy. Poczul nagle w sercu tęsknotę tak głęboką, jakiej Han chyba nigdy nie odczuwał - a przynajmniej nigdy nie okazywał.

Dogonił siostrę, kiedy wchodziła do chaty Mezzy.

- Myślę, że najwyższy czas dowiedzieć się, co się dzieje z mamą - powiedział.

Tego ranka w ośrodku łączności pełniła dyżur Rynka Lenya. Jakby nie wierząc szeroko rozstawionym skośnym oczom, wpatrywała się w ekran monitora systemu łączności dalekosiężnej. Nawet Randa sprawiał wrażenie oszołomionego. Wyglądało na to, że Jaina odkryła czuły punkt admirała Dizzlewita. Oficer miał chyba słabość do rannych pilotów, bo chociaż Jaina chciała rozmawiać z kimś spoza systemu, uzyskała połączenie niemal natychmiast.

Na ekranie monitora pojawiła się twarz mężczyzny w niebieskiej bluzie z wysokim kołnierzem i krótką peleryną. Od czasu do czasu przesłaniały ją, jak zwykle, iskry zakłóceń. Prawie codziennie odmawiały posłuszeństwa telekomunikacyjne przekaźniki - czy to niszczone celowo przez Yuuzhan, czy zmieniające orbity wskutek zderzeń z krążącymi w przestworzach śmieciami i bryłami złomu. Nikt nie ośmielał się naprawiać tych urządzeń ani sprawdzać, co się z nimi działo. Od jakiegoś czasu w ogóle przestały docierać prywatne transmisje Holo-Netu.

- Tu SENKA - oznajmił recepcjonista. - Z kim chciałaby pani uzyskać połączenie?

Jaina wyprostowała się, a Jacen zdjął dłoń z jej ramienia.

- Szukamy pani ambasador Organy Solo - powiedziała dziewczyna.

- Czy to sprawa służbowa?

O, nie! - jęknął w duchu młodzieniec. Znów się zaczyna. Za chwilę wysłuchamy kolejnej porcji wykretów.

- Tak - odrzekła stanowczo jego siostra. - Przebywamy na terenie placówki SENKI.

- Jak na improwizowaną odpowiedź, całkiem nieźle - mruknął Jacen, kiedy pociemniał ekran monitora.

- Nie tylko ty potrafisz postarać się, żeby prawda wywierała wrażenie - mruknęła Jaina.

- Poproście o wieści z planety Nal Hutta - odezwał się podniecony Randa z kąta pomieszczenia.

Połączenie nie zostało przerwane, chociaż bliźnięta musiały powtarzać to samo kolejnym urzędnikom, z którymi ich łączono. W końcu na ekranie pojawiła się pociągła twarz eleganckiej kobiety o zaczesanych do tyłu ciemnych włosach. Zapewne chciała odsłonić kształtne uszy.

- Jedi Solo! - odezwała się na widok Jaina przesadnie słodkim tonem. - I... co za miła niespodzianka! Och, coś podobnego! Dwoje Jedi Solo! W czym mogłabym pomóc?

Jacen zbliżył usta do ucha siostry, ale Jaina zdążyła się zorientować, kim jest rozmówczyni.

- Pani senator Shesh - powiedziała. - Musimy porozumieć się z mamą. Odniosłam ranę i zostałam wysłana na urlop. Słyszałam, że ostatnio przebywała na Coruscant. Czy pani personel mógłby ją odszukać?

- Jestem pewna, że tak - odparła kobieta. - To wspólnie widzieć was razem. Wyglądacie doskonale.

W jej głosie brzmiała fałszywa nuta. Jacen nachylił się do ekranu, ale zaraz odpchnął go Randa. Młody Hutt bezceremonialnie zajął jego miejsce.

- Pani senator! - wysapał. - Bardzo proszę! Musi pani wysłać dodatkowe oddziały wojska na planetę...

- Bardzo żałuję. - Senator Shesh przechyliła głowę na bok. - Nie możemy zajmować tego kanału na sprawy mniejszej wagi. Kiedy będę wiedziała coś pewnego, ktoś z moich ludzi z pewnością się z wami połączy.

- Proszę zaczekać! - krzyknął Jacen, starając się wyrzucić zza pleców siostry. - Oczekiwanie na połączenie zajęło nam więcej niż godzinę...

Twarz kobiety zniknęła z ekranu. Pojawiły się na nim cienkie ukośne linie.

Jaina pozwoliła sobie na jęk rozpacz.

- Randa! - mruknęła na winowajcę. - To ja uzyskałam połączenie. Zasłużyłam, żeby skończyć tę rozmowę. Wszystko zepsułeś!

Młody Hutt wycofał się w drugi kąt pomieszczenia, jak najdalej od stojaka z aparaturą. Jacen zacisnął usta. Walczył z pokusą przypomnienia, że senatorka Shesh obiecała dać znać, kiedy czegoś się dowie. Domyślał się, że oczekiwanie na połączenie może potrwać kilka dni albo tygodni... a może nawet jeszcze dłużej. Rozmowa mogła nigdy nie dojść do skutku.

- A jeżeli mowa o robakach - powiedział, przyglądając się, jak przygnębiony Randa wypełza z ośrodka łączności - ta pani senator działała mi na nerwy. Zachowywała się jak jeden z takich robali.

Jaina zmarszczyła brwi.

- Niedawno została mianowana członkinią Komitetu Doradców - przypomniała. - Praktycznie stoi na czele SENKI.

- Wiem - mruknął posępnie Jacen. - A SENKA nie wywiązuje się z obowiązków. Zwróć uwagę na fałsz w jej głosie. I na to, jak nas traktowała. I na ten cyniczny uśmiešek. Przypominała mi innego senatora, którego znamy z holowideogramów.

Jaina zgniotła leżącą na jej kolanach maskę.

- Nie znoszę zgadywania nazwisk - oznajmiła.

- Palpatine'a z czasów, gdy jeszcze nie istniało Imperium - odparł Jacen. - Kiedy dopiero starał się zdobyć władzę i nie dbał o to, kogo albo co podepcze, byle osiągnąć cel życia.

Jaina zmarszczyła brwi.

- To ta kobieta dostarcza nam wszystko, co konieczne do przeżycia - rzekła.

- I to ona zesłała nas na tę planetę - przypomniał jej brat. - Oświadczyła, że będziemy tu bezpieczni.

- Nie podoba mi się to, co sugerujesz, Jacenie - rzekła dziewczyna.

- Mnie też nie - odparł cicho. - Ani trochę.

ROZDZIAŁ

11

Tsavong Lah w prywatnej komnacie musnął skraj osobistego villipa. Agenci wojennego mistrza dostarczyli przed kilkoma dniami wypączkowanego młodego villipa osobie z Coruscant, która chciała się z nim skontaktować. Tsavong pomyślał, że chce z nią rozmawiać pierwszy raz, więc osoba może nie od razu się zorientować, że jest wzywana. Musiał wziąć to pod uwagę. Jednak gdyby takie opóźnienie miało się powtórzyć, jego agenci nie zawahają się przed wymierzeniem stosownej kary.

Osoba musiała jednak niecierpliwie oczekiwać na rozmowę. Zaledwie po minucie villip Tsavonga zmiękł i zaczął wywracać się na drugą stronę. Na jasnoszarej powierzchni utworzyły się wgórki. Najpierw pojawił się arystokratyczny nos, potem wyniosłe czoło, wystające kości policzkowe, a na końcu dumne usta. Mistrz wojenny studiował twarze istot ludzkich na tyle długo, by wiedzieć, że otwarte szeroko oczy oznaczają zdziwienie, a rozszerzające się nozdrza mogą sugerować odrazę. Może na widok villipa, pomyślał Yuuzhanin. Bez wątpienia ta kobieta, pracując w dyplomacji, musiała mieć do czynienia z istotami wielu ras. Powinna przyzwycząić się do stosowanych metod komunikacji i widoku niezwykłych twarzy. A zresztą bardzo szybko się opanowała.

- Witaj, senatorko Shesh - zaczął Tsavong, wypowiadając słowa w jej mowie. Powtarzał to, co podpowiadał mu tizowym, którego przed rozmową wsunął do ucha. Ucieszył się, widząc, że kiedy villip powtórzył jego słowa, oczy i nozdrza kobiety znów drgnęły. - Wysłucham, co chcesz mi powiedzieć.

Jego villip powiększył jej twarz i ukazał więcej włosów. Yuuzhanin zrozumiał, że kobieta pochyliła głowę. To dobrze. Okazywała mu szacunek.

- Mistrzu wojenny Lah - odrzekła. - Dziękuję, że zechciałeś odpowiedzieć na moją propozycję przystąpienia do negocjacji.

- Wysłucham, co chcesz mi powiedzieć - powtórzył Tsavong. Kobieta była młoda i bardzo niedoświadczona. To także musiał wziąć pod uwagę.

Znowu otworzyła szerzej oczy. Może tym razem ze strachu?

- Wycofujemy się z Kubindi i Rodii - rzekła. - Chcielibyśmy żyć w pokoju z istotami waszej rasy.

Słowo „pokój”, które przetłumaczył tizowym, oznaczało w mowie Yuuzhan tylko jedno: dobrowolne i całkowite podporządkowanie.

- Doskonale - odparł Tsavong. - Przyjmujemy twoją propozycję.

- W zamian za to - ciągnęła kobieta - chcielibyśmy uzyskać zapewnienie, że wasza inwazja dobiegła końca albo jest tego bliska. Z pewnością macie już dość miejsca i niezbędnych do życia bogactw naturalnych. Pozostawcie w spokoju światy, które jeszcze nam zostały. Musimy nauczyć się żyć jedni obok drugich w zgodzie... W pokoju.

Tsavong Lah zmrużył oczy. Zastanawiał się, czy tizowym czegoś nie przekreślił albo źle zrozumiał. Pokojem zawsze obdarzał zwycięzca zwyciężonego. Nigdy na odwrót. Nigdy równocześnie.

- Naszym ostatecznym celem jest system, który przygotowałaś dla nas - powiedział. - Dziękujemy ci za niego. - Tsavong pomyślał, że jeżeli zdobędzie planetę Duro, zdoła zaatakować słynne stocznie Kuat Drive w jej ojczystym systemie, a także monstualną stację w sąsiedztwie Korelii. Rzecz jasna, nie zamierzał opowiadać jej o swoich planach. - Zapewniłaś mnie, że twoi agenci przystępują do pracy, aby uszkodzić stację Centerpoint. Czy wywiążesz się z tej obietnicy?

Odbiorczy villip jeszcze raz odwzorował większą powierzchnię jej włosów.

- Już niedługo. Kiedy tylko będzie to możliwe - rzekła kobieta. - Chciałabym również podziękować za maskujące ooglythy. Cieszę się, że mogę podróżować, dokąd zechcę, nie rozpoznawana przez nikogo. Mam nadzieję - dodała beztrasko - że z czasem proces zakładania i zdejmowania maski przestanie być tak uciążliwy i bolesny.

Mistrz wojenny nie widział powodu, dla którego miały ją rozpieszczać. Ostry ból, z jakim każda nibynóżka ooglytha zagłębiała się w pory skóry, stanowił jedną z nieodłącznych cech procesu maskowania.

- Nie - odparł oschle.

Zauważył, że lewa powieka kobiety lekko drgnęła. Rozmówczyni jeszcze nie pogodziła się z dyscypliną bólu.

- Zaslugujesz na pochwałę za to, że zapewniłaś swojemu ludowi trwałą pokój - powiedział. - Twoje zasługi zostaną docenione, zarówno przez nas, jak i przez twoich ziomków.

- Tylko jeżeli zapanuje pokój. - Kobieta uniosła niezwykle ruchliwe brwi. - Proszę mi to obiecać.

Czyżby uczyła się pokory? - pomyślał Tsavong Lah. A może po prostu obawiała się, jak zakończy się jej poświęcenie? Prawdę mówiąc, miała wiele powodów do takich obaw. Mistrz wojenny chciał, żeby nadzorcami niewolników zostali ich pobratymcy, ale bogowie domagali się składania w ofierze godnych osobników. Kapłanka „Sunuloka”, Vaectra, już teraz żądała uśmiercenia senatorki.

Najprawdopodobniej kobieta po prostu nie chce, aby jej ziomkowie dowiedzieli się, że przestała być wobec nich lojalna, pomyślał Tsavong.

- Twój villip wywróci się teraz na drugą stronę - oznajmił wyniosłe. - Pamiętaj, że musisz troszczyć się o niego.

Doszedł do wniosku, że kilka słów napomnienia powinno stanowić wystarczającą karę.

Z niejakim zdziwieniem stwierdził jednak, że jego villip znów przemówił.

- Proszę zaczekać, wojenny mistrzu. Mam jeszcze jedną informację.

Tsavong Lah nie przerwał połączenia, ale nie zaszczylił rozmówcy ani jednym słowem.

- Dotyczy operacji, jaką SENKA prowadzi na powierzchni planety Duro - ciągnęła trochę zbity z tropu senatorka. - Dopiero niedawno poinformowano mnie, że w jednej z osad dla uchodźców przebywa Jedi, który wyrzekł się posługiwania własnymi umiejętnościami. Mógłby się wam do czegoś przydać.

Usłyszana informacja zgadzała się z tym, czego Tsavong Lah dowiedział się od innych agentów i Noma Anora. Wyglądało na to, że młody Jedi zawiódł zaufanie walczących kolegów. Mistrz wojenny nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł okazać się takim tchórzem i zdrajcą. Choć okryty niesławą wojownik nie zasługiwał, aby w raporcie wymieniać go z imienia i nazwiska, Tsavong doszedł do wniosku, że sekcja zwłok młodego Jedi powinna przynieść ciekawe rezultaty.

- Dowiedziałas się czegoś jeszcze, co chciałabyś mi przekazać? - zapytał.

Villip mistrza wojennego spoczywał kilka sekund nieruchomo. Wreszcie kobieta powiedziała:

- Nie znoszę wydawać w wasze ręce konkretnych osób, ale, jak powiedziałam, interesy to interesy.

Jej stwierdzenie nie było niczym zaskakującym. Tsavong Lah postanowił pozostawić jej słowa bez odpowiedzi. Wyciągnął szczupłą rękę, dotknął brzegu osobistego villipa i pozwolił mu wessać się do wnętrza.

ROZDZIAŁ

12

Jacen nagle się obudził. Uświadomił sobie, że przez sen zaciskał pięści tak mocno, iż poczuł ból.

Odrzucił się od ściany sypialni i zerknął na komunikator ojca. Urządzenie stało na kilku kostkach wyschniętej gliny w nogach jego pryczy. Wyświetlacz chronometru przykrywała jakaś szmata. Sączyła się spod niej czerwona poświata.

W ciemnościach nocy czaiło się coś... strasznego, odwiecznego i śmiertelnośnego.

Jacen usiadł na pryczy i zamknął oczy. Starał się uzmysłowić sobie, co czuje. Ćwicząc pod okiem wuja, wyrobił w sobie nawyk wykrywania zagrożenia. Co najmniej kilkakrotnie, kiedy groziło mu niebezpieczeństwo, orientował się w porę i uchodził z życiem.

Wtedy wyczuwał tylko słabe trzepotanie. Teraz jednak był to prawdziwy popłoch.

Nagle uświadomił sobie, że nie zawahał się wykorzystywać Mocy w taki sposób. Wcale a wcale.

Przecież tylko nasłuchuję, pomyślał. Nie używam jej do agresywnych celów. Narzucił coś na siebie i wyszedł z chaty. Spojrzał na pokrytą kurzem alejkę i stojącą nie daleko sąsiednią lepiankę. Zerknął pod okap, czy nie kryją się tam tajemnicze robale. Kilka dni wcześniej dzieci Rynów oświadczyły, że nie mogą już znaleźć ani jednego. Jacen ogłosił koniec zbiórki i rozdzielił nagrody. Dobrze chociaż, że nie musiał się o to więcej martwić.

Kilka chat dalej spała Jaina. Chłopiec stanął przed drzwiami jej lepianki i upewnił się, że siostrze nic nie zagraża. Zadowolony, skreślił ją z listy potencjalnych zmartwień. Cicho otworzył drzwi i ostrożnie spojrzął w głąb sypialni.

Starsza Rynka spała. Z jej półprzymkniętych ust co jakiś czas wydobywał się cichy skowyt - podobny do tego, jaki wydawały niezupełnie rozgrzane silniki „Sokoła”. Jaina leżała na plecach. Jacen ledwie widział jej twarz w słabym blasku wiszącej przed chatą awaryjnej lampy. Włosy siostry przysłaniały część czoła - podobnie jak u niego, kiedy się budził.

Podszedł na palcach do pryczy i położył dłoń na ramieniu śpiącej.

- Jaino - szepnął.

Bliźniaczka zamrugwała i odwróciła głowę.

- Jace? - zapytała. - Co się stało?

- Przepraszam, że cię budzę - odrzekł szeptem. - Chodźmy na dwór, żebyśmy mogli porozmawiać.

Wyszedł pierwszy i poprowadził siostrę alejką między rzędami prymitywnych lepienek. Umieszczone na wewnętrznej powierzchni szarej kopuły źródła światła rzuciły łagodny blask... przywodziły na myśl naszyjnik z księżyców. Z oddali napływał słaby odór ciał Rynów, zmieszany z wonią gulaszu z bedjie i phraigów.

Jaina stanęła obok brata. Widoczna mimo ciemności maska na jej twarzy wyglądała jak wojskowy noktowizor.

- Nie musisz mi nic tłumaczyć - rzekła z goryczą. - Dzieje się coś złego.

- Ty też to wyczułaś?

Powiódł spojrzeniem po najbliższej okolicy, jakby tam wypatrywał niebezpieczeństw. Rzędy chat o niebieskich dachach, hydroponiczne kadzie... przylegający do kopuły róg baraku administracyjnego... Niczego nie brakowało. Wszystko stało na swoim miejscu.

Jaina kiwnęła głową.

- Niebezpieczeństwo - oznajmiła rzeczowo. - Zagroza całej kolonii.

Oparła się o ścianę chaty, z całej siły zacisnęła powieki i zmarszczyła brwi.

Spójrz na nią, odezwał się szyderczy głos w głowie Jacena. Polegasz na opinii innej osoby, która posługuje się Mocą właściwie od niechcenia. Czy nie jesteś hipokrytą?

Nie ośmielię się potknąć, odpowiedział głosowi Jacen. To ja ujrzałem wizję. Ja dostałem ostrzeżenie. Ja. Nie Jaina.

Jego siostra pokręciła głową i wsunęła pod maskę kosmyk niesfornych włosów.

- Nie wyczuwam niczego złego - rzekła. - Sithowe nasienie, chyba nie lecą do nas Yuuzhanie?

- Istnieje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać - odparł Jacen.

Chwycił siostrę pod rękę i poprowadził do ośrodka łączności.

W kącie pomieszczenia spał Rand, cicho pochrapując. Jaina powiedziała pełniącemu nocny dyżur technikowi o tym, co wyczuła.

- Nie wiemy, co to takiego - przyznała. - Oboje wyczuwamy jednak jakieś zagrożenie. Uważaj na wszystko.

- Tak jest, proszę pani.

Młody mężczyzna pożegnał ją żartobliwym salutem.

Kiedy wyszli z ośrodka, Jaina przystanęła na skrzyżowaniu alejek.

- W porządku, braciszku - rzekła. - Z nas dwojga tylko ty masz dobry wzrok. Rozejrzyj się uważnie i powiedz, co widzisz.

Sięgnęła do włącznika oświetlenia.

Jacen już chciał ją powstrzymać. Gdyby włączyłaienne światła, zbudziliby się wszyscy mieszkańcy kolonii. Może na próżno?

Coś mówiło mu jednak, że grożące niebezpieczeństwo staje się coraz poważniejsze. Jacen zawrócił do ośrodka łączności i zdjął ze stojaka makrolornetkę. Przyciskając ją do piersi, wypadł na dwór i wspiał się po metalowych klamrach, wbitych w zewnętrzną ścianę chaty. Kiwnięciem głowy dał znak siostrze, że może włączyć źródła

silnego światła. Przyłożył makrolornetkę do oczu i zaczął badać spojrzeniem całą kolonię.

Nic, nic i nic. Żadnych dywersantów, żadnych nocnych marków. Żadnych widocznych pęknięć...

Chwileczkę.

Wokół jednej dziennej lampy fruwała gromada dużych owadów czy może małych ptaków. Jacen zmienił powiększenie, aby się lepiej przyjrzeć. Doszedł do wniosku, że stworzenia przypominają raczej ćmy niż ptaki. Dostrzegł też, że obie części ich czarnych skrzydeł nie są dokładnie takie same. Owady miały rogi zamiast czulków, a na czarnych grzbietach duże, okrągłe białe plamy, które wyglądały jak fałszywe oczy.

Zaczął teraz wodzić obiektywami makrolornetki tam i z powrotem po terenie kolonii. Wkrótce dostrzegł większą grupę takich samych owadów. Wyglądało na to, że zgromadziły się pod okapem jednej chaty.

- Co widzisz? - zawołała stojąca pod chatą Jaina.

- Nie jestem pewien - odrzekł młodzieniec. - Wyglądają jak... eee... prawie jak młode mynocki czy coś takiego.

Na skraju pola widzenia przeleciało coś niewyraźnego. Szybko skierował makrolornetkę w dół i w lewo. Zauważył, że jedna białooka ćma wyfrunęła spod niebieskiego okapu chaty, drugiej lub trzeciej w tym samym rzędzie.

Zszedł po metalowych klamrach i rzucił Jainie:

- Zaraz wracam!

Pobiegł do chaty, skąd wyleciał czarny owad. Zajrzał pod okap... i zobaczył. Na krawędzi synplastowego dachu siedziało stworzenie, które rozkładało i składało nierówne skrzydła. Jacen wyciągnął rękę i zamknął dziwnego owada w dłoni. Podniósł go do oczu, aby się lepiej przyjrzeć.

- Co się dzieje? - usłyszał zza pleców zaniepokojony głos siostry.

Przypomniał sobie stworzenia, którymi się opiekował, gdy mieszkał i szkolił się na Yavinie Cztery. Trzymał wtedy w klatce przez całą zimę kilka poczwarek peggelarów. Kiedy nastala wiosna, przeobraziły się w piękne różowoskrzydłe motyle i odfrunęły...

Poczuł, że wnętrzości ścisła mu lodowata obręcz.

- Obudź tatę - rozkazał. - Szybko. Ja idę uruchomić androidy typu ERD-LL.

Robaki zniknęły, ponieważ przepoczwarzyły się i stały białookimi ćmami. Osiągnęły dojrzałość... i latały. Bez względu na to, czym się żywiły, Jacen był gotów założyć się o wszystko, że w niedostępnych miejscach składają jaja, z których wykluje się następne pokolenie żarlocznych poczwarek. Mieszkańcy Trzydziestki Dwójki mogli mieć na odnalezienie i zniszczenie jaj kilka tygodni, ale jakiś głos w jego głowie ostrzegał, że nie ma tyle czasu. Ćmy także żywiły się synplastem, a było ich tyle, że nie zdołałyby się z nimi uporać wszystkie roboty naprawcze kolonistów.

Wyposażył androidy typu ERD-LL - hybrydyzowane binarne podnośniki o smukłych, przegubowo zginanych kończynach - w jedyną broń, jaką dysponował: przeznaczone do ubijania potraw tłuczki, które znalazł w jednej z połowych kuchni. Z pobliskiej chaty wyszła na dwór para rozespanych Rynów. Stanęli na progu i objęli się, jakby nie mogli u-wierzyć w to, co widzą. Jedna istota zmrużyła oczy, a druga pokazywała

jej najbliższego androida. Automat typu ERD-LL wyprostował się na całą wysokość i machnął tłuczkiem. Spod okapu chaty wyleciała chmura czarnoskrzydłych ciem. Owa-
dy krążyły jakiś czas wokół chaty, a potem wzbily się w powietrze. Usiadły jeden obok
drugiego, blisko siebie na wewnętrznej powierzchni kopuły... synplastowej kopuły.

Jacen włączył osobisty komunikator i wystukał na klawiaturze kod osoby, z którą
chciał rozmawiać.

- Hej - usłyszał burknięcie rozspanego Ryna. - Komu wydaje się, że to już rano?

- Romany - powiedział. - Obudź się. Jesteś mi potrzebny. Niebezpieczeństwo.

Chwilę potem wróciła Jaina.

- Tata już idzie -oznajmiła.

- To świetnie. Przejdź teraz do chat Vorsów - polecił zwięźle. -Obudź ich i upew-
nij się, że wszyscy mają maski do oddychania.

Gdyby przez szczelinę w kopule przedostało się zatrute powietrze, Vorsowie mo-
gliby się udusić. Wrażliwe płuca uskrzydłonych istot były przystosowane do czystej
atmosfery planety Vortex. Wystarczyło, by w powietrzu pojawiła się choćby niewielka
domieszka toksycznych substancji, by ich płuca skurczyły się, wyschły i zdrętwiały.

Jaina odwróciła się i bez słowa odeszła.

Jacen włączył znów komunikator i połączył się z Mezzą. Umówił się z nią, podob-
nie jak poprzednio z Romanym, na placu pośrodku terenu w kształcie klina, na którym
stały chaty obu klanów Rynów. Kiedy tam dotarł, przekonał się, że Romany przybył w
towarzystwie swojej pomocnicy, R'vanny. Wkrótce potem zjawił się Han.

- Spieszcie się - powiedział. - Obudźcie swoich ziomków, ale tak, żeby nie dopu-
ścić do wybuchu paniki. Dopilnujcie, żeby wszyscy mieli aparaty do oddychania i
ochronne kombinezony. Na wszelki wypadek.

- W tej chwili bardziej obawiamy się popłochu niż pęknięcia czy przedziurawienia
kopuły - wtrącił się Jacen. - Pamiętam, że od dawna nie ćwiczyliśmy, jak postępować
na wypadek takiej sytuacji. Powiedźcie im więc, że to tylko ćwiczenia - dodał, zwraca-
jąc się do przywódców obu klanów. - Może wam uwierzą.

Mezza skrzeknęła pogardliwie i pobiegła, żeby budzić swoich pobratymców. Ro-
many wśliznął się do najbliższej chaty.

- W porządku, dzieci. Chodźcie ze mną. - Han poprowadził bliźnięta do baraku
administracyjnego. Znalazł tam duży niebieski zbiornik z węzłem, zakończonym rozpy-
lającą dyszą. - Kiedy to przyleciało z jakimś transportem SENKI, oświadczyłem, że na
nic się nie przyda, bo nie zamierzamy myć sufitów. Wygląda na to, że nie miałem racji.

Jacen pomógł ojcu zaciągnąć zbiornik do pomieszczenia z hydroponicznymi
uprawami, gdzie jeden z androidów typu ERD-LL toczył bezowocną walkę z białooki-
mi ćmami.

- Na dół - warknął Han. - Zginaj nogi.

Automat posłusznie zgął kończyny w przegubach. Wyglądało to, jakby przyklęk-
nął. Han ustawił zbiornik na powierzchni jednej płaskiej ręki i przywiązał go, żeby się
nie zsunął. Podskoczył, żeby wspiąć się na drugą dłoń.

- Podosadźcie mnie - mruknął do bliźniąt.

Jacen wyciągnął rękę, żeby pomóc ojcu, ale w tej samej chwili między nim a Ha-
nem wyrosła porośnięta sierścią istota.

- Ja to zrobię - oznajmił Droma. Bez trudu wskoczył na kwadratową płytę drugiej
dłoni androida.

- Był najwyższy czas, żebyś tu się zjawił, drucziana szczotko - burknął Han, otrze-
pując rękawy bluzy z kurzu. - Myślisz, że sobie poradzisz...?

- W górę - zaskrzeczał Droma.

Android ERD-LL rozprostował nogi i uniosł się na całą wysokość. Zwinny Ryn
chwycił jedną dłońią przymocowane do płaskiej tacy metalowe kółko i owinał prężny
ogon wokół wytrzymałego ramienia automatu.

- Co jest w tym zbiorniku? - zaniepokoił się Jacen. Widocznie uświadomił sobie,
że już wkrótce krople tego płynu spadną im na głowy.

- Nie mam pojęcia - przyznał beztrósko Solo. - Chyba coś nieszkodliwego. Nie
powinno wyrządzić krzywdy nawet Vorsom.

Sześć minut później przekonał się, że nie wyrządzi krzywdy także białookim
ćmom. Wyglądało na to, że z każdą chwilą spod okapów wylatują nowe chmury owa-
dów. Po kolonii rozbiegli się Rynowie. Starali się chwycić i zabijać ćmy, ale na każdą
uśmierconą przypadało co najmniej dziesięć innych, które wzbijały się w powietrze i
zaczynały gryźć synplast kopuły.

Do pomieszczenia z kadziami wbiegła zadyszana Jaina.

- Vorsowie potrzebują jeszcze trzydziestu ośmiu aparatów do oddychania, tato -
oznajmiła.

Han utkwiał wzrok w twarzy sycą.

- Sądzisz, że zdołasz namówić trzydziestu ośmiu Rynów albo ludzi, żeby oddali
Vorsom swoje maski? - zapytał.

Jacen przełknął ślinę.

- Przypuszczam...

- Spójrzcie na to! - krzyknął z góry Droma. Ześliznął się po korpusie androida,
trzymając coś w dłoni.

Jacen, Han i Jaina skupili się wokół niego. Droma pokazał im opróżniony pojem-
nik po cieczy. Uwięziona w środku białooka ćma starała się wygrześć otwór w synpla-
stowej ścianie. Wyglądało na to, że synplast jest jej ulubionym przysmakiem. Widziane
z dołu żuchwy wyglądały jak dwa tarniki. Wgryzały się w gładką powierzchnię i cofały
do wnętrza jamy gębowej, a kiedy kończyły miażdżyć okruchy, znów wgryzały się w
ścianę i zaczynały na nowo.

- Gorsze niż mynocki - mruknął wstrząśnięty Han. - Chyba wszystko jasne. Jace-
nie, postaraj się nawiązać kontakt z Gateway. Spróbuj upchnąć Vorsów do kabin śmi-
gaczy. Wynosimy się z tej osady.

Jacen pobiegł do ośrodka łączności. W myśli liczył dni, jakie upłynęły od ostat-
niego połączenia. Doszedł do wniosku, że gdyby technicy kolonii Gateway trzymali się
harmonogramu, powinni byli wysłać ekipę remontową poprzedniego wieczoru. Jeżeli
kabel nie został naprawiony albo zmutowane żuki przegryzły go w innym miejscu,
pozostawało tylko jedno rozwiązanie. Koloniści z Trzydziestki Dwójki musieli stłoczyć

się na pokładach wahadłowców i transportowców, którymi przylecieli na planetę Duro, i modlić się, żeby filtry powietrza działały, dopóki nie przyleci pomoc. Niektórzy powinni wystartować i posługując się repulsorami, przelecieć do sąsiedniej osady, by wszcząć alarm. Jacen pamiętał jednak, że wiele jednostek z najwyższym trudem wylądowało na powierzchni planety... a kapitanowie pozostałych wysadzili uchodźców i odlecieli.

Śpiący w kącie pomieszczenia Randa poruszył się, głośno czknął, otworzył wielkie oczy i zamrugał.

Ignorując go, Jacen podszedł do pełniącego nocny dyżur młodego technika.

- Chciałbym połączyć się z kolonią Gateway - oznajmił bez żadnego wstępu. - To pilne. Muszą przysłać pomoc.

Technik odwrócił się i wystukał na klawiaturze komunikatora odpowiednie polecenie. Jacen z ulgą stwierdził, że niemal natychmiast rozległ się szorstki męski głos.

- Tu Gateway.

- Gateway, tu Trzydziestka Dwójka. Znosi się na pęknięcie kopuły. Poważne. Już niedługo. Zarządziliśmy ewakuację kolonistów. Przyślijcie co najmniej kilka terenowych pełzaków.

- Już wysyłamy - odparł mężczyzna. - Co to za pęknięcie? Można będzie je naprawić?

- Nie wiemy - przyznał Jacen. - Ale raczej to niemożliwe. Borykamy się z plagą dziwnych owadów.

- Zrozumiałem - oznajmił jego rozmówca. - Pełzaki powinny dotrzeć do was za jakieś... umilkł na chwilę - dwadzieścia sześć minut. Tymczasem starajcie się uspokoić kolonistów. Jeżeli możecie, rozdajcie im aparaty do oddychania i ochronne kombinezony. Zapewne macie kilka własnych pojazdów terenowych. Upchnijcie do kabin tyłu, ilu zdołacie.

- Dysponujemy tylko jednym małym pojazdem, Gateway - oznajmił Jacen. Przypomniał sobie, że wykorzystywano go do ściągania z lądowiska pod kopułę gwiazdnych statków, którymi przylecieli koloniści.

- Potwierdzam. Jeden mały pełzak terenowy - powtórzył technik łącznościowiec kolonii Gateway. - Zapakujcie do niego, ilu się da. - Jacen usłyszał niewyraźny i cichy głos innej osoby. Prawdopodobnie stała trochę dalej od mikrofonu i przysłuchiwała się rozmowie. - Trzydziestka Dwójka - podjął technik po chwili przerwy. - Co to za plaga, o której wspominałeś?

Jacen zastanowił się, zanim odpowiedział.

- My... no cóż... jeszcze z nią walczyliśmy - zaczął. - Dziękuję, Gateway.

- Trzydziestka Dwójka - powtórzył stanowczo mężczyzna. - Co się u was dzieje?

- Z niczym takim się dotąd nie spotkaliśmy - przyznał wymijająco młodzieniec. - Postaramy się złapać dla was jakiś okaz.

Do rozmowy włączył się jeszcze ktoś z kolonii Gateway.

- Trzydziestka Dwójka, tylko upewnijcie się, że nie ucieknie z pojemnika.

- Jasne, oczywiście - odrzekł z ulgą Jacen. Usłyszał jakiś hałas i odwrócił głowę.

W kącie pomieszczenia stał Randa. Wspierał ciężar ciała na ogonie.

- Co się dzieje? - zahuczał zaniepokojony.

- Ewakuujemy mieszkańców kolonii - oznajmił Jacen. - Przypominasz sobie te robale, które nagle zniknęły przed kilkoma dniami? Przepoczwarzyły się w coś, co przypomina wielkie ćmy. Także żywią się synplastem. Obsiadły chyba całą wewnętrzną powierzchnię kopuły. Starają się wygryźć w niej dziury.

- Posłusz się Mocą, Jedi Solo - zażądał Randa. - Zgnieć je, zabij!

Jacen wyobraził sobie, jak posługując się Mocą, chwyta jedno po drugim małe stworzenia, jak dusi je, miażdży, pozbawia życia...

- Nic z tego - powiedział. - Jest ich zbyt wiele.

- Nawet nie spróbowałeś! - zagrmiał młody Hurt i poczołgał się w jego stronę.

- Posłuchaj, Randa. - Jacen miał tego powyżej uszu. - Możesz nam sprawić kłopot albo pomoc. Weź aparat do oddychania i pomóż w utrzymywaniu porządku. Musimy przeprowadzić przez wrota tysiąc dwustu wystraszonych kolonistów.

- Żądasz ode mnie, żebym kierował ruchem? - oburzył się Hutt. Wyprostował się na całą wysokość i dumnie wypiął tors. - Chcesz, żebym ja, Randa Besadii Diori, zajmował się...

Jacen przecisnął się obok niego do drzwi.

- Jeżeli masz coś przeciwko temu, nie musisz - odparł oschle. - Bylebyś nam nie przeszkadzał. Najlepiej zostań tu, w ośrodku łączności - dodał od progu, odwracając głowę. - Będziesz stąd widział wszystko, co dzieje się na lądowisku. Kiedy przyjadą pełzaki z Gateway i zacnie się rozmieszczanie uchodźców, połącz się ze mną za pomocą komunikatora.

Wyszedł na dwór i zobaczył, że wszędzie tłoczą się koloniści. Niektórzy mieli na twarzach maski, inni włożyli ochronne kombinezony. W pewnej chwili minęła go rodzina Vuvrian. Zbudzone z głębokiego snu istoty chwiała się na nogach. Kołysząc wielkimi głowami, kierowały na wewnętrzną powierzchnię kopuły to jedno, to drugie, to następne duże oko. Jacen pomyślał, że ich twarze z wiecznie zaciśniętymi ustami i obwisłymi mackami przypominają mu balony, z których uszła część gazu. Zauważył, że stojący przed nim Ryn wyciąga blaster i kieruje lufę w górę. Podbiegł do niego, krzycząc:

- Schowaj broń!

Zamierzał już posłużyć się Mocą, by wyszarpnąć przedmiot z dłoni istoty, ale Ryn zdążył wystrzelić rozproszoną błękitną wiązkę energii w kopułę. Zamierzał tylko ogłuszyć ćmy, a nie zabić. Na szczęście energia uległa rozproszeniu, zanim dotarła do pęcznejącej chmury czarnych owadów.

- Chwalebny pomysł - odezwał się ponuro Jacen. - Zapomniałeś chyba, że na terenie kolonii obowiązuje zakaz strzelania z blasterów.

Odebrał broń Rynowi i zatknął za pasek spodni.

Zobaczył, że do walki z białookimi ćmami przystąpiło dwóch innych Rynów. Stojąc na płaskich dłoniach wysoko uniesionych rąk androida typu ERD-LL, starali się zabijać owady zabranymi z kuchni chochlami i warzachwiami. Kilka trafionych ciem leżało nieruchomo na powierzchni gruntu wokół automatu. Inne trzepotały czarnymi

skrzydłami na wysokości głów obu śmiałków. W pewnej chwili jeden Ryn wypuścił chochłę i zajął się zgarnianiem owadów, które obsiadły jego i kolegę.

Gdyby pod kopułą Trzydziestki Dwójki było więcej miejsca, nieocenione usługi mogliby oddać uskrzydleni Vorsowie. Chaty stały jednak zbyt blisko siebie, żeby istoty mogły manewrować w locie - a poza tym mógłby je przyprawić o śmierć pierwszy kłęb zatrutej atmosfery Duro, jaki przedostałby się przez otwór w kopule. Drobne istoty wolały chodzić tam i z powrotem i zajmować się pilnowaniem młodszych dzieci.

Jacen wyciągnął komunikator i połączył się z ojcem.

- Jeszcze jakieś dwadzieścia dwie minuty - oznajmił. - Ci z Gateway chcą, żeby do tego czasu koloniści włożyli aparaty do oddychania i kombinezony.

- Powiadom o tym Mezzę i Romany'ego - odparł Han. - Ja muszę uruchomić nasz pełzak.

Jacen kiwnął głową i przerwał połączenie. Nagle zauważył Randę. Młody Hutt przeciskał się przez tłum uchodźców w stronę stacji z hydroponicznymi uprawami.

Chłopiec podbiegł, by go powstrzymać.

- Co ty wyprawiasz? - skarcił go. - Wracaj do ośrodka łączności i czekaj na przyjazd ekip z Gateway.

- Chciałem zaniknąć magazyn żywności, żebyśmy mieli co jeść, kiedy tu wrócimy - tłumaczył się Randa.

- Mój ojciec polecił, żeby zajęli się tym Vuvrianie - odparł Jacen. - Nie upieraj się. Wracaj.

- Jeżeli będziesz mi rozkazywał, młody Jedi, gorzko pożałujesz - burknął Hutt.

Jacen stwierdził, że trzeba go udobruchać.

- Nie rozkazuję ci, Rando - powiedział. - Potrzebujemy cię. Proszę tylko, żebyś nam pomógł. Postaraj się powstrzymać uchodźców przed oddalaniem się od bramy. Jeżeli im na to pozwolimy, stracą jedni drugich, kiedy przyjadą pełzaki z Gateway.

Mrucząc coś pod nosem, Hutt odwrócił się i poczołgał ku bramie.

Jacen głęboko odetchnął. Rozejrzał się po terenie zamieszkanym przez Rynów. Jeżeli nie liczyć Randy, uchodźcy zachowywali się rozsądnie, jakby naprawdę uwierzyli, że to tylko ćwiczenia. Członkowie ostatnich rodzin zakładali aparaty i kombinezony i kierowali się w stronę bramy. Jedyne wyjątki stanowili stojący na płaskich dłoniach androida ERD-LL dwaj młodzi zapaleńcy. Cały czas, wymachując chochłami, zmagali się z chmurami biało-zielonych ciem.

Nagle w okolicy zamieszkanym przez Vorsów chat, nad którymi kłębiło się najwięcej owadów, ukazała się cienka strużka szarej mgiełki. Niemał natychmiast rozległo się ponure zawodzenie syren alarmowych - znak, że w kopule pojawiła się szczelina. Ostami Vorsowie, wciąż jeszcze wychodzący z chat, puścili się biegiem w kierunku bramy. W blasku dziennych lamp migwały ich spiczaste twarze i długie nogi. Jacen pobiegł ku istotom, by zapobiec panice.

Pierwsza fala biegnących Vorsów zagarnęła go i rzuciła na szorstką, glinianą ścianę pobliskiej chaty. Jacen zderzył się plecami z twardą powierzchnią z takim impetem, że z jego płuc uszła resztką powietrza. Jednak nie upadł. Kiedy oprzytomniał, kilka razy głęboko odetchnął. Nagle zobaczył Vorsę bez aparatu do oddychania.

- Trzymaj! - krzyknął, rzucając mu swoją maskę.

Wrażliwa istota natychmiast naciągnęła ją na spiczastą twarz i podziękowała mu kiwnięciem głowy. Odwróciła się, by dołączyć do grupy ziomek.

Jacen uniósł głowę i zobaczył sączącą się z kopuły drugą strużkę szarawej mgiełki. Otaczające otwór ćmy poderwały się do lotu i wylądowały gdzieś indziej, blisko wspornika. Zaczęły wygryzać otwór w innym miejscu.

Młodzieniec miał nadzieję, że śmierci je trująca atmosfera planety Duro. Chwytał komunikator i wystukał kombinację cyfr.

- Tato?

- Przyjechali ci z Gateway, juniorze - usłyszał w odpowiedzi. - Możesz zacząć wypuszczać kolonistów.

- Zrozumiałem.

Jacen wyłączył komunikator i odkleił plecy od chropowatej ściany chaty. Zauważył, że jedna z samic Vorsów potyka się i pada. Podbiegł jeden z Rynów i pochylił się nad nią. Bez wysiłku podniósł filigranową istotę i trzymając na rękach, ruszył ku gromadzie Vorsów.

Dostrzegło go dwóch samców stojących na skraju grupy. Krzyknęły coś i podbiegły do Ryna. Kiwając energicznie głowami, ostrożnie odebrali mu nieprzytomną samicę.

Jacen podszedł do Ryna i klepnął go po ramieniu.

- Dziękuję, kolego - powiedział. - Idź dalej, nie przystawaj. Ja upewnię się, że nikogo nie brakuje.

Wspiął się po metalowych klamrach sąsiedniej chaty i rozejrzał się po terenie kolonii.

Doszedł do wniosku, że chyba wszyscy uchodźcy zgromadzili się w wąskich przejściach między chatami. Najwięcej osób stłoczyło się w pobliżu bramy. Wyglądali jak sfermentowany napój, napierający na korek butelki, by wydostać się na zewnątrz. Niektórzy maruderzy patrzyli w górę, na kopułę, wyciągali ręce i pokazywali dwie... nie, już trzy wygryzione dziury. Sączyły się przez nie strużki szarej mgiełki. Istoty kuliły się i chowały głowy jak przerażone dziesięcioletnie dzieciaki w pokoju, w którym ukrył się kryształowy wąż. Największa szara chmura zgromadziła się nad dachami chat Vorsów. W pewnej chwili Jacen poczuł wstrętny odór rozrzedzonej mieszaniny trujących gazów. Wiedział, że wydobywały się z tysięcy opuszczonych imperialnych fabryk, gdzie kiedyś produkowano sprzęt i broń na potrzeby armii Palpatine'a. Zakrył usta i nos rękawem kamizelki i zaczął się przeciskać do bramy.

Po drodze spotkał Ryna ubranego w maskę i ochronny kombinezon. Zorientował się, że to Romany.

- Co teraz mam robić? - zaskrzeczała istota.

- Czy ktoś sprawdził wszystkie wasze chaty? - zapytał Jacen. - Jeżeli w którejś z nich ktoś śpi, może nie pojechać na wycieczkę.

Romany wyciągnął z tłumu Rynów dwóch roślących, krzepkich samców. Zażądał od dwóch innych, nie tak mocno umięśnionych, żeby oddali silaczom swoje kombinezony.

- Wracamy - wyjaśnił rzeczowo. - Jeszcze jakiś czas tu zostaniemy. Wychodźcie z innymi. Wskakujcie do pełzaków.

Zaniepokojeni chudzielcy zaprotestowali. Jacen zostawił Rynów, żeby rozstrzygnęli spór między sobą. Przepisnął się do ośrodka łączności.

Stwierdził, że dyżurujący technik i Randa zniknęli. Spojrzał przez obserwacyjny bąbel na lądowisko. Zobaczył pięć ogromnych nieruchomych pojazdów terenowych. Przywodziły na myśl hydroponiczne kadzie, leżące obok siebie na platformach o trzech osiach. Na końcach każdej osi widniały baloniaste opony, większe niż pięć chat dla uchodźców. Z włazów trzech pełzaków zwieszały się grube rękawy cumownicze. Przed wlotem rury wiodącej do najdalszego pojazdu kłębił się tłum kolonistów w skafandrach. Ich ruchem kierowali ubrani w takie same ochronne stroje pracownicy SENKI.

Jacen wyszedł na dwór i zaczął przeciskać się przez tłum uchodźców.

Przekonał się, że przez służbę bramy kolonii weszło kilku innych członków personelu SENKI. Pilnowali, żeby pośród uchodźców nie wybuchła panika. Chłopiec zauważył z obrzydzeniem, że ku bramie kolonii przepycha się Randa. Młody Hutt roztrzącał na boki i zwał z nóg ludzi, Rynów, Vorsów i wszystkich, którzy stali mu na drodze.

- Hej! - rozległ się gniewny okrzyk Hana. Jacen dostrzegł, że ojciec wspiął się na okratowany pojemnik do transportu towarów. - Cofnij się, Randa! Jeżeli będziesz się tak pchał, wejdiesz na pokład pełzaka na samym końcu!

Hutt nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie. Roztrzącał na boki tłum uchodźców jak luksusowy ścigacz Calrissiana fale oceanu. Han wyciągnął i odbezpieczył blaster.

- Stój, Randa! Ani kroku dalej! - zawołał. - Jeżeli ci na to pozwolę, później nie powstrzymamy nikogo.

Randa znieruchomiał, odwrócił głowę i obrzucił Hana oburzonym spojrzeniem. Niektórzy uchodźcy pomagali wstawać i otrząsać ubrania przewróconym przez niego istotom. Inni, omijając Huttę z obu stron, kierowali się do wyjścia.

Jacen dostrzegł obok wrót rosnący stos zawiniątek z przedmiotami osobistego użytku. Obok góry porzuconych rzeczy stał przedstawiciel SENKI, rosły i pewny siebie Twi'lek w ochronnym kombinezonie. Nakazywał uchodźcom, aby rzucali na stos wszystko, co mają, bo inaczej nie pozwoli im przejść przez służbę bramy.

Jacen przepisał się do funkcjonariusza i stanął obok.

- Posłuchaj - mruknął na tyle głośno, żeby tamten usłyszał. - Ci nieszczęśnicy nie zabrali prawie nic, kiedy uciekali z rodzinnych światów. Chyba nie zamierzasz pozabawiać ich tego, co im pozostało...

Twi'lek rozłożył na boki długie ręce.

- Przyślemy później kogoś po wasze rzeczy - obiecał. - Na razie najważniejszym celem jest ratowanie życia... Chwileczkę! Co to takiego?

Wyłuskał z tłumu uciekinierów starszą kobietę, która przyciskała do piersi jedną rękę, a drugą podtrzymywała chorego męża. Spod płaszcza staruszki wystawało coś małego, ciemnego i porośniętego długą sierścią. Twi'lek chwycił poły płaszcza i rozchylił na boki. Oczom wszystkich ukazało się niewielkie kosmate zwierzątko. Przytulone do tuniki właścicielki, dygotało, ale trzymało się wszystkimi czterema chudymi łapkami. Jacen rozpoznał małego szeptokotka. Zdradziło go wystające uszko.

- Przykro mi - burknął Twi'lek. - Nie mam pojęcia, jakim cudem zdołała pani przylecieć z tym zwierzątkiem aż na Duro, ale musi je pani tu zostawić.

W błękitnoszarych oczach staruszki zakręciły się łzy.

- Proszę pana, pilnujemy go na prośbę wnuczka - oznajmiła. - Pełni służbę na jednym z okrętów Piątej Floty. Obiecaliśmy mu, że...

Ocalenie życia. Pierwszeństwo. Galaktyka, chwiejąca się w punkcie równowagi o rozmiarach jednego małego, wystraszonego szeptokotka.

Jacen przepisał się obok funkcjonariusza SENKI i oderwał jego palce od płaszcza kobiety. Zasunął poły tak, że zwierzątko znikło.

- Czego nie widać, tego nie ma - oznajmił stanowczo. Odwrócił się i popatrzył groźnie na bezdusznego Twi'leka. - Jak ci się wydaje, ile może zjeść albo zużyć powietrza jeden mały szeptokotek - zapytał - w porównaniu z tym, co wycierpi ta kobieta, gdybyśmy go tu zostawili?

Funkcjonariusz SENKI odwzajemnił jego spojrzenie.

- Jaki szeptokotek? - odparł z udanym zdziwieniem.

Młodzieniec uśmiechnął się i wycofał. Z każdą sekundą smród stawał się coraz trudniejszy do wytrzymania. Widocznie przez kopułę wpadało coraz więcej toksycznych gazów. Jacen zauważył, że ewakuacja kolonistów zbliża się do końca. Przez bramę przechodzili ostatni Vuvrianie i Rynowie. Spiesząc się ku rozłożonym rękawom, rzucali na stos walizki, nesesy, pakunki, torby albo worki. Kilku ostatnich odrzuciło je na bok albo podeptało. Wszyscy przechodzili przez służbę i biegli ku pełzakom. Droma uniósł rękę i kpiącym salutem pozdrowił Hana.

- To już wszyscy, Solo - zameldował.

Han opuścił lufę blastera.

- Teraz ty, Randa - mruknął. - Jacenie, jeżeli będziesz miał z nim kłopot, możesz go ogłuszyć. Najpierw jednak upewnij się, że wejdzie do pełzaka.

Chłopiec przepisał się przez służbę i w ślad za pomrukującym gniewnie Hurtem wszedł do rękawa. Kątem oka zauważył, że ojciec pobiegł do sąsiedniego pojazdu. Jednak gdy Randa znalazł się w wejściu do pełzaka, stanął i za nic nie chciał iść dalej. Jacen pozostał w rękawie. Za jego plecami stłoczyli się trzej funkcjonariusze SENKI.

- No, dalej! - krzyknął jeden. - Wyośmy się stąd!

- Rando! - zawołał Jacen. - Właż głębiej!

Hutt odwrócił głowę i lypnął na nich złowieszczo.

- Twój ojciec oznajmił, że mam wejść ostatni - burknął. - A to oznacza, że ten pełzak jest pełny.

Jeden z funkcjonariuszy pchnął w plecy Jacena, który runął na zdumiewająco twarde i sprężyste ciało Huttę. Czując ciężar, Randa machnął wielkim ogonem. Roztrzącił kilkoro Rynów, a ci potoczyli się na innych uchodźców. Jeden Ryn stracił przytomność i osunął się na płyty pokładu.

Jacen wyciągnął zza paska zarekwirowany blaster. Upewnił się, że broń jest nastawiona na ogłuszanie, wymierzył lufę w Huttę i strzelił. Randa zwał się na pokład. Z tłumu stłoczonych w głębi pojazdu kolonistów rozległ się chór radosnych ryków, gwizdów i pohukiwań. Nagle między żebra Jacena wbiły się czyjeś palce.

- Dobra robota, chłopcze - mruknęła Jaina.
 Jej brat bliźniak odetchnął z ulgą.
 - Cieszę się, że znalazłaś się na pokładzie tego samego pełzaka - powiedział.
 - Podobno miałeś nie uciekać się do przemocy - zakpiła dziewczyna.
 - Randa krzywdził inne istoty - odparł Jacen, chowając za pasek zabezpieczony blaster. - A ja nie posługiwałem się Mocą.
 - A czy Yuuzhanie także nie krzywdzą innych istot? - zapytała Jaina. - Czy nie powinni być powstrzymani za pomocą wszystkiego, czym dysponujemy?
 Ignorując sarkazm w jej głosie, Jacen oparł się o klapę zamkniętego włazu. Poczuł, że pełzak zadygotał.
 - Uwaga, wszyscy! - krzyknął. - Trzymajcie się! Czeką nas długa podróż po wybojach!

ROZDZIAŁ

13

Pełzak dygotał i podskakiwał, ale nie przestawał przeć w kierunku kolonii Gateway. W zamkniętym wnętrzu unosił się odór kilkuset niezbyt czystych ciał, spotęgowany przez woń potu. Jacen łapał się na tym, że raz po raz marszczy nos. Cieszył się, że stoi blisko klapy włazu. Kiedy dotrą na miejsce, wyjdzie pierwszy.

- Urocze - mruknęła w pewnej chwili Jaina. - Gdzie mój aparat do oddychania?

W przeciwległym kącie ładowni ktoś zaintonował pieśń. Z każdą chwilą coraz więcej Rynów podchwytywało dobrze znaną melodię. Niektórzy, posługując się dziurkowanymi dziobami jak fletami, wygrywali na nich melodyjne dźwięki. Jacen nie musiał znać słów, by rozumieć, że istoty śpiewają pieśń podrózną. Wieczni tułacze znowu wyruszyli na spotkanie przeznaczenia.

Nagle zaćwierkał jego komunikator.

- Przepraszam - odezwał się Jacen do najbliższego Ryna, którego potrącił łokciem, kiedy unosił do ust niewielkie urządzenie. - Proszę wybaczyć - powiedział innemu, którego Popchnął, usiłując odzyskać równowagę. - Tu Jacen Solo.

- Kapitan pełzaka. To pan prosił, żebyśmy po was przyjechali?

- Potwierdzam.

- Proszę powiedzieć mi jeszcze raz, co doprowadziło do pęknięcia waszej kopuły. Z pańskiego raportu wynika, że zaatakowały was stworzenia podobne do miniaturowych mynocków.

- Nikt nie pokazywał panu, jak wyglądają?

- Nie. Spodziewaliśmy się, że może pan jakiegoś złapał.

- Nie. - Jacen postanowił nie wdawać się w szczegóły. Pomyślał, że im mniej wyjaśni, tym lepiej. Musiał jednak coś powiedzieć. Kiedy doszedł do tego, jak robaki przepoczwarzyły się pod okapami chat kolonistów i przemieniły w białookie ćmy, odpowiedziała mu długa cisza. Pstryknął kilka razy włącznikiem komunikatora.

- Panie kapitanie, jak pan mnie rozumiał? - zapytał. - Zamknięci w ładowni Rynowie głośno śpiewają i nie jestem pewien...

- Zrozumieliśmy wszystko - odezwał się ktoś, kto dotąd nie brał udziału w rozmowie. - Porozumiewamy się z personelem kolonii Gateway w sprawie procedur odkażania.

Stojący najbliżej Jacena Rynowie, którzy słyszeli treść rozmowy, odwrócili głowy i obrzucili go zaniepokojonymi spojrzeciami.

- Możecie być o to spokojni - zapewnił młodzieniec. - Nikt spośród nas nie zabrał poczwaraki.

- Z pewnością nie celowo - odezwała się ta sama osoba. - Może nie poczwarę, ale na przykład jajo. Wystarczy jedno, ukryte między włosami sierści Ryna, i cały cykl rozrodczy zacznie się na nowo... a nasza kopuła jest większa i wyższa niż Trzydziestki Dwójki. Jeżeli jakieś stado ciem ulokuje się poza naszym zasięgiem, cała akcja przesiedleńcza może zakończyć się katastrofą.

Jacem ścisnął w dłoni mały komunikator. Oparty o Jainę, chwiał się w rytm podskoków i szarpnięć wielkiego pojazdu. Uświadamiał sobie, że jeżeli nie liczyć Randy, większość miejsca w tej części przepaścistej ładowni zajmowali Rynowie. Nawet gdyby tego nie widział, musiałby się domyślić, sądząc po specyficznym odorze, jaki wydzielają ich ciała. A skoro nie miły zapach tak bardzo mu przeszkadzał, jak musiał drażnić wrażliwe organy węchu samych istot? Z pewnością cierpliwość większości Rynów była bliska wyczerpania. Jacem zauważył, że niektóre istoty uniosły ręce i drepcząc w miejscu, zaczynają tańczyć.

Zbliżył usta do mikrofonu komunikatora i mruknął:

- Rynowie są z natury czystoszkami. Nie znajdujcie na ich ciałach żadnych jaj ani niczego innego.

- Może pan jest o tym przekonany - odparł członek załogi. - My wiemy co innego. Odkazanie porośniętych sierścią ciał istot bywa zawodne i kłopotliwe. Mamy pod kopułą pomieszczenia do odkazania przylatujących uchodźców; kłopot jednak w tym, że nie dysponujemy zapasami środków do okadzania dymem. Zazwyczaj SENKA przysyła je z transportami nowych uciekinierów. Możemy napromieniować pańskich kolonistów, ale nie gwarantujemy, czy to nie podrażni ich skóry. Moglibyśmy wprawdzie zmniejszyć natężenie, ale wtedy wytlumia je włosy sierści. Tak więc pańscy koloniści muszą dokonać wyboru. Możemy kazać wszystkim się rozebrać i zanurzyć w wannach ze środkiem odkażającym, ale wówczas niektórzy mogą się rozchorować. Możemy też ogolić ich i dopiero wtedy napromieniować.

Stojący obok Jacena Ryn cicho mruknął. Odwrócił się i wdał w dyskusję z trzema sąsiadami.

- Czy nie istnieje jakiś inny sposób? - zapytał Jacem, boleśnie świadom, że otacza go kilkuset wyrwanych ze snu Rynów, tym bardziej rozwścieczonych, że musieli porzucić resztki dorobku całego życia.

- Możemy oszczędzić przykrości Vorsom i Vuvrianom - ciągnął ten sam mężczyzna. - Nie są porośnięci sierścią, toteż poddamy ich tylko chwilowemu napromieniowaniu i wpuścimy na teren kolonii.

Jacem skulił się i oparł plecami o klapę wjazdu.

- Dlaczego zwróciliście się z tym do mnie? - zapytał. - Gdzie podział się kapitan Solo?

- Chyba zgubił komunikator - odrzekł rozmówca. - Jest pan następny w kolejce do wydawania rozkazów.

Chłopiec wyłączył swój komunikator. Miał nadzieję, że funkcjonariusze SENKI wymyślą coś lepszego. Pod stopami czuł drżenie płyt pokładu i słyszał basowy pomruk silników. Rynowie wciąż śpiewali; niektórzy także rytmicznie przytupywali. Jacem rozprostował nogi w kolanach. Oparty o siostrę, kołysał się w takt podskoków pelzaka.

- To nie brzmi najlepiej - mruknął w pewnej chwili.

Sekundę później znów zaszczebiotał jego komunikator. Jacem pstryknął przełącznikiem.

- Solo?

- Słucham.

- Porozumieliśmy się z istotą o imieniu Mezza. Oświadczyła, że Rynowie nie zgadzają się na kąpiel w dezynfekującym płynie. Muszę przyznać, że wcale im się nie dziwię.

- Ja też nie - przyznał Jacem. - Proszę tylko, żebyście nie dyskryminowali Rynów. Na cokolwiek się zdecydujecie, taki sam los ma spotkać wszystkich pozostałych: Vorsów, Vuvrian i ludzi. I jednego Hutta - dodał, zerkając w dół. Randa zwinął cielsko w kłębek i nie dawał znaku życia.

Pieśń Rynów dobiegła końca. Wkrótce ktoś zaintonował następną. Kiedy wszyscy śpiewali drugą zwrotkę, Jacem odebrał kolejną wiadomość.

- W końcu udało się nam porozumieć z kapitanem Solo. Oznajmił, że musi być jakaś sprawiedliwość. Tak samo potraktujemy wszystkich kolonistów.

Dobra robota, tato! - pomyślał Jacem.

- Mogą mnie ogolić do gołej skóry. Nie dbam o to - mruknął, zwracając się do siostry.

- Ja też nie - odrzekła Jaina. - Nierzadko widywałam prawie łyse pilotki.

Kiedy w końcu ustały wstrząsy i podskoki, coś z brzękiem uderzyło o zewnętrzną klapę śluzy. Jacem próbował się cofnąć, ale na jego plecy napierał tłum Rynów. Chłopiec rozstawił szeroko nogi i wsparł się ramieniem o przegrodę. Na szczęście personel naziemny przystawił rampę, więc kiedy włączył się otworzył, Jacem nie runął z dużej wysokości na płytę lądowiska. Członkowie załogi pelzaka zaczęli wykrzykiwać polecenia. Kierowali schodzących kolonistów w jedno miejsce. Opuszczając ładownię Rynowie musieli omijać cielsko ogłuszonego Hutta.

Jacem przekonał się, że pelzaki wjechały do ogromnego metalowego hangaru, odizolowanego od pozostałej części kopuły i większego niż niejedno lądowisko dla gwiazdnych statków. Ubrany w ochronny kombinezon funkcjonariusz nakazał gestem bliźniętom, by odeszły na bok. Jacem i Jaina, idąc w stronę umieszczonej na podwyższeniu metalowej platformy, zauważyli ojca i Dromę. Kierowali się w to samo miejsce; energicznie gestykulowali, a od czasu do czasu popychali jeden drugiego. Dopiero kiedy brat i siostra wspięli się na platformę, zobaczyli, że personel kolonii Gateway kieruje uchodźców z Trzydziestki Dwójki do otoczonego płotem obozu. Wokół ogrodzenia, układając coś na ziemi, krzątały się inni pracownicy. Z każdą chwilą narastał gwar setek rozmów, prowadzonych równocześnie przez Vorsów, ludzi, Vuvrian i Rynów.

Przez wrota hangaru, które prawie natychmiast się zamknęły, wjechał mały pojazd kołowy z wymalowanym napisem ADMINISTRACJA. W kabinie siedziały cztery

osoby w jaskrawo-pomarańczowych skafandrach i hełmach. Jacen docenił ich przezorność. Wszyscy, którzy stykali się z kolonistami Trzydziestki Dwójki - nie wyłączając członków załóg pełzaków i personelu kolonii Gateway - musieli odbyć kwarantannę i poddać się odkażeniu. Tylko dłaczego przyjechali, zamiast skorzystać z projektora hologramów?

Spojrzał jeszcze raz na mały pojazd i nagle zrozumiał. Chyba wiedział, kim jest jedna z tych osób.

Nie dowierając własnym oczom, szturchnął siostrę. A więc ta osoba przebywała cały czas na planecie Duro. Niedaleko od nich, na terenie kolonii Gateway.

Jaina odwzajemniła mu się takim samym kuksańcem. Odwrócili się twarzami do siebie, ale tak, żeby móc kątem oka obserwować ojca.

Pojazd zatrzymał się i z wnętrza wyskoczyła niewysoka osoba w pomarańczowym stroju. Chociaż hełm krył jej twarz, Jacen rozpoznał ją bez trudu. Szła szybko, ale z godnością, stawiając krótkie kroki. Młodzieniec pomyślał, że idąca za nią jak cień jeszcze niższa istota musi być jednym ze strażników rasy Noghri.

Na platformę wspięli się właśnie Han i Droma. Mężczyzna zaciskał pięści, jakby zamierzał rzucić Ryna z podwyższenia.

- Nie, nie mają repulsorowych grzebieni - tłumaczył. - Nie ma innego wyjścia. Musicie po prostu poddać się...

- ...temu zabiegowi? - dokończył gniewnie Droma. - Co ty możesz o tym wiedzieć? Nie przejmujesz się, bo tobie zgołą tylko trochę sierści z czubka pustej głowy, ale czy wyobrażasz sobie, jak zimno...

Na platformę zaczęła się wspinać niewysoka przedstawicielka władz Gateway w pomarańczowym skafandrze.

- Witam, witam - odezwał się Han, odwracając się ku niej. Na brudnej, zakurzonej twarzy ukazał się nieco wymuszony uśmiech. - Dziękujemy za przysłanie pełzaków, ale mamy pewien problem. Jeden z członków waszej załogi znalazł coś, co uznał za jajo. Musimy się dowiedzieć, skąd wzięły się te szkodniki, ale nasi koloniści też zasługują na odrobinę szacunku.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by ich nie urazić.

Jacen wyteżył słuch. Głos brzmiał wprawdzie trochę ochryple i matowo, ale ton się zgadzał.

- Taka sama procedura dla wszystkich kolonistów - ciągnęła osoba w hełmie i skafandrze. - SENKA jest bardzo wdzięczna, że zatroszczyłeś się o uchodźców.

Han wyciągnął rękę.

- Cieszę się, że to rozumiesz - powiedział. - Nazywam się Han Solo.

Zamiast ucisnąć wyciągniętą dłoń, przedstawicielka władz kolonii Gateway zaczęła odpinać zatrzaski hełmu.

- Hej, zaczekaj! - wykrzyknął przerażony Han. - Uważaj, bo inaczej i ciebie poddadzą odkażaniu!

Istota zdjęła hełm i ściągnęła maskę. Dopiero wtedy ukazało się pasmo długich, kręconych brązowych włosów.

- Nic nie szkodzi - odparła ponuro.

Leia patrzyła na udreżoną twarz męża. Zauważyła zmarszczki wokół szeroko otwartych orzechowych oczu, rozchylone wargi, szary zarost na brodzie... Luke i Mara musieli wiedzieć, że Han jest zarządcą Trzydziestki Dwójki, pomyślała. Z pewnością uznali, że i ja to wiem. Ciekawe, ilu jeszcze ludzi doszło do tego samego wniosku i uznało, że nie warto mnie o tym informować?

Wiedziała, że ma tylko kilka chwil na przełamanie lodów jego pozornej obojętności. Musiała się spieszyć, zanim Han przypomni sobie, co powiedziała, kiedy widzieli się ostatnio.

- Twoi ziomkowie muszą zostać odkażeni - zaczęła, zwracając się do Dromy - ale udowodnię im, że pracownicy Gateway i SENKI są ich sprzymierzeńcami, a nie wrogami - obiecała. Wiedziała, że jej doradczyni, Abbela Oldsong, poradzi sobie przez jakiś czas z zarządzaniem kolonią. Musiała przełamać opór Hana, zanim ogniki w jego oczach zgasną, zastąpione przez obojętność i pustkę. Podeszła do męża. - A poza tym nie miałam pojęcia, że to ty zarządzasz Trzydziestką Dwójką. Powinnam była to wiedzieć, ale... chyba nigdy nie przysłałeś mi spisu kolonistów i pracowników personelu.

- No cóż, to prawda, nie przysłałem. - Na twarzy Hana pojawił się szelmowski uśmiešek. - Pomyślałem sobie, że SENKA będzie zbyt zajęta problemami kolonii Gateway, aby zwrócić uwagę na taki drobiazg.

Leia obejrzała się za siebie. Tuż za jej plecami stał Olmahk. Wszystkiemu się przyglądał, wszystko bacznie obserwował. C-3PO pomagał nowo przybyłym uchodźcom. Gdzie ich pomieścimy? - zastanowiła się. Zawsze miała nadzieję, że w końcu wszyscy uchodźcy z Trzydziestki Dwójki zostaną przesiedleni na stałe pod kopułę kolonii Gateway. Nie spodziewała się jednak, że dojdzie do tego tak szybko, i dlatego pozwoliła, żeby ekipy jej robotników zmieniały się co tydzień zamiast pracować równocześnie. Pod kopułą jej kolonii było jeszcze sporo wolnego miejsca, ale z harmonogramu wykorzystania sprzętu budowlanego wynikało, że maszyny będą zajęte jeszcze kilka tygodni. Apartamenty w nowo budowanym osiedlu także rozdzielono, zanim zaczęła się budowa. Pozostawały namioty... starannie złożone, kiedy pierwsi podopieczni przeprowadzili się do bardziej wytrzymałych chat. A teraz jeszcze te problemy z kwarantanną i odkażaniem...

Później! Miała teraz przed sobą cztery piąte swojej rodziny... wszystkich z wyjątkiem Anakina. Taka sytuacja nie wydarzyła się od wielu miesięcy!

Podeszła jeszcze bliżej i przytuliła się do męża. Nie wyczuła, żeby jego ciało się odprężyło, ale przynajmniej Han chwycił ją w objęcia.

Leia uśmiechnęła się i cofnęła na odległość ramion.

- Cześć, mamó - odezwał się Jacen. Wyciągnął do niej ręce, ale się zawahał.

Leia postawiła na metalowej platformie swój hełm. Skoro i tak czekała ją kwarantanna, odpięła zamki skafandra i rzuciła go obok hełmu. Dopiero wtedy uściskała syna.

- Na Moc! - wykrzyknęła. - Jesteś równie wysoki jak twój ojciec! Nagle zauważyła Jainę, która stała trochę z tyłu.

- A ty co tutaj robisz? - zapytała.

Jaina przełożyła z jednej ręki do drugiej maskę z dziwnymi obiektami.

- Urlop zdrowotny - odparła rzeczowo. - Staraliśmy się dowiedzieć, co się z tobą stało.

Leia poczuła, że jej żołądek kurczy się z przerażenia.

- Zostałaś ranna? - spytała.

- Przejściowa i częściowa ślepotą. Nic poważnego. - Jaina ściszyła głos do szeptu.

- Mamo, najpierw załatw sprawę z tatą. To najważniejsze.

Odwróciła się, zesłała po metalowych stopniach i wmieszała się w tłum Rynów.

Jacem położył dłonie na ramionach matki. Z lekkim naciskiem obrócił ją w stronę Hana, który zdążył wsunąć ręce do kieszeni.

- To najważniejsze - powtórzył cicho.

Leia niezdecydowana, co ma robić, posłużyła się Mocą i wysłała ku bliźniętom kojące myśli. Jacem promieniał, zachwycony, że prawie wszyscy byli znów razem. W myślach Jaina jednak kryło się rozgoryczenie. Leia pomyślała, że kiedyś musi stawić temu czoło. Kiedyś. Może później. Z pewnością nie w tej chwili.

- Chyba powinienem zająć się czymś pożytecznym - mruknął niepewnie Droma. Włożył miękki beret, który dotąd ścisnął w dłoni. - Miło mi, że mogłem znów panią zobaczyć, księżniczko Leio.

Odwrócił się i podążył śladami Jaina. Leia wzięła Hana pod rękę.

- Pozwól, że ci pokażę, gdzie twoi koloniści przejdą kwarantannę - powiedziała beztrasko.

Uchodźców z kolonii Trzydziestej Drugiej stłoczono na terenie byłego doku remontowego. Spacerując tam i z powrotem, członkowie rodzin starali się nie rozłączać. Leia przypominała sobie, że nie powinna im się przyglądać. Musiała najpierw pogodzić się z Hanem. Jej wina, jego wina - w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Chociaż zawsze starała się być silna i niezależna, czuła się najszcześliwsza, ilekroć ktoś pomagał jej borykać się z trudnościami.

Z drugiej strony jednak to oznaczało, że musi pomóc Hanowi rozwiązać jego problemy.

- Tak - przyznała. - SENKA i Gateway troszczą się o siebie, ale także starają się przywrócić poprzedni wygląd tej planecie. Czy pamiętasz Honoghr? Nie mogliśmy tam prawie nie zrobić. Tu wszystko jest możliwe. Tym bardziej że planetą nie interesują się Yuuzhanie. Możemy przekształcić ją w raj dla milionów uchodźców.

- Nie zapomniałaś o Durosjanach? - zapytał Han, marszcząc brwi. - Chyba poświęcasz im zbyt mało uwagi. O ile wiem...

- .. ledwo nas tolerują - dokończyła żona. - Jednak i my na razie nic im nie dajemy. Ten świat to klucz do nowej przyszłości, kiedy istoty wielu ras będą żyły w pokoju obok siebie. Zaczekaj, aż zobaczysz, jakimi sukcesami mogą się poszczycić nasi naukowcy.

- A gdzie stara, poczciwa Złota Sztaba? - zainteresował się Solo. Potarł zarost na policzku. - Przydałaby mi się jego pomoc. Dysponowaliśmy zaledwie kilkoma poobijanymi zmodyfikowanymi podnośnikami binarnymi. Musiałem nawet ukraść medycznego androida.

Leia uśmiechnęła się z przynajmniej.

- Threepio? - zapytała. - Naprawdę go potrzebujesz? Chyba nikt bardziej niż on nie działa ci na nerwy.

Han musi być naprawdę u kresu sił, pomyślała. Nie poznał Threepia... może dlatego, że złocistego androida okrywał ochronny skafander?

Han zmrużył oczy.

- Isolder cię nie odwiedził? - zapytał. Leia cofnęła rękę. Poczuła się jak ogłuszona.

- Słucham?

- Co najmniej dziesięć osób pokazywało mi ten kawałek z HoloNetu, na którym ty i Jego Wspaniałość schodziliście z pokładu hapańskiego okrętu, żeby wejść na „Yalda”. Wyglądaliście jak para zakochanych.

Leia głęboko odetchnęła.

- Przecież zawsze chcesz, żeby inni ufali tobie - zaczęła - dlaczego więc nie masz zaufania do żony? Sprawozdawcy wykorzystali tę sytuację w celach propagandowych. Nie mogłam się wycofać w obawie, że Hapanie odmówią mi poparcia. Staralam się nakłonić ich do współpracy. Musiałam mieć te okręty.

Han się odprężył, a jego rysy wyraźnie złagodniały.

- Tak, chyba nie miałaś wyboru - przyznał cicho. - Jaka szkoda, że wszystko tak się skończyło.

Jeden kryzys zażegnany! - pomyślała Leia. Teraz następny.

- Jak się miewa Jacen? - zapytała. - Słyszałam, że bardzo przeżywa tamtą tragedię.

- Myślę, że wciąż jeszcze nie może się z tym uporać. - Han chwycił dłoń żony. - Chciałaś wiedzieć, gdzie się podział mężczyzna, który zawsze zmierzał prosto do celu i stawiał czoło trudnościom zamiast bawić się w podchody. Cóż, popatrz na tych kolonistów. Czy nadal uważasz, że nie jestem tym samym...

- Nie - przerwała Leia. - Przepraszam za to, co wtedy powiedziałam. Wszystkim jest ciężko. Bardzo ciężko.

- Taa - mruknął Solo. - Coś takiego. - Zaciśnął usta, przełknął ślinę i jeszcze raz spojrzął na żonę. - Zapewne nie wszystko zapomnisz, ale czy mogę mieć nadzieję, że z czasem mi wybaczysz?

Leia zarzuciła mu rękę na szyję. Tym razem odwzajemnił uścisk. Objął ją, przytulił się mocno... w jego oddechu czuło się zapach...

No cóż, mokrej sierści Wookiego.

Całując go, Leia wstrzymała oddech.

Nie mieli jednak czasu na wyznania ani przeprosiny. Przeszli na teren byłej stoczni remontowej, gdzie tłoczyło się coraz więcej kolonistów z Trzydziestki Dwójki. Leia poleciała, by wydano im materace i śpiwory.

Han zmarszczył brwi.

- Wygląda nieźle, ale mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeżeli Rynowie będą ciągle przenosili materace z miejsca na miejsce?

- Dlaczego?

Han stał obok niej i patrzyli na tłum uchodźców. Opuścił ręce wzdłuż ciała.

- Mają ciekawe przesady - powiedział w końcu. - Jeden zabrania im spać dwukrotnie w tym samym miejscu.

- Jeżeli chcą, mogą spać nawet jedni na drugich - zgodziła się Leia. - Bardziej martwię się o to, jak ich wyżywić.

- Po prostu daj im to, co i tak chciałaś wysłać do Trzydziestki Dwójki - zaproponował Han. - Jeżeli chodzi o mnie, bardziej martwię się o to, co będą pili.

- Zaczęliśmy drażyć studnię głębinową - oznajmiła Leia. - Pod budynkiem administracyjnym.

Dziesięć następnych minut spędzili, rozmawiając o sposobach zaspokojenia podstawowych potrzeb kolonistów. Leia pomyślała, że jak na kogoś, kto dotąd nie zajmował się zarządzaniem obozami, jej mąż radził sobie naprawdę dobrze. Nie omieszkała mu tego powiedzieć.

- Czasami - burknął w odpowiedzi - nadal zaskakuję sam siebie. Wiele z tego, co osiągnąłem, zawdzięczam Dromie. Jemu i przywódcom dwóch innych klanów, Mezzie i Romany'emu. Bardzo pomógł mi Jacen, który starał się dbać o spokój. Ja tylko rozstrzygałem spory.

Leia wyciągnęła rękę i objęła go. Wspięli się po schodkach na pomost z kabiną nadzorcy. Olmahk podążał za swoją podopieczną w przyzwyczajonej odległości. Patrząc w dół, na tłum Rynów, Leia zauważyła Jainę. Jej córka miała na twarzy maskę z dziwnymi obiektami i rozmawiała z kilkoma starymi Rynkami.

- Jak ciężko została ranna, Hanie? - spytała Leia.

- Wyrzuciło ją w przestworza.

Na myśl o córce, dryfującej w lodowatej pustce podczas najzaciętszej bitwy, Leia znowu poczuła, że jej żołądek kurczy się z przerażenia.

- Mamy tu całkiem niezłe wyposażony ośrodek medyczny - rzekła. - Mogłabym dopilnować, żeby szybko ją odkażono...

- Nie - zaprotestował Solo. - Jej chorobę może uleczyć tylko czas. Żadnych szczególnych względów dla istot ludzkich, a przede wszystkim żadnych przywilejów dla członków naszej rodziny. Ci Rynowie tułają się od wielu stuleci. Są poniewierani przez prawie wszystkie istoty, z którymi się stykają. Nie stanowią licznej grupy, ale pozostają lojalni wobec kogoś, kto traktuje ich przyzwoicie.

Przed kabiną nadzorcy przeszło dwóch sanitariuszy, którzy zazwyczaj transportowali rannych na noszach. Tym razem jednak popychali repulsorowy wózek z nieprzytomnym młodym Huttem.

- A cóż on tutaj robi? - zdziwiła się Leia.

Han znowu uśmiechnął się szelmowsko. Leia doszła do wniosku, że chyba nigdy nie przestanie zachwycać się tym widokiem.

- Oświadczył, że pragnie stąd odlecieć, żeby walczyć z Yuuzhanami - oznajmił Han. - Chciał zadać im jak najwięcej strat. Czy znasz jakiegokolwiek Hutta, który w takich warunkach zgodziłby się współpracować?

Leia udała, że się zastanawia.

- Powiem ci, jeżeli sobie przypomnę - rzekła w końcu. - Mam pewien pomysł, Hanie. Ilu spośród twoich kolonistów jest chorych albo rannych?

Han zacisnął usta i spojrzał na tłum uchodźców. Leia obserwowała go kątem oka. W myślach wyliczała cechy, które od tak dawna uwielbiała. Czyżby znów złamał sobie nos? - pomyślała.

- Jeżeli nie liczyć Jainy, jest kilku młodych Rynów z siniakami, otarciami naskórka i innymi drobnymi obrażeniami, które odnieśli, kiedy walczyli z ćmami - odparł. - Dlaczego pytasz?

- Poddamy odkażaniu najpierw chorych i rannych - zdecydowała. - Dzięki temu będziemy mogli szybciej zająć się Jainą. Oczywiście, jeżeli nie wybierze długiej kwadrantany zamiast ostrzyżenia włosów. Jest w takim wieku, że wszystko możliwe. Zaczyna liczyć się ze zdaniem młodych mężczyzn.

Han wyciągnął rękę i musnął pukiel długich kręconych włosów, który opadał na niebieski mundur żony.

- A ty? - zapytał. - Liczysz się ze zdaniem starszych mężczyzn? Leia dotknęła jego dłoni.

- Ja... - zaczęła. - Myślę, że także muszę się ostrzyć, Hanie. Solo wzruszył ramionami.

- Odrosną - odparł beztrąsko. - Moje także. To tylko kwestia czasu.

- Spędzisz ten czas w moim towarzystwie? - zapytała. Starła się o nic nie prosić, ale chyba zdradził ją głos.

Han przejechał palcami po niesfornej czuprynie.

- Hej, wcześniej czy później i tak wypadną na dobre - odparł tonem swobodnej konwersacji. - Nazwijmy to próbą generalną.

Mrugnął. Leia poczuła, że jej serce topnieje.

Poprowadziła go do kabiny nadzorcy, włączyła megafon i nastawiła wzmocnienie dźwięku na maksimum. Rozległ się głośny szum. Leia zaczęła, aż na płycie byłego doku ucichnie gwar rozmów.

- Proszę wszystkich o uwagę - powiedziała. - Mówi administratorka Gateway. Witamy was na terenie kolonii. Postaramy się znaleźć dla was pomieszczenia i zaspokoić wasze potrzeby najszybciej i najlepiej, jak to możliwe. Za chwilę wysłuchacie komunikatu swojego zarządcy.

Wręczyła Hanowi mikrofon komunikatora.

- Co mam mówić? - zachnął się Solo.

- Chorzy i ranni, proszę zgłosić się przy wyjściu - mruknęła. Co za nerfopas! - pomyślała.

Han kiwnął głową i powtórzył słowa komunikatu.

Piętnaście minut później naczelny lekarz kolonii Gateway w pełnym rynsztunku wyjaśniał gromadzie Rynów, Vorsów i pięciorgu ludziom szczegóły procedury odkażania.

Leia cofnęła się od okna. Nigdzie nie widziała Jainy. Zaniepokojony Han też szukał jej pośród tłumu Rynów. Marszcząc brwi, Leia opuściła kabinę i podeszła do krawędzi obserwacyjnego pomostu. Zaczęła przeszukiwać wzrokiem tłum uchodźców z Trzydziestki Dwójki. Odnalezienie córki zajęło jej więcej czasu, niż się spodziewała. Jaina stała oparta plecami o mur południowego odcinka ogrodzenia.

Leia zeszła po stopniach i zaczęła przeciskać się w jej stronę. Zewsząd napływała dokuczliwa woń ciał Rynów. Leia pomyślała, że musi pamiętać o wykąpaniu istot w czystej wodzie. I o jakichś ciepłych ubraniach, którymi nieszczęśnicy mogliby okryć się po tym, jak ekipy służb dezynfekujących ogolą ich do gołej skóry.

Jakie szczęście, że w końcu wylądował transportowiec z oczekiwanym od dawna górniczym laserem, pomyślała. Musi natychmiast go zainstalować. Dzięki temu o wiele łatwiej pogłębi studnię pod budynkiem administracyjnym. Teraz, kiedy kolonia Gateway nie mogła liczyć na dostawy uzdatnionej cieczy z kopalnianego szybu Trzydziestki Dwójki, źródło czystej wody było absolutną koniecznością.

Jaina nadal stała oparta o południową ścianę.

- Nie słyszałaś komunikatu? - zagadnęła Leia. - W pierwszej kolejności poddajemy odkażaniu chorych i rannych. Musimy jak najszybciej umieścić ich w ośrodku medycznym. Chodź ze mną. Przeprowadzę cię przez bramę.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - odezwała się Jaina. - Skoro nie mogli nic dla mnie zrobić lekarze z Coruscant, twoim także się nie uda.

- Jesteś nam potrzebna - nalegała Leia. - Mogłabyś mi pomóc. Jestem zawalona robotą. Mam doradczynię, ale zanim wszyscy koloniści odbędą kwarantannę, nabiera się tyle zaległej pracy, że...

Poczuła nagle coś twardego na ramieniu. Odwróciła głowę i spojrzała na nieruchomy hełm ochronnego skafandra.

- O co chodzi, Threepio? - zapytała.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale na linii szóstej ma pani pilną rozmowę z kimś ważnym z Bburru - oznajmił android. - A jeżeli chodzi o raport, który miał przedstawić doktor Cree'Ar...

- To może zaczekać - przerwała Leia. - Threepio, przywitaj się z Jainą.

- Dzień dobry, pani Jai...

- Miło mi cię widzieć, Threepio. - Jaina odwróciła się do matki. - Nigdy nie nadrobisz tych zaległości, mamó - powiedziała otwarcie. - Nawet jeżeli będę ci pomagała. Nawet gdybyś miała do pomocy tuzin asystentów. Chcesz wiedzieć, dlaczego? Ponieważ troszczysz się o wszystkich i o wszystko. Starasz się rozwiązać każdy problem. No cóż, nie przyleciałaś tu z mojego powodu. Nawet wojskowi nie mieli pojęcia, co się z tobą stało. Myślałam, że w końcu cię dopadł jakiś zatwardziały imperialny zamachowiec albo Yuuzhanie ściągnęły na twoją głowę księżyc. Kiedy Jacen i ja przebywaliśmy w Trzydziestce Dwójce, bardzo staraliśmy się cię odnaleźć, ale szło nam jak po grudzie. Po pierwsze, nie mogliśmy uzyskać połączenia z nikim spoza systemu. Kiedy w końcu połączono nas z SENKĄ, odezwała się Viqi Shesh. To był następny próg nie do przeskoczenia.

- Co prawda, nie podpisywałam swoich raportów - oznajmiła Leia - ale gdyby Vigi naprawę chciała mnie odnaleźć, zrobiłaby to bez trudu.

Słowa córki sprawiały jej ból, ale doszła do wniosku, że najlepiej będzie pozwolić jej na okazanie frustracji. Tym bardziej że senatorka Shesh rzeczywiście zrobiła niewiele, aby ulżyć doli uchodźców.

- Nie dbam o to - rzekła Jaina. - No i nie zgadzam się na żadne przywileje. Chcę pomóc tym nieszczęśnikom. Kto zatroszczy się o najstarsze istoty? Jeszcze nie wynaleziono lekarstwa na ich cierpienia i smutki. Kiedyś przynajmniej mogli polegać na swoich tradycyjnych lekarstwach i metodach. Teraz nie pozostało im nic. Czy ich także chcesz poddać odkażaniu w pierwszej kolejności?

- Tak - odparła stanowczo Leia. - Natychmiast po...

- Ostrzyżesz ich i ogolisz, mamó? - zapytała Jaina, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom. - Najstarszych kolonistów?

- Pani Jaino - wtrącił się C-3PO. - Z pewnością będzie pani zachwycona pobylem w naszym stosunkowo nowoczesnym ośrodku medycznym...

Leia poczuła, że ciepło, które dotąd czuła na szyi, zaczyna rozprzestrzeniać się na policzki.

- Jaino, staram się im pomóc - powiedziała. - Im... i tobie.

- Możliwe - odparła dziewczyna przez zaciśnięte zęby. - Tylko że ja nie potrzebuję niczyjej pomocy. Udowodniłaś mi, że muszę radzić sobie sama. Więc sobie radziłam.

Odwróciła się i odeszła. Leia podążyła za nią.

- Chyba o czymś zapomniiałaś! - powiedziała głośno. - Ja także muszę poddać się odkażaniu. Takiemu samemu jak ty. Jak wszyscy inni. Pomyśl o tym.

Jaina popatrzyła rozszerzonymi oczami na długi pukiel jej włosów.

- Zartujesz... - powiedziała cicho. - Mamó... ile czasu trzeba czekać, żeby odrosły takie długie?

- To nie ma najmniejszego znaczenia - odrzekła Leia. - Liczysz się tylko ty. Przypuszczam, że już nigdy nie będziemy mogły mieszkać razem. Jesteśmy zbyt podobne do siebie.

Jaina wyszczerzyła się w przekornym uśmiechu.

- Uparta, zawzięta perfekcjonistka... ja? Jak możesz oskarżać mnie...

- Cechy dziedziczne - stwierdziła matka. - I wpływ środowiska. Nie mogłaś na to nic poradzić. Dobrze chociaż, że dopisuje ci szczęście, podobnie jak ojcu.

Dziewczyna spoważniała.

- Zanim zapomnę, mamó - zaczęła - powinnaś porozmawiać z Jacenem. Wiesz, jak dobrze zna się na ludzkich charakterach.

- Do czego zmierzasz? - zapytała zdezorientowana Leia.

- Kiedy staraliśmy się dowiedzieć, dokąd poleciałaś, miał okazję rozmawiać z panią senator Shesh. Odnosił bardzo silne wrażenie. Negatywne.

Leia przypomniała sobie, jak układała się jej współpraca z Shesh, kiedy przebywała na Coruscant. Z wystąpień publicznych senatorki wynikało, że kobieta popiera SENKĘ... i rycerzy Jedi, mimo wielu zastrzeżeń, jakie mieli do nich inni senatorowie. A jednak... zdarzały się niewyjaśnione niedobory, problemy z utrzymaniem łączności, opóźnienia dostaw i awarie systemów obrony. Gdyby Leia chciała oskarżyć Viqi Shesh o dwulicowość, nie miałaby kłopotów ze znalezieniem argumentów.

- Zaraz z nim porozmawiam - obiecała.

ROZDZIAŁ

14

- Rozumiem. - Droma poruszył obwisłymi wąsiskami. – Mogła wyjść za królewicza czy księcia, ale wybrała ciebie?

Han wymierzył przyjacielowi cios na odlew łyżką, na którą chwilę wcześniej nabrał porcję syntetycznego gulaszu. Droma zachwiał się i spadł ze stołka.

Jacen walczył z sobą, by nie zasnąć. Doszedł do wniosku, że to był naprawdę długi dzień. Większość Rynów rozkładała już materace.

- Kiedy skończyli odkażać chorych i rannych - zaczął - w pierwszej kolejności po nich zdezynfekowano Randę.

Han pomieszał w gulaszu i obrzucił Dromę spojrzeniem, które bliźnięta określały zawsze jako „surowe”.

- Wkrótce potem go zamknięto - powiedział.

- Za co tym razem? - zainteresował się Droma.

- Jak zwykle. Usiłował wyjść poza obręb kopuły, żeby rzucić okiem na gwiazdne statki. Kiedy go przyłapano, oświadczył, że chciał „tylko raz zerknąć” - oznajmił Han. Nie przestawał obserwować Dromy, który znów wspiął się na stołek.

Ryn wpatrywał się w miskę i łyżkę. Podejrzewając, że Droma oblicza w myśli zasięg i kąt ciosu, Jacen ześliznął się ze swojego stołka.

Jaina i Leia także poddały się odkażaniu. Han zdołał przekonać córkę, że potrzebuje kogoś, kto zająłby się zdezynfekowanymi kolonistami z Trzydziestki Dwójki i zarazem miałby oko na Randę. Leia doszła do wniosku, że lepiej będzie wykonywać obowiązki na zewnątrz obozu przejściowego niż na terenie byłego doku remontowego. Pozostawiła Olmahka, żeby zatroszczył się o bezpieczeństwo uchodźców.

Jacen przyjął rozwój wydarzeń ze stoickim spokojem. Miał nadzieję, że po długim okresie rozłąki jego rodzice spędzą trochę czasu we dwoje.

- Śladami Jajny podążyło dwadzieścioro troje Rynów - oznajmił Solo. - Leia znalazła dla nich lotnicze kombinezony, więc przynajmniej nie będą marzli, dopóki ich ciała nie porośnie nowa sierść. Wydaje mi się, że wyglądają w nich całkiem dobrze.

- Może ty byś tak wyglądał. - Droma zjeżył szczeciniastą sierść. - Zaczynasz tracić ostrość wzroku, kolego.

- A twoja gęba, jak zawsze, przypomina otwarte wrota hangaru - odciął się Han.

Jacen zauważył jednak, że w oczach ojca nie płoną gniewne błyski, a na twarzy maluje się przekorny uśmiech. Pomyślał, że może mimo wszystko rodzice spędzili kilka chwil tylko w swoim towarzystwie. Dotychczas wszystko wskazywało, że bardzo starają się wykorzystywać okoliczności, aby tylko się nie pojednać. Kiedy ojciec i matka kochali się i uśmiechali, cały wszechświat wydawał się weselszy, miłszy i piękniejszy.

- Ktoś powinien wrócić do Trzydziestki Dwójki - zaproponował - i przywieźć nasze rzeczy.

Droma pogładził długie wąsy.

- Rzeczy? - powtórzył. - To drobiazgi, których nikt nie będzie żałował. Bardziej interesuje mnie, czy pozostały tam jakieś statki, którymi dałoby się przemierzać gwiazdne szlaki.

- Taa - mruknął Solo. - Skoro już o tym mowa, warto byłoby się zastanowić, jak je tutaj sprowadzić. Jeżeli będziemy musieli opuszczać Gateway w pośpiechu, pelzaki na nic nam się nie przydadzą.

Widząc ruiny, jakie pozostały z Trzydziestki Dwójki, Jacen zacisnął pięści. Spomiędzy sterczących ku niebu wsporników zwisały płyty synplastu. Wyglądały jak resztki mięsa na kościach żeber, ogrzyzionych przez gigantycznego drapieżnika. Gdy transporter kolonii Gateway znieruchomiał przed szczątkami bramy, Jacen zobaczył między wspornikami rzędy chat. Na ich niebieskich dachach leżały płyty tworzywa, które jeszcze kilka dni wcześniej pełniło rolę ochronnej kopuły.

Zanim kierowca transportera zgodził się zabrać niezdezynfekowanych uchodźców, założył uszczelniony ochronny skafander. Pokręcił głową.

- Jak to dobrze, że was tu nie było, kiedy kopuła zaczęła pękać - powiedział. Jego głos tłumiała i zniekształcała przezroczysta płyta hełmu.

- Prawdę mówiąc, byliśmy - mruknął Jacen.

Zanim wysiadł z pojazdu, wbił się w kombinezon i nasunął na głowę aparat do oddechania. Na wszystko włożył pomarańczowy skafander z rękawicami. Wsuwając w nie palce, zauważył, że elastyczny i miękki materiał nie pozbawił go wrażliwości dotyku. Przekonał się o tym, kiedy zakładał lekki hełm i zapinał zatrzaski. Doszedł do wniosku, że SENKA musiała zaopatrzyć się we wszystko w jakimś wojskowym magazynie.

- Gotowi? - zapytał podwładnych.

Zauważył, że Droma także wśliznął się do pomarańczowego skafandra. Mezza - starsza i dość otyła - miała z tym trudności. Zmagiała się ze skafandrem, usiłując wciągnąć go przez głowę. Pozostałych sześcioro członków jego ekipy, ubranych w ochronne stroje, zgromadziło się przed klapą wjazdu transportera.

- Uruchamiam skaner - oznajmił pomocnik kierowcy. - Szukam form życia. - Pokręcił gałkami, zapewne chcąc zwiększyć czułość urządzenia. - Z tego punktu nic nie wykrywam, ale zachowajcie ostrożność.

Jacen przyczepił świetlny miecz do paska skafandra. Pamiętał, że zmutowane żuki fefze były jedynymi stworzeniami, które przeżyły zagładę ekosystemów planety Duro.

Przycisnął guzik i zaczął, aż opadnie rampa transportera. Każdej parze istot przydzielił repulsorowy wózek. Wszystkich czekało stosunkowo proste zadanie: zebrać jak najwięcej rzeczy osobistego użytku i powrócić przed zapadnięciem ciemności. Jacen, którego mianowano dowódcą wyprawy, w miarę potrzeb i możliwości miał pomagać pozostałym. Pojechał jednak głównie po to, aby przelecieć „Sokołem” na lądowisko kolonii Gateway. Droma miał mu towarzyszyć, pilotując jedyny gwiazdny myśliwiec, jakim dysponowała Trzydziestka Dwójka: pokierosowaną imperialną maszyną typu 1-7 Wyjcobiegacz.

Jacen postanowił przyłączyć się do dwóch wysokich i chudych Yorsów. Obaj zgłosili się na ochotnika, chociaż udział w wyprawie - z uwagi na ich wrażliwe płuca - wiązał się z poważnym ryzykiem. Decydując się na nie, Vorsowie kierowali się godnością i dumą, ale trzeba przyznać, że wyglądali jak dwa szkielety. Jedyny wyjątek stanowiły nienaturalnie grube rękawy. Istoty wepchnęły do nich nie tylko chude ręce, ale także złożone skrzydła.

Kiedy wszyscy troje skręcili w pierwszą alejkę, pod podeszwami izolujących butów zachrzęściły martwe ćmy. A zatem atmosfera Duro okazała się śmiertelna także dla nich. Oznaczało to, że żarłoczne owady nie przelecały do pozostałych kopuł.

Wdzięczny losowi za chociaż jedną pomyślną okoliczność, Jacen towarzyszył Yorsom do pierwszej chaty w ich sektorze osady. Kiedy istoty zanurkowały do środka, stanął na straży niespokojnie się rozglądając. Kilka minut później Vorsowie wrócili z nareczami ubrań i innych przedmiotów. Chłopiec pomógł je związać i ułożyć na wózku, po czym istoty bez słowa skierowały się do następnej chaty. Jacen domyślił się, że nie chcą tracić czasu na rozmowy.

Przeszukali w ten sposób kilka chat, kiedy nagle zapiszczał komunikator Jacena. Młodzieniec włączył urządzenie.

- Solo? - usłyszał skrzeczenie Mezzy. - Przyjdź do nas! Szybko!

Pobiegł alejką w kierunku sektora Rynów. Rozglądając się wokół, w końcu dostrzegł przed jedną z chat obwiązany sznurem wózek. Skręcił ku niemu i jeszcze bardziej przyspieszył. Przytrzymał rękojeść miecza, aby nie obijała się o kość udową.

Wpadł do chaty. Pod przeciwległą ścianą kuliły się dwie istoty w jaskrawo-pomarańczowych skafandrach. Przed nimi stał ogromny chrząszcz, z rodzaju takich, jakie dotąd widywał tylko na wideogramach albo w nocnych koszmarach. Żuki fefze pozostawiła na powierzchni planety Duro jedna z pierwszych grup osadników, którzy wylądowali na początku okresu międzygwiazdnych lotów. Stworzenia mogły poszczycić się szkieletami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Może właśnie dlatego, kiedy uległy mutacjom, zaczęły osiągać ogromne rozmiary. Okaz, na którego popatrzył Jacen, miał ponad metr długości. Usiłując pokonać smród trującej atmosfery Duro, wymachiwał ku intruzom długimi segmentowanymi czułkami. Chłopiec zrozumiał, że żuk urządził sobie gniazdo w chacie. Obok szczątków na wpół zjedzonej przyczy leżały pogniecione i poszarpane skrzydła setek białookich ciem. Jeden rzut oka na stworzenie pozwolił Jacenowi domyślić się całej prawdy. Pod opalizującymi skrzydłami żuka kryło się grote-

skowo rozdęte podbrzusze. Samica żywiła się białookimi ćmami i pozostawionymi przez Rynów przedmiotami osobistego użytku, a teraz przygotowywała się do złożenia jaj.

Na nieszczęście Mezza i jej towarzysz życia przeszli obok stworzenia, zanim je zauważyli. Teraz, przyciskając do siebie starą koszulę i parę znoszonych luźnych spodni, kulili się pod ścianą. Wymachiwali ubraniami, ilekroć zdrząły czułki zmutowanego żuka.

Jacen odpiął miecz świetlny i wysunął ostrze. Żuk odwrócił się do niego. Stanął na tylnych kończynach i uniósł w powietrze parę przednich, opancerzonych i zakończonych szczypcami. Opalizujące wyżłobienia na grzbiecie rzucały zielone, niebieskie i purpurowe błyski. Potężne szczęki, które bez trudu mogłyby zmiażdżyć nogę Ryna, złowieszczo kłapały.

- Zabierzcie, co się da, i wyjdźcie na dwór - polecił Jacen przerażonym Rynom.

- Zabij tego żuka! - zaskrzeczała Mezza. Jej głos wydobywał się z hełmu wieńczącego bliższy, bardziej wypchany skafander.

Jacen nie odwrócił głowy.

- Dlaczego? - zapytał. - Na powierzchni planety Duro żyją tysiące takich...

- Zabij go! - zażądała jeszcze głośniejszą Mezza. - Jeżeli go zabijesz, w następnym pokoleniu będzie kilkaset mniej. Widzisz przecież, że zamierza złożyć jaja.

Chłopiec musiał przyznać jej rację. Wyczuł jednak, że samica nie żywi względem nich złych zamiarów. Znalazła po prostu idealne miejsce na złożenie jaj, doskonale zaopatrzone w żywność. Jacen nie zamierzał zabijać, dopóki nie zostanie do tego zmuszony.

- Zapakujcie rzeczy na wózek i wracajcie - polecił, odwracając się do Mezzy. - Nie sądzę, żeby zamierzała was ścigać.

- Ona? - oburzyła się Rynka. - Więc teraz to jest ona?

- A widziałaś kiedy, żeby samce składały jaja?

- Solo! - zaskrzeczał nagle komunikator w kieszeni Jacena. - Mamy kłopoty!

Chłopiec uniósł urządzenie do ust i włączył mikrofon.

- Już tam idę - powiedział. Odwrócił się do Mezzy. - Zabierajcie się stąd.

Stanął między kłapiącą żuchwami samicą a Mezzą i zaczął, aż Rynowie wyjdą z chaty. Nie spuszczać oczu z żuka, wycofał się za nimi. Jak się spodziewał, samica ich nie ścigała.

Kiedy znalazł się pośrodku alejki, wyłączył świetlny miecz i wyciągnął komunikator. Cały czas wydobywały się z niego dźwięki przypominające piski wielkiego ptaka. Wyglądało na to, że tym razem o pomoc proszą Vorsowie... a może to aparaty do oddychania albo skażona atmosfera zniekształcały czyjeś inne głosy?

- Gdzie jesteście? - zapytał, patrząc uważnie na sąsiednie chaty.

- Tutaj! Na dachu!

Piski przemieniły się w pomruki i odgłosy uderzeń.

Chłopiec wspiął się po klamrach najbliższej ściany i wskoczył na niebieski dach.

Niespełna dwadzieścia metrów od niego, na dachu innej chaty, stały dwie istoty w pomarańczowych skafandrach z wypchanymi rękawami. Bez wątplenia Vorsowie, pomyślał Jacen. Z dołu atakowało ich pięć wielkich opalizujących żuków. Pomarańczowe figurki, walcząc ramieniem w ramię, resztkami sił odpierały ataki napastników. Wymachiwały znalezionymi w chacie ubraniami, które stanowiły własność ich ziomek. Po każdym takim machnięciu ogromne stworzenia uskakiwały na boki, ale już po chwili, stając na tylnych odnóżach, znów opierały się przednimi o chropowatą powierzchnię i usiłowały wspinać się po ścianie. Kłapały zuchwami i zgrzytały podobnymi do zębów ręcznej piły, ostrymi zrogowaciałymi wyrostkami.

Jacen zeskoczył z dachu. Nawet nie usiłował wyobrazić sobie, jaki los może spotkać Vorsów, jeżeli któryś żuk wejdzie na dach i przedziurawi materiał ochronnego skafandra. Tym razem nie miał wyboru. Musiał zabić. Stworzenia nie broniły swojego gniazda. Polowały na ofiary.

Przebiegł dwadzieścia metrów, jakie dzieliło go od tamtej chaty, stanął w rozkroku i wysunął świetlistą klingę. Nigdy dotąd nie posługiwał się świetlnym mieczem bez pomagania sobie Mocą. Czy to naprawdę takie trudne? - pomyślał. Zamknął umysł na oddziaływanie Mocy i ruszył do ataku.

Żuki pragnęły zdobyć świeże pożywienie i ani myślały zrezygnować. Jacen przeciął najbliższego między tułowiem a odwłokiem. Stworzenie padło.

Zaatakował następnego. Tym razem wymierzył cios w fasetkowe oczy. Dwa albo trzy żuki odwróciły się i ruszyły ku niemu. Zrezygnowały widać z oblegania uwięzionych na dachu drobnych Vorsów.

- Wracajcie do transportera! - rozkazał Jacen. - Dajcie znać pozostałym, że się wyносimy!

Vorsowie zeskoczyli z niebieskiego dachu. Jeden usiłował pochwycić drążki repulsorowego wózka, ale dwa chrząszcze, kłapiąc zuchwami, zaatakowały nogawki jego skafandra. Przerazona istota pisnęła i pobiegła za swoim partnerem.

Zza rogu chaty wyłoniło się pięć czy sześć następnych żuków. Otworzyły paszcze i niezgrabnie przedarły się między zabitymi chrząszczami. Jacen wymachiwał świetlnym mieczem prawie na ślepo. Aby utrzymywać stworzenia w bezpiecznej odległości, raz po raz ciał i uskakiwał, ciał<uskakiwał... Nie pomagał sobie Mocą, więc jego ruchy były chaotyczne, a ataki źle przygotowane. Mimo to walczył dalej. W pewnej chwili zauważył, że zza innej chaty wyłazi następne stado.

Przypomniał sobie, że na Yavinie Cztery niektóre zabijane stworzenia wydzielają feromony, wabiące inne okazy tego samego gatunku. Nie wiedział, czy i teraz chodzi o to samo, ale wyraźnie coś przyciągało żuki na miejsce walki. Zza zakrętu alejki ukazało się pięć następnych.

Chwilę potem w przejściu między chatami pojawiła się ubrana w pomarańczowy skafander istota.

- Wycofaj się! - polecił Jacen.

Istota uniosła włączone wibroostrze.

- Oczyszczę ci drogę ucieczki! - zaskrzeczała. Chłopiec rozpoznał głos Dromy.

Ryn zabrał się do odcinania wibroostrzem odnoży wielkich żuków. Kierując brzeszczot ku podbrzusom, uskakiwał przed szczypcami i zuchwami. Wyglądało na to, że chrząszcze nie zwracają na niego uwagi.

Obaj uświadomili to sobie w tej samej chwili. Jacen krzyknął:

- Wabi je ostrze...

- ...świetlnego miecza! - dokończył Droma.

I co teraz? - pomyślał chłopiec. Ciał, cofnął się, uskoczył, zamachnął się i ciał ponownie. Bezmyślne stworzenia nie rezygnowały. Z każdą chwilą pojawiało się ich coraz więcej. Nagle rozległo się ciche ćwierkanie komunikatora. Jacen usłyszał głos kierowcy transportera:

- Solo, wszyscy oprócz ciebie i Dromy są już na pokładzie. Pospieszcie się! Biegnijcie na lądowisko!

- Zgaś to świecące ostrze, Solo! - krzyknął Droma. - Jesteś równie szalony jak twój ojciec!

Zgasić klingę świetlnego miecza? - pomyślał Jacen. Cofnął się, zamachnął i ciał na odlew. Żuki gramoliły się jedne na drugie. Niektóre rezygnowały z ataku i żerowały na trupach towarzyszy. Tylko największy, którego czułki miały grubość lekku Twi'leka, wciąż nie dawał za wygraną. Przedzierał się ku Jacenowi i groźnie szczyrzył potężne zuchwy. Jacen cofnął się i przeciął go na dwoje. W następnej sekundzie poczuł, że coś ostrego zacisnęło się na kostce lewej nogi.

- Pełz do Wyjciobiegacza! - krzyknął, odwracając głowę w stronę Dromy.

Ryn przeskoczył nad opalizującym tułowiem zabitego żuka i wylądował zgrabnie u boku młodzieńca. Jacen z trudem oddychał. Łapczywie chwycił powietrze z aparatu do oddychania, zmęczony o wiele bardziej, niż gdyby pomagał sobie Mocą. Dźgnął samym końcem świetlistej klingi żuka, który pochwycił nogawkę skafandra. Stworzenie rozwarło szczypce i padło bez życia, ale chłopiec zauważył niewielkie rozdarcie materiału.

- Odrzuć miecz! - Droma Stanął w rozkroku i wyciągnął przed siebie wibroostrze.

- Przedrzemy się przez gąszcz żuków, a później po prostu przywołasz broń do siebie.

- Wiesz przecież... że staram się nie posługiwać Mocą - wydyszał Jacen.

Uskoczył w bok. Cofnął się. Dźgnął następnego żuka.

- Świetnie, w takim razie zostaw miecz w tym obozie! - odkrzyknął Droma. - Tylko pozbądź się go, bo w przeciwnym razie ja to zrobię!

Jacen zablokował klingę, zamachnął się i odrzucił broń na bok. Zobaczył, jak świetliste ostrze, koziółkując w locie, zatacza łagodny łuk i znika. Przypomniał sobie, co widział w swojej wizji. Wtedy także zapalony świetlny miecz zatoczył łagodny łuk, przeleciał obok jego dłoni i zniknął w ciemnościach przestworzy.

- Idziemy! - warknął Droma.

Sfóra żuków fefze odwróciła się i ruszyła w stronę miejsca, gdzie upadła broń Jedi. Jacen skierował się do kadzi z hydroponicznymi uprawami. Co chwila przeskakiwał nad jakimś żukiem. Dopiero teraz poczuł fetor atmosfery Duro i przypomniał sobie, że ma przedziurawioną nogawkę.

Droma odciął odwłok żuka, który usiłował zastąpić mu drogę. W końcu przedarli się przez gąszcz stworzeń.

- Tędy. - Jacen przeprowadził Ryna przez ogromny otwór w szczątkach synplastowej kopuły. - Pozostawiłem Wycobiegacza obok „Sokoła”.

- Idź pierwszy! - odrzyknął Droma.

Jacen wyciągnął komunikator.

- To Solo - odezwał się, gdy usłyszał głos kierowcy transportera. - Nie odjeżdżajcie, dopóki nie wystartujemy.

Dopiero wtedy odwrócił się i spojrzął na miejsce walki. Kłębiło się tam mrowie żuków. Raz po raz połyskiwały opalizujące odwłoki i pancerze. Nawet z tej odległości było widać las poruszających się czułek. Gdzieś pod stworzeniami spoczywał zapalony miecz świetlny.

Gdyby go tu pozostawił, miałby wrażenie, że stracił rękę lub nogę. Jeżeli jednak posłuży się Mocą i przywoła broń do siebie, sprzeniewierzy się własnemu postanowieniu. Tak czy owak, poczuje się paskudnie. Musiał się szybko zdecydować, czy zupełnie wyrzec się stosowania Mocy, czy na nowo pogrążyć się w jej nurtach. Niezdecydowanie narażało na niebezpieczeństwo wszystkich uczestników wyprawy.

Zamknął oczy, przywołał na pomoc najmniejszą konieczną dawkę energii Mocy i przywołał broń. Świetlista klinga poderwała się z miejsca, gdzie ją zostawił, i przedarła przez gąszcz żuków fefze. Zakreśliła na tle nieba ognisty łuk i cicho bucząc, spoczęła w jego dłoni.

Jacen cicho westchnął i wyłączył ostrze.

Droma stał obok niego i obserwował mękę, jaka malowała się na twarzy młodzieńca.

- Coś mnie ściska w żołądku, kiedy patrzę na ciebie - odezwał się w końcu.

- Na pewno wiesz, co w tej chwili czuję - odrzekł Jacen. - Jeżeli się posłużę Mocą, będę nieszczęśliwy. Jeśli nie, jestem zgubiony.

Ryn kiwnął głową i przestąpił rozerwane szczątki plastalowej kopuły.

- Chodźmy, chłopcze - powiedział. - Najwyższy czas ruszać w drogę.

Jacen poddał się odkażaniu następnego popołudnia. Pierwsze kroki skierował do budynku administracyjnego. Dowiedział się od doradczynie Leii, że Jaina przebywa na lądowisku kolonii Gateway, gdzie pomaga grupie inspektorów. Matka siedziała przy dostarczonym przez SENKĘ wielkim biurku. Starła się nie zwracać uwagi na rozmowę, jaką półgłosem toczył Threepio. Posługując się komunikatorem, złoisty android rozmawiał z kimś na temat trawy spiro, bagien i zmian klimatu.

Widząc syna, Leia wyprostowała się i poprawiła biały turban, który okrywał jej głowę.

- Cieszę się, synu, że cię widzę - powiedziała. - Niedawno przyleciał jeszcze jeden transportowiec Spółki CorDuro. Kiedy go rozładowaliśmy, okazało się, że brakuje jednej trzeciej towarów. Jak sądzisz, czy udałoby ci się to wyjaśnić, gdybyś porozmawiał z ich urzędnikami?

Jacen omal się nie zachłysnął.

- Nie mam dużego doświadczenia w prowadzeniu negocjacji, mam - uprzedził.

Leia pokręciła głową.

- Nic nie szkodzi - odparła. - Wystarczy, że nazywasz się Solo. Samo twoje nazwisko powinno wyrzucić na nich wrażenie. Nie mam czasu, żeby polecieć do Bburru, a twój ojciec oznajmił, że pragniesz częściej zajmować się sprawami, które nie wymagają posługiwania się umiejętnościami Jedi. Wydaje mi się, że cię rozumiem - dodała. Jej lewy policzek drgnął. - Bardziej niż sobie wyobrażasz.

- Chyba tak - przyznał Jacen.

Jego matka wiedziała, że nie wszystkim wykazującym talent Jedi istotom było przeznaczone podążanie taką samą drogą. Sama udowodniła, że nie każdy ma w życiu dość czasu na doskonalenie umiejętności Jedi.

Chłopiec usiłował wytłumaczyć ojcu, co ujrzał w swojej wizji. Starł się wyjaśnić, dlaczego upewniło go to w przeświadczeniu o słuszności jego decyzji. Han chyba jednak go nie zrozumiał. Pokręcił głową, jakby nie wiedział, co myśleć, a potem po prostu odwrócił się i odszedł.

- Nie chciałbyś spróbować czegoś nowego? - zapytała Leia.

Jacen przejechał rozcapierzonymi palcami po ogolonej głowie.

- Droma niedawno przyprowadził Wycobiegacza Trzydziestki Dwójki - oznajmił bez większego przekonania. - Mógłbym polecieć nim do Bburru i przekonać się, co zdołam załatwić.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna - rzekła Leia. - Tylko uważaj na siebie.

- Zawsze uważam, mam.

- Niech Moc będzie z tobą, Jacenie. Bez względu na to, co postanowisz.

- Z tobą też, mam.

Randa Besadii Diiori wyczołgał się na główną ulicę kolonii Gateway. Był zadowolony, że czas spędzony w budynku administracyjnym - w ciasnej celi z chropowatą podłogą i oślepiająco jasnym oświetleniem - wreszcie dobiegł końca. Usiłował przecież wyjaśnić Jainie Solo, że chciał tylko rzucić okiem na gwiazdne statki. Dziewczyna okazała się jednak równie świętoszkowata jak jej brat bliźniak.

Dobrze chociaż, że na razie udało mi się uniknąć spotkania z ich matką, pomyślał.

Minął dwoje ostrzyżonych do gołej skóry Rynów. Ubrane w niebieskie kombinezony istoty stały przed wejściem do swojego namiotu. Spod kamizelek i kusych spodni wystawały nogawki mundurów.

Randa odsiedział w celi cały wyrok, z którym się nie zgadzał i na który zamierzał złożyć zażalenie. Mimo to na pewien czas zabroniono mu wchodzenia do ośrodka łączności - jedyne miejsce, gdzie mógł znaleźć przyzwoitą aparaturę telekomunikacyjną. Jak inaczej mógł porozumieć się z Borgą? Musiał się z nią skontaktować! Postanowił, że wymyśli sposób wydostania się z tego ponurego miejsca. Odleci i dopiero wtedy z nią porozmawia.

Zwilżył językiem wargi. Rzecz jasna, musi mieć pilota. Może jeszcze nie wszystko stracone. Jak powiadali jego pobratymcy, jeżeli nie możesz kogoś przekonać, postaraj się go przekupić. Jego kajdric miał wciąż jeszcze wiele skarbów na światach, któ-

rych nie tknęli Yuuzhanie. Dziewczyna musi mieć do czegoś słabość - do klejnotów, do błyszcząco-jedwabiu... Może marzy o posiadaniu własnego statku?

Zachęcony tymi rozważaniami Randa pospieszył wysypaną piaskiem ulicą do przydzielonego przez SENKĘ tymczasowego mieszkania - żalostnego niebieskiego namiotu, ustawionego w dzielnicy ruin kolonii Gateway, zwanej Tayaną. Nagle poczuł lekkie drżenie gruntu i usłyszał dobiegający spod powierzchni cichy pomruk. Domyślił się, że pracują tam maszyny kruszące skały.

Kiedy odsunął na bok płachtę namiotu, stanął jak wryty, bo poczuł dziwny zapach. Oburzony naruszeniem swojej prywatności, zacisnął pięści. Wciągnął powietrze w poszukiwaniu źródła dziwnej woni i Skierował się w stronę maty, na której miał sypiać w nocy. Była przykryta półprzezroczystym cienkim prześcieradłem. Już z daleka zauważył, że leży pod nim jakiś przedmiot.

Posługując się czubkiem ogona, jednym szybkim ruchem ściągnął prześcieradło.

Zobaczył rzecz wyglądającą jak skórzana piłka. Miała kształt i rozmiary niewiele mniejsze od ludzkiej głowy i spoczywała na macie do spania absolutnie nieruchomo.

Randa zrozumiał, że ma przed sobą yuuzhańskiego villipa - podobne stworzenie widział na pokładzie gronostatku. Pomyślał, że Borga nie marnowała czasu. Bardzo szybko wymyśliła sposób, by się z nim skontaktować.

Nagle zadrżał od głowy do czubka ogona. Prawdę mówiąc, poszło to za szybko. Villip pojawił się w jego namiocie stanowczo za szybko. Oznaczało to, że Yuuzhanie muszą mieć na terenie kolonii Gateway swojego agenta udającego człowieka. Agent, który wiedział teraz, gdzie go szukać.

Nie zrażony tym Hutt podniósł skórzaną piłkę i opadł na pogniecioną matę. Wciąż jeszcze nie opracował szczegółów planu zwabienia kilku yuuzhańskich dostojników na planetę Duro, aby mogli ich ująć funkcjonariusze sił bezpieczeństwa Nowej Republiki. Obiecał jednak Bordze, że postara się rozpocząć negocjacje z wrogami. Jeden Jedi w zamian za pozostawienie w spokoju planety Tatoonie? Na myśl o tym doznał dziwnego uczucia, nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczał i nie do końca rozumiał. Pomyślał, że może nie powinien wykorzystywać w taki sposób kogoś, kto z pewnością nie odpłaciłby mu taką samą monetą. Może właśnie to ludzie nazywali wyrzutami sumienia?

Odrzucił tę myśl jako niedorzeczną. Tak czy owak, musiał pozostać lojalny wobec Borgi. Pomyślał jednak, że Jacen - chociaż wyrzekł się władania Mocą - nie pozwoli się ująć bez walki.

Randa pogłaskała villipa i ułożył obok siebie. Zastanawiał się, kto się do niego zgłosi. Nagle poderwał się z maty i uszczelnił obie płachty otworu wejściowego. Jak na jego gust, w kolonii Gateway było stanowczo zbyt jasno. Przypomnił sobie planetę Nał Hutta i wysiłek, jaki włożyli jego przodkowie w przystosowanie Klejnotu do potrzeb Huttów. Właśnie w tej chwili wszystko niszczyli Yuuzhanie; Na myśl o tym poczuł, że w oczach pojawia się wilgoć.

Na powierzchni villipa zaczęły się pojawiać jakieś wzgórki. Pierwsze ukazały się wydatne łuki brwiowe, potem ukośnie ścięty nos, a na końcu policzki i worki pod oczami.

- Rando Besadii Diori - odezwał się głos o nieprzyjemnym brzmieniu. - Nareszcie się zgłosiłeś.

Młody Hutt nie znał tej osoby o okrutnej, ostro wyciosanej twarzy, ani nie słyszał nigdy przedtem jej władczego barytonu. Uznał jednak, że powinien okazać szacunek. Pochylił wielką głowę przed leżącym villipem.

- Masz nade mną przewagę, lordzie - powiedział. - Wiesz, z kim rozmawiasz.

- Jestem mistrz wojenny Tsavong Lah - oznajmił Yuuzhanin. - Rzeczywiście możesz przekazać nam rycerza Jedi?

- Mogę - odparł Randa.

Mistrz wojenny? - pomyślał. A więc w ręce funkcjonariuszy Nowej Republiki wpadnie naprawdę ważna osobistość! Trzeba tylko zwabić mistrza na planetę Duro, gdzie mogliby go pochwycić agenci Wywiadu.

- Nazywa się...

- Milcz, bezwstydnym Hutcie! - przerwał Tsavong. - Twój rodzic powiedział mi, czego domagasz się w zamian. Wiedz jedno: Huttowie okazali się zdrajcami. Jeżeli ci zależy, żeby odzyskali nasze zaufanie, musisz okazać się wiernym i posłusznym sługą.

- Rozumiem i szanuję twoją ostrożność, mistrzu wojenny - odparł Randa. - Pamiętasz jednak, jak zafascynowany był jeden z twoich ziomków obecnością Wurtha Skiddera na pokładzie statku z niewolnikami, gdzie i ja miałem okazję przebywać... może zbyt krótko? Byłbym zachwycony, gdybym mógł oddać tego Jedi w twoje ręce. Przekażę go tylko tobie, wojenny mistrzu. A jeżeli chodzi o moją prośbę... Cóż znaczy dla ciebie planeta Tatoonie? To zapadła dziura; niegodny uwagi świat, na którym nawet trudno przeżyć...

Odwzorowane przez villipa oczy wojennego mistrza wyglądały jak dwie niezgłębione czarne dziury.

- Dlaczego miałbym przystać na twoją propozycję - zagrmiał Tsavong Lah - i osobiście przylecieć na planetę Duro?

Randa musiał przyznać, że odpowiedź na to pytanie stanowi poważną lukę w jego skądinąd sprytnym planie.

- Uczynisz mi wielki zaszczyt, lordzie - zaczął niepewnie - i w zamian za to sam zostaniesz...

- Nie jesteś godzien, by wyrządzać ci jakikolwiek zaszczyt - przerwał pogardliwie Tsavong Lah. - Mimo to przylecę po tego Jedi. Zorganizuj wszystko, żebym mógł dostać go w swoje ręce, a zastanowię się, czy spełnić twoją prośbę. Jeżeli go nie dostarczysz albo zawiedziesz moje zaufanie, posłużę się swoim couffee i żywcem obedrę cię ze skóry.

Villip zmiękł i twarz nieznanego zaczęła się rozmywać. W końcu stworzenie połknęło się i wywróciło na drugą stronę. Obserwując go, Randa nie przestawał się zastanawiać, czy postąpił słusznie. Przebywający na terenie kolonii Gateway agent Yuuzhan może przecież złapać Jacena sam, pomyślał, a później zabić mnie podczas snu. Może jednak popełniłem błąd?

Czy naprawdę istniał dobry sposób przekazania młodego Jedi Solo w ręce Yuuzhan? Gdyby Randa odważył się podjąć próbę, młodzieniec z pewnością ocknie się z odretwienia. Wyciągnie świetlny miecz i zacznie się bronić.

Czego zatem potrzebuję? - pomyślał Hutt. Dodatkowego zabezpieczenia. Wzmocnionej obrony. Planety Duro bronił jeden krążownik, kilka tęponosych myśliwców i ochronne pola. Te ostatnie strzegły nie tylko orbitalnych miast, ale także wszystkiego, co znajdowało się bezpośrednio pod nimi na powierzchni.

Randa poczułby się o wiele pewniej, gdyby Nowa Republika ściągnęła w pobliże planety jeszcze kilka dużych okrętów. Mógłby liczyć na ich siłę ognia, a umowa z Yuuzhanami została by unieważniona...

Wybiegł z namiotu i skierował się do budynku administracyjnego. Wpadł do ośrodka łączności, gdzie zastał dwóch dyżurujących techników - istotę ludzką i małego, szczerzącego zęby Tynnanina. Rozmawiali ze zmniejszonym do połowy naturalnej wielkości hologramem dostojnej, ciemnowłosej młodej kobiety.

Zachwycony własnym szczęściem Randa odepchnął kosmatego Tynnanina na bok.

- Pani senator Shesh! - wykrzyknął, łapczywie chwytając powietrze. - Dowiedziałem się, że na planecie Duro ukrywa się zdrajca! Istoty rasy Yuuzhan Vong przysłały tu agenta. Zajmuje pani tak wysokie stanowisko, że może pani wezwać na pomoc wojskowych. Proszę skierować ich tu jak najszybciej!

Senatorka Viqi Shesh odwróciła głowę.

- Czy myśmy już kiedyś nie rozmawiali, panie...? Młody Hutt kiwnął wielką głową.

- Nazywam się Randa Besadii Diori i...

- Więc podobno zdołał pan zdemaskować agenta Yuuzhan pod kopułą kolonii Gateway?

- Nie zdemaskowałem go - oznajmił śmiało Randa. - Dysponuję jednak niepodważalnymi dowodami, że tu przebywa.

- A zatem bardzo panu dziękujemy, Rando Besadii Diori - rzekła kobieta. - Proszę przekazać te dowody pani administrator kolonii Gateway, Leii Organie Solo. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że to ona jest zarządczynią. Może pan być pewien, że jej siły bezpieczeństwa wdrożą dochodzenie.

- Dziękuję za uwagę i poświęcony czas, pani senator - odparł młody Hutt. - Przekazuję łączność osobom, z którymi pani rozmawiała.

Wymachując na boki ogonem, wypelzł z budynku. Postanowił postąpić zgodnie z radą senatorki. Przekaze villipa w ręce Leii Organy Solo i niech ona się martwi o wszystko. Na szczęście, kiedy tylko uświadomił sobie, że wdając się w rozmowy z Yuuzhanami, popełnił błąd, nie tracił ani chwili. Kto wie, może jego szybka reakcja oszczędziła ponurego losu nie tylko jemu, ale i wszystkim innym mieszkańcom kolonii Gateway?

Mógł czuć się dumny z siebie. Jaki był sprytny! Jaki mądry!

Senator Viqi Shesh z planety Kuat wyłączyła projektor hologramów. Wyciągnęła rękę do pomarszczonego villipa, który wyglądał jak zwinięta larwa.

Nie mogła z tym czekać. Interesy, podobnie jak dyplomacja, wymagały dokonywania wyborów i podejmowania szybkich decyzji. Tym razem nie czuła wyrzutów sumienia. Doszła do wniosku, że powinna zameldować o zdradzie młodego Hutta.

Pogłaskała odrażające, dziwne stworzenie. Starając się nie patrzeć na prawą dłoń, uniosła głowę i popatrzyła na przeciwną ścianę. Zasłaniająca ją kotara wisiała trochę krzywo. Jej służący trzy razy dziennie sprawdzali, czy ktoś nie ukrył za nią urządzeń podsłuchowych. Czasami zapominali wygładzić fałdy i marszczenia. Kobieta pomyślała, że musi jeszcze raz zwrócić im uwagę.

Viqi Shesh nie wątpiła, że już wkrótce istoty rasy Yuuzhan Vong wydrą galaktykę z rąk władców Nowej Republiki - podobnie jak kiedyś Rebelianci wydarli ją z rąk Imperatora. Nagłe zmiany stwarzały zawsze nowe możliwości. W grę wchodziło panowanie nad tysiącami światów. Gdyby więc jednym z mianowanych przez Yuuzhan gubernatorów została Kuatka, jej ziomkowie mogliby liczyć na lepsze traktowanie. Z pewnością też o wiele lepiej powodziłoby się jej, Viqi Shesh, senator z planety Kuat.

Wojenny mistrz zareagował na jej raport tak, jak się spodziewała.

- Nie powiedział, kto jest naszym agentem i szpiegiem? - upewnił się.

- Jego nazwisko nie padło w czasie tej rozmowy, mistrzu - odparła senator.

Ukazywana przez villipa okrutna twarz wykrzywiła pofałdowane wargi w pogardliwym uśmiechu.

- Doświadczenie w kontaktach z Hurtami nauczyło nas, że nie możemy spodziewać się po nich niczego oprócz zdrady - oznajmił Yuuzhanin. - Rozprawimy się i z Randa, i z pozostałymi członkami jego klanu. Postąpiłaś słusznie, meldując mi o jego wiarołomstwie.

Viqi bez słowa kiwnęła głową. Zastanowiła się chwilę, czy nie wyjawic wojennemu mistrzowi prawdy o uszkodzeniu stacji Centerpoint.

Jeszcze nie, pomyślała. Jeżeli Yuuzhanie dowiedzą się, że stacja Centerpoint znów nie działa, mogą natychmiast zaatakować Coruscant. A zanim nadejdzie ten dzień, czekało ją jeszcze mnóstwo pracy.

ROZDZIAŁ

15

Trzeba przyznać, że Kubazowie rzadko odwiedzali Bburru, największe orbitalne miasto w systemie planety Duro. W ostatnim okresie jednak w dokach i na lądowiskach widywało się wielu robotników, członków załóg i stoczniovców, należących chyba do wszystkich ras galaktyki. Tak więc trójka ciemnoskórych osobników, z których twarze wyrastały krótkie trąby, nie wzbudziła specjalnego zainteresowania portowych urzędników. Nikt nie zwrócił także uwagi na toczącego się za nimi astromechanicznego robota barwy soczystego brązu.

Funkcjonariusz władz imigracyjnych miasta Bburru jeszcze raz rzucił okiem na wręczone dokumenty. Z tego, co widział na ekranie komputerowego notatnika, wynikało, że wszyscy troje nie są zwykłymi uchodźcami z zaatakowanej nieco wcześniej planety Kubindi. Czeka jąca na odprawę rodzina miała posiadłości na wielu planetach Jądra galaktyki i przybyła do Bburru, szukając okazji zawarcia korzystnych umów handlowych. To wyjaśniałoby, dlaczego przylecieli luksusowym gwiazdowym jachtem, który spoczywał teraz w doku 18-L.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku, dzentelistoty - oznajmił wysoki Durosjanin. Urzędnik połączył komputerowy notatnik przybyszów ze swoim urządzeniem. Przepisał do pamięci mapę trasy, wiodącej z Portu Duggana do Stacji Duggana, gdzie mieściła się siedziba zarządu Spółki CorDuro.

Może się to wydać niezwykle, ale zaledwie minutę po tym, jak przybysze skęcili za róg i zniknęli, zapomniał, że w ogóle to byli.

Mara stwierdziła, że długi płaszcz z kapturem i maska z krótką trąbą ograniczają jej swobodę ruchów. Szczególnie drażniły ją przysłaniające oczy czarne okulary. Dzięki niezwykłemu przebraniu mogła się jednak zorientować, jak reagują Durosjanie na obecność obcych istot. Obserwowała ich reakcje przez cały czas jazdy długim ruchomym chodnikiem z Portu Duggana do odnogi miasta, gdzie mieściły się gwiazdne stocznie i Stacja Duggana. Tresina Lobi napomknęła, że Durosjanie - podobnie jak istoty wielu innych ras ze światów, których jeszcze nie napadli Yuuzhanie - traktowali napływających uchodźców z nieskrywaną pogardą. Nieprzychylność Durosjan można było także tłumaczyć niepewną sytuacją polityczną na sąsiedniej Korelii.

Rzekomi Kubazowie przylecieli na pokładzie zmodyfikowanego statku Mary. Był nim luksusowy jacht, który Lando Calrissian kupił - jak twierdził, prawie za bezcen - kiedy tylko się zorientował, jak łatwo da się przystosować przestronną rufową ładownię do transportowania X-skrzydłowca. Na ostateczny wygląd jachtu wpłynęły także inne osoby. Jedną z nich była żona Landa, Tendra. Młoda kobieta właśnie wróciła po długiej wizycie, jaką złożyła rodzinie na Sakorii. To właśnie ona zachwyciła się matowym szarym kadłubem i nazwała jacht „Cieniem Jade”. Talon Karre i jego wspólnicy zainstalowali chowane w kadłubie laserowe działka, zamaskowane wyrzutnie torped i generatory ochronnych pól siłowych. Dzięki temu „Cień” prawie dorównywał „Ognistej Jade”, którą Mara zdecydowała się poświęcić na Nirauanie.

Ukryła należący do Luke'a myśliwiec typu X w ładowni jachtu i eskortowana przez pilotującego własny X-skrzydłowiec Anakina posłużyła się opracowanym przez Ghenta uniwersalnym kodem transpondera. Wylądowała w okolicach północnego bieguna planety Duro, gdzie Anakin pozostawił swój myśliwiec. R2-D2 zmienił konfigurację ochronnych pól, tak by generatory chroniły kadłub przed wpływem agresywnych gazów atmosfery, wykorzystując jedynie ułamek mocy systemów zasilania. Potem Mara wystartowała na pokładzie „Cienia” i korzystając z pomocy Luke'a jako drugiego pilota, dokonała mikroskoku poza system. Zmieniła kod transpondera i skierowała dziób jachtu ku największemu orbitalnemu miastu planety Duro. Wszyscy troje wylądowali, udając zamożnych Kubazów.

W stoczniach krzątało się wiele obcych istot z różnych planet. Najczęściej spotykało się Sullustan i Dralów, którzy woleli uciec z Korelii, dopóki jeszcze traktowano ich jak obywateli pierwszej kategorii. Pracowali z robotnikami i stoczniovcami kilku innych ras, żeby przystosować cywilne stocznie na potrzeby wojska. W pewnej chwili rogaty Devaronianin wyprzedził trójkę szaroskórych Durosjan o pociągłych twarzach. W przeciwną stronę przejechał obok nich rosty, siwiejący Wookie. Nagle Mara poczuła ledwo uchwytną woń egzotycznych perfum i odwróciła głowę. Z wylotu mijanego korytarza wyłoniła się urodziwa Trianka. Zadzierając nosa i kołysząc biodrami, poruszała się zwinnie jak kocica. Przyciągała spojrzenia chyba wszystkich robotników.

Mara często wysyłała myśli w głąb własnego ciała. W gromadzie komórek - dzielących się, rozrastających i coraz silniej wiążących z resztą jej ciała - nie wyczuwała jednak niczego niepokojącego, nienormalnego ani niezdrowego. Nie odbierała szarpających nerwy sygnałów świadczących o mutacjach, jakim ulegały, kiedy chorowała. Postanowiła, że każdy dzień bez złowieszczych oznak potraktuje jak błogosławiony prezent i nie będzie się zastanawiała, ile jeszcze takich dni otrzyma w darze.

Ale i tak po nocach nie przestawały jej dręczyć koszmary.

Zerknęła na Anakina, który zgarbiony stał na skraju ruchomego chodnika. Przypomniała sobie, jak uczyła go mówić z typowym dla Kubazów gardłowym artykułowaniem niektórych głosek, używać wyszukanych zwrotów i odpowiednio stawiać nogi. Odrzuciła pomysł Luke'a, żeby przebrać się za Durosjan. Zawsze najtrudniej było udawać tubylców.

Chodnik schował się w szczelinie mniej więcej pośrodku przestronnego placu. Komputerowy notatnik oznajmił, że dotarli do Stacji Duggana.

- Dalej prosto - odezwał się gardłowym tonem Luke, popychając elegancki repulsorowy wózek z ich bagażami.

Na skraju placu, na niewysokiej platformie, stała jakaś Durosjan. Posługując się wzmacniaczem i megafonem, przemawiała do grupy liczącej pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt istot. Zdecydowaną większość stanowili Durosjanie; Mara dostrzegła jednak jednego Bitha i dwoje turkusowoskórych Sunezjan.

Luke, który szedł pierwszy, stanął i kiwnął głową w kierunku mówczynie.

- Posłuchajcie tylko - mruknął.

Stanął trochę bliżej żony niż zazwyczaj. Może inna kobieta nie zwróciłaby na to uwagi, ale Mara była wyjątkowo wrażliwa na punkcie swobody ruchów.

Stojąca na platformie Durosjanka mówiła bardzo głośno. Od czasu do czasu akcentowała słowa, wymachując długą sękatą ręką.

- Niepodległość to cnota! - krzyczała. - Jeśli w tak niebezpiecznych czasach będziemy liczyli, że obrzoni nas i wyżywi ktoś obcy, poniesiemy śmierć! Jeżeli ktoś nie potrafi wyżywić siebie i rodziny, sprrrawia im zawód. Jeżeli nie będziemy chrzronili swoich bliskich, pozwolimy im zginąć. Czy jesteście morrrderrrcami... czy żywicielami własnych rrodzin?

- Anakin - mruknęła Mara. - Weź Artoo i podejdź do tej podżegaczki. Tylko stań tak, żebym cię widziała.

- Już się robi... - odparł Anakin - ...mamo.

Nie wypadł z odgrywanej roli.

- Symbioza to pojęcie - krzyczała Durosjan - które wpajano nam od niepamiętnych czasów. Czy przyniosła nam wolność? Czy zapewniła nam bezpieczeństwo? Mówi się nam, że zależymy jedni od drrrugich. - Zmieniła ton głosu na fałszywy, jakby kogoś naśladowała. - Że potrzebujemy się nawzajem. Na służ Hurców!

Kilkoro Durosjan z tłumu odpowiedziało szyderczymi okrzykami.

- Musimy być silni - ciągnęła mówczynie. - Musimy polegać tylko na sobie. Ktokolwiek liczy na pomoc, przegrrra z krrresem! Każ-dy-z-nas-bez-wy-jąt-ku - wyskan-dowała, akcentując słowa złowieszczymi pomrukami - musi być na tyle silny, żeby dostać to, czego prrragnie. Inaczej wszyscy zginiemy. Wszyscy!

Kilkoro Durosjan stojących po lewej stronie Mary nagle odwróciło głowy. Kiedy ujrzeli rzekomych Kubazów, poszeptali coś między sobą i odeszli dalej. Mara nie wyczuła jednak chęci ataku. Zmysły nie ostrzegały jej przed groźącym niebezpieczeństwem. Mimo to ukryła prawą rękę między fałdami ciemnego płaszcza, gdzie wisiała rękojeść świetlnego miecza.

Mówczynie uniosła rękę i pokazała rząd silnych lamp, dzięki którym można było odnieść wrażenie, że Stacja Duggana kąpie się w blasku promieni żółtawego słońca.

- Nie obchodzi nas, co dzieje się na powierzchni tej planety w dole! -wykrzyknęła.

- Racja! - zawołał ktoś z tłumu.

- Nie obchodzi nas, co dzieje się na powierzchniach odległych światów!

- Tak jest! - odpowiedział o wiele głośniejszy niż poprzednio chór gniewnych okrzyków.

- Symbioza! - Mówczynie prychnęła pogardliwie. - Wzajemna zależność! To dobrze dla słabeuszy. Tylko słabeusze muszą się jednoczyć, żeby przeżyć!

Tłum Durosjan zareagował radosnymi okrzykami. Podżegaczka rozstawiła nogi, wyciągnęła przed siebie długie ręce i złączyła dłonie.

- Jak w grocie włócznie duha, jak w ostrzu noża, siła ujawnia się wówczas, kiedy metal styka się z celem. Prrrawdziwa siła ukazuje się, kiedy światy same decydują o własnym losie. Kiedy nie muszą czekać, aż przylecą obce floty, żeby je obrzonić. Każdy z nas - zatoczyła ręką zamasystry łuk, jakby chciała objąć wszystkich słuchaczy - musi okazać się silny. Na tyle silny, żeby wziąć, czego prrragnie... a potem tego brzonić!

Chór radosnych okrzyków zabrzmiał jeszcze głośniej.

Mara oparła się plecami o Luke'a i odwróciła głowę na tyle, żeby mógł usłyszeć.

- Takie przemówienia mogą położyć kres wszystkiemu, co jeszcze pozostało z Nowej Republiki - rzekła.

Wyczuła cień energii Mocy, jaką uwolnił mąż, usiłując ją osłonić. A zatem nie pokładał specjalnego zaufania w ich przebraniach. Przyjmując postawę obronną, starał się, żeby mówczynie nie widziała wyraźnie ani nie zapamiętała ich twarzy.

- Usłyszałem wystarczająco dużo - mruknął w odpowiedzi.

Anakin nie odszedł daleko. I tak zresztą Artoo-Detoo nie mógł potoczyć się na bok w takim tłumie. Kiedy więc Mara przyciągnęła uwagę chłopca i zagięła okryty rękawicą wskazujący palec, Anakin kiwnął głową i zaczął się wycofywać. Obok niego toczył się R2-D2, pokryty niedawno warstwą barwy miedzi.

Jedyną wychodzącą ze Stacji Duggana ulicę obsadzono niskimi drzewami. Rosły w równo ustawionych fantazyjnych pojemnikach i z pewnością spełniały dwie funkcje: ozdobną i praktyczną, bo uzdatniały powietrze. Większość osób poruszała się ulicą, korzystając z jedno- czy dwumiejscowych skuterów rakietowych albo zamkniętych kapsuł repulsorowych.

Kiedy znaleźli tani hotel, Luke wynajął niewielki dwupokojowy apartament. Pomieszczenie miało trzy skromne tapczany z szufladami, toaletę i łazienkę. Całą jedną ścianę zajmowało kilka programowanych płaskich ekranów, na których można było oglądać różne obrazy. Jeżeli wierzyć załączonej instrukcji obsługi, jednym z nich był widok miasta Bburru, majestatycznie unoszącego się nad szaroburą planetą. Inny przedstawiał ciemną stronę Coruscant - pozbawioną ozdobnej porannej zorzy. Jeszcze inny ukazywał ruch towarowych transportowców, wyskakujących albo wskazujących do nadprzestrzeni w pobliżu planety Yag'Dhul, na skrzyżowaniu dwóch szlaków handlowych: Koreliańskie-go i Rimmiańskiego... Mara nie włączyła żadnego z ekranów.

Artoo-Detoo podjechał do końcówki systemu informatycznego i wsunął wysięgnik do gniazda. Mara ściągnęła i rzuciła na tapczan gogle, maskę, ciemny płaszcz i rękawice. Ubrana w wygodny lotniczy kombinezon, odprężyła się i przeciągnęła.

Anakin także porozrzucił części przebrania po swoim tapczanie. Usiadł i zaczął prostować i zginać palce obu dłoni.

- Jak mogą myśleć i wygadywać takie bzdury po wszystkim, co zrobiła dla nich Nowa Republika? - zapytał w pewnej chwili.

- To tylko jedna podżegaczka - odparła Mara. - Czasami jednak nie potrzeba nikogo więcej. Przypomnij sobie Rhommamool i tamtejszego podżegacza, Noma Anora.

- Miałem szczęście - oznajmił Anakin. - Udało mi się go spotkać.

Jeżeli chodzi o Marę, Rhommamool oznaczał drugie spotkanie z Anorem. Pełniła wówczas obowiązki osobistej strażniczki mało ważnego dyplomaty. Uczestnicząc w uroczystościach na Monorze Dwa, wysłuchiwała wygłaszanych przez Anora jętrzących przemówień, których mieli dość nawet łagodni Sunezjanie. Poprosili go w końcu, by opuścił ich planetę.

- Do wywołania konfliktu zbrojnego Anor wykorzystał wzajemną niechęć, jaką żywili względem siebie Rhommamoolanie i Osarianie. Zginęło wtedy wielu jego ludzi... on sam także stracił życie. Czasami jednak wystarczy, jeżeli przekona się samotnego intryganta.

Luke kiwnął głową.

- Masz rację - przyznał. - Mam nadzieję, że właśnie kogoś takiego...

Nagle w pokoju rozległy się pełne zaniepokojenia piski astromechanicznego robota.

Mistrz Jedi zamarł i nie dokończył zdania. Nie zdążył nawet ściągnąć drugiego buta.

- O co chodzi, Artoo? - zapytał.

Automat zaczął wydawać melodyjne piski i gwizdy tak szybko jeden po drugim, że Mara nie mogła nic zrozumieć. Wyglądało na to, że i Luke nic nie rozumiał.

- Wolnego, wolnego - powiedział.

Wstał z tapczanu i podszedł do robota, aby zapoznać się z informacjami wyświetlanymi na niewielkim ekranie, który umieszczono w ścianie nad gniazdem systemu informatycznego. Mara zauważyła, że jej mąż nagle sposepniał.

- Nic poważnego - odpowiedział na jej zaniepokojone spojrzenie. - Wszystko w porządku. Właśnie dowiedziałem się, że Han, Jacen i mieszkańcy ich obozu zostali bezpiecznie ewakuowani pod kopułę kolonii Leii. Borykali się z inwazją jakichś owadów.

- Zapewne Jacen zebrał kilka nowych okazów - zadrwił Anakin.

- Nie żartuj - westchnęła Mara. - Zawsze uważałam, że na planecie Duro nie może żyć wiele stworzeń.

Oczy Luke'a straciły wszelki wyraz, jakby mistrz Jedi zapatrzył się w pustkę. Na szczęście trwało to tylko kilka sekund.

- Nikomu nie stało się nic złego - oznajmił Luke. - A Jacen właśnie wylądował tu, w Bburru.

- Coś takiego - mruknął jego młodszy brat.

- Anakinie - skarcił go łagodnie Skywalker. - Jacen musi odnaleźć własną drogę życia. To część procesu zwanego dorastaniem. Jednym zajmuje to trochę więcej czasu niż innym.

Anakin parsknął. Mara zastanawiała się, czy gdyby miała siostrę lub brata, potrafiłaby żyć z nimi w zgodzie.

- Dobrze się składa - rzekła beztrzesko. - Wcześniej czy później i tak się z nim spotkamy. Na razie musimy jednak odszukać zaginioną uczennicę Tresiny i zorientować się, jak wygląda polityczna sytuacja uchodźców na planecie Duro. Prawdopodobnie rozwiązanie jednego problemu zależy od rozwiązania drugiego.

- Brzmi przekonująco - przyznał Luke. - Porozmawiam z urzędnikami ze Spółki CorDuro. A zresztą, o ile się nie mylę, właśnie tam spotkam się z Jacenem.

- Zajmij się tym - rzekła Mara.

W jej mózgu zaczynał się rodzić nowy pomysł. Przylatując do Bburru, nie zapomniała zabrać innych przebrań. Domyślała się, że do orbitalnego miasta mogli przybyć przedstawiciele innych światów w poszukiwaniu jasno sformułowanych powodów, dla których rządy ich planet nie mogły zgodzić się na przyjęcie transportów z uchodźcami. Z pewnością kuatska senator, Viqi Shesh, nie założyła głównego obozu SENKI w pobliżu rodzinnego świata. Może więc udałoby się nakłonić kogoś do wyjawienia, jakie jeszcze rządy nie chciały mieć nic wspólnego z uchodźcami.

Sięgnęła po jeden z podróżnych neseserów i wciągnęła go do łazienki.

Kiedy wyszła stamtąd po jakiejś półgodzinie, Anakin z całej siły przytrzymał się krawędzi tapczanu. Uniósł brwi tak wysoko, że prawie skryły się pod ciemną grzywką.

Śmiejąc się w duchu, Mara uniosła głowę i obrzuciła go wielkopańskim spojrzeniem.

- Możesz pocałować naszą dłoń - odezwała się z nienagannym kuatskim akcentem.

- O... rety! - Chłopiec o mało się nie zakrzusił z wrażenia.

Luke splótł ręce na piersi i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Oparł się o ścianę z wyłączonymi ekranami. Widział żonę w wielu innych przebraniach, lecz musiał przyznać, że to wyglądało szczególnie widowiskowo i wywierało największe wrażenie. Mara zmieniła złocistorudą barwę włosów na czerwonawobrazową i związała je z tyłu głowy opaską, ozdobioną fałszywymi szmaragdami. Podobna do kitu maskująca substancja zmieniła kształt jej nosa, a cieniujący żel uwydatnił dołki w policzkach. Szmaragdy zdobiły także jej kształtne uszy i zwieszały się z szyi. Jasno-błękitną tunikę, przeciętą na ukos pasem, który wyglądał jak z prawdziwego złota, zdobiła na jednym ramieniu mozaika z zielonych klejnotów. Pod wysokim kołnierzem widniało w szacie długie rozcięcie. Wysokie buty kończyły się stożkowatymi szpilkami, dzięki czemu Mara wyglądała na wyższą niż w rzeczywistości. Obcasy mogły być jednak szybko oderwane, gdyby zaistniała konieczność niespodziewanej ucieczki. Widząc osłupienie na twarzy Anakina, Mara szturchnęła go w ramię.

- Zamknij usta, bo zaślinisz dywan - powiedziała. - Dziwię się, że jeszcze tu jesteś.

- Za chwilę wychodzimy. - Luke oderwał plecy od ściany z ekranami.

Mara uśmiechnęła się ponuro. Wyczuła, że mąż chciałby, aby spędziła z nim jeszcze jakąś godzinę. Prawdę mówiąc, ona także nie miałaby nic przeciwko temu. Poświęciła jednak sporo czasu na przebieranie i nie chciała pognieść nowego ubrania.

- Jesteśmy umówieni na rozmowę - oznajmił Skywalker. - A ściślej, dwaj Kubazowie są umówieni na rozmowę.

Anakin zmarszczył brwi. Wciąż jeszcze starał się przywrócić krążenie krwi w twarzy, chyba zbyt długo ściśniętej gumową maską.

- Pokręcę się tu i tam - oznajmiła Mara. - Może dowiem się czegoś ciekawego. Zaczę od tłumy w Porcie Duggana. Mam nadzieję, że tamten wiec jeszcze się nie skończył.

Wyczytała w oczach męża: „Uważaj na siebie”. Doceniając jego powściągliwość, nie obiecała, że to zrobi. Po prostu kiwnęła głową.

Zauważyła, że wargi mu lekko drgnęły.

Zachwycała się tym... możliwością porozumiewania się bez słów i bez posługiwania Mocą.

- Prześlę wiadomość przez Artoo, jeżeli wydarzy się coś niespodziewanego - obiecała.

Chwilę później uświadomiła sobie, że chciała dodać: „Wy także uważajcie.. .” chyba tylko z grzeczności. Pomyślała, że zaczyna mięknąć.

Wyciągnęła rękę do męża. Luke uściskał jej dłoń, podniósł do ust i pocałował. Przyciągnął żonę do siebie i szepnął:

- Wróć jak najszybciej.

ROZDZIAŁ

16

Luke i Anakin udali się do biura wicedyrektora Spółki CorDuro, Dur-garda Braruna. Do okazałego gabinetu wprowadził ich jeden z doradców. Pomieszczenie oświetlały krzyżujące się panele jarzeniowe, które wtopiono w sufit i w ściany. Najbardziej rzucała się w oczy ozdobna krata systemu wymiany powietrza pośrodku sufitu. Inne, trochę mniejsze kraty, rozmieszczone w nieregularnych odstępach, ciągnęły się od podłogi do samej góry. Pod przeciwległą ścianą stało bardzo długie i wąskie biurko, trochę przypominające ladę szynkwasy w podrzędnej knajpie. Za biurkiem siedział postawny Durosjanin. Widoczną na prawej piersi bluzy trójkątną odznakę Spółki CorDuro otaczała złota obwódka. Pod brodą wicedyrektora wisiały fałdy szarozielonkawej skóry. Na bezwłosej głowie, nad uszami, zaczynały pojawiać się pierwsze jaśniejsze plamy.

Na widok dwóch rzekomych Kubazów dostojnik wstał, żeby ich powitać.

- Dżentelistoty, w czym mogę pomóc? - zapytał.

Luke nie był pewien, czy w ogóle wyciągnie z niego jakieś informacje. Zamierzał przekonać wicedyrektora Braruna, że on i Anakin są absolutnie nieszkodliwi. Gdyby to się udało, spróbowałby się dowiedzieć, kto może wyjaśnić zagadkę zaginięcia uczennicy Jedi.

Bardziej niż kiedykolwiek zależało mu, żeby jego misja zakończyła się powodzeniem. W tych ciężkich czasach wszystko miało większy ciężar gatunkowy. Luke uświadamiał sobie, że pomaga kształtować przyszłość, w której będzie dorastało i żyło jego dziecko.

Posługując się nienagannym basicem z charakterystycznym kubaskim gardłowym akcentem, powiedział:

- Wielu moich ziomeków straciło domy. Założyliśmy kolonię na planecie Yag'Dhul, ale musimy zaopatrywać osadników. Powiedziano mi, że wiele podstawowych rzeczy kupię tutaj, w Bburru. Jestem gotów zapłacić przyzwoitą cenę.

Durosjanin wyciągnął rękę w kierunku panelu z przyciskami i lampkami.

- Cena może się okazać wyższa, niż jesteście gotowi zapłacić, dżentelistoty - oznajmił złowieszco.

Zza brązowej zasłony, pokrywającej część bocznej ściany, wyłoniło się dwóch rośliwych i krzepkich mężczyzn. W ich oczach płonęło zdecydowanie, ale Luke wyczuł, że

kryje się za nim rezygnacja. Widywał już mieszaninę takich uczuć - w oczach kolaborantów z Brygady Pokoju i ludzi, którzy doszli do wniosku, że w tej wojnie i tak zwyciężą Yuuzhanie.

Pojawienie się strażników komplikowało jego zadanie. Czyżby Spółka CorDuro dała się skorumpować? A może Thrynni Vae zniknęła, ponieważ odkryła, że kolaboracja zatacza kręgi, o jakich nikomu się nie śniło?

Mistrz Jedi uporządkował myśli i postarał się zachować spokój.

- Jesteśmy gotowi zapłacić kredytami Nowej Republiki - ciągnął - albo kubaskimi obligacjami, które można wykupić na wielu innych światach, a nawet...

Nagle w gabinecie rozległ się dźwięk gongu. Wicedyrektor wyprostował się i podniósł rękę, by przerwać Luke'owi.

- Jedną chwilę, dżentelistoty - powiedział.

Musnął jakiś punkt na panelu i zapoznał się z informacją wyświetloną na ekranie niewielkiego monitora. Lekko się uśmiechnął. Luke wyczuł, że zamierza ich odprawić. Uwolnił myśli i przekonał Braruna, że jego kubascy goście mogą pozostać w charakterze neutralnych świadków. W końcu i tak nie mieli dokąd wrócić.

Wicedyrektor zastanawiał się chwilę nad tym, co nagle przyszło mu do głowy.

- Dżentelistoty - odezwał się w końcu. - Barrrdzo prrrroszę, zechciejcie zaczekać kilka minut. Właśnie mi przypominano, że w poczekalni siedzi gość, którrremu kazano czekać, żeby mógł dowiedzieć się, gdzie jest jego miejsce. Chciałbym go terrraz przyjąć. Nie odzywajcie się, bo w przeciwnym rrrazie strrrażnicy będą musieli was wyprrowadzić.

- Z przyjemnością - odezwał się Luke, gardłowo wymawiając niektóre sylaby. - Wszystko dla dobra moich ziomeków.

Gestem zachęcił Anakina, żeby stanął pod brązową kotarą. Wycofując się pod ścianę, jeszcze raz ocenił strażników. Mężczyźni byli rośli i silni, ale wyraźnie nie grzeszyli nadmierną inteligencją. Nie powinni sprawić dużego kłopotu, gdyby doszło do walki między nimi a dwoma Jedi. Luke miał jednak nadzieję, że nic takiego się nie wydarzy.

Wyczuł obecność Jacena, jak tylko chłopiec przekroczył próg gabinetu wicedyrektora. Młodzieniec był ubrany w brązowy lotniczy kombinezon i niebieską czapkę. Luke stwierdził z przerażeniem, że Jacen całkowicie zamknął umysł na oddziaływanie Mocy. Nie uwalniał myśli, nie badał otoczenia... Mistrz Jedi wyczuwał, że on świadomie tłumi Moc wokół siebie. Pomyślał, że stan byłego ucznia jest gorszy niż kiedykolwiek.

Oznajmił niedawno Anakinowi, że jego starszy brat sam musi znaleźć swoją drogę. Wiedział o tym, ale na widok siostrzeńca poczuł ukłucie bólu. On także popełniał błędy i wiedział, że ich konsekwencje mogą być przykre i bolesne.

Zwłaszcza w takiej sytuacji.

Uwolnił myśli i delikatnie szturchnął młodzieńca.

Jacen spędził prawie godzinę w przestronnej poczekalni. Czekał, aż wicedyrektor Spółki CorDuro zechce go przyjąć w swoim gabinecie. Uzbrowiwszy się w cierpliwość, starał się siedzieć nieruchomo. Rozmyślał o tym, co widział w swojej wizji. Nie przy-

pominał sobie, żeby nakazywała mu zostać dyplomatą. Odnosił jednak wrażenie, że nie podąża właściwą drogą.

Przekraczając próg gabinetu, wyczuł jakby odległe echo tamtej wizji. Uświadomił sobie, że gdzieś bardzo blisko stoi jego wuj... tam, przed brązową zasłoną. Tylko dlaczego jest przebrany za Kubaza i pilnowany przez dwóch krzepakich strażników?

Drugim Kubazem był z pewnością Anakin.

Jacen wyczuł, że od strony wuja napłynęła jakaś myśl. Szturchnęła go, nakazując, żeby wciągnął Durosjanina do rozmowy.

Wyprostował się i zwrócił w stronę wicedyrektora Braruna. Co za okazja! - pomyślał. Oto może pokazać wujowi i młodszemu bratu kierunek, który wskazywały mu wizja, sumienie i doświadczenie.

- Witaj, Jedi Jacenie Solo. - Wicedyrektor, podobnie jak inni pracownicy Spółki CorDuro, był ubrany w brązowy mundur, wykończony czerwoną lamówką. - Muszę przyznać, że nie spodziewałem się twojej wizyty.

- Dziękuję, że zechciał pan... - Jacen ruszył w kierunku biurka.

- Stój! - rozkazał Durosjanin. - Ani krrroku dalej!

Jacen zamarł. Zastanawiał się, czy Brarun chce, żeby pozostał dokładnie w tym miejscu. Pragnąc to sprawdzić, przestąpił z nogi na nogę, ale kawałek od miejsca, gdzie znieruchomiał poprzednio. Wicedyrektor nie miał nic przeciwko temu.

Młodzieniec doszedł do wniosku, że Durosjanin nie usiłuje zwabić go w pułapkę, żeby spuścić do lochu albo zrzucić na głowę coś ciężkiego. Prawdopodobnie obawiał się rycerzy Jedi i dlatego kazał gościowi trzymać się z daleka, drząc o swoje życie.

- Panie dyrektorze - zaczął Jacen. - Przyleciałem w imieniu wielu nieszczęśliwych istot. Uchodźcy z kolonii, którą zarządza moja matka...

- Nazywa się Leia Orrrgana Solo - przerwał Durosjanin. - Mam rrrację?

Jacen miał dobry słuch do akcentów i języków. Już przyzwyczaił się do typowego dla Durosjan przeciągania zgłoski r.

- Tak, panie dyrektorze - odparł. - Ci uchodźcy żyją w niewiarygodnie prymitywnych warunkach. Muszą...

- A gdzie twój płaszcz Jedi, Jacenie Solo? - zakpił Brarun. - Przyleciałeś tu na przespīgi?

- Nie. - Jacen rozłożył ręce. - Wcale nie.

- Twoje kłopoty z zaopatrzeniem nic nas nie obchodzą. Może to SENKA was kantuje?

- Dlaczego miałyby to robić, panie dyrektorze?

Durosjanin wymownie wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie? - odparł. - Zdecydowała za nas, że podobno chcemy przywrrocić nasz świat do pierrrwotnego stanu. - Zanim Jacen zdążył mu przerwać, Brarun postrzymał go gestem uniesionej ręki. - Konsultowali ten pomysł z nami, ale nie uwzględnili naszego sprzeciwu.

- Dlaczego mielibyście się nie zgodzić? - zdziwił się młodzieniec. - Czy nie zależy wam, żeby tam, w dole, można było znowu mieszkać?

Wicedyrektor obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Cieszymy się, że wrrreszcie zdołaliśmy się uwolnić - powiedział. - Mieszkając na powierzchni tej skalistej kuli, czuliśmy się jak w więzieniu. Kiedy osiedliliśmy się w orrrbitalnych miastach, zsyłaliśmy do fabrrryk wszystkich krrryminalistów, wywrrrotowców i malkontentów. A teraz ci obywatele wrrracają do naszych spokojnych miast, by podzegać i burzyć ład społeczny. - Przekrzywił długą głowę. - A jeśli nawet doprrrowadźcie planetę do pierrrwotnego stanu, mogą zainterresować się nią Yuuzhanie. Jeżeli ją zdobędą, cała wina spadnie na SENKE.

Przeniósł wzrok na parę milczących Kubazów. Jacen przestąpił z nogi na nogę. Jego buty prawie schowały się w puszystym dywanie.

- Panie dyrektorze, jeżeli transportowce z zaopatrzeniem nie będą lądowały na powierzchni planety, nasi koloniści zaczną przymierać głodem - powiedział. - Prosimy, żeby zechciał pan nam pomóc. To pilne.

Brarun wyciągnął rękę i przycisnął jakiś guzik. Rozległ się głośny brzęczyk. Drzwi za plecami Jacena syknęły i ukryły się w ścianie. Do gabinetu wkroczyło dwóch uzbrojonych Durosjan.

Co to miało oznaczać? Jacen opuścił ręce wzdłuż ciała.

- Panie dyrektorze, przyleciałem tylko, żeby prosić pana o środki chemiczne, niezbędne do uprawy roślin - powiedział. - Musimy je mieć, jeżeli chcemy produkować własną żywność. Nie zamierzam i nie zamierzam panu grozić.

- Nie? - zadrwił Durosjanin. - Urruchamiając stację Centerrrpoint w systemie naszych sąsiadów, zmieniliście rrrównowagę sił w tym rrejonie galaktyki. Na samą myśl o rrycerzach Jedi przechodzą mnie nerrrowe drrreszcze. Zwłaszcza na myśl o młodzikach, którzy używają słów w rrodzaju „pilne” albo „natychmiast”. Najczęściej nie mają dość rrozumu ani cierrrpliwości, żeby wiedzieć, kiedy się wycofać.

Dziękuję ci, Kypie Durronie, pomyślał Jacen. Miał nadzieję, że Anakin przysłuchuje się uważnie każdemu słowu tej rozmowy.

- Panie dyrektorze, to nie rrycerz Jedi wystrzelił z gwiazdogromu stacji Centerpoint - zaprotestował stanowczo.

- Po całej Nowej Republice zaczyna szerzyć się nowy pogląd - stwierdził Brarun. - Z pewnością słyszałeś o wyzwaniu, jakie rzucono filozofii zakonu Jedi.

- Słyszałem - przyznał chłopiec. - I to całkiem niedawno. Kiedy wylądowałem w Bburru i przechodziłem przez Port Duggana.

- Aha - domyślił się wicedyrektor. - Widziałeś moją siostrrrę, Ducillę.

- Bardzo przekonująco uzasadniała swój punkt widzenia - przyznał Jacen.

Uważał, że poglądy Durosjanki mogły pochodzić prosto z propagandowych agencji istot rasy Yuuzhan Vong. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że Yuuzhanie zapewne nie uciekałyby się do takich podstępów. Jeżeli jednak mistrz Luke chciał wyciągnąć od Durosjanina jakieś informacje, to rozmowa zdążyła w dobrym kierunku. Jacen musiał teraz tylko powtórzyć, kim jest i z czym przychodzi.

- Z mojej strony nie zagraża panu żadne niebezpieczeństwo - powtórzył spokojnie. - Pytał pan, gdzie zostawiłem płaszcz Jedi. Postanowiłem przerwać szkolenie i w tej chwili nie uważam się za rrycerza.

Durosjanin pochylił długą głowę i parsknął nieszczerym, sarkastycznym śmiechem.

- Żaden Jedi, kórrrego matką jest kobieta z rrodu Skywalkerrrów, nie może nie uważać się za rrycerza. Nigdy w życiu. - W czerwonych oczach dostojnika zapłonęły gniewne błyski. - Najwyższy czas, żebyś się tego nauczył.

Jacen zacisnął dłonie w pięści. Pamiętał jednak, żeby ich nie podnosić.

- Uczę się być mężczyzną... i samemu decydować o własnym losie - powiedział. - Nie zamierzam być tylko synem swojej matki.

Tym razem głośnym śmiechem wybuchnęli także wszyscy czterej strażnicy.

- Niech ci będzie... mężczyzno - zakpił wicedyrektor, kiedy w końcu trochę spoważniał. - Co zamierzasz zaprrroponować Spółce Trrransportrrrwej CorrrDurrro w zamian za dostarrczenie brrrakujących towarrrów?

- Chyba źle mnie pan zrozumiał - zachnął się młodzieniec. - Te środki chemiczne i sprzęt są własnością uchodźców. Zostały przesłane przez SENKE.

- Doprawdy? - Brarun udał zdziwienie. - A zatem przyleciałeś tu, żeby oskarrrrzyć moich pracowników o krrradzież?

Na sekundę czy dwie Jacen zobaczył znowu wizję galaktyki ześlizgującej się w objęcia ciemności. Rozłożył bezradnie ręce i postanowił obrać inną taktykę.

- Prawde mówiąc, niewiele mam do zaproponowania - oznajmił ponuro.

Durosjanin złożył długie sękatę rękę na blacie biurka-szynkwasu i pokiwał głową.

- Dobrze to ująłeś, Jedi Solo - powiedział. - Pozwól terrraz, że ja wyjaśnię ci to i owo. Jestem na tyle starrry, by pamiętać Imperrratorrra Palpatine'a - ciągnął. - Był człowiekiem, który umiał utrzymać porządek. Możliwe, że rrealizując wytknięte cele tu i ówdzie posunął się za daleko, jak wówczas, kiedy usiłował unicestwić takich jak ty. Wątpię jednak, żeby jakiś Yuuzhanin postawił wytatuowaną stopę na kórrrzejkolwiek planecie tej galaktyki, kiedy władzę sprrrawował Palpatine.

Jacen nie odpowiedział. Zastanawiał się tylko, co jeszcze Durosjanin zechce mu powiedzieć.

Wyglądało na to, że Brarun zapomniał o obecności Kubazów.

- Kilka naszych orrrbitalnych miast zachowało sprrrawne jednostki napędowe - oznajmił niespodziewanie wicedyrektor. - Pochodzą z czasów, kiedy nasi przodkowie umieszczali miasta na orrrbicie. Nasze domy i los mieszkańców nie zależą od tego, co stanie się z planetą Durrro. W każdej chwili możemy urrruchomić silniki i odlecieć.

Jeżeli rzeczywiście tak wyglądała prawda, Jacen nie musiał się już zastanawiać, dokąd wędruje brakujące zaopatrzenie dla uchodźców z innych światów. Durosjanie byli na tyle przewrotni, że mogli przechwytywać transporty i kierować je do swoich miast. Rzecz jasna, musieli robić to w tajemnicy.

- Rzeczywiście - przyznał cicho. - Jeżeli grozi wam inwazja, musicie zatroszczyć się przede wszystkim o swoich obywateli.

Durosjanin uniósł i przekrzywił głowę. Nie ukrywając zdumienia, spojrzął na rozmówcę.

- Właśnie - powiedział. - Cieszę się, że to rrozumiesz. A poza tym, na co przydałyby się istotom masy Yuuzhan Vong nasze zmechanizowane miasta?

Jacen wyprostował się i dyskretnie odetchnął z ulgą. Co za szczęście, że Durosjanin go nie odprawił. Może dlatego, że młody Jedi, zamiast krytykować go i domagać się zwrotu zagrabionych towarów, okazywał współczucie i zrozumienie.

- Zgadzam się z panem - podjął po chwili. - Proszę jednak pamiętać, że Yuuzhanie niszczą wszystko, czym gardzą. Czasami popełniają okrucieństwa, o jakich nawet pan nie ma pojęcia. Nie poznał ich pan tak dobrze jak ja, panie dyrektorze. Kiedyś byłem ich jeńcem. Nawet...

- Jak udało ci się uciec? - zainteresował się Brarun.

Jacen ciężko westchnął i spojrzał na kosztowny dywan. Nie unosząc głowy, zerknął na rozmówcę.

- Przyleciał po mnie wuj - wyznał cicho.

To było coś niezwykłego. Nie wątpił, że mistrz Luke obserwuje go i śledzi jego uczucia. Wiedząc o tym, posłał mu impuls wdzięczności.

- Sam widzisz. - Brarun wyprostował się za biurkiem. - Nikt, czyja matka wywodzi się z rodu Skywalkerrów, nie może przestać być rrycerzem Jedi.

- Staram się, jak mogę - oznajmił Jacen. - Naprawdę usiłuję się dowiedzieć, kim zostanę. Myślę, że jestem na dobrej drodze.

Brarun potarł jeden o drugi szarozielonkawe kciuki, ale nie oderwał rąk od blatu biurka.

- Widziałem straszne rzeczy - ciągnął Jacen. Opowiedział o niektórych: o porwaniu jeńców, o pogardzie dla bólu. - I śmierć - zakończył ponuro. - Widziałem, jak składają w ofierze całe transporty jeńców. Wiem, że chodziło im o oddawanie czci bogom, a nie eliminowanie przeciwników. Rozmawiałem z kobietą, która także dostała się w ich ręce. - Oczami wyobraźni zobaczył smutną twarz Danni Quee. Miał nadzieję, że cała i zdrowa dotarła w końcu na Coruscant. - Nie wierzę, że będziecie bezpieczni, nawet jeśli przeleciecie miastami w inne miejsce. Yuuzhanie będą was ścigali. Otworzą do was ogień. Zrobią wszystko, żeby unicestwić wytwory waszej techniki.

- Grrrozisz mi, Jedi? - zachnął się Brarun.

- Ależ skąd! - wykrzyknął Jacen. - Staram się pomóc, panie dyrektorze. Ostrzec pana, uprzedzić... ale nie grozić. Musimy trzymać się razem.

- Symbioza - prychnął pogardliwie Durosjanin. - Wyświechtany dogmat. Czy wiesz, co wydarzyło się na powierzchni Durrro? Pompując, uzdatniając i przesyłając wodę pitną do kolonii Gateway, twoja osada usiłowała pozostawać z tamtą w symbiozie. Tymczasem kierrrownictwo Gateway zaczęło drrażać swoją studnię, żeby uniezależnić się od was i mieć własne źródło czystej wody. - Triumfująco przekrzywił długą głowę. - Ona, kobieta z rrodu Skywalkerrów, ani myślała pozostawać z wami w symbiozie!

- Wiązą nas wzajemne zależności - sprzeciwił się Jacen. - Oni zależą od nas, a my od nich. Każda kolonia wnosi coś innego, ale wspólnie dążymy do jednego celu. Staramy się przywrócić planecie dawną świetność.

Nagle przyszedł mu do głowy szalony pomysł. Wprawdzie nie miał upoważnienia, aby proponować coś takiego, ale...

- Panie dyrektorze - podjął po chwili. - Co by pan powiedział, gdybyśmy my, osadnicy, pierwsze istoty na powierzchni nowej planety Duro, zgodzili się płacić panu podatki od wszystkiego, co wyprodukujemy. .. powiedzmy, w wysokości dwóch procent wartości? Uważam, że to całkiem hojna propozycja. Czy wtedy transporty docierałyby w całości i bez opóźnień?

Durosjanin wpatrywał się w złożone dłonie. Jacen wstrzymał oddech. Obaj wiedzieli, że młody Solo nie jest upoważniony do składania takich propozycji. Uświadamiali sobie także, że jeżeli inne osady uznają to za zdradę swoich interesów, będą domagały się głowy Jacena, a nie wicedyrektora Spółki CorDuro.

- Dwadzieścia. - Brarun machnął ręką.

Jacen zauważył kątem oka, że strzegący rzekomych Kubazów barczyści mężczyźni wyraźnie się odprężyli.

- Za dużo. - Młodzieniec czuł się coraz bardziej nieswojo. Jego matka wysłała go, by spróbował swoich sił jako dyplomata, a to chyba nie obejmowało pozbywania się części dochodów. - SENKA zawarła umowę z CorDuro na dostawę zaopatrzenia. Pańscy ludzie otrzymali wynagrodzenie.

- A ty - zauważył wicedyrektor - przyleciałeś do nas jako negocjatorrr. To pasjonujące. - Skinął grubym paluchem na jednego z uzbrojonych Durosjan, stojących nieruchomo za plecami Jacena. - Jedi Solo, chciałbym kontynuować te negocjacje. Prroszę, zechciej uważać się za mojego gościa. Na rrazie. Dopóki nie skontaktuję się z twoją matką i z Coruscant.

Czyżby Durosjanin zamierzał zatrzymać mnie w charakterze zakładnika? - pomyślał młodzieniec. Dla okupu? A może naprawdę zamierza negocjować? Ucieszył się, że ma świadków tej rozmowy, chociaż nikt nie mógłby ich nazwać bezstronnymi. A poza tym nie mógł się doczekać, kiedy opowie mistrzowi Skywalkerowi o swojej wizji. Może to wreszcie pozwoli mu odzyskać spokój ducha.

- Proszę jednak, żeby zechciał pan spełnić jeden warunek - powiedział.

Brarun uniósł brwi.

- Nie sądzę, żeby twoje położenie pozwalało ci stawiać warrunki - oznajmił oschle.

- Chwileczkę. Proszę zaczekać - przerwał Jacen. - Chciałbym prosić, żeby w tym czasie, kiedy będę tu przebywał jako gość, zechciał pan wysłać na dół wszystko, do czego zobowiązują pana warunki kontraktu.

Pomyślał, że jego wuj się ucieszy, wątpił, czy znajdzie zrozumienie u młodszego brata. Anakin był zbyt młody, by to pojąć.

- Nie masz jak tego sprrrawdzić, młody Jedi - oznajmił wicedyrektor.

- Czyżby? - Jacen wbił spojrzenie w wielkie oczy Durosjanina. Prawdę mówiąc, nie miał. Na szczęście Brarun o tym nie wiedział. - Musi pan pomóc nam powstrzymać wojowników rasy Yuuzhan Vong. Jeżeli razem nie staniemy do walki i nie utworzymy jednolitego frontu, Yuuzhanie pokonają nas, jeden system po drugim. Cały czas tak postępują.

- Słyszeliśmy tę historię - przyznał lekceważąco Durosjanin, ale skinął dłonią na drugiego uzbrojonego Durosjanina. - Odprrowadźcie młodego Solo do mojego pokoju

gościnnego - rozkazał. - I pozostaniecie za drzwiami, na korytarzu. Porozmawiam z nim trochę później.

Wychodząc, Jacen zerknął ukradkiem na stojących przed brązową zasłoną Kubazów. Mam nadzieję, wujku Luke, że usłyszałeś wszystko, co chciałeś, westchnął w duchu. Wiedział, że mistrz Skywalker odbierze jego myśli.

Zauważył, że jeden Kubaz lekko skinął głową. Drugi się odwrócił.

Mara wróciła do wynajętego apartamentu hotelowego i położyła komputerowy notes na konsolce. Przeszukała oba pokoje i przekonała się, że są puste. Rozejrzała się po wszystkich kątach. Nic nie wskazywało, by ktokolwiek odwiedzał apartament podczas jej nieobecności.

Przechadzając się w nowym przebraniu po ulicach Bburuu, bez trudu zachęciła do rozmowy jakiegoś Durosjanina - zwłaszcza gdy oświadczyła, że obawia się, iż kiedyś po obudzeniu zobaczy na powierzchni rodzinnej Kuat setki obozów z uchodźcami.

Wyczuwając potencjalną neofitkę, Durosjanin nie ukrywał swoich zapatrywań. Mara rejestrowała wszystko, co mówił, w pamięci komputerowego notatnika. Czasami ciągnęła rozmówcę za język, sugerując, że prosi o wyjaśnienie tego albo innego szczegółu jego doktryny. Gdy zachwycony kupiec upewnił się co do szczerości intencji Mary, obiecał ją zapoznać z najnowszymi „słowami mądrości”, które powinny pojawić się dwa dni później.

Kiedy Mara to usłyszała, obudził się w niej instynkt wywiadowcy. Okazując umiarkowane zainteresowanie, zapytała, skąd handlowiec może być tego taki pewien.

Jej rozmówca wzruszył ramionami. Czyż „słowa mądrości” nie pojawiały się zawsze tego samego dnia tygodnia?

Mara podziękowała mu wylewnie i odeszła. Nie powiedziała oczywiście gadatliwemu Durosjaninowi, że przekazał jej więcej informacji, niż zamierzał.

Nie zdejmując szat zamożnej Kuatki, usiadła obok gniazda systemu informatycznego i podłączyła swój notatnik. Dzięki kodom, jakie przed wielu laty opracował Ghent na zlecenie Talona Karrde'a, zaledwie kilka minut później buszowała po zakamarkach telekomunikacyjnego systemu miasta Bburru.

Przekonała się, że tego dnia tygodnia „zawsze” docierało kilkadziesiąt raportów. Przejrzawszy wszystkie, ograniczyła się do trzech najbardziej podejrzanych, które przesyłano spoza systemu, i jednego z powierzchni samej planety. Ten ostatni był oficjalnym raportem z kolonii Gateway, gdzie naukowcy prowadzili różne doświadczenia. SENKA uznała za słusne informować zobojętniałych Durosjan o postępach prac nad odkażaniem gleby.

Mara postanowiła zająć się właśnie tym raportem w pierwszej kolejności - może dlatego, że mogła sprawdzić go najszybciej. Przepisała ostatni nadesłany tekst do pamięci notatnika. Z pozoru wyglądał zupełnie niewinnie, jak wyniki kolejnych badań i wnioski z uzyskiwanych rezultatów. Dwa rejony toksycznych bagien obsiano substancjami pochłaniającymi trucizny. Trzy ogrodzone działki odwodniono, zaorano i przygotowano pod przyszłe zasiewy. Na porośnięte trawą prerie wypuszczono stado małych

ssaków. Ten ostatni eksperyment zresztą nie zakończył się całkowitym sukcesem. Polowa zwierząt zdechła, a pozostałe nie paliły się do rozmnażania.

Mara przypomniała sobie, że w pamięci komputerowego notatnika zapisała jeden z dekodujących programów Ghenta. Kiedy przepisywanie raportów naukowców dobiegło końca, poddała wszystkie badaniom za pomocą dekodera. Czekala cierpliwie, aż program skończy stosować wszystkie kody. Z początku oglądała na ekranie tylko gmatwaninę niezrozumiałych symboli...

Aż w końcu jej trud się opłacił. Zaskoczona kobieta pochyliła się nad ekranem tak gwałtownie, że związane w ogon włosy opadły na czoło. Przekonała się, że jeden z pracujących pod kopułą kolonii Gateway naukowców posłużył się starym rhommamolańskim kodem wojskowym.

Przypomniała sobie tyleż żarliwe, co nielogiczne i napastliwe argumenty, którymi szermował na Rhommamoolu zabity przywódca duchowy tubylców, Nom Anor. Kiedy czytała końcowe fragmenty rzekomego raportu, rozpoznała pięć czy sześć zarzutów, dosłownie cytowanych przez durosjańską podlegaczkę ze Stacji Duggana.

Wyprostowała się i odchyliła głowę do tyłu, żeby włosy wróciły na swoje miejsce. A zatem ktoś z kolonii Gateway - zapewne Durosjanin albo istota, której zależało, żeby w systemie Duro wybuchły rozruchy - utrzymywał kontakty z Rhommamoolem, gdzie także posługiwano się podobną jętrzącą retoryką.

Zanim roboty Landa Calrissiana zainstalowały na pokładzie „Cienia Jade” zakamuflowane systemy uzbrojenia, jacht stanowił własność handlarza przyprawą. Mógł bez trudu uchodzić za środek transportu zamożnej istoty. Jeżeli Mara chciała udawać szlachetnie urodzoną Kuatkę, powinna podróżować w towarzystwie przynajmniej jednego służącego. Nie zawsze jednak mogła mieć to, co powinna albo chciała.

Nagrała i zarejestrowała w pamięci Artoo-Detoo wiadomość dla męża.

Han i Jaina oglądali wewnątrz ośrodka łączności w budynku administracyjnym kolonii Gateway. W pewnej chwili Solo wystawił głowę i ramiona zza projektora hologramów.

- To wygląda na robotę Randy - powiedział. - Tylko on mógł zostawić tu taki bałagan. A zresztą nikt inny nie miał powodu do składania wizyty w ośrodku łączności. Postrasż go, jeżeli musisz. Powinien cię posłuchać. Darzy cię szacunkiem.

- Darzył - poprawiła go Jaina. - Bardzo krótko.

Pokręciła głową. W tej chwili najbardziej zależało jej na tym, aby Hutt pozostawił ją w spokoju.

- Domyślam się, że popełniłem błąd, kiedy pozwoliłem mu sypiać w naszym ośrodku - odezwał się Solo. - W ogóle nie powinienem był zabierać go na Duro.

Jaina wzruszyła ramionami.

- Nie, tato - odparła. - Postąpiłeś słusznie.

- No cóż, uprzedź Randę, że zamkniemy go na dobre - oznajmił Han. - A wogóle, miej go na oku. Staraj się, żeby nie wchodził w drogę Leii. Poprzedniej nocy ktoś usiłował uszkodzić jej górniczy laser. Podejrzewam, że chodziło o sabotaż.

- A więc ja też będę się starała nie wchodzić jej w drogę - rzekła dziewczyna.

Naciągnęła miękką, wydaną przez SENKĘ niebieską czapkę tak, by ogrzewała jej uszy. Odwróciła się i wyszła z ośrodka.

Dotarła do niebieskiego namiotu Randy bardzo szybko. Pomimo zaciągniętych płacht wejściowych, z wnętrza dolatywały niezrozumiałe płaczliwe dźwięki.

Jaina szarpnęła płachtę i weszła do środka. Randa siedział na macie do spania. W rękę trzymał coś, co wyglądało jak skórzana piłka. Na widok Jainya drgnął, jakby chciał ukryć dziwny przedmiot za plecami. W następnej sekundzie jednak zmienił zdanie i stanowczym gestem wyciągnął rękę w stronę dziewczyny. Już nie skomlał i nie płakał.

- Weź to - powiedział. - Spodziewałem się, że odwiedzi mnie pani ambasador Organa Solo albo jakiś funkcjonariusz jej służb bezpieczeństwa.

Dopiero teraz Jaina zorientowała się, że ma przed sobą yuuzhańskiego villipa. Żołądek skurczył jej się z przerażenia. Czyżby Randa był szpiegiem? - pomyślała. Nic dziwnego, że spędzał tyle czasu w ośrodkach łączności!

- Od jak dawna dla nich pracujesz? - zapytała, przygotowując się do odparcia ataku.

- Nie pracuję dla nich - burknął Hutt. - Chciałem tylko z nimi porozmawiać. Spodziewałem się, że uzyskam ustępstwa na rzecz moich pobratymców. Odprawili mnie z kwitkiem. Wzgardzili moją propozycją...

- Kiedy? - Jaina podeszła krok bliżej. - Kiedy się z nimi kontaktowałeś?

- Wczoraj.

- Tylko raz?

- Przysięgam na swoją...

- Wystarczy. Wierzę ci - rzekła Jaina, starając się, żeby w jej głosie zabrzmiał sarkazm. - To właśnie dlatego próbowałeś ostrzec senator Viqi Shesh, że zamierzają zaatakować nas Yuuzhanie? Dlatego, że jakimś cudem tu, pod kopułą kolonii Gateway, znalazłeś villipa?

- Pani senator zapewniła mnie, że już wkrótce przylecą posiłki.

Jaina przejechała po kciuku paznokciem wskazującego palca. Jeżeli Jacen się nie mylił i pani senator Shesh nie zasługiwała na zaufanie, to z pewnością nie wezwie żadnych posiłków. Kto wie, może nawet zamelduje Yuuzhanom, z czym zwrócił się do niej Randa?

- Popeliłem błąd - zapewnił dziewczynę młody Hutt. - Dopiero teraz sobie to uświadomiłem. Naprawiłem go jednak i teraz.

- Sądzisz, że ktoś w to uwierzy? - zadrwiła Jaina. - Oddaj to.

Podeszła i odebrała villipa. Stała przy tym tak blisko Hutta, że owionął ją odrażający fetor, jaki wydzielalo jego ciało. Przycisnęła villipa jedną ręką do boku i wycofała się z namiotu. Odwróciła się i pospieszyła do szarego budynku administracyjnego.

ROZDZIAŁ

17

Mara otrzymała zakaz lądowania w pobliżu głównej bramy kolonii Gateway.

- Teren dekontaminacyjny tuż za bramą jest objęty kwarantanną - usłyszała.

Na pewno odkaża się tam uchodźców z kolonii Trzydzieści Dwa, pomyślała. Młody mężczyzna skierował ją na północny wschód, na mniejsze, wysmagane ogniem z dysz silników lądowisko, z którym graniczyło kilka pól obsadzonych zielonymi roślinami. Mara pomyślała, że naprawdę naukowcom udało się dokonać nie lada sztuki. Życie na powierzchni planety Kuat zaczynało budzić się na nowo. Od tego, czego się dowie, będzie zależało, czy rozwinie się, czy zamrze z powrotem.

Z północno-wschodniej bramy wystawało kilka wąskich rękawów cumowniczych. Mara wylądowała i zaczekała na pokładzie jachtu, aż technicy kolonii Gateway dołączą jeden do sterburtowego wjazdu jej „Cienia”. Potem narzuciła na kosztowny strój cienki płaszcz i zanurkowała w głąb synplastowej rury.

Kiedy wynurzyła się pod ogromną kopułą kolonii, przystanęła, żeby się rozejrzeć. Na południowy zachód od niej wznosił się piętrowy szary budynek, otoczony kilkoma niższymi. Z jednego wydobywały się kłęby białego dymu albo pary. Po lewej stronie zobaczyła niezabudowaną przestrzeń. W piaszczystej glebie ktoś przekopał niewielkie grządki. Mara domyśliła się, że patrzy na ogródki kolonistów. Po prawej, za szeregami szaroniebieskich namiotów, ciągnęły się aż po horyzont ruiny. Słyszała głuchy pomruk i czuła drżenie gruntu pod stopami. Zapewne w głębi prowadzono prace górnicze.

Jak na obóz uchodźców, całkiem nieźle, pomyślała z satysfakcją. Zaczepnęła głęboko powietrza. Stwierdziła, że jest dość czyste, przynajmniej w porównaniu z powietrzem, jakim oddychali mieszkańcy większości innych osad, cuchnącym jak bagienne opary.

To niewątpliwie zasługa gorliwej i życzliwie usposobionej zarząd-czyni.

Mara postanowiła, że zanim zacznie się rozglądać, porozmawia z Leią. Gdyby nieznanym sabotażysta sprawił jej kłopot, może zostać zmuszona do opuszczenia osady w wielkim pośpiechu.

Na parterze budynku administracyjnego nie znalazła szybu turbowindy, tylko najzwyczajniejsze kręcone schody. Krawędzie użytych do budowy durbetonowych bloków

były wyszczerbione, a od ścian odpadały płyty tynku. Mara wspięła się po schodach na piętro i odnalazła drzwi z tabliczką ORGANA SOLO. Nie pukając, weszła do gabinetu.

Zobaczyła znajomego protokolarnego androida.

- Dzień dobry - powitał ją automat. - Jestem See-Threepio, specjalista od kontaktów ludzi z cyborgami...

- Widzę - przerwała władczy tonem kobieta. Postanowiła nie wypadać z roli. Rzuciła płaszcz na metalowe oparcie najbliższego krzesła i powiodła spojrzeniem po skromnie umeblowanym pomieszczeniu. Zwróciła uwagę na duże biurko, automat do przyrządzania posiłków, szafki z szufladami... Najwyraźniej pokój pełnił funkcję i gabinetu, i mieszkania. Nigdzie jednak nie zauważyła Leii. - A ja jestem baronowa Muehling z planety Kuat - rzekła. - Chciałabym porozmawiać z administratorką tej kolonii.

Złocisty android rozłożył ręce na boki.

- Bardzo mi przykro, baronowo - powiedział. - Pani administrator Organa Solo jest w tej chwili bardzo zajęta. Mieliśmy ostatnio poważne problemy z dostawami zaopatrzenia. Może mógłbym w czymś pomóc?

Mara pokręciła głową i postanowiła zrezygnować z udawania.

- Oczywiście, że mógłbyś, Threepio - rzekła. - Przekaż Leii, że jej szwagierka chciałaby widzieć ją w gabinecie za dwie minuty.

C-3PO odwrócił i przekrzywił głowę. Na jego twarzy malowało się -jak zawsze - takie zdziwienie, że Mara o mało się nie roześmiała. Pomyślała jednak, że tym razem zdezorientowany android ma powód do zdumienia.

- Ja... - zaczął niepewnie - postaram się ją poprosić... pani baronowo? - Ton jego głosu wskazywał, że Threepio nie pozbył się wszystkich wątpliwości. - Proszę tu czekać.

- Nie zamierzam się stąd nigdzie ruszać - przyrzekła Mara.

Skrzypiąc i brzęcząc serwowatorami, C-3PO odwrócił się i zniknął za drzwiami gabinetu. Mara pomyślała, że androidowi przydałoby się smarowanie i kąpiel w zbiorniku oleju. Jeżeli Leia zapominała o takich drobiazgach jak oliwienie Threepia, musiała być naprawdę zapracowana. Niecałą minutę później drzwi się otworzyły i do gabinetu wbiegła Leia w dziwnym białym turbanie na głowie. Twarz miała szczuplejszą, a oczy ciemniejsze, niż Mara pamiętała. Wbiła w swojego gościa uporczywe, badawcze spojrzenie.

- To naprawdę ty - odezwała się w końcu.

Podeszła, objęła ją i uściaskała - ostrożnie, jak jedna wystrojona dyplomatka powitałaby drugą. Widząc to, Threepio cofnął się o krok i pokręcił głową.

Mara pochyliła głowę i położyła dłonie na ramionach Leii.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała.

- Nie wiedziałam, że przyleciałaś do naszego systemu - zapewniła Leia.

- Całkiem niedawno.

- W towarzystwie Luke'a?

- I Anakina.

- Usiądź. Mnie też dobrze zrobi, jeżeli posiedzę kilka minut. Mara zauważyła zwrócone przodem do okna krzesło z metalowym oparciem i usiadła na nim. Widoczna za oknem chmura pary czy dymu wyglądała jak nieprzejrzysta kurtyna.

Leia opadła na takie same krzesło, stojące za wielkim biurkiem. Mara pomyślała, że wszystkie meble przysłała SENKA. Zauważyła, że na bocznej ścianie, naprzeciwko pryczy i automatu do przyrządzania potraw, wiszą dwa fantazyjnie rzeźbione i bogato zdobione lichtarze z czarnego żelaza. Nie pasowały do pozostałych sprzętów.

- Mogę ci podać coś do picia? - zapytała Leia. - Mamy tylko najbardziej podstawowe...

- Wystarczy szklanka wody.

Leia wysłała Threepia do prymitywnej kuchni. Słuchając, jak robot się krząta i nalewa wodę, Mara zapoznała Leię z obecną sytuacją wojskową Coruscant. Nie wspominała jednak ani słowem o wrażliwym na Moc miejscu w jej łonie. Zamiast tego opowiedziała, czego dowiedziała się w Bburru i jakim wynikiem zakończyło się jej prywatne dochodzenie.

- Rhommamoolański kod wojskowy? - Brwi Leii powędrowały aż pod krawędź białego turbana. - Mam nadzieję, że nie pojawią się u nas Czerwoni Rycerze Życia. - Postukała końcem pisaka w blat biurka. - Od dziesięciu do trzydziestu procent zaopatrzenia kolonii nie dociera na miejsce - dodała z goryczą. - Niedawno wysłałam Jacena do Bburru, żeby sprawdził, gdzie się to podziewa.

Mara uniosła brew.

Leia zachichotała.

- Nigdy nie wypadasz z roli, prawda? - zapytała.

- Nie pozwala mi instynkt samozachowawczy.

- Nie zmieniam przyzwyczajęń tylko z mojego powodu.

C-3PO wrócił, niosąc dzbanek z wodą i dwie szklanki. Gdy Mara piła, Leia zwierzyła się z pozostałych kłopotów. Woda miała smak pleśni, a jedno zdanie szwagierki zwróciło szczególną uwagę Mary: Leia przebywała w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów od Hana, a żadne o tym nie wiedziało.

- Pogodziliśmy się i wybaczyliśmy sobie - oznajmiła Leia. - Myślę jednak, że upłynie sporo czasu, zanim zapomnimy. Moi współpracownicy sądzili, że zaszyłam się gdzieś na Coruscant. A ja... nawet nie mogłam pomóc Jainie.

- Twoja córka jest już dorosła, Leio - zauważyła Mara.

- Sama niedawno mi to powiedziała. Wiesz, córki bywają niebezpieczne. Są twoimi najlepszymi przyjaciółkami i zarazem najzaciętszymi rywalkami. I w każdej chwili przypominają ci, jak kiedyś wyglądałaś.

Mara nabrała ochoty, aby wyznać jej całą prawdę, ale zamiast tego zapytała:

- Kto sporządzał zeszlotygodniowy raport dla SENKI na temat obsiewania toksycznych bagien?

- Durosjanin, doktor Cree'Ar - odparła Leia. Odwróciła się w stronę panelu kontrolnego, wystukała kilka poleceń i kiwnęła głową. - Mój najlepszy naukowiec. Jest prawdziwym cudotwórcą. Dlaczego pytasz?

Mara musiała w duchu przyznać, że nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Co o nim sądzisz? - nalegała. - Jaką masz o nim opinię?
 Jej rozmówczyni wzruszyła ramionami.
 - A co, Threepio usiłował cię zniechęcić do rozmowy ze mną i oświadczył, że jestem bardzo zajęta? - zapytała. -No cóż, to prawda. Nawet nie miałam czasu, żeby spotkać się z doktorem Cree'Arem. On jest...
 Drzwi syknęły i ukryły się w ścianie. Do gabinetu weszła Jaina w szarym lotniczym kombinezonie z nasuniętym na czoło obszernym kapturem. Na twarzy miała dziwną maskę. Kobieta poczuła, że otarł się o nią cień energii Mocy.
 - Ciocia Mara! - wykrzyknęła dziewczyna, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.
 - Bardzo dobrze - przyznała rzekoma Kwatka. - Chciałam porozmawiać z twoją matką i cieszę się, że mnie przedstawiłaś.
 Jaina spoważniała.
 - Zanim zapytasz, co się stało - zaczęła - wolę sama powiedzieć. Znalazłam się zbyt blisko okrętu, który eksplodował w przestworzach. Za kilka tygodni powinnam już wszystko widzieć ostro i wyraźnie. Nie wiem, co za fantastyczne szaty masz na sobie, ale postaram się nie zwracać na nie uwagi.
 Mara się roześmiała.
 Jaina zdjęła kaptur. Jej głowę porastał krótki brązowy meszek.
 - Odkazanie - oznajmiła zwięźle. - Mieszkańcy kolonii Gateway uważają to za coś w rodzaju medalu za odwagę.
 Mara przeniosła spojrzenie na turban Leii.
 - Czy to było konieczne? - zapytała.
 - Może i nie - odparła Leia. - Jednak koloniści docenili ten gest. Wielu uchodźców zapomniało, że przed dwudziestu pięciu laty mój świat także zniknął z mapy galaktyki. Podoba im się ten turban. Przypomina, że ja też jestem uciekinierką. Mamy jednak pewne problemy z Rynami.
 - Co robią?
 - Oni nic. Problem w tym, jak traktują ich inne istoty. Kiedy dorastały, wmawiano im, że Rynowie to porywacze dzieci i notoryczni złodzieje. Gardzą nimi. Zdumiewające, ale sami Rynowie reagują na to ze stoicką obojętnością.
 - Hmm - mruknęła Mara. Cały czas zastanawiała się, jak rozwiązać inny problem.
 - Chciałabym porozmawiać z twoim doktorem Cree'Arem - powiedziała w końcu. - Nie wiem jednak, jak to załatwić. Nie znasz go, więc nie mogę prosić, żebyś mnie przedstawiła.
 - Pójdę z tobą - zaproponowała Jaina. - Ja także go nie znam, ale w tej chwili i tak nie mam nic ważnego do roboty.
 - A jak z twoim wzrokiem? - zaniepokoiła się Mara. - Widzisz wystarczająco dobrze? Jeżeli ten Durosjanin ma jakieś powiązania z Rhommamoolem, może nie powitać nas z otwartymi ramionami. Pamiętaj, jak nas tam przyjęto?
 Jaina parsknęła śmiechem.
 - Nie martw się o mnie, ciociu - rzekła. - Czego nie zobaczę, wyczuję za pośrednictwem Mocy. I nie mów mi, że nie wykorzystam jej w słusznej sprawie.

- W słusznej - mruknęła Mara. - I bardzo mi się przydasz. Prawdziwa Kwatka nie wyrusza w podróż, nie zabierając przynajmniej jednego służącego czy lokaja. Mam na pokładzie „Cienia” jakieś stroje, żebyś mogła się przebrać. - Spojrzała na Leię. - Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że pożyczę twoją asystentkę na kilka godzin?
 Leia machnęła ręką.
 - I tak nie przybiega na każde wezwanie, Maro - powiedziała. - Dorastające dzieci, nawet gdy wracają do domu, właściwie przestają być twoimi dziećmi.

Budynek ośrodka badań naukowych wyglądał całkiem okazale. W pomieszczeniach stały rzędy stojaków z aparaturą naukową i urządzeniami wyprodukowanymi na planetach Jądra galaktyki. Sterylnie białe ściany wydawały się idealnie gładkie, a sufity pokryte tłumiącymi dźwięk wykładzinami. Parter budynku podzielono na sześć identycznych sal, w których mieściły się laboratoria i pracownie naukowców. Dzięki staraniom SENKI wyglądały tak samo jak na jakiegokolwiek innej planecie. W każdym pomieszczeniu coś mruczało i brzęczało, jakby na dowód, że naukowcy prowadzą ważne eksperymenty.

Mara znalazła laboratorium doktora Cree'Ara i weszła do środka. Na długiej ławie siedziało dwóch asystentów. Jeden obsługiwał urządzenie przypominające titrator, wyposażone w matryce z sześcioma rzędami po dziesięć przezroczystych probówek w każdym rzędzie. Drugi zanurzał pipetę w szklanej kolbie z lepkim płynem i odmierzał identyczne porcje do płaskich szklanych pojemników.

Mara odwróciła się i gestem nakazała Jainie, żeby szła przed nią.
 - Dzień dobry - odezwała się władcym tonem dziewczyna. - Gdzie możemy znaleźć doktora Cree'Ara?

Technik siedzący najbliżej drzwi - muskularny rudowłosy młody mężczyzna - odstawił na blat stołu kolbę z półprzezroczystym płynem.

- Wyszedł - odparł zwięźle. - Mówił, że idzie do sektora siódmego.

Mara przyjrzała się rozstawionym aparatom i przyrządom. Jeżeli wierzyć informacjom, jakie zdobyła, doktor Cree'Ar hodował pierwotniaki, które miały zmienić skażoną glebę w grunt orny. Podobno z upodobaniem żywiły się rozpuszczonymi toksynami, zabójczymi dla wszystkich stworzeń z wyjątkiem żuków fefze.

- Nic nie szkodzi - odparła, kładąc dłoń na ramieniu Jainy.

Dziewczyna miała na sobie ubiór służącej, uszyty z czegoś w rodzaju wykładziny dywanowej. Ukryła złożone dłonie w długich, fałdzistych rękawach szaty. Jej ciotka nie zapomiała nawet o plecionej peruce.

- Zaczekamy - oznajmiła wyniośle rzekoma baronowa.

Dwie godziny później Mara oparła się o blat laboratoryjnego stołu. Obrzuciła władcym spojrzeniem jednego z pomagających doktorowi Cree'Arowi laborantów, pośród których przeważali ludzie i Sullustanie. W przeciwieństwie do Leii, miała mnóstwo czasu. Mogła i chciała poświęcić go na poszukiwania słynnego naukowca. Zapewniła jego pomocników, że jeżeli zajdzie potrzeba, będzie czekała do skutku, nawet do wieczora. Od czasu do czasu, udając zaciekawienie, wstawała i spacerowała po labo-

ratorium. Unosiła kolby, oglądała żele z kulturami bakterii, czytała napisy na etykietach, zadawała pytania i przyprowadzała laborantów o rozstrój nerwowy.

W końcu jeden z nich, który pracowicie podstawił otwory cienkich rurek dokładnie pod wyloty dysz, nie wytrzymał. Zakolysał się na wysokim stołku, podniósł głowę i odgarnął z czoła kosmyk ciemnych włosów.

- Pani baronowo - odezwał się udreńczonym głosem. - Uważam, że powinny panie udać się na koniec korytarza po aparaty do oddychania, a potem zejść do tunelu i osobiście sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu bagien nie uda się wam spotkać doktora Cree'Ar.

Przynajmniej zaczyna się coś dziać, pomyślała Mara.

- Widzi pan, że nie jestem odpowiednio ubrana do spacerowania po bagnach - burknęła.

- Grunt wokół bagien jest zupełnie suchy - zapewnił laborant. - Jestem pewien, że doktor chętnie przerwie pracę, żeby porozmawiać z tak znakomitym gościem.

Mara uniosła brew.

- Jeżeli wróci podczas naszej nieobecności - rzekła stanowczo - proszę skierować go za mną... powiedział pan, do tunelu?

- Po schodach w dół i w prawo - wyjaśnił z ożywieniem młody mężczyzna. - Tylko proszę nie zapomnieć o aparatach do oddychania. Magazyn jest na samym końcu korytarza. Ostatnie drzwi po prawej stronie. Na zewnątrz budynku zobaczy pani zejście do tunelu. Północna brama kolonii jest bardzo oddalona, więc pani administrator pozwoliła nam wydrążyć własny tunel, żebyśmy mogli szybciej docierać na miejsce pracy. Na szczęście zajęło nam to tylko kilka dni. Okazało się, że skały pod gruntem są stosunkowo miękkie.

- Bardzo dobrze. - Mara nadała głosowi ton znużenia i irytacji. - Emlee, idziemy.

Jaina kiwnęła głową.

- Jak pani sobie życzy, baronowo.

Mara znalazła magazyn dokładnie tam, gdzie wskazywał udreńczony laborant. Zabrała dwa aparaty do oddychania i opuściła ośrodek badań naukowych. Wręczyła jeden Jainie i skierowały się do wejścia tunelu. Z początku opadał dość stromo, ale potem zaczął biec prawie poziomo. Panował tu półmrok, rozjaśniany przez umieszczone w nieregularnych odstępach w sklepieniu niewielkie pręty jarzeniowe.

Mara zwolniła. Odwróciła głowę w stronę Jainy i mruknęła:

- Jak sobie radzisz w tych ciemnościach?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Przyzwyczałam się do odnajdywania drogi nawet w takim półmroku.

- W porządku - rzekła Mara. - A więc udawajmy dalej. Pamiętaj, nie wypadaj ze swojej roli, dopóki nie będziesz absolutnie pewna, że przestałam odgrywać baronową.

- Jasne - zapewniła Jaina.

Mara przyspieszyła. Szła pierwsza. Tunel łagodnie zakręcał w prawo. Prawdopodobnie wiódł pod skalistymi wzgórzami ku mokradłom, które widziała na krótko przed łądowaniem.

- Zaczekaj - mruknęła w pewnej chwili.

Cofnęła się kawalek i doszła do wniosku, że echo kroków brzmi w tym miejscu inaczej niż poprzednio.

W najciemniejszym odcinku tunelu, jednakowo odległym od najbliższych prętów jarzeniowych, ktoś wykuł wąski boczny korytarz. Wejście zasłaniała kotara z grubej, sztywnej tkaniny przypominającej barwą i wzorem powierzchnię skalnej ściany.

- No właśnie - westchnęła Mara i wróciła do odgrywanej roli. Odsunęła na bok tkaninę i zobaczyła słaby blask jarzeniowego pręta, oświetlającego odnogę tunelu. - Tędy, jak mi się wydaje.

Przeszła kilka metrów i stwierdziła, że korytarz skręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w lewo. Za zakrętem, w dolnej komorze, obok laboratoryjnego stołu stał wysoki, szczupły Durosjanin. Trzymał dwie kolby wypełnione nieprzezroczystą brązową cieczą.

- Doktor Cree'Ar? - Mara uniosła dumnie podbródek. - Niełatwo pana odnaleźć. Mam nadzieję, że nie odbyliśmy tej wyprawy na próżno.

Na widok kobiet durosjański naukowiec odstawił obie kolby.

- Prroszę pani - odezwał się surowo. - To moje prrrywatne laborrrratorium. Prroszę powiedzieć, co panią tu sprrrrowadza.

Mara zauważyła, że ściany, sklepienia i dno komory są wykute w surowej skale i niczym nie upiększone. Pod przeciwległą ścianą leżała zwykła mata do spania, a obok niej, na stojaku, stało kilka... czyżby to były pojemniki z odczynnikami? Zamontowane w nich zawory wyglądały, jakby były pochodzenia organicznego. Na bocznej ścianie wisiała półka, a stojący na niej odkryty pojemnik z roztworem wodnym wyglądał zupełnie jak inkubator - tym bardziej że jego zawartość podgrzewał mały płomień. Pomieszczenie przypominało zaplecze laboratorium.

Jaina przestąpiła z nogi na nogę. Trzymając ręce ukryte w fałdzistych rękawach, podeszła bliżej do naukowca.

- Panie doktorze - odezwała się - zechce pan poznać baronową Muehling z planety Kuat. Przybywa do pana w bardzo ważnej sprawie.

Mara podeszła do stojącego pod ścianą stołka, który wyglądał, jakby sporządzono go z okratowanego pojemnika. Nie pytając o pozwolenie, usiadła.

Doktor Cree'Ar stał jeszcze chwilę nieruchomo, ale w końcu podszedł do Mary. Wydawało się, że jego czerwone oczy płoną własnym blaskiem.

- Czemu zawdzięczam zaszczyt pani wizyty, baronowo? - zapytał.

- Przebywając na wielu innych światach - zaczęła Mara - wiele słyszałam o pańskim poświęceniu, pracowitości i sukcesach. Sama pani administrator Leia Organa Solo nazwała pana cudotwórcą.

Naukowiec pochylił głowę i lekko uniół ręce w geście skromności.

- Odnoszę wrażenie - ciągnęła rzekoma baronowa - że planeta Duro przekształciła się w śmietnisko, gdzie wyrzuca się istoty innych ras. Wszystko wskazuje, że już niedługo taki sam los może spotkać moich ziomków. Osoby, z którymi rozmawiałam w Bburru, twierdzą, że jest pan wiernym wyznawcą pewnej osoby. Osoba ta, działając w imieniu istot pańskiej rasy, stara się robić wszystko, żeby ulżyć ich doli.

Wiedziała, że zazwyczaj osiągała lepsze rezultaty w roli baronowej schlebając i chwając niż uciekając się do pogróżek.

Teraz więc zasypała doktora lawiną coraz bardziej wyszukanych komplementów.

Odkąd weszły do jaskini, Jaina wyczuwała coś dziwnego. Nigdy przedtem nie widziała Durosjanina - szpitalny transportowiec, którym przyleciała, nie wylądował w żadnym orbitalnym mieście, bo skierowano go bezpośrednio na planetę Duro - wyczuwała jednak w naukowcu coś fałszywego.

Z wahaniem uwolniła myśli i musnęła go energią Mocy. Czy naprawdę groziło im coś z jego strony?

Nie wyczuła nic. Nie potrafiła nawet go odnaleźć.

Zmusiła się, by nie patrzeć na Cree'Arę. Nigdy nie słyszała, żeby Yuuzhanie udawali Durosjan. Jeżeli jednak umieli hodować stworzenia, dzięki którym nie można było odróżnić ich od ludzi, wygenerowanie maski Durosjanina nie powinno nastęczać większych trudności. Jaina pomyślała, że istnieje tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Musiała go zdemaskować.

Ale przedtem należało rozwiązać pewien problem. Maskujące stworzenia pobudzało się do działania, dotykając nosa, a Durosjanie nosów nie mieli.

I tak zresztą widziała twarz naukowca jako rozmytą jaśniejszą plamę. Nie wiedząc, czy postępuje słusznie, skierowała ku niej myślowy palec Mocy. Musnęła miejsce na twarzy, gdzie znajdowałby się nos, gdyby Cree'Ar był istotą ludzką.

Nic się nie wydarzyło. Myśli dziewczyny galopowały jak szalone. Co robi, jeżeli zostanie zmuszona do wyciągnięcia świetlnego miecza? Prawie nie widziała potencjalnego przeciwnika!

Muskała rozmytą plamę coraz częściej i energiczniej, ale od niechcenia, jak muskalby twarz nerfopas, opędzający się przed latokomarami.

Pamiętała swoje ćwiczenia w walce ze zdalniakami. Bywało, że miała wtedy związane oczy. Zdalniaki także nie ukazywały się w polu Mocy - całkiem jak istoty rasy Yuuzhan Vong.

Jeszcze bardziej zwiększyła siłę i częstotliwość muśnięć.

Mara siedziała sztywno wyprostowana na prymitywnym krześle doktora Cree'Ar niczym na wygodnym królewskim tronie. Durosjański naukowiec w końcu zgodził się spełnić jej prośbę i wyjaśnić niektóre zawiłości swojej filozofii.

- ...poderwać zaufanie do lokalnej władzy, a potem... aj!

Zakrył twarz długimi kościstymi rękami, ale Mara i tak zauważyła coś przerażającego znajomego. Na twarzy naukowca pojawiła się dziwna ciemna fałda, jakby szara skóra zaczęła się odklejać. Pod fałdą ukazała się blada twarz, zeszcpecona falistymi liniami czarnego tatuażu.

Mara zerwała się na równe nogi. Spomiędzy fałd jasnoniebieskiej tuniki wyciągnęła świetlny miecz i jednym płynnym ruchem wysunęła buczące ostrze. Jaina uskokczyła do tyłu i z rękawa ciemnego fałdzistego płaszcza wydobyla swoją broń.

Tymczasem niebieskoszara skóra naukowca stopniowo spęzła z jego twarzy. Chwilę później ukazało się kościste oblicze z błękitnymi workami pod oczami. Zupełnie jakby wierzchnia warstwa zmieniła się w galaretę, maska spłynęła z twarzy i ukryła się pod kołnierzem laboratoryjnego fartucha.

Cree'Ar nie wyglądał na zaskoczonego. Roześmiał się, ale nie uciekał. O ile Mara mogła się zorientować, nie był uzbrojony.

- Nie ruszaj się - ostrzegła go. - Nie masz zbroi. Jeden ruch i po tobie.

Naukowiec przestał się śmiać i pogardliwie wykrzywił blade wargi.

- Mara Jade Skywalker, prawda? - wysyczał. - Dlaczego jeszcze żyjesz?

Zaskoczona kobieta nie wiedziała, co powiedzieć.

- Spotkaliśmy się już kiedyś? - zapytała w końcu.

Yuuzhanin dumnie uniósł szkaradną głowę.

- Nic dziwnego, że Nowa Republika traci władzę nad galaktyką. Nawet jej tak zwani bohaterowie grzeszą głupotą. Tak, już kiedyś się spotkaliśmy. Omal cię wtedy nie zabiłem.

Jaina podeszła krok bliżej.

- Znam ten głos - mruknęła.

- Powinnaś - burknęła obca istota. - Pozwól, że ci podpowiem...

- Rhommamool. - Jaina opuściła klingę miecza. - Nazywasz się Nom Anor! Oszukałeś ludzi, którzy sądzili, że jesteś człowiekiem, a potem wywiodłeś ich w pole, aby uwierzyli, że zostali zabity.

Yuuzhanin przekrzywił głowę.

- Jeszcze nie jesteś godna - oznajmił. - Ale już niewiele brakuje.

Mara ścisnęła mocniej rękojeść świetlnego miecza. Przypomniała sobie spotkanie z Nomem Anorem na Monorze Dwa. Mieszkający tam Sunezjanie zaprosili kilkuset dyplomatów z różnych planet na uroczystą intronizację kapłana-księcia Agaposa Dziesiątego. Słyszana z okrucieństwa grupa zamachowców zagroziła, że zastrzelili mało ważnego dyplomata z Coruscant, więc Mara zgodziła się towarzyszyć mu w charakterze osobistej strażniczki. Drugim powodem, dla którego poleciała, była chęć zobaczenia roziskrzanej, przesyconej mgłą cirrig atmosfery planety.

- Nosileś wtedy czarną maskę i czarny płaszcz - stwierdziła. - Co się stało z twoim niewolnikiem, taką małą, podobną do myszy istotą?

Yuuzhanin obnażył zęby w pogardliwym uśmiechu.

- Chodzi ci o Shoka Tinoktina? - zapytał. - Został sownie wynagrodzony za wierną służbę.

Mara powiodła spojrzeniem po laboratorium. Nawet gdyby Nom Anor nie ukrył starannie biologicznej broni, nie wiedziałaby, czego i gdzie szukać. A poza tym... bardzo chciała ująć go żywcem. Uwielbiała rozdeptywać nadętych ważniaków, zbijać łajdaków z tropu i wyszukiwać ich słabości.

- Więc trzeciorzędny podżegacz i intrygant znów zamierza knuć trzeciorzędne intrygi - zadrwiła, unosząc brew i patrząc z ironią na Yuuzhanina.

- Trzeciorzędny? - Nom Anor wyciągnął rękę w kierunku laboratoryjnego stołu.

- Stój! - ostrzegła go Mara. - Jeżeli po to sięgniesz, jesteś trupem.

Palce istoty drgnęły, jakby same chciały chwycić kolbę, odstawioną na stół, kiedy Mara i Jaina weszły do komory.

- Nie zdążysz. Wcześniej rozbiję tę kolbę. Jest wypełniona zarodnikami coomb, Jade Skywalker. Tymi samymi, którymi wysmarowałem setki masek do oddychania, zanim zaczęła się tamta ceremonia.

Mara poczuła, że jej żołądek kurczy się z przerażenia.

- Nie wszyscy zachorowali od razu - przyznała. Ona sama zapadła na zdrowiu dopiero dwa miesiące później. - Epidemiolodzy w końcu stwierdzili, że chodzi o zbiorowe zakażenie. Jednak później zorientowano się, że uroczysta intronizacja była jedyną imprezą, w której uczestniczyli wszyscy zarażeni.

Nom Anor się roześmiał.

- Chodziło o to, żeby doszli do takiego wniosku - powiedział. - Zarodniki coomb miały otoczki, które rozpuszczały się z różną szybkością w organizmach różnych istot. To twój najgorszy koszmar, Jedi. - Jego palce znów drgnęły. - Nawrót choroby. Osłabienie. Śmierć. O wiele większe stężenie niż poprzednio. A tamto zabiło wszystkie inne istoty. Wszystkich ras.

Dopiero teraz Mara uświadomiła sobie w całej pełni, jak straszliwe zagraża jej niebezpieczeństwo. Gdyby teraz zachorowała, umarłoby również jej dziecko. Może już teraz było skazane na śmierć.

Nom Anor mógł zarażić także Jainę. Dziewczyna miała wprawdzie do dyspozycji zmysły inne niż wzrok, ale nie mogła marzyć o walce wręcz z kimś, kogo nie wyczuwała za pośrednictwem Mocy... i kto posługiwał się bronią w postaci roztworu brązowej cieczy.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie! - krzyknął Anor. - Dlaczego wciąż jeszcze żyjesz?

- Jesteś ostatnią osobą, której bym to wyznała - warknęła Mara. Wiedziała, że Vergere gdzieś się ukrywa. - Cofnij się, Jaino.

Skoczyła i machnęła klingą miecza, jakby mierzyła w nogi Yuuzhanina. Tylko zamarkowała cios, ale to wystarczyło. Ku jej zdumieniu Nom Anor, zamiast odpowiedzieć na atak, odwrócił się i rzucił do ucieczki. Nie pobiegł jednak w kierunku korytarza, którym przybyły rzekome Kuatki. Ominął laboratoryjny stół i zanurkował w otwór niewielkich drzwi, wykutych w przeciwległej ścianie.

Obie kolby zostawił na stole.

W pierwszej chwili Mara chciała go ścigać. To pułapka! - krzyknęło coś w jej mózgu. - Nie biegnij za nim!

Później odezwało się poczucie zagrożenia; głośno niczym syrena alarmowa. Mara zawahała się, niepewna, co robić. Jaina skoczyła naprzód, omijając stół. Jade Skywalker musiała podjąć słuszną decyzję. W grę wchodziło życie trzech osób, z których tylko jedna była zdolna do walki.

- Niech to licho - mruknęła. Nachyliła się i oderwała obcasy fantastycznych butów. - Jaino, tędy! - krzyknęła. Odwróciła się w stronę wylotu korytarza, którym dotarły do jaskini.

Nagle nad głowami obu kobiet przeleciały trzy retorty. Świsnęły niczym rykoszetujące pociski. Zaskoczona Mara spojrzała w górę. W kamiennym sklepieniu pojawiła się szczelina. Rozszerzała się, rozgałęziała, łączyła z sąsiednimi.

Mara machnęła ręką, dając znak Jainie, żeby biegła do tunelu.

- Szybciej! - krzyknęła.

Obok niej spadł na kamienne dno komory całkiem duży okrusz skały.

Jaina dotarła do końca bocznego korytarza i zanurkowała do tunelu. Wszystko wokół nich - sklepienie, ściany - kruszyło się i pękało. Mara popchnęła lekko Jainę w kierunku wlotu tunelu. Sięgnęła w głąb siebie i zaczęła porcję energii Mocy. Postarała się odpychać wszystkie spadające skalne bryły. Kilkaście innych przecięła ostrzem miecza.

Kamienie spadały jednak niczym ulewa. Skalny pył przesłonił blask jarzeniowych prętów. Mara zrozumiała, że nie zdąży. Przewróciła Jainę na dno tunelu, upadła na nią i osłoniła plecy odpychającą otoczką Mocy. Zachowała tyle przytomności umysłu, żeby zgasić klingę broni.

Zapadł półmrok. Zewsząd dobiegał pomruk podobny do stłumionego grzmotu odległego wodospadu. Ciągnął się kilka trwających całą wieczność sekund.

Jaina wygramoliła się spod Mary. Ona także zgasiła ostrze miecza. W nieprzeniknionych ciemnościach Mara nie widziała, co robi dziewczyna. W pewnej chwili usłyszała cichy jęk.

- Trafił cię w głowę? - zapytała współczująco.

- Niezbyt mocno. - Na chwilę zapadła cisza. - Utrzymujesz je z daleka od nas dzięki Mocy?

- Nie. Siłą bujnej wyobraźni - odparła cierpko Mara, ale zaraz w jej głosie zabrzmiały cieplejsze tony. - Nadal masz te maski do oddychania?

- Tak. Proszę.

- Na razie trzymaj i moją.

Uklękła i oparła dłonie o kamienne dno tunelu. Skupiła się i postarała odepchnąć skały siłą Mocy. Gdyby ją i Jainę zasypał grad kamieni, przynajmniej kilka mniejszych powinno spaść, albo stoczyć się na bok.

Tymczasem nie poruszył się ani jeden.

- Idę o zakład dziesięć do jednego - burknęła. - Sprowadził tu, na Duro, własne przeżuwacze skały. Wydrążył prywatny boczny korytarz i na wszelki wypadek postawił pułapki, gdyby ścigali go funkcjonariusze służb bezpieczeństwa Organy Solo.

- Wycofałaś się ze względu na mnie, prawda? - zapytała z wyrzutem Jaina. - Mogłyśmy go złapać. Zabiłybyśmy go, zanim by zdążył uciec z kryjówek.

- Dopadnę gada, nawet gdyby miała to być moja ostatnia czynność w życiu - obiecała kobieta.

Nie czuła tak silnej nienawiści do nikogo, odkąd...

Cóż, odkąd przestała darzyć nienawiścią Luke'a Skywalkera. Kiedyś. W innym życiu.

Pomyślała o nim. Skupiła się i wyczuła jego niepokój. Nic mi się nie stało, zapewniła go w myśli. Na razie. Nie przerywaj tego, czym zajmujesz się w tej chwili.

Wiedziała, że mąż nie usłyszy jej słów. Odbierze uczucia... ale zorientuje się, co chciała mu powiedzieć.

- Istnieje szansa, że tunel został zasypany na krótszym odcinku tam, dokąd uciekł - odezwała się Jaina.

- Racja - przyznała Mara. - I tam, dokąd chciał, żebyśmy go ścigali.

Wszystkie instynkty ostrzegały ją jednak przed niebezpieczeństwem. Mara pomyślała, że zanim pozwoli temu sithowemu nasieniu narazić jej dziecko na działanie śmiertelnych zarodników, musi stawić czoło setkom innych przerażających zagrożeń.

Może tym razem w kolbie znajdowało się coś innego? Mara wiedziała jednak, że chępliwe oświadczenie Noma Anora było prawdziwe. To on zatruł jej organizm.

Te same instynkty upewniały ją również wyraźnie, że w głębi jej ciała nie kielkowała żadna biologiczna broń Yuuzhan. Rozwijało się tam normalne, bezbronne dziecko. Skywalkerzátka, jak żartobliwie nazwała je pełna optymizmu Leia, wkrótce po tym, jak Mara zawarła związek z Lukiem.

Sięgnęła po komunikator i pstryknęła przełącznikiem, chociaż nie miała wielkiej nadziei, że ktoś odbierze.

- Leio? Jak mnie słyszysz?

Cisza.

- Halo, Gateway! Zagrożenie życia. Czy ktokolwiek mnie słyszy?

Nic. Warstwa skał była zbyt gruba. Pochłaniała energię sygnałów.

- Wyczuwam w powietrzu jakąś dziwną woń, ciociu - odezwała się nagle Jaina.

- Włóż maskę. - Czyżby kolba z zarodnikami coomb spadła z ławy i roztrzaskała się o kamienne dno jaskini? - Przez bąbel Mocy nie przedostają się drobiny kurzu. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czy nie przeniknie coś innego, ale z pewnością nie zdolają przedrzeć się żadne mikroorganizmy. - Urwała, żeby się zastanowić. - Myślę, że powinniśmy połączyć siły - podjęła w końcu. - Będziemy wtedy mogły pchnąć bąbel Mocy wyżej w kierunku, jakim chcemy. Postaram się, żeby głązy ześlizgiwały się po tylnej powierzchni bąbla. Muszę tylko unosić skały przed nami na tyle szybko, żeby wciskać bąbel w wolne miejsca, zanim sklepienie osunie się jeszcze niżej. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Myślisz, że się uda? - zapytała Jaina sceptycznie.

- Bardzo chciałabym usłyszeć, że masz lepszy pomysł.

Zapadło milczenie. Wreszcie Jaina zapytała ponuro:

- Czy możesz wyobrazić sobie... pokazać mi w myśli, jak właściwie chcesz tego dokonać?

- Postaram się - obiecała Mara.

Wiedziała, że jeżeli użyje wyobraźni w niewłaściwy sposób, zapewniający bezpieczeństwo bąbel Mocy ulegnie spłaszczeniu. Musiała dźwignąć jednocześnie prawie sto skalnych brył, przesunąć je po górnej powierzchni bąbla i pozostawić wszystkie za plecami. Później następne sto i następne, i następne... Cała operacja mogła zająć wiele godzin.

- Otwórz umysł, Jaino - rzekła. - Tak samo jak podczas ćwiczeń.

Cieszyła się, że nie zapomniały zabrać masek do oddychania.

ROZDZIAŁ

18

Cały czas w masce Kubaza, stanął jak wryty na skrzyżowaniu korytarzy wysmukłej wieży władz miasta Bburuu, dokąd odprowadzono Jacena. Zorientował się, że jego żonę zaskoczyło coś niezwykłego. Poczł przyływ adrenaliny. Jeszcze raz musiał walczyć z sobą, żeby nie zostawić wszystkiego i nie pobiec do doku Marze na ratunek. Zamiast tego skupił się, spojrzł w głąb siebie i zaczął nasłuchiwać.

Nie mógł ogarnąć szczegółów. Zauważył tylko, że niebawem podniecenie żony ustąpiło miejsca spokojowi i czujności, jakie zawsze zachowywała w obliczu niebezpieczeństwa. Nie usłyszał ani nie zrozumiał nic więcej.

U jego boku stanął Anakin.

- Co się stało? - zapytał, podniecony i zaniepokojony.

- To twoja ciotka - odparł Skywalker.

Zamknął oczy i aby się jak najlepiej zorientować w sytuacji, skupił się jeszcze bardziej. Wyczuł niebezpieczeństwo i gniew, a chwilę później konieczność podjęcia bardzo trudnej decyzji... tym trudniejszej, że nieodłącznie związanej z rezygnacją z własnej dumy. Mara starała się mu wytłumaczyć, że czasami trudniej jest zdecydować się na ucieczkę niż stawić czoło przeciwnikowi i podjąć walkę. Jakby sam tego nie wiedział...

Nagle odebrał uspokajający impuls, skierowany bezpośrednio do niego. Niezrażona niepowodzeniem żona wyczerpała wszystkie siły. Luke doznał wrażenia nieprzeniknionych ciemności i tysięcy kamieni, które trzeba mozolnie odrzucić w inne miejsce.

Uformował w myślach pytanie. Minęłoby wiele godzin, zanim zdążyłby na ratunek. Oczywiście gdyby Mara tego chciała, bez wahania pobieglby do swojego X-skrzydłowca.

Zaledwie jednak zdążył zadać pytanie, wyczuł obecność Jainy u boku żony. Mara mogła liczyć na pomoc dziewczyny, była pewna, że poradzi sobie i ocali swoje i jej życie.

I życie jego dziecka!

Wyczuł, że jest mu wdzięczna. Poczł się pokrzepiony na duchu jak chyba nigdy przedtem. Po chwili wahania, odwrócił się i podążył w ślad za Anakinem wijącymi się korytarzami jedenastego piętra budynku administracyjnego. Rozmyślając o żonie, prze-

słał jej część swojej siły, miłości i opanowania, jeszcze bardziej umacniając duchową więź, jaka ich łączyła. Nie miał pojęcia, czy dzięki temu Mara zyska więcej energii; wyczuwał jednak, że żona pomaga sobie Mocą. Musiała korzystać ze wszystkiego, czym dysponowała Jaina, a i to mogło nie wystarczyć. Luke cieszył się, że próbował pomóc, chociaż nie wiedział, czy odniesie to pożądaną skutec. Mógł tylko pokładać nadzieję w Marze. ..i w samej Moc.

Zakończenie rozmowy z wicedyrektorem Spółki CorDuro nie zajęło mu wiele czasu. Durosjanin nie miał nic do sprzedania. Jego odmowa potwierdziła podejrzenia Skywalkera. Wyglądało, że niektórzy Durosianie gromadzili zapasy, licząc na to, że jedno z ich orbitalnych miast opuści system planety Duro.

Luke uświadamiał sobie, że decydując się na ten krok, władcy miasta zdradzą interesy wszystkich pozostałych. Skażą ich mieszkańców na niewolę lub śmierć z rąk Yuuzhan. Najgorszy los czekał uciekinierów z innych światów, którzy starali się rozpocząć nowe życie na powierzchni Duro. Posługując się komunikatorem, mistrz Jedi polecił astromechanicznemu robotowi, żeby podłączył się do gniazda systemu informatycznego hotelowego apartamentu. Artoo miał wertować archiwa Spółki CorDuro, szukając czegokolwiek, co świadczyłoby o kontaktach Brygady Pokoju ze Spółką CorDuro albo nawet SENKĄ.

Nie zapominał o ostrzeżeniu, jakiego udzielił mu Talon Karrde. Były szef przemysłników podejrzewał, że szpiedzy Yuuzhan przeniknęli do placówki Wywiadu, a może nawet do samego Komitetu Doradców Nowej Republiki. Może także prowadzili działalność w samej SENCE? Kiedy mistrz Jedi brał udział w ostatnim zebraniu, nie miał niestety okazji ani czasu, aby ocenić wszystkich radnych i senatorów.

Zerknął na miniaturowy ekran, wtopiony w wewnętrzną powierzchnię gogli. Domyślał się, że jeśli Artoo-Detoo coś znajdzie, wyśle alarmowy sygnał, a po nim wiadomość, powtarzaną tak długo, dopóki Luke nie powiadomi go przez komunikator, że zapoznał się z jej treścią.

Najpierw jednak musiał odnaleźć Jacena. Widząc go w gabinecie Braruna, uświadomił sobie, że młody Jedi stanął na rozdrożu swojego życia. Wyrzekanie się Mocy mogło nie być tak niebezpieczne jak przechodzenie na ciemną stronę, ale nie o taką przyszłość zabiegał dla starszego siostrzeńca.

Zapadał wieczór i widoczne przez obserwacyjne bąble jasne światła miasta Bburru powoli gasły. Luke i Anakin skęcili za róg korytarza i zobaczyli dwóch wysokich Durosjan w mundurach Spółki CorDuro. Uzbrojeni strażnicy stali po obu stronach nieoznakowanych drzwi.

- Zajmij się bliższym - mruknął Luke.

Łagodnie, niemal czule nakłonił stojącego dalej funkcjonariusza do zapadnięcia w głęboki sen. Durosjanin oparł się plecami o ścianę wyłożoną mozaiką różnobarwnych synplastowych płytek. Drugi strażnik osunął się na posadzkę.

- Dobrze - zwrócił się Luke do Anakina. - Zostań na korytarzu. Jeżeli ktoś się pokaże, uśpij go jak strażników. Nie powinno mi to zająć wiele czasu.

Eskortujący Jacena strażnicy zostawili go w sypialni z dużym, okrągłym transparentnym oknem, a sami stanęli na warcie w korytarzu, po obu stronach drzwi wejściowych. Chłopiec podszedł do okna i obserwował, jak bledną silne światła, których blask zalewał dotąd centralny plac miasta Bburru. Plac był tak przestronny, jakby znajdował się na powierzchni planety, a nie w orbitalnym mieście. Z obrzeży strzelały w górę ukośne wsporniki, które niknęły pod ledwo widocznym jasnoniebieskim sztucznym sklepieniem. Podobnie jak wzdłuż ulic, na placu stały w wielkich pojemnikach wysokie drzewa o gałęziach oplecionych pędami winorośli. W niczym nie przypominały porastającej powierzchnię Yavina Cztery bujnej dżungli, ale Jacen zaczynał rozumieć, dlaczego Durosianie woleli żyć w orbitalnym mieście niż na powierzchni rodzinnego świata.

Kiedy zapadł półmrok, odszedł od okna i usiadł na łóżku. Zastanawiał się, czy postąpił słusznie. Wyglądało na to, że Brarun nie spieszy się z zakończeniem negocjacji w sprawie wysokości podatku. Gdy tak rozmyślał, uświadomił sobie, że wiodące na korytarz drzwi bezszelestnie się otworzyły.

Wsunął dłoń pod poduszkę i chwycił rękojeść świetlnego miecza. W drzwiach stała jakaś postać. Jacen zauważył krótką trąbę i gogle Kubaza. Chwilę później drzwi równie cicho się zamknęły.

- Jacenie, to ja - usłyszał cichy szept.

Znał ten głos. Zorientowałby się wcześniej, kim jest gość, gdyby otworzył umysł na przepływ Mocy. Wypuścił rękojeść miecza, ale nie zapalił światła w sypialni.

- Mistrzu Skywalker, w tym pokoju mogą znajdować się urządzenia podsłuchowe...

- W tej chwili nie ma. - Poruszając się cicho jak duch, Luke podszedł bliżej i usiadł w nogach łóżka. Ściągnął z twarzy maskę i gogle i położył obok siebie. - Co właściwie starasz się osiągnąć, Jacenie? - zapytał. - Jak mogę ci pomóc?

Jego siostrzeniec nie potrzebował większej zachęty. Opowiedział wujowi o wszystkim, co widział w swojej wizji. Starał się nie pominąć żadnego szczegółu. Kiedy doszedł do obrazu Luke'a jako ubranego w lśniący biały płaszcz wspaniałego wojownika światłości, jego wuj skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego. Sprawiał wrażenie zmieszanego i zakłopotanego. Mimo to Jacen nie przestał opowiadać. Najlepiej zapamiętał ton głosu mistrza Skywalkera, który nakazał mu, żeby podjął wyzwanie.

- Nie zdołałem - przyznał młodzieniec. - Potknąłem się i upadłem. .. tuż obok punktu równowagi, ale na samym skraju ciemnej strony. Wszystko zaczęło się ześlizgiwać. Wszystko. - Wzdrygnął się na wspomnienie momentu, kiedy gwiazdy zaczęły ciemnieć i gasnąć. - Czy mamy prawo - podjął po chwili - posługiwać się tą przerażającą, wspaniałą jasnością... jakbyśmy byli władcami całego wszechświata?

Luke zmarszczył brwi. Na jego twarzy, ledwo widocznej w panującym półmroku, odmalował się smutek.

- Jacenie, Moc jest naszym dziedzictwem - odezwał się cicho. - Jeżeli się nią nie posłużymy, nie zdołamy w inny sposób zapewnić praworządności i pokoju. Staniemy się jeszcze jedną organizacją policyjną, jakich wiele w całej galaktyce.

- Wielu Jedi wykorzystuje tę władzę w niewłaściwy sposób - stwierdził z goryczą Jacen.

- Wielu, ale nie wszyscy - odparł łagodnie mistrz Jedi.

- Chciałbym przemówić im do rozsądku - oznajmił chłopiec. - W końcu znalazłem dość czasu, żeby wszystko przemyśleć. To, że jestem dość sławny, zawdzięczam głównie tobie, mamie, tacie, Anakinowi... i Jainie - przyznał po chwili. - Jeżeli przydarzy mi się coś złego tylko dlatego, że nie zgodziłem się wykorzystywać Mocy w agresywny sposób, inni Jedi powinni to zauważyć.

- To szlachetny cel. - Luke poruszył się niespokojnie na łóżku. - Tylko czy żeby go osiągnąć, jesteś gotów złożyć w ofierze własne życie?

Jacen już się nad tym zastanawiał.

- Tak - odparł bez wahania. - Jeżeli umrę, może moja śmierć obudzi sumienia pozostałych rycerzy Jedi. Może uświadomi im, że nie mogą szaleć po galaktyce i bezkarnie wykorzystywać całej potęgi władzy, jaką dysponują. Muszą się liczyć z konsekwencjami.

- Ale tu chodzi o ciebie - przypomniał mistrz Jedi. - Ty także musisz się liczyć z konsekwencjami. To ty będziesz cierpieć. Nie ktoś inny.

- Nic na to nie poradzę - oświadczył Jacen. - Nie zdołam. Mogę złożyć w ofierze tylko siebie.

Uświadomił sobie, że wujek Luke przeszywa go badawczym spojrzeniem.

- Nigdy nie zapominaj, że składanie życia w ofierze, kiedy nie masz wyboru, jest czymś szlachetnym, godnym i nieuniknionym. Jeżeli jednak wybierzesz śmierć, przed którą miałeś szansę uciec... no cóż, taki postępek poniża cały zakon Jedi i pomniejsza nasze osiągnięcia.

Jacen zmarszczył brwi. Nie zamierzał przeceniać swojego znaczenia ani gotowości innych Jedi do docenienia jego ofiary.

- Zaczynamy podążać niewłaściwą drogą - odezwał się w końcu. - Omijamy ustanowione przez innych prawa. A przecież to właśnie one są podstawą ładu społecznego, sprawiedliwości i pokoju. Zachowujemy się, jakbyśmy pragnęły, aby powróciły mroczne czasy, kiedy przeżyć mogli tylko najsprytniejsi albo najpodlejsi. Jeżeli do tego dopuścimy i nie zawrócimy z tej drogi, już niedługo będą nami rządzili tchórze, znęcający się nad słabszymi.

- Doskonale to ująłeś - przyznał Skywalker. - Musisz jednak być ostrożny. Jeśli uważasz, że wykorzystywanie Mocy do agresywnych celów jest tak wielkim błędem, nie możesz po prostu wyrzec się jej stosowania. Nie masz pewności, kiedy robisz to agresywnie, a kiedy nie. Jeśli dobrze cię zrozumiałem, obawiasz się nią posłużyć. Obawiasz się, że twoje postępowanie mogłoby pociągnąć za sobą niewyobrażalne skutki.

- Właśnie! - zawołał Jacen. - Dobrze mnie rozumiałeś!

- Jeżeli twoje myśli nadal będą biegły takim torem - oznajmił Luke - dojdiesz do przekonania, że błędem jest samo skupianie albo kierowanie Mocy.

- Skupianie i kierowanie?

Zdumiony Jacen wyprostował się, a jego głowa i ramiona znalazły się poza strefą ciepła łóżka. Zadygotał z zimna.

- Każdy postęp nie poparty absolutną wiarą może prowadzić na stronę strachu i ciemności - ostrzegł surowo mistrz Jedi.

Jacen powrócił myślami do chwil spędzonych w akademii Jedi -w prakseum mistrza Skywalkera, jak ją nazywano. Pamiętał wszystkie rozmowy, jakie z nim przeprowadził.

- Wyobrażalem sobie, jak straszliwe mogą być konsekwencje moich pomyłek - przyznał. - Nie rozumiesz? To właśnie dlatego miałem nadzieję, że nie zdecydujesz się powołać do życia Rady Jedi. Powinniśmy odpowiadać przed samą Mocą, a nie gronem omylnych osobników. Jeżeli rozumiemy Moc na tyle dobrze, by się nią posługiwać, powinniśmy umieć wykorzystywać ją w słusznych celach. A skoro tego nie potrafimy, wyrzeknijmy się jej stosowania.

Luke zmarszczył brwi. Był zdziwiony i zdezorientowany tym, co słyszał.

- Czy właśnie takie wnioski wyciągnąłeś ze wszystkiego, o czym mi opowiedziałeś? - zapytał.

- Nie mogłem wyciągnąć innych - mruknął młodzieniec. - Uważam, że doskonale pasują do moich przemyśleń.

- Uważaj, Jacenie, żeby nie zniszczyła cię duma - ostrzegł mistrz Jedi.

Jego siostrzeniec zacisnął dłonie na krawędzi łóżka.

- Duma? - zapytał zdziwiony. - Zawsze mówiłeś, że w dumę wbijają władza i żądza zemsty. To właśnie one wiodą nas na ciemną stronę.

- Istnieje inna, subtelniejsza duma - wyjaśnił Luke. - Uważasz, że jesteś zbyt skromny, żeby posługiwać się Mocą... mam rację?

Jacen zastanowił się głęboko. Czyżby tak wyglądała prawda?

- Może jesteś jedynym rycerzem Jedi na tyle spostrzegawczym, aby uświadomić sobie, że niewłaściwe jest wszystko, co robimy...

- Nie - przerwał mu Jacen. - Tylko ja dostałem takie ostrzeżenie. Jeżeli chodzi o ciebie, nie robisz nic złego...

- Ale skoro uważasz, że sam postępujesz źle - odparł spokojnie mistrz Skywalker - czy nie powinieneś ostrzec wszystkich innych Jedi?

Chłopiec oparł się plecami o ścianę sypialni.

- Właśnie to usiłuję ci wytłumaczyć - powiedział. - Właśnie to zamierzam zrobić. Ostrzec pozostałych.

- Nie usłuchają cię - zapewnił cicho Luke.

Jacen poczuł się, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

Siedzący obok niego cień położył mu dłoń na ramieniu.

- Zmagasz się z tym, co stanowi o istocie bycia rycerzem Jedi - stwierdził. - Musisz uważać z poświęcaniem własnych darów, jeżeli pragniesz w taki sposób pomóc innym dostrzec to, co uważasz za prawdę. To prawie niczym nie różni się od ofiar, jakie składają Yuuzhanie. Tyle że oni czczą ból, śmierć i cierpienie.

Jacen się wzdrygnął.

- Nawet nie chcę o tym myśleć - szepnął z goryczą.

- Uważasz, że twoim dziedzictwem jest wielka odpowiedzialność -ciągnął Skywalker. - Zwróciłeś moją uwagę, Jacenie, kiedy pokazałeś mi, że szkoląc naszych uczniów powinniśmy przykładać większą wagę do etycznej strony posługiwania się naszymi umiejętnościami. Dziękuję ci za to.

Jacen zamrugał i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie potrafił się powstrzymać. Co za zaszczyt! - pomyślał.

- Masz jakieś przecucia? - zapytał cicho mistrz Jedi. - Uświadamiasz sobie, dokąd jeszcze może zaprowadzić cię przeznaczenie? Wiesz przecież, że nie musisz wszystkiego spełniać jeszcze dzisiaj. Kiedy byłem w twoim wieku, nawet nie marzyłem, dokąd zawiedzie mnie moje przeznaczenie. Jak sądzisz, jaki będzie twój następny krok?

- Przypuszczam - zaczął Jacen, wciąż jeszcze zaskoczony okazywanym przez mistrza Skywalkera zaufaniem - że powinienem przekonać Durosjan o konieczności dotrzymania obietnic i popierania Nowej Republiki.

- To szlachetny zamiar - przyznał poważnie Luke. - Pamiętaj jednak, że czasami zdrajcy zdarzają się nawet pośród dostojników. Nie odróżnisz ich od innych. Nie zdolasz.

Jacen poczuł w żołądku dziwne skurcze.

- Czy właśnie z tego powodu ty i Anakin wyprawiliście się do systemu Duro? - zapytał.

Mistrz Skywalker kiwnął głową.

- Niedawno zaginęła tu uczennica Jedi - zaczął ponuro. - Od ciebie zaś dowiedziałem się, że Spółka CorDuro nie dostarcza wam tego, co powinna. W gabinecie wicedyrektora zobaczyłem dwóch osiłków, którzy wyglądali jak funkcjonariusze Brygady Pokoju. Właśnie w tej chwili Artoo-Detoo przeszukuje archiwa Spółki. Może dowiemy się czegoś ciekawego.

Coś takiego, pomyślał Jacen. Jeżeli Brarun utrzymywał kontakty z Brygadą Pokoju, nie zaproponował mu gościny na czas negocjacji, ale areszt domowy.

- Dziękuję, że mnie ostrzegłeś.

- Musisz się zdecydować - oznajmił Luke. - Musisz dokonać wyboru. Posługuj się Mocą, jak się uczyłeś... albo zostaw ją w spokoju. Nie możesz po prostu wyrzec się jej stosowania.

- Już się zdecydowałem - oznajmił młodzieniec. - Pozostawię ją w spokoju.

Na twarzy wuja zobaczył smutek i rozczarowanie. Trwało to tylko krótką chwilę, bo Jacen zabarykadował swój umysł. Musiał udowodnić - wujowi i sobie - że traktuje swoją decyzję ze śmiertelną powagą.

- Narażasz się w taki sposób na wiele niebezpieczeństw, Jacenie -ostrzegł Luke. - Ludzie będą myśleli, że poradzisz sobie z problemami, których już nie będziesz umiał rozwiązywać.

- Wystarczy, jeżeli wytłumaczysz im, dlaczego, wujku Luke.

Świadomie nie powiedział „mistrz Skywalker”. Nie mógł, jeżeli zamierzał zapomnieć o istnieniu Mocy.

- Masz komunikator? - zapytał mistrz Jedi. Jacen nie musiał posługiwać się Mocą, żeby usłyszeć niepokój i smutek w jego głosie.

Pokręcił głową.
 Luke wyciągnął z kieszeni mały przedmiot i rzucił na łóżko obok siostrzeńca.
 - Ukryj go - powiedział. - Skontaktuję się z tobą, jeżeli czegoś się dowiemy. Może Brarun nie dał się skorumpować. Jeżeli chcesz zostać tu i przemówić mu do rozumu, proszę bardzo. Pomożesz nam. Bądź jednak czujny na wypadek, gdyby trzeba było szybko się wynosić.
 - Będę gotów.
 - I odpocznij - ciągnął Skywalker. - Nie usiłuj sam zbawiać całej galaktyki. Wierz mi, to ci się nie uda. - Wstał z łóżka i uśmiechnął się smutno do siostrzeńca. - Muszę cię ostrzec jeszcze w jednej sprawie - powiedział. - Jeżeli nie zdecydujesz się robić tego, co możesz i umiesz, narazisz na niebezpieczeństwo tych, których najbardziej kochasz.
 Jacen znów się wzdrygnął.
 - Widzisz przyszłość? - zapytał.
 Luke pokręcił głową.
 - Miałem... coś w rodzaju przeczucia - wyznał cicho. - Niech Moc będzie z tobą, Jacenie.
 Nasunął maskę na głowę i włożył gogle. Zapewne coś zobaczył na ich wewnętrznym ekranie, bo wyciągnął drugi komunikator.
 - Odebrałem twoją wiadomość, Artoo - powiedział.
 - O co chodzi? - zainteresował się młodzieniec.
 - Może w końcu dowiemy się, co się naprawdę stało z zaginioną uczennicą - wyjaśnił Skywalker.
 Odwrócił się i wyszedł z sypialni. Jacen wiedział, że jego wuj zamierza uzyskać sprawiedliwość dla jednej osoby, nie dla całej galaktyki. Chodziło o jedną osobę, jedną sytuację, jeden raz. O nic więcej. Dokładnie tak, jak zawsze uczył swoich studentów.
 Młody Jedi rzucił się na łóżko. Czy rzeczywiście potrafi zapomnieć o istnieniu Mocy? Jeżeli postara się uciszyć ją w swoich myślach, poczuje się jak ślepy i głuchy. Będzie musiał tak żyć, dopóki nie umrze.
 Jaina nauczyła się żyć, prawie nic nie widząc.
 Tylko że jego siostra miała odzyskać wzrok. Przynajmniej wszystko na to wskazywało.
 Kiedy zamknął oczy, zobaczył znowu, jak galaktyka ześlizguje się w objęcia ciemności.
 Kiedy załoga „Sunuloka” przygotowywała się do odlotu z Rodii, doradcy Tsavonga Laha wywołali go z odprawy. Mistrz wojenny przeszedł do osobistego ośrodka łączności, gdzie na stojaku leżał villip. Ukazywał twarz Noma Anora, który przemówił, kiedy egzekutor ujrzał wchodzącego dostojnika.
 - Mistrzu wojenny, mam wspaniałe wieści - powiedział. - Moje uskrzydłone stworzenia, naotebe, pomyślnie rozprawiły się z kopułą paskudnego tworu o nazwie Trzydziestka Dwójka. Młody tchórz Jedi został złapany przez jednego z moich współpracowników na pokładzie bluźnierstwa, nazywanego miastem Bburru.
 Tsavong Lah nie odpowiedział. Takie informacje nie stanowiły powodu, żeby wywoływać go z odprawy. Doskonale wiedział, że ci sami mistrzowie kształtownicy,

którzy dostarczali Nomowi Anorowi mikroorganizmy odkażające glebę, stworzyli także plastalożerne uskrzydłone naotebe.
 - Mam jeszcze lepszą wiadomość - ciągnął egzekutor, niezrażony milczeniem wojennego mistrza. - Niedawno posłałem bogom dwie istoty, także Jedi, z rodziny tego tchórza. Siostrę i ciotkę, osławioną Marę Jade Skywalker.
 Zirytowany Tsavong Lah skrzyżował ręce na chudym torsie. Podróżująca na pokładzie jego okrętu zgraja kapłanów doszła niedawno do wniosku, że szanse ostatecznego sukcesu rosną z każdym Jeedai, którego on, Tsavong Lah, osobiście złoży w ofierze.
 - Widziałeś, jak umierały? - warknął groźnie.
 Egzekutor zawahał się, zanim odpowiedział.
 - Uruchomiły pułapkę, z której nie zdołają uciec - oznajmił w końcu. - Nie miały pancerzy ze skorupy kraba vonduuna. Nawet nasze ciała nie wytrzymałyby takiego obciążenia.
 Tsavong Lah zgiął i rozprostował palce, zakończone długimi, ostrymi bojowymi pazurami.
 - Wiemy, że Jeedai umieją korzystać z nadprzyrodzonych zdolności.
 - Zastawiłem tę pułapkę z myślą o Jedi - wyjaśnił Nom Anor. - Prawdę mówiąc, chciałem zwabić w nią ambasador Organę Solo, na wypadek, gdyby znalazła moją kryjówkę. A jeśli chodzi o te dwie Jedi... nawet gdyby przeżyły zawalenie sklepienia tunelu, zginą w męczarniach powolną śmiercią. Jestem pewien, że nie zdołają odwalić na bok takiej ilości kamieni i okrucich skały. Organa Solo i funkcjonariusze jej służb bezpieczeństwa nawet nie będą podejrzewać, że tunel nie zawalił się sam z siebie.
 Nom Anor, wyznawca bogini zwodzicielek, miał wyraźny zakaz ujawniania prawdziwej tożsamości i zdradzania zamiarów. Jeżeli te kobiety naprawdę zginęły, bogowie nie powinni narzekać. Tsavong Lah kiwnął głową.
 - Czy tchórz Jeedai, którego uwięził w Bburru twój agent, może zostać uśpiony, a potem pokrojony i zbadany? - zapytał. - Musimy się dowiedzieć, jak można szybko ich zabijać.
 Nie zamierzał obrażać Yun-Yammki, składając w ofierze istotę, którą wszyscy uważali za tchórza.
 - Zaproponowałem, żeby do czasu, aż zechcesz przylecieć, mój współpracownik udzielił mu gościny. A tymczasem... - na policzkach Noma Anora pojawił się uśmiech zadowolenia -... postarałem się, żeby wybuchły rozruchy.
 Dokładnie to, na czym zna się najlepiej, pomyślał Tsavong.
 - To skieruje uwagę mieszkańców systemu Duro na Bburru - powiedział. - Dopóki ich nie ominiemy.
 - Powtarzasz moje myśli, mistrzu wojenny - oznajmił Nom Anor. - Zanim wzniesę bunt, zaczekam, aż zaszczytysz mnie wizytą.
 Tsavong postukał jednym długim pazurem o drugi. Zamieszki powinny przysporzyć nowych męczenników tej imitacji religii, jaką wyznawał egzekutor. Powinny także zapewnić bogom nową porcję ofiar. Nic dziwnego, że Yun-Harla, bogini zwodzicielek,

patrzyła na Noma Anora z taką przychylnością. Czasami ulegał jej kaprysom nawet potężny Yun-Yammka.

- Czy twoi agenci wiedzą, jak rozprawić się z ochronnymi polami? - zapytał.

- Kiedy tylko rozkażesz - odrzekł egzekutor.

Cóż, może jednak otrzymane informacje były warte opuszczenia odprawy.

- A młody Hutt? - zainteresował się mistrz wojenny. - Został ukarany?

- Jeżeli chodzi o niego, również czekam tylko na twoje rozkazy - oznajmił Nom Anor.

- Jego także nie możemy złożyć w ofierze - stwierdził Tsavong. - Zniewałylibyśmy najwyższe bóstwa. Huttowie to żarłoczne, podłe bestie. Przeznaczysz go na karmę dla naszych ofiar. Nowi niewolnicy uczczą nasze przybycie wystawną ucztą.

Odwzorowana przez villipa głowa pochyliła się w ukłonie.

- Obiecałeś Durosjanom, że pozwolimy im zachować ich odrażające miasta, jeżeli złożą broń i nie będą się sprzeciwiali?

- Jak rozkazałeś, wojenny mistrzu.

Tsavong Lah uśmiechnął się z satysfakcją. Obietnice Noma Anora nie były warte powietrza, które wydychał podczas ich składania.

Czołgając się po kamieniach dna tunelu, Mara przykładała do ust pożyczoną maskę i z wysiłkiem oddychała. Z każdą porcją kamieni, które przerzucała górą i zostawiała z tyłu, bąbel Mocy nad jej głową tracił kilka bezcennych milimetrów. Nagle poczuła dotknięcie myśli Luke'a, a wraz z nim impuls siły. Dzięki, Skywalker, pomyślała tylko w odpowiedzi. Na razie była zanedbana. Jeszcze przyjdzie czas na okazywanie wdzięczności.

Żałowała, że jednak nie puściła się w pogoń za Nomem Anorem.

To nie miało sensu, perswadowała sobie. Wtedy wszyscy troje bylibyśmy martwi. Jeżeli jednak to on zatruł jej organizm, z pewnością orientował się też jak uleczyć ją z tej choroby. Mara bardzo chciałaby wiedzieć, jak wycisnąć z niego tę informację. Najlepiej zanim mu wyjaśni, na czym polega prawdziwa sprawiedliwość.

Obok siebie wyczuła ciepło ciała Jainy. Dziewczyna była rozgniewana.

- Nie martw się - mruknęła Mara, nie odrywając od ust maski do oddychania. - Jeszcze go dopadnę. To tylko kwestia czasu. Co za różnica, trochę wcześniej czy trochę później.

- Zanim się stąd wydostaniemy - wymamrotała Jaina - ten gad zostawi za sobą pięć innych planet.

- Jego pojawienie się na Duro - Mara przerzuciła do tyłu kilkanaście następnych kamieni, dzięki czemu posunęła się jakiś centymetr dalej - wyjaśnia wiele z tego, co wydarzyło się na Rhommamoolu.

- Owszem - zgodziła się dziewczyna. - Zależało mu tylko na wzniesieniu zamieszek. Nie przejmował się, kto straci życie.

- Przede wszystkim chciał odwrócić naszą uwagę od rzeczywistego kierunku inwazji - stwierdziła Mara.

Doszły do przekonania, że lepiej rozmawiać obojętnie na jakiś temat niż myśleć o stopniowo zgniatanym bąblu Mocy. Mara nie chciała przyznać nawet przed sobą, że

trochę się pospieszyła, zapewniając Luke[^], iż nie potrzebuje jego pomocy. Gdyby bąbel zanedbano się skurczył, powinna wprowadzić Jainę w hibernacyjny trans i jednak wezwać męża na pomoc. Miała nadzieję, że przyleci, zanim skończy im się powietrze. Nie mogła sama zapaść w trans, bo wtedy utrzymywane siłą woli skały obsunęłyby się i przyniotły i ją, i Jainę. Musiała być przytomna.

- A ten stos płonących automatów - przypomniała. - Pamiętasz?

- Czy przypuszczasz, że w tamtej kolbie naprawdę trzymał...

Mara już wcześniej zdążyła się zastanowić nad odpowiedzią na to pytanie.

- Nie - rzekła. - Nie spodziewała się naszej wizyty. Jestem jednak pewna, że miał ich więcej.

Zarodników coomb. Bez względu na to, czym były.

- Więc uważasz, że nie kłamał, kiedy oświadczył, że to on zatruł twój organizm?

- Jestem pewna, że tu akurat mówił prawdę - mruknęła kobieta.

Rozmawiając z nim, poczuła dziwne osłabienie - ledwo zauważalne, ale na tyle wyraźne, aby uwierzyć w jego słowa.

- Hej, poczułam świeże powietrze!

Głos Jainy brzmiał czysto i wyraźnie. Dziewczyna prawdopodobnie zdjęła maskę do oddychania.

Mara nie oderwała jednak od ust swojej maski. Współpracując z Jainą, uniosła i odrzuciła do tyłu kilkadziesiąt mniejszych kamieni. Nagle w szczelinie przed sobą ujrzała światło.

- Nareszcie - stęknęła.

Teraz, kiedy koniec był bliski, mozolne przemieszczanie okruchów skał przychodziło z większym trudem. Mara nie potrafiła skupić myśli na tym, co robi. Nie przestała wyobrażać sobie, że może umrzeć zaledwie pół metra przed osiągnięciem celu. Odrzucenie ostatnich kamieni zajęło jej ponad godzinę.

- W porządku - westchnęła w końcu. - Przeczłóżaj się pierwsza. Spróbuj jak najwyżej.

Przepchnęła Jainę przez górną powierzchnię bąbla Mocy. Podkurczyła ręce i nogi, żeby zrobić dziewczynie więcej miejsca. Uniosła głowę i zaczerpnęła głęboki haust napływającej z zewnątrz siły. Jesteś gotów, Luke? - zapytała w myśli i zaraz uświadomiła sobie, że jej pytanie ma ukryte podwójne znaczenie. Pchnij! - nakazała,

- Teraz! - Wypchnęła Jainę poza osypisko. Obróciła się na bok, sięgnęła po świetlny miecz, wysunęła ostrze i rozcięła ostatnie osuwające się kamienie. Zarząc się, spoczęły na dnie tunelu.

Jaina zauważyła, że ma krwawiące rozcięcie na głowie, w okolicy prawego ucha. Wyciągnęła komunikator.

- Służba bezpieczeństwa kolonii Gateway, proszę ogłosić alarm - powiedziała. - Zagrożenie życia. Muszę rozmawiać z panią administratorką Organa Solo. Natychmiast!

Odpowiedziała jej głucha cisza.

- Wyośmy się z tego tunelu - poleciła Mara.

ROZDZIAŁ

19

- W porządku, Maro, co właściwie się wydarzyło? - Ledwo słyszalny w sterowni „Cienia Jade” głos Leii brzmiał dziwnie złowieszczo. - Jak go tam odnalazłaś?

Mara wciąż jeszcze nie zdążyła zdjąć podartych resztek stroju zamożnej Kwatki. Kiedy się dowiedziała, że w mieście Bburru mają wybuchnąć zamieszki, wystartowała w przestworza, nawet nie czekając na pozwolenie. Na fotelu drugiego pilota siedziała Jaina, ubrana w brązowy kombinezon, który znalazła w jakiejś szafce.

- Bardzo prosto - odparła Mara. - Nie wyczuwałam go za pośrednictwem Mocy. To właśnie dlatego nie chciał się spotkać z tobą. Jaina odkryła miejsce, gdzie zaczynała się jego maska. Wysłała impuls Mocy i nacisnęła, a kiedy maska zaczęła znikać, wyciągnęliśmy świetlne miecze.

- Jak długo jeszcze zamierzał mnie unikać? - zapytała Organa Solo. Jej cichy głos wydobywał się ze słuchawek hełmofonu.

Odpowiedź na to pytanie wydawała się oczywista, choć wcale to Mary nie zachwycało: Mara nie zachwycała się oczywistym wnioskiem, jaki wypływał z odpowiedzi na to pytanie. Nom Anor nie sądził, żeby musiał unikać Leii bardzo długo.

- Dopadnij go - powiedziała. - Nie pozwól, żeby uciekł z twojej kolonii.

- Pod kopułą panuje zbyt duży tłok - odpowiedziała Leia zmęczonym głosem - żeby czujniki albo skanery wykryły konkretną osobę. A poza tym, do tej pory mógł uciec na bagna... albo ukryć się pod powierzchnią wody. Danni wspominała przecież, że Yuuzhanie dysponują aparatami umożliwiającymi oddychanie w wodzie. Wiemy też, że ma własne sposoby drażnienia tuneli. Kto wie, może nawet zapuścił się w głąb starych kopalnianych szybów?

- Nie zawsze można mieć, co się chce - mruknęła Jaina.

Mara pokręciła głową.

- Z pewno... mierny teraz lep... rzyło się na Rhommamoolu, prawda? - zapytała Leia.

Część jej słów pochłonęły warstwy atmosfery. „Cień Jade” wznosił się coraz wyżej.

- Tracimy łączność - oznajmiła Mara. - Słyszę cię coraz gorzej. Skontaktuję się z tobą, kiedy wylądujemy w Bburru.

Przerwała połączenie, rozparła się na fotelu pilota i upewniła, że wskazania mierników i przyrządów nie odbiegają od normy. Dopiero potem odprężyła się na tyle, żeby zapuścić myślową sondę w głąb własnego ciała. Mocno się trzymasz - pochwaliła w myśli... jego? -ją? Tylko tak dalej. Może trochę trząść, zanim dolecimy.

- Nie zapytała o mnie, prawda? - Jaina uniosła głowę i spojrzała na miasto Bburru, rosnące w dziobowym iluminatorze „Cienia”.

- Wie, że powiedziałabym jej, gdyby przydarzyło ci się coś złego - odparła Mara.

- Niektóre kobiety nie powinny mieć dzieci.

Mara się wyprostowała. Poczowała napięcie w mięśniach karku, naciągniętych teraz jak struny. Musiała nadwyrężyć szyję, kiedy czołgała się po kamiennym dnie tunelu.

- Nie do wiary, że ośmieliłaś się powiedzieć coś takiego! - wykrzyknęła.

Jaina wydeła wargi. Wyglądała prawie jak dziewczynka.

- Uważa, że tylko sprawiamy jej kłopot - mruknęła. - „Winter, idź z Jainą na spacer”. „Threepio, opowiedz Anakinowi jakąś bajkę”. „Posłuchaj, Chewbacco, miej oko na bliźnięta”.

- A ile matek zrezygnowało w tym roku z miejsca na pokładzie wahadłowca, którym mogły przelecieć w bezpieczne miejsce? - zapytała jej ciotka. - Ile z nich wepchnęło dzieci do środka i zostało, świadomie decydując się na cierpienia, śmierć albo niewolę? Czasami pozostawanie z dziećmi jest po prostu niemożliwe.

- A więc matki, które mają zbyt wiele obowiązków, żeby wychowywać dzieci, powinny przekazać je komu innemu i powrócić do pracy.

Mara nie pamiętała dobrze rodziców. Może właśnie dlatego zniżyła głos do lodowatego szeptu.

- Podobno jesteś dorosłą młodą kobietą, Jaino, ale poglądy masz jak rozkapryszona smarkula.

Dziewczyna pogłaskała swoją ogoloną głowę. Zaczynał się pojawiać na niej brązowy meszek.

- Staram się być szczerą, Maro - odparła. - W przestworzach Ka-larby o mało nie postradałam życia. Walcząc o Ithor, straciłam wspianą bardzo dobrą koleżankę. Poświęciłam wszystko, żeby rodziny uchodźców miały szansę przeżyć w innym miejscu.

- A twoja matka stara się znaleźć dla nich to miejsce i stworzyć im warunki do życia - oznajmiła Mara. - Ta planeta to ich jedyna nadzieja. W dosłownym i symbolicznym sensie.

Jaina ciężko westchnęła.

- Biedna mama - szepnęła. - Ma na wpół niewidomą, upartą i niezdolną do dalszej walki córkę oraz synalka, który obawia się być rycerzem Jedi. Jak to dobrze, że nie musi się wstydić za Anakina.

- Twoja ślepotą wkrótce minie - przypomniała Mara. - Zapamiętaj to na przyszłość, Jaino Solo. Nic nie szkodzi, jeżeli sama ryzykujesz, nigdy jednak, przenigdy, nie nakłaniaj nikogo do walki wręcz, jeżeli wiesz, że ten ktoś ma stępione ostrze broni. Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Kiedy w końcu „Cień Jade” wyskoczył ponad mętną atmosferę planety Duro, ukazały się gwiazdy. Mara włączyła pokładowy komunikator jachtu i wybrała prywatną częstotliwość.

- Luke? - zapytała. Odezwał się bardzo szybko.

- Mara? - ucieszył się. - Jesteś w drodze?

Wyczuwał doskonale, że z każdą chwilą statek z żoną na pokładzie znajduje się coraz bliżej.

- Spotkałyśmy dawno nie widzianego przyjaciela – poinformowała go ponuro Jade Skywalker.

Wylądowały i zostawiły „Cień” w Porcie Duggana. Mara narzuciła długi płaszcz z kapturem na strzępy stroju kuatskiej baronowej i zaprowadziła Jainę do pokoju w tanim hotelu. Przechodząc przez drzwi, poczuła delikatne muśnięcie Mocy. To Luke sprawdził, czy nie stało się jej nic złego. Kiedy podszedł, żeby ją objąć, Mara także musnęła go palcem Mocy.

Anakin siedział na łóżku z zamkniętymi oczami. Trzymając ręce za plecami, przekładał z jednej dłoni do drugiej rękojeść świetlnego miecza. Był jeszcze bardzo młodym Jedi i nie potrafił opanować niepokoju. Na twarz spadł mu kosmyk ciemnych włosów.

Jaina usiadła na drugim łóżku i zmarszczyła brwi. Przeniosła spojrzenie z młodszego brata na Luke'a.

- Nie powiedziałeś mi, wujku? - zapytała. - Anakinie, Nom Anor nie zginął na Rhommamoolu. Przyleciał tutaj, na planetę Duro. W rzeczywistości jest yuuzhańskim szpiegiem.

- Jeszcze jedna ciekawostka - dodała Mara. - Oświadczył, że to on zatruł mój organizm, gdy przebywałam na Monorze Dwa.

Nie chciała przekazywać tej informacji przez komunikator, ponieważ pragnęła zobaczyć reakcję męża. Nie zawiodła się w swoich oczekiwaniach. Luke podniósł głowę, a w jego szeroko otwartych oczach malowała się taka furia, jakiej Mara jeszcze nigdy nie widziała. Trwało to tylko chwilę. Mistrz Jedi szybko się opanował.

- Co o tym sądzisz? - zapytał ze zwykłym spokojem.

Mara skrzyżowała ręce na piersiach i objęła mocno ramiona.

- Może wiedzieć, czy jestem naprawdę uleczona - rzekła z namysłem. - Bardzo chciałabym wrócić tam, żeby go zapytać.

Mięsień na policzku Luke'a lekko drgnął - tak nieznacznie, że Jaina ani Anakin w ogóle tego nie zauważyli.

- Ja także - oświadczył Skywalker. - Jeżeli jednak naprawdę na powierzchni Duro przebywa agent Yuuzhan, wszystko zaczyna się układać w logiczną całość. I zgadza się z tym, co my odkryliśmy.

Opowiedział w skrócie, co zdołał ustalić. Obwinił spółkę CorDuro o wstrzymywanie dostaw dla uchodźców i podzielił się z Marą swoimi podejrzeniami. Przekopawszy się przez stosy zakodowanych raportów, sfalszowanych faktur i manifestów okrętowych, Artoo-Detoo odkrył, że pracownicy oddziału spółki CorDuro w Porcie Duggana

rzeczywiście kierowali przesyłane przez SENKĘ - i nie tylko - towary do innego orbitalnego miasta zamiast na planetę. Jednocześnie fałszowali dokumenty, tak aby inspektorzy SENKI - gdyby się pojawili - sądzili, że wysłano wszystko zgodnie z przeznaczeniem.

- Sprawdziłiśmy także informacje, jakie przekazała nam Tresina Lobi - zakończył Skywalker. - Właśnie w tej chwili Artoo przeszukuje archiwa zarządu kosmoportu.

Mara spojrzała na małego robota, który stał nieruchomo obok gniazda systemu informatycznego.

- Porównuje przyloty i odloty? - zapytała.

Luke kiwnął głową.

- I sprawdza miejsca startu i lądowania. Staramy się ustalić, czy władze kosmoportu utrzymują kontakty z Brygadą Pokoju. Może zdołamy wykryć, czy coś wiąże ich z urzędnikami samej SENKI.

Gdyby miały się okazać prawdziwe podejrzenia Karrde'a, że agent Yuuzhan przeniknął do SENKI albo innych ważnych struktur władzy, Nowa Republika znalazłaby się w trudniejszej sytuacji niż można by się spodziewać. Nic dziwnego, że Luke wyglądał na wstrząśniętego: zacisnął zęby, zmarszczył brwi i nerwowo gestykulował. Przed wszystkim jednak Mara doskonale wyczuwała za pośrednictwem Mocy gonitwę myśli w głowie męża.

- Thrynni Vae zniknęła w obskurnym rejonie Portu Duggana - ciągnął mistrz Jedi. - Prawdę mówiąc, nie jestem tym zdziwiony. Anakin i ja obejrzelśmy sobie to miejsce. Tamtejsze knajpy sprawiały wrażenie dziwnie cichych. Chciałoby się powiedzieć: podejrzanie cichych.

Nagle Artoo-Detoo cicho pisnął. Luke się wyprostował.

- Dowiedziałeś się jeszcze czegoś? - zapytał, patrząc na astromechanicznego robota.

Pochylił się nad małym ekranem, wtopionym w ścianę nad gniazdem systemu informatycznego. Mara zrobiła to samo.

Na ekranie pojawiły się rzędy liter, szybko przesuujące się w górę. Pierwsza ukazała się lista informacji usuniętych albo zmienionych. Zawierała dane osób ostatnio zatrudnionych w Porcie Duggana, a także wykaz statków, które wylądowały w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Na samym końcu pojawił się spis nazwisk osób odwiedzających gabinet wicedyrektora Braruna. Kilka się powtarzało.

R2-D2 wybrał nazwiska tych osób i wyświetlił obok nich nazwy planet, z których przylatywały i na które się udawały. W kilku przypadkach ślad urywał się po dokonaniu trzeciego skoku. Okazało się jednak, że dwie osoby wyprawiły się na Ilezję i wracały kilkakrotnie. Nazwiska tych osób Artoo zaznaczył na czerwono.

Nieco później na ekranie ukazały się dane z chronionego archiwum ośrodka łączności planety Duro. Tylko kilka automatów w całej Nowej Republice dysponowało oprogramowaniem umożliwiającym dostęp do takich archiwów. Okazało się, że ktoś wielokrotnie porozumiewał się z Ilezją.

- Co tam może być? - zainteresował się Anakin, który cicho jak duch stanął za plecami Mary i zerknął na ekran ponad jej ramieniem. - To planeta na samym skraju Przewstworzy Hurtów, prawda?

- Huttowie wabili kiedyś tam naiwnych pielgrzymów i wykorzystywali ich jako niewolników - mruknęła Mara. - Twój ojciec uważa, że teraz mieści się tam baza Brygady Pokoju. - Odwróciła się do Luke'a. - Może to właśnie tam uprowadzono Thrynni Vae?

Luke zastanawiał się jakiś czas, zanim odpowiedział. .

- To najpoważniejszy ślad, jaki dotąd udało się nam znaleźć - przyznał niechętnie. - Obawiam się jednak, że poszukiwania Thrynni na Ilezji za bardzo przypominałyby pogoń za dzikim yunaksem. Nie chciałbym nikomu powierzać tak beznadziejnego zadania.

- Domyślam się, że wicedyrektor Brarun tkwi w tym wszystkim po same gąłki swoich wielkich oczu - rzekła Mara. - Jeżeli dodamy do tego, że zagrabione towary lądują w mieście Urrdorf i że właśnie tam przylatuje coraz więcej Durosjan...

Urwała, bo wyczuła zaniepokojenie, jakie napłynęło wraz z myślami męża.

Stojąca przy oknie Jaina odwróciła głowę.

- Pozwólcie, że zgadnę - zaczęła. - Nagle wszyscy najlepsi, najszlachetniejsi i najmądrzejsi zdecydowali się spędzić wakacje w uroczym Urrdorfie.

Luke odwrócił się tyłem do ekranu.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Mara.

- Jacen też odwiedził Braruna - odparł zwięźle Skywalker. - Chłopcu może grozić poważne niebezpieczeństwo.

Jaina odeszła od okna.

Luke powstrzymał ją gestem uniesionej ręki.

- Przypuszczam, że jeszcze nie w tej chwili - odparł. - Może trochę później.

- Brarun także coś knuje? - zdziwiła się Mara.

Luke kiwnął głową.

- Wygląda na to, że cały czas mamy do czynienia z takim samym schematem - oznajmił ponuro. - Ktoś zamierza zdradzić uchodźców SENKI, a potem wziąć nogi za pas. Na razie jednak Jacen chce pozostać tam, gdzie przebywa w tej chwili.

Mara powoli pokręciła głową.

- Musimy zarządzić kolejną ewakuację uchodźców, ale tak, aby nie dowiedzieli się o tym zdrajcy z Brygady Pokoju - powiedział Skywalker. - Domyślam się, że obiecali Yuuzhanom kilka tysięcy więźniów, żeby tamci mieli kogo składać w ofierze. - Potarł policzek. - Chyba że...

Umilkł, nie kończąc zdania. Mara odchrząknęła.

- Chyba że to nie uchodźców zamierzają poświęcić, ale Durosjan zamieszkujących orbitalne miasta - rzekła. - Uciekinierów z innych planet wykorzystają jako niewolników. Spotkaliśmy się z tym już kiedyś. I jeszcze jedno. Jeżeli Yuuzhanie opanują planetę Duro, bardzo łatwo zaatakują stamtąd Jądro galaktyki.

Mara zacisnęła wargi. Sytuacja zaczynała wyglądać coraz gorzej.

- Maro, Jaino - zwrócił się do nich mistrz Jedi. - Czy kiedy przebywałyście na Duro, dotarli do was jakieś niezwykle informacje na temat SENKI?

Jego żona zmarszczyła brwi.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- O coś, co dowodziłoby, że w ich szeregi przeniknęli agenci Yuuzhan.

- Niech pomyśle... - Mara zamknęła oczy. - Nie przypominam sobie niczego szczególnego. Zwyczajne sprawy. Nic, co wykraczałoby poza normalne biurokratyczne problemy.

Luke położył dłoń na kopolce astromechanicznego robota.

- Artoo, możesz włamać się do pozasystemowej sieci wojskowej?

Automat odpowiedział serią głośnych pisków. Sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie.

Skywalker wyciągnął komunikator i podał Anakinowi.

- Chciałbym, żebyś przytwardził go do manipulatora Artoo - powiedział.

Radośnie popiskując, baryłkowaty robot podłączył się ponownie do gniazda systemu informatycznego. Mara spojrzała na męża. Używając określenia Landa, mogła postawić dziesięć do jednego, że usiłował porozumieć się z wojskowymi na Coruscant bez powiadamiania urzędników SENKI.

Objęła go i uściśnęła, po czym skierowała się do łazienki, aby odświeżyć się i usunąć lakier z włosów.

Kiedy wyszła, Luke siedział obok tymczasowo zmodyfikowanego manipulatora robota.

- Hamner? - zapytał. - Kenth, czy to ty? Mówi Skywalker.

Z głośnika wydobył się zaspany jęk. Widząc Marę, Luke uśmiechnął się posepnie i znów zbliżył usta do mikrofonu.

- Bardzo przepraszam, że cię budzę - powiedział. - Doszedłem jednak do wniosku, że Yuuzhanie mogą przygotowywać atak na planetę Duro. To zbyt ważny system, żebyśmy mogli go stracić. Mieszka w nim wiele milionów istot, a w dodatku planeta znajduje się na Skraju Jądra galaktyki. Jeżeli opanują ją Yuuzhanie, ustanie handel także z planetami leżącymi wzdłuż całego Szlaku.

- Wiem, wiem - mruknął zaspany głos.

- Znasz jakiś sposób, żeby zgromadzić i wysłać w ten rejon okręty szturmowej floty? - zapytał mistrz Jedi.

Usłyszał jeszcze jeden jęk.

- Spróbuj się porozumieć z SENKĄ...

- Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo - przerwał Skywalker - że SENKA stanowi część problemu, a nie rozwiązania. Dobrze wiem, że floty są rozproszone na dużym obszarze. Postaraj się jednak zrobić, co tylko można, Kenth. I niech Moc będzie z tobą.

- Jasne. - Głos Hamnera ledwo przedzierał się przez trzaski zakłóceń. - Z tobą także.

Luke wyłączył komunikator.

- No, dobrze - mruknął, powoli wyprostował nogi i wstał. - Doskonała robota, Anakinie. Artoo, ty też spisałeś się na medal.

Robot zaświergotał radośnie. Anakin odebrał komunikator i usiadł na łóżku. Zajął do środka i zaczął grzebać w podzespołach.

Luke oparł się plecami o ścianę, schylił głowę i potarł zmęczone oczy.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Mara. - Przecież ich ostrzegłeś.

Mistrz Jedi zerknął na Jainę.

- Jacen - odparł zwięźle. Skrzyżował ręce na piersi. - No i nie uśmiecha mi się eskortowanie kolejnej grupy uciekinierów pod ostrzałem nieprzyjaciół.

- Nawet nie mam tu własnego statku - poskarżyła się Jaina.

- Ja mam „Cień” i potrzebuję drugiego pilota - przypomniała jej Mara. - Chyba chcesz dotrzymać mi towarzystwa?

Dziewczyna markotnie kiwnęła głową.

Anakin zatrzasnął pokrywkę komunikatora i podał go Luke'owi.

- Zanim zaczniesz się tu coś dziać - powiedział - powinniśmy spróbować odnaleźć Thrynni Vae. Nie osiągnęliśmy wiele, udając Kubazów.

Mistrz Jedi sprawiał wrażenie rozbawionego. Schował komunikator.

- Czy uważasz, że osiągniemy więcej, wyjawiając wszystkim, kim jesteśmy? - zapytał.

Anakin się przygarbił.

- Nie przepadam za udawaniem kogoś innego.

Mara parsknęła nerwowym śmiechem.

- Po prostu musisz nabrać większej wprawy - rzekła. - Nie zawsze to jest konieczne. Jaina i ja powinnyśmy teraz odpocząć - dodała.

Rzeczywiście, obie wyglądały na zmęczone.

- Dobrze. - Luke wyciągnął rękę w kierunku astromechanicznego robota. - Artoo?

Mały automat pytająco zaszczebiotał.

- Ilu funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa będzie pełniło służbę w doku przeładunkowym SENKI w ciągu najbliższej godziny?

Manipulator R2-D2 wsunął się do gniazda systemu informatycznego i obrócił. Automat wydał kilka chichotliwych dźwięków, a na koniec krótki, radosny pisk.

- Pięciu - oznajmił Luke, patrząc na Anakina. Jego siostrzeniec wyglądał fałdy tunicami.

- Poradzimy sobie - powiedział.

- Bez zrażania sobie kogokolwiek - podkreślił Skywalker. - Musimy zachowywać się jak cywilizowane istoty.

- Innymi słowy - odparł Anakin - powinniśmy postępować jak rycerze Jedi.

Durgard Brarun uściskał żonę, wręczył jej urządzenie sterujące poduszki i powiedział:

- Dołączę do was, kiedy tylko będzie możliwe.

Nie znośił kłamać, ale gdyby nie uspokoił swoich najbliższych, jego żona nigdy nie zgodziłaby się odlecieć bez niego z Bburru do Urrdorf.

Odwróciła się i poszła za synem i synową. Weszli po rampie i zniknęli w otworze wjazdu pasażerskiego wahadłowca, odbywającego regularne loty na tej trasie.

Dopiero gdy członkowie jego najbliższej rodziny zajęli miejsca na pokładzie gwiazdowego statku, Brarun uświadomił sobie, że może odetchnąć z ulgą. Wszystko było zapięte na ostatni guzik. Kiedy dowiedział się, że SENKA poszukuje miejsca, gdzie dałoby się osiedlić miliony uchodźców, zareagował podobnie jak większość innych Durosjan. Nie na naszej planecie!

Druga myśl pojawiła się o wiele później. Gdyby kiedykolwiek Yuuzhanie zaczęli rozglądać się za wysuniętą bazą - a nigdy nie wątpił, że wcześniej czy później taki dzień nadejdzie - życie tysięcy albo i milionów uchodźców mogłoby stać się doskonałą kartą przetargową.

Był przekonany, że tak czy inaczej, uchodźcy są skazani na zagładę. Zdołali tylko uzyskać odroczenie wyroku śmierci - na miesiąc, może na rok.

A zatem zdecydował się działać. Przystał na propozycję SENKI i zgodził się przyjmując uchodźców. Pragnąc pozyskać przychylną władzę, przekupił kilku członków panującej rodziny. Wiedział jednak, że większość Durosjan nie chce mieć z uciekinierami nic wspólnego i dlatego zachęcał Ducillę do wygłaszania płomiennych przemówień. Domyślał się, że kiedyś ziomkowie mu podziękują. Agent Brygady Pokoju, z którym utrzymywał kontakt, zapewnił go, że Yuuzhański admirał - albo wojenny mistrz, jak go nazywano - okaże mu swoją wdzięczność. W zamian za życie przybyszów z innych światów prawdopodobnie zechce oszczędzić wszystkie dwadzieścia orbitalnych miast krążących wokół planety Duro.

Na wszelki wypadek jednak postanowił wysłać swoich najbliższych na wakacje do miasta Urrdorf.

Służący, który przyniósł Jacenowi następny posiłek, miał na sobie mundur Spółki CorDuro. Jego splaszczona głowa miała jaskrawo-turkusową barwę, wystające łuki brwiowe kończyły się nad skroniami i były porośnięte srebrzystą szczecinką.

Sunezjanin?

- Postaw tam. - Jacen odwrócił się tyłem do okrągłego okna i pokazał blat ustawionego obok łóżka długiego stołu. - Kim jesteś? Czego chcesz?

Sunezjanin odstawił przykryty pojemnik z jedzeniem.

- Nazywam się Gnosos, ale nie przypuszczam, żebyś mnie pamiętał - powiedział. - Najważniejsze jednak, że przyniosłem ci prezent.

Wyciągnął turkusową rękę.

Jacen ostrożnie wyjął z palców kolorowej istoty niewielką płytkę z zapisanymi informacjami.

- Co to jest? - zapytał.

- Próbką mojego głosu, która pozwoli ci uruchomić repulsorową kapsułę na stanowisku trzydziestym, w garażu na pierwszym piętrze. Niewykluczone, że będziesz musiał w pośpiechu zrezygnować z gościnności wicedyrektora Braruna.

Zdziwiony Jacen przyłożył palec do warg i pokazał na urządzenia podsłuchowe. Znalazł je, ale nie wyłączył. Sunezjanin rozłożył ręce.

- Moi ziomkowie mogą zagłuszyć nasze słowa i wszystkie inne dźwięki za pomocą szerokopasmowego szumu. Wystarczy, żeby unieszkodliwić urządzenia podobne do tych, które cię tak niepokoją.

Zaintrygowany młodzieniec schował do kieszeni płytkę z zarejestrowaną próbką głosu istoty. Usiłował przypomnieć sobie bez używania Mocy, kim jest Gnosos. Od Sunezjanina promieniował spokój, jakiego Jacen nie wyczuwał u nikogo od czasu pierwszych meldunków o napaści Yuuzhan - nawet u swojego wuja.

- Dlaczego to robisz? - zapytał. Zauważył, że usta istoty lekko się rozchyliły, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. - To znaczy, bardzo dziękuję - zreflektował się po chwili. - Jednak...

- Co otrzymałem od Stwórcy, przekazuję tobie.

- Stwórcy? - Dopiero teraz Jacen sobie przypomniał. Sunezjanie wyznawali mono-teizm i między wiekiem młodzieńczym a męskim ulegali niebezpiecznemu przeobrażeniu. Prawdopodobnie właśnie nieuchronność tej zmiany skłaniała ich do wierzenia w życie po śmierci.

- Stwórcy i Dawcy. - Sunezjanin rozłożył ręce. - Moi rodacy uważają, że nieskończona różnorodność form życia we wszechświecie dowodzi istnienia Stwórcy, czyli kogoś obdarzonego chwalebłą pomysłowością, wyrozumiałością i miłością. A także poczuciem humoru.

Młody Jedi przypomniał sobie, że funkcjonariusze Imperium przezywali Sunezjan Bulwogłowymi - może właśnie z uwagi na wystające łuki brwiowe. Jacen poklepał płytkę, ukrytą w kieszeni bluzy na piersi.

- Może tym razem ja będę się śmiał ostatni, a nie urzędnicy ze Spółki CorDuro - powiedział.

Jego gość rozłożył długie, chude ręce.

- Doskonały pomysł - zauważył.

Odwrócił się i szybko wyszedł z sypialni.

Co za dziwaczne wyczucie czasu, pomyślał chłopiec. Jeżeli wyznawane przez Sunezjanina poglądy miały coś wspólnego z prawdą, Jacen nie powinien się wyrzekać Mocy; ktoś lub coś pokazywał mu, jak powinien wyglądać jego następny logiczny krok.

- Dziękuję ci - powiedział młodzieniec, bezgłośnie poruszając wargami.

Luke przesunął identyfikacyjną kartę przed otworem czytnika parkingu wypożyczalni raketowych skuterów. Na szczęście parking znajdował się niedaleko hotelu. Wynajął dwie maszyny i usiadł na siodelku jednej z nich. Drugą wziął Anakin. Obaj Jedi, lecąc z umiarkowaną prędkością, w ciągu dziesięciu minut pokonali odległość dzielącą ich od Portu Duggana. Wylądowali i zostawili skutery na miejscowym parkingu. Na razie nikt nie zwracał na nich uwagi. Na ruchomych chodnikach i w dokach tłoczyły się istoty różnych ras. Czasami towarzyszyły im androidy i roboty, przeważnie mniej albo bardziej uszkodzone.

Luke uświadamiał sobie, że stawką w grze jest bezpieczeństwo wielu światów. Miał zaledwie kilka miesięcy na znalezienie schronienia dla jednego małego, bezbron-nego dziecka - a także dla jego matki. Może to było tylko nieuzasadnione pragnienie; mistrz Jedi wiedział jednak, że pragnienie nie powinno przerodzić się w nadzieję. Mara nie narażałaby dziecka na niebezpieczeństwo, ale nie unikałaby walki, gdyby musiała ją stoczyć - zwłaszcza teraz, kiedy zobaczyła twarz wroga.

Mistrz Jedi szedł obok Anakina. Tresina też tu kiedyś wróciła, już po zaginięciu Thrynni Vae. Do tego czasu zniknęła także osoba, z którą obie się kontaktowały. Kiedy Anakin i Luke zbliżali się do wskazanego przez Artoo rejonu, zauważyli, że liczba pieszych wyraźnie się zmniejszyła. W pewnej chwili obok nich przejechało kilka dużych podnośników. Wszystkie miały zamknięte drzwiczki ładowni, a silniki automatów ciężko pracowały.

Kiedy skręcili w drugą odnogę korytarza, Luke poczuł w mózgu dziwne świerz-bienie. Obudził się zmysł ostrzegający o grożącym niebezpieczeństwie. Wkrótce potem korytarz przegrodziła wysoka do piersi barykada. Wąziutkiego przejścia strzegło trzech barczystych Gamorrean i Rodianin. Wszyscy byli ubrani w brązowe kombinezony lot-niczne Spółki CorDuro. Mundury Gamorrean wyglądały na ich ciałach niczym przeła-dowane worki. Worek Rodianina sprawiał wrażenie wypchanego tylko w połowie.

Artoo-Detoo powiedział, że będzie ich pięciu. Widocznie dowódca wartowników postanowił nie rzucić się w oczy.

Luke odwrócił się do Anakina.

- Nie zrażaj ich do siebie - powiedział cicho. - Ale osłaniaj mnie.

Przyspieszył, by wyprzedzić siostrzeńca. Dotarł do barykady kilka metrów przed swoim uczniem.

Na spotkanie z intruzem pospieszył Rodianin. Był wyjątkowo chudy i wyglądał na chorego.

- Przejście zabronione - wysapał. - Jeśli nie macie przepustki, poszukajcie innej ulicy.

Luke sięgnął do kieszeni na piersi i jednocześnie posłużył się Mocą. Delikatnie musnął pamięć strażnika.

- Poszukuję zaginionej osoby - powiedział. - Moi mocodawcy na Coruscant doceniają, jeżeli nam pomożesz.

Wręczył Rodianinowi mały holograficzny sześcian.

Nie musiał się specjalnie wysilać. Podobnie jak Gamorreanie, Rodianie mieli nieskomplikowane mózgi. Ich gwałtowne reakcje nietrudno było przewidzieć. Kiedy strażnik spojrzął na sześcian, jego mózg przekazał wizerunek zakrwawionego ciała wyrzucanej z bocznej śluzы uczennicy Jedi. Poraziło to Luke'a niczym impuls silnego bólu. Widząc zmasakrowane ciało, doszedł do wniosku, że młoda kobieta nie miała lekkiej śmierci.

Niech Moc będzie z tobą, Thrynni Vae! - pomyślał ponuro. Musiał chwilę odczekać, żeby odzyskać wewnętrzny spokój. Kiedy zapragnął przywrócić do życia zakon Jedi, ogłosił nabór nowych kandydatów. Thrynni Vae usłuchała jego wezwania, ale oddała życie, aby inni mogli być wolni.

Skrzywił się, kiedy pomyślał, że musi opowiedzieć o tym Tresinie Lobi.

Zmusił się do skupienia uwagi na losie uchodźców i prawdopodobieństwie rychłej napaści Yuuzhan.

- Dziękuję ci za pomoc - powiedział, zwracając się do strażnika. - Jestem pewien, że pozwolisz nam teraz odejść.

Cofnął się, odwrócił i ruszył w kierunku czekającego siostrzeńca.

Anakin stał w odległości czterech metrów od barykady. Ręce miał luźno opuszczone wzdłuż boków, raz po raz przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Doskonała postawa do zapewnienia ochrony, pomyślał Skywalker. Może tylko trochę za bardzo rzuca się w oczy.

- Chwileczkę! - usłyszał Luke dobiegający zza pleców gulgoczący głos.

Powoli się odwrócił.

Zobaczył, że pojawił się piąty strażnik - niezwykle wysoki Durosjanin w brązowym mundurze, wykończonym czerwoną lamówką. Na piersi z prawej strony widniała trójkątna odznaka Spółki Transportowej CorDuro. Luke usłyszał, że gdzieś z tyłu dobiega szuranie butów kilku innych istot. Uświadomił sobie też, że wyczuwa myśli pięciu lub sześciu nowych mózgów.

Uwolnił myśli i rozesał je na wszystkie strony. Starał się objąć Mocą siebie, siostrzeńca, korytarz, barykadę - i pracowników spółki CorDuro. Przekonał się, że ma do czynienia z dziesięcioma osobami. Poświęcił ułamek sekundy, aby upewnić się, że żadna nie jest zamaskowanym wojownikiem rasy Yuuzhan Vong.

Wreszcie spojrział na dowódcę wartowników i lekko skinął głową.

- Kilka tygodni temu zaginęła moja pracownica - wyjaśnił cichym głosem. - Przylecieliśmy dowiedzieć się, co się z nią stało. Rozmawiałem na ten temat z wicedyrektorem Brarunem.

Naprawdę rozmawiał, ale poczuł wyrzuty sumienia, bo kłamliwie zasugerował, że Brarun upoważnił go do przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie. Minęło tyle lat, a on nadal wzdragał się nazywać kłamstwo „pewnym punktem widzenia”.

- Zechciałby mi pan towarzyszyć, dopóki tego nie sprawdzimy?

Dowódca strażników starał się bardzo, żeby zabrzmiało to jak prośba, ale jego postawa nie pozwalała żywić żadnych wątpliwości.

- Przykro mi, ale nie mogę - odparł łagodnie mistrz Jedi. - Przepraszam, że sprawiłem kłopot pańskim funkcjonariuszom.

Odwrócił się znowu i zrobił dwa kroki w stronę Anakina.

Zanim do niego podszedł, siostrzeniec wyjął rękojeść świetlnego miecza z kieszeni, gdzie ją schował. Wysunął ostrze ze złowieszczym sykiem, znanym chyba wszędzie w Nowej Republice. Stojący za plecami chłopca zdumiony Rodianin w brązowo-czerwonym mundurze Spółki CorDuro cofnął się kilka kroków.

Pokazując puste dłonie, Luke szedł dalej.

- Brrrać ich! - warknął dowódca strażników.

Luke odwrócił się na pięcie, wyciągnął świetlny miecz i zapalił klingę. Dwaj Gamorreanie ruszyli ku niemu, a dwaj inni w stronę Anakina. Pozostali funkcjonariusze Spółki CorDuro zapewne doszli do wniosku, że lepiej trzymać się z daleka. W oczach

Anakina płonęły ogniki, a zaciśnięte zęby świadczyły o determinacji. Strażnicy byli uzbrojeni w miejscowe lekkie blastery, których strzały nie stanowiły poważnego wyzwania dla rycerzy Jedi.

Dopiero teraz Luke miał okazję się przekonać, jak dobrze wyszkolił Anakina. Nie chciał jednak, żeby strażnicy uznawali ich za wrogów. Popatrzył na nadchodzących Gamorrean i gestem jednej ręki spróbował przyciągnąć ich uwagę. Wszyscy czterej ruszyli ku niemu.

Kiedy go otoczyli, wykonał salto i pozwolił, żeby powpadali na siebie nawzajem. Wyładował lekko jak piórko między Anakinem a nadzorcą.

- Nie wyrządzimy im żadnej krzywdy - oznajmił - ale nie pozwolimy się aresztować.

Z zadowoleniem stwierdził, że Anakin zachował spokój. Był gotów do walki, ale jej nie zaczynał.

- Skywalkerrr - mruknął nadzorca. - A więc to pan. Jeżeli tak, dam panu pewną radę.

Luke uniósł głowę.

- Niech pan się wynosi z Bburrru. Nie potrzebujemy tu takich jak wy.

Mistrz Jedi rozłożył ręce.

- Wyniesiemy się, kiedy tylko skończymy załatwiać swoje sprawy. Jeden z pańskich funkcjonariuszy, o, tamten, zapamiętał kobietę, której szukamy.

- I chcecie z nim porozmawiać?

- Pamięta, że widział ją martwą.

Wargi nadzorcy rozciągnęły się w pozbawionym wesołości uśmiechu.

- A zatem zabijcie go. Niech ma, na co zasłużył.

Luke pokręcił głową.

- Spodziewam się, że sam pan mu wymierzy stosowną karę - odparł oschle. - Mam zamiar to sprawdzić.

Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem. Wyczuwał, że siostrzeniec idzie kilka kroków za nim. Chłopiec był rozczarowany, ale czujny.

Anakin był jeszcze bardzo młody i ogromnie pragnął się czymś wyróżnić. Podobnie jak Jacen, chciał być inny niż pozostali.

Luke jeszcze raz przypomniał sobie zakrwawione ciało Thrynni Vae. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek mógłby spojrzeć w oczy siostry, gdyby podobny los spotkał kórekolwiek z jej dzieci.

ROZDZIAŁ

20

Odkąd Mara przekazała informację, że doktor Dassid Cree'Ar jest w rzeczywistości Nomem Anorem, zdemaskowanym podżegaczem z Rhommamoola i Yuuzhańskim szpiegiem, Leia nie wiedziała, co robić. Zdyszana po biegu do instytutu badań naukowych i z powrotem, wpadła do ośrodka łączności, mieszczącego się w pobliżu terenu objętego kwarantanną i głównej bramy. Osunęła się na pierwsze lepsze krzesło i usiłowała złapać oddech. Obok jednego z terminali stał See-Threepio. Złocisty android dokonywał powtórnej analizy wszystkich wyników laboratoryjnych doświadczeń, o jakich kiedykolwiek informował rzekomy doktor Cree'Ar. Leia zastanawiała się, jaką część powierzchni gruntu planety naprawdę odkaził, a jaką jeszcze bardziej zniszczył. Cała ogromna praca... radość z sukcesów... a przecież w grę wchodziła przyszłość wygnanych uchodźców! Czyżby wpuścił do gleby szkodliwe mikroorganizmy? A może...

- Teraz wiadomo, skąd wzięły się nasze białoookie - odezwał się Han.

Korzystał z pokładowego interkomu. Postawił „Sokoła Millennium” w pobliżu, na widoku, u stóp góry antracytu. SENKA usypała ją, żeby koloniści mieli opał na wypadek awarii systemu centralnego ogrzewania, a ponieważ kadłub frachtowca miał teraz matową czarną barwę, prawie nie odróżniał się od tła. Z ostatnich raportów wynikało, że Yuuzhanie nie dysponują czujnikami, które pozwoliłyby im wykryć statek z orbity.

- Musimy poddać kwarantannie jeszcze ponad tysiąc osób - poinformowała Leia. - Wiesz, co ci powiem? Dzięki temu, że Nom Anor przyleciał na Duro, planeta przestała wydawać się bezpiecznym schronieniem, a zaczęła się stawać następnym celem.

- Nie podniecaj się jeszcze, kochanie...

- Wojownicy rasy Yuuzhan Vong nie napadli na Rhommamool - wtrącił się Randa.

Młody Hutt zwinął się w kłębek przy samej ścianie. Nieustannie zginał i prostował małe rączki. Leia zastanawiała się, czy nie zamknąć go na dobre w areszcie, miała jednak pewne wątpliwości. Mimo wszystko, Huttowie byli także uchodźcami. Wiedziała, że już nigdy mu nie zaufa, ale wolała mieć go na oku. Postanowiła, że będzie go darzyła taką samą sympatią i szacunkiem, jak, powiedzmy, Ranata. Pozostawiła mu więc ograniczoną swobodę ruchów, ale przydzieliła strażnika: Basbakhana.

Han musiał usłyszeć uwagę Randy.

- Nie musieli - odparł cierpko. - Wystarczyło, że stanęli z boku i obserwowali, jak tubylcy sami zamieniają powierzchnię planety w żużel. Popatrzcie tylko, jak sprytnie podszedł Durosjan.

C-3PO pochylił się nad pulpitem konsoli. Jak mu kazano, nie odezwał się ani razu. Tak często podawał stopień prawdopodobieństwa zagłady kolonii, aż w końcu zirytowana Leia zagroziła, że go wyłączy.

- Zamierzasz skontaktować się z przedstawicielami rodziny rządzącej planetą Duro? - zapytał Han.

- Jak tylko uzyskam połączenie z Coruscant - odparła Leia. - I kiedy upewnię się, że nikt nie namawia kolonistów, żeby wymordowali się nawzajem. Ostatniego wieczoru otrzymałam trzy meldunki, że Rynowie wymigują się od pracy.

- Jakie meldunki?

- Ogólnikowe. Domyślam się, że to tylko plotki albo komuś zależy na skłóceniu osadników. - Zawahała się. - A przy okazji, gdzie jest Droma?

- Gdzieś się kręci.

Wymiguje się od pracy, domyśliła się Leia. Tym razem była z tego zadowolona.

- Han, musimy opracować plan przyspieszonej ewakuacji - powiedziała. - Trzymamy w hangarach pięć czy sześć gwiazdnych statków, które SENKA obawiała się wziąć z powrotem. Jaina chyba jeszcze wszystkich nie sprawdziła. Powiedz Dromie...

- Jeżeli SENKA ich nie chciała, możemy uważać je za swoje - oświadczył stanowczo Solo.

See-Threepio odwrócił głowę i, aby skupić na sobie uwagę, zaczął rozpaczliwie wymachiwać złocistymi rękami.

- W porządku, widzę cię - powiedziała surowo Leia. - Dobrze, Hanie. Wszystko sprowadza się do tego, że musimy ocalić życie tylu uchodźców, ilu zdołamy. Możesz kierować kolonistów na pokłady statków. Zaczynaj od Yorsów.

- I wszystkich automatów, jakie znajdziemy - dodał Han. - Jeżeli przylecą tu Vongowie, zamienią je w stopy szmelcu. To dotyczy także Złotej Sztaby. Przyślij go do mnie. Może być w częściach, jeżeli nie będziesz miała innego wyjścia.

Leia wyłączyła komunikator.

- Idź, Threepio - rzekła łagodnie. - Wskakuj na pokład, zanim przylecą tu Yuuzhanie. Jesteś nam potrzebny.

Złocisty android nie czekał, aż skończy. Powłócząc nogami, najszybciej jak mógł, opuścił ośrodek łączności.

- Więc uważasz, że admirał Wuht ma słabość do rannych wojskowych? - zapytała cicho Mara.

- Na to wygląda.

Jaina leżała na jednym z hotelowych łóżek. Sprawiała wrażenie całkowicie rozbudzonej, chociaż chwilę po wyjściu Luke'a i Anakina na rekonesans do Portu Duggana zasnęła i cały czas spała jak zabita. Nawyk pilota.

Mara wstała ze swojego łóżka. Ona za to czuła się bardzo senna i zmęczona. Nic dziwnego; nie umiała przestać rozmyślać o rzeczach, które powinna zrobić przed udaniem się na spoczynek. To jej nie pozwalało porządnie odpocząć.

- Artoo, połącz mnie z oficerem dyżurnym admirała Wuhta - poleciła w pewnej chwili.

R2-D2 dziarsko zagwizdał i niebawem nad płytą projektora hologramów utworzył się wizerunek umundurowanego mężczyzny.

- Panie majorze, zanoszą się poważne kłopoty - oznajmiła Mara.

Streściła, jak wygląda sytuacja.

Doradca admirała nie ukrywał niezadowolenia.

- Może pani uważać, że nasi ludzie wdają się w konszachty z Brygadą Pokoju - burknął oschle. - To nieprawda. Nie znosimy, kiedy ktoś nakazuje nam troszczyć się o uchodźców, ale nikt z nas nie spiskuje, żeby wydać ich w ręce Yuuzhan. Obiecuję, że w sprawie postępowania władz Spółki CorDuro wdrożymy niezwłocznie własne śledztwo.

- Możecie nie mieć na to czasu - ostrzegła Mara. - Proszę postawić swoich ludzi w stan gotowości bojowej.

Wkrótce potem wrócili Luke i Anakin. Przyniesli smutną wiadomość o śmierci Thrynni Vae i szybko zmieniających się nastrojach w mieście Bburru.

I coś do jedzenia. Mara była potwornie głodna.

- Lepiej chodźmy po Jacena i wyślijmy Anakina do X-skrzydłowca - zaproponowała.

- Dobry pomysł - mruknął niewyraźnie chłopiec. Miał w ustach połowę pożywne-go batonu.

Mara odgryzła kawałek paleczki z kroyie. Kiedy przelknęła, spojrzała na Luke'a.

- Jacen i ja włączymy silniki „Cienia” - oznajmiła. - Idźcie po niego razem z Anakinem.

Luke powoli pokręcił głową.

- Mogą mnie teraz obserwować - powiedział. - Jednak chyba nie znają tak dobrze Anakina ani Jainy.

Mara zmarszczyła brwi.

- Co proponujesz? - zapytała.

- Ty i ja odwrócimy ich uwagę. Niebawem na placu, pod domem Braruna, ma się rozpocząć kolejna demonstracja. Porozmawiamy z jej uczestnikami... otwarcie. W tym czasie Jaina i Anakin dyskretnie uwolnią Jacena. Spotkamy się w doku.

R2-D2 niespokojnie zapiszczał.

- W porządku, Artoo - odezwał się Luke. - Nie zapomniałem o tobie. Weźmiemy cię ze sobą. Bez względu na to, co się wydarzy - dodał łagodnie - nie skrzywdzimy nikogo, o ile to nie będzie sprawa naszego życia albo śmierci. Anakinie, Jaino... wiecie, co robić? Wyjdźcie stąd dokładnie dziesięć minut po nas.

Oboje kiwnęli głowami.

Luke i Mara, jak tylko się odświeżyli, opuścili hotelowy apartament i zeszli na parter po schodach.

- Co słyhać u Jacena? - zainteresowała się kobieta. - Jak tam jego stan duchowy? Czy rozmawiałeś z nim, odkąd...

Nie dokończyła pytania.

- Nie odpowiedział, kiedy pół godziny temu próbowałem porozumieć się z nim przez komunikator - odrzekł Luke. - Może zabrali go funkcjonariusze Braruna?

Nie zamierzał wtrącać się w myśli Jacena z takiej odległości. Mara kiwnęła głową. Cały czas radziła mężowi, żeby bardzo ostrożnie posługiwał się Mocą. Nigdy nie przypuszczała, że to Jacen weźmie sobie do serca jej słowa i że posunie się tak daleko.

Znowu wypożyczyli raketowe skutery. Tym razem jednak Luke wybrał jeden z bocznym koszem. Zanim wskoczył na siodełko, pomógł Artoo-Detoo wśliznąć się do środka.

Mara wzięła drugi skuter - dwumiejscowy, żeby mogła nim zabrać Jacena.

- Jestem gotowa - oznajmiła, siadając na wąskim przednim siodełku. Wystartowali i ruszyli w drogę. Mara leciała tuż za Lukiem, trochę z prawej strony.

Dolecieli na centralny plac miasta Bburru. Rozjaśniały go źródła intensywnego światła, umieszczone tak wysoko, że dawały złudzenie blasku słońca. Mara i Luke zobaczyli cztery wysokie, podobne do kominów mieszkalne bloki. Wznosiły się równie wysoko jak ukośne dźwigary. Zbudowane pośrodku wielkiego placu, wyglądały jak cztery długie szprychy ogromnego koła. Otaczał je park pełen zielonych drzew i krzewów. Nieopodal jednego budynku zaczynał się spory tłum. Zbierał się przed platformą, o wiele wyższą niż ta, którą Mara widziała w Porcie Duggana. Ze wszystkich stron zdążali na plac Durosianie, niektórzy pieszo, inni raketowymi skuterami.

Luke zatoczył łuk i wylądował przy stojaku parkingowym, ustawionym obok dwóch sporych drzew, których gałęzie ugiwały się pod ciężarem zwisających mchów i oplatających je pędów winorośli. Mara pozwoliła, żeby mąż zajął się oceną sytuacji. W pewnej odległości zauważyła inny stojak.

Miała nadzieję, że jej domysły okażą się niesłuszne. Gdyby Yuuzhanie zaatakowali Bburru, zamieszkujący je Durosianie byłiby skazani na śmierć, podobnie jak uchodźcy na powierzchni Duro.

Luke wrócił po chwili i stanął u jej boku. Lekki wiatr rozwiewał mu włosy i różowił policzki. Mara pomyślała, że podoba się jej ten widok. Wpatrywała się w twarz męża na tyle długo, by upewnić się, że on ją rozumie. Poczula w swoich myślach ciepło jego uczucia.

- Jacen nadal tam jest, prawda? - zapytała.

Odwróciła się i lekkim ruchem głowy pokazała budynek wznoszący się najbliżej miejsca demonstracji. Z pewnością Durosjanom zależało, żeby wszystko dobrze widział.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na to, kto stoi na platformie. Okazało się, że siostra Braruna, Ducilla.

- Pojedyncza osoba to siła - mówiła. - Pojedyncza osoba to jedność.

Kiedy ruszyli ku podwyższeniu, mówczyni niespodziewanie umilkła. Widząc Luke'a i Marę, Durosianie rozstępowali się na boki. Kiwali podłużnymi głowami i tworzy-

li coraz szersze przejście. Mara doskonale wiedziała, że Luke świadomie pozwala, by ich otaczali. Na razie nie wyczuwała jednak, aby groziło im niebezpieczeństwo.

W końcu oboje Jedi stanęli przed wysoką platformą, która sięgała im do piersi. Za plecami Ducilli zauważyli dwóch krzepkich strażników. Trzymali nowiutkie pistolety blasterowe typu Merr-Sonn.

Nic dziwnego, że Durosianie rozstępowali się przed nimi, pomyślała Mara. Nie kryjąc rozbawienia, postanowiła iść kilka kroków za Lukiem. Gdyby musieli walczyć, powinni mieć dużo miejsca na wymachiwanie klingami świetlnych mieczy.

Kiedy Durosianie zobaczyli, że Luke dotarł pod platformę i odwraca się ku nim, rozległ się chór głośnych syków. W końcu zapadła cisza.

- Pojedyncza osoba może być silna - zawołał mistrz Jedi. Mara ze zdumieniem stwierdziła, że głos męża brzmi dziwnie głośno i wyraźnie. Doszła do wniosku, że Ducilla korzystała z generatora transmisyjnego pola, aby mogli ją usłyszeć wszyscy Durosianie. - O ileż silniejsze są jednak dwie osoby, które mogą się nawzajem bronić i wspierać!

Pozbawione warg usta Ducilli rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu.

- Rycerze Jedi - odezwała się pogardliwie. - Ostatni wyznawcy wzajemnej zależności. Jesteście słabi z powodu waszych różnic. Kierujecie się w zbyt wiele stron naraz.

Mara zamierzała zabrać głos i się sprzeciwić, ale Luke postanowił wykorzystać ostatnie zdanie Ducilli jako punkt wyjściowy swojego rozumowania.

- Na wielu planetach Nowej Republiki mieszkają istoty najróżniejszych ras, które w tej chwili rozpaczliwie potrzebują pomocy - powiedział. - Czy nie mogliście na pewien czas zrezygnować z okazywania frustracji i wyciągnąć pomocną dłoń do istot słabszych od was?

Zza pleców Mary napłynął chór gniewnych okrzyków:

- SENKA nie ma prawa się wtrącać...

- Uchodźcy w naszym systemie sprowokują wojowników rasy Yuuzhan Vong do ataku...

- Jeżeli przylecieliście na Duro w nadziei, że zdołacie nas przekonać - zadrwiła Ducilla, rozkładając długie ramiona - chyba sami widzicie, że pomyliliście się w swoich rachubach.

- Wcale się nie pomyliliśmy - sprzeciwił się Skywalker. - SENKA zaproponowała wam umowę. Mieliście dostać z powrotem swoją rodzinną planetę w zamian za pomoc w dostarczaniu towarów na jej powierzchnię... za co spółka transportowa twojego brata otrzymuje godziwe wynagrodzenie.

Szare policzki Ducilli przybrały ciemniejszą barwę.

- SENKA rozwiązuje problemy uchodźców na tyłu świata, że nie może wysłać własnych wahadłowców - ciągnął Luke. - Nie ma ich aż tyle. O wiele prościej, taniej i łatwiej jest liczyć na waszą pomoc i korzystać z dużych transportowców...

Durosianie zagłuszyli jego słowa głośnymi gwizdami.

Mara zerknęła na najbliższy budynek mieszkalny. Uwolniła myśli i usiłowała wyczuć obecność Jacena za jednym z okrągłych dużych okien. Znalazła go, ale nie potrafiła dokładnie określić miejsca. Artoo-Detoo stał tam, gdzie Luke go zostawił - między

zaparkowanym skuterem z bocznym koszem a kanciastym robotem do sprzątania ulic, który założył masywne chwytaki na pękaty zbiornik. Jaina i Anakin właśnie nadlatywali z dwóch bocznych ulic. Dziewczyna zaparkowała raketowy skuter i zniknęła w budynku mieszkalnym. Anakin jednak wmieszał się w tłum Durosjan i zaczął powoli przeciskać się w stronę platformy.

Mara zmarszczyła brwi. Miał zrobić coś innego.

Ducilla uniosła głowę.

- Rycerze Jedi głosili zawsze tę samą filozofię! - zawołała. - Światłość i ciemność, mądrość i wiedzę... i co nam z tego pozostało? Tylko przemoc i strach!

Za plecami Mary rozległ się chór aprobujących pomruków.

- Ucisk i represje!

Pomruki zabrzmiały jeszcze głośniej.

Luke zerknął w bok. Niewątpliwie wyczuł, że Anakin się zbliża i że promieniuje od niego zdecydowanie i uniesienie. Zaciśnął zęby z irytacją. Jego wargi lekko drgnęły.

- Ile problemów SENKI, z jakimi borykamy się w tej chwili, ma swoje źródło w naukach rycerzy Jedi? - zawołała Ducilla.

A ile z tego, co wygadujesz, ma swoje źródło w naukach Noma Anora? - pomyślała Mara.

Tymczasem Anakin dotarł do platformy i chwycił za krawędź. Pomagając sobie Mocą, wykonał w powietrzu salto i wylądował za plecami mówczynie. Strażnicy wyciągnęli blastery. Niby od niechcenia Anakin trącił jednego lewą stopą, a tamten zachwiał się i upadł. Drugi zdołał wymierzyć w chłopca i strzelił, ale Anakin już zapał klingę miecza. Bez trudu odbił świetlisty promień w bok, a potem ognistą klingą przeciął blaster na dwie części.

Zuch chłopak, mimo wszystko, pomyślała Mara. Tylko właściwie co on chce zrobić?

Luke także wykonał salto i wskoczył na platformę.

- Nie po to tu przyszliśmy! - zawołał, zwracając się do ucznia.

Ostłupiała z przerażenia Mara zobaczyła, że Anakin obraca się na pięcie i staje w pozycji do walki.

- Nieprawda! - odrzyknął. - Właśnie po to!

Widząc, że mistrz Jedi wyciąga własny miecz, uśmiechnął się sardonicznie.

Luke uniosł świetlistą klingę i zaatakował. Zatoczył powolny obszerny łuk. Anakin z wdziękiem sparował cios, złączył klingę z ostrzem broni wuja i pozostał w takiej pozycji kilka sekund.

Dopiero teraz Mara zrozumiała. Anakin wyzwiał Luke'a na pokazowy pojedynek. Zamierzał wykorzystać fascynację Durosjan widokiem broni rycerzy Jedi. Mara już zapomniała, że większość obywateli Nowej Republiki dożywała swoich dni, nie widząc ani razu ognistej klingi świetlnego miecza. Tymczasem zebrani na placu Durosianie mieli okazję oglądać naraz aż dwa miecze, którymi władali doskonale wyszkoleni wojownicy. Widząc, jak zielone ostrze broni Luke'a krzyżuje się z jasnopurpurową klingą miecza Anakina, nie potrafiła powstrzymać lekkiego uśmiechu. Otaczający ją Durosianie zaczęli przepychać się w stronę platformy.

Zastanawiała się, czy teraz, gdy oczy wszystkich zwracają się na niego, jej mąż nie zechce wygłosić przemówienia. Kiedy Luke lekko odepchnął siostrzeńca, stojąca obok Mary Durosjancka szturchnęła pod żebro swojego towarzysza, uśmiechnęła się szeroko i znów wpatrzyła się w platformę. Mara posłużyła się Mocą, aby wyrwać z palców pierwszego strażnika pistolet blasterowy typu Merr-Sonn i zawiesić broń na jednej z najwyższych gałęzi pobliskiego drzewa. Bardzo chciałyby także wskoczyć na platformę, ale doszła do przekonania, że to nie ma sensu. Mogła więcej osiągnąć, pozostając na straży i obserwując wszystko, co się dzieje.

Tymczasem Luke i Anakin dawali pokaz pozorowanego pojedynku. Wykonali pięć czy sześć podstawowych figur: atakowali, bronili się, odbijali ciosy, pozorowali ataki i blokowali się nawzajem. Zarozumiała durosjańska podżegaczka i jej strażnicy wycofali się na tył platformy. Nagle jeden strażnik wyciągnął komunikator i odwrócił się plecami do walczących Jedi. Marze wcale to się nie spodobało.

Niespodziewanie Luke przerwał klasyczną sekwencję ruchów. Aby zadać zaskakujący cios, machnął klingą bardzo nisko. Gdyby Anakin chciał odpowiedzieć na ten atak, musiałby stracić równowagę-

Zamiast tego siostrzeniec odskoczył i skierował klingę w dół. Zetknął ją z ostrzem broni wuja i nie pozwolił się zaskoczyć.

Mistrz Jedi kiwnął aprobująco głową. Mara wyczuła, że jest zadowolony i dumny.

Tymczasem Anakin przeszedł do nietypowego ataku. Uniósł klingę i starał się zadać szybkie, lekkie ciosy. Mara nie mogła się nadziwić, jak wprawnie uczeń męża posługuje się Mocą, jak starannie mierzy i określa siłę ciosów. Zachwycała się, widząc jak przewiduje i wyprzedza ruchy wuja, aby przedzierać się przez oczywiste bloki i parady.

Nagle Luke przystąpił do nietypowej aktywnej obrony. Zmusił Anakina do wykonywania ruchów, których młody Jedi jeszcze nigdy nie ćwiczył. Mara zorientowała się, że jej mąż jest równie jak ona zdumiony i zachwycony.

Martwiła się trochę, czym zakończy się rywalizacja braci Solo. Dopiero teraz się przekonała, że tocząc ćwiczebne pojedynki z Jacenem -walczącym podobnie, ale wykonującym inne ruchy -Anakin zrobił niewiarygodne postępy.

Istniał jednak pewien problem. Z każdą chwilą tłum gęstniał. Kiedy strażnik Ducilli schował komunikator, Mara domyśliła się, że oglądający walkę dwóch Jedi widzowie już niedługo pozostaną nieuzbrojeni.

Jacen przyglądał się tłumowi Durosjan obserwujących pozorowany pojedynek. Nagle usłyszał ciche pukanie do drzwi wejściowych.

Odszedł od okrągłego transpastalowego okna i przypomniał sobie, że nie wyłączył ani nie usunął urządzeń podsłuchowych. Widząc na placu, jedenaście piętér niżej, Luke'a, Anakina i Marę, miał przecucie -choć nie posłużył się Mocą - że to może być Jaina.

Obszedł szybko sypialnię i pozdejmował ze ścian ukryte aparaty podsłuchowe. Dopiero potem przycisnął guzik na panelu kontrolnym. Płyta drzwi schowała się w ścianie i do pokoju weszła siostra.

- Cześć - powiedziała.

Jacen wystawił głowę na korytarz i zerknął w prawo i w lewo. Strażnicy, wsparci plecami o ścianę, smacznie spali. Młodzieniec pokręcił głową. Rzucił urządzenia podsłuchowe na podolek bliższego strażnika, wycofał się do sypialni i zamknął drzwi wejściowe.

- Cześć - odpowiedział. - Miło, że mnie odwiedziłaś.

Siostra miała na sobie kamizelkę, częściowo osłaniającą brązowy lotniczy kombinezon. Jacen nie mógł nie zauważyć obcisłej czapki na jej ostrzyżonej głowie.

- Wspaniała fryzura - dodał, lekko się uśmiechając.

Siostra spiorunowała go spojrzeniem. Zauważyła, że jego czapka leży na łóżku.

- Pilnuj swojego nosa - burknęła. - A właściwie co tutaj robisz? Czekasz, aż stopnieją lody planety Hoth?

- Wicedyrektor Brarun wysłał wiadomość, że niedawno w jednym z doków widziano mistrza Skywalkera - odparł Jacen. - Pragnie odbyć rozmowę z nami wszystkimi. Chcesz trochę zimnego kroyie?

- Chyba żartujesz.

Jaina podeszła do okna, stanęła z boku i ostrożnie zerknęła na zewnątrz.

- Jedyni strażnicy czuwają na korytarzu - oznajmił młody Jedi. - To znaczy, czuwali - poprawił się po chwili. - Wygląda na to, że nie sprawili ci specjalnego kłopotu.

- Rzeczywiście, jak na strażników, nie spisali się najlepiej - przyznała dziewczyna.

- Myślę, że mieli tylko powiadomić Braruna, gdybym chciał wyjść z tej sypialni - stwierdził Jacen. - Nic więcej.

Jaina pokazała w dół, na platformę. Jacen doskonale widział wszystkie ruchy krzyżujących się raz po raz ostrzy - zielonego i purpurowego - obu świetlnych mieczy.

- Widzisz to? - zapytała. - Toczą pozorowany pojedynek na twoją cześć. Odwracają uwagę widzów, żebym mogła cię stąd wyciągnąć.

Wracamy do Gateway.

- Czy to konieczne? - zapytał Jacen. - Czekam na ważną rozmowę z wicedyrektorem Brarunem...

Jaina odwróciła się jak użądłona.

- Czy chociaż odrobinę orientujesz się, co się dzieje wokół ciebie? - wybuchnęła.

- A co z tobą? - odparł łagodnie. - Zaczynasz odzyskiwać ostrość wzroku?

- No cóż, jeżeli o to chodzi, zdążyłam zapomnieć, jaki masz wielki nos i brodę.

Jacen cicho parsknął. Rzeczywiście, w ciągu ostatniego roku rysy jego twarzy wyraźnie okrzepły. Tymczasem Jaina od dobrych trzech albo czterech lat w ogóle się nie zmieniała. Jej brat uważał to za jawną, chociaż tymczasową niesprawiedliwość, związaną z koniecznością dorastania u boku siostry bliźniaczki.

- Posłuchaj - powiedziała dziewczyna. - Niedawno ciocia Mara i ja zdemaskowałyśmy agenta Yuuzhan, który prowadził działalność na terenie kolonii Gateway. O mało nas nie zabił. - Ściągnęła czapkę, żeby pokazać pokryte syntetycznym ciałem rozcięcie

nad prawym uchem. -A wujek Luke odkrył, że twój drogi wicedyrektor Brarun utrzymuje kontakty z Brygadą Pokoju.

Jacen poczuł bolesny skurcz żołądka.

- Czy to właśnie dlatego tak bardzo starał się uwięzić jakiegoś Jedi? - zapytał. - Pewnie zbiry z Brygady Pokoju doszły do wniosku, że Yuuzhanie chcieliby się dowiedzieć, jak nas uśmiercać.

- Możesz przyznać sobie medal - burknęła dziewczyna. - A ty po prostu siedzisz tutaj, ślepy i głuchy na wszystko, co dzieje się wokół ciebie. Już zupełnie przestałeś wsłuchiwać się w Moc? Niczego nie przeczuwasz? Niedługo wydarzy się coś strasznego. Znowu.

Jacen wsunął dłonie do kieszeni. Dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Prawdę mówiąc, ja... - zaczął i urwał. - Wyrzekłem się stosowania Mocy. Całkowicie. Wujek Luke rzucił mi wyzwanie, a ja... czuję się zmęczony, Jaino. Jeżeli nie mogę się posługiwać siłami ciemności, żeby walczyć z ciemnością, może także nie powinienem uciekać się do przemocy, aby pokonać przemoc. Czuję się, jakbym... czekał, aż coś się wydarzy.

Jaina uniosła brwi.

- Chcesz wiedzieć, co się wydarzy? - zapytała. - Kolejna inwazja, Jacenie. A ty leżysz ze mną, bez względu na to, czy ci się to podoba czy nie.

Odchyliła kamizelkę i wymownym gestem położyła dłoń na kolbie blastera.

Zdumiony Jacen usiadł na łóżku.

- Zmusisz mnie, żebyśmy poleciał z tobą? - spytał.

Jego siostra wyciągnęła blaster. Jacen dostrzegł, że broń jest nastawiona na ogłuszenie.

- Może chcesz uchodzić w oczach wszystkich za bohatera tragicznego - rzekła stanowczo - ale to ci się nie uda. Tak, mój zidiociały braciszku. Zamierzam cię zmusić.

Młodzieniec uśmiechnął się półgębkiem. Sprawiał wrażenie prawie uszczęśliwionego. Ktoś usunął mu spod stóp wszechświat, a dziwaczna wizja nakłaniała go do podążania ku celowi, którego nie znał i nie rozumiał. Jaina się nie zmieniła. Po prostu dorosła.

- Pójdę z tobą - oznajmił, wyciągając rękę.

- I odpowiesz strzałami, jeżeli ktoś otworzy do nas ogień?

- Przypuszczam, że nie będę miał innego wyjścia. Może jednak nikt nas nie zaczepi. - Wyciągnął otrzymaną od Gnososa płytkę z próbką głosu. -Zaproponowano mi, żebyśmy wypożyczyli repulsorową kapsułę.

- Czyją? - Jaina zmrużyła oczy.

- Pewnego Sunezjanina.

- Jednego z tych dziwacznych kapłanów?

Jacen wzruszył ramionami.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby któryś z nich przeszedł na ciemną stronę.

Jaina zmarszczyła brwi i wręczyła blaster bratu bliźniakowi. Z innej kabury wyjęła drugi blaster.

Jeszcze raz zerknęła przez okno. Zmarszczka na czole trochę się wygładziła.

- Ho, ho - powiedziała. - Może jednak nie uda się nam stąd uciec.

Jeżeli Luke zamierzał wygłosić przemówienie, to niewątpliwie już wiedział, że się spóźnił. W pewnej chwili Mara usłyszała, że ktoś strzelił za jej plecami - sądząc po natężeniu dźwięku, z małego blastera typu BlasTech DW-5. Luke uskoczył w bok i odbił błyskawicę świetlistą klingą swojego miecza.

Mara obróciła się na pięcie. Dostrzegła strzelca i roztrzając Durosjan na boki, ruszyła ku niemu. Bez trudu pchnęła go i pozbawiła równowagi. Kiedy runął na ziemię, wyrwała mu blaster.

Niemal w tej samej chwili usłyszała następny strzał, tym razem z broni większego kalibru. Jakiś Durosjanin krzyknął coś niezrozumiałego. Z pewnością nie żywił przyjaznych zamiarów. Mara nie musiała się rozglądać, żeby wiedzieć, iż zagraża jej niebezpieczeństwo. Ostrzegał ją wrodzony zmysł. Zrozumiała, że na placu pojawili się nowi podżegacze. Starali się zmienić tłum nieszkodliwych, zafascynowanych widzów w krwiozerczą, mściwą bestię. Durosjanie, którzy zaledwie kilka minut wcześniej sprawiali wrażenie niemal przyjaźnie usposobionych, teraz przepychali się i tłoczyli, żeby jak najszybciej opuścić miejsce demonstracji.

Nagle Mara poczuła, że ktoś ją chwytą za lewe ramię. Odwróciła się i wykorzystwała impet, aby rzucić trzymającego ją Durosjanina na jego sąsiada. Obaj runęli na ziemię. Niemal w tej samej sekundzie zaatakowało ją od tyłu dwóch innych napastników. Kobieta skrzyżowała ręce, aby pochwycić bliźszego, a później nachyliła się i poczuła, jak Durosjanin ześlizguje się po jej plecach.

Rozprostowała palce i rozluźniła mięśnie. Tak czy owak, miała dość przyglądania się, jak Anakin i Luke dobrze się bawią. Podświadomie wyczuwała, że grożące jej niebezpieczeństwo trochę się zmniejszyło. Otaczało ją tylu Durosjan, że żaden nie użyłby broni w obawie, żeby nie zabić lub zranić innego Durosjanina. Zanosilo się więc na walkę wręcz, a tę mogła toczyć nawet podczas snu albo z zawiązanymi oczami. Potężny kopniak, wzmocniony wściekłością, jaką odczuwała na myśl, że pozwoliła uciec Nomowi Anorowi, posłał następny blaster na sam wierzchołek pobliskiego drzewa.

Gdyby jednak potknęła się i upadła, mogłoby ucierpieć jej dziecko. Mara skupiła się, żeby stawić czoło kolejnym zagrożeniom. Raz po raz wyszarpywała jakiś blaster i posyłała na oplecione winoroślą gałęzie to tego, to znów innego drzewa. W pewnej chwili zaatakowało ją sześciu Durosjan naraz. Mara pozwoliła im podejść na tyle blisko, aby mogli ją złapać... a potem odbiła się i poszybowała w powietrze w kierunku automatu do sprzątania ulic i astromechanicznego robota. Wyczuła za plecami jeszcze jedno ognisko starannie kontrolowanej przemocy. Domyśliła się, że Anakin i Luke także przedzierają się przez tłum Durosjan.

Nagle zauważyła, że grupa obcych istot zgromadziła się wokół Artoo-Detoo. Kopułka robota obróciła się najpierw w lewo, a potem w prawo. Rozległo się przerażone piknięcie.

Mara przystąpiła do ataku. Pomagając sobie Mocą, zaczęła odrzucać Durosjan na boki. Jeden z napastników zdołał jednak pochwycić Artoo. Mara zobaczyła błysk elek-

trycznego wylądowania i porażony Durosjanin odskoczył. Chwilę potem robotą usiłował złapać inny napastnik. R2-D2 także go poraził.

Nagle Mara zauważyła, że grupa innych tubylców wspięła się na automat do sprzątanania ulic. Silnik kolosa ze złowieszczym rykiem obudził się do życia.

Jaina i Jacen nie skorzystali z turbowindy. Zeszli awaryjnymi schodami. Kiedy pozostały im tylko dwa piętra, chłopiec usłyszał dobiegający z dołu odgłos kroków. Cofnął się i gestem powstrzymał siostrę, która miała na twarzy maskę z obiektywami. Kroki było słychać coraz głośniejsze. Ktoś wchodził po schodach.

Nagle wszystko umilkło.

Jacen stanął blisko Jaina i przycisnął się plecami do ściany. Zerknął na blaster, podniósł broń do oczu i upewnił się, że jest nastawiona na ogłuszanie.

Gdy ją opuścił, jego siostra oderwała się od ściany, przytrzymała się poręczy, odbiła się i zniknęła.

Młody Jedi zaczął schodzić na pierwsze piętro. Zanim dotarł na podest, usłyszał huk strzału z blastera. Niepełna sekundę później dostrzegł trzech Durosjan w mundurach spółki CorDuro. Dwóch leżało na stopniach schodów, a trzeci biegł do drzwi. Jacen strzelił i ogłuszył go. Zorientował się, że Jaina skręciła w korytarz pierwszego piętra. Odszukał ją bez trudu. Siostra biegła ku bocznemu wyjściu.

Puścił się za nią. Wcale nie był zadowolony z tego, co zrobił. Wcale a wcale. Nie postąpił słusznie. Był rycerzem Jedi - szkolonym, żeby chronić innych. Innych, ale także siebie.

- Tędy! -zawołał.

Gestem skierował siostrę do garażu. Przystanął pod czytnikiem i wsunął w szczelinę w ścianie płytkę, którą dostał od Sunezjanina.

Zaparkowana w najbliższym rzędzie repulsorowa kapsuła uniosła się w powietrze i podpłynęła do Jacena.

Czyszciciel ulic machnął w kierunku Artoo długim metalowym chwytakiem. Mara wiedziała, że nie zdąży dobiec, by kolosa powstrzymać. R2-D2 poszybował w górę. Rozległ się chór gniewnych, triumfujących okrzyków.

Mara zauważyła, że z garażu na pierwszym piętrze mieszkalnego budynku wystrzeliła repulsorowa kapsuła. Uwolniła myśli i upewniła się, że lecą nią bliźnięta Solo. Skierowała więc myśli w inną stronę i trąciła nimi męża. Luke i Anakin bronili się przed tłumem atakujących Durosjan. Starali się odwracać ich uwagę, a kiedy już nie mieli innego wyjścia, usypiali i układali napastników na kamiennym chodniku.

Mara odbiła się i poszybowała w powietrze. Wylądowała na poprzeczce jednego z ukośnych wsporników, które sterczały z placu i łączyły się pod sztucznym sklepieniem. Upewniła się, że nie spadnie, po czym posłużyła się Mocą, by przytrzymać spadającego Artoo.

Zmodyfikowała jego trajektorię lotu. Niczym srebrzysto-miedziany pocisk, astro-mechaniczny robot zatoczył łuk w powietrzu i skierował się z powrotem.

Przerażeni Durosjanie rozbiegli się na boki. Rozstąpił się także tłum napastników, atakujących Luke'a i Anakina.

Mistrz Jedi poderwał się do biegu. Oddalając się od repulsorowej kapsuły z bliźniętami na pokładzie, skierował się do zaparkowanego przez żonę raketowego skutera. Anakin ruszył za nim. Nie wypuszczał zapalonego miecza. Mara skierowała lecącego Artoo w ich stronę i ostrożnie opuściła na ziemię. Automat natychmiast wysunął trzecią kończynę i potoczył się ku nim.

Kobieta ciężko oddychała. Uświadomiła sobie, że to nie ona kierowała lotem astromechanicznego robota. To Moc wykorzystywała część rezerwowej energii, ale kierowanie jej przepływem wyczerpało jej siły. Mara sfrunęła z poprzeczki, wylądowała na ziemi i puściła się w pogoń za mężem i siostrzeńcem. Zobaczyła, że biegnący tuż przed nią Anakin odbił świetlistą klingą miecza sporą grudę ziemi, która już miała się rozbić na jego głowie.

- Ukryj Artoo - poleciła mu, gdy go dogoniła. - Postaramy się odciągnąć ich gdzie indziej.

Luke wspiął się na siodelko raketowego skutera i uruchomił silnik. Mara usadowiła się za plecami męża. Mistrz Jedi wystartował tak szybko, że musiała się go przytrzymać.

- Niezupełnie o takie... odwrócenie uwagi... nam chodziło - wy-dyszała, opierając brodę na jego ramieniu.

- Anakin trochę zmienił nasz scenariusz - przyznał Luke. - Nie stało się nic złego, tyle że pokrzyżował plany naszej ucieczki.

Zatoczył łuk i zawrócił. Przeleciał nisko nad głowami Durosjan ścigających Artoo-Detoo i Anakina, a potem skręcił w ulicę, przy której mieściło się wiele sklepów. Mara odwróciła głowę. Anakin właśnie skręcał za róg jakiegoś domu. Chwilę później zniknął jej z oczu. Tłum Durosjan puścił się w pogoń za Lukiem.

- Jak teraz dostaniemy się do „Cienia”? - zapytała.

Obejmując męża jedną ręką, uniosła drugą, żeby wsunąć za ucho rozwiane pasma włosów.

- Coś wymyślimy - odparł beztrudno mistrz Jedi.

- Myśl szybko, Skywalkerze - poprosiła Mara. Wiedziała, jak bardzo jej mąż lubi taką jazdę, ale była potwornie zmęczona.

Nie przemogła się jednak, żeby mu to powiedzieć.

ROZDZIAŁ

21

Jacen zapiął pasy uprząży i obserwował, jak Jaina pilotuje wypożyczoną kapsułę repulsorową. Lecieli ulicą, po której obu stronach mieściły się biura handlowe producentów różnych towarów. Dziewczyna oświadczyła, że widzi wszystko wyraźnie.

Kiedy skręciła za róg, puścili się za nimi w pościg piloci trzech innych kapsuł z wymalowanymi trójkątami spółki CorDuro.

- Nie zwalniam - odezwał się Jacen. - Właśnie...

- Dlaczego uważasz, że miałabym zwolnić? - przerwała siostra.

- Właśnie zauważyłem, że lecą za nami trzy kapsuły - dokończył młody Jedi. - Ze znakami spółki CorDuro na kadłubach.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Jaina przyspieszyła i skręciła w kierunku rampy dojazdowej środka transportu publicznego, którym można było się dostać do Portu Duggana. Na szczęście jeszcze nie zapadł zmierzch i ruch na ulicach o tej porze nie był zbyt duży.

- Chcę powiedzieć, żebyś tam nie leciała! - wykrzyknął Jacen. - Leć do jakiegoś prywatnego doku! Nie zdołamy dotrzeć nawet w pobliże głównego lądowiska!

- To właśnie tam Mara zostawiła „Cień” - burknęła Jaina. Bez wahania jednak zmieniła kurs. Przeleciała obok piętrowego budynku tak blisko, że szaroskórzy przechodnie rozpierzchli się na boki. - Uprzedź mnie tylko, gdybym miała zderzyć się z czymś małym.

Jacen spojrział na jej maskę z obiektywami i zgrzytnął zębami.

- Dobrze - odparł. - Może teraz mi powiesz, co wiecie na temat Thrynni Vae i spółki CorDuro?

- I Brygady Pokoju, jak podejrzewamy - dodała dziewczyna.

Opowiedziała zwięźle, czego zdołali się dowiedzieć. Raz po raz przerywała, żeby skręcić, wykonać unik albo zanurkować. Widząc, jak radzi sobie ze sterami repulsorowej kapsuły, Jacen musiał dojść do wniosku, że siostra rzeczywiście widzi coraz lepiej. Na ogół.

- Wiem tylko - zakończyła - że Thrynni Vae nie żyje, Brarun jest na czyjejś liście płac, ale nie SENKI, a mama od nowa upycha uchodźców na pokładach gwiazdnych statków.

- Lepiej znajdziemy jakiegoś nieskorumpowanego rządowego pracownika, powiedzmy mu o Brarunie i...

- Jasne - przerwała Jaina. - Jakbyśmy mieli na to czas. Jacen obejrzał się.

- Nie zgubiliśmy ich - oznajmił ponuro.

- Masz jakiś pomysł? - zapytała siostra. - Czy czekamy, aż złapie nas drogowka za przekraczanie dozwolonej prędkości lotu?

- Daj mi swój komunikator - zdecydował młodzieniec. - Postaram się skontaktować z wujkiem Lukiem albo ciotką Marą.

Kiedy rozległo się ćwierkanie komunikatora, Mara wcisnęła się głębiej we wnękę drzwi i odwróciła głowę w kierunku gęstniejącego mroku. Czowała na plecach ciepło męża. Przynajmniej na razie udało się im zmylić prześladowców.

- Tu Mara - odezwała się półgłosem.

- Lecimy do was - usłyszała głos Jacena - ale nie zdołamy się przedrzeć na lądowisko, gdzie zostawiłaś „Cień”. Postaramy się znaleźć coś innego i spotkamy się z wami na dole, w kolonii Gateway. Jesteście cali i zdrowi?

- Tak. - Ścisnęła mocniej obudowę komunikatora. - Byliśmy... zajęci - dokończyła po chwili. I atakowani, ostrzeliwani, obrzucani grudami ziemi. - Jeżeli się znów pokazemy, może dojść do rozlewu krwi. Staramy się pozostawać niewidzialni.

- A zatem do zobaczenia na powierzchni Duro - zakończył Jacen.

W Bburru zapadał zmierzch. Wielkie światła przygasały. Mara ledwo widziała kopułkę Artoo-Detoo. Anakin umieścił go w pustym pojemniku na drzewo i stał obok na straży. Ostatniego prześladowcę zgubili, zanim skręcili w wąską uliczkę.

Mara schowała do kieszeni komunikator.

- No, dobrze - odezwał się Luke. W prawej dłoni trzymał wyłączony miecz świetlny. - Przekonajmy się, co znajdzie Artoo.

Mały robot ostrzegł ich, że ktoś włamał się do wynajętego apartamentu hotelowego, by umieścić urządzenia rejestrujące i podsłuchowe, a także generatory sygnału namiarowego w ich podróznym neseserach. Nic poważnego, ale odnalezienie i usunięcie urządzeń mogło okazać się czasochłonne i kłopotliwe. Powinni jak najszybciej dostać się na lądowisko, gdzie zostawili „Cień Jade”. Nie mogli tracić czasu na udawanie kogoś innego.

Wyszli na ulicę i przemykając się w zapadających ciemnościach pod ścianami domów, odnaleźli następny terminal publicznego systemu informatycznego. Tym razem Mara stanęła na straży, a Skywalker osłaniał Artoo, który dokonywał kolejnego włamania. Zaledwie kilka sekund później mistrz Jedi machnął ręką na znak, że jego żona może wyjść z kryjówki w gąszczu butwiejących roślin; sam, razem z R2-D2, ruszył w stronę lądowiska.

Mara zaczęła, aż oddali się o kilka metrów, a potem podążyła za nim. Wyczuwała, że Anakin idzie za nią mniej więcej w takiej samej odległości. Zauważyła przechodzących w oddali kilku Durosjan, ale wyczuła, że jej mąż posłużył się Mocą, żeby ukryć uciekinierów w ciemnościach zapadającej nocy.

Astromechaniczny robot znalazł pusty pokój z wyjściem na ulicę. Mogli tam odpocząć, coś zjeść i zaczekać, aż nastroje w Bburru opadną na tyle, żeby bezpiecznie dotrzeć na lądowisko.

Kiedy wchodzili do pokoju, Anakin sprawiał wrażenie rozczarowanego.

- Idź i rób, co chcesz - odezwała się Mara. - Tylko upewnij się, że nikt cię nie zauważy.

Chłopiec uśmiechnął się i wyraźnie ożywił. Chwycił kilka koncentratów spożywczych i prawie wybiegł z pokoju.

Mara osunęła się na wąską ławę w ciasnej śniadaniowej łóży.

- Posuń się trochę - powiedział cicho Luke, siadając na końcu ławy. - Proszę.

Odsunęła się na bok i oparła głowę na jego ramieniu. Wiedziała, że nie zaśnie. Nie było na to czasu.

- Ty też czujesz się tak dziwnie? - zapytała. Luke objął ją i przyciągnął do siebie.

- Coś w tym złego? - spytał.

- Nie - odparła, uśmiechając się z przymusem. - Po prostu czuję się nieswojo.

- Ach, o to ci chodzi - domyślił się Skywalker. - Że nie rwiemy się do walki i pozwalamy, żeby pałeczkę przejęło młode pokolenie?

Mara kiwnęła głową.

- Nadal musimy ich jeszcze wielu rzeczy nauczyć - rzekła. - Jeszcze nie są gotowi.

Luke zacisnął palce na ramieniu żony.

- Ja także kiedyś nie byłem gotów - przypomniał poważnie. - Ty przynajmniej byłaś świetnie wyszkolona. Nie do wiary, jakie zaufanie musiał mieć Obi-Wan Kenobi, kiedy pozwolił, żeby Vader... ojciec... pokonał go na pokładzie pierwszej Gwiazdy Śmierci.

- Zaufanie do ciebie - powiedziała Mara.

- I do Mocy - dodał Skywalker. Dotknął policzkiem głowy żony. - Masz rację, to wcale nie jest łatwe ani proste. Może właśnie dlatego nie obawiam się o Jacena tak bardzo... jak Jaina.

- I jak ja - oznajmiła kobieta.

- Moc jest w nim bardzo silna - ciągnął mistrz Jedi. - Pragniemy pokazać mu słuszną drogę i staramy się, jak możemy, wpłynąć na jego wybór, ale w końcu...

- ..to jego życie - dokończyła Mara. Z trudem powstrzymywała ziewanie. Do licha, ależ była zmęczona! - I Anakina. I Jainya. Mam nadzieję, że nie starałeś się poznać ich przyszłości?

Luke pokręcił głową.

- Próbowałem raz, jakiś tydzień temu - przyznał cicho. - Przyszłość zawsze jest w ruchu, teraz jednak śmiga tak szybko, że jedne elementy przeczą innym. A tylko jedna przyszłość będzie miała okazję się ziścić.

- To niesamowite i tajemnicze, prawda?

Luke kiwnął głową i spojrzał na żonę.

- Maro, jesteś wyczerpana - powiedział. - Czy pozwolisz, żebym cię odświeżył? To znaczący... za pośrednictwem Mocy.

- Chyba wiem, o co ci chodzi - odparła. Wieśniaku - chciała dodać, rozbawiona, ale i wzruszona. Choć od ich ślubu upłynęło prawie siedem lat, jej mąż był zawsze tak samo nieśmiały i niewinny.

Co więcej, mimo upływu tylu lat, Mara ciągle nienawidziła się poddawać, ugiąć i przyznawać do porażki - czy to Luke'owi, czy komukolwiek innemu. Uczyła jednak dzieci Solo, że praca w zespole oznacza pomaganie sobie nawzajem. Najtrudniejszym etapem poddawania się woli męża było zawsze zrobienie pierwszego kroku.

Zazwyczaj to ona go robiła.

- Dobrze - szepnęła tak cicho, że zabrzmiało to jak westchnienie. - Proszę.

Poczuła to samym skrajem świadomości. Wydało się jej, że dotknęła rozżarzonego do białości światła. Czowała, że po jej ciele rozprzestrzenia się dziwna siła, bezwarunkowa aproba i miłość, głęboka i potężna niczym fala kalamariańskiego przyboju. Pogrążyła się w niej bez reszty, wchłonęła ją, zaczęła się w niej nurzać. Zachwycała się jej świeżością i czystością, a kiedy skończyła, pchnęła jak Luke'owi tak mocno, jak umiała.

Gdy otworzyła oczy, stwierdziła, że leży obok niego, przytulona, i przyciska mocno wargi do jego ust.

Zamknęła oczy i przyciągnęła go jeszcze bliżej.

Kiedy Jaina śmignęła obok gmachów przedstawicielstw handlowych, Jacen zebrał się w sobie. Doszedł do wniosku, że ulice w tej dzielnicy miasta nie są na tyle kręte, żeby mogli zmylić prześladowców, a silnik kapsuły nie dość elastyczny i wydajny, aby mogli jeszcze bardziej przyspieszyć.

Czego innego mogłem się spodziewać po pojeździe sunezjańskiego kapłana? - pomyślał z goryczą.

- Postaraj się, żeby chociaż na jakiś czas stracili nas z oczu - poprosił, zbliżając usta do ucha siostry. - Później nastaw automatycznego pilota na samoczynne lądowanie, a kiedy kapsuła zwolni i opadnie, wyskoczmy.

- Co za wspaniały pomysł - burknęła dziewczyna. - Wprost bajeczny.

- A masz lepszy?

Jaina skrzyła za róg i utrzymywała dużą prędkość jeszcze kilka sekund. Leciąca cały czas prosto. W pewnej chwili skrzyła w wąską przecznicę.

- Nie - odparła, przestawiając rękojeści kilku dźwigni. - Wsiadka.

Otworzyła kłapę wjazdu kapsuły, która wciąż jeszcze leciała z imponującą prędkością. Przycisnęła jakiś guzik i wyskoczyła.

Jacem poszedł w jej ślady. Nie pomagając sobie umiejętnościami Jedi, z dużym impetem zderzył się z twardą nawierzchnią ulicy. Na szczęście umiał lądować w takich sytuacjach. Potoczył się i nie zrobił sobie krzywdy.

- Tędy! - zawołał, kiedy zerwał się na nogi.

Jaina także się pozbierała. Skręcili i zniknęli w wąskim przejściu między budynkami.

- Nic sobie nie zrobiłaś? - zaniepokoił się Jacen.

- To nie ja jestem idiotą, który wyrzekł się władania Mocą - burknęła dziewczyna.

Odczekali kilkanaście sekund, ale ich prześladowcy się nie pojawiali. Jacen postanowił inaczej wyrazić swój niepokój.

- Jak dobrze teraz widzisz? - zapytał. Jaina poprawiła maskę na twarzy.

- Pilotowałam tę kapsułę, prawda?

- Jasne, pilotowałaś - przyznał młodzieniec. - I to całkiem niezłe.

- No, dobrze - rzekła Jaina. - Jakiś czas będziemy udawali Durosjan.

Widocznie posłużyła się Mocą, żeby zatrzeć rysy ich twarzy, bo bez trudu dostali się do prywatnego doku. Dziewczyna machnęła dłonią nad szczeliną czytnika identyfikacyjnych dokumentów. Weszli na pokład niewielkiego prywatnego promu i bez kłopotów wystartowali w przestworza.

Jacen zapiął pasy ochronnej sieci. Miał wyrzuty sumienia. Przedtem, siedząc obok Jainya, nie sprzeciwiał się, gdy posługiwała się Mocą, a teraz... to była zwyczajna kradzież.

Nie chciał jednak nadkładać drogi. Nie zamierzał ryzykować, żeby dostać się na lądowisko, gdzie pozostawił rozklekotany stary wahadłowiec, na którego pokładzie przyleciał z kolonii Gateway.

Jaina wpisała do pamięci nawigacyjnego komputera parametry trajektorii lotu, przypominającego kontrolowane opadanie z geosynchronicznej orbity.

- Popatrz na dół - mruknęła w pewnej chwili.

Pokonywali najniższe warstwy atmosfery. Nagle z sykiem obudził się do życia pokładowy komunikator.

- Nadlatujący prom - zabrzmiał męski głos. - Zwolnijcie i przedstawcie się. W tej kolonii ogłoszono stan pogotowia.

- Tu... eee... prom NM-KO dwa osiem - odparł Jacen, odczytując symbole z identyfikacyjnej płytki. Zmarszczył brwi i przeniósł spojrzenie na siostrę. - Zwalniamy - dodał po chwili. - Czy pani administrator Organa Solo jest bardzo zajęta? Mamo, jesteś tam?

Chwilę potem w sterowni rozległ się głos Leii.

- Jacen! Czy lecą z tobą Anakin i Jaina?

- Tylko Jaina - odparł młodzieniec.

- Domyślam się, że to ona pilotuje - rzekła Leia. - Zwolnij jeszcze trochę, Jaino.

Ilu pasażerów zdołacie wcisnąć na pokład tego promu? I czy macie jednostkę napędu nadświetlnego?

Zabrzmiało to złowieszczo, zwłaszcza po tym, co Jacen usłyszał od Jainya.

Młody Jedi popatrzył na kontrolny panel i obejrzał się do tyłu.

- Mamy miejsce dla pięciu albo sześciu pasażerów. Nasz prom może dokonywać skoków przez nadprzestrzeń.

- Doskonale - rzekła Leia. - Zaparkujcie go...

Podawała współrzędne miejsca lądowania. Jacen stwierdził ze zdumieniem, że mieli osiąść na głównym lądowisku. Zrozumiał, że kwarantanna w kolonii Gateway została odwołana.

Jaina wylądowała małym statkiem nieopodal krateru startowego, na samym skraju spowitego mgłą lądowiska. Po rampach kilku frachtowców i holowników wchodziły i

zbiegały postacie w jaskrawo-pomarańczowych ochronnych skafandrach. Inne usuwały grube warstwy osadu z parabolicznych anten i iluminatorów. Jacen nabrał ostatni haust czystego powietrza i pospieszył w ślad za siostrą w kierunku wlotu najbliższego rękawa cumowniczego.

Kiedy wylonił się po drugiej stronie elastycznej synplastowej rury, usłyszał, jak jego matka wydaje zwięzłe polecenia. Skreślił w lewo i skierował się tam, skąd dobiegał głos Leii. W ośrodku łączności wzniesionym z durbetonowych bloków, dokąd nie było wolno wchodzić podczas kwarantanny, ustawiono trzy wielkie, pochyle konsolety z holograficznymi wyświetlaczami. Nad urządzeniami znajdował się mały ekran, ukazujący sytuację w przestworzach systemu Duro. W powietrzu unosiła się woń jedzenia, jakby ktoś wziął sobie spóźnioną kolację. Leia pochylała się nad komunikatorem. Miała na głowie biały turban, a u pasa, na wydanym przez SENKĘ niebieskim mundurze, wisiała rękojeść świetlnego miecza.

Jaka szkoda, że musiała obciąć włosy, pomyślał młodzieniec. Gdyby zaczekała kilka dni, aż kwarantanna zostanie odwołana, może w ogóle nie musiałyby ich obcinać.

Na odgłos kroków bliźniąt Leia odwróciła się do nich i uśmiechnęła.

- Jacenie, Jaino, świetnie, że jesteście - powiedziała. - Zabierzcie na pokład swoje go promu, kogo zdołacie, i odlećcie z tej planety. Nie sądzę, żebyśmy mieli dużo czasu.

- Mamy miejsce dla ciebie, mamo - odezwała się Jaina, wysuwając się przed brata. - Dla ciebie, dla Olmakha... - W mrocznym kącie dostrzegła zawsze towarzyszący Leii szary cień. - I może jeszcze dwóch innych osób.

- Nie mogę teraz odlecieć - oznajmiła Leia. - Wynoście się stąd, zanim przylecą wojownicy rasy Yuuzhan Vong.

- Może w ogóle nie przylecą.

Jacen poznał dobiegający z ciemnego kąta głos. Odwrócił się w tamtą stronę.

- To ty, Rando? - jęknął.

Obok młodego Hutta stał drugi strażnik rasy Noghri, Basbakhan. Leia wzruszyła ramionami.

- Stara się nie wchodzić mi w drogę - stwierdziła. - Wolę jednak, żebyście zabrali go ze sobą. Wyświadczycie mi wielką przysługę.

- Jeżeli ty zostajesz, mamo - oświadczyła stanowczo Jaina - to ja także.

- Posłuchajcie... - zaczęła Leia, zwracając się do bliźniąt. - Zanim...

Nie dokończyła zdania. Na skraju ekranu ukazującego sytuację w pobliskich przestworzach pojawił się rój niezidentyfikowanych jednostek. Jacen wiedział, że dopóki taktycy Wojsk Obrony Przestworzy planety Duro nie rozpoznają w nich przyjaciół albo wrogów, będą wyglądały jak białe plamki. Nie wątpił jednak, że to Yuuzhanie.

- Za późno - mruknęła Jaina.

Wokół orbitalnych miast zaczęły się tworzyć niebieskie siatki ochronnych pól siłowych. Z komunikatora zainstalowanego po prawej ręce Ja-cena i służącego do utrzymywania łączności z Bburru rozległ się głośny szum, a zaraz potem oschły kobiecy głos:

- Uwaga, wszyscy koloniści na planecie Duro. Tu Wojska Obrony Przeworzy. Ukryjcie się w schronach. Nie usiłujcie startować w przeworza. Nasz system jest atakowany.

Leia doskoczyła do innej konsoly, pstryknęła przełącznikiem i pochyliła się nad mikrofonem lokalnego systemu nagłaśniania.

- Uwaga, wszyscy mieszkańcy kolonii Gateway - powiedziała. – Mówi administrator Organa Solo. Jeżeli macie przydział na statek, natychmiast wchodźcie na pokłady. Jeżeli nie, niezwłocznie udajcie się do wyznaczonych schronów. Nie wracajcie do domów po rzeczy osobistego użytku.

Wyłączyła mikrofon.

- Znow się zaczyna - mruknęła bardziej do siebie niż kogokolwiek innego.

Jacen podszedł do niej.

- W czym mogę pomóc, mamó? - zapytał.

Ciemne plamy wykwitły na twarzy Leii.

- Odszukaj ojca - poleciła. - Nie odpowiadał, kiedy usiłowałam porozumieć się z nim przez komunikator. Jaina, jak tam twoje oczy? Dałabyś sobie radę z obsługiwaniem konsoly komunikatora?

- Wszystko w porządku. Oczywiście - odparła dziewczyna. Usiadła na zwolnionym przez Leię twardym krześle. - Hmm... mamó?

W jej głosie brzmiał taki niepokój, że nawet Jacen odwrócił głowę.

- O co chodzi? - zapytała Leia.

- Do tej pory ochronne pola zdążyły otoczyć prawie wszystkie orbitalne miasta - oznajmiła dziewczyna. - Wszystkie z wyjątkiem trzech: Bburru i jego sąsiadów z lewej i prawej strony.

Jacen przeniósł spojrzenie na taktyczny ekran. Rzeczywiście, błękitne pajęczyny cienkich nici otaczały orbitalne miasta i kopuły, usytuowane bezpośrednio pod nimi, wzdłuż równika na powierzchni Duro. Bezbronna pozostawała chyba tylko kolonia Gateway.

Młodzieniec zerknął na siostrę.

- To sabotaż! - krzyknęła Jaina. - Mamó, to my jesteśmy celem ataku Yuuzhan!

- Idź, Jacenie. Nie trać czasu! - rozkazała Leia. - Odszukaj ojca i opowiedz mu, co się dzieje.

Jacen wybiegł na dwór. W kierunku głównej bramy kolonii przepychały się mniejsze i większe grupki istot różnych ras. W pewnej chwili musiał przystanąć, żeby wziąć na ręce błakającą się, przerażoną kilkuletnią Chadra-Fankę. Pomógł jej odnaleźć rodziców. Zauważył, że idący w środku grupy ludzi starszy siwowłosy mężczyzna niesie na ramieniu małego czarnego szeptokotka. Tuż za mężczyzną szło troje dzieci w różnym wieku. Najmłodsze, patrząc na zabawny pyszczek zwierzątka, radośnie chichotało. Z szeroko otwartych oczu dwójki starszych dzieci wycierało przerażenie.

A zatem szeptokotek uniknął ostrzyżenia. Jacen nie wiadomo dlaczego poczuł się nagle podniesiony na duchu.

Szukając ojca, dotarł do dzielnicy Tayana. Grupa Rynów zgromadziła się obok kilku domów otoczonych wyszczerbionym, ale wciąż stojącym wysokim murem. Wy-

czuł, że grant pod stopami drży tu silniej niż gdziekolwiek indziej. Poderwał się do biegu.

W końcu dostrzegł ojca. Han stał na szczycie wysokiej - i nadal rosnącej - hałdy rudobrazowych okruców i odłamków skalnych. Miał na głowie archaiczny hełm ze skóry gonta, spod którego wystawały kosmyki ciemnych włosów. Bez wątpienia, włożył go na znak solidarności z pracującymi istotami.

W pewnej chwili zza stosu wystrzeliła w górę następna fontanna skalnych okruców.

Jacen wbiegł na szczyt hałdy.

- W czym mogę pomóc? - zawołał, starając się przekrzyczeć ogłuszający warkot.

Spojrzał w dół. To musi być maszyna do drażenia tuneli, pomyślał. Rynowie przygotowują schron pod powierzchnią gruntu.

- Dobrze, że już wróciłeś! - Han otarł pot z czoła wierzchem usmarowanej dłoni. - Jeden z Rynów rozdeptał mój komunikator. Jeżeli znasz kogoś, kto nie może schronić się na pokładzie statku albo w ładowni pełzaka, przyslij go do mnie. Ziomkowie Romany'ego zaczęli drażyć ten tunel trzy dni temu. Wymigują się od pracy, dobre sobie! - burknął z goryczą. - Jeżeli nie zdołamy ewakuować kolonistów z powierzchni Duro, ukryjemy ich w labiryncie kopalnianych tuneli i chodników. Chodź, pomożesz.

Nie opuszczając stanowiska w ośrodku łączności, Jaina wydawała zezwolenia na start pilotom statków z ewakuowanymi uchodźcami. W pewnej chwili z ładowiska poderwały się aż dwa transportowce równocześnie. Wznosiły się powoli, obciążone do granic możliwości. Kilka chwil później z kolonii Gateway odjechały trzy ogromne pełzaki. Ich kierowcy obrali kurs na szczytki Trzydziestki Dwójki i pozostawione na pobliskim ładowisku statki karawany Rynów. Z głośnika konsoly Leii napłynął głos Jacena, który meldował, że odnalazł ojca. W przerwach między kolejnymi transmisjami Jaina zerkała na ekran, przedstawiający sytuację w pobliskich przeworzach.

Postanowiła zaryzykować i zdjęła maskę z obiektywami. Zmrużyła oczy i przekonała się, że jeżeli zmruży je jeszcze bardziej, zdoła skupić wzrok na świecących punktach. Jak się spodziewała, nagle białe kropki rozjarzyły się krwistoczerwonym blaskiem. Rój szkarłatnych punkcików kierował się ku planecie Duro. W pewnej chwili rozdzielił się, jakby chciał zaatakować ją w dwóch miejscach równocześnie. Kilkanaście sekund później w przeworzach pojawił się o wiele mniej liczny rój niebieskich kropek, oznaczających jednostki Wojsk Obrony Przeworzy. Wystartowały z orbitalnego miasta Bburru i kierowały się w stronę nieprzyjaciół. Nagle dziewczyna przypomniała sobie, że kiedyś Anakin pokazał jej pewną sztuczkę.

Zgasiła ekran.

- Co ty wyprawiasz? - wybuchnął wściekły Randa.

Kiedy chwilę potem ekran rozjarzył się na nowo, ukazywał dwukrotnie większy wycinek przeworzy niż poprzednio. Oburzenie Hutta przemieniło się w podziw.

Jaina poprawiła czapkę. Przyglądała się, jak połowa czerwonego roju zatacza łuk i zawraca. Dostrzegła, że jedno z nieosłoniętych orbitalnych miast planety Duro, Orr-Om, opuszcza geosynchroniczną orbitę. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem ta

sama osoba, która uszkodziła generatory siłowych pól, nie dopuściła się także sabotażu stabilizatorów. Raz po raz z doków miasta odłączały się zielone kropki cywilnych statków z uciekinierami. Wkrótce potem otoczyła je chmura czerwonych szkaradzieństw, oznaczających z pewnością koralowe skoczki. Zielone kropki zniknęły niemal równie szybko, jak się pojawiły.

Jaina uświadomiła sobie, że nie musi mieć wyrzutów sumienia po porwaniu małego prywatnego promu z miasta Bburru. Gdyby usiłowali nim odlecieć jacyś Durosianie, statek zostałby rozpylony na atomy.

Zacisnęła pięści. Wyobraziła sobie, że chwytając drążek sterowniczy, zwiększa siłę ciągu silników i wyciska z jednostki napędu podświetlonego swojego X-skrzydłowca wszystko, co możliwe. Nie mogła tego znieść.

Nie potrafiła jednak oderwać spojrzenia od ekranu. Zauważyła, że jedno z większych szkaradzieństw zawraca i kieruje się w stronę bezbronnego miasta Orr-Om. Nie wierząc własnym oczom, obserwowała, jak czerwone paskudztwo niszczy skupisko gwiazdnych doków.

Zachłysnęła się z wrażenia. Jakimi bestiami posłużyli się Yuuzhanie tym razem?

W pościg za dużą czerwoną kropką puściło się sześć czy siedem niebieskich punkcików. Reszta została z tyłu, żeby bronić orbitalnego miasta i stoczni. W pewnej chwili zza tarczy planety wyłonił się kalamariański lekki krążownik „Poezja”. Zmienił kurs i przyspieszył, aby jak najszybciej dotrzeć do kwadratu, w którym toczyły się walki. Jaina miała kiedyś okazję przejrzeć wykaz jego uzbrojenia. Dysponując czternastoma turbolaserami, osiemnastoma jonowymi działami, sześcioma ciężkimi emiterami promieni ściągających i legendarnymi osłonami, załoga leciała, aby przechylić szalę bitwy na swoją korzyść.

Nagle w kilku kanałach równocześnie rozległ się donośny głos o nieznanym akcencie.

- Powróćcie do swoich miast i osad! - rozkazał tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Proponujemy wam pokój. Jeżeli wrócicie, będziemy z wami rozmawiali. Jeżeli zaatakujecie albo podejmiecie próbę ucieczki, zostanieie unicestwieni.

Oslupiała Leia cofnęła się od swojego komunikatora.

- Nauczyli się przekazywać wiadomości na naszych kanałach łączności! - zawołała. - Jeżeli potrafią także nasłuchiwać i odbierać, nie mamy żadnej szansy.

Jaina nie przestawała wpatrywać się w mały ekran. Na orbitę wznosiło się kilka transportowców. Trzy czy cztery wystartowały z Gateway, ale pozostałe ewakuowały uchodźców z innych osad. Tym, które znajdowały się najbliżej „Poezji”, nie stało się nic złego. Zaledwie jednak dwa ostatnie gwiazdne statki z kolonii Gateway zdążyły osiągnąć orbitę, otoczył je rój czerwonych koralowych skoczków. Kapitan jednego zawrócił ku planecie Duro.

- Rezygnujemy - odezwał się głos w odbiorniku komunikatora Jaina. - Jeżeli będziemy nadal lecieli tym kursem, zestrzelą nas jak tamtych.

- Zrozumiałam - potwierdziła dziewczyna. - Możecie lądować w kraterze drugim.

Pomyślała jednak, że gdyby dowodziła drugim transportowcem, starałaby się przedostać się do nadprzestrzeni. Wolałaby zginąć w przestworzach, próbując uniknąć

walki albo uciec, niż czekać, aż istoty rasy Yuuzhan Vong wezmą ją i wszystkich pasażerów do niewoli.

Większość czerwonych punkcików nie napotykała absolutnie żadnego oporu. Nie było ich zbyt wiele, ale Wojska Obrony Przestworzy nie zamierzały chronić osad uchodźców, a jedynie orbitalne miasta. Jaina wiedziała, że jeżeli nawet z odsieczą przyleci flota Kentha Hamnera, nie zdąży na czas, żeby pomóc mieszkańcom skazanej na zagładę kolonii Gateway. Nieprzyjacielskie okręty już ją namierzyły.

Założyłaby się o wszystko, że to także sprawka Noma Anora.

Nagle z głośnika jej komunikatora rozległ się świszczący głos jakiegoś Kalamarianina.

- Pani administrator Organo Solo, tu komodor Mabettye. Admirał Wuht wydał rozkaz, żeby „Poezja” powstrzymała się od udziału w dalszej walce i wycofała się na poprzednią pozycję. Przykro mi. Postaramy się pomóc wam, na ile okaże się to możliwe.

Jaina nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czyżby Vongowie przekupili także admirała Dizzlewita?

Z drugiej strony, załoga „Poezji” nie zdołałaby dolecieć do kolonii Gateway wcześniej niż Yuuzhanie ani nawet wysłać do boju eskadry gwiazdnych myśliwców. Powstrzymując się od udziału w walce i powracając na poprzednią pozycję, mogła przynajmniej chronić mieszkańców kilku innych ewakuowanych osad.

Po rozmiarach i kształtach głównych jednostek nieprzyjacielskiej floty można było sądzić, że są większe niż skoczki, ale mniejsze niż krążowniki. Czyżby jednostki desantowe? - zastanawiała się Jaina.

- Uwaga, piloci wszystkich transportowców z uchodźcami! - odezwała się Leia. - Jesteście zdani wyłącznie na własne siły. Jeżeli uważacie, że zdołacie dokonać skoku do nadprzestrzeni, nie wahajcie się ani chwili! Jeśli nie, zróbcie wszystko, żeby chronić życie pasażerów. - Przycisnęła płytkę na pulpicie konsoli. - Gateway do kierowców pełzaków. Nie zawracajcie. Jedźcie do Trzydziestki Dwójki. Jesteśmy celem ataku. - Odwróciła się do Jaina. - Gdzie zaparkowałaś swój prom? - zapytała.

- Właśnie go odesłałam - przyznała się córka.

Leia wahała się tylko sekundę.

- Zuch dziewczyna - rzekła cicho. - Nie mogę połączyć się w tej chwili z SENKĄ. Musimy zejść do podziemi.

- Nie będziemy zupełnie sami! - wykrzyknęła Jaina. - Popatrz, mamo!

Leia spojrzała na mały ekran, ukazujący sytuację w przestworzach. Z orbitalnego miasta Bburru wystrzelił pojedynczy „niezidentyfikowany” statek, widoczny na ekranie w postaci jaskrawo świecącego białego punktu. Zamiast śmignąć w przestworza, skierował się jednak ku południowemu biegunowi planety Duro.

- To z pewnością ciocia Mara - oznajmiła dziewczyna. - Kieruje się tam, gdzie został X-skrzydłowiec Anakina.

Leia uśmiechnęła się ponuro.

- Dwa X-skrzydłowce i „Cień” Mary? - zapytała. - Cieszę się, że je mamy, ale przydałaby się nam pomoc pilotów Eskadry Łobuzów. Przyjąłabym z otwartymi ramionami nawet Tuzin Kypa, gdyby zechcieli tu przylecieć.

W kierunku planety Duro leciało dziesięć platform ładowniczych z yorika-tremy. Opadając w zwartym szyku, kapitan każdej miał w zasięgu przynajmniej dwa spłaszczony owale najbliższych sąsiadów. Nie było to wcale proste, bo mętna i zatruta atmosfera ograniczała widoczność niemal do zera. Na szczęście ultra czule oczy każdego żyjącego yorika-tremy cały czas kierowały się we wszystkie strony; starały się śledzić ruchy pilotów przydzielonych w charakterze ochrony i eskorty śmiercionośnych koralowych skoczków. Mimo to pokonywanie warstw atmosfery przypominało lot na osłep.

Tsavong Lah stał w małej dziobowej kabinie za plecami pilota pierwszej platformy ładowniczej. Obok niego, zwinięty w ciasny kłębek, spoczywał embrion wyspecjalizowanego villipa, a przy nim inne, trochę większe stworzenie. Otaczało go niczym strąk, z którego wystawał długi prosty ogon. Pożywienie bogate w molekuly metali osadzało przewodzący materiał w kręgach oggzila, dzięki czemu stworzenie mogło działać jak żywa antena. Jak zapewniono wojennego mistrza, umożliwiało to przesyłanie słów villipo-mowy na częstotliwościach wykorzystywanych przez niewiernych do porozumiewania się między sobą. Pełniący służbę na pokładzie „Sunuloka” mistrz kształtownik czekał niecierpliwie na słowa pochwały, gdyby stworzenie spełniło pokładane w nim nadzieje -lub degradację, gdyby go zawiodło. Pośród Zawstydzonych nie brakowało innych byłych mistrzów kształtowników.

Tsavong Lah musnął villipa - delikatnie, aby nie poruszyć towarzyszącego mu oggzila. Nieco wcześniej umieścił tizowyrma w uchu.

- Obywatele orbitalnych miast - zwrócił się do villipa. - Nie interesujemy się waszymi zmechanizowanymi tworamami. Zależy nam tylko na planecie, którą pogardziliście i porzuciliście. Jeżeli ośmieli się nam zagrozić jakikolwiek bluźnierczy potworek, zniszczy go ychna, nasz sługa na orbicie. Przygotujcie się do wysłania na powierzchnię planety delegacji w celu osobiście... osobistych... osobistego podpisania aktu bezwaskunkowej kapitulacji.

Tizowyrm miał niejaki trudności z przetłumaczeniem tego zdania. Zirytowany Tsavong Lah klepnął z całej siły villipa. Stworzenie natychmiast skurczyło się i wessało.

Kiedy platforma ładownicza przedarła się przez najniższe warstwy atmosfery, wojenny mistrz wyrzwał przez panel widokowy, wykonany z łusek miki i umieszczony między ablacyjnymi regeneratywnymi powierzchniami brzuszными yorika-tremy. Rozkazał pilotom koralowych skoczków, żeby rozpoczęli koszący lot nisko nad powierzchnią planety. Był to rytualny pierwszy krok na drodze do oczyszczenia zdobywanego świata, który miał stać się bazą wypadową do następnego ataku.

Piloci skoczków zanurkowali i przelatując nad powierzchnią planety, zaczęli razić przerażająco celnymi strzałami śmiercionośnej plazmy pomniki zbyt smukłe i wysokie, żeby mogły powstać wyłącznie za pomocą nieskomplikowanych narzędzi. Raz po raz we wszystkie strony tryskały fontanny szarych i czarnych kamiennych okruchów. Pod

ciosami ognistych strug runęła ogromna, płaska budowla. Zawałyły się też trzy małe, osłaniane przez kopuły schrony. Nagle w oddali ukazały się trzy powoli pełznące mechaniczne potwory. Z pewnością były pełne uchodźców, starających się umknąć spod obranej za cel kopuły. Piloci koralowych skoczków zaatakowali mechaniczne obrzydliwa. Z pełną pewnością strzeliły słupy żółto-zielonkawego ognia.

- To dla ciebie - mruknął zadowolony Tsavong Lah. - Yun-Yammko, przyjmij w ofierze życie tych niewiernych. W zamian za ten dar zechciej zapewnić nam zwycięstwo.

Nagle yorik-trema wzdrygnął się i znieruchomiał. Wojenny mistrz zrozumiał, że w powierzchnię gruntu wczepiły się potężne łapy ładownicze. Ignorując używane przez mieszkańców kolonii sztuczne rury, rozkazał, aby z boków yorika-tremy wysunęły się robaki molleung.

Jeden z poruczników wojennego mistrza wydał żołnierzom oddziałów szturmowych - młodemu wojownikom w nowiutkich pancerzach bez rys, pęknięć i zadrapań - ostatnie rozkazy. Jedna grupa, która miała pełnić służbę na dworze, zaopatrzyła się w umożliwiające oddychanie gnullithy.

- Eliminujcie wyłącznie osobników stawiających opór albo stwarzających zagrożenie - rozkazał porucznik. - Zgromadźcie w ośrodku oczyszczenia i odosobnienia wszystkich, którzy dobrowolnie poddadzą się i złożą broń.

Spojrzał wyczekująco na wojennego mistrza. Tsavong Lah uniósł okryte pancerzem ręce w geście błogosławieństwa.

- Idźcie i niech bogowie wam towarzyszą - powiedział. - I okryjcie się chwałą.

Odrzucił się do chóru villipów ukazujących obraz przestworzy. Broniący orbitalnych konstrukcji tubylcy, zamknięci na pokładach statków, zawracali i kierowali się na lądowiska swoich bluźnierstw. Uszkodzone mechaniczne miasto bezradnie dryfowało w przestworzach. Już niedługo, kiedy pochwyty je siła przyciągania planety Duro, miejscowy agent wyruszy w towarzystwie wszystkich tubylców na spotkanie z bogami.

Zadowolony Tsavong Lah odwrócił się w stronę kilku małych poświęconych villipów. Poglądził jednego.

- Wyładować Tu-Scarta i Sgauru - rozkazał. - Wyładować i uwolnić.

ROZDZIAŁ

22

Chociaż Mara leciała bez drugiego pilota, mogła korzystać z wszystkich urządzeń, jakimi dysponował jej „Cień Jade”. Technicy Landa zainstalowali na pokładzie lasery typu AG-IG, których działaniem mogła kierować bez opuszczania sterowni. Były prawie tak samo potężne jak lasery typu AG-2G, umieszczane wiele lat wcześniej na pokładzie „Sokoła Millenium”. Calrissian zatroszczył się także o komplet produkowanych w KDY generatorów ochronnych pól siłowych. Shada przybył kiedyś z prezentem od Talona Karrde'a, który podarował jej wyrzutnie torped typu Dymex HM-8. Mara nie zapytała byłego mistrylskiego Strażnika Cienia, skąd je wziął; po prostu poprosiła, żeby nimi także mogła się posługiwać, nie ruszając się z fotela pilota. Zakładając więc, że nie uległy uszkodzeniu systemy podtrzymywania życia - gdyby chciała je obsługiwać, musiałyby mieć trzecią rękę - była równie niezależna i zdolna do walki jak Luke i Anakin w kabinach swoich X-skrzydłowców typu KJ.

Wysadziła Anakina obok jego myśliwca, w pobliżu południowego bieguna planety Duro. Kiedy wystartowała, posłużyła się klawiaturą, żeby wszystkie trzy jednostki widoczne na ekranach taktycznych monitorów rozjarzyły się srebrzystoblękitnym blaskiem. W oddali, gdzie dogorywało orbitalne miasto Orr-Om, Luke zataczał ciasny krąg. Zamierzał jeszcze raz zaatakować yuuzhańskiego potwora, który owinał się wokół sztucznej planetoidy.

Pchany siłą potężnego stosu i jednostki napędowej „Cień” leciał równie szybko jak kiedyś „Ognista Jade” - chociaż może trochę wolniej niż X-skrzydłowce. W pewnej chwili Mara pchnęła dźwignię sterowniczą i dźwignię przepustnicy i zanurzyła się jeszcze raz w mętną atmosferę planety Duro. Przelatując przez nieprzezroczystą mgłę, nie mogła się posługiwać ani sterburtowymi, ani bakburtowymi skanerami. Zainstalowane w górnej części kadłuba czujniki dalekiego zasięgu wskazywały jednak, że na spotkanie z nią skierowały się trzy różne jednostki o aerodynamicznych kształtach.

Dowódcy okrętów Wojsk Obrony Przestworzy planety Duro wycofali swoje jednostki, żeby bronić innych orbitalnych miast przed napaścią Yuuzhan. Piloci kilku myśliwców typu B wlecieli prosto pod lufy wyrzutni atakujących koralowych skoczków i zginęli, kiedy ich maszyny przemieniły się w ogniste kule. Obrońcy, siedzący w kabinach szybszych maszyn typu E i policyjnych patrolowców typu Sztylet-D, starali się

nękać pilotów koralowych skoczków osłaniających jednostki desantowe yuuzhańskiej floty, ale bez większego powodzenia. Chyba wszyscy rozumieli, że niewielka i nieliczna flota Yuuzhan pojawiła się tylko po to, aby uchwycić przyczółek. Niestety, przybyła zbyt szybko, żeby dało się ewakuować mieszkańców kolonii Gateway. Teraz uciekinierzy mogli uważać się za zakładników.

Zbliżając się do gromady nieprzyjacielskich myśliwców, Mara nie odrywała spojżenia od ekranu dalekosiężnych czujników. Dostrzegła nagle, że na tle tarczy planety ukazują się niewielki konwój, złożony z trzech dużych transportowców i kilkunastu mniejszych statków. Wyskoczył ponad górne warstwy atmosfery z zamiarem skierowania się ku otwartym przestworzom. Chwilę później skręciła ku niemu formacja koralowych skoczków w kształcie rombu.

- Lecę tam - odezwał się Anakin.

Mara zobaczyła na ekranie, że w kierunku konwoju kieruje się jeden ze srebrzystoblękitnych punktów.

Od strony podążającej ku niej czwórki nieprzyjacielskich maszyn zaczęły lecieć płonące pociski i strugi oślepiąco jasnej plazmy. Na szczęście nowe automaty Landa wyposażyły spust jej działka w mechanizm umożliwiający prowadzenie przerywanego ognia. Mara wzięła na cel najbliższy koralowy skoczek i postarała się zdezorientować jego dowin basala najskuteczniej, jak mogła.

- Luke? - zapytała, cofając rękę od dźwigni sterowniczej, by wykonać wymijający manewr i skierować „Cień” ku otwartym przestworzom. - Nie przyłączysz się do mnie?

- Już lecę - usłyszała w odpowiedzi.

Mogła poświęcić tylko chwilę, żeby zerknąć na ekran dalekosiężnych czujników. Przekonała się, że inny srebrzystoblękitny punkcik oddala się od miasta Orr-Om i kieruje ku niej.

Nagle kadłub „Cienia” lekko zdrzął wskutek nierównomiernego pochłonięcia energii. Mara obróciła jacht w locie, a potem wykonała raptowny zwrot przez bakburtę, dzięki czemu mogła obrać na cel bok koralowego skoczka. Pochwyciła nieprzyjacielską maszynę w nitki celownika i usiłowała osłabić jej osłony, zmieniając częstotliwość i intensywność strzałów. Mimo iż namierzyła cel, postanowiła nie ryzykować wystrzelenia torpedy, dopóki...

Nie tym razem! Okazało się, że przyjaciele ostrzeliwanego Yuuzhanina nie próżnowali. Zatoczyli łuk, zawrócili i zbliżyli się na odległość niemal bezpośredniego strzału. Jednak wysoko w górze i za nimi, gdzie nie mogli go dostrzec, przygotowywał się do walki mistrz Skywalker.

Mara dokładnie wiedziała, czego od niej oczekuje. Trąciła dźwignie sterowe i zanurkowała. Piloci koralowych skoczków puścili się za nią w pogoń niczym wygłodniałe mynocki.

Jeden raptowny skręt na sterburtę i znaleźli się dokładnie na celowniku działek nadlatującego X-skrzydłowca. Luke zaczął ostrzeliwać najbliższą nieprzyjacielską maszynę. Widząc to, drugi Yuuzhanin przerwał atak. Mara zawróciła i umieściła torpedę

dokładnie tam, gdzie zamierzała. Różnobarwne płonące bryły koralu yorik rozbryznęły się we wszystkie strony przestworzy.

Tymczasem Luke zajął pozycję za rufą następnego skoczka, którego pilot gwałtownie wytracił prędkość. Zapewne liczył na to, że ścigający go niedoświadczony żółtodziób nie zorientuje się w porę i przeleciawszy obok niego lub nad nim, znajdzie się dokładnie na celowniku jego broni.

Tyle że pilot tego X-skrzydłowca nie był niedoświadczonym żółtodziobem.

- Zastopuj, Artoo - usłyszała Mara w kanale prywatnej częstotliwości, z którego korzystali tylko oni. X-skrzydłowiec Luke'a znieruchomiał, cały czas w takiej samej odległości za rufą skoczka. Pokładowe lasery zaczęły razić maszynę wroga seriami krótkich, ale śmiertelnych strzałów.

Mara unicestwiła nieprzyjacielską maszynę następną torpedą.

W tej samej chwili na pulpicie kontrolnej konsoli jej jachtu rozjarzyły się czerwone alarmowe lampki. Systemy uzbrojenia, jakimi dysponowali piloci koralowych skoczków, nie wyzwalały alarmów przeciwtorpedowych, a zatem miała na reakcję nie więcej niż ułamek sekundy. Pchnęła dźwignię przepustnicy i drążek, po czym zaczęła wykonywać rozpaczliwe uniki.

- Trafiłem go - oznajmił w pewnej chwili Luke.

Mara zawróciła. Przekonała się, że pilot ostatniego koralowego skoczka umyka w kierunku otwartych przestworzy.

- Jak tego dokonałeś? - zapytała zdumiona.

- Ścigając cię, leciał z dużą prędkością - wyjaśnił Luke. - Wykorzystywał pełny ciąg silników swojej maszyny. To musiało dezorientować jego dovin basala nie mniej niż wytwarzanie bardzo intensywnego pola ochronnego. A przynajmniej tak mi się wydaje - dodał po chwili. - Skąd nadlecieli?

- Zamierzałam lecieć do kolonii Gateway - odrzekła Mara. - Chciałam dać Leii trochę więcej czasu na wysłanie choćby kilku następnych transportowców z uchodźcami.

- Leia musi się ukrywać - oznajmił Skywalker. - Nie pomożemy jej, walcząc w przestworzach. Na razie. Musi mieć czas, żeby ewakuować wszystkich kolonistów.

- Zapytaj ją, czy w czymś pomożemy, jeżeli dzięki nam Yuuzhanie będą musieli patrzeć w górę zamiast szukać jej kryjówki.

Czekając na odpowiedź, usłyszała zniekształcony przez trzaski zakłóceń głos innej osoby. Wydobywał się z jej pokładowego komunikatora.

- Do wszystkich jednostek. Mówi admirał Wuht. Rozkazano wam, żebyście zaprzestali walki i się wycofali. Jeżeli natychmiast nie usłuchacie rozkazu, podejmę niezbędne czynności dyscyplinarne.

Chociaż Mara nadawała na prywatnej częstotliwości, ustawiła odbiornik na szerokie pasmo. Usłyszany rozkaz potwierdzał, co przedtem mówili dowódcy eskadr durojskich pilotów.

- Chyba powariowali - mruknęła kobieta.

- Nie - odezwał się Luke. - To znaczy, tak. Masz rację. Tyle że Leia także chce, abyśmy jeszcze jakiś czas się wstrzymali. Uważa, że zdoła szybciej ewakuować

uchodźców, jeżeli wojownicy rasy Yuuzhan Vong nie będą wiedzieli, iż wciąż jeszcze czaimy się w przestworzach.

- Wszystkiego tego dowiedziałeś się za pośrednictwem Mocy, Luke? - zdziwiła się Mara.

- Prawdę mówiąc, nie dosłownie - przyznał mistrz Jedi. - Trochę zinterpretowałem to, czego się dowiedziałem.

- Mimo wszystko, brzmi rozsądnie.

Tocząc walkę z pilotami koralowych skoczków, zapuścili siew okolice orbitalnego miasta Orr-Om. Koszmarny potwór Yuuzhan przyczepił się do jednego z doków. W pewnej chwili Mara zauważyła, że ściętym w klin pyskiem oderwał pokaźny fragment nadbudówki. Energicznie potrząsnął łbem, a kiedy fragmenty konstrukcji poszybowały w przestworza, niczym atakujący gigantyczny wąż rozciągnął się, żeby pochwycić i połknąć wszystko, co oderwał.

Posługując się klawiaturą, Mara wpisała polecenie, aby ekran monitora ukazał jej powiększenie.

- Wygląda na to, że ten potwór ma na brzuchu coś w rodzaju torby albo kieszeni - powiedziała. - Może to tylko nozdrza i elementy systemu podtrzymywania życia?

- Wszystkie jednostki - powtórzył zniekształcony przez szumy i trzaski ten sam władczy głos. - Zaprzestać walki. Zagrożono nam, że jeżeli się nie wycofamy, nastąpi następny atak.

- Do licha - szepnęła wstrząśnięta kobieta.

- Wuht dał się zastraszyć - mruknął w odpowiedzi Skywalker. - Nabrał się na groźbę powtórnego ataku i na obietnicę, że Yuuzhanom zależy tylko na planecie Duro. Zamierza zgodzić się na zawieszenie broni. Wydał rozkaz unieruchomienia wszystkich jednostek, które wylądowały w jakimkolwiek doku.

Mara otworzyła szeroko oczy. Unieruchomienie jednostek oznaczało pozbawienie ich dopływu energii i wysłanie załóg do domów.

- Nie zamierzają pomagać w ewakuowaniu mieszkańców kolonii Gateway - stwierdziła ponuro. - Uchodźcy dostaną się do więzienia albo do niewoli.

Pchnęła drążek sterowniczy i skierowała spiczasty dziób jachtu ku powierzchni planety.

Chwilę później jednak zmieniła zdanie. Delikatna kopała kolonii chroniła kilka tysięcy uchodźców przed działaniem toksycznych składników atmosfery. Obawiali się ich nawet Yuuzhanie, skoro wyposażyli swoich wojowników w biotechniczne aparaty do oddychania. Gdyby coś poszło nie tak jak powinno i kontratak trójki Jedi - porozumiewających się za pośrednictwem Mocy - zakończył się niepowodzeniem, niektórzy koloniści mogli stracić życie, podczas gdy napastnicy mieliby może tylko trochę więcej kłopotów z oddychaniem.

Mara miała ostatnio do czynienia ze zbyt wielu sytuacjami, z których nie było dobrego wyjścia. Pomyślała, że chyba jeszcze nigdy nie była tak sfrustrowana.

A jednak...

- Uchwycili przyczółek - odezwał się Luke, jakby wtórował jej myślom. - Opanowali jednak tylko planetę. My nadal trzymamy się w przestworzach.

- A to ma sens tylko wtedy - dodała kobieta - jeżeli wiedzą, że już wkrótce i tak nas pokonają.

- To by znaczyło, że niedługo przyleci więcej Yuuzhan. Dużo więcej.

- Właśnie.

- Leia powinna się pospieszyć. - Luke wyraził słowami to, co myślała Mara. - Może Hamner zdąży na czas z odsieczą.

- Luke - mruknęła Mara. - Jeżeli u steru rządów pozostaje Borsk Fey'lya, Hamnerowi może to zająć jeszcze tydzień.

Widoczny na ekranie „Cienia” ciemnoniebieski punkt coraz bardziej się kurczył, aż w końcu zniknął. Mara wiedziała, że oznaczał jeden z frachtowców Leii, którym lecieli ewakuowani uchodźcy. Skanery ukazywały sześć sporych dziur w bakburcie. Skazany na zagładę statek powoli obracał się w przestworzach, a przez otwory uciekało powietrze i wszystko, co mogła wyssać próżnia.

Mara wiedziała, że kiedy Leia skończy umieszczać wszystkich uchodźców na pokładach pozostałych transportowców, musi dostać pomoc ze strony Durosjan. Musi ewakuować kolonistów jak najszybciej, zanim pojawi się druga fala Yuuzhan. Powinna nie tylko się pospieszyć, ale także nie zdradzać się ze swoimi zamiarami. W przeciwnym razie przebywający na powierzchni planety Duro najeźdźcy mogli zorientować się, co planuje, i zniszczyć wszystkie pozostałe środki transportu.

Mara zastanawiała się, czy zdołałaby przemówić admirałowi Wuhtowi do rozumu. Gdyby nie wyczuła w nim fałszu, powiedziałaaby - w tajemnicy, żeby nie dowiedzieli się zdrajcy! - że na odsiecz spieszy flota pod dowództwem Kentha Hamnera.

Jednak lądując „Cieniem” w jakimś doku ryzykowała, że jakiś idiota z mózdzkiem bantha odetnie dopływ energii do wszystkich systemów pokładowych jachtu.

Tymczasem walczący w przestworzach Anakin zestrzelił drugi koralowy skoczek. Atakowany konwój przyspieszył i przygotowywał się do przekroczenia prędkości światła.

- X-skrzydłowiec, natychmiast zaprzestań walki! - warknął męski głos w komunikatorze jachtu.

Mara trzasnęła otwartą dłonią w kontrolny pulpity i ograniczyła pasmo odbieranych częstotliwości tylko do prywatnego kanału.

Luke zrównał się z nią i zmniejszył prędkość. Zamierzał zatoczyć łagodny łuk, żeby obrać kurs na Bburru.

- Spółka Transportowa CorDuro i Brygada Pokoju zapędziły admirała w ślepią uliczkę - powiedział.

- Może Wuht rzeczywiście uważa, że Yuuzhanom zależy tylko na planecie Duro - odparła Mara. - A może także jest zdrajcą albo... no cóż, ktoś powinien wybić mu z głowy to zawieszenie broni. Mogłabym spróbować, gdybym oświadczyła, że robię to w imieniu Jainy. Powiedziała mi, że Wuht darzy ją sympatią. Obawiam się jednak, że zostałabym internowana.

- Wiem, jak ci pomóc - oznajmił nagle Skywalker. - Wyląduję X-skrzydłowcem w twojej lądowni.

- I cały czas będziesz siedział w ukryciu? - domyśliła się Mara. - Jeżeli zaistnieje potrzeba, wystartujesz i będziesz mnie osłaniał, gdybym musiała uciekać?

- Mnie także się to nie uśmiecha - odezwał się mistrz Jedi.

Musieli jednak coś postanowić.

- Porozmawiam z nim - oświadczyła Mara. - Jeżeli naprawdę obawiają się rycerzy Jedi, będziesz moją tajną bronią. Powiem mu jednak, żeby się nie poddawał. I że pomoc nadchodzi.

- Prawdę mówiąc, nie mieliśmy wieści od Hamnera - przypomniał Skywalker.

- Nie mamy więc pewności, że jego prośba została odrzucona - stwierdziła kobieta.

Zmieniła kurs i zaczęła oddalać się od miasta Bburru. Zatoczyła szeroki łuk, żeby nikt nie zorientował się, co zamierza. Tylko kilka osób wiedziało, że w lądowni jej gwiazdowego jachtu może zmieścić się X-skrzydłowiec. Nie zamierzała nikomu więcej zdradzać tej tajemnicy.

Luke przeleciał przez wrota hangaru i osiadł na lądowisku. Wylądował Artoo-Detoo i skierował się do sterowni. Mara zawróciła i skierowała dziób „Cienia Jade” ponownie w stronę Bburru. Włączyła pokładowy komunikator.

- Wzywam Port Duggana - powiedziała. - Proszę o zgodę na lądowanie.

- Czy ktoś jeszcze chciałby zabrać głos w dyskusji? - W fioletowych oczach Borska Fey'lyi płonąła mściwa satysfakcja. Nikt spośród siedzących przy stole nie odezwał się. - W takim razie głosujemy.

Kenth Hamner zachował czujność, chociaż właściwie stracił resztkę nadziei. Podając kilka bardzo ważnych powodów, senator Shesh z planety Kuat z ubolewaniem, ale niezwykle przekonująco oświadczyła, że Nowa Republika nie może pozwolić sobie na wysłanie ani jednej eskadry myśliwców broniących innych gwiazdnych systemów i ich stoczni. Radny Pwoe z Kalamara przypomniał zebrany, że i inne przebywające na planecie Duro istoty - na przykład Hurt Randa Besadii Diori - ogłosiły alarm, który okazał się fałszywy.

Tak jak się Hamner obawiał, głosujący nie poparli jego prośby.

Zgarbił się, ale postanowił nie okazywać rozczarowania.

- Powiadomię mistrza Skywalkera - oznajmił z goryczą - ale radzę wszystkim, żeby dobrze zapamiętali ten dzień i tę decyzję. Pożałujecie jej, kiedy na Coruscant napadną wojownicy rasy Yuuzhan Vong, którzy wystartują z baz na planecie Duro.

Odwrócił się na pięcie i opuścił salę obrad.

- Tędy! - zawołał Jacen.

- Kieruj się do budynku administracyjnego! - zawołała biegnąca za nim Leia.

Chłopiec odwrócił głowę i odkrzyknął:

- Nie! Ojciec zaczął drażnić nowy tunel!

Jaina biegła obok niego. Zapadał zmierzch, ale lampy pod kopułą pozostawały włączone - zapewne, żeby ułatwić kolonistom ucieczkę. Leia biegła uliczką wiodącą do opustoszałej dzielnicy Tayana w towarzystwie Olmahka i grupki uchodźców. Kiedy

dotarli do ruin najwyższego budynku, Jacen obejrzał się. Przez główną bramę kolonii wbiegały ciemne postacie.

- Tędy. - Młodzieniec poprowadził wszystkich na drugą stronę sterty skalnych okruców.

Spomiędzy ruin zniszczonego budynku ukazała się wąsata, porośnięta sierścią głowa Dromy. Jak zwykle, zdobił ją niebiesko-czerwony beret, założony na bakier pod bardzo zawadiackim kątem. Na widok biegnącego Jacena Droma zaczął machać wlochatą ręką. Młody Jedi skręcił w kierunku Ryna. Był rad, że Droma zaczekał na odwołanie kwarantanny. Zapewne doszedł do wniosku, że golenie, strzyżenie i odkażanie nie mają sensu i że nikt nie zabrałby na inną planetę larw ani jaj białookich ciem, gdyby zarządzono ewakuację.

Omijając sterty kamieni, Jaina potknęła się i upadła. Otarła naskórek na dłoniach i kolanach. Brat zawrócił i pomógł jej się podnieść.

- Nic mi się nie stało - burknęła dziewczyna. Potykając się, wbiegła do zrujnowanego domu.

Jacem stanął na progu otworu drzwiowego. Zastanawiał się chwilę, jakby nie wiedział, co zrobić.

Nagle z lewej strony usłyszał stękanie i sapanie. Odwrócił się i podążył za siostrą, która usłyszała je pierwsza.

Na podłodze leżały dwie durbetonowe płyty. Między nimi widniała mroczna szczelina, na tyle szeroka, żeby dało się przez nią przecisnąć. To właśnie stamtąd dobiegały dziwne dźwięki.

W ciemnościach rozległ się głos Leii:

- Jacen? Jaina?

- Idziemy, mamó. - Jaina usiadła na bliższym bloku durbetonu, przełożyła przez niego nogi i wśliznęła się w głąb otworu. Po chwili zniknęła.

Jacem podążył w ślad za nią. W pewnej chwili zorientował się, że spada, ale pochwyciły go czyjeś ręce.

- Dzięki - wysapał młodzieniec.

- Idziemy - odezwała się Leia. - Szybko.

Jaina, szurając butami, poszła za nią. Wsluchując się w rytm kroków matki, starała się nie potknąć o żaden kamień. Dno tunelu łagodnie opadało. W pewnej chwili na ścianach pojawił się słaby odbłask światła.

Jaina skręciła za róg pierwsza, Jacen kilka kroków za nią. Wydawało mu się, że słyszy dobiegający zza pleców głos matki.

Chwilę później oboje znaleźli się w przestronnej komorze. Kuliło się tu dwadzieścioro Rynów. Niektóre istoty włożyły pod kamizelki i krótkie, luźne spodnie dostarczone przez SENKĘ niebieskie lotnicze kombinezony. Twarze Rynów porastała ledwo odrośnięta sierść. Wyglądali z tym dość komicznie. Komorę rozjaśniał blask dwóch jarzeniowych prętów, rzucających rozmyte cienie na kamienne ściany. W pewnej chwili Jacem usłyszał napływające z prawej odnogi korytarza stłumione głosy. Wytěżając wzrok, dostrzegł twarze wielu istot - różnych odcieni, rozmiarów i kształtów. Wkrótce potem rozplynęły się w ciemności.

Odgłosy drażenia tunelu napływały z lewej odnogi. Stał tam Han, a obok niego jakiś Ryn w niebieskim kombinezonie SENKI i luźnych spodniach.

- Romany? - upewnił się Jacen.

- Witaj, łysku.

Tak, to był głos Romany'ego.

Han stanął przed Leią. Naderwany skraj staroświeckiego skórzanego hełmu kołysał się smętnie obok jego ucha.

- Koniec drogi - oznajmił. - Na razie.

Leia cofnęła się, odwróciła w stronę Jacena i spiorunowała syna groźnym spojrzeniem.

- Z budynku administracyjnego także prowadzi tunel - powiedziała. - Kończy się w starej kopalni...

Han nie dał jej dokończyć.

- Prawie skończyliśmy drażyć, a tamten tunel wcale nie jest bezpieczny - powiedział. - Najprawdopodobniej wiedzą o nim Yuuzhanie. To pierwsze miejsce, od którego rozpoczną poszukiwania. Ja dowodzę tą grupą. Wykorzystaliśmy przeżuwacze skał w dzień i w nocy. Pozostało nam już tylko jakieś cztery metry, ale jeżeli uruchomimy maszyny, zaraz wpadną tu łowcy niewolników. Leia spojrzała w lewą odnogę korytarza.

- Tak, ale my używaliśmy górniczego lasera - oznajmiła. - Lasera na repulsorych saniach. A w tamtym tunelu ukryłam komunikator do utrzymywania łączności z orbitalnymi miastami. Jest połączony z anteną na powierzchni. Moglibyśmy porozumiewać się stamtąd, z kim chcemy.

A więc to dlatego mama kazała strzec lasera, domyślił się Jacen.

- Czy chcesz, żebym po niego wrócił? - zaproponował.

- Nie - odpowiedzieli równocześnie Han i Leia.

- W tej chwili odłupujemy skały łomami i kilofami - dodał ojciec, kiwnięciem głowy, pokazując lewą odnogę. - Pracujemy na kilka zmian. Przekopujemy się za jakąś godzinę, najwyżej dwie.

Leia usiadła na stosie skalnych odłamków.

- Nie mogę tyle czasu siedzieć z założonymi rękami - mruknęła. - Słyszałeś, Hanie? Zniszczyli pelzaki. Wszystkie trzy.

- Słyszałem. - Solo odwrócił głowę. Jacenowi wydało się, że z oczu ojca wyciera ból.

- Na szczęście Luke i Mara zostali na górze - ciągnęła Leia. - I Anakin. Zapewnią nam osłonę, jeżeli zdołamy umieścić kolonistów na pokładach transportowców. Aha, i muszę mieć kogoś, kto będzie obsługiwał tamten komunikator i porozumiewał się z Durosjanami.

Jacem kiwnął głową. Zauważył, że Rynowie złożyli pod jedną ze ścian komory pojemniki z wodą i pudła z napisem SUCHARY NA DROGĘ. Dopiero teraz dostrzegł pośród uchodźców - przeważnie ostrzyżonych, ale niektórych równie kosmatych jak zawsze - dwie rodziny ludzi. Nieco z boku kuliła się gromadka Vorsów. Jak zwykle,

matka Vors nie pozwalała dzieciom oddalać się od siebie, a zwłaszcza zbliżać do Rynów... chociaż tym razem uskrzydłone istoty powierzały Rynom swoje życie.

Nagle Jacen uświadomił sobie, że kogoś brakuje.

- A gdzie Randa? - zapytał.

- Nie szedł za nami? - Leia wzruszyła ramionami. - Prawdę mówiąc, nie pilnowałam go. Poleciałam Basbakhanowi, żeby miał na niego oko.

- Nie obchodzi mnie, co się z nim stało - oznajmiła Jaina.

Nikt nie podtrzymał tematu.

Jacen podszedł do ojca i Dromy, którzy rozmawiali z Mezzą.

- Jeżeli się przebijemy - mówiła Rynka - znam pewną drogę. Dojdziemy nią prosto na lądowisko SENKI. Dzięki mapie Leii, po drugiej stronie będą czekali ochotnicy. Pomogą nam dostać się do transportowców.

- Jakiej mapie? - zainteresował się młodzieniec.

- Mapie starej kopalni - wyjaśniła Leia. - Wyszperanej w durosjańskich archiwach.

- Uniosła komputerowy notes. - Posłuchaj, Hanie. Kilka tygodni temu pod urwiskiem, na samym skraju mokradel, zamaskowaliśmy jeden z pięciu ogromnych holowników, którymi przetransportowano prawie cały sprzęt i wszystkie materiały budowlane. Holownik wygląda topornie, ale kiedy tu leciał, zdołał dokonać skoku przez nadprzestrzeń. Najważniejsze jednak, że - o ile sienie myślę - w jego ładowniach może zmieścić się prawie dwa tysiące pasażerów.

Han przykucnął obok żony na kamiennym dnie tunelu.

- Jest uszkodzony? - zapytał. - Dlaczego ci z SENKI nie zabrali go, kiedy odlatywali? Dlaczego jeszcze nie wystartował?

Jacen zobaczył, że matka mruży oczy, marszczy brwi i kręci głową.

- Nie pamiętam - odrzekła. - Przepraszam. Powinien to wiedzieć Threepio.

- Wysłaliśmy go na pokład „Sokoła” - przypomniał Han.

- Czy dałoby się porozmawiać z nim przez komunikator?

- Możesz spróbować - odparł Han - ale kazałem mu zająć się wykonywaniem procedur przedstartowych. Sam obejrzę ten holownik. Co z nim zrobiłaś, zagrzebałaś w ziemi?

Leia kiwnęła głową.

- Przykryłam go zeschłą trawą, słomą i odpadami, które pozostały po zniwach - powiedziała. - Nasze skanery odnajdą go w mgnieniu oka, ale Yuuzhanie mogą nie wpaść na to, żeby szukać czegoś na samym skraju bagien. A poza tym nie dysponują odpowiednimi urządzeniami.

- Dysponują, kochanie - sprzeciwił się łagodnie Han. - Tyle że konstruują je w inny sposób.

- Możliwe - odparła Leia, demonstracyjnie okazując cierpliwość. - Ale wszystko wskazuje, że jeszcze go nie znaleźli. A zresztą, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że o wiele łatwiej i szybciej dotrzesz tam po powierzchni niż kierując się tym planem.

Machnęła komputerowym notesem z mapą chodników starej kopalni.

- Przekradanie się! Podchody! Wymigiwanie się od pracy! To nasza specjalność! - wtrącił się Droma.

Na twarzy Hana pojawił się szelmowski uśmiech.

- Dlaczego pominąłeś milczeniem naprawianie gwiazdnych statków? - zapytał, mrużąc oko. - No, dobrze. Mezzo, Romany... Droma i ja wychodzimy, żeby obejrzeć ten holownik. Kiedy wasi ziomkowie z łomami i kilofami wreszcie się przekopią, zaszukajcie kierować wszystkich kopalnianymi chodnikami do ukrytego holownika. Aha, i pozostawcie kogoś do obsługiwanego komunikatora Leii. Uważajcie jednak na odgałęzienia tuneli.

- Racja - odezwała się Jaina. - W jednym z nich może się nadal ukrywać Nom Anor. A jeżeli tak, mógł umieścić w sklepieniach swoje robaki.

Kilkoro uchodźców uniosło głowy i skierowało na sklepienie zaniepokojone spojrzenia.

Na twarzy Leii odmalowała się podejrzana obojętność.

- Więc uważasz, że zanim się przekopią, upłynie jeszcze kilka godzin? - zapytała, zwracając się do Mezzy.

Rynka kiwnęła głową.

Leia wstała i otrzepała z kurzu tył dostarczonego przez SENKĘ długiego płaszcza.

- Już prawie północ - stwierdziła. - Jest jeszcze trochę czasu.

- Na co? - zaniepokoił się Han. - Hej, Leio, zostań tu. Dopiero cię odnalazłem. Chcę cię znów znaleźć, kiedy tu wrócimy.

Leia zacisnęła wargi.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Naprawdę, Hanie. Dziękuję, ale miałeś rację. Ty dowodzisz tą grupą, a ja pozostawiłam w budynku administracyjnym coś ważnego.

Solo bez słowa obrzucił żonę poważnym spojrzeniem.

Nom Anor poprowadził Tsavonga Laha do budynku, w którym mieściło się laboratorium. Nie miał maski i nadzwyczajnie go to cieszyło. Wojenny mistrz zaczął się zastanawiać, jak by się czuł, gdyby musiał większość życia spędzić przebrany za niewiernego. Poczul coś w rodzaju współczucia.

Szli wysypaną piaskiem główną ulicą kolonii Gateway. Po obu stronach wznosiły się nieprawdopodobnie odrażające konstrukcje. W pewnej chwili minęli trójścienne budynki, wypełnione po brzegi koszmarnymi bluźnierstwami. Pobliską ścianę atakowały Sgauru i Tu-Scart - Bijak i Gryzak, dwa ogromne stworzenia, które Tsavong Lah kazał wypuścić tuż po lądowaniu. Żyjąca w symbiozie para potrafiła zniszczyć w ciągu kilku minut prawie każdą sztuczną konstrukcję. Wojenny mistrz zamierzał poczekać, aż wytwarzające energię stworzenia zbudują gniazda i zaczną się pożywiać, i dopiero wtedy pozwolić Bijakowi i Gryzakowi zająć się bluźnierstwami, których niewierni używali do zasilania umieszczonych wysoko źródeł światła.

Tsavong Lah odwrócił się do doradcy.

- Wykopać w tym miejscu jamę - rozkazał.

Od świty wojowników odłączyła się grupa, by wykonać polecenie wojennego mistrza.

Kiedy dotarli do samego północnego krańca kolonii, Nom Anor poprowadził przełożonego do budynku przypominającego gigantyczną paskudną cegłę, jakich niewierni

używali do wnoszenia swoich konstrukcji. Weszli do głównego korytarza, gdzie raz po raz coś brzęczało, szczękało i mlaskało.

- Moi współpracownicy - oznajmił z dumą Nom Anor. - Kiedy pozbyłem się maski, zawiadomiłem ich, że zechcesz szczególnie odwdziżyć się tym, których zastaniesz przy pracy, zajętych usuwaniem trucizn z powierzchni tej planety.

- I wszyscy wyrazili zgodę?

Nom Anor mrugnął prawdziwym okiem.

- Dwoje odmówiło dalszej pracy - powiedział, kręcąc głową. - Chociaż obiecałem im wszelkie możliwe zaszczyty, a nawet... amnestię.

- Amnestię? - Tizowym w uchu Tsavonga Laha pomijał milczeniem wszystko, czego nie rozumiał. - A co to takiego?

Anor uśmiechnął się.

- To słowo przypomina „pokój”, ale ma dwa znaczenia. Niewierni rozumieją pod nim coś, co nie ma odpowiednika w naszej mowie. Coś w rodzaju... łaski.

Tizowym nie przetłumaczył także tego słowa.

- Wyjaśnij, co to „łaska” - zażądał Tsavong Lah.

Nom Anor przystanął przed drzwiami dużego pokoju, pośrodku którego stał długi stół. Wojenny mistrz zobaczył siedzących przy nim dwóch niewiernych w białych laboratoryjnych kitlach.

- Wszystko wskazuje na to, że niewierni uważają ją za hojność, pozwalającą im uniknąć przeznaczenia.

- Uniknięcie przeznaczenia jest niemożliwe - oznajmił Tsavong Lah. - Nie można uniknąć śmierci. Ważne tylko, jak jej stawić czoło.

- Chociaż może się to wydawać niewiarygodne, oni tego nie rozumieją - odparł egzekutor.

Wojenny mistrz pokręcił głową.

- A zatem wynagrodzimy twoich współpracowników hojniej, niż na to zasługują - oznajmił stanowczo. - W taki sposób najlepiej podziękujemy im za niestrudzoną pracę.

- Czytasz w moich myślach - oznajmił Nom Anor.

- Może niektórzy zgłosiliby się na ochotnika, aby wziąć udział w naszych badaniach? - zapytał Tsavong Lah.

Nigdy nie było dość ochotników do tak szlachetnej pracy, ale członkowie jego swity nie zapomnieli zabrać nasion korala yorik ani hodowlanych kadzi.

- Zaproponowałem im to - stwierdził egzekutor. - Ze smutkiem przyznaję, że wszyscy odmówili. Zapewne dlatego, że pracując w tym laboratorium, zajmowali się własnymi badaniami. Może po prostu nie chcieli brać udziału w innych jako zwyczajni uczestnicy.

Tsavong Lah wzruszył ramionami.

- A zatem oszczędzimy ten budynek - powiedział. - Poświęcimy go, żeby korzystać z niego w przyszłości. - Odwrócił się do ubranej w czarny płaszcz kapłanki. - Vaecto?

Zgarbiona, starsza Yuuzhanka stała za nimi na czele grupy rytualnych muzyków. Słyszając rozkaz Laha, podeszła bliżej. Niosła w pomarszczonych dłoniach półprzezroczystą dwuskorupową muszlę.

Tsavong Lah zagłębił dłoń między fałdami płaszcza. Przebierając palcami, wezwał jedno ze stworzeń zwanych tkunami. Po chwili poczuł delikatne dotknięcie wilgotnego nosa, a później wokół jego nadgarstka owinął się kosmaty ciepły pierścień.

Wojenny mistrz wyciągnął rękę i spojrzął na szkarłatnego tkuna. Pragnąc zaspokoić potrzebę składania szybkich, skutecznych - i bardzo ważnych pod względem duchowym - indywidualnych ofiar, jego mistrzowie kształtownicy wyhodowali to stworzenie całkiem niedawno.

Stojąca obok Laha stara kapłanka wyjęła zza pazuchy garść suchych liści tishwii. Starannie ułożyła połowę z nich na dnie naczynia, skrzesała iskrę i podpaliła pozostałe. Upewniła się, że nie zgasną po czym dorzuciła do tamtych.

- Przeprowadzić pierwszego naukowca - rozkazał uroczystym tonem Tsavong Lah.

ROZDZIAŁ

23

Han objął Leię ramieniem, przyciągnął do siebie i oparł na chwilę brodę na jej białym turbanie.

- W takim razie, idź, ale uważaj na siebie - powiedział cicho.

- Ty także.

Pocałowali się. Miało to być zdawkowe cmoknięcie, ale Han zaczął wkładać w nie więcej uczucia. Leia stanęła na czubkach palców. Jacen spuścił wzrok, pochwycił spojrzenie siostry i uśmiechnął się półgębkiem.

Jaina kiwnęła głową.

Han odwrócił się i poprzedzany przez Dromę, ruszył w kierunku wyjścia z tunelu. Miał ponurą minę. Jacen odprowadzał ich spojrzeniem, dopóki nie zniknęli. Powrócił myślami do Belkadana i moczarów pełnych villipów. Zastanawiał się, w co Yuuzhanie zmieniają szczytki kolonii Trzydziestej Drugiej. Może sprowadzili stworzenia, które mogły żyć w zatrutej wodzie?

Leia spuściła głowę i wpatrywała się posepnie w kamienne dno tunelu pod stopami.

- Mamo - odezwał się łagodnie Jacen. - Nie wyglądasz w tej chwili jak dyplomatka.

Leia uniosła głowę i spojrzała na starszego syna.

- Chyba ci się nie wydaje, że wszyscy troje odziedziczyliście charakter po ojcu, prawda? - zapytała.

- Bez względu na to, co zamierzasz zrobić, mam - odezwała się Jaina - jestem z tobą.

Leia uśmiechnęła się równie szeroko jak córka. Wreszcie poczuły, że wszelkie dzielące je różnice zdań po prostu się nie liczą. Wyglądały teraz jak konspiratorki. Jak siostry.

Żeby nie sądziły, że Jacen zmiękł, młodzieniec powiedział:

- Ja również.

Leia objęła jedną ręką córkę, a drugą starszego syna, i przytuliła mocno.

- Zaczniemy od spraw najważniejszych - rzekła. - Mezzo, Romany - ciągnęła podniesionym tonem - wydrążyliśmy kilka awaryjnych tuneli, a ja dysponuję trzema egzemplarzami tej mapy. Szukam kogoś, kto mógłby obsługiwać tamten komunikator, i

kogoś do wyciągania uchodźców z innych kryjówek. Powinien kierować ich albo tu, albo do budynku administracyjnego, a potem do ukrytego holownika. Chciałabym, żeby ktoś zgłosił się na ochotnika...

Wstała młoda Sullustanka. Jej matka, a może babka, otworzyła usta, jakby chciała się sprzeciwić, ale po sekundzie czy dwóch zmieniła zdanie. Zaraz zgłosiło się kilkoro innych ochotników.

Leia rozdała im komputerowe notesy; ostatni pozostawiła dla Mezzy i Romany'ego. Kiedy uchodźcy kierowali się do wlotu tunelu, towarzyszyło im rytmiczne postukiwanie łomów i kilofów.

Leia odprowadziła ich spojrzeniem i znowu przykucnęła obok Jace-na i Jainya.

- Mam pewien pomysł - oświadczyła cicho dziewczyna. - Jeżeli Yuuzhanie jeszcze nie znaleźli górniczego lasera, moglibyśmy przysporzyć im sporo kłopotów.

Leia kiwnęła głową. Przeniosła spojrzenie na Jacena.

- Czy to nie oznacza dla ciebie uciekania się do przemocy? - zapytała.

- To ratunek - odparł młodzieniec. - To obrona. Pod warunkiem, że nie będę posługiwał się Mocą...

- Jeżeli repulsorowe sianie nie są uszkodzone, nie będziesz musiał - zapewniła Leia.

Zerknęła w głąb bocznego korytarza, w którym zgromadzili się uchodźcy.

Ku zaskoczeniu Jainya do Leii podszedł gibki, zwinny szaroskóry strażnik rasy Noghri.

- Pomyśl tylko - zakwilił cicho. Miał niski, płaczący głos. - Jeżeli ktoś wystrzeli z tego lasera, natychmiast ściągnie nam na karki wszystkich Yuuzhan. To ja powinienem obsługiwać ten laser, lady Vader. Proszę o to jak o zasłużoną nagrodę.

Leia zmarszczyła czoło.

- Prawdopodobnie masz rację - odparła po chwili, ale Jacen i tak się domyślił, że zamierza strzelać sama.

Jeszcze raz ujrzał oczami wyobraźni wyrazisty wizerunek galaktyki, ześlizgującej się w objęcia ciemności.

- Posłuchaj, mam - mruknął. - Dobrze wiem, że wszyscy uważacie mnie za szaleńca. Tylko czy jesteś absolutnie pewna, że nie istnieje żadna szansa rozwiązania tego konfliktu na drodze negocjacji? Mam, jesteś przecież zawodową...

- A to oznacza, że wiem, kiedy ginie ostatni promyk nadziei - wpadła mu w słowo zniechęcona Leia. - Jeżeli twoi posłańcy nie wracają żywi, to znaczy, że nieprzyjaciele nie zamierzają prowadzić rozmów. Nie wysyłasz następnej grupy negocjatorów, bo i oni mogliby stracić życie.

Może jednak istnieje jakiś cień szansy? - pomyślał Jacen. Może ja mógłbym...

- Nawet o tym nie myśl - dodała posepnie jego matka. Co prawda nie ukończyła szkolenia Jedi, ale umiała czytać w jego myślach jak w otwartej księdze.

Pomogła sobie ręką i wstała. Skinęła na oboje przywódców klanów Rynów, by podeszli do niej.

- Mezzo, Romany - zaczęła cicho. - Gromadząc swoich ziomków, spisaliście się doskonale. Na wypadek gdybyśmy się już nie zobaczyli, chcę powiedzieć, że bardzo

wam dziękuję. Odtąd wy tu rozkazuje. Niech Moc będzie z wami. Jaino, trzymaj mnie za rękę. Jacenie, idź za nami - dodała, zwracając się do bliźniąt.

Olmahk stanął obok Jacena. Po chwili cała czwórka skierowała się ku kryjącym wlot tunelu blokom durbetonu.

Kuląc się pod durbetonową płytą, Han nasłuchiwał uważnie dobre dwie minuty, zanim zdecydował się wychylić głowę. Kiedy ją w końcu wystawił, blisko prawego ucha trzymał gotowy do strzału blaster.

W blasku jasno świejących awaryjnych lamp nie zobaczył żadnego ruchu.

Doskonale wiedział, co zamierza zrobić Leia. Chciała uszkodzić albo zniszczyć coś, co mogłoby pokrzyżować plany Yuuzhan. Bez względu na to, ile by to ją miało kosztować. Może to samolubne z jego strony, ale nie chciał, żeby zginęła, choćby jej śmierć miała okazać się bohaterska. Nieważne, czy miała bujne włosy czy nie. W jej duszy płonąła jakaś iskra, która zapalała ogień w sercu Hana.

Rozejrzał się jeszcze raz i wygramolił z otworu. Uważnie rozejrzał się po wszystkich zakątkach zrujnowanego domu. Usłyszał, że z tunelu wychodzi Droma.

Skulony wół, podszedł do otworu drzwiowego i wyjrzał na ulicę. Pod kopułą, gdzie kiedyś tętniło życie, panowała teraz nienaturalna cisza. Z oddali napływał łoskot, jakby ktoś burzył albo kruszył skały, ale ucichł wszechobecny szmer setek głosów. Han nie widział ani jednego przechodnia. Oddałby wiele za czujnik do wykrywania form życia.

A jeśli już mowa o niespełnionych marzeniach, przydałby mu się także turbolaser.

Po chwili u jego boku stanął Droma.

- Dotarliśmy do budynku administracyjnego szybciej, idąc na przelaj - mruknął

Han - ale...

Nie musiał kończyć zdania. Do tej pory nauczył się, że zwykle robi to za niego Droma.

Nie zawiódł się w swoich oczekiwaniach.

- ...bezpieczniej będzie iść wzdłuż skraju kopuły. - Ryn schował swój blaster do kabury.

Han zrobił to samo. Zapewne i tak Yuuzhanie nosili pancerze. Gdyby chociaż raz strzelił, usłyszeli by i rzucili się na niego wszyscy naraz.

Znieruchomiał, zaskoczony własnymi myślami. Gdzie podział się Han Solo z dawnych lat, który na przekór wszystkiemu i wszystkim pognałby na oślep najkrótszą drogą?

Prawdopodobnie zginął razem z Chewbacą.

- Masz rację-przyznał. -Oslaniaj mnie, a jeśli zginę, powiedz Leii... Droma nie uznał za stosowne dokończyć tego zdania.

- Niee - mruknął Solo.

Pochylił się nisko i skulony przebiegł odległość dzielącą go od ruin sąsiedniego domu. Wśliznął się do środka budynku. Pierwszy pokój, całkiem pusty, pokrywała gruba warstwa kurzu. W drugim wały się porzucone w pośpiechu różne przedmioty. Na szczęście pokój miał tylne wyjście. Han stanął na progu.

Tym razem pierwszy zauważył zakutego w lśniący czarny pancerz rosłego, barczystego, silnie umięśnionego wojownika. Przechodzący ulicą Yuuzhanin trzymał w objęciach kilka przedmiotów niezbędnych do życia. Han rozpoznał dwie lampy i małą kuchenkę. Natychmiast się cofnął. Kątem oka zauważył, że Droma wbiega przez drzwi wiodące do pierwszego pokoju. Pochwyił jego zaniepokojone spojrzenie i pokręcił głową.

Zaczekał, aż rabuś zniknie, i wyszedł na ulicę.

Rozglądając się na boki i kuląc pod ścianami zrujnowanych domów, dotarli na skraj dzielnicy Tayana, a potem przekradli się między rzędami opustoszałych namiotów. Kiedy usłyszeli odgłos czyichś kroków, zanurkowali do najbliższego namiotu i rozpląszczyli się przy bocznej ścianie. Wyjrzeni przez dziury w tkaninie na ulicę. Po chwili obok nich przeszła spora grupa schwytych uchodźców. Nieszczęśnicy szli jeden za drugim, powłócząc nogami. Wszyscy mieli spuszczone głowy. Niektórzy płakali. Kolumnę więźniów prowadziło trzech Yuuzhan - niestety, także zakutych w czarne skorupy i uzbrojonych. Han zacisnął pięści z bezsilnej wściekłości. Zateśknął za dawnymi dobrymi czasami; za szturmowcami w białych pancerzach, których słabe punkty tak doskonale znał - i za Chewiem.

O mało nie zabłądził, ale szczęście nadal mu dopisywało. Dotarli do punktu, skąd widzieli północno-zachodnią bramę kolonii. Jedynym miejscem, w którym mogli się ukryć po drodze, była elektrownia. Na szczęście Yuuzhanie jej nie zburzyli.

Cicho jak duch stanął obok niego Droma. Han zauważył:

- Niszczą wszystkie inne budynki i urzędnia. Widocznie postanowili oszczędzić elektrownię, dopóki nie sprowadzą własnego źródła energii...

- ...bez względu na to, jakiego - kiwając głową, dokończył Droma.

Ze swojej kryjówki mieli dobry widok na plac budowy i ośrodek badań naukowych. Na ulicy przed ośrodkiem kłębił się spory tłum uchodźców. Han dostrzegł pośród nich ludzi, Rynów, Vorsów, kilku Sullustan i rodzinę rogatych Gotalów. Nagle w polu widzenia pojawiło się kilku zakutych w czarne pancerze wojowników Yuuzhan. Jedni ciągnęli, a inni pchali potężny automat do układania bloków durbetonu. Na widok ich napiętych mięśni, Han aż się zachłysnął. Kiedy Yuuzhanie zrównali się z tłumem uchodźców, pierwszy wojownik cofnął się i zajął miejsce obok kilku ostatnich. Wszyscy pchnęli automat, który niespodziewanie zniknął, jakby zapadł się pod powierzchnię gruntu. Dwie sekundy później rozległ się donośny trzask.

- Jeszcze wszystkiego nie zniszczyli, fakt - mruknął Han. - Ale są na najlepszej drodze.

Odrzucił głowę i spojrział przed siebie. Na ziemi pod bramą leżało troje rozciągniętych ludzi. Wyglądało na to, że ktoś strzelił do nich od tyłu, kiedy starali się dobiec do bramy.

Czyżby w budynku elektrowni ukrywał się yuuzhański strzelec wyborowy? A może ci ludzie zginęli, kiedy przez bramę kolonii wdierali się Yuuzhanie?

- Niech wszystkie gwiazdy zatańczą z radości — mruknął w pewnej chwili Droma.

Gwiazdy zatańczą? - zdziwił się Han. To było coś nowego. Wiedział wprawdzie, że ziomkowie Dromy to banda niepoprawnych romantyków, ale...

Dopiero wtedy zauważył te stworzenia. Owinięte wokół szopy z maszynami budowlanymi jedno z nich przypominało gigantycznego węża. Raz po raz, cofając i wysuwając potworny łeb do przodu albo na boki, połykało kawały durbetonu. Do najwyższego zwoju potwora przylgnął drugi, nie mniej koszmarny. Miał z tyłu potężne szczypce i wyglądał jak wyciągnięty na całą długość Hutt, zakuty w segmentowany biały pancerz. W pewnej chwili drugie zwierzę cofnęło łeb i z całej siły uderzyło mocarnymi przednimi kończynami w boczny mur szopy. Chwilę później opuściło łeb i grzmotnęło nim w nadwątloną ścianę. Na oba potwory posypały się okruchy i bryły durbetonu. Nagle z pyska górnego stworzenia wystrzeliło kilkadziesiąt grubych macek; zaczęły wkladać do paszczy, jeden po drugim, mniejsze kawałki muru. Han pomyślał, że koszmarny potwór przypomina mu przenicowanego Sarlaccę.

- Sithowe nasienie! - szepnęła osłupiała Droma.

Jeszcze niedawno Han miał zamiar beztrudno pobiec w tamtą stronę, aby okrężną drogą dotrzeć do północno-zachodniej bramy. Jednak musiał się dobrze zastanowić. Odwrócił się, podniósł kamień i rzucił na ulicę.

Nic się nie stało.

- Wydaje mi się, że najlepiej byłoby szybko przebiec ten odcinek - stwierdził Droma.

Han chwycił go za ramię i bez słowa zacisnął palce na szczeciniastej sierści. W pewnej chwili puścił się biegiem w stronę łukowatego tunelu, gdzie szara kopuła stykała się z wysypaną piaskiem powierzchnią gruntu. Po drodze przystanął tylko raz, żeby schylić się i wyszarpnąć kaptur z aparatem do oddychania, który jeden z zabitych ludzi wciąż jeszcze trzymał w zaciśniętych palcach. W biegu założył kaptur na głowę.

Kiedy od bramy dzieliło go zaledwie kilka metrów, coś ze świstem przeleciało obok jego ucha. Zdyszany Droma wpadł do ciasnej śluzy niemal równocześnie z Hanem. On także miał na głowie aparat do oddychania. Han trzasnął otwartą dłonią w umieszczony na ścianie przycisk zamykania kłapy śluzy. Poprawił kaptur, żeby maska przylegała do twarzy.

Tuż obok jego głowy przeleciało stworzenie wielkości dłoni. Odbiło się od przeciwległej ściany śluzy, skierowało ku przedniej ścianie, znowu odbiło i zawróciło w kierunku jego głowy. Otarło się o jego kaptur. Han uskoczył i zamachnął się kolbą blastera jak maczugą.

Trafił. Stworzenie wylądowało na posadzce śluzy. Świszcząc i sycząc, obracało się coraz wolniej, aż w końcu zupełnie znieruchomiało. Jego ostre brzegi wyglądały jak sporządzone z hartowanej stali. Han poklepał się po głowie i zauważył, że na dłoni pozostał odcięty kosmyk włosów. A przecież miał hełm i kaptur. Gdyby nie założył śmiesznego nakrycia głowy, krwawiłby teraz niczym zarżnięty gornt.

Nie kryjąc obrzydzenia, rozdeptał stworzenie. Kiedy zewnętrzne wrota śluzy się otworzyły, do środka wpadły kłęby szarej atmosfery planety Duro.

Droma nachylił się i ostrożnie podniósł największy kawałek nieżywego stworzenia.

- Możemy potrzebować noża - zauważył. - To powinno go zastąpić.

Puścili się biegiem w kierunku holownika, kiedy usłyszeli dobiegające zza pleców dziwnie brzmiące okrzyki. Zupełnie jakby krzyczał ktoś z ustami pełnymi wody.

Han odwrócił się, wymierzył i strzelił. Trafił pierwszego ze ściągających ich yuuzhańskich strażników prosto w twarz, w sam środek podobnej do rozgwiazdy dziwacznej narośli. Wojownik wzdrygnął się, jakby natrafił na niewidoczną ścianę, zachwiał się i runął na plecy.

Jeszcze jeden słaby punkt! - ucieszył się Solo. Na razie szczęście go nie opuszczało. Zachęcony powodzeniem, wziął na cel drugiego Yuuzhanina. Strzelił i trafił. Obca istota padła jak rażona gromem.

Spodziewał się, że pozostali zrezygnują z pościgu i zawrócą, ale srodze się rozczarował. Ścigający ich Yuuzhanie chyba nawet przyspieszyli.

Hej, to niesprawiedliwe! - obruszył się Han. Zaczął mierzyć do narośli umożliwiających oddychanie i strzelać tak szybko, jak potrafił. Jeżeli wojownicy rasy Yuuzhan Vong szukali śmierci, z prawdziwą przyjemnością zgadzał się spełnić ich życzenie. Nie zamierzał tylko pozwolić, żeby odwdzięczyli mu się tym samym.

Skreślił na wschód i przeskakując nad odłamkami skał, puścił się w dół zbocza śladami Dromy. Nigdy dotąd nie widział rozległych bagien, nad których uzdatnianiem trudzili się naukowcy Leii. Teraz, z wysoka, wyraźnie dostrzegał podwójne linie wąskich grobli, oddzielających trójkątne, prostokątne i kwadratowe stawy. Woda w najbliższych miała zielonkawą barwę, ale w najdalszych została tak skażona chemicznymi środkami, że wyglądała jak toksyczna pomarańczowa zawiesina albo opalizująca brązowa galareta. W pozostałych jeziorkach woda miała mniej lub bardziej naturalny kolor, zależnie od stadium uzdatniania, w jakim pozostawili ją naukowcy. U stóp zbocza, na skraju mokradeł, piętrzyła się ogromna zgniłozielona sterta czegoś, co wyglądało jak skoszona trawa.

To właśnie tam powinien znajdować się ukryty holownik, pomyślał Solo. Zauważył, że Droma dobiegł pierwszy do sterty siana i bez wahania zaczął je odrzucać na boki. Chwilę później zdyszany Han zrobił to samo. Miał nadzieję, że maska i aparat do oddychania nie przepuszczą do jego płuc pyłków ani drobin kurzu. Po kilku minutach rycia w sianie zaczął się obawiać tylko jednego: że może się udusić. Gorączkowo odgarniając na boki wilgotną trawę, pograżał się coraz głębiej i głębiej. Lepiej, żeby ten holownik tam był! - pomyślał w pewnej chwili.

Nagle jego lewa dłoń natrafiła na coś twardego. Tknięty przecuciem, Han zmienił kierunek i zanurkował. Obiema rękami chwycił siano i odrzucał do tyłu, a potem wypychał je nogami jeszcze dalej. Przypominało mu to pływanie w morzu skoszonej trawy.

Po minucie czy dwóch natrafił na mroczną pustkę. Zorientował się, że jest w ciemnej jaskini o metalowych ścianach.

- Droma! - zawołał. Odpowiedziało mu dziwne echo, odbite od metalowych ścian kadłuba. Nagle dostrzegł, że w ciemności coś się porusza. Sylwetka Ryna wyglądała jak ciemna plama na tle przefiltrowanego przez żdzbla trawy światła. - Chodź do mnie!

Stwierdził, że powietrze nie jest tu wcale takie złe. Możliwe, że zawdzięczał to aparatowi do oddychania. Zapewne w skażonej atmosferze planety Duro nie pozostały żadne mikroorganizmy powodujące gnicie skoszonej trawy.

- Chodź tu! - krzyknął po chwili. - Rusz swój kosmaty tyłek!

W końcu Ryn, wymachując rękami jak cepami, wpadł do mrocznej czeluści. Podczołgał się bokiem do miejsca, gdzie leżał Solo. Korelianin nie tracił czasu. Czekać na Dromę, postanowił się rozejrzeć.

- Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że to stary WQ 445 firmy TaggeCo - powiedział. - Ogromna, kanciasta płaskodenna krypa. Równie łatwa do upolowania jak flink drzemiący na powierzchni wody.

- Nie uciekałbym nim, gdybym miał do wyboru coś innego - mruknął Droma.

- Ja także nie - przyznał Han. - Ale koloniści nie mają niczego innego. - Zmarszczył brwi. Leia nie powiedziała, czy ma kogoś do pilotowania tej łąjby, a on chciał jak najszybciej zasiąść za sterami „Sokoła”. - Silniki powinny być gdzieś tam - dodał, pokazując miejsce za swoją lewą stopą- a kłapa awaryjnego wjazdu... - przekopał się jeszcze trzy metry w prawo - ..chyba niedaleko.

Kiedy dotarli do wjazdu, Droma zabrał się do pracy. Zręcznie manipulując kawałkiem ostrego jak sztylet stworzenia, zdołał w końcu podważyć i uchylić kłapę na tyle, żeby obaj mogli wśliznąć się do środka. Dopiero tam Han znalazł się w swoim żywiole. Błyskawicznie odnalazł skrytkę z awaryjnym sprzętem, wyciągnął dwa małe pręty jarzeniowe i jeden rzucił Dromie. Później skierował się do sterowni. Zamierzał zacząć od spraw najważniejszych, to znaczy procedur diagnostycznych. Chciał się przekonać, czy metalowy kolos jest na tyle sprawny i zdalny do lotu, żeby powierzyć mu życie tysięcy uchodźców.

Przypomniawszy sobie tłum więźniów przechodzących uliczką między namiotami, jamę ze schwytanymi automatami i dwa potwory, niszczące szopę z maszynami budowlanymi. Z wysiłkiem przelknął ślinę. Pomyślał, że jeśli się nie pośpieszy, już niedługo nie będzie kogo ratować.

- No, dalej, szczeciniasta gębo - mruknął. - Bierzmy się do roboty.

Chrapliwy głos durosjańskiego kontrolera ruchu powietrznego nakazał Marze, żeby zaparkowała swój „Cień Jade” w doku 16-F miasta Bburru, w dobrze znanym Porcie Duggana.

- Jeżeli posłużą się skanerami form życia, będziesz miał kłopoty - rzekła cicho kobieta.

Luke kucnął obok Artoo-Detoo i wpisywał do jego pamięci ostatnie polecenia. Zazwyczaj sprawami bezpieczeństwa zajmował się pokładowy komputer; ponieważ jednak istniało prawdopodobieństwo odcięcia dopływu energii do wszystkich pokładowych urządzeń i podzespołów, jego obowiązki musiał przejąć mózg astromechanicznego robota.

- Raczej nie - odparł Luke, wstając. - Tylko wróć jak najszybciej.

- Nie musisz powtarzać mi tego dwa razy - odrzekła Mara.

Zawahała się i spojrzała mu w oczy. Bardzo chciała wniknąć w jego uczucia.

Jej mąż uniósł brew.

- Uważaj... - zaczął.

Mara zerknęła na niego z ukosa.

- ..na swoje małeństwo - dokończył Skywalker.

Lewy kącik ust żony lekko drgnął.

- Rozumiem, że chciałeś przez to powiedzieć: „Wróć biegiem, mamę mojego dziecka” - powiedziała.

Luke dotknął jej ramienia w delikatnej pieśczości. Mara ją odwzajemniła.

Potem odwróciła się i spieszenie przeszła przez próg wjazdu. Żeby uspokoić operatorów kamer systemu bezpieczeństwa miasta Bburru, przycisnęła guzik uruchamiający mechanizm zamykania kłapy wjazdu, po czym skierowała się do Portu Duggana.

Zauważyła, że ulic już nie patrolują strażnicy w brązowych mundurach spółki CorDuro. Widziała tylko Rodian, podobnie jak ona spieszących do centrum tej dzielnicy miasta. Dopiero po jakimś czasie minęła posterunek, obsługiwany przez tych samych strażników spółki CorDuro, na których natknęli się Luke i Anakin.

- Gdzie zaparkowała pani swój statek? - zapytał szczupły Durosjanin.

- Szesnaście F - odparła zwięźle Mara.

Drugi strażnik opuścił posterunek i skierował się w stronę doku, którego numer wymieniła.

Mara uśmiechnęła się ponuro. Mechanizm otwierania kłapy wjazdu miał kilka sprytnych zabezpieczeń. Strażnicy nie dostaliby się na pokład, nawet gdyby posłużyli się laserowym palnikiem.

W centrum dzielnicy zeszła z taśmy ruchomego chodnika i przekonała się, że wielki plac świeci pustkami. Opustoszała nawet platforma, z której przemawiała Ducilla.

Mara odwróciła się i popatrzyła na przezroczystą pionową rurę turbowind. Artoo-Detoo pokazał jej rozmieszczenie posterunków wokół ośrodka dowodzenia Wojsk Obrony Przesławczy planety Duro. Centrala mieściła się nad Stacją Duggana w specjalnej nadbudówce. Kobieta podniosła głowę. Wysoko w górze, pod wspornikami kopuły, zauważyła niewielką platformę. U stóp szybu turbowind także stało dwóch barczystych szaroskórych strażników.

- Chciałabym porozmawiać z admirałem Wuhtem - oznajmiła.

- W tej chwili jest nieobecny.

- Tak przypuszczałam.

Mara znów spojrzała w górę. Zbyt wysoko, żeby doskoczyć, pomyślała. Może Luke dokonałby tej sztuki, ale nie ja.

- Proszę posłuchać - rzekła cicho. - Chcę tylko z nim porozmawiać. Nie zamierzam wyrządzić mu żadnej krzywdy. Jeżeli jednak będę musiała narzucić wam swoją wolę, to wam może stać się coś złego.

Wykorzystując energię Mocy, nadała większą siłę przekonywania swoim słowom. Stawka w tej grze była zbyt wysoka, a w grę wchodziło życie zbyt wielu osób, żeby miała się teraz bawić w ceregiele albo rezygnować z wykonania zadania.

- Przepuście mnie - powiedziała stanowczo i leciutko machnęła ręką.

Jeden ze strażników przycisnął guzik na kontrolnym panelu. Rozległ się cichy syk i drzwi klatki turbowind się otworzyły. Durosjanin wyciągnął komunikator i odsunął się na bok.

Mara z uniesioną dumnie głową weszła do kabiny i wcisnęła guzik piętra naczelnego dowódcy.

ROZDZIAŁ

24

Leia wśliznęła się w wąską pionową szczelinę, oddzielającą budynek administracyjny od kompleksu hydroponicznego numer jeden. Durbetonowe ściany obu budowli dzieliła odległość mniejsza niż pół metra, toteż średnio sprawna fizycznie osoba mogła wspiąć się na dach jak skalnym kominem.

Schowała blaster do kabury i rozparła się w szczelinie rękami i stopami. Powierzyła kończynom ciężar ciała i rozpoczęła wspinaczkę.

Powierzchnie durbetonowych ścian były wystarczająco chropowate, żeby znaleźć oparcie dla stóp i dłoni, ale musiała wyginać je w kostkach i nadgarstkach pod nienaturalnym kątem, co sprawiało jej sporo bólu. Przywołała techniki Jedi, żeby móc go ignorować, zacisnęła zęby i wspinała się coraz wyżej. Kiedy znalazła się na samej górze, weszła na dach kompleksu hydroponicznego i poczołgała się do północnej krawędzi. Ostrożnie uniosła głowę i spojrzała na szpę z maszynami budowlanymi.

Niemal natychmiast jej uwagę przyciągnął jakiś ruch. Dwóch Yuuzhan ścigało po głównych schodach budynku administracyjnego szerokie nosze. Trzymali je z przodu za drążki, ale pozwalali, żeby drugi koniec ześlizgiwał się po stopniach.

Leia wstrzymała oddech. Rozpoznała jasnoniebieski szal Abbeli Oldsong, owinięty teraz wokół ręki istoty, która leżała na noszach zupełnie nieruchomo. Wyciągnęła blaster i wymierzyła w bliższego Yuuzhanina, celując we wrażliwe miejsce na szyi, gdzie zaczynał się czarny pancerz. Po chwili jednak opuściła lufę. W porę uświadomiła sobie, że Abbela nie oddycha. Dopiero teraz zauważyła, że wokół jej szyi zaciska się coś w rodzaju włochatego szkarłatnego węża.

Skrzywiła się z niesmakiem. Spod ciała Abbeli wystawały kończyny innych naukowców - zarówno obcych istot, jak i ludzi. Leia podejrzewała, że Yuuzhanie złożyli wszystkich w ofierze któremuś ze swoich straszliwych bogów.

Dopiero w ostatniej chwili usłyszała, że po dachu czołga się Olmahk. Zerknęła kątem oka na jego szczupłą szarą twarz.

- Nie unoś zbyt wysoko głowy, lady Vader - odezwał się szeptem Noghri.

- Jasne - zapewniła równie cicho Leia.

Zobaczyła teraz, jak grupa yuuzhańskich wojowników ciągnie i popycha ogromny automat do układania bloków durbetonu. Zamiast unosić się na własnych repulsorach,

robot złobił w piaszczystym gruncie głęboką koleinę. Leia podniosła głowę, zaintrygowana, co zamierzają z nim zrobić Yuuzhanie. Nieco dalej, między szopą z budowlanymi maszynami a działkami kolonistów, zauważyła świeżo wykopaną głęboką jamę. Wokół dołu krzatali się Yuuzhanie. Niektórzy powiększali go i pogłębiali czymś, co wyglądało z tej odległości jak szpadle i kilofy, ale z pewnością było wyspecjalizowanymi zwierzętami.

Na zachód od jamy siedziało lub chodziło w kółko mnóstwo schwytych uchodźców. Były ich setki. Chociaż dawno minęła północ, nikt spośród nich nie spał ani nawet nie leżał. Trzech wojowników Yuuzhan dołączyło do nich następną grupę. Cały okoliczny teren patrolowali yuuzhańscy strażnicy, dosiadający gadów podobnych do ogromnych jaszczurek. W pobliżu szopy ze sprzętem budowlanym także coś się poruszało.

Leia wyczuła wzrok i zobaczyła część gigantycznego stworzenia. Potwór miał koszmarny łeb z wieloma grubymi mackami. Potrząsał nim i uderzał zajadłe, niszcząc durbetonową ścianę szopy.

Leia zacisnęła dłoń w pięść. Co robiła w tej chwili SENKA? Z pewnością senator Shesh siedziała bezpieczna w swoim gabinecie na Coruscant. Tymczasem Leia musiała się przyglądać, jak stworzone przez bioinżynierów potwory niszczą wszystko, co ta sama SENKA uważała za prawdziwy raj dla uchodźców.

Nie tylko ona się przyglądała. Wkrótce potem usłyszała za plecami, że znów ktoś się czołga. Obok niej ułożyła się Jaina.

- Coś ci to przypomina? - zapytała córka, poprawiając maskę na twarzy.

Leia kiwnęła głową.

- Rhommamool i dół wypełniony płonącymi automatami - mruknęła. - Musimy zrobić coś, żeby uwolnić tamtych kolonistów.

- Jak możemy im pomóc? - zapytała z goryczą dziewczyna.

- Wystarczy, jeżeli pomożesz mi wciągnąć na górę górniczy laser - wyjaśniła Leia. - Zauważyłam, że wciąż jeszcze nie zniszczyli głównej siłowni.

- A może posłużymy się Mocą, żeby wyciągnąć z tamtej jamy coś ciężkiego? - zaproponowała Jaina. - A potem opuścimy na głowy strażników? Nie będą mieli pojęcia, gdzie się ukrywamy.

- Rzeczywiście, mogłybyśmy kilku rozgnieść - przyznała Leia. - Może to by wystarczyło, żeby uwolnić tych nieszczęśników.

- Jakim cudem?

Leia wyjaśniała córce szczegóły planu, który chwilę wcześniej zrodził się w jej głowie, kiedy na dach kompleksu hydroponicznego wspiął się Jacen i znieruchomiał obok siostry.

- Będziesz nam potrzebny - odezwała się Leia. Liczyła na to, że teraz, po napaści Yuuzhan, jej starszy syn w końcu zmieni zdanie. Wyjaśniła mu, co zamierza zrobić.

Młody Jedi ostrożnie unióśł głowę i rozejrzał się po terenie kolonii. Zmarszczył brwi. Sprawiał wrażenie nieszczęśliwego i rozgoryczonego.

- Mamo ja... nie mogę-mruknął po chwili. -Jaino, przecież wiesz, że wielkość nie ma znaczenia. Zrobisz to sama. Jeżeli musisz, zaczerpnij część mojej siły. Ale nic wię-

cej nie mogę zrobić. To krytyczna chwila. Nie ośmielę się... ze strachu, że mógłbym się pośliznąć.

- Pomóż nam albo wynoś się stąd, dezerterze. - W brązowych oczach siostry pojawiły się gniewne błyski.

- Olmahk także nie posługuje się Mocą, a jakoś nikt nie nazywa go dezerterem - zauważył spokojnie Jacen.

Leia zmarszczyła brwi. W głosie syna usłyszała frustrację. Nigdy jeszcze nie odmówiła posłuszenia się Mocą, jeżeli mogła dzięki temu ocalić czyjeś życie. Jednak nie przykładała się do ćwiczeń ani dalszej nauki tak jak mogła i powinna. Dała synowi nie najlepszy przykład. Jacen tylko posunął się o krok dalej.

Jaina przeczołgała się jeszcze pół metra, tak że jej głowa znalazła się prawie nad krawędzią dachu. Spod jej niebieskiej czapki wystawało jedno ucho.

- No dobrze, mam - powiedziała. - Zaczerpnij tyle energii Mocy, ile uznasz za słuszne i potrzebne, a później pchnij ją ku mnie. Poradzisz sobie z tym bez trudu.

Leia uświadomiła sobie, że przynajmniej część jej niepokoju gdzieś się rozplynęła. Jaina znalazła sposób, żeby przejąć inicjatywę. Wydawała matce polecenia, ale nie pozwalała odczuć, że wie o jej braku doświadczenia.

Leia uwolniła myśli i skierowała je w głąb ciała - do esencji czystego życia, która zawsze się tam ukrywała. Nie ku nicości, ale ku miejscu, gdzie tętniło życie i siła. Kto wie, może nawet drzemała nadzieja? Zaczerpnęła porcję energii i skierowała ją w stronę córki. Stwierdziła, że tym razem podobieństwo ich charakterów nie dzieli, ale działa na ich korzyść. Wyglądało na to, że Jaina bez trudu pochłonęła dawkę energii matki.

Leia otworzyła jedno oko. Postanowiła, że będzie wszystko obserwowała. Nie ośmieliła się jednak zdekoncentrować. Zobaczyła, że z masakrowanej przez potwora szopy unosi się w powietrze spory automat do rozdrabniania rud metali.

Stojący po bliższej stronie jamy Yuuzhanie rozpierzchli się na boki. Żarłoczny potwór usiłował połknąć maszynę, ale się spóźnił i zrezygnował. Niektórzy siedzący po przeciwnej stronie dołu więźniowie zerwali się na równe nogi. Natychmiast rzucili się ku nim yuuzhańscy strażnicy, przez co odwrócili się plecami do niezwykłego zagrożenia nad ich głowami.

Kiedy Leia zamknęła umysł na przepływ Mocy, poczuła jak drętwieje z zimna. Maszyna runęła z głośnym trzaskiem na powierzchnię gruntu. Zmiażdżyła przynajmniej pięciu wojowników rasy Yuuzhan Vong. Pozostali uznali za słuszne ukryć się na terenie pobliskich ogródków kolonistów. Zapewne doszli do wniosku, że wystarczające schronienie znajdą w prowizorycznych domkach i szopach na narzędzia ogrodnicze.

W tłumie więźniów zapanowało podniecenie. Jakiś Vuvrianin zerwał się na nogi i krzyknął:

- Uciekajcie! Kryjcie się, gdzie kto może!

Dopiero wtedy tłum eksplodował. Nieszczęśnicy rozbiegli się we wszystkie strony. Kilku zabili dosiadający jaszczurów Yuuzhanie, ale reszta biegła ile sił w nogach, pojedynczo albo w małych grupkach, byle jak najdalej od ciemnic i strażników.

Leia miała nadzieję, że przynajmniej niektórzy odnajdą zamaskowane wejścia do tuneli. Zadowolona, odetchnęła głęboko i spojrzała na córkę. Jaina położyła się na wznak i oddychała z wysiłkiem.

- Dobra robota - pochwaliła ją Leia.

Dziewczyna uśmiechnęła się z przymusem. Zerknęła na brata.

- Wielkie dzięki, Jacenie - powiedziała.

Jej brat przygryzał wargę i wpatrywał się w celownik swojego Mastera.

- Już dobrze - odezwała się matka. - Pod budynkiem administracyjnym zaczyna się główny tunel. Wiedzie do niego szyb, który ma dwa poziomy pod powierzchnią gruntu. Strzeżony laser znajduje się na pierwszym.

- A przynajmniej powinien - burknęła Jaina. - O co chcesz się założyć, że do tej pory Nom Anor zdążył uszkodzić go albo zniszczyć?

- Może nie - wtrącił się Jacen. - Olmahk i ja będziemy cię osłaniali. Bardzo dobrze... tyle że Leia też miała w tej sprawie coś do powiedzenia.

- Posłuchajcie - mruknęła. - To ja dowodzę tą wyprawą i to ja wydaję rozkazy. Idę pierwsza. Z Olmahkiem - dodała, spoglądając groźnie na posępnego strażnika. - Jeżeli coś się wydarzy, bierzcie nogi za pas. Zanim zacniemy wyciągać ten laser, pokażę wam drogę ucieczki. Jesteście moją nadzieją. To od was zależy przyszłość Nowej Republiki. Od was, Anakina i całego pokolenia młodych rycerzy Jedi. Jeżeli wytrwacie... cóż, tylko nie zawiedźcie ludzi, którzy pokładają w was zaufanie.

- Daj spokój, mamie - zniecierpliwiła się Jaina. - Mam zadanie do wykonania.

To się nazywa właściwe podejście. Jaina miała rację. Skończyła się pora przygotowań. Nadszedł czas, by rozpocząć przedstawienie.

Leia sfrunęła z dachu kompleksu hydroponicznego na parapet okna budynku administracyjnego. Wskoczyła do środka, pobiegła korytarzem i szybko pokonała odległość dzielącą ją od opustoszałego gabinetu, zajmowanego kiedyś przez jej doradczynię.

Na szczęście chyba wszyscy wojownicy rasy Yuuzhan Vong zgromadzili się na dworze wokół wykopanej jamy. W gabinecie nie pozostał ani jeden. Leia zastanawiała się, czy nie odpiąć rękojeści świetlnego miecza. Postanowiła jednak, że mieczami powinny posługiwać się bliźnięta. Wyciągnęła blaster, najciszej, jak umiała, wyszła na korytarz i zaczęła schodzić po pogrążonych w ciemnościach kręconych schodach.

Kiedy znalazła się piętro pod powierzchnią gruntu, gestem powstrzymała Olmahka. Trzeba było zaczekać na Jacena i Jainę.

- Laser - szepnęła, kiwnięciem głowy pokazując boczną komorę.

Na pokrytej warstwą kurzu podłodze widniały dwie ciemne plamy. Leia zrozumiała, że strażnicy Abbeli podzielili los swojej zwierchniczki. Między plamami przebiegała szeroka ścieżka pozbawiona kurzu. Wyglądało to, jakby ktoś ciągnął tamtędy jeszcze większe zwłoki. Randy? - pomyślała Leia. Jeżeli tak, to gdzie podział się Basbakh?

- Najpierw pokażę wam drogę ucieczki - powiedziała. Jaina pokręciła głową.

- Idę z tobą - oznajmiła stanowczo.

- Nie.

Trzymając blaster gotowy do strzału, Leia pchnęła drzwi do następnego pomieszczenia.

Mieścił się tam magazyn, wypełniony okratowanymi pojemnikami. Przechowywano w nich azotany, związki potasu i rozmaite mikroorganizmy. Pomieszczenie rozjaśniał słaby blask umieszczonej blisko wejścia jarzeniowej lampy. Leia nie zauważyła żadnego śladu, dowodzącego, że do pomieszczenia zaglądali Yuuzhanie. Posadzkę pokrywała gruba warstwa nietkniętego kurzu.

Przeszła przez magazyn do zamaskowanego wjazdu, który wyglądał jak jeszcze jeden permabetonowy panel. Lekko pociągnęła za uchwyt, uchyliła klapę i wymownym ruchem głowy wskazała mroczną szczelinę.

- Tunel - oznajmiła. - Wiedzie do kopalni.

Jaina przewróciła oczami. Jej brat zmarszczył brwi, zacisnął wargi i spiorunował siostrę spojrzeniem.

Leia wróciła do drzwi. Sięgnęła do pojemnika ustawionego obok metalowej rurki z izolowanymi przewodami elektrycznymi. Zacerpnęła garść piasku i żeby zatrzeć ślady butów, starannie rozsypała go po zakurzonej posadzce.

Olmahk pozostał przed drzwiami. Kiedy Leia znowu je otworzyła, usłyszeli dobiegające z wyższego piętra chrapliwe głosy i stuk butów wchodzących po schodach kilku obcych istot. Znieruchomieli i czekali. Po mniej więcej minucie głosy umilkły.

Tylko czy wrogowie wyszli z budynku? - zastanawiała się Leia. Umiała wyczuć obecność żywych istot za pośrednictwem Mocy, ale ilekroć miała do czynienia z Yuuzhanami, czuła się jak ślepa.

Spojrzała na córkę w masce na twarzy, a potem w drugą stronę, na starszego syna w cieplej czapce na głowie. Pchnęła taflę drzwi i otworzyła je na całą szerokość.

Nikt nie czaił się w półmroku.

Wyszła na korytarz i na palcach skierowała się w stronę lasera.

Kiedy dochodziła do bocznej komory, w miejscu osadził ją chrapliwy okrzyk. Odwróciła się i wymierzyła blaster. Na kręconych schodach stał wojownik rasy Yuuzhan Vong w połyskującym czarnym pancerzu. Wyciągał coś z przecinającego na ukos tors szerokiego pasa.

- Uciekajcie! - krzyknęła Leia. - Biegnijcie do tunelu!

Wystrzeliła, ale laserowa błyskawica odbiła się od pancerza Yuuzhanina. Zamierzła posłać drugi strzał pod pachę - w słaby punkt, gdzie zaczynała się zbroja wojownika.

Nie zdążyła.

Z najniższego podestu zeskoczył drugi Yuuzhanin. Zgrabnie wylądował i natychmiast skoczył ku kobiecie. Pchnął ją tak silnie, że Leia uderzyła plecami o durbetonowe drzwi. Przekonana, że bliźnięta zdążyły uciec, zatrzasnęła je impetem ciała. Nie przestawała strzelać, dopóki silne szpony obcej istoty nie zacisnęły się na jej ramionach. Poczula, że odrywają ją od drzwi, unoszą w powietrze i z całej siły ciskają na twardą płytę.

Straciła przytomność i pogrążyła się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Jacen biegł prosto wydrążonym tajemnym tunelem. Starał się dotrzymać kroku Jainie, która gnała na złamanie karku, jakby ścigał ją android-zabójca.

- Wiesz chociaż, w jakim kierunku uciekamy? - zapytał w pewnej chwili.

- Na północ - odparła dziewczyna. - A kiedy dotrzemy do głównego chodnika kopalni, skrećmy w prawo, w stronę ukrytego nadajnika.

Do kopalni. A może to właśnie tam miał swoją kryjówkę Nom Anor? Jacen dogonił siostrę i chwycił ją za rękę. Dziewczyna chciała ją wyszarpnąć, ale trzymał mocno.

- O co chodzi? - zapytała.

- Musimy zawrócić - wysapał Jacen. To nie miało sensu. Mimo to cały czas czuł, że w jego mózgu wiruje coś ogromnego i białego. - Nie możemy jej tak zostawić.

- Co takiego? - zachnęła się Jaina. - Halo, Duro do Jacena. Kazała nam uciekać, prawda? Zaczyna być w tym naprawdę dobra.

- Mówię ci, że źle robimy.

Jacen zaczął się wsłuchiwać w siebie - w miejsce, w którym zazwyczaj kryła się mądrość. Tym razem jednak niczego nie usłyszał. Pomocy! - pomyślał, nie przestając nasłuchiwać. Co mam robić?

- Źle robimy - powtórzył bardziej stanowczo. - Ty musisz uciec. Odszukaj ten holownik i opowiedz ojcu o wszystkim, co się stało. Wezwij na pomoc wujka Luke'a i ciocię Marę. Powiedz im, że wróciłem ratować mamę.

Z oddali zaczął napływać pulsujący tępy ból.

Leia nie zamierzała pozwolić mu się zbliżyć ani tym bardziej wpuścić go do głowy, ale jakimś cudem ból i tak się wśliznął i w końcu przedostał do jej mózgu.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że leży na plecach i ma zamknięte oczy.

Stopniowo powracała jej pamięć i napływały wspomnienia. Nie poruszała się i le-dwo oddychała. Czekala na jakąkolwiek wskazówkę albo sugestię, żeby zorientować się, gdzie się znajduje. Nie czuła żadnych więzów ani ogłuszających kajdanek - niczego oprócz pulsującego bólu, którego ognisko znajdowało się gdzieś za lewym uchem.

Umiała posługiwać się Mocą na tyle, żeby trochę go zmniejszyć.

Potem zaczęła nasłuchiwać.

- Wstań, administrator Organo Solo.

Obcy głos obudził jakieś echo w jej mózgu. Uświadomiła sobie, że już go gdzieś słyszała. Wyteżając pozostałe zmysły, leżała jeszcze kilka chwil zupełnie nieruchomo. Orientowała się, że budynek administracyjny opuściły wszystkie inne istoty. Najważniejsze jednak, że nie wyczuwała w pobliżu obecności Jacena ani Jainy. A zatem albo uciekli, albo...

Nie. Wiedziałyby, gdyby zginęli z raje Yuuzhan.

- Dobrze wiemy - ciągnął ten sam znajomy głos - kiedy odzyskałaś przytomność. Wstań. Wykaż się odwagą i udowodnij, że jesteś godna.

Leia zorientowała się, kim jest jej rozmówca. Dotychczas jednak rozmawiała z nim tylko przez komunikator. Nigdy go nie widziała.

Otworzyła oczy. Zobaczyła pochylony pod bardzo dziwnym kątem szary durbetonowy sufit.

Klatka schodowa, pomyślała. Obezwładnili mnie przed drzwiami magazynu. Uniosła głowę. Kątem oka zauważyła wiodącą na wyższe piętro spiralę durbetonowych stopni.

Rozmawiający z nią Yuuzhanin stał między nią a najbliższą ścianą. Był trochę niższy niż ci, których dotąd widziała. Prawie całą powierzchnię łysej głowy pokrywały rozmaite tatuaże. Tylko z tyłu wyrastała niepozorna kępka zmierzwionych czarnych włosów. Yuuzhanin był zakuty w cienki czarny pancerz - o wiele cieńszy niż te, które nosili wojownicy. Nosił na nim szarozielonkawą tunikę. Leia spojrzała na jego twarz...

...i nie zauważyła ani śladu nosa. Zamiast tego pośrodku widniały dwa ciemne otwory. Prawe, jasnoniebieskie oko miało pośrodku dziwną szczelinę; przypominało oko kota. W lewym oczodole tkwiło coś, co z pewnością nie było prawdziwym okiem. Wyglądało jak przecięta pośrodku pionową szczeliną skórzana kula, która chyba miała imitować gałkę oczną.

Yuuzhanin trzymał w jednej dłoni jej świetny miecz.

- Doktor Crre'Ar, jak sądzę - odezwała się wyniośle Leia. - A może powinnam była powiedzieć: Nom Anor?

- Już się poznaliśmy - odparła istota, rozciągając cienkie wargi w parodii uśmiechu.

Leia usiadła i oparła głowę o chropowatą ścianę. Poprawiła biały turban na głowie. Dopiero teraz zauważyła trzech wojowników rasy Yuuzhan Vong. Jeden stał na straży na najniższym podeście schodów, a dwaj pozostali po bokach fałszywego naukowca.

- A więc rozwiązywałeś nasze problemy - ciągnęła cierpko Leia - wykorzystując zdobycze yuuzhańskiej biotechniki?

- Częściowo - przyznał Nom Anor. - Zajmowałem się czymś w rodzaju alchemii, żeby zmieniać niektóre wasze bezużyteczne mikroorganizmy w potężne i przydatne narzędzia.

- To ty zatrueś organizm Mary Jade Skywalker. Tutaj jednak tylko grałeś na zwłokę. Staraleś się odwracać naszą uwagę.

- Uczysz się i mądrzejesz.

- Chyba tak - przyznała Leia.

Ona także grała na zwłokę. Miała nadzieję, że jej dzieci znajdą się daleko, zanim obce istoty zorientują się, iż nie przyszła sama.

Sama? A co stało się z Olmahkiem?

Nie zdołaliby jej obezwładnić, gdyby go nie zabili.

Chewie, Elegos, Abbela, a teraz Olmahk. Kolejny raz Yuuzhanie dawali jej powód do żywienia osobistej urazy.

- Domyślam się - podjęła po krótkiej przerwie - że w tej chwili dysponujecie wszystkim, co potrzebne, żeby własnoręcznie posprzątać bałagan na planecie Duro?

- To nie twoja sprawa - warknął Yuuzhanin. - Jeżeli taka będzie wola wojennego mistrza, tak się stanie.

Wojennego mistrza?

- A kto to taki?

Nom Anor wyszczerzył się jeszcze bardziej.

- Wstań - rozkazał. - Pokażę ci.

Leia czuła, że zdrętwiały jej nogi. Nom Anor i silnie umięśnieni strażnicy zaprowadzili ją na piętro, do jej mieszkania-gabinetu.

Między biurkiem a szafkami stał samiec rasy Yuuzhan Vong. Przerastał co najmniej o pół głowy najwyższego strażnika. Jego ciało, od szyi do kolan, osłaniał pancerz z wielkich pomarańczowobrazowych łusek. W wargach widniało wiele nacięć, podłużną głowę pokrywały kunsztowne tatuaże. Najbardziej niesamowite wrażenie wywierała jednak głęboka jak kanał bruzda, przecinająca prawie od ucha do ucha wierzch głowy. Leia nawet nie chciała zgadywać, jak powstała.

Inna, o wiele niższa istota płci żeńskiej z koszmarnymi czarnymi bliznami na policzkach, podała wojennemu mistrzowi coś na niewielkiej tacy. Wysoki Yuuzhanin wysunął z czubków palców długie ostre pazury i delikatnie ujął dziwny przedmiot. Dopiero wtedy Leia zorientowała się, że wojenny mistrz trzyma coś w rodzaju długiej glisty.

Odwróciła głowę i spojrzała w bok. Wstała tego ranka w pośpiechu i nie zdążyła pościelić łóżka. Na talerzu obok automatu do przyrządzania posiłków wciąż jeszcze leżały resztki śniadania. Po drugiej stronie biurka, gdzie stał wysoki Yuuzhanin, wszystkie szuflady szafek były wyciągnięte, a ich zawartość wyrzucona na durbetonową podłogę. Stos przedmiotów wyglądał, jakby ktoś go podeptał.

Wysoki Yuuzhanin lekko przekrzywił głowę i umieścił glistę w lewym uchu.

Leia się wzdygnęła. Rozstawiła nogi, żeby nie upaść. Musiała nadal grać na zwłokę, żeby Luke i Mara mieli dość czasu na wezwanie posiłków. A może nawet, żeby uchodźcy zdążyli odlecieć z planety Duro.

- Wojenny mistrzu - zaczęła. - Chyba wiesz, że twój atak na tę planetę i kolonię jest całkowicie sprzeczny z prawem. Nie możecie...

- Cisza - przerwał obojętnie Yuuzhanin.

Leia rozejrzała się po gabinecie. Zauważyła, że na ścianie, nad lewym ramieniem intruza, wciąż jeszcze wisi żelazny ciemny lichtarz. Może obecność stojącej pod nim obcej istoty sprawiała, że wyglądał jak zdeformowana rogata głowa.

Leia stawiała w życiu czoło wielu dostojnikom. Sprzeciwiła się Borskowi Fey'lyi. Przeciwwstawiła się wielkiemu moffowi Tarkinowi. Nie uległa się gróźb kilkunastu innych pomniejszych tyranów. Yuuzhanie byli jednak zupełnie obcymi istotami. Mieli inną skalę wartości, żyli według odmiennych praw i obyczajów. Leia musiała jakoś przemówić mu do rozumu, jeżeli chciała położyć kres tej wojnie raz na zawsze.

- Ekscelencjo - powiedziała. - Oboje jesteśmy przywódcami. Nasi obywatele darzą nas szacunkiem i zaufaniem. Zapewne mamy sobie wiele do powiedzenia. Nazywam się Leia Organa Solo.

- Wiem, kim i czym jesteś - oznajmił Yuuzhanin. - Przysiągłem swoim bogom, że złożę ciebie i tobie podobnych w ofierze. Będziesz pierwszą i z pewnością jedną z najślawniejszych Jeedai, których im poświęcę.

Leia poczuła, że jej żołądek gwałtownie się skurczył.

- Nie jestem Jedi - oznajmiła. - A przynajmniej nie w ścisłym znaczeniu tego słowa.

- Z naszych raportów wynika, że jest inaczej.

- Wasze raporty są nieścisłe - stwierdziła kobieta. - Przeszłam szkolenie, ale nic więcej. W naszej galaktyce nauczyliśmy się żyć w pokoju jedni obok drugich. Z pewnością i wy...

- Nie mamy zwyczaju żyć obok czegoś, co uważamy za nieczystość - przerwał oschle wojenny mistrz. - Wasza cywilizacja opiera się na bluźnierstwach. Wasza galaktyka jest skażona i zanieczyszczona. Przylecieliśmy ją oczyścić, żeby mogli w niej mieszkać i żyć w czystości inni Yuuzhanie, nie zaliczający się do kasty wojowników. Zgodnie z wolą najwyższego lorda Shimrry i kapłanów, takie jest nasze przeznaczenie.

Przeznaczenie? Leii przeszły ciarki po plecach.

- Podobnie jak na tej planecie - podchwyciła, wykonując zamaszty gest ręką. - Nieczystości można jednak usunąć, nie zabijając wszystkich, którzy tu mieszkają.

- Ta planeta również zostanie oczyszczona - oświadczył Yuuzhanin. - Wszystko, co przedrzeźnia życie, stanowi bluźnierstwo. Nie rozumiesz tego, Jeedai Organa Solo? Wasze maszyny przedrzeźniają życie. Są bluźnierstwami. Obrazą życia. Znie wagą dla bogów, którzy poświęcając części siebie, stworzyli wszystko, co istnieje.

Mózg Leii przeszła błyskawica zrozumienia. Obce istoty wierzyły, że powołując do życia cały wszechświat, jego stwórcy okaleczyli własne ciała. Nic dziwnego, że starali się ich naśladować.

- Podziwiamy służące wam stworzenia - zaczęła przezornie. - Twory waszej biotechniki wywierają na nas duże wrażenie. Czy wolno mi będzie stwierdzić, że wy również możecie się od nas wiele nauczyć?

- Uczymy się - oznajmił posepnie Yuuzhanin. - Staramy się was lepiej poznać. Stwierdziłszy jednak, że nie uznajecie jedynej prawdziwej i transcendentalnej rzeczywistości. Zamiast uczyć się, jak poznać ją w najwłaściwszy sposób, uprzedzacie bieg wydarzeń albo udajecie, że nie ma nad wami ostatecznej władzy.

- My także wyhodowaliśmy stworzenie, które nam służy - pochwaliła się Leia. - Leczy nasze organizmy. Nazywamy je bactą. Inne służące nam stworzenia pomagają produkować żywność, a jeszcze inne...

- A mimo to przedrzeźnicie śmierć i próbujecie uniknąć jej sługi, bólu. Najwyższą prawdą tego świata jest śmierć, Organa Solo.

- Nie, wojenny mistrzu - sprzeciwiła się Leia. - Najwyższą prawdą tego świata jest życie.

- Śmierć kładzie kres wszelkiemu życiu.

- Nie można mówić o śmierci, gdzie nie istnieje życie. To życie spaja i jednoczy tę galaktykę. Życie...

- Milcz, bluźniercza istoto!

Siła krzyku Yuuzhanina sprawiła, że Leia cofnęła się o pół kroku. Była jednak w swoim żywiole.

- Ekscelencjo - ciągnęła, zdecydowana przedstawić swój punkt widzenia pod innymi kątami, dopóki chociaż trochę nie przekona Yuuzhanina. - Możemy rozmawiać tylko dlatego, że oboje żyjemy. Twoim bogom. .. - Tak, kiedy o nich wspominał, sta-

nowczo użył liczby mnogiej. Powiedział: bogowie. - Twoim bogom mogą oddawać cześć tylko żywi, nie martwi.

- O niczym nie masz pojęcia.

Wysoki Yuuzhanin odwrócił głowę i powiedział coś w dziwnym gardłowym języku. Jeden ze stojących za plecami więźniarki strażników wybuchnął dzikim, przerażającym śmiechem. Leia uświadomiła sobie, że musiała powiedzieć coś, co tym obcym istotom wydało się nieprawdopodobnie głupie.

- W jakim celu przylecieliście na planetę Duro? - zapytała.

- Ty, która przedrzeźniasz śmierć, dowiesz się tego bardzo szybko - oznajmił wojenny mistrz. - A potem na cześć prawdziwego mistrza wojny, Yun-Yammki, oczyścimy ten świat ze wszystkich krążących po orbitach bezwstydnymi bluźnierstw.

Durosjańskich orbitalnych miast... uświadomiła sobie zdjęta przerażeniem Leia. Życie straci miliony istot.

- Oszczędzimy wszakże niewolników, których nazywasz uchodźcami - ciągnął Yuuzhanin. - Potrzebujemy ich pracy, żeby oczyścić ten świat. - Kiwnął głową na Noma Anora. - A kiedy skończymy, planeta Duro stanie się naszą bazą wypadową. Zaatakujemy stąd inne światy, usytuowane w rejonie nazywanym przez was Jądrem galaktyki.

Leia poczuła w mózgu nagłą pustkę. Oni naprawdę zamierzają opanować całą galaktykę, pomyślała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że mogą tego dokonać.

- Ekscelencjo - powiedziała. - Nawet bogowie nie mogą chcieć, żebyś usunął wszystkie inne formy życia z powierzchni...

- Nie jesteś rzeczniczką bogów! - przerwał jej Yuuzhanin. - Jednak już niedługo będziesz miała okazję z nimi porozmawiać. Powiesz wtedy mojemu władcy, Yun-Yammce, że stanie przed jego obliczem więcej istot twojego rodzaju... więcej Jeedai, naszych najpotężniejszych wrogów w tej galaktyce. Kiedy spotkasz się z nim, ambasadorko, powtórzysz wiernie moje słowa.

ROZDZIAŁ

25

Jeden ze stojących za plecami Leii strażników podszedł do niej. Niósł długie stworzenie z wygiętymi na boki dwiema parami sporych szczypiec. Czyżby zamierzali mnie złożyć w ofierze tu i teraz? - pomyślała Leia. Cofnęła się o krok.

- Zaczekajcie! - zawołała. - Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o waszych bogach!

Śmiech wojennego mistrza zabrzmiał w jej uszach niczym przerażające basowe dudnienie.

- Oto słowa prawdziwej mądrości - zadrwił Yuuzhanin. - Będziesz miała na to czas, Organa Solo.

Yuuzhański strażnik chwycił jej lewą dłoń i przysunął do niej stworzenie, które ścisnęło szczypcami jej nadgarstek. Wyciągnęło się teraz na całą długość i zacisnęło drugą parę szczypiec wokół prawego przegubu. Unieruchomiło jej rękę równie skutecznie jak ogłuszające kajdanki.

Wysoki Yuuzhanin wydał jakiś rozkaz w swojej gardłowej mowie. Drugi strażnik chwycił lewy łokieć Leii. Zanim zmusił ją, by się odwróciła, zobaczyła, że wojenny mistrz ostrożnie wyciąga długiego robaka z lewego ucha.

Strażnicy sprowadzili ją po kręconych schodach do magazynu, wepchnęli do środka i zmusili, by się odwróciła. Jeden chwycił stworzenie krępiące jej nadgarstki i delikatnie nacisnął, żeby zwolniło uścisk szczypiec. Później pchnął Leię tak mocno, że omal nie upadła. Zatrzasnął drzwi. Więźniarka pograżyła się w ciemnościach.

Jakiś czas stała bez ruchu. Nie mogła nawet myśleć. Odnosiła wrażenie, że od śmierci dzieli ją zaledwie kilka mikrosekund.

Nagle uświadomiła sobie, że z jej lewej strony coś się poruszyło. Coś ogromnego.

Skuliła się i przygotowała do walki.

- To tylko ja - usłyszała płaczliwy basowy głos. - Pani współwięzień.

- Randa? - zapytała, nie kryjąc zdumienia. - Pewnie poszedłeś do nich z propozycją wydania więźniów, a oni cię wyrzucili.

- Nie, nie, przysięgam na mój kajdric - zaprzeczył energicznie młody Hutt. - Staralem się uruchomić wasz górniczy laser. Zamierzałem poświęcić życie, byle tylko zabić tyle odrażających istot, ile zdołam.

- Och, akurat - parsknęła Leia. Znała zbyt wielu Hurtów, żeby w to uwierzyć. - Zamierzałeś poświęcić życie!

- To szczerą prawdą! - jęknął Randa. - Nie zasłużyłem na nic lepszego. Moja skrucha jest szczerą, a moje upokorzenie bezgraniczne i całkowite. Ja...

- Upokorzenie? - Leia podeszła do drzwi i spróbowała je otworzyć albo popchnąć. Bezskutecznie. - Co się stało z Basbakhanem?

- Uwięzili go - załkał Randa.

- A zatem, nie żyje.

- Ależ żyje.

Schwytali żywego Noghriego? Leia zawsze dotąd sądziła, że to niemożliwe. Otarła wierzchem dłoni krople potu z czoła. Nawet nie zauważyła, kiedy się tam zgromadziły.

- Co zamierzałeś zrobić z tamtym villipem? - zapytała. - Odpowiedz mi. Jeżeli będziesz ze mną szczerą, może ci uwierzę. Może.

Randa cicho jęknął.

- Zamierzałem prowadzić z nimi własne negocjacje - wymamrotał cicho, że Leia z trudem usłyszała. - Staralem się uzyskać od nich obietnicę, że pozostawią w spokoju jakąś planetę, na której mogliby zamieszkać moi ziomkowie. Czy pani także nie chciałaby nakłonić ich do takiej obietnicy?

Leia zaczęła się zastanawiać, czy istniało cokolwiek, co zgodziliby się przyjąć Yuuzhanie w zamian za obietnicę oszczędzenia jakiejś planety.

- Co im obiecywałeś? - zapytała lodowatym tonem.

Stwierdziła, że stopniowo jej oczy przyzwyczajają się do ciemności. Coraz lepiej widziała długie, pulchne brązoworude cielsko, wciśnięte w przeciwległy kąt za regałem. Nie miała pojęcia, czy Randa nie jest ranny. Prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło.

Młody Hutt wysunął spiczasty gruby język i przesunął nim po wargach.

- Zależy im na rycerzach Jedi - powiedział po chwili. - Nie wiedzą nic o Mocy. Chcą tylko się dowiedzieć, dlaczego Jedi są tacy potężni.

- A zatem zamierzałeś mnie zdradzić? - domyśliła się Leia. - Wydać w ich ręce? Czy właśnie to chciałeś mi powiedzieć?

Nic dziwnego, że uwięzili nas razem, pomyślała. Z pewnością uznali to za najwłaściwsze rozwiązanie.

Randa rozpląszczył się na posadzce. Leia nie wyobrażała sobie, żeby jakikolwiek Hurt mógł wyglądać tak żałośnie.

- Nie - chlipnął po chwili. - Nie panią. Jacena.

Jej syna? Ten Hutt chciał wydać w ręce wrogów... jej starszego syna? Wyprostowała się i zacisnęła pięści. Pomyślała, że powinna zabić zdrajcę gołymi rękami. Przypomniała sobie jednak, że musiała posłużyć się łańcuchem, żeby zabić Jabbę, a Beldoriona pokonała dopiero, kiedy użyła świetlnego miecza.

Randa pewnie nie miał pojęcia, jak uśmierciła Beldoriona, ale chyba wszyscy wiedzieli, że to ona zabiła Jabbę.

- Jak śmiałeś! - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Młody Hutt skurczył się jeszcze bardziej i wcisnął w najdalszy kąt niewielkiego magazynu.

- Teraz pani rozumie - powiedział - dlaczego zamierzałem poświęcić życie. Widzę jednak, że nadal mi pani nie wierzy. - Zniżył głos do cichego, posepnego basu. - Nigdy mi pani nie ufała i chyba nigdy więcej mi pani nie zaufa. Chciałbym, och, jak bardzo bym chciał przekonać panią o szczerości mojej skruchy...

- Przestań - rzekła z niesmakiem Leia. - Nie, nie ufam ci, nie ufałam i nie zaufam, a ty nie możesz zrobić nic, żeby to zmienić. - Przypomniała sobie jednak, że widziała ślady, które mogły powstać przy wywlekanii Randy z pomieszczenia, gdzie znajdował się laser. - Mimo to nie rezygnuj - dodała. - Musimy jakoś zabić czas, więc równie dobrze możesz uraczyć mnie jeszcze jednym kłamstwem. Jak to się stało, że cię złapali?

- Nachylałem się akurat nad laserem - odparł trochę pewniej Hutt. - Usiłowałem uruchomić repulsorowe sanie...

- Czego, rzecz jasna, nie mogłeś zrobić - przerwała mu Leia. - Zasyfrowałam mechanizm, żeby reagował tylko na mój głos.

- Ach... - Randa ciężko westchnął. Zabrzmiało to jak chlipnięcie. - Cieszę się, że wszystko pani wyznałam - podjął po chwili. - Nawet jeśli nikt więcej się o tym nie dowie, a ja i pani poniesiemy śmierć z rąk Yuuzhan, przynajmniej...

- Och, zamknij się - burknęła Leia.

Oparła się plecami o chropowatą kamienną ścianę. Natrafiła lewym ramieniem na metalową rurkę z przewodami elektrycznymi i odruchowo odsunęła się na bok, żeby jej nie uwierała.

Jedna myśl nie dawała jej spokoju. Wojenny mistrz oświadczył, że najpierw zniszczy orbitalne miasta, a potem skieruje swoje wojska do ataku na Coruscant. Nasuwał się tylko jeden wniosek: już niedługo musi pojawić się więcej Yuuzhan.

Władze Bburru i Spółki Transportowej CorDuro nieustannie oszukiwały i okradwały uchodźców, których miały zaopatrywać w sprzęt, żywność i wszystko, co niezbędne do przeżycia. Wyglądało jednak na to, że to nie uchodźcom groziła masakra. Niebezpieczeństwo groziło samym Durosjanom!

Leia zamknęła oczy, uwolniła myśli i starała się wyczuć dzieci.

Subtelny rezonans Jainy wyczuła od razu. Napłynął z dość dużej odległości. Jacen mógł znajdować się dalej lub bliżej, ale zamknął umysł na oddziaływanie Mocy. Może jest w kopalni? Leia nie wiedziała. A może wciąż jeszcze w jej tajemnym tunelu?

Nieświadomie jeszcze raz potrafiła rurkę z przewodami. Nagle odwróciła się i zacisnęła na niej palce. Uświadomiła sobie, że rurka biegnie pionowo przez całą wysokość magazynu, od posadzki do sufitu. Usiłowała wyobrazić sobie rozkład pomieszczeń budynku administracyjnego. Jakie znajdowały się nad nią, a jakie pod nią? Przypomniała sobie, że ta sama rurka biegnie także przez całą długość jej tunelu.

Kucnęła i zaczęła macać zakurzoną posadzkę.

- Mogę pani w czymś pomóc? - zainteresował się Randa.

- Szukam kamyka - wyjaśniła Leia. - Od bloków durbetonu odpadają zawsze jakieś okruchy. To dlatego, że pracownicy wytwórni nigdy nie dotrzymują parametrów procesu technologicznego...

- Już mam, pani administrator.
Coś upadło tuż przed nią. Leia wyciągnęła ręce w tamtą stronę, na-macała kamyk i chwyciła go prawą dłonią.

- Dzięki - mruknęła.

Wstała i zaczęła wystukiwać oznaczające wołanie o ratunek litery kalamariańskiego kodu dźwiękowego. Jak się spodziewała, nikt nie odpowiedział.

Wyprostowała się, podeszła do drzwi i napała na nie całym ciężarem ciała. Ani drgnęły.

- Ja też próbowałem - wtrącił się Randa. - Ale może gdybyśmy spróbowali razem, udałoby się nam...

- Nie - ucieła Leia. A może rzeczywiście ma wyrzuty sumienia? -pomyślała. Przy najmniej w tej chwili.

A może tylko się jej boi?

Usiadła na kamiennej posadzce.

Mogła zrobić już tylko jedno, ale jeszcze się wahała. Gdyby posłużyła się Mocą, żeby wezwać na ratunek Jainę albo Jacena, mogła narazić któreś z nich na niebezpieczeństwo.

Och, akurat, usłyszała drwiący głos w głowie. Jakby Luke i bez tego nie wiedział, że wpadłam w tarapaty. Przypomniła sobie, że kazała bliźniętom uciekać - i troszczyć się o swoje życie. W końcu była świadoma, na co się decyduje.

Ale jeśli jej brat bliźniak i tak wiedział...

Oparła plecy o szorstką ścianę i głęboko odetchnęła. Luke, usłysz mnie, pomyślała.

Nie wyczuła, czy ją usłyszał. Może także się ukrywał?

Skulony na fotelu pilota „Cienia Jade” Luke poczuł nagle, że ociera się o niego wiązka energii. Spodziejając się, że może to być skaner strażników orbitalnego miasta, zanurkował w głąb Mocy i pozwolił, żeby strumień energii go opłynął. Kiedy zniknął, dogonił go myślami i ostrożnie musnął, żeby potwierdzić jego elektroniczną, bezosobową naturę.

Ze zdumieniem wyczuł jednak Leię. Niebezpieczeństwo i ostrzeżenie.

Zaniepokojony, uwolnił i wysłał ku siostrze własne myśli. Niemal natychmiast zorientował się, że została pochwycona i uwięziona. Jej sytuacja wydawała się beznadziejna. Chciała, żeby zrozumiał coś więcej, ale reszta jej myśli dotarła do niego bardzo zniekształcona. Bitwy... wojenny mistrz... groźba ataku na Coruscant...

Zeskoczył z fotela pilota i ruszył w kierunku ładowni, gdzie pozostawił swój X-skrzydłowiec.

W pół drogi jednak stanął i zawrócił. Czy naprawdę ma lecieć ratować siostrę? Czy nie powinien raczej zostać na pokładzie „Cienia Jade”, skąd mógł pospieszyć na ratunek żonie i dziecku, gdyby groziło im jakieś niebezpieczeństwo? Z drugiej strony jednak... Mara powiedziała, że może lecieć, jeżeli będzie musiał.

Spróbował uzyskać odpowiedź od samej Mocy. O dziwo, odniósł bardzo silne wrażenie, że w tej chwili nie powinien martwić się losem Leii. Jej przeznaczenie rysowało się całkiem wyraźnie. W ciągu najbliższej godziny niebezpieczeństwo groziło

natomiast Jacenowi. Jego starszy siostrzeniec powinien stawić czoło wyzwaniu albo pogodzić się z goryczą ostatecznej porażki.

Zaczerpnął porcję energii Mocy i wysłał ku Jacenowi, a potem drugą skierował ku Leii. Czy los siostry został przesądzony? Nie wiedział. Umysł siostrzeńca pozostawał dla jego myśli zamknięty - niedostępny, jakby młodzieniec ukrywał się za wysoką barykadą. Luke zgarbił się i rozluźnił mięśnie.

W przeciwieństwie do Jacena, jego siostra bliźniaczka odpowiedziała natychmiast. Co więcej, mistrz Jedi uzyskał zapewnienie, że córka spieszy matce na ratunek. Połączony z siostrzenicą myślową więzią Luke wyczuwał, że Jaina przewyciężyła irytację, jaka zwykle ogarniała ją na myśl o Leii. Odnosił wrażenie, że dziewczyna darzy głęboką miłością kobietę, do której tak była podobna... że uważa ją za swoją najlepszą przyjaciółkę, nauczycielkę i mistrzynię.

Pomyślał, że może Jaina zdoła przedrzeć się przez barykadę Jacena.

Znowu skierował myśli do Leii. Doszedł do przekonania, że skoro jego siostra bliźniaczka otwiera umysł na jego myśli, może przejmie od niej jakieś wspomnienie albo obraz, które będzie mógł przekazać Jainie. Musiał ocalić i Leię, i Jacena.

Jedynym wyraźnym obrazem, jaki odebrał i przesłał siostrzenicy, było postukiwanie kamykiem w biegnącą w mrocznym pomieszczeniu metalową rurkę.

Nagle usłyszał melodyjny świergot pokładowego komunikatora. Pospieszył do sterowni i usiadł na fotelu pilota.

- Skywalker - odezwał się.

- Luke, tu Hamner. Przykro mi, ale nie mam dla ciebie pomyslnych wieści.

- Nie dostaniemy wsparcia?

- Zapomnijcie o tym. Chyba powinniście się ewakuować, dopóki jeszcze możecie.

- Dziękuję, że się staraleś.

Wyczuł, że na lądowisku obok jachtu pojawili się strażnicy. Zaszły się w ciemny kąt sterowni i wyciągnął osobisty komunikator. Musiał jakoś przekazać Marze wiadomość od Hamnera.

Czy istniał jakikolwiek sposób, żeby pomóc Leii i Jacenowi?

Jacen skulił się jeszcze bardziej. Starał się zajmować jak najmniej miejsca. Cierpliwie czekał, aż ucichnie ostatnie echo łomotu ciężkich butów osoby wchodzącej po kręconych schodach. Przed pięcioma minutami doszedł do wniosku, że ma powyżej uszu skradania się i zastanawiania, i jeszcze raz wśliznął się do budynku administracyjnego. Chwilę potem natknął się na rozgniecione szczątki automatu sprząającego typu U2C1. Po całej klatce schodowej poniewierały się kawałki plastikowych nóg, elastycznych węży rak i metalowego korpusu. Jeszcze później zobaczył opustoszałą wnękę w murze, na tyle przestronną, żeby mógł zmieścić się właśnie taki automat.

W pewnej chwili poczuł, że coś musnęło sam skraj jego mózgu. Odnosił wrażenie, że usiłuje się tam wedrzeć coś ogromnego, co wyłoniło się z nieskończoności. Zwalczył chęć wyskoczenia z kryjówki i położenia kresu wszystkim przyszłym mękom.

Zaczekaj... pojawiła się myśl. Chwilę potem dziwaczne uczucie minęło.

Udręczony - a teraz również rozgniewany - wbił paznokcie w kostki nóg. Na co mam czekać!? - odpowiedział w myśli.

Han oparł się o kamienną ścianę. Zostawił Dromę na pokładzie zamaskowanego ostatniego gwiazdowego holownika kolonii Gateway. Kiedy wracał do miejsca w tunelu, w którym mieli zgromadzić się wszyscy uchodźcy, natknął się na końcówkę anteny umożliwiającej łączność z orbitalnymi miastami. Natychmiast dołączył do niej osobisty komunikator. Usiłował połączyć się z Leią albo Jainą, ale bez skutku. Odezwał się jednak protokolarny android.

- Jeszcze się nie pokazali, Threepio? - zapytał.

Oczami wyobraźni zobaczył, jak zamknięty w sterowni „Sokoła Millennium” złoisty android wyteża wzrok i spogląda w górę.

- Nie pojawiły się żadne inne obce statki, kapitanie Solo...

- Sprawdź wskazania czujników - polecił Han. - Nic nie nadlatuje? W ciszy, która teraz nastąpiła, Han usłyszał dobiegający zza pleców szmer kroków setek uchodźców. Kierowali się do wyjścia z tunelu i ukrytego holownika.

- Nie, panie kapitanie - odezwał się w końcu Threepio. - Wygląda na to, że przynajmniej na razie wrogowie wysłali tu tylko niewielką grupę szturmową...

- Wystarczy, Złota Sztabo - przerwał bezceremonialnie Han. - Bądź gotów uruchomić silniki, kiedy postawię stopę na pokładzie.

Spróbował jeszcze raz połączyć się z Leią, ale kiedy i ta próba zakończyła się niepowodzeniem, odłączył komunikator i wsunął go głęboko do kieszeni. Nie podobało mu się jej milczenie.

Podszedł do niego jeden z ostrzyżonych Rynów.

- Połączyłeś się? - zapytał.

Han rozpoznał głos Romany'ego.

- Taa - mruknął wymijająco. - A co u was? Wszystko w porządku?

Niebieski jednoczęściowy kombinezon Ryna zwiślał mu luźno z ramion. Romany trzymał własny komunikator.

- R'vanna melduje, że do tunelu zeszli ostatni uchodźcy - oznajmił z dumą.

- To doskonale.

- Gdzie podziewają się twoje dzieci?

- Zapewne towarzyszą matce - odparł Solo. Przynajmniej taką mam nadzieję, dodał w myśli. Spojrzał przed siebie, na końcowy i najbardziej niebezpieczny odcinek tunelu. To właśnie tam chodniki prastarej kopalni łączyły się z podziemnym przejściem, które wydrążyli naukowcy Leii. Jeżeli gdziekolwiek, to właśnie tam mogła zostać zastawiona pułapka... Jakby wykrakał, usłyszał głośny trzask pękającego sklepienia tunelu. Chwilę później rozległ się przeciągły, trwający chyba całą minutę huk. Han poczuł, że o jego skórzany hełm uderzają mniejsze i większe odłamki skały.

- Tylko bez paniki - powiedział, zwracając się do Romany'ego. - A przynajmniej jeszcze nie w tej chwili...

Nie do wiary, ale żaden z przerażonych uchodźców nawet nie pisnął, a przecież dalej, w tylnym odcinku tunelu, część sklepienia runęła na głowy przechodzących Ry-

nów. Han usłyszał jakiś pomruk i poczuł, że napiera na niego fala ciał. Ze zdumieniem przekonał się jednak, że nawet nie zapłakało żadne dziecko.

- Co im powiedziałaś, Romany? - zdziwił się Solo.

Ryn wzruszył ramionami.

- Wiedzą, że jeżeli ktoś ich usłyszy, wszyscy będziemy zgubieni. Uciekamy albo kryjemy się od tak dawna, że stajemy się w tym naprawdę dobrzy.

Han przeklął w myśli wojowników rasy Yuuzhan Vong. Odwrócił się i ruszył w dalszą drogę.

Kiedy w końcu wyszedł z tunelu, stwierdził, że jest dzień. Jak zwykle, zza grubej warstwy chmur nie było widać słońca. Droma wyciągnął z ładowni holownika regały do układania towarów. Chociaż wymagało to sporo wysiłku, ustawił je ukośnie po obu stronach wiodącej do tunelu drogi i zaczął przykrywać odrzuconym ze statku sianem. Pomagali mu w tym koloniści, którzy pierwsi dotarli do holownika. Powstałym w ten sposób tunelem Han mógł przeprowadzić największą grupę - bez obawy, że uchodźców dostrzeże ktoś z powietrza albo z wierzchołka urwiska.

Sporządzonym naprędce przejściem szły teraz różne istoty - ludzie, Vorsowie, Vuvrianie, a od czasu do czasu także Gotalowie i Sniwianie. Han oparł się o jeden z regałów. Chwilę później do mężczyzny podszedł Droma. Teraz, kiedy nadszedł czas pożegnania, wydawało się, że Han nie chce się z nim rozstać.

Wszystko wskazywało, że nie chce tego także Droma.

- Jeżeli zdolamy przedrzeć się na orbitę, zamierzam polecić w drugą stronę Szlakiem Handlowym - powiedział. - Kto wie, może uciekinierów z innych światów wciąż jeszcze przyjmują władze jakichś planet w sektorach Seneksa i Juveksa?

- Zmieniłeś się - oświadczył bez ogródek Solo. - Co się stało z wygadany chwalipiętą, którego spotkałem kiedyś w systemie Ord Mantell?

- Chyba zginął - odparł pośpiesznie Droma. Zdjął czerwono-niebieski beret, otrzepał go z kurzu, pyłu i źdźbeł trawy, po czym nasadził na głowę pod tym samym zawadiackim kątem. - Razem z połową członków swojego klanu.

- Jeżeli spotkam jakichś maruderów, wezmę ich na pokład „Sokoła” - obiecał Han.

- To dobrze - odparł Ryn. - Wiesz co? - zapytał ze smutnymi błyskami w oczach. - Naprawdę żałuję, że nie spotkałem Luke'a Skywalkera.

Han parsknął wymuszonym śmiechem.

- Ależ spotkałeś - powiedział. - Na pokładzie „Królowej Imperium”.

- Ale nie zamieniłem z nim ani słowa.

- Kiedyś ci go przedstawię. - Klepnął przyjaciela po porośniętym szczeciniastą sierścią ramieniu. - Pamiętaj, miej zawsze włączone skanery.

- Wiesz, Solo, jak na takiego napuszonego gościa, masz całkiem dobre serce - stwierdził Droma.

Wkrótce minęli ich ostatni uchodźcy. Droma odwrócił się i zaczął przynaglać maruderów do jeszcze większego pośpiechu. Zgodził się zaczekać ze startem, aż Han znajdzie się na pokładzie „Sokoła” i da znak, że jest gotów do odlotu w przestworza. Solo miał eskortować holownik do punktu, skąd można było dokonać skoku do nad-

przestrzeni, a potem polecieć w swoją stronę - z Leią i z dziećmi. Jeszcze raz pstryknął włącznikiem osobistego komunikatora, ale i teraz żadne się nie odezwało.

Odwrócił się w stronę tunelu, kiedy przybiegł zdyszany Droma.

- Pokładowy komunikator nie działa - oznajmił zwięźle. - To znaczy, nadajnik chyba jest w porządku; uszkodzeniu uległ obwód zasilania mikrofonu. Mogę podłączyć twój?

Han zawahał się, ale doszedł do wniosku, że mógłby porozmawiać z dziećmi, korzystając z pokładowej aparatury „Sokoła”. I tak zresztą już dawno powinien wrócić na pokład frachtowca. Wręczył Rynowi swój komunikator.

- Chyba jesteśmy kwita, jeżeli chodzi o akcje ratunkowe - powiedział. - Myślę nawet, że teraz ty jesteś mi coś winien.

- Dopisz to do mojego rachunku - odparł Droma.

Drzwi więzienia Leii uchyliły się tylko na tyle, aby wytatuowana szponiasta ręka zdążyła postawić na posadzce kubek z wodą i miskę, której zawartość związała się i skręcała. Randa spał w swoim kącie, od czasu do czasu cicho pochrapując. Leia podeszła do drzwi, podniosła kubek i ostrożnie powąchała wodę. Nie wyczuła żadnego podejrzanego zapachu. Upiła mały łyk, ale zanim przełknęła, chwilę trzymała w ustach. Wsłuchując się w siebie, starała się dociec, czy nie ostrzega jej o ukrytym niebezpieczeństwie zmysł, który tak skutecznie chronił Luke'a i Marę. Nie odebrała żadnego ostrzeżenia, uniosła więc kubek do ust i łapczywie wypila resztę. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na miskę wypełnioną żywymi robakami. Bez względu na to, jak bardzo byłaby głodna, nie tknęłaby czegoś takiego. Podeszła do Randy i trąciła butem jego cielsko.

- Hej, obudź się - powiedziała. - Czas na obiad.

Młody Hurt ocknął się niemal natychmiast. Zamrugał wielkimi czarnymi oczami.

- Mamy tu coś, co powinno ci smakować - dodała, wsuwając miskę między palce jego małych rąk.

- Och! - wykrzyknął Randa. - Od tak dawna nic nie miałem w ustach!

Leia odwróciła się, zdjeta obrzydzeniem.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na ciche postukiwanie, które rozlegało się od dołbrych kilku sekund. Odwróciła głowę. Wyglądało na to, że dźwięki napływają od strony metalowej rurki z elektrycznymi przewodami.

Podeszła bliżej. Jak się spodziewała, odgłosy układały się w krótsze i dłuższe serie. Bez wątplenia ktoś wystukiwał litery kalamariańskiego kodu dźwiękowego. Zaczęła nasłuchiwać. S-Z-Y-S-Z. Przerwa. C-Z-Y-M-N-I-E-S-L-Y-S-Z-Y-S-Z. Przerwa.

Schyliła się i podniosła okruch durbetonu. Korzystając z kolejnej przerwy, odstukała:

K-I-M-J-E-S-T-E-Ś.

- Jaina - napłynęła odpowiedź. - Na którym jesteś piętrze?

Nie mogąc powstrzymać uniesienia, Leia posłużyła się Mocą i uwolniła myśli. Rzeczywiście wyczuła obecność córki. Badając jej umysł, odebrała także wizerunek Luke'a. Jej brat bliźniak ukrywał się na pokładzie statku zaparkowanego w jednym z

doków orbitalnego miasta Bburru. Leia zorientowała się też, że Mara prowadzi rozmowy z durosjańskimi dowódcami Wojsk Obrony Przestworzy.

Nie dowiedziała się, co porabia Han. Ze względów bezpieczeństwa Jaina wyłączyła osobisty komunikator.

Starannie formułując myśli, Leia przesłała córce dokładną treść wszystkich gróźb, które usłyszała z ust wojennego mistrza Yuuzhan. Podkreśliła, że wszyscy muszą się dowiedzieć o strasliwym niebezpieczeństwie, zagrażającym durosjańskim orbitalnym miastom. Na wszelki wypadek zapewniła Jainę, że powtarza wiernie, słowo po słowie, wszystko, co powiedział jej Yuuzhański dowódca. Nie zapomniała dodać, że schwytani na powierzchni Duro osadnicy zostaną niewolnikami i że po zdobyciu planety nastąpi atak na Coruscant.

- Ostrzeż Marą - dodała, po czym podjęła wystukiwanie kolejnych poleceń. - Posłuż się nadajnikiem do łączności z orbitą. Pospiesz się i wróć. Randa także uwięziony.

- Najpierw uwolnię ciebie - odstukała dziewczyna.

- Nie. Nie. Najpierw ostrzeż Marę. Odszukaj Hana, potem wróć - odpowiedziała Leia.

Nastąpiła dłuższa cisza. Ciepłe echo myśli córki w mózgu Leii skurczyło się, ostygło i znikło. Leia musiała odczekać prawie minutę.

- Dobrze - usłyszała w końcu.

Rozluźniła mięśnie, usiadła na posadzce, wypuściła z ręki kamyk i oparła łokcie na kolanach.

Wychodząc z kabiny turbowindy, Mara zobaczyła czterech uzbrojonych Durosjan.

- Urocze - powiedziała. - Komitet powitalny. Chciałabym porozmawiać z admirałem.

- Jest pani aresztowana - warknął Durosjanin z największym rządkiem naszywek na kołnierzu bluzy.

- Pod jakim zarzutem? - zapytała.

- Na początek chociażby za wtarrngnięcie na terrren wojskowy.

- Ho, ho... - Mara rozluźniła mięśnie, ale nie odsunęła rąk od Mastera i świetnego miecza. - Coś wam powiem. Możecie starać się mnie zamknąć, ale wtedy albo rozciągnę was na podłodze, albo skończycie jako przynęta dla wojowników Yuuzhan. Możecie też zaprowadzić mnie do admirała Wuhta i nie przeszkadzać nam w rozmowie. Jeżeli Wuht nadal będzie chciał mnie aresztować, pójdę z wami bez oporu. Jak sądzicie, potraficie się zdecydować?

Przywódcą strażników zamrugął.

- Tędy - polecił, wyciągając rękę.

Mara poszła za nim, gotowa uciec natychmiast, gdyby Durosjanin skrzył w niewłaściwą odnogę korytarza. Zanim jednak upłynęła minuta, strażnik wprowadził ją do prywatnej jadalni. Przy stole siedział wysoki stopniem durosjański oficer w towarzystwie dwóch krzepkich mężczyzn. Wojskowy miał na sobie szaro-czarny mundur z kunsztownie plecionymi epoletami, białymi sznurami i rzędem gwiazdek na kołnierzu bluzy.

- Panie admirale - odezwała się kobieta. - Nazywam się Mara Jade Skywalker. Mam panu do powiedzenia coś bardzo ważnego.

Admirał Wuht przekrzywił podłużną głowę i uważnie obejrzał od stóp do głów swojego gościa.

- Bardzo ciekawe - powiedział. - Te dwie dżentelistoty właśnie powiedziały mi, że zanim upłynie godzina, pani albo ktoś inny z waszej grupy wedrze się tu siłą, żeby ze mną porozmawiać. I oto pani przyszła!

Mara uważnie popatrzyła na towarzyszących Wuthowi mężczyzn. Bliższy miał krótko ostrzyżone włosy i lekko się garbił. Twarz drugiego sprawiała niesamowite wrażenie, jakby miał oczy nie do pary. Jedno wyglądało dziwacznie i złowieszco; zapewne było źle dopasowaną albo uszkodzoną protezą. Obaj nosili otwarcie naszywki Brygady Pokoju. Widniały na nich dwie złączone dłonie: jedna ludzka i druga cała pokryta tatuażami.

Ciekawe, że w tej drugiej nie narysowano pazurów, pomyślała Mara.

- Cóż, jestem - powiedziała. Podeszła do stołu i położyła obie dłonie na oparciu najbliższego repulsorowego krzesła. - Panie admirale, nie wiem, co powiedziano panu o szansach drugiego i ostatecznego ataku istot rasy Yuuzhan Vong na ten gwiazdny system, ale mam podstawy sądzić, że nastąpi już niedługo.

- Yuuzhanie przylecą, żeby objąć we władanie planetę Duro - odezwał się przygarbiony mężczyzna. - Nie interesują ich orbitalne miasta. Nie ma powodu, dla którego nasze rasy nie miałyby żyć w pokoju jedna obok drugiej.

Mara obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Tak wam powiedzieli, kiedy sprzedawaliście im w niewolę jakieś pół miliona uchodźców, żeby mieli kogo składać w ofierze?

Mężczyzna rozłożył ręce. Jego dziwnooki kompan wyprostował się i schował dłonie pod blatem stołu.

Mara zdwoiła czujność. Nieznacznie wsunęła rękę pod połą długiej tuniki i chwyciła rękojeść świetlnego miecza.

- Dobrze wiem, co wam powiedzieli i o czym starali się was przekonać. Usiłowali wam wmówić, że nie zależy im na orbitalnych miastach i że pozostawią ich mieszkańców w spokoju. -Mara wbiła wzrok w admirała. - Domyślam się też, jak bardzo musiał się pan bić z myślami, zanim pozwolił im decydować o życiu i losie setek tysięcy uchodźców na powierzchni Duro. Doszedł pan jednak do wniosku, że przede wszystkim trzeba chronić życie własnych obywateli. Przecież toczy się wojna. Mam rację?

Przygarbiony mężczyzna skrzyżował ręce na piersi.

- Chyba najwyższy czas, żebyś sobie poszła, Zielonooka - oznajmił wyniośle.

Mara pokręciła głową.

- Porozumieliśmy się z Coruscant - podjęła po chwili. - Poprosiliśmy o posiłki. Nasza prośba została odrzucona.

Admirał Wuht przechylił głowę na bok. Tym razem jego spojrzenie powędrowało w kąt jadalni. Zmrużył oczy, ale zaraz znów popatrzył na kobietę.

- Proszę, przejdź do sedna sprawy, Maro Jade Skywalker - powiedział.

- Zdumiewające, że pan tego nie rozumie - odparła Jedi. - Nie słyszał pan, że oni niszczą wszystkie wytwory techniki? Nie widział pan stworzenia, które właśnie w tej chwili pożera i niszczy miasto Orr-Om? Nie uświadamia pan sobie, że Yuuzhanie uważają mechanizmy i urządzenia za bluźnierstwo i obrazę dla swoich bogów? Czy naprawdę pan wierzy, że zostawią w spokoju wasze orbitalne miasta?

- Uzyskaliśmy od nich zapewnienie - odparł Wuht. - A poza tym... ma pani rację. Przede wszystkim muszę chronić życie mieszkańców miast. Ze smutkiem stwierdzam, że nie mogę pomóc w ewakuacji uchodźców z planety Duro. Staraliśmy się ostrzec SENKĘ, żeby nie zakładała tam kolonii dla uciekinierów z innych światów. Planeta Duro słynie z tego, że pochłania albo niszczy wszystko, co osiadzie na powierzchni.

- Więc niech się pani stąd wynosi - odezwał się Dziwnooki.

- Wyniosę się, kiedy przyjdzie na to czas. - Mara nie przestawała obserwować ramion mężczyzny. Gdyby drgnęły, musiała być gotowa. -Po pierwsze...

Nagle rozległ się melodyjny świergot jej osobistego komunikatora. Mimo dzielącej ich ogromnej odległości Mara wyczuła, że to Jaina bardzo chce się z nią porozumieć. Pomyślała, że dziewczyna nie mogła wybrać gorszej chwili.

- Moja uczennica usiłuje uwolnić panią ambasador Organę Solo, którą Yuuzhanie uwięzili na powierzchni Duro - oznajmiła. Odpięła od pasa komunikator i podniosła go do ust. - Tu Mara - powiedziała. - Rozmawiam właśnie z admirałem Wuhtem.

Kiedy upewniła się, że to naprawdę Jaina, pstryknęła przełącznikiem i nastawiła siłą głosu na maksimum.

- Panie admirale, tu Jaina Solo z kolonii Gateway. Wciąż jeszcze dysponujemy komunikatorem umożliwiającym łączność z orbitalnymi miastami. Jest ukryty w tunelu. Technicy mojej mamy połączyli go z anteną na powierzchni. Mama została uwięziona w jednym z pomieszczeń budynku administracyjnego kolonii przez dowódcę istot rasy Yuuzhan Vong. Sami Yuuzhanie nazywają go wojennym mistrzem. To właśnie on oświadczył mamie, że zamierza zniszczyć orbitalne miasta. Wszystkie. Mama powiedziała, że koniecznie powinnam pana ostrzec.

Mara spiorunowała spojrzeniem Dziwnookiego, którego normalne oko rozszerzyło się ze zdumienia.

- Dokładnie tak powiedział, Jaino? - zapytała Mara. - Może tylko dał to do zrozumienia? To dla nas bardzo ważne.

Wyciągnęła rękę z komunikatorem w stronę admirała, tak by wszyscy w jadalni mogli usłyszeć odpowiedź dziewczyny.

- Mama poświęciła sporo czasu, żeby dokładnie powtórzyć mi wszystko, słowo po słowie. Wojenny mistrz powiedział: oczyścimy ten świat ze wszystkich krążących po orbitach bezwstydných bluźnierstw - potwierdziła Jaina. - A kiedy opanują system Duro, zamierzają zaatakować Jądro galaktyki. Jeżeli admirał Wuht mnie nie słyszy, powiedz mu jeszcze jedno. Z odkrytych przez nas dowodów wynika, że spółka CorDuro od dawna współpracuje z Brygadą Pokoju. Prawdopodobnie w zamian za ostrzeżenie o ataku, dzięki czemu jedno miasto zyska czas na opuszczenie orbity. Panie admirale, jeżeli naprawdę chce pan chronić ludność miast, proszę ewakuować wszystkich mieszkańców na pokłady tamtej sztucznej planetoidy. Powinien pan rozpocząć przygotowa-

nia bez chwili zwłoki, bo nie ma wiele czasu. Niewielu spośród nas może pomóc wam w obrębie systemu, ale postaramy się zrobić, co możliwe, aby ułatwić Wojskom Obrony Przeworzy osłanianie ewakuowanych. ..

Dalszą część zdania zagłuszyły trzaski i szumy.

- Powtórz, Jaina - odezwała się Mara. - Nie usłyszeliśmy końcowego fragmentu.

- Mama mówi, że trzeba zaatakować kolonię Gateway, kiedy tylko ewakuuje się uchodźców. Ten Yuuzhanin podobno jest kimś ważnym. Musicie go schwytać albo zabić.

- Możesz jakoś uwolnić Leię? - zapytała Mara.

- Przepraszam, panie admirale. Muszę teraz przejść do spraw natury osobistej. - Głos Jaina zdradzał napięcie i zmęczenie. - Przepędziła mnie, Maro. Wróciłam, żeby ją uwolnić, ale ona...

- ...musiała ostrzec nas o wszystkim, co knują Yuuzhanie - dokończyła kobieta.

Wbiła spojrzenie w Dziwnookiego. Zauważyła, że lewe ramię mężczyzny powoli się cofa.

- Jacen...

Dziwnooki szarpnął się do tyłu i wyciągnął blaster. Zaledwie broń zdążyła się ukazać nad białym stołu, Mara wyciągnęła świetlny miecz i energetyczną klingą odbiła laserową błyskawicę. Zamierzała skierować ją z powrotem ku mężczyźnie, ale chybiła o kilka centymetrów.

Dziwnooki i tak spadł z repulsorowego krzesła.

Mara, cofając się, o mało nie rozdeptała stojących za nią durosjańskich strażników. Zauważyła, że Wuht trzyma w prawej ręce miniaturowy blaster, kierując jego lufę w Przygarbionego.

- Jest pan aresztowany - oświadczył admirał. - Strażnicy, zamknijcie ich w jakiejś celi. Chciałbym porozmawiać z Jedi Jade Skywalker.

Ku nieukrywanej satysfakcji Mary dwaj uzbrojeni Durosianie wyciągnęli Dziwnookiego spod stołu i wywlekli z jadalni. Dwaj pozostali wyprowadzili Przygarbionego.

Mara uniosła do ust komunikator.

- Jaina?

Odpowiedziała jej cisza. Widocznie dziewczyna oddaliła się od aparatury umożliwiającej łączność z orbitalnymi miastami. Admirał Wuht złączył sękatę dłoń.

- Miała pani rację - powiedział. - Zostaliśmy zdradzeni. Muszę teraz odwołać zawieszenie broni. Najważniejsze, żeby zrobić to tak, by nie zaalarmować zdrajców.

- I ewakuować mieszkańców na pokłady tamtego miasta - dodała Mara. Durosjanin kiwnął głową.

- To Urrdorf-powiedział. - Nie mam jednak dość transportowców ani załóg. Ilu rycerzy Jedi może toczyć w tym czasie walki w przestworzach systemu Duro?

Mara zastanowiła się. Pierwszy to ukrywający się na pokładzie „Cienia” Luke, który mógł latać swoim X-skrzydłowcem. Drugi Anakin, w tej chwili na patrolu w przestworzach. I ona.

- Tylko troje - przyznała. - Wkrótce jednak może nam pomóc kapitan Solo. Na razie przebywa na powierzchni Duro, ale będzie pilotował „Sokoła Millenium”. To bardzo dobry statek, panie admirale.

Wuht nie wyglądał jednak na uradowanego.

- A więc najwyżej możemy mieć nadzieję, że ich trochę opóźnimy - mruknął ponuro. - Może dzięki temu zdołamy ewakuować kilku dodatkowych mieszkańców i uchodźców.

Anakin poświęcał tylko połowę uwagi na obserwowanie wskazań sensorów. Drugą wykorzystywał, wsłuchując się w podszepty Mocy. Wiedział, gdzie znajduje się matka, a gdzie Jaina; co robi wuj, a co ciotka. Wyglądało na to, że siły zbrojne istot rasy Yuuzhan Vong przestały się interesować pojedynczymi jednostkami, wciąż jeszcze krążącymi nad górnymi warstwami trującej, mętnej atmosfery. Patrolując przestworza, Anakin miał wypatrywać drugiej fali napastników. Poleciał jednak, żeby śledzeniem przestworzy zajął się Piątak, astromechaniczny robot jego X-skrzydłowca.

Tknięty przecuciem, zdecydował się na jeden z najwcześniejszych egzemplarzy typu R7, najbardziej zaawansowanego spośród wszystkich astromechanicznych robotów. Modele R7 słynęły z tego, że nie najlepiej współpracowały ze wszystkimi gwiazdnymi myśliwcami z wyjątkiem maszyn typu E. Anakin musiał przeprowadzić pięć prób i spędzić dwa tygodnie na wprowadzaniu poprawek i ulepszeń. Dzięki temu dysponował teraz automatem równie sprawnym i niezawodnym jak robot R2 jego wuja, ale w pełni opancerzonym i zdolnym do nieprawdopodobnie szybkiego wykonywania wielu czynności naraz.

Anakin Solo musiał mieć wszystko, co najlepsze.

Lecąc obranym kursem, widział orbitalne miasto Orr-Om. Owinięte wokół niego monstrualne stworzenie wyglądało jak kosmiczny ślimak. Gruba skóra umożliwiała mu przeżycie w próżni, a otwór gębowy miał co najmniej osiemdziesiąt metrów szerokości. Opadające coraz niżej orbitalne miasto i dławiącego je potwora eskortowała gromada koralowych skoczków. Anakin wątpił, by dało się zrobić cokolwiek, żeby pomóc mieszkańcom uwięzionym na pokładach skazanej na zagładę sztucznej planetoidy.

A jednak... gdyby zdołał uśmiercić albo chociaż postrzelić gigantyczne stworzenie, może przestałoby niszczyć elementy konstrukcji. Może w ten sposób ocaliłby od zagłady także Bburru, Rudobar i wszystkie inne durosjańskie miasta.

Prowadząc nasłuch na częstotliwościach taktycznych, z trudem wyłowił słowa cichej rozmowy. Prowadził ją jakiś oficer z pokładu znajdującego się w tej chwili po drugiej stronie planety Duro kalamariańskiego krążownika „Poezja” z patrolującym przestworza pilotem myśliwca typu E. Sprawiali wrażenie nie mniej przygnębionych ogłoszonym przez Wuhta zawieszeniem broni niż Anakin.

Nie byli rycerzami Jedi. Musieli wykonywać rozkazy.

Podobno on także powinien. Tyle że on był tu teraz, a oni nie. Miał Moc i siedem protonowych torped. Gdyby udało mu się zneutralizować dovin basale koralowych skoczków, może zdołałby trafić koszmarnego potwora.

Popatrzył na ekran skanerów i zauważył wypalony kadłub jakiegoś transportowca. Prawdopodobnie na jego pokładzie starali się ewakuować uchodźcy. Wrak wielkiego statku obracał się powoli wokół osi, miał już niedługo pogrążyć się w górne warstwy atmosfery. Młody Jedi wpadł na pewien pomysł.

Ostrożnie pchnął nieco dalej dźwignię przepustnicy.

- Piątku - rozkazał - podaj informację o stanie kadłuba i urządzeń tamtego transportowca.

Zapoznał się z wyświetlonymi na ekranie danymi i stwierdził, że mniej więcej w środkowej części kadłuba widnieje w burcie długa szczelina. Na tyle szeroka, że dałoby się wlecieć do środka.

- Jakież formy życia na pokładzie? - zapytał. Piątek wahał się najwyżej ułamek sekundy.

- ŻADNYCH - wyświetlił na ekranie.

Anakin zacisnął dłonie na rękojeściach dźwigni. Wiadomość go poraziła. Z drugiej strony jednak... miał do dyspozycji ogromny wypalony wrak. Mógł z nim zrobić, co zechce. Nie musiał się obawiać, że narazi na niebezpieczeństwo życie pasażerów.

- A co z głównym reaktorem? - zapytał po chwili. - Zdażył się stopić?

- ZAPRZECZAM. REAKTOR NADAL SPRAWNY - pojawiło się na ekranie.

Coraz lepiej! Kierując się wskazaniem sensorów, a także legendarnym instynktem i szczęściem rodziny Solo, Anakin złożył płyty swojego X-skrzydłowca i ostrożnie wleciał przez szczelinę w kadłubie do przepaścistej środkowej ładowni. Przekonał się, że w środku miała miejsce eksplozja tak silna, iż stopiła pokłady i grodzie.

- Piątku, oblicz parametry nowego kursu - polecił zwięźle. - Zamierzam wcisnąć dziób w jakąś szczelinę w wewnętrznej powierzchni grodzi i w ten sposób zmienić trajektorię lotu wraka.

Astromechaniczny robot wyświetlił na ekranie długi rząd znaków zapytania.

- Chciałbym zatoczyć łuk po drugiej stronie planety Duro - wyjaśnił chłopiec - i wykorzystując jej siłę przyciągania, skierować wrak w stronę miasta Orr-Om.

Na ekranie pojawił się kolejny rząd znaków zapytania.

- Wykonaj polecenie - burknął Anakin. Pomyślał, że czasami nawet roboty serii R7 potrafią być kompletnie niepojęte.

Obliczenia zajęły mu więcej czasu, niż się spodziewał. Musiał najpierw obliczyć parametry obecnego kursu, a potem uwzględnić siłę przyciągania, która skazywała wrak na opadanie ku skłębionym chmurom atmosfery Duro. Należało także wziąć pod uwagę przyspieszenie, jakie Piątek zdoła wycisnąć z jednostki napędowej X-skrzydłowca. Ustawił pokrętko nadajnika inercyjnego kompensatora na pięć procent zakresu, dzięki czemu mógł lepiej wyczuwać wszystkie ruchy ogromnego wraku.

W końcu umieszczony w kabinie nad jego głową wyświetlacz zaczął odliczać ostatnie sekundy. Do tej pory wypalony kadłub frachtowca zdążył nabrać dużej prędkości.

- W porządku - odezwał się Anakin. - Kiedy ci powiem, zwolnij.

Nie odrywał spojrzenia od wyświetlacza. W pewnej chwili ujrzał na nim same zera.

- Teraz! - krzyknął.

Pogrążył się w Mocy i pozwolił, żeby kierowała jego ruchami. Kiedy prześlizgiwał się przez ogromny otwór w burcie frachtowca, tępy nos X-skrzydłowca tylko raz lekko się zakołysał.

Wrak wielkiego statku nie miał jeszcze na tyle dużej prędkości, żeby w porę dolecieć do spadającego miasta Orr-Om, które niedawno krążyło po geosynchronicznej orbicie. Anakin uwzględnił to w swoich obliczeniach. Uzbroił jedną z drogocennych torped i wziął na cel wciąż jeszcze działający reaktor frachtowca. W odpowiedniej chwili przycisnął guzik spustowy.

Torpeda pomknęła do celu. Anakin odczekał jeszcze kilka chwil, po czym przesłał pełną energię do generatorów ochronnych pól siłowych. Nie zmienił trajektorii lotu. Ułamek sekundy później transpasterowe szyby kabiny na pewien czas straciły przezroczystość. Posługując się Mocą, najmłodszy Solo wymijał rozerwane siłą eksplozji szczątki wraka. W końcu zmienił kurs i przyspieszył, aby ścigać falę uderową. Gnana siłą eksplozji, mknęła teraz ku koralowym skoczkom, eskortującym skazaną na zagładę sztuczną planetoidę.

Nie przestawał przyspieszać, ścigając chmurę ognistych szczątków. Prowadzony przez Moc, zaczekał, aż komputer namierzy pierwszy nieprzyjacielski myśliwiec. Wypuścił torpedę, a po sekundzie następną. Stawiał na to, że rozrzucone do białości fragmenty kadłuba zniszczonego wraka zdezorientują dowin basale i osłabiają osłony koralowych skoczaków. Nie pomylił się w swoich rachubach. Pierwsze dwa nieprzyjacielskie myśliwce eksplodowały, posyłając we wszystkie strony tysiące płonących koralowych okruchów. Anakin wziął na cel trzeciego yuuzhańskiego skoczaka i zniszczył go ogniem pokładowych laserów. Czwartemu posłał torpedę. Stracił poczucie upływu czasu. Czerpiąc energię Mocy, działał jak w transie.

Nagle zobaczył przed sobą podobną do czarnej otchłani zębatą paszczę - tak ogromną, że bez trudu mogła przelecieć przez nią cała eskadra X-skrzydłowców. Anakin posłał w głąb czeluści jeszcze jedną protonową torpedę, a potem raptownie zmienił kurs i zawrócił. Pchnął dźwignię przepustnicy do oporu i zanurkował w kierunku planety Duro. Uświadomił sobie, że ścigają go piloci dwóch ostatnich koralowych skoczaków.

Na ekranie monitora ukazującego sytuację za rufą jego X-skrzydłowca zobaczył błysk jeszcze jednej eksplozji. Upiorny łeb potwora zniknął. Długie cielsko zwiotczało i oderwało się od sztucznej planetoidy.

Anakin uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Pomyślał, że teraz musi tylko rozprawić się z pilotami dwóch ostatnich skoczaków. Robił to już przedtem. Miał niejaką wprawę.

ROZDZIAŁ

26

Jacen usłyszał przedziwną, hipnotyzującą muzykę, z której emanowała śmierć i rozpacz. Weiśnięty w kąt schowka, nasłuchiwał kroków, żeby wiedzieć, kiedy Yuuzhańscy grajkowie miną jego kryjówkę. W pewnej chwili poczuł drganie w kości policzkowej.

Wyobraził sobie, co by zrobił, gdyby był Kypem Durrinem. Zapewne wyskoczyłby z ukrycia z zapalonym mieczem świetlnym w dłoni, żeby unicestwić wszystkich i wszystko na swojej drodze. Odrzucił ten pomysł jako niedorzeczny. Zamiast tego usiłował wyobrazić sobie, że jest Lukiem. Jego wuj posługiwał się bronią Jedi tylko wówczas, kiedy było to absolutnie konieczne. Nawet wtedy starał się nie zabijać, jeżeli nie musiał.

A jak postąpiłby Anakin? Silny Mocą brat nie obawiał się jej wykorzystywać, ale nie był jeszcze na tyle dojrzały, żeby ogarnąć wszystkie aspekty każdej sytuacji. A Jaina? Bohaterska pilotka i mistrzyni swojej eskadry dopiero zaczynała się wspinać po szczeblach sławy.

A Jacen?

Jeszcze raz odniósł bardzo silne wrażenie, że niedługo w Mocą nastąpi przewartościowanie. Coś się kończyło; coś innego zaczynało. Jacen mógł się kulić w kącie, dopóki go nie znajdą, albo jeszcze raz stać się posłusznym sługą Mocą.

Czego właściwie chcesz ode mnie? - jęknął w duchu.

Znowu zobaczył, jak galaktyka ześlizguje się w objęcia ciemności. Tym razem jednak uświadomił sobie, że jeżeli będzie stał nieruchomo w punkcie równowagi, nie powstrzyma upadku galaktyki. Nie ocali nikogo, nawet siebie.

Co by się stało, gdyby jednak pochwycił tamten miecz świetlny, który rzucił w jego wizji Luke Skywalker? Musiałby się nim posłużyć. Musiałby walczyć i zadawać ciosy.

Mógł to zrobić... jako zwykły wojownik. Nie musiał pomagać sobie Mocą.

W przeciwnym razie zaprzedałby się bez reszty czemuś, czego nie umiał zrozumieć, ponieważ był zbyt młody. Jak powiedział wujek Luke, nie istniało żadne pośrednie rozwiązanie.

Młody Jedi odpiął rękojeść świetlnego miecza. Powrócił myślami do chwili, kiedy pokonywał Anakina. Przez jego umysł przepływał wtedy silny strumień Mocą. Taka jej ilość pozwoliłaby mu przewidywać ruchy nawet niewrażliwych na Moc wojowników Yuuzhan. Czuł nieodpartą pokusę powrotu do tamtych czasów.

Nie. Nic z tego. Musi kroczyć własną drogą.

Leia usłyszała zbliżające się kroki. Cofnęła się od drzwi.

- To już koniec - jęknął Randa. - Jak po poranku następuje wieczór, a po śmierci rozkład...

- Och, zamknij się! - warknęła Leia.

W drzwiach stanął zakuty w czarny pancerz wojownik rasy Yuuzhan Vong. Do piersi przyciskał amphistaffa. Wyciągnął rękę i wskazał na środek magazynu, a potem powiedział coś niezrozumiałego.

Pewnie nie mają wystarczającej ilości tłumaczących robali, żeby dawać każdemu wojownikowi, domyśliła się Leia. Prawdę mówiąc, nie była tym zdziwiona. Nie oczekiwała, że Yuuzhanie zechcą rozmawiać z kimś, kogo uważają za gorszego od siebie.

Dopiero wtedy zauważyła drugiego wojownika. Yuuzhanin wyrósł jak spod ziemi za plecami pierwszego strażnika. Zapewne do tej pory ukrywał się za otwartymi drzwiami. Trzymał długie stworzenie pełniące funkcję żywych kajdanek.

- To nie będzie konieczne - odezwała się Leia. - Nie musicie mi tego zakładać. Przecież i tak wam nie ucieknę. Nie mam dokąd.

Skrzywiła się, kiedy szczytce zwierzęcia zacisnęły się na jej nadgarstkach. Drugi strażnik zwrócił się do Randy. Wyciągnął kulę żółto-zielonkawej mazi, włożył w nią małe ręce Hutta, a potem wydał jakieś gardłowe polecenie. Galareta stężała. Randa zaczął przebierać palcami, ale nie zdołał uwolnić rąk.

- Guwuk - rozkazał strażnik i pchnął zaskoczoną kobietę w plecy.

Leia usłuchała, ale bez pośpiechu. Zauważyła, że na parterze przyłączyło się do nich kilku innych wojowników. Yuuzhanin prowadził ją na piętro, od czasu do czasu dźgając w plecy odrażającym łbem amphistaffa. W końcu zmusił, żeby weszła do swojego gabinetu.

Wojenny mistrz stał przy oknie i patrzył na budynek ośrodka naukowego. Wysokiemu Yuuzhaninowi towarzyszył Nom Anor, tak jak poprzednio w czarnym pancerzu i tunice.

Z drugiej strony wojennego mistrza stała niska, starsza Yuuzhanka, ubrana w długi do podłogi czarny płaszcz z kapturem, ściśle przylegającym do łysej głowy o skośnej potylicy. Stojący za nią dwaj wysocy i chudzi pomocnicy przyciskali do obnażonych torsów długonogie skorupiaki. Na torsach pomocników zbiegały się wytatuowane czerwone i pomarańczowe zygzaki, które wyglądały zupełnie jak rozbłyśki eksplozji.

W gabinecie była jeszcze młoda Yuuzhanka w tunice. Trzymała wielki bęben, obciągnięty z obu stron grubą skórą. W górnej części bębna widniały dwa podłużne wyrostki. Leia zauważyła, że kryją się w nich wielkie zielone oczy.

Strażnicy znieruchomieli na progu gabinetu. Nie przejmując się losem Randy, Leia śmiało ruszyła w stronę wysokiego Yuuzhanina.

- Dzień dobry - powiedziała.

Wojenny mistrz odwrócił się do niej, ale tylko na tyle, że zobaczyła profil jego zniekształconej twarzy. Doszła do wniosku, że na pociętych wargach Yuuzhanina błąka się coś w rodzaju uśmiechu.

- Zbliź się - rozkazała istota.

Leia podeszła do samego okna. Zauważyła, że nowy dół, wykopany między budynkiem ośrodka naukowego a szopą ze sprzętem budowlanym, został pogłębiony i powiększony. Spoczywało w nim mnóstwo androidów, robotów, automatów i maszyn budowlanych. Prawie wszystkie były uszkodzone albo zniszczone.

- Bogowie są nam dzisiaj przychylni - oznajmił wojenny mistrz, ruchem głowy wskazując na ubraną w czarny płaszcz Yuuzhankę. - To odpowiedni dzień na składanie całopalnych ofiar.

Leia chwyciła z całej siły futrynę okna.

- Zaczekaj! - powiedziała. - Ta kopuła jest uszczelniona. Rozpalenie ognia pozbawi powietrze odpowiedniej ilości tlenu. Musicie...

- Twoje obawy są bezpodstawne - przerwał oschle Yuuzhanin. - Stworzenia, które oczyszczają powietrze w naszych statkach, poradzą sobie także z oczyszczeniem atmosfery pod twoją bluźnierczą kopułą. Jeżeli wzrośnie stężenie szkodliwych gazów, po prostu zaczną szybciej się rozmnażać. Widzisz teraz, że wytwory twojej techniki nie mogą się równać z naszymi stworzeniami.

- Zgadzam się - rzekła z przekonaniem Leia. - Życie jest czymś bardzo ważnym. Żywe stworzenia są skomplikowane, niedoścignione i pobłogosławione inteligencją. A to oznacza, że nie możecie...

- Wszystkie żywe stworzenia służą Yuuzhanom - przerwał szorstko wojenny mistrz. - Podobnie jak my oddajemy cześć bogom.

Odwrócił głowę i skinął w kierunku sędziwej Yuuzhanki.

Kapłanka pochyliła głowę, jakby wdzięczna, że Tsavong Lah zwrócił na nią uwagę. Nie rozłączyła splecionych palców dłoni, wystających z długich rękawów czarnego płaszcza.

Wojenny mistrz wyrzwał przez okno.

- Obserwuj - powiedział, zwracając się do Leii. - Musisz zrozumieć, że takie samo przeznaczenie czeka wszystko i wszystkich, czy to gwiazdy, czy stworzenia.

Leia zobaczyła, że do wykopanej jamy zbliża się kilku wojowników, ciągnących jeszcze jedno nosze. Spoczywał na nich jej beczenny górniczy laser - zniszczony do tego stopnia, że nie nadawał się do niczego. Kiedy Yuuzhańscy wojownicy podeszli na skraj dołu, chwycili drążki noszy za końce, unieśli nad głowy i spuścili laser do jamy.

Teraz ukazał się ubrany w czarny płaszcz kapłan. Kroczył w kierunku dołu na czele procesji niosącej kolejne nosze. Leia zobaczyła na nich zwierzę, które przypominało ogromny zbiornik. Kiedy niosący go młodzi Yuuzhanie podeszli blisko dołu, pękate stworzenie wyciągnęło sześć kończyn i zsunęło się z noszy na powierzchnię gruntu. Podpełzło do jamy i wsunęło do środka niezbyt długą, grubą trąbę.

Leia widziała już żywe miotacze płomieni. O wiele większe niż ten. Na Gyndinie.

Tymczasem stworzenie skierowało trąbę na stos zniszczonych automatów i bluźnęło strugą płonącej galarety. Leia spojrzała do góry na kopułę. Zauważyła, że na

powierzchni synplastu pojawiły się białe plamy. Kiedy dym poszedł w górę, białe plamy stopniowo zmieniły barwę na czerwoną.

- Wytwory waszej biotechniki są doprawdy zdumiewające - stwierdziła bez entuzjazmu.

- Nie nazywaj naszych sług wytworami techniki! - warknął wysoki Yuuzhanin. - Służą nam, podobnie jak my służymy bogom - powtórzył. - Tego ranka oddajemy cześć wielkiemu Yun-Yammce. - Wyciągnął rękę i pokazał szponiastym palcem wskazującym jamę z płonącymi automatami. - Będziesz świadkiem.

Grupę uchodźców otoczyła gromada młodych wojowników rasy Yuuzhan Vong. Stojący nieco z boku dowódca dał znak i każdy z nich opuścił jedną rękę. Z rękawów wypadły długie czarne powrozy. Wszyscy jednocześnie pochylili się i sięgnęli po sznury, które pod dotykiem ich palców zmieniły się w proste, węzłowe amhistaffy. Chwilę później Yuuzhanie zaczęły kierować jeńców w stronę jamy.

- Nie! - Leia czuła się równie bezradna, jak kiedyś na pokładzie „Gwiazdy Śmierci” przed unicestwieniem Alderaana. Odwróciła się jednak w stronę wojennego mistrza i powiedziała: - Nie, nie wolno ci tego robić. To bezprawie.

- Tak będzie na wszystkich światach - poinformował ją Yuuzhanin. - Kiedy spałaś, Leio Organo Solo, wybraliśmy i oddzieliliśmy wszystkich godnych. Wielu zgodziło się nam służyć. W pozostałych osadach na powierzchni tej planety taką chęć wyrażą wszyscy bez wyjątku.

Leia przyglądała się, jak pierwszy szereg uchodźców wpada do wykopanego dołu. Niektórzy zawisali na krawędzi; inni usiłowali chwycić się pozostałych. W udreće odwróciła głowę. Nie musiała patrzeć na ich śmierć. Wyczuwała wszystko za pośrednictwem Mocy. Odnosiła wrażenie, że ostre szpony rozszarpują jej wnętrzności. Cofnęła się w głąb gabinetu.

Wojenny mistrz podniósł ręce, zacisnął w pięści szponiaste palce i wykrzyczał coś, czego nie rozumiała. Opuścił ręce i odwrócił się do niej.

- A teraz, Leio Organo Solo - powiedział - ty także przemówisz do bogów.

Ubrana w czarny płaszcz kapłanka wzniosła ręce do góry. Jej pomocnicy oderwali od wytatuowanych torsów czerwonońogie skorupiaki. Długie kończyny stworzeń wyciągnęły się i znieruchomiały, a łączące je z tułowiami długie półprzezroczyste ścięgna napięły się niczym struny organicznych harf.

Młoda Yuuzhanka zaczęła wybijać na bębnie powolny, bezlitosny rytm. Dwaj pomocnicy unieśli ręce i pozbawionymi pazurów palcami zaczęły trącać ścięgna skorupiaków. Gabinet Leii wypełniły dźwięki niesamowitej, atonalnej muzyki.

Kapłanka opuściła ręce. Z jednego jej rękawa wysunął się długi amphistaff. Na końcu drugiego ukazało się kosmate czerwone stworzenie, które posłusznie owinęło się wokół nadgarstka.

Leia już kiedyś je widziała. Było wtedy zaciśnięte wokół szyi Abbeli Oldsong niczym żywa garota. Odetchnęła głęboko i posłużyła się Mocą, by zachować spokój.

- Byłabym zaszczycona, gdybym mogła służyć wam jako tłumaczka - zwróciła się do wojennego mistrza. - Potrzebujecie kogoś, kto zna nie tylko język i słowa. Kogoś, kto wie, co oznaczają. Wygląda na to, że wasze tłumaczące robaki nie potrafią...

- Milcz - rozkazał obojętnym tonem Yuuzhanin. - Źle zrozumiałaś moje intencje. Kapłanka obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Wojenny mistrz podszedł bliżej Leii.

- Moi obserwatorzy donoszą, że ktoś usiłuje przedostać się do tego budynku-rzeczy - ciągnął tym samym tonem. - Jeden z twojego rodzaju. Jakiś Jeedai.

Jaina? - pomyślała zrozpaczona Leia. Jacen? Wynoście się stąd! Spieszcie na pokład „Sokoła”!

Czy możliwe, że to Luke?

Tymczasem wysoki Yuuzhanin spojrział na starą kapłankę i lekko skinął głową.

- Widzieliśmy, jak twoi pobratymcy zlatują się na pomoc rannym niczym muchy do padliny - podjął, zwracając się do Leii. - Mają nadzieję, że jeżeli zdołają ich ocalić, urzeczywistnią sen o nieśmiertelności. Spotka cię wielki zaszczyt, Leio Organo Solo. Ofiarujemy bogom twoje cierpienie. Twoje jęki i krzyki powinny zwabić do mnie inną istotę twojego rodzaju.

- Zaczekaj - odezwała się kobieta. Cofnęła się, jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć. - Przemyśl to jeszcze raz. Jeżeli mnie zabijesz, nie będę mogła ci pomagać.

Wojenny mistrz stał między nią a oknem, ale niewykłuczone, że zdołałaby przebiec obok niego. A potem wyskoczyć. I posłużyć się Mocą, żeby miękko wylądować. I odciągnąć ich jak najdalej od kogoś, kto powrócił do budynku administracyjnego. To pułapka, Jaino! - krzyknęła w myśl, powierając ostrzeżenie nurtom Mocy. Uciekaj!

Wojenny mistrz oddalił się od okna i wtedy smagnęło go coś grubego i jasnobrązowego. Silnie uwięziony ogon Randy, nie obezwładniony przez strażników ani ich stworzenia, wytracił najpierw z raje dwóch Yuuzhan amphistaffy, a potem machnął znów w stronę wojennego mistrza.

- Proszę uciekać, pani ambasador! - zagrmiał młody Hutt. - Może nareszcie spełni się moje marzenie!

Posępna kapłanka oderwała od nadgarstka włochate czerwone stworzenie i zaczęła nim zataczać kręgi nad głową. Leia rzuciła się na Noma Anora. Chociaż miała skrepowane nadgarstki, usiłowała pochwycić rękojeść świetlnego miecza, który egzekutor zatknął za pas tuniki. Wiedziała, że bez broni nie może nawet marzyć o uwolnieniu.

Kapłanka zamachnęła się i wypuściła czerwony sznur. Szybując ku Hurtowi, stworzenie wyciągnęło się na dwukrotnie większą długość. Trafilo Randę w kark i niczym obręcz owinęło się wokół szyi. Aby uniknąć ciosów potężnego ogona, strażnicy ukryli się za meblami.

Leia pchnęła Noma Anora na ścianę i zaczęła się z nim mocować. Przebijając palcami unieruchomionych dłoni, usiłowała wyciągnąć rękojeść miecza. Czula, że pazury Yuuzhanina wbijają się w jej ramiona, ale zdołała przycisnąć właściwy guzik i wysunąć rubinowoczerwoną klingę. O mało nie przecięła stopy egzekutora, ale zamiast tego wypaliła dziurę w durbetonowej podłodze.

Chwilę później pochwyciły ją silne ręce innych Yuuzhan. W jej ramiona wbiły się ostre jak igły pazury. Strażnicy wojennego mistrza oderwali ją od fałszywego naukowca.

Pośrodku gabinetu leżał Randa, wstrząsany konwulsyjnymi drgawkami. Chociaż miał unieruchomione ręce, usiłował ściągnąć duszącego go czerwonego węża.

- Leio... - wysapał, z trudem chwytając powietrze. - Zdradziłem panią... Taką już... mam naturę. Bardzo... przepraszam...

Trzymająca bęben młoda Yuuzhanka zaczęła wybijać coraz szybszy rytm. Dławiące Hutta stworzenie prawie zagłębiło się w jego szyi. Wyłupiaste oczy Randy wyszły z orbit.

Leia szarpnęła się, ale nie zdołała wyrwać z rąk strażników. Jeden z nich miał wgięty i pęknięty pancerz.

W końcu Randa znieruchomiał. Dopiero wtedy wojenny mistrz obszedł biurko Leii, kopnął bezwładny ogon Hutta i odwrócił się do strażników.

- Zabrać go do kuchni - rozkazał.

Czterech wojowników wywlokło wielkie cielsko z gabinetu. Gdyby Randa był starszy i cięższy, prawdopodobnie nawet by go nie ruszyli, ale i tak Leia zdumiewała się ich fizyczną siłą.

Nom Anor oglądał rękojeść wyłączzonego miecza.

- Zbadamy to bluźnierstwo - oznajmił, kierując ciemny cylinder w stronę Leii. - Rozbierzemy na najdrobniejsze części i wymyślimy, jak najlepiej się przed nim bronić. Opuścił rękojeść i wsunął za pas tuniki.

Pozostali strażnicy, kapłanka i jej grajkowie otoczyli kręgiem obezwładnioną kobietę.

Uciekaj, uciekaj, uciekaj! - Leia kierowała myśli nie tylko ku istotom rasy Yuuzhan Vong, ale także ku Jacenowi i Jainie, a nawet Hanowi. Miała nadzieję, że do tej pory jej mąż zdążył dotrzeć na pokład ukochanego frachtowca. Ostrzeż Durosjan, myślała, ostrzeż dowódców naszych flot. Uciekaj!

Kapłanka znowu uniosła lewą rękę. Kiedy ją opuściła, z rękawa długiego płaszcza wysunęło się jeszcze jedno czerwone kosmate stworzenie i owinęło się wokół nadgarstka...

Nagle Leia poczuła, że z tyłu obejmują ją czyjeś silne ręce. Ktoś podciął ją i obalił na durbetonową podłogę. Na jej nogi spadło coś ostrego i ciężkiego. Poczula dwa ogniska przejmującego bólu, które rozbłysnęły w jej mózgu niczym oślepiające błyskawice. Przygryzła język, by nie krzyknąć... Ból poraził ją na nowo. I jeszcze raz. I jeszcze...

Z góry, z pierwszego piętra, spłynął klatką schodową krzyk bólu. Jacen pobiegł po kręconych schodach.

Na progu gabinetu matki zobaczył dwóch yuuzhańskich wojowników. Jeden stał tuż przy drzwiach pomieszczenia, skąd rozległ się krzyk, a drugi na korytarzu, bliżej schodów.

Młodzieniec przeskoczył trzy stopnie i zaatakował bliższego wojownika. Przypomniał sobie, że chroniące ich pancerze można było zranić albo zabić. Należało tylko trafić we wrażliwy punkt, ukryty pod jedną albo drugą pachą Yuuzhanina.

Jeden z nich trzymał zagiętego jak hak czarnego amphistaffa. Jego wewnętrzna krawędź zwęziła się i nabrała ostrości klingi miecza.

Korzystając z tego, że stał wyżej, Yuuzhański wojownik przystąpił do ataku. Jacen nie potrafił przewidzieć jego strategii. Mógł tylko obserwować ruchy mięśni rąk, nóg i ramion. Kiedy Yuuzhanin zamachnął się amphistaffem, Jacen odskoczył i przykucnął. Natychmiast jednak zerwał się na równe nogi. Trzymając świetlny miecz na wysokości ramion, jeszcze raz skoczył ku przeciwnikowi. Wykorzystał impet, jaki zapewniał mu ciężar ciała, i wymierzył cios we wrażliwy punkt żywego pancerza.

Wojownik uskoczył. Jego towarzysz zaczął zbiegać po schodach. Z szerokiej ładownicy, przewieszonej na ukos przez tors strażnika, wyskoczyły trzy skrzeczące srebrzyste stworzenia.

Jacen skierował broń ku podbródkowi wojownika i usiłował ciąć na odlew. Yuuzhanin zasłonił się amphistaffem. Skierował go w dół, ku szyi Jacena. Młodzieniec znów odskoczył i kucnął. Przeciął pierwsze stworzenie ognistym, jasnozielonym ostrzem miecza. Tymczasem wojownik, złośliwie się uśmiechając, obrócił się na pięcie i spróbował wbić koniec amphistaffa w brzuch swojego przeciwnika.

Jacen podskoczył i z całej siły kopnął amphistaffa. Trzymający go Yuuzhanin stracił równowagę i przeleciał przez poręcz kręconych schodów.

Młodzieniec poświęcił sekundę, by zacerpnąć trochę powietrza, a potem znów machnął klingą, chcąc trafić następne stworzenie. Zauważył, że drugi wojownik wbiegł po schodach i zniknął w gabinecie matki.

Nie trafił. Drugie srebrzyste stworzenie krążyło na wysokości jego piersi. Jakże przydałoby mu się teraz wsparcie ze strony Mocy! Jacen cofnął się i jeszcze raz machnął świetlistą klingą. Czuł się jak ślepiec. Wreszcie sobie poradził. Przecięte stworzenie wylądowało na durbetonowym stopniu.

I wtedy trzecie zaskrzeczało tuż koło jego ucha. Jacen kucnął, ale nie dość szybko. Stworzenie rozcięło mu czapkę i zraniło głowę. Młodzieniec poczuł na skroni piekący ból. Podniósł ostrze miecza i machnął klingą koło głowy.

Nie pomagając sobie Mocą, nie zrobił tego wystarczająco szybko. Udało mu się to dopiero, kiedy cofał ostrze.

Ignorując ranę głowy, w kilku skokach pokonał odległość dzielącą go od drzwi gabinetu. Zdyszany, wbiegł do środka.

Zobaczył leżącą na podłodze matkę. Nogawki jej niebieskiego kombinezonu - od kolan aż do stóp - przesiąkły świeżą krwią. Słyszac hałas, Leia podparła się na łokciach. Otworzyła szeroko oczy i zmarszczyła czoło.

- Uciekaj - jęknęła. - Wynoś się stąd!

Ku swojemu przerażeniu Jacen zobaczył, że wzdłuż nóg matki pełzną trzy podobne do nagich ślimaków czarne stworzenia. Zlizywały krew, która już rozlewała się po podłodze.

Za Leią stała najwyższa istota rasy Yuuzhan Vong, jaką Jacen kiedykolwiek widział, a obok niej niska, ubrana w czarny płaszcz samica. Młodzieniec zauważył także troje wytatuowanych grajków. Nieco z boku stał jeszcze jeden Yuuzhanin - średniego wzrostu, w pancerzu i tunice, z zatkniętym za pas mieczem świetlnym matki.

- To ty?! - krzyknął ten ostatni, wyraźnie zaskoczony. - Podoszyty tchórzem Jedi? Myślałem, że wciąż jeszcze przebywasz w mieście Bburru!

Jacen aż się zachłysnął. Czyżby Yuuzhanie wiedzieli, że Durosianie zamknęli go w areszcie domowym? Jeżeli tak wyglądała prawda, spółka CorDuro nie tylko ich oszukiwała. Współpracowała z Yuuzhanami!

Z mieczem gotowym do zadania ciosu, młody Jedi obszedł naokoło leżącą matkę i powiedział:

- Uwolnijcie ją.

Wiedział, że w pełni wyszkolony rycerz Jedi potrafiłby uregulować ilość krwi dopływającej do zranionych kończyn. Przepuściłby tylko tyle, ile potrzeba do właściwego utlenienia mięśni i nerwów, ale nie więcej, żeby nie wykrwawić się na śmierć. Wyglądało na to, że Leia nie opanowała tej sztuki.

Jacen był tak oszołomiony, że z trudem trzymał się na nogach. Odnosił wrażenie, że gabinet matki wiruje wokół niego, a podłoga przechyla się to w jedną, to w drugą stronę.

- I co, tchórz? - zadrwił wojenny mistrz Yuuzhan. - Stoisz i patrzysz, zamiast rzucić się do ataku? A zatem patrz. Patrz uważnie.

Wciągnął rękę do najniższej, ubranej w czarny płaszcz istoty. Powiedział coś, czego młodzieniec nie zrozumiał. Niska samica przymknęła oczy, odczepiła od nadgarstka coś czerwonego i wręczyła wojennemu mistrzowi.

Ten ujął przedmiot dwoma wyciągniętymi pazurami.

- Ambasador Organo Solo, wyprostuj kręgosłup i przywołaj odpowiedni wyraz twarzy - rozkazał. - Okaż odwagę, bo już niedługo wyruszysz na spotkanie ze swoim przeznaczeniem. Daj dobry przykład temu młodemu tchórzowi.

Ubrana w czarny płaszcz samica wyciągnęła ręce. Jej muzykanci zaczęli grać niesamowitą, rytmiczną melodię.

Gabinet Leii zawirował jeszcze szybciej. Podejmij wyzwanie, Jace-nie! - usłyszał chłopiec głos w swojej głowie.

Uświadomił sobie, że nie potrafi pokonać tej ciemności. Nie poradzi sobie, dopóki nie wesprze go potęgą jasnej strony Mocy. A przecież nie mógł dopuścić do zwycięstwa sił zła i ciemności!

Uwolnił myśli i wysłał je w głąb własnego ciała oraz na zewnątrz. Zacerpnął porcję zachwycającej, ale i niszczącej energii Mocy - zbyt wielkiej, żeby mógł ją pojąć, i zbyt potężnej, by mógł się nią posłużyć, nie ulegając nieodwracalnej przemianie. Chwilę utrzymywał równowagę wokół świetlistej klingi broni... i rzucił się do ataku.

ROZDZIAŁ

27

Mara biegła zatłoczonymi ulicami do stoczni Portu Duggana. Admirał Wuht obiecał, że odwoła zawieszenie broni i wyda rozkaz startu wszystkich unieruchomionych jednostek Wojsk Obrony Przesztorzy, ale na samej planecie Duro najwyraźniej wydarzyło się coś strasznego. Przekazywany przez Moc jęk agonii Leii dźwięczał w jej uszach niczym grzmot. Bił w nią jak ciosy włóczni gaffi.

Kiedy dotarła do doku, w którym zostawiła swój „Cień”, drogę zastąpiło jej kilku strażników w mundurach spółki CorDuro. Mara przez chwilę miała ochotę wyciągnąć blaster, w końcu jednak zdecydowała się odpiąć rękojeść świetlnego miecza. Oparła go o nadgarstek prawej ręki. Jeden ruch dłonią i mogła złapać metalowy cylinder.

- Przepraszam - powiedziała, usiłując przejść przez grupę strażników.

- Wolnego, psze pani - wycedził najbliższy stojący zezowaty mężczyzna. - Wejście na to lądowisko zostało zamknięte. Rozumie pani? Wstęp wzbroniony.

- Zostawiłam tam swój statek - wyjaśniła spokojnie. - Właśnie odlatuję. - Tym razem poparła swoje słowa, oddziałując Mocą na podświadomość strażników. - Proszę mnie przepuścić.

- Wszystkie jednostki zaparrkowane w tej części stoczni zostały zarrrekwirowane przez Wojska Obrony Przesztorzy planety Durrro -oznajmił inny strażnik, Durosjanin. Przecisnął się do przodu i stanął przed Marą. - Barrdzo mi przykrrro. Musi pani znaleźć sobie inny statek.

- To wy musicie znaleźć sobie inny statek - odparła słodko. - Nie udało się wam dostać na pokład mojego, prawda?

- Ach, tak - przypomniał sobie Durosjanin. - Dok 16-F? Niedawno zaobserrwaliśmy na ekrrranie monitorra, że z głównej ładowni pani statku wystarrtował tęponosy X-skrzydłowiec.

- To prawda - przyznała Mara. - A główny właz nie bez powodu ma tak skomplikowany mechanizm zamka. A jeżeli oświadczę, że przysługuje mi traktowanie należne dyplomatce, zapewne zechcecie obejrzeć moje dokumenty?

Sztuczka była tak stara i ograna, że kobieta właściwie nawet nie przypuszczała, by ktokolwiek mógł się na nią nabrać.

Zdziwiła się, kiedy jeden z Durosjan natychmiast wyciągnął sękatą rękę.

- Są na pokładzie statku - oznajmiła Mara. - Chodźcie ze mną.

Strażnik przepuścił ją na lądowisko. Niestety, poszli za nim jego kompani. Mara zmarszczyła brwi. Nie miała czasu. Zresztą nie zależało jej, aby rozstać się z nimi w dobrej komitywie.

Dotknęła szybko rogów bakburtowego zamka, jednego po drugim, a później przycisnęła kciuk do środkowej części panelu. Wszystko to było wyłącznie na pokaz. Pod płytami kadłuba mieścił się drugi, zainstalowany przez Luke'a zamek, niedostępny dla nikogo, kto nie przeszedł przeszkolenia Jedi. Posługując się Mocą, Mara uniosła zapadkę ukrytego mechanizmu. Klapa wjazdu zaczęła się otwierać.

W tej samej chwili Mara usłyszała dobiegający zza pleców rozkaz:

- Ani krrroku!

Wcale nie zaskoczona, obróciła się na pięcie i ugięła nogi w kolanach, a rękojeść świetlnego miecza sama wpadła do jej dłoni. Zanim upłynęła następna sekunda, zapaliła klingę.

- Nie zmuszajcie mnie... - zaczęła.

Za plecami zezowatego mężczyzny stał Durosjanin. To właśnie on mierzył do niej z blastera. Mara kopniakiem podcięła mężczyźnie nogi. Kiedy runął na płytę rampy, machnęła błękitną klingą broni. Odbiła strzał z blastera i wskoczyła do środka „Cienia”. Natychmiast przycisnęła guziki uruchamiające mechanizmy podnoszenia rampy i zamknięcia klapy wjazdu.

Kadłub jachtu rozdzwiewał się; musieli ją kilkakrotnie trafić. Mara pobiegła do sterowni i usiadła na fotelu pilota. Zapinając klamry ochronnej sieci, zażądała odłączenia wszystkich kabli i przewodów.

Oczywiście nikt na zewnątrz nie wykonał polecenia.

- Niech będzie, jak chcecie - mruknęła do siebie. Włączyła repulsory i jeszcze raz przycisnęła płytkę komunikatora.

- Wzywam nadzór lądowiska - rzekła szorstko. - Tu „Cień Jade”, dok 16-F. Jeżeli nie chcecie, żebym zniszczyła wasze urządzenia, lepiej odłączcie te kable i przewody.

Ktoś usiłował jej coś tłumaczyć, ale Mara włączyła główne silniki. Dysze wylotowe rozjarzyły się zielonym blaskiem. Nie odrywając dłoni od dźwigni hamulca, Mara pchnęła ostrzegawczo dźwignię przepustnicy. Dwa razy.

Odczekała jeszcze sekundę, po czym zwolniła hamulec i z rykiem silników wystrzeliła z doku. Za jej jachtem ciągnęły się długie przewody. Na końcu jednego dyndał nawet spory fragment grodzi doku. Ilekroć metalowa bryła objęła się o płyty poszycia sterburty albo rufy, Mara kulila się i mrużyła oczy.

Niewiele mogła na to poradzić. Na szczęście umieszczone na zewnątrz czujniki potwierdzały, że każdy spośród trzech ciągnących się za nią kabli jest zakończony elektromagnetycznym zaworem.

Nagle w przesztworzach obok jej jachtu śmignął podobny do świetlistej strzały X-skrzydłowiec.

- Anakinie! - wykrzyknęła Mara. - Lecę do ciebie, ale nie mogę przyspieszyć. Obok bakburty mojego jachtu ciągnie się trochę niepożądanych śmieci.

- Widzę - usłyszała głos siostrzeńca. - Włącz generatory ochronnych pól, a ja...

- Już dawno włączyłam - odparła kobieta. Zmieniła kurs i zaczęła oddalać się od miasta Bburru. - Nastawione na minimalną odległość. Jeżeli się zanadto zbliżysz, staniesz się karmą dla banthów.

Obok bakburty jej jachtu przemknęła laserowa błyskawica. Mara zerknęła na wskazania skanerów i zauważyła, że Anakin przeleciał pod „Cieniem”.

- Niezły strzał - pochwaliła. - Ale kable wciąż się ciągną.

Dopóki o burtę jej jachtu obijała się bryła metalu, nie mogła ani przyspieszyć do prędkości światła, ani walczyć z pilotami koralowych skoczków.

Chwilę później usłyszała inny, od dawna oczekiwany głos i wyczuła czyjąś obecność za pośrednictwem Mocy.

- Utrzymuj dotychczasowy kurs, Maro. Sam się tym zajmę.

Zacisnęła dłonie na drążku sterowym i dźwigni przepustnicy. Zza rufy jachtu nadleciała jeszcze jedna laserowa błyskawica. Przemknęła tak blisko sterburty, że na kilka sekund transparentne szyby iluminatorów straciły przezroczystość. Po jakimś czasie śladem błyskawicy przeleciał inny X-skrzydłowiec typu XJ. Miał skrzydła zablokowane w pozycji szturmowej.

- Hej, Skywalker, najwyższy czas - mruknęła Mara. - Wielkie dzięki.

Jacen wśliznął się jeszcze głębiej w nurty Mocy. Pograżył się bez reszty i poddał jej prądom. Chociaż wciąż jeszcze odnosił wrażenie, że budynek administracyjny kolonii Gateway chwije się i wiruje, przepełniała go radość, jaką może odczuwać tylko ktoś, kto po długiej podróży powrócił do domu. To prawda, był niewiele znaczącą drobiną. Drobiny powinny jednak sobie pomagać, bo w przeciwnym razie Moc - pomimo całej potęgi i świetności - na niewiele mogła się przydać. Młodzieniec chciał jak najszybciej wpaść do środka wiru. Pragnął służyć światłości, żeby głosić jej wspaniałość.

Zaczekał - usłyszał, a może wyczuł jakiś głos w swojej głowie.

Ignorując pulsujący ból w zranionej skroni, ciął klingą miecza rękę wojennego mistrza, który wciąż jeszcze wymachiwał czerwoną garotą nad głową Leii. Zaskoczony jego atakiem wysoki Yuuzhanin odskoczył i wypuścił stworzenie. Zwijając się i skręcając, spadło na chropowatą podłogę.

Wojenny mistrz wyciągnął krótką, zakończoną węzowym łbem czarną pałkę i przyłożył broń do ramienia.

- Do-ro'ikvongpratte! - krzyknął.

Odszedł kawałek, ale nie przestał mierzyć Jacena podejrzliwym, badawczym spojrzeniem.

Młodzieniec zauważył, że jego przeciwnik jest zakuty w inny pancerz niż zwykli wojownicy. Wyglądało na to, że łuski wyrastają prosto z ciała. Nie mógł się zorientować, gdzie znajduje się wrażliwe miejsce. Nie wykrywał obecności Yuuzhanina za pośrednictwem Mocy, ale przynajmniej mógł przewidywać. Powinien wiedzieć kilka mikrosekund wcześniej, gdzie i kiedy zaatakuje go umięśniony nieprzyjaciel.

Pamiętał również, że amphistaffy potrafią pluć śmiercionośnym jadem, więc wycofał się na odpowiednią odległość.

- Tchórz - warknął wojenny mistrz. - Jednak nie jesteś godny.

Jacen wyczuwał gasnącą obecność matki. Postanowił przestać się martwić jej stanem zdrowia. I tak, przynajmniej na razie, nie mógł nic na to poradzić. Beztronskim tonem odpowiedział:

- Może po prostu nie jestem głupi.

Nagle poczuł ledwo uchwytnie zaburzenie Mocy. Natychmiast uniósł klingę broni, żeby zareagować na spodziewany atak. W następnym ułamku sekundy czarna pałka rozwarła szeroko jadovitą paszczę. Ukazały się cztery długie kły i miękkie podniebienie, a w kierunku Jacena pomknęły cztery strugi śmiercionośnego jadu. W zetknięciu z jaskrawozieloną klingą miecza zaskwierczały, zakipiały i wyparowały.

Są szanse, że przez jakiś czas stworzenie nie będzie mogło plunąć na nowo. Jacen podszedł do wojennego mistrza, uniósł świetlistą klingę nad głowę i wymierzył cios w sam środek osłoniętego łuskami torsu.

Wysoki Yuuzhanin odbił cios żywą czarną pałką. Odepchnął ostrze broni w bok, tak by nie mierzyło w jego ciało, obrócił się i szarpnął. Jacen odskoczył. Kątem oka zauważył, że kapłanka i jej grajkowie cofnęli się pod samą ścianę. Średniego wzrostu Yuuzhanin zniknął, zabierając ze sobą świetlny miecz matki. Stojący na progu strażnik trzymał w obu dłoniach bryłę, która nagle wysunęła długie szpony.

Krepująca galareta? - pomyślał Jacen. Wysuwane bitewne pazury? Poświęcił chwilę, żeby rzucić okiem na stworzenie.

- Ilu was potrzeba, żeby zabić kogoś, kogo nazywacie niegodnym tchórzem? - zardrwił, przenosząc spojrzenie na rosłego przeciwnika.

- Nie mogę się ponizac - odparł pogardliwie wojenny mistrz. - Nie jesteś godzien zginać z mojej ręki.

Teraz! - szepnął nagle głos w głowie młodzieńca. - Skup się i podejmij wyzwanie!

Nie odrywając spojrzenia od twarzy wojennego mistrza, Jacen zanurkował we wspaniałą głębię Mocy. Poczuł, że przechyla się i wiruje wokół niego już nie gabinet matki, ale cała galaktyka.

Stojąca gdzieś na jej obrzeżach yuuzhańska kapłanka podniosła nagle obie ręce.

Jacen odwrócił się i podszedł do matki. Stanął nad jej ciałem i także uniósł ręce. Czuł, że Moc przepływa przez niego i wokół niego; że wręcz kipi wewnątrz ciała.

Ze ściany sfrunął ozdobny czarny lichtarz i z donośnym chrzęstem przebił na wylot jedną krabo-harfę. Obok wojennego mistrza poruszyło się krzesło. Wysoki Yuuzhanin zaszczycił je tylko przelotnym spojrzeniem, chociaż uniosło się w powietrze. Przeleciało przez gabinet i trafiło stojącego przy drzwiach strażnika z taką siłą, że wojownik wypadł na korytarz.

W powietrze uniosło się kilka masywnych metalowych szafek, które dotąd spokojnie stały w kącie gabinetu. Do lotu poderwał się również podgrzewacz potraw. Chwilę wisiał nieruchomo, a potem także wpadł w głąb wirującego leja, który zaczynał tworzyć się wokół Leii i Jacena.

W końcu drgnęło masywne biurko Leii. Uniosło się i wyrznęło osłupiałego wojennego mistrza tak silnie, że Yuuzhanin zatoczył się w stronę okna. Jacen dostrzegł kątem oka, że jeden z muzykantów, trafiony tym samym lichtarzem, który przeszył na wylot krabo-harfę jego towarzysza, także runął na chropowatą durbetonową podłogę.

Nagle ktoś głośno krzyknął od progu:

- Uważaj, Jacenie!

Młodzieniec odwrócił się i zobaczył, że wojenny mistrz rzuca się do ataku.

Poczuł, że masywne biurko obróciło się w powietrzu i usłyszał miły dla ucha chrzęst miażdżonych łusek pancerza. Wojenny mistrz zatoczył się do tyłu i wypadł przez okno. Kapłanka i pozostały przy życiu harfiarz leżeli na podłodze. Wstrząsani drgawkami, sprawiali wrażenie ogluszonych.

Jacem schylił się i podniósł włochatą garotę. Nie wypuszczając z dłoni włączonego świetlnego miecza, Jaina przeskoczyła przez próg i przesunęła spojrzeniem po gabinecie. Zobaczyła, że wirujące dotąd przedmioty spadają, gdzie popadnie, i aż zamrugła. Jej brat owinał czerwone stworzenie wokół nóg matki, tuż nad kolanami. Kosmaty wąż nie dawał jednak znaku życia. Tknięty przecuciem Jacem grzmotnął pięścią w porzucony bęben młodej Yuuzhanki. Włochate zwierzę natychmiast skurczyło się niczym opaska uciskowa.

- O rety - mruknęła Jaina. - Wnioskuje z tego, że powróciłeś do władania Mocą.

Jacem wsunął jedną dłoń pod plecy matki, a drugą pod jej zakrwawione nogi. Zastanawiał się, czy założenie żywej opaski nie było błędem. Gdyby uniemożliwił krążenie krwi na dłuższy czas, Leia mogłaby stracić nogi.

Możliwe, że będzie musiał dokonać wyboru: uratować jej nogi czy ocalić życie.

- Musisz mi pomóc i odwrócić ich uwagę - zwrócił się do siostry. - Jeżeli posłuże się Mocą, żeby kontrolować przepływ krwi w jej żyłach, nie zdołam skupić uwagi na tym, dokąd uciekamy.

- Ty także krwawisz - zauważyła dziewczyna.

- Nic poważnego - uspokoił ją Jacem. - A przynajmniej w porównaniu... z tym.

Jaina uniosła klingę świetlnego miecza.

- Idź za mną - poleciała.

Wyszła na klatkę schodową, zawahała się chwilę i przeskoczyła przez poręcz. Jacem podążył w jej ślady. Pomagając sobie Mocą, zwolnił tempo opadania, na ile mógł, żeby podczas lądowania nie wypuścić z objąć matki. Pospiesz się! - pomyślał. Pospiesz się! Oczami wyobraźni ujrzał pełen udręki wzrok Anakina. Przypomniawszy sobie, jak strasznie cierpiał ojciec po śmierci Chewbacki. Znowu pogrzyżył się w nurtach Mocy.

Tsavong Lah usiłował stanąć prosto, ale zachwiał się i upadł. Miał zmiażdżone łuski osobistego pancerza na jednym boku, a w dodatku lewa stopa nie chciała utrzymać ciężaru ciała.

Z trudem uklęknął.

Podbiegło do niego kilku wojowników strzegących tego budynku. Dwóch odwróciło głowy, jakby nie chciało przyglądać się jego ponizeniu. Trzeci spojrzął na okno i zacisnął wargi.

- Ktoś cię zaatakował, wojenny mistrzu? - zapytał. - Pomścimy cię. Przyjmij w ofierze moje życie. Zaręczam, że to dla mnie wielki zaszczyt.

Tsavong Lah kiwnął głową. Propozycja była na czasie. Wyciągnął pałkę, a wojownik uklęknął i pochylił głowę. Wkładając w cios całą wściekłość, wojenny mistrz machnął krótkim amphistaffem.

Podwładny padł bez życia.

- Chwała ci, wojowniku - mruknął Tsavong Lah.

Otarł krople śliny z rozciętych warg i skinął na dwóch pozostałych strażników. Rozkazał, żeby podnieśli ciało kolegi i wrzucili do jamy z płonącymi automatami.

Chwilę potem przybiegło czterech następnych wojowników. Kiedy pomagali Tsavongowi utrzymać się na nogach, wojenny mistrz poczuł, że ze zranionej stopy płynie fala przenikliwego bólu.

- Wezwać Tu-Scarta i Sgauru - rozkazał pierwszemu. - Niech rozwalą ten budynek-rzecz. - Odwrócił się do drugiego. - Zmienić kierunek strumienia wypływającego z głębokiego szybu. Zalać tunele.

Do wojennego mistrza podbiegł Nom Anor.

- Z pewnością nie uciekną - zapewnił gorliwie.

Tsavong Lah obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. Miał mu za złe, że egzekutor uciekł, podczas gdy inni toczyli walkę.

- Mam nadzieję, że Yun-Harla darzy cię dzisiaj szczególnymi względami - warknął przez zaciśnięte zęby. - Twoja...

- Musiałem się wycofać - przerwał pospiesznie Nom Anor. Nie zamierzał dopuścić, żeby wojenny mistrz nazwał go niegodnym tchórzem. - Obserwatorzy zameldowali, że do budynku-rzeczy usiłuje się •wedrzyć jeszcze jeden Jedi.

Na głównej ulicy ukazały się dwa gigantyczne stworzenia. Poganiane przez wojowników wywijających grubymi amphistaffami, zaczęły pełznąć w kierunku budynku administracyjnego. Na ich widok Tsavong Lah bezceremonialnie odepchnął Noma Anora na bok. Podobny do wielkiego węża Tu-Scart owinał się wokół piętrowej budowli. Pokryty chitynowym pancerzem Sgauru przyczepił się do jego cielska, uniósł masywny łeb i z całej siły grzmotnął w pozbawioną okien ścianę parteru.

Durbetonowe bloki pękły niczym drzazgi pveiz. Sgauru otworzył przepaściwą paszczę i radośnie zaczął się pożywiać. Kiedy przełknął, znów uniósł potworny łeb i wyróżnił nim w durbetonową ścianę.

Han usiadł na fotelu kapitana „Sokoła”.

- Chodź do mnie, Złota Sztabo! - zawołał. - Szybko, szybko! Złocisty android wszedł ochoczo do sterowni.

- Ależ, proszę pana...

- Siadaj - rozkazał szorstko Han - bo w przeciwnym razie przyśrubuję ci stopy do płyt pokładu.

Zamierzał przesłać energię do pokładowych obwodów i podzespołów. Pstryknął kilkoma przełącznikami i ucieszył się słysząc, że przynajmniej ten jeden raz silniki starej balii zaskowyczały i nie umilkły.

- Przypnij się - mruknął, spoglądając kątem oka na zdezorientowanego androida. - Tym razem to nie będzie spacer.

Dlaczego pozwolił, żeby Droma odleciał z pozostałymi uchodźcami? C-3PO był najgorszym drugim pilotem, jakiego mógł sobie wyobrazić.

Włączył repulsory. Koreliański frachtowiec uniósł się zaledwie kilka centymetrów nad powierzchnię gruntu.

- Proszę pana, co mam właściwie robić? -jęknął Threepio.

- Obsługuj komunikator - polecił Solo.

Jaina podała współrzędne najbliższego wylotu tunelu. Han wiedział, że kiedy dziewczyna się znów odezwie, „Sokół” musi wystartować bez chwili zwłoki.

Przeskakując nad kolejnym yuuzhańskim strażnikiem, Jacen myślał tylko o tym, żeby miękko wylądować. Nie chciał, żeby szarpnięcie pogorszyło stan zdrowia matki. Otaczający go rzeczywisty świat jakby skrył się za mgłą. Wydawał się o wiele mniej realny niż niewidzialne zmagania, których celem było ocalenie życia Leii.

- Tędy - odezwała się w pewnej chwili Jaina.

Trzymała rękojeść świetlnego miecza. Kiedy jej brat zeskoczył na parter, zaprowadziła go do magazynu i pchnęła taflę drzwi zamykających wlot do tajnego tunelu.

Z otworu buchnęła fala cuchnącej wody. Jacen w porę uskoczył i pozwolił, żeby woda rozlała się po posadzce. Kiedy poziom opadł, wszedł do tunelu i zaczął brnąć przez strugi wody. Czuł na ramionach głowę matki. Wydawało mu się, że jej ciało jest nieprawdopodobnie lekkie.

Jacen wiedział, że omywane strumieniem wody rany nie będą się chciały goić. Nie musiał się już więc martwić, jak uratować jej nogi. Powinien skupić całą uwagę na tym, jak ocalić jej życie. Czując w sobie kipiącą Moc, całkowicie powstrzymał dopływ krwi do ważniejszych arterii dolnych kończyn. Krwawienie uniemożliwiła żywa czerwona garota... pozbawiona inteligencji służka swoich władców.

Zmagając się z coraz silniejszym prądem, Jacen dotarł w końcu do źródła. Minął je i odetchnął z ulgą. Pomyślał, że przynajmniej teraz nurt będzie ich popychał. Poniesie też ze sobą wszystkie zapachy, dzięki czemu Yuuzhanie ich nie odnajdą, nawet gdyby posłużyli się wężącymi stworzeniami.

Idąca kilkanaście kroków przed nim Jaina rozjaśniała ciemności fioletowym blaskiem klingi świetlnego miecza.

Dziewczyna zerkała raz po raz na mapę, wyświetlaną na ekranie małego komputerowego notesu. Tam, gdzie ich tunel łączył się z chodnikiem starej kopalni, widniała na mapie głęboka pionowa studnia. Jaina wiedziała, że właśnie tam spłynie strumień wody. A że już jakiś czas podążali z prądem, powinni zdwoić czujność. Jeżeli nie chcieli trafić w głąb bezdennego szybu, musieli się gdzieś zakotwiczyć.

- Pójdę pierwsza - zwróciła się do Jacena. - Uważaj na mnie.

Zgasiła świetlny miecz, przypięła rękojeść do pasa i pogrążyła się w mętnej, lodowatej zimnej wodzie. Czowała, że coraz silniejszy prąd usiłuje zerwać jej maskę z twarzy. Smak cuchnącej cieczy na wargach przyprawiał ją o mdłości. Płynęła, energicznie przebijając rękami, niemal nieświadoma chropowatych ścian tunelu, obok których

niósł ją podziemny strumień. Posługując się Mocą, uwolniła myśli i wysłała je przed siebie. Wyczuła niedaleko śmiercionośny wir spływającej w głąb studni wody.

Odwróciła się i opuściła jedną nogę, chwilę później drugą. Omywana rwącym prądem, skrzyła w lewo i skierowała się w stronę ścian tunelu. W nieprzeniknionych ciemnościach nic nie widziała, ale nauczyła się już odnajdywać drogę niemal na oślep. W pewnej chwili wrażliwe na Moc zmysły uświadomiły jej, że znajduje się blisko ściany.

Zanurkowała, odbiła się od dna tunelu i starając się pokonać opór wody, wyskoczyła nad powierzchnię. Uniosła rękę, żeby złapać się jakiegoś występu. Na próżno. Zanurzyła się i popłynęła dalej. Rwący strumień zniósł ją jeszcze bliżej studni. Jaina poczuła mordercze przerażenie... zimniejsze i bardziej złowieszcze niż perspektywa wessania w głąb leja.

Przewyciężyła je, usunęła z myśli i wynurzyła głowę nad powierzchnię. Złapała powietrze, zanurkowała i jeszcze raz odbiła się od dna tunelu.

Tym razem zacisnęła palce na chropowatym występie skalnym. Podciągnęła się, drugą ręką odpięła świetlny miecz i zapaliła klingę. Zobaczyła, że od bezdennej lejki dzieli ją zaledwie dwa metry. Wepchnęła rękojeść broni w pierwszą lepszą szczelinę; klinga wyglądała teraz jak jarzeniowy pręt w lichtarzu. Wreszcie odpięła i zdjęła pas z kieszeniami, który znalazła na pokładzie „Cienia Jade”.

Mara zatoczyła jachtem szeroki łuk. Pierwsza zobaczyła nieprzyjaciół, ponieważ ich wypatrywała.

Trzasnęła otwartą dłonią w przycisk komunikatora.

- „Cień Jade” do Wojsk Obrony Przestworzy planety Duro - powiedziała. - Wielki koral zbliża się kursem cztery pięć koma zero sześć. Uważaj, „Poezjo”.

Z nadprzestrzeni wyskoczył yuuzhański szturmowy lotnikowiec. Nadlatywał mniej więcej z południa kursem czterdzieści pięć stopni z oczywistym zamiarem zaatakowania krążownika klasy Mon Calamari. Z obu ramion nieprzyjacielskiego okrętu wylatywały watahy koralowych skoczków. Chwilę później w ślad za nimi ukazały się większe jednostki - może okręty szturmowe, a może zwierzęta? W tej chwili i tak nie miało to znaczenia.

Mara skończyła zataczać łuk i zawróciła w kierunku miasta Bburru. Obserwowała ekran taktycznego monitora, wypatrując X-skrzydłowców Luke'a i Anakina. Widziała, że z lądowisk Bburru i innych orbitalnych miast podrywają się do lotu eskadry myśliwców typu E i policyjnych patrolowców typu Sztylet-D. Tym razem obrońcy wszystkich miast - z wyjątkiem skazanego na zagładę Orr-Om - włączyli generatory ochronnych pól siłowych. Kiedy Mara patrolowała przestworza, Orr-Om wstrząsnęła seria silnych eksplozji. Prawie wszystkie światła zgasły. Miasto zaczynało pogrążyć się w górne warstwy brązowej atmosfery planety Duro.

Mara przestała wyczuwać obecność Leii w Mocy.

Z nadprzestrzeni, w pobliżu północnego bieguna Duro, wyłoniła się jeszcze jedna szturmowa flota istot rasy Yuuzhan Vong. Chwilę później rozdzieliła się na cztery grupy. Skanery pokładowe jachtu Mary pokazywały, że na czele każdej leci mniej więcej

dwadzieścia koralowych skoczków, za nimi coś o wiele większego, trudnego do rozpoznania... a dalej następna wataha koralowych skoczków.

- Uwaga! - Z głośnika pokładowego komunikatora rozległ się znajomy głos obcej istoty. - Uwaga, piloci jednostek Wojsk Obrony! Zrezygnujcie z dalszej walki. Jeżeli powrócicie na powierzchnię planety Duro i schronicie się w jednej z osad, darujemy wam życie. Jeżeli stawicie opór, zostaniecie zabici. Mieszkańcy kolonii, nie starajcie się ich opuścić. Pozostańcie na swoich miejscach. Niesiemy wam pokój, nie zagładę.

Chwilę później rozległ się głos jakiegoś Durosjanina.

- Jednostki ewakuacyjne, kierrować się na południe. Powtarzam, kierrrujcie się na południe. Nieprzyjaciele atakują mniej więcej z północy. Postarramy się zapewnić wam osłonę.

Mara poprawiła hełmofon i przełączyła komunikator na prywatną częstotliwość.

- Luke, gdzie jest Han? - zapytała. - Dlaczego jeszcze nie wystartował?

- Nie mam od niego żadnych wieści. - W głosie męża brzmiało napięcie i zmęczenie.

Z nadprzestrzeni wyskoczyła kolejna szturmowa armada, niemal natychmiast zmieniła kurs i zanurkowała w kierunku drugiego sektora orbitującego łuku. Pierwsza grupa pilotów koralowych skoczków ostrzelała obrońców najbliższej sztucznej planety, ale poleciała dalej, nie niszcząc konstrukcji. Ku orbitalnemu miastu zanurkował dopiero lecący za nią większy okręt. Wypuścił z siebie ogromny kształt. Mara stwierdziła, że jej pokładowe czujniki oszalały.

- Dovin basal - mruknęła. - Prawdziwy potwór!

Kilka chwil później siłowe pole miasta osłabło i zanikło. Mara wiedziała, że dovin basal o takim apetycie może ściągnąć na powierzchnię planety całe miasto, podobnie jak kiedyś ściągnął księżyc Sernpidala.

Z pozostałych miast wystartowały podobne do mrówek flak roje małych statków. Piloci pierwszej grupy koralowych skoczków nie zwrócili na nie uwagi. Kilka jednostek zdołało nawet przyspieszyć do prędkości światła i zniknąć w nadprzestrzeni. Pozostałymi zainteresowali się piloci drugiej grupy skoczków. Ponownie jakiś Yuuzhanin głośno rozkazał, żeby uciekinierzy wylądowali na powierzchni planety.

Prawie żaden nie usłuchał i nie zawrócił z drogi.

Tuż za drugą watahą koralowych skoczków nadleciały yuuzhańskie odpowiedniki gwiazdnych korwet. Ich artylerzyści rozpoczęli bombardowanie miasta bryłami wielkości małych asteroid. Z pokładów sztucznych planetoid zaczęła uchodzić atmosfera. Tu i ówdzie coś eksplodowało, oświetlając powierzchnię ponurą poświatą.

Miasto Orr-Om zniknęło w warstwach atmosfery. Pograżało się coraz szybciej. Wystające fragmenty zaczynały żarzyć się ciemnoczerwonym blaskiem. Mara zamrugała. Całe miasto...

Także wokół „Poezji” roily się koralowe skoczki i myśliwce obrońców. Od czasu do czasu obsługujący wielkie turbolasy artylerzyści brali na cel i niszczyli jakiś koralowy skoczek. Mara słyszała, że legendarne siłowe pola kalamariańskiego krążownika są niebywale wytrzymałe, praktycznie niezniszczalne. Zobaczyła jednak, że w stronę wielkiego okrętu kieruje się jedna z yuuzhańskich wyrzutni dovin basali. Chociaż na

spotkanie z dużym nieprzyjacielskim okrętem skęcili piloci jakiejś eskadry myśliwców typu E, Mara domyśliła się, że chwile „Poezji” są policzone.

A później pojawiła się czwarta fala szturmowych jednostek Yuuzhan. Jeżeli wojenny mistrz zamierzał udowodnić Nowej Republice, jak silną i liczną dysponuje flotą, w pełni zasługiwał na miano naczelnego dowódcy. Mara zdumiewała się, widząc coraz to nowe watahy koralowych skoczków. Domyślała się, że po zdobyciu planety Duro wszystkie przypuszczają szturm na Jądro galaktyki.

A skazanej na swój los planecie Duro nie mogli pomóc ani obrońcy ze stacji Centerpoint, ani z Coruscant.

Tymczasem dyskoidalne miasto Urrdorf coraz bardziej przyspieszało. Zmieniło kurs i zamierzało opuścić orbitę. Ponieważ było jedynym zdolnym przetrwać durosjańskim miastem, admirał Wuht skierował w tamten kwadrant większość myśliwców. Mara wypatrzyła pośród nich dwa X-skrzydłowce.

- Czas rozpocząć zabawę - mruknęła do siebie. Zmieniła kurs, by się do nich przyłączyć.

Jacen ze wszystkich sił pokonywał opór prądu, by nie dać się wessać w głąb bezdennej studni. W pewnej chwili usłyszał głos JAINY. Wyczuł, że siostra znajduje się na lewo od niego. Kilka sekund później ujrzał jasnioletowy błysk klingi jej świetlnego miecza. Zauważył, że siostra kuca na występie kamiennej ściany tunelu i wyciąga z kieszeni pasa linę. Kiedy mu ją rzuciła, chwycił i owinął się wokół talii. Walcząc z rwącym prądem wody, pozwolił, żeby siostra go przyciągnęła.

Przemarznięty i wyczerpany, opadł na kamienną półkę obok niej. Stopniowo odzyskiwał siły. Jaina pochyliła się nad Leią i przyłożyła dłoń do jej twarzy.

- Żyje - odezwała się po chwili - ale jest bardzo osłabiona. Czy możemy ruszać w dalszą drogę?

Jacen wstał. Bolały go wszystkie mięśnie. Najsilniejszy ból umiejscowił się w nogach.

- Możemy - mruknął. - Idź pierwsza.

Jaina wyciągnęła rękojeść świetlnego miecza ze szczeliny w ścianie i włączyła komunikator.

- Tato, słyszysz mnie? - zapytała. Nie usłyszała odpowiedzi. - Tędy, Jacen - rzekła. - Najpierw musimy dotrzeć tam, skąd będę mogła się z nim porozumieć.

Han utrzymywał „Sokoła” kilka centymetrów nad powierzchnią gruntu. Czekał. Nie mógł startować, dopóki nie usłyszy...

- Tato? - Z pokładowego komunikatora rozległ się głos JAINY. - Właśnie wyszłam z tunelu. Jacen niesie mamę.

Han uruchomił główne silniki. Frachtowiec wyskoczył i zaczął oddalać się od kopty kolonii Gateway. Han naliczył na dole dziewięć yuuzhańskich kolczastych platform ładowniczych. Nieopodal północnej bramy spoczywało mnóstwo gigantycznych muszli.

Han przełączył komunikator na nadawanie.

- Startuj, Dromo! - rozkazał. - Uwaga, wszystkie statki z uchodźcami! Kierujcie się na południe. Będziemy lecieli tuż za wami.

Kilka sekund później ze sterty siana wyłonił się przeciążony gwiazdny holownik. Z drugiej strony kopuły wystartował wielki transportowiec i dwa pokieraszowane koreańskie frachtowce typu YT-1300.

- Tam, kapitanie Solo! - wykrzyknął w pewnej chwili Threepio, pokazując coś na monitorze czujników. Han spojrział przez iluminator. W oddali zobaczył samotną postać, wymachującą czymś, co wyglądało jak fioletowa pochodnia.

- Widzę ją.

Musnął rękojeść dźwigni przepustnicy i zmniejszył siłę ciągu. „Sokół” zaczął opadać.

- Och, nie! - jęknął Threepio. - To z pewnością koralowe skoczki. Nadlatują kursem cztery...

- Widzę je. Widzę - przerwał mu Solo.

„Sokół” znieruchomiał tuż nad powierzchnią gruntu. Han opuścił rampę. Z zadowoleniem zauważył, że ze zbocza wzniesienia, w którym znajdował się zamaskowany wylot tunelu, wyłania się i biegnie w stronę frachtowca druga osoba...

Dopiero po kilku sekundach stwierdził, że Jacen niesie Leię. Na nogawkach jej niebieskiego kombinezonu widniały rozmyte ślady świeżej krwi.

ROZDZIAŁ

28

Bitwa o planetę była przegrana. Ciemnobrązowe chmury pochłonęły miasto Orr-Om. Wielobarwna bryła koralu wielkości gwiazdowego krążownika leciała na spotkanie z innym miastem, pozbawionym osłon we wcześniejszej fazie walki. Może to dziwne, ale Mara nie zauważyła, by wylatywały z niej chmury koralowych skoczków.

Uświadomiła sobie, na co się zanosi, w tej samej chwili, kiedy Luke krzyknął przez komunikator:

- Zamierza je staranować!

Mara zmieniła kurs, ale nie odrywała spojrzenia od wyświetlaczy czujników. Gigantyczna jednostka obcych istot wbiła się w górną powierzchnię bezbronnej planetoidy, która i tak była skazana na zagładę. Przyczepiony w samym sercu miasta wielki dovin basal ścigał je na powierzchnię planety Duro.

Koralowy okręt odbił się i wycofał. Spodnia, błyszcząca powierzchnia pozostała równie gładka jak przed atakiem. Tymczasem z uszkodzonego miasta strzelały snopy iskier. W wielu miejscach wybuchły groźne pożary. Z rozhermetyzowanych pomieszczeń uciekała atmosfera. Czujniki jachtu Mary wykrywały także nową, złowieszczo silną i skierowaną w dół składową wektora lotu.

Miasto Urrdorf oddalało się od orbity, ale nie dość szybko. Leciała ku niemu inna wataha koralowych skoczków. Wyglądało na to, że liczy co najmniej tysiąc myśliwców.

Luke zboczył z kursu. Mara poszła w jego ślady. Nagle z nadprzestrzeni wyskoczyła jeszcze jedna flota. Tym razem pojawiła się od południa, jakby chciała domknąć pułapkę. Z pewnością Yuuzhanie zamierzali zablokować jedyną drogę ucieczki, jaką mieli uchodźcy, którzy wystartowali w początkowej fazie bitwy. Koralowe okręty wielkości gwiazdnych krążowników szeroko rozwierały w locie czerwone i zielone ramiona. Wysypywały się z nich roje koralowych skoczków, eskortowanych przez kilkanaście dużych okrętów wielkości gwiazdnych kanonierek.

Luke skierował swój X-skrzydłowiec ku mniejszej gromadzie myśliwców, pilotowanych przez pozostałych przy życiu obrońców Urrdorfa. Mara stwierdziła, że gwiazdne miasto ma nadal sprawne energetyczne osłony. Wokół sztucznej planetoidy latały

istne roje koralowych skoczków. Yuuzhańscy piloci zasypywali obrońców miasta strugami płonącej plazmy. Mara nie mogła się powstrzymać i raz po raz spoglądała do tyłu.

Inny rój nieprzyjacielskich myśliwców otaczał miasto Bburru. Dzięki staraniom obrońców admirała Wuhta wrogowie nie zdołali nigdzie przyczepić dovin basala. Wyćwiczone oczy Mary dostrzegły wśród obrońców jeszcze jeden X-skrzydłowiec.

Od jednej ze szturmowych flotylli Yuuzhan odłączył się okręt wielkości kanonierki. Nadleciał bardzo nisko. Jego artylerzyści zaczęli ostrzeliwać miasto strugami oślepiająco jasnej plazmy.

- Skręcam na bakburtę - oznajmiła Mara. - Czujniki pokazują, że z jakiegoś doku miasta Bburru wystartował cywilny wahadłowiec. Zamierzam go eskortować.

Luke pospieszył, żeby wesprzeć Anakina. Mara przeleciała tak nisko, że jej jacht niemal otarł się o jakąś nadbudówkę. Zawróciła w kierunku lądowiska, z którego tak bezceremonialnie odleciała. Pomyślała, że ktoś, kto zdecydował się na start w przestworza w tej fazie bitwy, musi mieć naprawdę dużo odwagi.

Kiedy podleciała bliżej do cywilnego wahadłowca, stwierdziła, że w rzeczywistości są to trzy mniejsze jednostki, lecące bardzo blisko jedna za drugą.

Przełączyła komunikator na ogólną częstotliwość.

- Uwaga, wahadłowce - oznajmiła. - Tu „Cień Jade”. Będę was eskortowała, dopóki nie skoczycie.

- Nic z tego, „Cieniu Jade” - usłyszała chrapliwy głos, z trudem przedzierający się przez trzaski zakłóceń. - Nie skaczemy. Kierrujemy się ku powierzchni planety.

- To samobójstwo! - wykrzyknęła kobieta. - Zginiecie w męczarniach albo dostaniecie się do niewoli. Zawróćcie i skierujcie się...

Mimo jej rozpaczliwych ostrzeżeń piloci niewielkich statków lecieli nadal tym samym kursem. Dopiero po kilku sekundach Mara dostrzegła wymalowane na rufach trójkątne symbole Spółki Transportowej CorDuro. Wyglądało na to, że jej funkcjonariusze zrobili, co mogli, żeby osłabić obronę orbitalnych miast i planety Duro, a teraz gromadnie przechodzili na stronę Yuuzhan.

Jeżeli tak, zasługiwali na los, jaki miał ich spotkać. Mara ostro skręciła. Kiedy zobaczyła na kursie eskadrę koralowych skoczków, pomyślała, że najwyższy czas zabrać się do pracy.

Jacen pochylał się nad wąską pryczą, przeznaczoną do udzielania pierwszej pomocy rannym pacjentom albo ofiarom wypadków. Chociaż pokład pod ich stopami kołysał się i podskakiwał, Jaina założyła na nogi matki bandaż ze sluziżańskimi mikrograwitacyjnymi opaskami uciskowymi. Upewniła się, że nie zsuną się w stronę kolan, po czym podłączyła je do medycznej bazy danych komputera „Sokoła”.

- To powinno wystarczyć, dopóki nie umieścimy jej w zbiorniku bacta - powiedziała. - Nie wiem jednak, czy zdołamy uratować jej nogi...

Nagle Leia zamrugła i otworzyła oczy.

- Jaino... -mruknęła. -Usłyszałam... twój głos. Dziękuję.

Dziewczyna otuliła drżące ciało matki termicznym kocem, a potem zdjęła z wieszaka rurkę kropłówki i wbiła igłę w obnażone ramię Leii.

- Najtrudniejsze zadanie miał Jacen - powiedziała, starając się nadać głosowi gderliwe brzmienie.

Młodzieniec poprawił opaski uciskowe. Starannie nastawione mikrorepulsorowe pola uciskały uszkodzone arterie, ale pozwalały, żeby pozostałymi dopływało do dolnych partii nóg Leii więcej krwi niż zazwyczaj. Jego siostrę i matkę łączyło jednak coś równie niewidocznego jak repulsorowe pola, ale cieplejszego i bardziej osobistego... głębokie uczucie, wzajemne zrozumienie.

- Nie... To co ty... zrobiłaś -wyjąkała Leia -.. .trudniejsze. Wściekła na mnie... a jednak... wróciłaś.

Jaina skrzywiła się, jakby połknęła coś kwaśnego. Nachyliła się i pocałowała matkę w policzek.

- Leż spokojnie - powiedziała. - Wyciągniemy cię z tego.

- Ale... Duro... Basbakhan...

- Ewakuujemy się z powierzchni Duro - wyjaśnił Jacen. Co, u licha, mogło się stać z drugim Noghrim? - pomyślał.

- Basbakhan? - zapytał.

Leia zamknęła oczy. Zaniepokojony młodzieniec przeniósł spojrzenie na siostrę.

- W tej kropłówce jest środek nasenny - rzekła Jaina. - W przeciwnym razie zeskończyłyby z tej pryczy, przeczołgała się do wieżyczki laserowych działek i wykrwawiła na śmierć.

Wśluchując się w ton jej głosu, Jacen wyczuł w nim nieklamany podziw. Podziw i szacunek.

- To prawda - przyznał. Pomyślał, że jeżeli Basbakhan pozostał żywy na planecie Duro, nie zazdrości istotom rasy Yuuzhan Vong. - A zatem, jeżeli chodzi o działka, pozostajemy tylko ty i ja, prawda?

- Idź do wieżyczki czterolufowego! - poleciała Jaina, zrywając się z pryczy. - Ja pędzę pomóc tacie. Czas zacząć trzyosobowe polowanie na koralowe skoczki!

- Mara, Luke? Obrona Przestworzy? Tu „Sokół Millenium”. Eskortujemy wielki holownik. To ostatni statek, jaki wystartował z kolonii Gateway, a prawdopodobnie także ostatni z całej planety Duro. Lecimy do was.

Mara zerknęła na wskazania czujników. Kierując się na południe i powoli przyspieszając, leciał niewielki konwój. Składał się z ogromnego holownika, nieco mniejszego transportowca i trzech koreliańskich lekkich frachtowców typu YT-1300. Lecący na czele szyku statek, którego czarny kadłub nie odbijał światła, raz po raz zbaczał z kursu i zataczał pętle, zupełnie jakby nie był frachtowcem.

Chwilę później do rozmowy przyłączył się Skywalker.

- Han, jak jej zdrowie?

- Jest ciężko ranna. - W głosie Hana brzmiało napięcie.

Nic w tym dziwnego. Jeżeli za pośrednictwem Mocy wyczuwał to i on, i Mara, sytuacja musiała wyglądać naprawdę poważnie.

- Zajmują się nią bliźnięta, ale... co to takiego? - Han umilkł na chwilę, po czym podjął na nowo: - Nie mogę teraz rozmawiać. Wygląda na to, że kolonistom przyda się silniejsza eskorta.

- Już lecę. - Mara wyłączyła komunikator i zaczęła przyglądać się sytuacji w przestworzach, ukazywanej na ekranie taktycznego monitora. Czy to dzięki wieloletniej wprawie, czy zwykłemu szczęściu, Han kierował swój konwój tam, gdzie zagrażało mu najmniej niebezpieczeństw.

Nagle na kursie konwoju pojawiła się nieprzyjacielska kanonierka. Niemal natychmiast na ekranie czujników „Cienia Jade” ukazała się spodziewana czarna mikro-dziura. Mara zaczęła zasypywać wytwarzającego ją dovin basala seriami krótkich, nieszkodliwych błyskawic. Nieopodal, po stronie sterburty, pojawił się X-skrzydłowiec. Pilotujący go Luke także zaatakował kanonierkę seriami strzałów. Jego sprzężone działka pluły smugami ognia zgodnie z uprzednio ustalonym programem: dwa nieszkodliwe strzały z czubków górnych skrzydeł, dwa nieszkodliwe strzały z czubków dolnych, cztery potężne ze wszystkich czterech równocześnie.

Kanonierka zmieniła kurs. Jej załoga, ignorując bezbronny holownik, zamierzała podjąć walkę z atakującymi ją napastnikami. Aby przeciążyć nieprzyjacielskiego dovin basala, Mara nie przestawała nękać czarnej dziury nieregularnymi seriami lekkich strzałów. Zwolniła, żeby nie dopuścić do wessania jachtu w głąb grawitacyjnej mikroanomalii.

Kiedy Luke zatoczył szeroki łuk, by przystąpić do drugiego ataku, Mara zauważyła inny nadlatujący X-skrzydłowiec. Ściagała go czwórka koralowych skoczków, tworzących formację w kształcie czworoboku. Kobieta zmieniła kurs tak raptownie, że iskiarki gwiazd zawirowały w iluminatorach sterowni jachtu. Wymijając lecące ku niej strugi rozżarzonej plazmy, starała się cały czas ostrzeliwać yuuzhańską kanonierkę. Czujniki pokazywały, że na jej jacht kieruje się kolejna grawitacyjna anomalia. Tym razem wytwarzały ją dovin basale koralowych skoczków, których piloci bardzo starali się pozbawić „Cień Jade” energetycznych osłon.

- Luke? - zawołała Mara półgłosem. - Anakin? Znosi się na kłopoty.

- Ja zajmę się tymi skoczkami, wujku Luke - usłyszała po chwili.

Jeden X-skrzydłowiec zmienił kurs. Mimo dzielącej ich dużej odległości Mara wyczuła wyraźną zmianę natężenia strumienia Mocy. Domyśliła się, że Anakin - bez wahania, z absolutnym spokojem, odpowiednim raczej dla dwukrotnie starszego i bardziej doświadczonego wojownika - zaczerpnął porcję energii i rzucił się w wir walki. Wprowadził swój X-skrzydłowiec w ruch obrotowy i zaczął posyłać ku koralowym skoczkom raz krótsze, a raz dłuższe serie laserowych błyskawic. Zanim piloci dwóch pierwszych nieprzyjacielskich myśliwców skierowali ku niemu wyrzutnie stopionego koralu, dwa pozostałe przemieniły się w kule oślepiającego światła.

Nadlatujący innym kursem Luke zaatakował ponownie nieprzyjacielską kanonierkę. W pewnej chwili Mara ujrzała błyski z obu wyrzutni protonowych torped. Kiedy zorientowała się, że załoga yuuzhańskiego okrętu nie zdoła w porę przemieścić grawitacyjnej paszczy, aby pochłonąć energię strzałów, przerwała atak, wystrzeliła świecę w górę i skierowała całą moc do generatorów rufowych pól siłowych.

- Trafilem go! - wykrzyknął rozentuzjzmowany Skywalker. Dodał nieco bardziej rzeczowym tonem: - Wzywam pilota cywilnego holownika. Czy to największe przyspieszenie, jakie możecie wycisnąć z silników swojego statku?

Mara nie miała pojęcia, kto odpowiedział, ale w głosie rozmówcy Luke'a brzmiał szacunek i jakby przerażenie.

- Czy to pan, mistrzu Skywalker? To pan pilotuje ten X-skrzydłowiec?

- Tak, to ja, tuż nad wami - odparł Luke. - Postarajcie się jeszcze odrobinę zwiększyć prędkość.

- Rozkaz, proszę pana.

Czujniki Mary wykryły, że toporny holownik rzeczywiście nieco przyspieszył. Prawdopodobnie to było wszystko, do czego pilot mógł zmusić swoją jednostkę napędową.

Niedaleko, w przestworzach, rozgrywała się jeszcze jedna tragedia. W kierunku górnych warstw atmosfery planety Duro opadał, powoli wirując wokół osi, inny gwiazdny holownik. Mara spojrzała na miasto Bburru. W sześciu punktach przyczepiły się do niego podobne do żywych okrętów dziwne przedmioty. Stocznie wyglądały jak płataniny powyginanych dźwigarów i wsporników.

Inne miasto - to samo, które staranował yuuzhański wielki koral - wyraźnie zwolniło i powoli opadało. Z jego doków nie startowały już żadne statki. W ślad za miastem i po bokach leciała flotylla nieprzyjacielskich okrętów i koralowych skoczków. Czujniki Mary wskazywały, że ich piloci wykorzystywali dovin basale swoich jednostek, aby ściągnąć uszkodzoną planetoidę na jeszcze niższą orbitę. Jeżeli nie liczyć powoli oddalającego się Urrdorfa, wszystkie durosjańskie orbitalne miasta były w większym lub mniejszym stopniu uszkodzone.

Mara zacisnęła pięści. Zrozumiała, że Yuuzhanie się z nich naigrawają. Robią wszystko na pokaz. Chcą nie tylko pokonać swoich wrogów. Starają się ich ośmieszyć, poniżyć, upokorzyć.

Przygryzła dolną wargę. Miała ochotę wyrznąć pięścią w pulpity kontrolnej konsoly. Przełamując wewnętrzny opór, rozprostowała palce i usunęła gniew ze swoich myśli. Wiedziała, że gniew jest równie niebezpieczny jak trucizna. Miała dość trucizny w swoim organizmie, a wszystkie zawdzięczała Nomowi Anorowi. Miała także życie jednej małej istoty, które mogła jeszcze ocalić. Jeżeli chciała tego dokonać, jej życie liczyło się bardziej, niż mogła sobie uświadomić. Trzymaj się, pomyślała. Wybrałeś sobie nieszczęśliwą porę, żeby przyjść na świat w tej galaktyce.

Przecięła spodziewaną trajektorię lotu myśliwca Luke'a, na chwilę go dezorientując. Dopiero teraz rozumiała, dlaczego kobiety poświęcają życie w obronie swoich dzieci. Od jej życia zależała egzystencja i bezpieczeństwo bezbronnej istoty. Mara przysięgła sobie w duchu, że jej synek nigdy nie będzie miał gorliwszej obrończyni niż ona.

- Córeczka - usłyszała cichy szept tuż przy uchu.

Zdumiona, dotknęła słuchawki hełmofonu. Nikt nic więcej nie powiedział, nikt też nie poprosił Luke'a, żeby wyjaśnił, co miał na myśli; musiał chyba przełączyć swój komunikator na prywatną częstotliwość.

- Wynoś się z mojego mózgu, Skywalker - mruknęła łagodnie. Pozwoliła jednak niemal bezwiednie, żeby wyczuł, jak bardzo jest zachwycona tym, że i on wyszedł cało z tej przygody.

Później, ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, wyczuła coś nowego. I nagle zrozumiała.

- Nie! - wykrzyknęła. - To synek!

Toporny, kanciasty holownik rozmył się i zniknął.

Jacen przycisnął jeszcze raz guzik spustowy czterolufowych działek i zobaczył, że kolejny koralowy skoczek przemienia się w ognistą kulę płonących różnobarwnych okruchów. Przelatując przez chmurę gasnących szczątków, „Sokół” zakołysał się z burty na burtę. Dzięki temu młodzieniec mógł zobaczyć, że następny yuuzhański myśliwiec, trafiony przez siedzącą w sterowni Jainę, także rozpada się na tysiące ognistych kawałków. Słyszał rozmowę, jaką prowadzi ojciec z siostrą... pierwszy pilot z drugim pilotem. Pomyślał, że chyba jeszcze nigdy „Sokół” nie był pilotowany tak dobrze, tak pewnie... ani tak żywiołowo.

Miasto Urrdorf nie mogło pójść w ślady holownika Dromy i dokonać skoku do nadprzestrzeni. Mimo to stopniowo coraz bardziej oddalało się od płaszczyzny orbity planety Duro. Yuuzhanie nie ścigali go już ani nie ostrzeliwali. Wyglądało na to, że ta jedna jedyna sztuczna planetoida zdoła umknąć i zniknie w ciemnościach międzysystemowych przestworzy.

- Chyba wystarczy - odezwał się Han. - Zostawiamy was i odlatujemy. Żegnaj, Urrdorfie. I wszystkiego najlepszego.

- Wielkie dzięki, „Sokole” - usłyszała Jaina cichy głos w słuchawkach helmo fonu.

Han włączył interkom.

- Uwaga, Jacen, Jaina... zabezpieczenie działka. I przygotujcie się do skoku. Zabieramy ją do domu.

Jacen wyłączył systemy celownicze i unieruchomił działko, po czym przypiął się obok Threepia w sekcji inżynierskiej „Sokoła”. Usłyszał głos czuwającej w sterowni siostry:

- Anakin zestrzelił jeszcze jeden koralowy skoczek.

- Na ilu chce poprzestać? - zainteresował się Han. - Jedenastu? Dwunastu?

- Pojęcia nie mam - odrzekła Jaina. - Chyba powinnam porozmawiać o nim z pułkownikiem Darklighterem.

- Hej! - Han podniósł głos. - Luke, Mara, Anakin! Oprócz was nie pozostał już nikt, kto walczy w tym systemie. Wynoście się, dopóki jeszcze możecie!

- Jasne. - To był głos wujka Luke'a. - Anakinie, koniec zabawy. Spisałeś się na medal.

To pewne, że Anakin chce być ostatnią ludzką istotą, która opuści przestworza systemu Duro, pomyślał Jacen. Nie czuł jednak zazdrości. Zdołał odnaleźć równowagę między samoistną potęgą Mocy a jej zewnętrznymi przejawami. Oddając się jej - bez zastrzeżeń, bez granic - stał się chodzącą, oddychającą, żyjącą ofiarą.

Wygląda na to, wujku Luke - pomyślał, że kiedy rzuciłeś mi ten miecz, to go jednak pochwytiłem.

Posłużył się Mocą, żeby wyczuć Jainę. Siedziała w sterowni obok dobrze znanej, migoczącej słabym blaskiem osoby - ich ojca. Uwolnił i wysłał myśli, żeby delikatnie dotknąć jarzącej się jaskrawym blaskiem obecności młodszego brata. A potem pilotującego X-skrzydłowca wujka Luke'a... i jego żony, siedzącej w sterowni „Cienia Jade”.

Tym razem jednak pozwolił myślom błądzić trochę dłużej. Wyczuwał w cioci Marze coś innego... coś dziwnego. Nie zatechłego i cuchnącego, co odbierał, kiedy wyglądało na to, że jej tajemnicza choroba jest śmiertelna. Wyczuwał nową głębię, która świeciła podwójnym silnym blaskiem... zupełnie jak pobliska gwiazda binarna.

W następnej chwili „Sokół” wskoczył do nadprzestrzeni i echo wszystkich osób zniknęło.

Jacen rozpiął klamry ochronnej sieci i pospieszył na dół. Chciał się upewnić, że stan zdrowia mamy nie uległ pogorszeniu.

EPILOG

Tsavong Lah czuł ból pulsujący w kostce lewej nogi. Wiedział jednak, że Vaecta nie uśmierzy go bez wymyślnych, stosownych rytuałów - podobnie jak nie odciąłaby drugiej, nie zranionej stopy. W przeszłości Tsavong poświęcał różne części ciała. Naśladował bogów, którzy poświęcali części własnych ciał, kiedy stwarzali wszechświat. Postanowił, że będzie wspierał ciężar ciała na zwyczajnej sztucznej stopie - przynajmniej do czasu przybycia innego, wyższego stopniem kapłana.

Zamierzał go poprosić o wszczęcie komplikowanej protezy. W końcu stracił stopę w wyniku szlachetnego pojedynku. Nie sądził, żeby kapłan odmówił jego prośbie.

Usiłując nie krzywić się z bólu, nieporadnie stawał nogi. Powoli zbliżał się do delegacji Durosjan i ludzi, którzy po wylądowaniu niezwłocznie pospieszyli tu, do prowizorycznego ośrodka administracyjnego. Wojenny mistrz wiedział, że musi się nim zadowolić, dopóki nie przylecą statki z odpowiednimi, wyhodowanymi materiałami budowlanymi. Przyglądał się, jak grupa niewiernych w brązowych mundurach z czerwonymi lamówkami podchodzi coraz bliżej.

Mimo dojmującego bólu widział wszystkich wyraźnie - nie tylko niewiernych, ale także zdrajców. Postanowił, że jak najszybciej wybierze spośród nich godnych.

Kiedy uznał, że członkowie delegacji podeszli wystarczająco blisko, uniesioną ręką dał znak, żeby stanęli.

Z grupy wystąpił wysoki, postawny Durosjanin.

- Dobrrrry panie - powiedział - muszę zaprrrostestować. Wasza ofensywa trrrwa stanowczo zbyt długo. Nazywam się Durrrgarrd Brrrrrrun i jestem wicedyrrrektorrrem...

- Potrzebuję informacji - przerwał mu bezceremonialnie Tsavong Lah.

Durosjanin rozłożył sękatę rękę i zaczął mówić jeszcze szybciej, bardziej nerwowo i mniej wyraźnie niż poprzednio.

- Prrrroszę pana, dotrzymywaliśmy warrunków umowy zawarrtej przez funkcionarrriuszy waszej Brrrrygady Pokoju. Wojska Obrrrrony Przestworzy planety Durro nie przystąpiły do walki. Nie brrroniły ani samej planety, ani orrrrbitalnych miast, ani gwiazdnych stoczn. W zamian za to uzyskaliście obietnicę, że oszczędzicie wszystkie nasze orrrrbitalne miasta, z wyjątkiem jednego. Doskonale rrrrozumiemy, że musieliście dać przynajmniej jeden przykład, ale...

- Możesz złożyć skargę samym bogom. - Tsavong Lah przeniósł cały ciężar ciała na fałszywą stopę. Poczul w kostce tak silny ból, że zacisnął zęby. Wykorzystał go jednak, żeby się skupić i nadać myślom właściwy bieg. - Chcę znać imię młodego Jedai, który uciekł z twojej niewoli. Ten rzekomy niegodny tchórz okazał się rzeczywistości dzielnym, godnym i walecznym wojownikiem. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas i wróżby okażą się najpomyślniejsze, musi zostać złożony w ofierze samemu Yun-Yammce.

- Wszystko wyjaśnię - zaczął Durosjanin. - Uciekł, ponieważ otrzymał pomoc z zewnątrz...

- Jego imię. - Tsavong Lah obrzucił biadolącego niewiernego pogardliwym spojrzaniem.

Brarun ponownie rozłożył ręce w geście bezradności.

- To Jacen Solo, syn pani ambasador Leii Organy Solo. Ale...

Wojenny mistrz dał znak leżącemu nieopodał dovin basalowi. Stworzenie natychmiast utworzyło migotliwy bąbel krepującego pola, które skutecznie zagłuszyło dalsze słowa niegodnego Durosjanina.

Tsavong Lah zwrócił się do stojącego w pobliżu Noma Anora.

- Czas twojej pokuty dobiegł końca, egzekutorze - powiedział. - Czy nowi niewolnicy są gotowi do przekazywania? Czy chór villipów znajduje się na swoim miejscu?

Nom Anor przyklęknął na jedno kolano. Promieniał radością... a jednak jego dłonie lekko drżały. Było oczywiste, że spodziewa się dostać następny awans.

- Zaraz wezwę nauczycielkę villipów - odparł.

Tsavong zaczekał, aż pojawi się Seef. Yuuzhanka prowadziła zwierzę pociągowe, które niosło na grzbiecie największego villipa, jakiego udało się dotąd wyhodować. Stworzenie było wciąż jeszcze wilgotne i jasnoskóre jak larwa. Mistrz kształtownik, który wyhodował je do takich rozmiarów, na życzenie sprzyjającej Yuuzhanom istoty ludzkiej z Coruscant przetransportował jego partnera w głąb przestworzy. Pozostawił go na odległej asteroidzie, chronionego przez kilka dodatkowych dovin basali przed wpływem próżni.

Aby przesłać tę wiadomość, wojenny mistrz postanowił posłużyć się odrażającymi technicznymi tworam, jakie niewierni zostawili na planecie Duro. Rzecz jasna, dotykać ich powinni tylko nowi niewolnicy. I tak byli splugawieni w takim stopniu, że oczyszczenie ich mogło okazać się niemożliwe.

Przedstawiciele władz Spółki Transportowej CorDuro mieli wkrótce zostać strawieni w żołądki Gryzaka. Jeszcze raz udowodnili, jak łatwo dawało się wykorzystywać jednych wrogów do walki przeciwko pozostałym. Wyglądało na to, że sami byli gotowi unicestwić swoich najlepszych wojowników. Yun-Harla powinna się dowiedzieć, że to Tsavong Lah wymyślił tę taktykę. Może wtedy i jego zacznie darzyć trochę większą przychylnością.

Zgromadził zwycięskich wojowników wokół jamy z płonącymi bluznierstwami, skąd na cześć Yun-Yammki unosiły się kłęby aromatycznego dymu. Nie pobudzając villipa, wygłosił do żołnierzy i niewolników krótkie przemówienie. Powiadomił wszystkich o zakończeniu pokuty Noma Anora i zapowiedział, że niedługo wyśle go w inne miejsce.

Egzekutor splótł ręce na torsie. Kość policzkowa lekko mu drgała. Wyglądał na lekko zaniepokojonego.

- Podaj mi odrażającą broń tej kobiety - rozkazał Tsavong.

Nom Anor nie ośmielił się sprzeciwić. Wyciągnął zza pasa tuniki świetlny topór i ostrożnie wręczył wojennemu mistrzowi.

Tsavong Lah zacisnął na nim palce - chociaż wiedział, jak starannie będzie musiał później się oczyścić. Po kilku nieudanych próbach zdołał w końcu sprawić, że z jednego końca wytrysnęła ognista pałka. Świeciła fałszywym blaskiem, ta czerwień tylko przedrzeźniała barwę naturalnego światła.

Dopiero teraz Seef odsłoniła gigantycznego villipa i zaczęła go gładzić obiema dłońmi. Wcześniej jednak podała Tsavongowi Lahowi tizowyrma. Yuuzhanin wsunął go do ucha. Nie zamierzał dopuścić, by tak ważne przemówienie wygłaszał któryś z niewiernych. Seef dała znak, żeby podeszli niewolnicy z aparatem do przesyłania obrazów.

Tsavong Lah rozłożył ciężar ciała mniej więcej równomiernie na obie stopy. Poczł, że w górę lewej łydki pomknął impuls bólu.

- Obywatele Nowej Republiki - zaczął, starając się jak najwyraźniej wymawiać poszczególne słowa. - Przemawiamy do was z powierzchni planety Duro. Żyjącej planety, którą zamordowali wasi przodkowie. My jednak, razem z naszymi nowymi niewolnikami, zamierzamy ją ożywić. W ciągu kilku następnych tygodni udowodnimy wam, że potęga istot rasy Yuuzhan Vong potrafi przywracać życie martwym światom.

Zaczerpnął głęboki haust powietrza. Oczami wyobraźni widział, jak niewierni tłoczą się przed odrażającymi odbiornikami - począwszy od planety Duro, a skończywszy na innej, zatrutej przez technikę planecie... na Coruscant.

- Aż do tej chwili - ciągnął - nie zdradzaliśmy wam, w jakim celu przylecieliśmy do waszej galaktyki. Mówimy to dopiero teraz. Zakończymy nasz podbój tu, na planecie Duro. Zaprzestaniemy działań zbrojnych i będziemy odtąd żyli obok was... ale pod jednym warunkiem.

Jeszcze raz głęboko odetchnął. Wiedział, że przerażeni utratą planety Duro tchórzliwi niewierni pragną zawrzeć pokój - na jakichkolwiek warunkach, za wszelką cenę.

- Pośród was żyją tacy, którzy przedrzeźniają bogów - podjął po chwili. - A to dlatego, że sami uważają się za małych bogów. Pogardzają wszystkimi innymi i zmuszają, żeby im służyli. A zatem... poprzestaniemy na zdobyciu planety Duro, jeżeli pomożecie nam złożyć jeszcze jedną, ostatnią ofiarę.

Znów zrobił dłuższą przerwę. Pozwolił, żeby niewierni spędzili ten czas w niepewności. Pragnął, żeby drżeli o własne życie. Niech zastanawiają się, czy nie zechce unicestwić ich światów.

Dopiero później zamierzał powiedzieć, że jednak daruje im życie. Wszystkim oprócz...

- Wydajcie nam swoich Jeedai - zażądał, unosząc świetlny topór, ale rękojeścią do góry. - Wszystkich. Co do jednego. Bez wyjątku. Bez względu na rasę, płeć, wiek czy umiejętności. Jeżeli ich nie wydacie i ukryjecie przed nami, już niedługo przekonacie się, jaki los spotka wasze planety. Jednak szczególną nagrodę i szczególne względy obiecuję każdemu, kto wyda w moje ręce jednego Jeedai, z którym pragnąłbym osobiście porozmawiać.

Postarał się nadać głosowi ton bólu i nienawiści. Zacisnął obie dłonie na pojemniku ze sztucznym światłem i wcisnął płonący kij aż po rękojeść w powierzchnię gruntu. Dopilnował, żeby zniknął najmniejszy promyk fałszywego blasku.

- Wydajcie w moje ręce Jacena Solo! - zagrział. - Żywego. Żebym mógł złożyć go w ofierze bogom.

Kiwnął głową w stronę Seef, która przykryła gigantycznego villipa. Wyciągnął z piasku ostrze ognistego topora.

Klinga świeciła jasnoczerwonym blaskiem, jakby nie zrobił nic nadzwyczajnego. Trzęsąc się z bólu i wściekłości, Tsavong Lah zamachnął się i wrzucił broń do jamy z płonącymi automatami.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Wam!

Przede wszystkim, rzecz jasna, George'owi Lucasowi.

Na podziękowania zasługują także:

Martha Miliard, Scott Bach, Shelly Shapiro, Sue Rostoni, Allan Kausch i Lucy Autrey Wilson za profesjonalny nadzór; wszyscy autorzy powieści z cyklu Gwiezdne Wojny, którzy nie przestają powiększać tego wszechświata, a w szczególności James Luceno, Michael Stackpole, R. A. Salvatore, Timothy Zahn, Aaron Allston, Troy Denning, Dan Wallace i Bill Smith; Robert Flaherty, Cheryl Petersen i Matthew Tyers za specjalistyczną pomoc oraz Mark Tyers, który podtrzymywał mnie na duchu, ilekroć byłam bliska załamania.